

Margaret Weis

Tracy Hickman

*Tajemnica
smoka*

2011

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Secret of the Dragon

Data wydania:

2010

Wydanie polskie

Data wydania:

2011

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki:

Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce:

Michael Komarck

Przełożyła:

Maria Smulewska

Wydawca:

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

ISBN 978-83-7510-643-5

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Pamięci Briana Thomsena

Prolog

– Jam jest Talgogroth Farinn, Głos Gogrotha, Boga Drzewa Świata. Przybywajcie, a opowiem wam o Skyłanie Ivorsonie, Wodzu Wodzów narodu Vindrasów, największym wśród wodzów... – Farinn urwał i westchnąwszy, dokończył: – Największym i ostatnim.

Choć urwał jedynie dla większego efektu, jego westchnienie było zupełnie szczere. Talgogroth Farinn był człowiekiem starym – najstarszym Vindrasem. Jako Talgogroth znał całą historię vindraskiego ludu. Pysnił się także tym, że nigdy żaden Torgun nie żył tak długo jak on, który widział już osiemdziesiąt pięć zim. On jeden z żyjących Vindrasów naprawdę znał legendarnego Skyłana, a co więcej – płynął z nim podczas jego burzliwej podróży na smoczym okręcie, który stał się zresztą z czasem niemal równie sławny jak jego pan – na *Venjekarze*.

W sali zrobił się lekki zamęt, gdy kobiety zaczęły rozlewać piwo do kufli, lecz zaraz potem pospiesznie usiadły obok mężczyzn na długiej ławie. Dzieci przestały dokazywać i przykucnęły cichutko przed Talgogrothem, by nie uronić ani jednego słowa, bo starzec ten, który niegdyś chlubił się dźwięcznym tenorem, miał teraz głos cichy i zachrypnięty. Vindrasi słyszeli już tę opowieść niezliczoną liczbę razy, ale uwielbiali ją i nigdy nie mieli jej dosyć. Każde dziecko marzyło o tym, by dorównać kiedyś swym bohaterom – Skyłanowi, Garnowi, Aylaen, Bjornowi, Erdmunowi i innym, których imiona miały zaraz znów zabrzmieć w tych ścianach.

Wszyscy oni dawno już nie żyli. Wszyscy poza tym jednym, najmłodszym uczestnikiem podróży. Starzec omiółł dziatwę smutnym spojrzeniem.

Opowieść Farinna można było porównać do gobelinu, w którym gęsto splecione barwne nici tworzą piękny obraz kobiet i mężczyzn walczących ze straszliwym wrogiem. Gdy patrzy się na taki gobelin z przodu, wydaje się doskonały. Każdy fragment jest starannie utkany, każda nić w harmonii spleciona z pozostałymi składa się na cudowną wizję bitwy. Jeśli jednak spojrzeć na gobelin od tyłu, wychodzi na jaw, że jest on zupełnie inny. Wzory, które z przodu wydawały się tak piękne, gładkie i lśniące, oglądane z drugiej strony okazują się porwane i podzielone. Widać, że nici są postrzępione, skołtunione i poplątane, że niektóre zerwane nitki trzeba było przywiązać do innych. Tam, gdzie tkanina się spruła, ktoś wyciągnął całą nić i wplótł nową, mocniejszą.

Talgogroth Farinn opowiadał historię o Skyłanie od tej lepszej strony. Wiedział aż za dobrze, że gdyby próbował opowiedzieć ją tak, jak wyglądała od tyłu, nikt nie chciałby go słuchać. Wszyscy potrzebują bohaterów – bohaterów idealnych. I nikt nie dba o to, że to właśnie te węzły z tyłu gobelinu czynią tkaninę mocną i wytrzymałą.

Wnuk Talgogrotha, który był już po czterdziestce i miał zająć to stanowisko po śmierci dziada (Farinn przeżył bowiem obu swych synów), przyniósł staruszkowi kufel piwa. Farinn napił się, bo zaschło mu w gardle, i zaczął snuć opowieść.

– Posłuchajcie o Skyłanie Ivorsonie, synu Norgaarda Ivorsona, wodza Torgunów za czasów wojny nazwanej później Ostatnią, za czasów Wojny Bogów:

Skyłan widział już osiemnaście zim, gdy błysnęła pierwsza iskra tego strasznego płomienia, który wkrótce pochłonął cały świat. Ogry wypłynęły na swych okrętach o trójkątnych żaglach, przebyły morze i dobiły do wybrzeża, na którym znajdowała się wieś Luda. Wbrew temu, co się wam pewnie wydaje, nie przybyły, by walczyć. Przybyły z białą flagą i wódz Norgaard Ivorson nie miał wyjścia – musiał przyjąć ich jako swych honorowych gości.

Ogry przyniosły straszną wieść. Oznajmiły Torgunom, że vindrascy bogowie zostali pokonani w wielkiej bitwie stoczonej w niebiosach. Twierdziły, że vindrascy bogowie nie żyją, na dowód czego ogrzy bożypan przyszedł na ucztę z Torquesem Vektyjskim na szyi. Torques ten zawierał smoczą kość jednego ze Smoków Vektii. Podarowała go Vindrasom Smokini Vindrash i był on cenny ponad wszelką miarę. Mimo to Horg Thekksun, Wódz Wodźów ludu Vindrasów, z klanu Heudjunów zdradziecko wydał go ogrom.

Dzieciaki zaczęły gwizdać i krzyczeć, zmuszając Farinna do przerywania opowieści. Horg był – przynajmniej na początku – czarnym charakterem tej historii.

Poplątane nici, pomyślał Farinn, gdy czekał, aż dzieciarnia umilknie wreszcie. Tyle poplątanych nici.

– Horg utrzymywał, że musiał oddać torques ogrom, by zapobiec ich atakowi na Heudjunów. Ten tchórzowski, haniebny czyn ściągnął na niego wkrótce gniew samego Torwala.

Dzieci aż zaklaskały i z przejścia pochyliły się do przodu. Dobrze wiedziały, co teraz nastąpi.

– Torgunowie zapalili ognisko, by wezwać swych sąsiadów Heudjunów na pomoc. Heudjunowie nie przybyli jednak, by walczyć z ogrami. Wodzem Wojennym Torgunów był wówczas Skyłan, jako że jego ojciec, Norgaard, odniósł niegdyś w bitwie straszną ranę, która uczyniła go kaleką. Skyłan poprowadził swych wojowników przeciw ogrom. Kapłanka Kości, którą była wtedy Treia Adalbrand, wezwała smoka Kahg i Torgunowie zdołali pokonać swych wrogów, mimo stukrotnej przewagi ogrow.

Farinn uśmiechnął się pod nosem. Te proporcje były nieco przesadzone, ale dzięki temu opowieść brzmiała znacznie lepiej.

– Lecz choć zdawało się, że Torgunowie zwyciężyli, w rzeczywistości przegrali z kretesem, podle ogry bowiem posłużyły się szamańską magią, by ukraść święty Torques Vektyjski. Gdy odpływały, pozbawieni swego okrętu Torgunowie musieli patrzeć bezsilnie, jak przepada ten najcenniejszy z ich skarbów.

Gniew Torgunów obrócił się przeciwko ich kuzynom, Heudjunom, którzy nie przybyli im na pomoc w potrzebie. Norgaard, wódz Torgunów, postanowił za wszelką cenę wyzwąć Horga Tnekksona na Vutmanę, walkę rozsądzaną przez bogów, na którą wódz może wyzwąć Wodza Wodzów, by udowodnić, kto ma większe prawo sprawować władzę nad wszystkimi klanami.

Kaleki Norgaard nie był w stanie walczyć, ale według prawa wódz mógł wybrać wojownika, który by walczył w jego imieniu. Norgaard wybrał swego syna, Skylana. Torguńscy wojowie przepłynęli fiord Gymir, by stanąć twarzą w twarz z Heudjunami. Kapłanka Kai, Draya, ujawniła, że Horg wydał torques ogrom; ten święty przedmiot wcale nie został ukradziony, jak kłamliwie utrzymywał Horg. Kapłanka wezwała Torwała, boga Vindrasów, by osądził Horga.

Horg Thekkson i Skylan Ivorson stanęli przeciw sobie w Vutmanie...

– Zaśpiewaj pieśń o Vutmanie! – krzyknął jakiś chłopczyk.

– Innym razem – obiecał mu na odczepnego Farinn.

Dawno temu skomponował pieśń opiewającą tę niezwykłą bitwę. Opisywała ona każde pchnięcie miecza i każdy odparty atak. Nie lubił jej jednak i robił wszystko, żeby jej nigdy nie śpiewać. Gdy komponował tę pieśń, wiedział, że opiera ją na kłamstwie. Milczał jednak z szacunku, a teraz był już ostatnią osobą, która знаła prawdę. Zabierze ze sobą do grobu tajemnicę o tym, co naprawdę zdarzyło się podczas bitwy.

Farinn snuł dalej swoją opowieść.

– Wygrał Skylan Ivorson. Jako zwycięzca miał prawo zdecydować, czy uczyni Wodzem Wodzów swego ojca, czy też sam nim zostanie. Wcześniej poprzysiął na Torwała, że zrobi wszystko, by Wodzem Wodzów został jego ojciec. Teraz jednak złamał swoją przysięgę i sam ogłosił się wodzem.

Dzieci patrzyły w milczeniu, szeroko otwierając oczy z przejęcia. Złamanie przysięgi było potwornym uczynkiem i wszystkie dobrze wiedziały, że Skylana spotka nieunikniona kara.

– Są tacy, którzy mówią, że Torwał ukarał Skylana za krzywoprzysięstwo – ciągnął Farinn. – I że tragedia, która go potem spotkała, była wynikiem boskiej klątwy. Inni twierdzą, że za wszystkimi kłopotami Skylana stało jakieś zdradzieckie bóstwo. Skylan powtarzał zawsze, że to on sam doprowadził do swojego upadku, dlatego że był aroganckim młodzieńcem, który nigdy nie słuchał niczyich rad.

Rodzice spojrzeli znacząco na swoje dzieci, licząc na to, że zapamiętają sobie dobrze tę lekcję. One jednak wpuściły ją jednym uchem, a wypuściły drugim. Czekwały już niecierpliwie na dalszą część historii.

Farinn urwał i po chwili dodał cicho:

– Mądrzy mówią, że taki był po prostu jego wyrd.

W sali zapadła cisza. Mężczyźni i kobiety w milczeniu pokiwali głowami.

Wyrd tkany jest przez Norny, trzy siostry boga Gogrotha, który przybył na wezwanie Torwala, by zasadzić Drzewo Świata. Trzy siostry siedzą pod drzewem. Jedna trzyma kądziel, druga kręci wrzecionem, trzecia tka ludzkie i boskie losy na swoim krośnie. Gdy przecięta zostaje nić łącząca matkę z dzieckiem, rozpoczyna się nowy wyrd. Każdy człowiek i każdy bóg ma własny wyrd – splecione tworzą razem gobelin życia.

Pojedyncza nić jest słaba. Utkany z nich gobelin jest mocny.

Farinn przeszedł do opisywania kolejnych przygód i przypadków Skylana, Wodza Wodzów*. Była to długa opowieść i gdy głos staruszka zaczął nikać z wysiłku, a dzieci nie umiały już powstrzymać ziewania, Talgogroth zakończył swoją gawędę na ten wieczór.

– Kapłanka Kości, Treia Adalbrand, siostra Aylaen, kobiety, którą kochał Skylan, oskarżyła go o to, że oszukiwał podczas Vutmany i podstępem zabił Horga Thekksona, a tym samym sfalszował sąd Torwala. Skylan doszedł do wniosku, że wszystkie nieszczęścia, jakie go spotkały, są wynikiem boskiej klątwy. Zadręczając się wyrzutami sumienia, przyznał się do zamordowania Horga Thekksona – choć w rzeczywistości było to jedno z niewielu przestępstw, których nie popełnił. Torgunowie odwrócili się od swego Wodza Wodzów. Spętali go i wrzucili pod pokład. Wymierzywszy sprawiedliwość, zajęli się przygotowaniami do pożegnania swych poległych wojowników. Gdy gęsty dym unosił dusze zmarłych do nieba, vindrascy wojownicy zostali zaatakowani przez żołnierzy Oranu, Imperium Światła. Pojmano ich i uwięziono na ich własnym okręcie. I tu zakończymy naszą opowieść na dzisiaj – oświadczył Farinn.

Choć dzieci ślaniały się już ze zmęczenia, resztkami sił zaprotestowały jeszcze rozpaczliwie. Farinn uśmiechnął się i upił łyk piwa z kufła.

Zaszurały ławy odsuwane przez dorosłych. Ojcowie wzięli na ręce swoje na pół śpiące pociechy i wynieśli je z sali. Matki szły obok, troskliwie okrywając kocami ramiona najmłodszych przed wieczornym chłodem. Kawalerowie zostali jeszcze w sali, by dopić piwo i poopowiadać sobie własne historie o bohaterskich czynach. Dziewczęta zaczęły się zbierać do wyjścia z rodzicami, tak jak nakazuje skromność, ale przez ramię rzucały jeszcze płochliwe spojrzenia na chłopców, by się upewnić, czy na nie patrzą.

Farinn z wysiłkiem wstał z zydła, na którym siedział. Wnuk zrobił gest, jakby chciał mu pomóc, ale starzec odtrącił go z poirytowaniem.

* Ci, którzy nie mieli szczęścia słyszeć recytacji Talgogrotha, mogą znaleźć opis tych przygód w księdze pt. *Smocze kości*, tomie pierwszym serii „Dragonships”.

– Może jestem stary i powolny, ale jeszcze umiem chodzić na własnych nogach – mruknął rozdrażniony.

Powoli ruszył w kierunku swego długiego domu. Nie poszedł jednak spać. Ostatnio potrzebował coraz mniej snu. Przygotował sobie posset z miodem^{*} na obolałe gardło, a potem zasiadł przed paleniskiem, by znów rozmyślać o czasach, gdy młody Skylan Ivorson, niegdyś Wódz Wodzów, stał się zwykłym niewolnikiem. Jutro wieczorem Farinn znów podejmie swoją opowieść. Zawsze lubił tę jej część.

Teraz w historii Skylana następował nieoczekiwany zwrot.

* Posset – gorący, słodki napój z mleka z korzeniami oraz piwem lub winem (przyp. tłum.).

Księga I

Rozdział 1

Vindrasi wierzą, że każdy ma swój wyrd – czy człowiek, czy bóg. Wyrdy ludzi i bogów splecione są ze sobą, zwykle ze szkodą dla ludzi, jako że bogowie są wszechwiedzący, a ludzie ślepi na rzeczy ważne. Czasem jednak bogowie przekonują się, że dalekowzrocność to nie błogosławieństwo, lecz przekleństwo. Bo choć bogom może się wydawać, że znają przyszłość tego świata, żaden z nich nie ma pewności, że stanie się to, co przewiduje, ponieważ żaden bóg nie może dyktować ludziom, co mają uczynić...

Skylan Ivorson, Wódz Wodzów narodu Vindrasów, siedział na piasku i patrzył na półnagich mężczyzn kłębiących się przy burcie okrętu. Przypominali mu muchy oblażące padlinę.

Zniszczenia na *Venjekarze*, gdy wpłynął na łachę piachu, okazały się poważniejsze, niż oszacował to Acronis, Legat Oranu. Po zajęciu okrętu przez Orańczyków ludzie Legata pobieżnie nareperowali kadłub i odpłynęli natychmiast, wykorzystując pierwszy przypływ. *Venjekar* w okamgnieniu nabrał tak dużo wody, że Trybun Zahakis wybrany przez Legata na kapitana okrętu ledwo zdołał doprowadzić go do brzegu.

Skylan przyglądał się tej porażce wroga z ponurą satysfakcją. *Venjekar* zachowywał się tak, jakby doskonale wiedział, że dostał się w niewolę, i wołał raczej spocząć na dnie morza, niż służyć swoim oprawcom. Skylan modlił się do Torwała, by podli Południowcy nie zdołali nareperować okrętu. Może i zabrali mu miecz, może i zakuli go w kajdany; ale oto jego okręt rozmyślnie przeciwstawiał się wrogowi.

Venjekar nie miał jednak szans. Legat trzymał na swoim okręcie – trzyrzędowej galerze, którą jego żołnierze zwali triemą – sprawnych cieśli i od razu wysłał ich do naprawy torguńskiego okrętu. Zahakis nakazał, by z pokładu usunięto vindraskich jeńców. Siedzieli teraz na piachu, z rękoma i nogami w kajdanach, skuci ze sobą nawzajem ciężkimi łańcuchami, bez broni, i przyglądali się żołnierzom Legata w lśniących zbrojach i skórzanych tunikach. Torguńskich wojowników pozostało zaledwie siedmiu. Gdy Skylan wypływał na tę przeklętą przez bogów wyprawę, na pokład *Venjekaru* weszło prawie trzydziestu. Niektórzy zginęli w walce z olbrzymami ze Smoczych Wysp. Niektórych zranili Południowcy. Ci, choć

nie umarli od ran, padli zaraz potem – tak jak wielu innych zresztą – ofiarą dziwnej zarazy, o której Torgunowie nigdy przedtem nawet nie słyszeli.

Choroba przyszła nagle. Zaczynała się gorączką i dreszczami, skurczami żołądka i krwawą biegunką. Dla wielu skończyła się śmiercią. Części – między innymi Aylaen i młodziutkiemu Farinnowi – udało się powrócić do zdrowia. Skylan w ogóle nie chorował, być może dlatego, że cały czas spędził uwięziony pod pokładem, z dala od pozostałych. Choroba nie dotknęła też Wulfe'a, pewnie dlatego, że uciekł. W strachu przed tymi dziwnymi żołnierzami Wulfe całe dni trzymał się jak najdalej od obozu. Nie było go tak długo, że Skylan myślał już, iż tym razem chłopiec opuścił ich na dobre. Ale potem pewnego poranka dzieciak nieoczekiwanie znów pojawił się w obozie i oświadczył, że jest głodny.

Skylan bał się, że orańscy żołnierze będą go próbowali zakuć w kajdany. Chłopiec miał straszną awersję do żelaza, twierdził, że rani go jego dotyk. Nie był nawet w stanie znieść jego zapachu.

Ale Południowcy nie zakuli Wulfe'a. Nie mieli tak małych kajdan, a poza tym byli pewni, że jakiś tam niewyrośnięty jedenastolatek nie stanowi żadnego zagrożenia. Wszystko im było jedno, czy ucieknie czy nie, i po prostu zostawili go w spokoju. Gdyby Raegar pozostał na brzegu, powiedziałby im, że chłopiec jest niezwykle groźny. Nakazałby żołnierzom zakuć go natychmiast i wrzucić pod pokład. Lecz Raegar zniknął. Skylan nie widział swego podłego kuzyna już od wielu dni. Teraz Wulfe przykucnął przy Skylanie, zachowując bezpieczny dystans, żeby nie dotknąć przypadkiem żelaznych kajdan.

Więźniowie byli skuci nie tyle, żeby nie uciekli, ile raczej żeby „barbarzyńcy”, jak o nich mówili żołnierze, nie postanowili znów kogoś zaatakować. Torguńscy wojownicy już dwukrotnie rzucili się na swych oprawców – bez żadnej nadziei na skuteczną ucieczkę, gdyż nie mieli broni, jedynie licząc na to, że uda im się zabić kilku wrogich żołnierzów, zanim sami zostaną zabici.

Torgunowie za wszystko winili Skylana – za sztorm, który zepchnął ich z kursu, za katastrofalne spotkanie z olbrzymami, za niewolę. Winili go nawet za zarazę. Nie byli jednak tak bezwzględni w swych zarzutach jak jego własne sumienie. Żaden z Torgunów nie pałał do niego taką nienawiścią jak on sam do siebie.

Skylanowi wciąż się śniło, że dostał się do Komnaty Bohaterów; że stoi wśród walecznych wojowników, którzy zginęli z mieczem w dłoni, a jego ręce i nogi spętane są łańcuchami. Torval i inni dzielni mężczyźni wybuchają śmiechem i wyganiają go z Komnaty. Za każdym razem budził się z tego koszmaru zlany zimnym potem.

Teraz patrzył na cieśli przy pracy. Musiał przyznać – choć czynił to niechętnie – że znali się na rzeczy. Odwrócił się do Wulfe'a, który kopał sobie dziury w piasku.

– Pytam cię przecież. Gdzie się podziewa Raegar? – podniósł głos. – Myślałem, że zamierza się tu kręcić wokół nas i triumfować.

Wulfe wzruszył ramionami.

– Pewnie gdzieś sobie spółkuje z Treią.

Skylan spojrział na niego sceptycznie.

– Treia? Z Raegarem? Treia jest może podstępna żmija, ale to Vindrasyjka. Jest wierna swoim bogom i swojemu ludowi. Raegar zdradził ją tak jak i nas. Gdyby tylko się do niej zbliżył, wydrapałaby mu oczy.

– Widziałem ich – powiedział Wulfe. – W świątyni. Spółkowali.

– Jak to widziałeś ich w świątyni? W jakiej świątyni? – zdziwił się Skylan. – Kiedy?

– W tej tutaj – wyjaśnił oględnie chłopiec. – Tej z posągiem wielkiego smoka w środku.

Skylan zmarszczył czoło.

– Znowu coś zmyślasz, tak? Tak jak wtedy, gdy upierałeś się, że rozmawiasz z driadami i satyrkami.

– Ale ja naprawdę z nimi czasem rozmawiam. I widziałem Treię z Raegarem.

Skylan sam już nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Był niemal zupełnie pewien, że chłopiec kłamie, ale jego kłamstwa składały się zwykle na bardzo ciekawe opowieści.

– Opowiedz mi, co takiego mówili, ale szeptem – powiedział więc żądny jakiejś rozrywki.

Uzbrojony strażnik, zgrzany i znudzony, maszerował w tę i z powrotem po piaszczystym nabrzeżu.

Wulfe pochylił się nieco, ale nie spuszczał oka z żelaza okalającego nadgarstki i kostki Skylana, jakby się obawiał, że metal w każdej chwili może się na niego rzucić jak dzikie zwierzę.

– Pamiętasz, jak Smokini przyszła z tobą porozmawiać? – spytał. – Krótko przed walką z olbrzymami?

Skylan pamiętał to spotkanie aż za dobrze. Kiwnął tylko pospiesznie głową i zacisnął usta.

– Pamiętam. Mów.

– Smokini tak mnie wystraszyła, że uciekłem – ciągnął Wulfe. – Wpadłem na Garna, ale trzymał miecz. I było z nim więcej wojowników, wszyscy z mieczami, i wystraszyli mnie bardziej niż ta twoja smoczyca, więc od nich też uciekłem. I wtedy natknąłem się na Treię. Rwała sobie włosy z głowy i gadała niestworzone rzeczy o śmierci Raegara i o tym, jak już nikt jej nigdy nie pokocha.

Skylan pokiwał głową w zamyśleniu. Taka wersja wydarzeń była zgodna z tym, co opowiedział mu Garn: zrozpaczona Treia poszła gdzieś zupełnie sama; nikt nie wiedział, dokąd uciekła; Torgunowie poszli jej szukać, ale zaatakowały ich olbrzymy i musieli walczyć o własne życie.

– Nie wiedziałem, gdzie jesteś ani jak wrócić do obozu – opowiadał dalej chłopiec. – Pomyślałem sobie, że Treia będzie wiedziała, więc postanowiłem za nią iść. Ale ona wcale

nie szła do obozu. Poszła do tej świątyni ze smokiem w środku. I tam właśnie był Raegar, zupełnie żywy leżał sobie na podłodze cały mokry.

– Oczywiście, że był cały mokry – mruknął Skylan. – Wcale nie wypadł za burtę. Celowo wyskoczył i dopłynął do brzegu.

– Ja tam nie wiem. – Wulfe wzruszył ramionami. – Ale powiedział Trei, że ukarał go jakiś bóg. Treia tak się ucieszyła na jego widok, że z miejsca zaczęła z nim spółkować. Dopiero potem spytała, za co właściwie go ukarano. Powiedział jej, że za dotrzymanie tajemnicy o twojej zbrodni. I potem powiedział jej wszystko o tej tajemnicy, że ty i Draya zamordowaliście kogoś o imieniu Horg. Czy ty zamordowałeś jakiegoś Horga?

Skylan westchnął ciężko. Milczał przez dłuższą chwilę, wpatrując się w spokojne, ponure morze. W końcu pokręcił głową.

– Ale ten Horg został zabity, tak? – dopytywał się Wulfe.

– Tak

– Ale ty go nie zamordowałeś?

– Nie. Walczyłem uczciwie. Torval mi świadkiem! – zapewnił Skylan nieco za głośno. – Zrobiłem po prostu to, co uważałem za słuszne. Dlaczego – dodał z rozpaczą – zawsze, gdy myślę, że postępuję słusznie, okazuje się, że robię coś złego?

– Może powinienś zrobić coś złego, a okazałoby się dobre? – zasugerował Wulfe.

Skylan uśmiechnął się bez przekonania.

– Może powinienem. Garn wiedział. Garn zawsze wiedział, co jest słuszne. Próbował mi tłumaczyć, ale nigdy go nie słuchałem. A teraz on nie żyje, a ja i moi ludzie jesteśmy w niewoli.

– To wszystko przez Treię – warknął Wulfe bardziej jak pies niż jak człowiek, aż wartownik zaczął gwizdać i rozglądać się wokół za czworonogiem.

– Trudno mi ją winić – powiedział Skylan. – Zaufała Raegarowi. Jak my wszyscy.

Wulfe prychnął z pogardą.

– Ona lubi z nim spółkować.

– Skąd niby wiesz, że Raegar kłamał? Może to był cud. Może rzeczywiście uratowała go Vindrash.

Wulfe znów prychnął.

– Vindrash w wielkich buciorach. Podłoga była bardzo zakurzona i widziałem ślady podeszew. Widziałem też ślady stóp Raegara. Były mokre i bose. A poza nimi były ślady dwóch par butów, wielkich i suchych. Stały i gadały z Raegarem. Potem te suche buty wyszły, a Raegar został.

Skylan zmarszczył brwi.

– Jeśli to prawda, to Raegar wiedział, że Treia przyjdzie do świątyni. Jest przecież naszą Kapłanką Kości. Musiała pójść tam, by się modlić. Raegar celowo tam na nią czekał!

– Próbowałem ostrzec cię przed nią – wypomnił mu Wulfe, ale jednocześnie poklepał go pocieszająco po ramieniu, starannie omijając wszelkie żelastwo. – Nienawidzę jej. I Raegara też. Uderzył mnie!

– Co? A co ty mu takiego zrobiłeś?

Wulfe wymamrotał coś pod nosem.

– Co? – Skylan dźgnął go lekko łokciem. – Mów wyraźniej!

– Złapał mnie, jak ich szpiegowałem – wyznał niechętnie Wulfe. – I uderzył mnie. Mocno. Kiedyś go zabiję.

– Nie wygłupiaj się – mruknął tylko Skylan i milczał przez jakiś czas, aż w końcu zadał pytanie, na które bał się usłyszeć odpowiedź. – Jak się ma Aylaen? Słyszałem, że była chora, ale przeżyła. Słyszałem też, że próbowała walczyć z żołnierzami. Nie skrzywdzili jej, co?

– Nie wiem. Jest na Dużym Okręcie.

Wulfe wskazał na triremę, tkwiącą na kotwicy niedaleko od brzegu, tuż obok łachy, na którą natknął się tak niefortunnie *Venjekar*. W porównaniu do pełnego wdzięku, zgrabnego okrętu ze smoczym galionem trirema ze swoim potężnym kadłubem, wiosłami i ostrym dziobem wyglądała jak wielki, niezdarny żółw morski.

– Nie martw się – szepnął Wulfe. – Nie zrobią krzywdy ani Aylaen, ani Trei. Raegar powiedział, że obie kobiety są Kapłankami Kości i że ich bóg chce, żeby nic im się nie stało.

– Dlaczego ich bóg w ogóle interesuje się naszymi Kapłankami Kości? – zdziwił się Skylan. Poruszył się nieporadnie na piasku, próbując znaleźć jakąś wygodniejszą pozycję.

Szczęknęły łańcuchy. Strażnik rzucił mu ostre spojrzenie.

– Ej, wy tam! Stulcie pyski! Nie ma gadania! – wrzasnął.

Skylan spojrział na niego wściekle i otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Żołnierz ruszył w jego stronę. Wulfe czmychnął w popłochu.

Orańczyk nawet nie zwrócił na niego uwagi, tylko kopnął Skylana w zębra.

– O czym rozmawialiście?

– Odwal się – syknął tylko Skylan.

Żołnierz kopnął go jeszcze mocniej. Młodzieńca aż rozpieęła chęć do bójki. Skoczył na równe nogi i zamachnął się na głowę przeciwnika łańcuchem, który zwisał mu między rękoma. Ciężkie żelazo utrudniało mu ruchy; jego cios był powolny i niezdarny. Żołnierz zdążył zrobić unik, wyciągnąć miecz i uderzyć Skylana w głowę płaską częścią głowni.

Skylan padł na piach. Czuł w ustach smak krwi. W uszach mu dzwoniło.

– Módl się, żebyś go przypadkiem nie zabił! – krzyknął inny żołnierz. – Legat byłby na ciebie wściekły. Chce zachować go na Para Dix.

– A tam! Nawet go nie drasnąłem. Te dzikusy są jak muły. Trzeba je porządnie rąbnąć, żeby w ogóle zauważyły, że istniejesz.

Znów zaczął kopać Skylana, ale ten wygiął się, chwycił go za nogę i przewrócił na ziemię. Żołnierz wylądował tyłkiem w piachu.

Jego kamraci ryknęli śmiechem. Czerwony z wściekłości i wstydu Orańczyk zerwał się na równe nogi. Byłby pewnie zabił Skylana, gdyby w tej właśnie chwili nie pojawił się Trybun.

– Jeśli mu coś uszkodzisz, Manetasie, Legat potrafi ci to z żołdu – rzekł. – Wy tam, spętać go porządniej.

Trybun miał na imię Zahakis. Skylan już przedtem zwrócił na niego uwagę. Był jak na Południowca dość wysoki i niezwykle umięśniony. Miał krzywo zrosnięty nos. Jego skóra była ciemniejsza niż pozostałych, i tak śniadych Południowców. Na jego twarzy od policzka po brodę ciągnęła się stara blizna. Mógł mieć nieco po trzydziestce. Nie mówił wiele, ale decyzje podejmował w mgnieniu oka.

Dla Skylana jednak najciekawsze było to, że Trybun Zahakis wyraźnie nie darzył sympatią Raegara. Z wzajemnością. Gdy tylko Skylan zobaczył tych dwóch mężczyzn razem, od razu wiedział, że są wrogami.

Raegar wydał wtedy żołnierzom jakieś polecenia dotyczące *Venjekaru*. Żołnierze wysłuchali go, ale nawet nie drgnęli. Gdy tylko zniknął, spojrzeli wyczekująco na Zahakisa.

– Nie przerywać pracy – rzucił Trybun, a żołnierze uśmiechnęli się tylko porozumiewawczo i bez słowa wykonali jego rozkaz.

Skylan nie wiedział jeszcze, jak może skorzystać na tej nienawiści między dwoma mężczyznami, ale odczuwał niekłamana satysfakcję z tego, że ktoś – choćby nawet wróg – także nie znosi Raegara.

Teraz Zahakis patrzył w milczeniu, jak żołnierze wykręcają mu ręce do tyłu, związują mocno, a potem przepychają mu pal w zgięciu łokci, między rękoma a plecami, pozostawiając go w tej dziwacznej i bolesnej pozycji.

Gdy zakończyli pracę, Zahakis znów się odezwał:

– Mamy nowe rozkazy. Część z was idzie ze mną.

Żołnierze natychmiast ruszyli za dowódcą.

Skylan skulił się i zaczął pluć krwią i piaskiem. Spojrzał spode łba na pozostałych Torgunów. Ponury Sigurd, przyjaciel jego ojca, pełniący teraz na wyprawie funkcję wodza Torgunów. Bjorn, plotkarz i żartowniś, zaraz po Garnie najlepszy przyjaciel Skylana. Erdmun, młodszy brat Bjorna, posępny, zawsze gotowy wykrakać jakieś kłopoty. Grimuir, przyjaciel i sojusznik Sigurda; nigdy nie lubił Skylana. Farinn, najmłodszy z nich wszystkich, cichy i zamknięty w sobie. Ciemny Aki; ledwo co przyłączył się do Torgunów z innego klanu i Skylan niewiele o nim wiedział. Wojownicy spojrzeli na Skylana i natychmiast odwrócili wzrok.

Skylan westchnął. Sam nie wiedział, na co właściwie liczy. Przecież nie na miłość czy przyjaźń. Ale może na podziw? Przeliczył się jednak. Gardzili nim. Nie dbali o to, czy żył jeszcze czy nie. Może nawet woleliby, żeby umarł. Na całym tym desperackim ataku zyskał jedynie krwawą ranę na głowie, pulsujący ból w żebrach i rozpacz w sercu.

Spojrzał na spalony, czarny ślad na piasku. Tu spłonął stos Garna. Oczy zasły mu łzami. Wstyd mu za nie było i bojąc się, że wojowie zobaczą, jak płacze, spuścił głowę, tak by jego długie, jasne włosy zakryły mu twarz.

Łzy zmieszały się z krwią i pociekły po jasnym zaroście. Poczuł w ustach sól i żelazo. Modliłby się do Torwala, ale bał się, że bóg, tak jak i Torgunowie, tylko spojrzy na niego z pogardą i odwróci wzrok.

Rozdział 2

W zasadzce pojmano także obie siostry – Treię i Aylaen. Treia odmawiała modły nad stosami pogrzebowymi poległych i mało nie zemdląła ze strachu na widok czarnowłosych, śniadych żołnierzy w dziwnych zbrojach. W zamglonej, niewyraźnej wizji krótkowzrocznej Trei ci obcy żołnierze w lśniących blachach wyglądali jak ucieleśnienie kary boskiej, które wyłania się z dymu śmierci, by wessać ją do Nethervarldu, gdzie bogini Talley, Freilis, rzuci ją na pożarcie swym demonom.

Żołnierze chwycili ją brutalnie za rękę, związali jej dłonie i wrzucili do namiotu, który postawili na brzegu z szybkością świadczącą o dyscyplinie i doświadczeniu. Poczawszy na swoich rękach okrutne dłonie, smród potu i skóry, usłyszawszy prostackie docinki, Treia rychło zrozumiała, że ma do czynienia z ludźmi z krwi i kości i że oto znalazła się w niewoli. Wtedy opadła ją nowa fala paniki, aż zrobiło jej się słabo. Wiedziała, co mężczyźni robią, gdy dopadną na wojnie jakąś kobietę. Przykucnęła w namiocie, trzęsąc się ze strachu, ale gdy żołnierze uchylili klapę, zrobili to tylko po to, by wrzucić do środka Aylaen.

– Ta wściekła suka mnie ugryzła! – warknął jeden z nich, pokazując pozostałym krwawy ślad na przedramieniu.

– Żebyś tylko nie zaczął zaraz toczyć piany z ust – zakpił inny.

– To wcale nie jest śmieszne – mruknął pierwszy.

Aylaen miała obitą twarz, opuchnięte knykcie i wykręcony nadgarstek, ale biorąc pod uwagę, że rzuciła się na swoich oprawców jak pantera, miała pewnie i tak wiele szczęścia, że nie zabili jej na miejscu.

Treia zrobiła, co mogła, żeby opatrzyć jej obrażenia, ale niewiele była w stanie pomóc bez swoich mikstur i balsamów, po które nie pozwolono jej pójść na okręt. Potem Aylaen zapadła na tę straszną chorobę, która zabiła tylu Torgunów.

Żołnierze Legata powiedzieli, że to dolegliwość popularna wśród mieszkańców ich miasta i że nazywa się „czerwonka”. Legat wysłał do nich kogoś, kogo określali mianem „medyka”, żeby im pomógł, a ten, gdy się zorientował, że Treia umie leczyć, kazał jej zająć się swoimi ludźmi.

Treia jednak niewiele mogła zrobić, po prostu dlatego, że nigdy przedtem nawet nie słyszała o tej chorobie. Obmywała ich rozpalone gorączką ciała i zamykała im oczy, gdy

umierali w męczarniach. Ci, którzy tak jak Aylaen przeżyli, zawdzięczali to raczej samym sobie niż jej. Inni, na przykład Treia i Skylan, w ogóle nie zachorowali.

Gdy tylko Treia pożegnała zmarłych, ich ciała spalono wraz z ubraniami i wszystkim, czego dotknęli.

Wyzdrowiawszy, Aylaen szybko wróciła do sił, choć zdawało się, że to doprowadza ją do szału. Na pochłanianych przez płomień zmarłych patrzyła z nieskrywaną zazdrością. Potem poszła do namiotu, rzuciła się na posłanie i wbiła wzrok w ciemność. Po policzkach płynęły jej łzy.

Treia miała tego w końcu dość.

– Garn nie żyje – powiedziała siostrze. – Musisz nauczyć się z tym żyć. Jeśli nie przestaniesz się zamartwiać, zaraz znów się pochorujesz.

Aylaen jednak była tak pogrążona w rozpacz, że chyba nawet jej nie słyszała.

Tego poranka Treia siedziała przed namiotem i patrzyła, jak żołnierze skuwają Torgunów, a potem wyrzucają ich na piasek, żeby cieśle mogli się zająć naprawianiem okrętu. Trochę dalej w morze, tuż przy łasze piachu, na której rozbił się *Venjekar*, stała na kotwicy dziwna galera i kołysała się lekko na falach.

Treia nie miała żadnych łańcuchów, nawet nie była spętana zwykłym sznurem. Wszyscy uznali widać, że nie stanowi żadnego zagrożenia. Nie dbali o to, czy ucieknie czy nie. Żołnierze czasem tylko spoglądali na nią, jeszcze rzadziej zdawali się o niej mówić, niekiedy rechocząc przy tym tak nieprzyjemnie, że płonęła się ze złości, ale żaden nie naprzykrzał się ani jej, ani Aylaen. Może i zastanowiłaby się nad tym, gdyby nie to, że miała zupełnie inne zmartwienia. Nie wiedziała, gdzie podział się Raegar, nie wiedziała, czy jej nie opuścił, nie wiedziała, czy w ogóle jeszcze żyje.

Obserwowała, jak Skylan wdaje się w bójkę z żołnierzami, i uśmiechnęła się pogardliwie, gdy powalili go na ziemię. Choroba nawet go nie tknęła, a przecież powinien był umrzeć! To on był odpowiedzialny za ich cierpienie. Kocha go jakiś bóg, pomyślała Treia z nienawiścią.

Siedziała i patrzyła na żołnierzy i na ich dowódcę, Zahakisa. Szli w stronę ich namiotu. Opadł ją niepokój. Może tak naprawdę idą tylko w las na polowanie, tak jak robili to już kilka razy.

Ale ich głowy okryte hełmami z daszkami chroniącymi policzki zwrócone były w jej stronę. Szli do niej. Treia wczłogała się do namiotu i zaczęła potrząsać siostrę za ramię.

– O co chodzi? – jęknęła Aylaen i przewróciła się na drugi bok. – Dlaczego mnie budzisz?

– Żołnierze. Idą po nas – szepnęła z napięciem w głosie Treia.

Aylaen usiadła. Twarz miała bladą i wymizowaną od choroby. Rude loki, które obcięła dla bogini, odrosły już trochę i opadały jej na czoło i kark. Zielone oczy stały się jeszcze większe, a ich kolor podkreślały ciemne cienie pod oczami. Miała ledwie siedemnaście lat, ale choroba i rozpacz postarzały ją. Dwudziestoparoletnia Treia wydawała się przy niej młodą

dziewczyną. Oczy Aylaen były zamglone i nieobecne, lecz na wzmiankę o żołnierzach w zielonej otchłani zaśniła iskierka nienawiści. Treia uznała to za dobry znak.

– Prędzej umrę, niż pozwolę się dotknąć tym łajdakom – syknęła Aylaen, zaciskając dłoń na rękę Trei. – Będziemy z nimi walczyć, siostró. Ramię w ramię.

Chciała wstać, ale nogi miała tak słabe, że upadła na ziemię. Treia musiała pomóc jej wyjść z namiotu.

– Gdybyś nie wylegiwała się całymi dniami, miałabyś teraz więcej siły – gderiała.

Aylaen stanęła w słońcu, które raziło ją do bólu. Mrugała rozpaczliwie i trzymała się siostry, żeby w ogóle móc iść. Obie kobiety zbladły jeszcze bardziej i wbiły wzrok w zbliżających się do nich żołnierzy oraz ich dowódcę, który zdawał się rozumieć, czego się boją.

Zahakis stanął przed nimi i przemówił oficjalnym, beznamiętnym tonem. Każde słowo wypowiadał powoli i wyraźnie, by go zrozumiały.

– Mam rozkaz przenieść was obie na galerę. Nic wam nie grozi, daję wam na to moje słowo ja, Trybun Trzeciego Legionu. Udajcie się tam z nami po dobroci, a nie będziemy musieli was wiązać.

– Niech cię diabli – odparowała Aylaen.

– Siostrzyczko, ledwie chodzisz – szepnęła Treia. Głośno zaś zapytała: – Dlaczego zabieracie nas na okręt?

– Takie mamy rozkazy, pani – odrzekł Zahakis.

Treia przygryzła wargę. Jeśli Raegar żyje, może się znajdować na pokładzie galery.

– Pójdziemy z wami – zdecydowała i uszczypnęła Aylaen, gdy ta próbowała protestować.

– Choć raz w życiu nie pakuj nas w jeszcze większe kłopoty!

Aylaen pewnie i tak próbowałaby walczyć z żołnierzami, gdyby tylko miała siłę. Była jednak w takim stanie, że samo przebywanie na słońcu przyprawiało ją o zawroty głowy. Nie chcąc okazać słabości, pozwoliła jednemu z żołnierzy prowadzić się w milczeniu w stronę wody.

Za nią szła Treia eskortowana przez innego Orańczyka. Zobaczywszy, że wrogowie zabierają kobiety, Torgunowie podnieśli krzyk i zerwali się na równe nogi.

Zahakis kazał żołnierzom nie zwracać na nich uwagi.

– Zajmę się tym – mruknął.

Między brzegiem a łachą piachu woda nie była głęboka, sięgała im ledwie do bioder. Żołnierze weszli w morze, ciągnąc ze sobą kobiety. Treia brnęła niezdarnie, płacząc się w poły swojej długiej lnianej koszuli. Na szczęście wcześniej zdjęła wełniane fartuchy, który zwykle nakładała na wierzch – lato bowiem było zbyt upalne na szaty kapłanki.

Fala obmyła ją, zmoczyła len, materiał przylgnął do ciała. Jeden z żołnierzy spojrzął na nią i szepnął coś do drugiego.

Przyjaciół zbeształ go jednak.

– Lepiej, żeby tego nie słyszał Raegar. Wydał rozkaz, by traktować te dwie z wyjątkowym szacunkiem.

– Żeby mógł sobie sam poużywać – burknął żołnierz i znów łypnął okiem na Treię.

– Raegar mówi, że ta tu i ta jej siostra, ta z wścieklizną, to Kapłanki Kości czy coś takiego.

– Chyba raczej kościste kapłanki – powiedział tamten i obaj zarechotali.

Treia popatrzyła na nich zdumiona. Nie było łatwo zrozumieć ten język, bo – choć wiele słów było takich samych – Południowcy mówili bardzo szybko, a słowa spływały z ich ust, jakby skropione były oliwą. Lecz z pewnością słyszała imię Raegara. Mówili o nim tak, jakby go znali. Mówili coś o jakichś rozkazach, które on wydał jakoby w sprawie jej i Aylaen. Jak to możliwe? Przecież to Południowcy. Raegar, który wprowadzie od lat żył w Ziemiach Południowych, zwanych przez niego Oranem, był przecież Vindrasem.

Jej zdumienie zmieniło się w osłupienie, gdy tylko stanęła na pokładzie galery wrogów. Żołnierz eskortował ją jeszcze po rampie, ale gdy tylko jej stopa dotknęła desek pokładu, usłyszała swoje imię.

– Treiu, jesteś bezpieczna! Aelonowi niech będą dzięki!

Był to niewątpliwie głos Raegara. Widziała też jego oczy, ale nie poznawała niczego poza tym. Zgolił jasne włosy i brodę. Łysa głowa i dolna część twarzy były zupełnie blade i odcinały się od opalonego paska skóry wokół oczu i nosa. Na czaszce widniał okazały tatuaż przedstawiający żmiję. Miał na sobie taką samą płytową zbroję jak żołnierze, ale na nią narzucił czerwony płaszcz ozdobiony wyszytymi wzdłuż rąbka złotymi żmijami.

Ten przedziwny Raegar szedł w jej stronę i wyciągał do niej rękę. Przemawiał do niej tak, jakby nic się nie stało, jakby świat się nie zawalił.

– Tak się cieszę, że cię widzę. Bałem się, że zarazisz się czerwonką. I jest też Aylaen. Słyszałem, że chorowała, ale wróciła do zdrowia, Aelonowi dzięki! Modliłem się za nią.

Treia cofnęła się na jego widok – odruchowo, tak jak każdy cofnąłby się na widok ducha.

– Co się dzieje? – jęknęła przerażona, zupełnie nic z tego wszystkiego nie pojmując. – Co się z tobą stało? Nie dotykaj mnie!

Raegar podniósł dłonie i cofnął się.

– Przykro mi, Treiu – rzekł oziębło. – Myślałem, że rozumiesz.

– Że co rozumiem? – wybąkała.

– Że rozumiesz, kim jestem.

Potem rozkazał żołnierzom zaprowadzić ją pod pokład.

– To galera wojenna. Nie mamy tu pokoju dla kobiet – wyjaśnił. – Nakazałem jednak, by przygotowano dla was ładownię. Ma zamek w drzwiach.

Żołnierze zabrali ją na dół. Niezdarnie, powoli zeszła po drabinie, która prowadziła do wąskiego korytarzyka. Potknęła się o mokrą suknię. Zabrali ją do dużego, ciemnego pomieszczenia, gdzie stały wielkie dzbany o dwóch uchach, pełne – jak się potem

dowiedziała – wody, oliwy i wina, oraz wory z ziarnem, fasolą, wędzonym i solonym mięsem i rybą. Ktoś, może sam Raegar, przygotował im posłanie z worów. Żołnierze dali jej wodę i jedzenie, po czym wyszli.

Smród ryby przyprawił ją o mdłości, ale napiła się trochę wody. Dali jej suche ubrania, ale odmówiła. Skuliła się na kocu, drząc cała w mokrej koszulinie. Czowała się jak ktoś, komu zadano ogłuszający cios.

Potem żołnierze przyprowadzili Aylaen i zamknęli za nią drzwi. Wpatrywała się chwilę w ciemność, czekając, aż wzrok przyzwyczai się po jasnym słońcu. Gdy wreszcie zobaczyła siostrę, natychmiast do niej podbiegła.

– Widziałaś Raegara? Widziałaś tego sukinsyna?! Zdrajca! On jest jednym z nich!

Treia nie odpowiedziała.

– Treiu, czy ty mnie słyszysz?

Treia nie zareagowała.

Aylaen patrzyła chwilę na siostrę w milczeniu, a potem szepnęła:

– Przykro mi, Treiu. Wiem, że go kochałaś.

Treia wpatrywała się w śmierzdzącą rybami ciemność, aż w końcu zmęczenie zwyciężyło i usnęła.

Obudziła się nagle, nie wiedząc, czy naprawdę słyszy czyjeś kroki, czy jej się to przyśniło. Spojrzała na siostrę. Aylaen spała. Rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Wstała z trudem. Drzwi się otworzyły. Oślepiło ją jasne światło, które zalało ładownię. Mrużąc oczy, dojrzała wreszcie wysokiego mężczyznę w długich szatach.

– Kim jesteś? – spytała w napięciu. – Czego chcesz?

– Treiu, to ja, Raegar... – zaczął, ale nim miał czas powiedzieć choć słowo więcej, rzuciła się na niego z pięściami. Chwycił ją mocno. – Ciii, cicho, Treiu. Nic ci nie zrobię. Kocham cię – szepnął Raegar i powtarzał to tak długo, aż wreszcie przestała z nim walczyć i rozplakała się żałością.

– No, już, już – uspokajał ją jak dziecko, gładził po włosach i kołysał delikatnie. – Już, już. Już jesteś bezpieczna, moja kochana.

Gdy się uspokoiła i przestała drżeć, dodał cicho:

– Musimy porozmawiać. – Spojrzał na Aylaen, która nadal spała. – Musimy porozmawiać na osobności. Pójdiesz ze mną? Musisz być bardzo cicho. Jeśli narobisz hałasu, ściągniesz na nas żołnierzy. Obiecujesz?

Treia przytaknęła. Słyszając jego głos, czując jego dotyk, wtulona w jego ramiona, znów była ze swoim ukochanym. Nowy, dziwny Raegar zniknął. No, prawie. Wciąż dziwnie się czuła, gdy na niego patrzyła; tak się zmienił. Potrzebowałyby trochę czasu, żeby przyzwyczaić się do tej odmiany.

Wyprowadził ją z ładowni. Zamknął drzwi na klucz. Weszli do pomieszczenia tuż obok. Była to mała kabina, w której stało biurko, dwa krzesła i proste łóżko.

– To kabina Legata – wyjaśnił Raegar, zamykając za nimi drzwi i przekręcając klucz w zamku. – Nie martw się. Acronis nie będzie nam przeszkadzał. Zszedł na brzeg, żeby doglądać naprawy *Venjekaru*, która zajmuje więcej czasu, niż zakładał. Będziemy tu zupełnie sami.

Zaczął całować ją namiętnie. Treia opierała się z początku, ale jej ciało pragnęło go jak powietrza i po chwili odpowiedziała na jego namiętność z taką samą mocą. Zrzuciła z siebie mokre ubrania. On zdjął swoje szaty i kochali się na tym prostym łożu Legata, ostrożnie, bo koja skrzypiała pod ich ciężarem. Raegar uciszał ją, gdy zaczęła jęczeć, i zakrył jej usta dłonią.

Nasyciwszy się, przeturlał się cały spocony na brzeg łóżka, wstał i zaczął się ubierać. Patrzyła na niego. Nie miała sił się poruszyć.

– Przyniosłem ci suche ubrania – powiedział. – Nie mam chitonu, który noszą kobiety w Oranie, więc będziesz musiała włożyć po prostu jedną z moich długich tunik.

Ubranie, które jej podał, było proste, bez żadnych ozdób, z dobrej wełny, miękkiej w dotyku. Włożyła je. Było za luźne, ale nie przeszkadzało jej to.

– Pachnie tobą – szepnęła i zarzuciła mu rękę na szyję.

– Usiądź – nakazał jej, delikatnie wypłatając się z jej objęć. – Muszę ci wytłumaczyć, co się dzieje, a nie mamy dużo czasu...

– Zanim znów mnie zamkniesz! – przerwała mu ze złością. Usiadła na jednym z tych dziwnych krzesel i zaczęła się wpatrywać w niego z nadzieją, że zobaczy coś więcej niż tę łysą głowę, tatuaż węża i tak obcą jej nagle twarz. – Okłamałeś mnie! – Spojrzała na łóżko. – Czy nasza miłość to też tylko kłamstwo?

– Przysięgam, że nie chciałem cię skrzywdzić – rzekł. – Tak bardzo chciałem powiedzieć ci prawdę, wyjaśnić, że jestem Kapłanem Wojownikiem Aelona. Powiedziałem ci część prawdy, gdy byliśmy w świątyni. Miałem nadzieję, że zrozumiesz...

– Rozumiem tylko, że jesteś zdrajcą! – krzyknęła, wstając. – Zdradziłeś własny lud. Zdradziłeś mnie!

– Cii! Mów ciszej. – Chwycił ją za nadgarstki. – Zrobiłem to wszystko dla twojego dobra, kochana. Próbuję cię uratować, Treiu.

– Biorąc mnie w niewolę?

– Nie będziesz niewolnicą, kochana. Ani ty, ani twoja siostra. Przyrzekam. Jeśli tylko mi zaufasz i będziesz mnie słuchać, obie z Aylaen będziecie się cieszyć szacunkiem i miłością naszego ludu. A jeśli chodzi o pozostałych – ciągnął Raegar, a w jego głosie zabrzmiała nienawiść – jeśli chodzi o Skylana, o twego ojczyma Sigurda i o całą resztę, to czy ty naprawdę dbasz o to, co ich spotka?

Treia milczała. Ujął jej dłonie, złożył na nich pocałunek i zamknął je w swoich.

– Ci ludzie nawet cię nie szanują, kochana – mówił. – Nieraz słyszałem, jak stroili sobie żarty z zasuszonych dziewic, ze starych panien...

Treia zamarła. Wiedziała, że śmieją się z niej, że plotkują za jej plecami. Skończyła już dwadzieścia osiem lat i nadal nie miała męża w społeczności, w której dziewczęta wychodziły zwykle za mąż jako szesnastolatki. Po kilku nieudanych próbach zaaranżowania dla niej małżeństwa jej ojczym Sigurd oświadczył jej, że zdejmuje ją z rynku.

Gdyby chociaż była brzydka, łatwiej mogłaby zrozumieć, dlaczego nikt jej nie chce. Ale nie była. Jej brązowe włosy były grube i bujne. Sylwetka – smukła i zgrabna. Oczy miała duże i ciemne; choć były tak słabe, że z czasem zaczęła zezować. Co rusz to zupełnie brzydkie dziewczęta wychodziły za mąż, a ona nie. Nie umiała tego pojąć.

– Masz rację – powiedziała, nagle zdecydowana. – Nie dbam o nich.

Pocałował ją, a ona wtuliła się w niego. Trzymał ją mocno i szeptał do niej czule. Jego oddech łaskotał ją w policzek.

– Musisz coś dla mnie zrobić.

– Co tylko zechcesz, kochany.

– Gdy naprawią wreszcie *Venjekar*, użyj swojej smoczej kości i wezwij smoka Kahg, a potem rozkaż mu, żeby poprowadził okręt do Oranu.

Treia wyrwała mu się z objęć i pokręciła głową. Raegar posłał jej zagniewane spojrzenie. Jego głos stał się nagle oschły.

– Co z tobą, Treiu? Chyba nie odmówisz mi tak małej przysługi?

– Niczego bym ci nie odmówiła – wybąkała Treia. – Tylko... Co gdybym... z jakiegoś powodu... nie była w stanie wezwać smoka?

– Pogniewałbym się na ciebie, moja droga – wycedził Raegar, a jego głos stawał się coraz bardziej oziębły.

– Chciałabym go wezwać! – zapewniła go Treia z mocą. – Ale wiesz, jaki uparty jest czasem Kahg, bywa, że po prostu mu się nie chce...

– Przecież pojawił się, gdy wezwałaś go do walki z olbrzymami. Legat widział to ze swojego okrętu. Widział, jak smok walczył w bitwie. Acronis był pod wrażeniem.

Treia zadrzała. To nie ona wezwała smoka. Nawet nie było jej wtedy na plaży. W tym czasie była przecież z Raegarem w świątyni. Otworzyła usta, by mu to wyjaśnić, ale opuściła ją odwaga.

– Wezwiesz tego smoka – oświadczył jej Raegar.

Treia posłała mu uśmiech i miała tylko nadzieję, że nie wypadł tak słabo, jak się czuła. Rozpaczliwie rozmyślała nad jakimś kłamstwem, nad jakimś sposobem, by go zniechęcić do tego planu. I wtedy wpadła na pewien pomysł. Nim jednak zdołała mu go przedstawić, aż podskoczyła na dźwięk trąbki.

– Legat wrócił – powiedział Raegar. – Muszę zaprowadzić cię z powrotem do ładowni.

Treia chwyciła tylko swoją mokrą koszulę z podłogi, a on już prowadził ją z powrotem do tymczasowej celi.

– Przykro mi, że muszę cię tak zamykać – szepnął jej jeszcze. – Ale gdy wezwiesz smoka, być może będę w stanie przekonać Legata, żeby cię wypuścił.

– Wiesz, że zrobiłabym dla ciebie wszystko, Raegarze – zapewniła go. – Wiesz przecież. Ale boję się o ciebie. Smok Kahg uzna cię za zdrajcę i rzuci się na ciebie.

Raegar uśmiechnął się.

– Smok nie jest w stanie nic mi zrobić. Nie mam czasu teraz ci tego tłumaczyć. Wrócę wieczorem.

Wepchnął ją do ładowni i zamknął za nią drzwi.

– Kochany! Raegarze! – błagała Treia. Usłyszała tylko, jak rygluje drzwi, przekręca klucz w zamku i odchodzi.

Zamknęła oczy i przytuliła czoło do drzwi. Nie ma wyjścia. Musi jakoś znaleźć sposób, by dać mu, czego chce. Nie może go stracić. Odwróciła się i potknęła o amforę, której nie zauważyła przez swoją krótkowzroczność.

Złapała równowagę i przystanęła, żeby poczekać, aż oczy przyzwyczają się do słabego światła, które przedzierało się przez szpary między deskami. Gdy wreszcie widziała już trochę, przeszła na wprost po omacku przez ładownię do posłania, na którym leżała pogrążona we śnie Aylaen.

– Aylaen, obudź się! – nakazała jej. – Aylaen, muszę z tobą natychmiast porozmawiać. To bardzo ważne.

– Co? Co? Przecież nie śpię. – Aylaen usiadła i rozejrzała się wokół nieprzytomnie. – Co to za miejsce? Ja nie... – Zamarła w pół zdania. W jej oczach zamigotała nienawiść. – Pamiętam już. Raegar! Jesteśmy w niewoli...

– Słuchaj mnie, Aylaen – przerwała jej ostro Treia. – Tu chodzi właśnie o Raegara. Potrzebuję kości ducha. Oddaj mi ją. Natychmiast.

Aylaen popatrzyła na nią zdezorientowana.

– Ale ja jej nie mam, Treiu. Wpadła do morza, gdy smok Kahg został ranny. Przecież wiesz o tym. Sama pomagałaś mi jej szukać.

– Nie wierzę ci – wyszeptała Treia, ale bez przekonania. – Kłamiesz. Masz kość, miałaś ją cały ten czas, ale ją schowałaś. Chcesz mieć ją tylko dla siebie.

– Mylisz się, Treiu. Przysięgam, że...

Treia zamachnęła się i wymierzyła jej mocny policzek.

– Oddaj mi ją!

Aylaen przyłożyła dłoń do czerwonej twarzy. Oczy zaszły jej łzami, odwróciła się plecami do Trei i położyła na posłaniu.

Treia rzuciła się na nią, przytuliła mocno i nie puszczała.

– Przepraszam, Aylaen! Tak strasznie cię przepraszam! Wybacz, błagam. Tak bardzo się boję. Nie wiem, co będzie z nami. Wiesz sama, co mężczyźni robią z brankami! Daj mi kość ducha, a wezwę smoka Kahg i on nas uratuje!

Aylaen przewróciła się na drugi bok i spoglądała ze smutkiem na siostrę.

– Ze względu na ciebie, na siebie i na naszych przyjaciół chciałabym móc ci ją dać, Treiu. Ale kość ducha przepadła. Musisz mi uwierzyć. Nie wiem nawet, czy Kahg jeszcze w ogóle żyje. Był ciężko ranny. Mógł po prostu skryć się gdzieś, by umrzeć w spokoju...

– Nawet tak nie mów! – wrzasnęła gwałtownie Treia. – On żyje. Smok Kahg żyje na pewno!

– Ale wierzysz mi, prawda? – spytała słabym głosem Aylaen.

– Wygląda na to, że nie mam wyjścia – odpowiedziała Treia, nie siląc się nawet na uprzejmość.

– To ja teraz pójdę spać, Treiu. Nie czuję się dobrze. – Aylaen westchnęła i znów ułożyła się do snu.

Treia zostawiła ją więc w spokoju. Znów potknęła się o coś, aż rozboleły ją palce u stopy. Słyszała, jak za jej plecami Aylaen wierci się na twardej podłodze, bezskutecznie próbując ułożyć się jakoś wygodniej.

Treia usiadła na stercie worków i zaczęła sobie wyliczać, ile musi jeszcze czekać, zanim wróci Raegar.

Zgodnie z obietnicą Raegar przyszedł do niej w nocy. Treia czekała przy drzwiach. Stała tam, odkąd zniknęły ostatnie promienie zachodzącego słońca i ładownia pogrzyżyła się w nieprzeniknionych ciemnościach. Odsunął rygiel, otworzył drzwi i wyciągnął ją na korytarz, w którym było równie ciemno jak w ładowni. Nie przyniósł ze sobą żadnego światła; mówił do niej szeptem.

– Miałaś dość czasu na przemyślenie sobie wszystkiego, Treiu. Czy wezwiesz dla mnie smoka?

Treia wzięła głęboki oddech i przygotowała się na jego gniew.

– Nie mogę. Wysłuchaj mnie, kochany – wyszeptała błagalnie, czując, jak jego ciało napręża się z wściekłości. – Nie mam kości ducha. Ma ją Aylaen i nie chce mi jej oddać!

– Aylaen? – powtórzył zdumiony Raegar. – Ale dlaczego ona ma kość?

– Dałam ją jej przed bitwą. Myślałam, że nie żyjesz! Nie dbałam już o nic. To Aylaen wezwała smoka, by walczył z olbrzymami. Upiera się, że kość zaginęła podczas walki, ale wiem, że kłamie.

– Dlaczego nie chce ci jej oddać?

– Na złość. Z zazdrości. Bo ja mam ciebie, a jej ukochany, Garn, nie żyje.

– Porozmawiam z nią, przekonam ją... – powiedział Raegar i coś w tonie jego głosu kazało jej przypuszczać, że chętnie zajmie się przekonywaniem Aylaen. Poczowała ukłucie

zazdrości. Już przedtem widziała, jak czasem wzrok Raegara wędruje w stronę jej piękniejszej, młodszej siostry.

- Aylaen jest uparta. Ale mam na nią sposób.
- Tak? Jaki? – spytał Raegar, nie kryjąc powątpiewania.
- Musimy ją przechytrzyć – powiedziała Treia.

Rozdział 3

Aylaen spała, bo sen był znacznie lepszy niż jawa. We śnie nie czuła bólu. We śnie Garn wciąż był przy niej. We śnie była w domu. Jawa była jak straszny sen. Sen przynosił cudowne ukojenie.

Dopóki nie wtrącili się weń bogowie.

Aylaen szła z Garnem po plaży, ciesząc się ciepłym wiosennym słońcem. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, delikatna bryza o zapachu szaławii i kwiatów zmieniła się w straszliwą zamieć. Śnieg był tak gęsty, że zakrył spienione morze. A ona miała na sobie jedynie letnią lnianą koszulę. Ostra, lodowata wichura przewiewała przez cienki materiał. Aylaen w jednej chwili była cała mokra i przemarznięta. Odwróciła się do Garna, ale go już nie było. W zamieci śnieżnej zupełnie nie była w stanie go znaleźć. Zaczęła go nawoływać, lecz wiatr porwał jej okrzyki i cisnął je jej prosto w twarz.

Musi znaleźć jakieś schronienie, bo inaczej zginie w tej zawiei. Przed nią ryczało morze. Za nią leżała Luda, odwróciła się więc i ruszyła w stronę wsi, potykając się na okrytej śniegiem ziemi. Wichura szarpała nią. Mróz szczypał w dłonie. Odrętwiały jej palce u stóp. Po chwili przestała czuć całe stopy, potknęła się i upadła.

Wstała. Brnęła dalej w szalejącej zamieci, ale nie mogła dotrzeć do wioski. Już dawno powinna była do niej dojść i w głębi duszy wiedziała, że to oznacza, iż zgubiła się zupełnie. Było jej tak zimno. Była tak strasznie zmęczona. Marzyła o tym, by położyć się na ziemi, by już nie wstawać. Niech zasypie ją śnieg jak miękki wełniany koc. Uśnie i nigdy już się nie obudzi. Już miała się osunąć na zmarzniętą ziemię, gdy zobaczyła jakieś światła.

Poznała Dom Wodza. Wewnątrz i przy drzwiach płonęły jasne pochodnie. Ze środka dochodziły jakieś głosy. Nie śmiech, nie śpiew, więc to nie ślub, bo przecież ludzie bawiliby się znacznie głośniej, weselej. Może to pogrzeb, może żegnają zmarłych. To bez znaczenia. Dla niej te światła oznaczają ciepło, życie. Resztkami sił parła w stronę drzwi. Lodowaty wiatr walczył z każdym jej krokiem.

W końcu jednak dotarła do drzwi, które się uchyliły, gdy tylko ich dotknęła. Oślepiło ją światło z wnętrza budynku. Poczowała, że ogarnia ją cudowne ciepło. Wbiegła do środka, a drzwi się zatrzasnęły, odgradzając ją od zimnej, śnieżnej nocy.

Na miejscu wodza, u szczytu stołu siedział stary mężczyzna. Siwe włosy opadały mu na ramiona. Był w rynsztunku bojowym – w kolczudze i zbroi płytowej. Jego hełm zdobiły smocze skrzydła. Za nim, oparta o ścianę, stała niebiesko-złota tarcza. Rękę wsparł na olbrzymim dwuręcznym mieczu.

Mężczyzna miał orli nos i dalekowzroczne spojrzenie, mocną szczękę i ostro zarysowaną brodę. Jego oczy były niebieskie i przeszywające. Był potężnym wojownikiem. Na napierśniku i hełmie widać było liczne wgniecenia. Jego miecz był czerwony od krwi. Twarz miał ponurą i zatroskaną. Spojrzał na nią gniewnie.

Aylaen nie wiedziała, czym zasłużyła sobie na jego złość, ale czuła się winna i odwróciła wzrok, by spojrzeć na inne osoby znajdujące się w Domu Wodza.

Przy wojowniku stała kobieta, opierała dłoń na jego ramieniu. Jej zbroja lśniła w świetle pochodni. Metalowe płyty były tak pięknie zdobione, że zdawało się, iż pokryte są smoczymi łuskami. Hełm zdobiły smocze skrzydła. Jej twarz wydała się Aylaen znajoma...

– Draya! – krzyknęła zdziwiona Aylaen.

Draya była Kapłanką Kai ludu Vindrasów. Aylaen widziała ją tylko raz, zaraz po Vutmanie, na ślubie Draia i Skylana. Treia twierdziła, że oboje się zmówili, by zamordować pierwszego męża Draia, Horga, podczas Vutmany. A to oznacza przecież, że Draya z pewnością została przeklęta przez bogów, a szczególnie Torwał, któremu odebrała możliwość rozsądzenia Vutmany.

– A jednak jesteś tutaj, Drayu – powiedziała Aylaen, zdumiona i zdezorientowana. – Stoisz w tak honorowym miejscu, wśród bogów.

– Przypatrz się uważnie, córko – rzekła kapłanka.

Aylaen spojrzała w oczy Draia i zamiast lat zobaczyła eony. Gwiazdy, słońce i księżyc krążyły po niebiosach. Dostrzegła niekończące się cykle przyptyków i odpływów. Ujrzała przemijające pory roku.

– Vindrash! – wyszeptała w pokorze.

– Moja droga służka, Draya, poświęciła się dla mnie i oddała mi swoje ciało na schronienie. W tym oto przebraniu kryję się przed wrogami.

– Nic nie rozumiem, Przenajświętsza Vindrash. – Aylaen zarumieniła się zmieszana. – Czyż Draya nie była morderczynią?

– Draya szczerze żałowała swego grzechu i został jej wybaczony. Jej dusza odpoczywa u Freilis. Odeszła w pokój.

– A Skylan? Czy i on był w to zamieszany?

– Skylan popełnił kilka błędów. Czy mu wybaczymy, czy nie, to się jeszcze okaże – odpowiedziała Vindrash.

– Ja mu nigdy nie wybaczę! – krzyknęła ostro Aylaen.

Vindrash uśmiechnęła się łagodnie.

– Z czasem być może i ty mu wybaczysz. Z czasem być może wybaczysz samej sobie. Lecz nie po to cię tu sprowadziliśmy. Rozejrzyj się.

Aylaen zrobiła, co jej kazano. Kobiety i mężczyźni zgromadzeni przy stole byli zatroskani, ponurzy, nawet na nią nie patrzyli; z wyjątkiem jednego, który w jowialnym, drwiącym toaście wznosił w jej stronę kubek pełen grzanego wina.

Dwa krzesła były puste. Jedno miejsce wyraźnie przygotowane było dla jeszcze jednego gościa, jakby ktoś miał się lada chwila pojawić. Drugie przyozdobione było kwiatami. Na stole leżał przewrócony kubek, lśniło rozlane wino.

Aylaen zadrzała. Koszulę miała przemoczoną, po włosach ściekał topniejący śnieg. Szczękała zębami z zimna.

Wiedziała już, gdzie jest. Stała oto przed bogami Vindrasów. Od dzieciństwa bogowie zaludniali jej wyobraźnię; przyszli, by pocieszyć ją po stracie ojca; dawali odwagę, gdy ojczym ją bił; byli jej przyjaciółmi w chwilach samotności.

– Torvalu – zwróciła się do boga wojny. – Vindrash. – Pokłoniła się przed Smokinią. Patrząc na każde z bóstw po kolei, z szacunkiem wymieniła ich imiona.

Oto Skoval, syn Torwała i Vindrash, bóg nocy. Ten skryty, zgorzkniały, ponury bóg rządzi snami. Jego miłość do Aylis, bogini słońca, zmieniła się w nienawiść, gdy ta odrzuciła jego zaloty, i teraz bez końca ją goni. Skoval uśmiechnął się do Aylaen – nie ustami, oczami jedynie, jakby łączył ich jakiś sekret. Skoval zbuntował się niegdyś przeciw swoim rodzicom i został wygnany do krainy ciemności. Aylaen nigdy przedtem go nie lubiła, teraz jednak rozumiała go. Czowała, że go rozumie.

Oto Aylis, bogini słońca. Ogniste spojrzenie utkwiała w dwóch pustych krzesłach. Jedno z nich należy do jej córki Desirii, która poległa w bitwie z Bogami Raj. Drugie puste krzesło czeka na jeszcze jednego boga. Aylaen nie mogła sobie przypomnieć, kogo brakuje.

Na pewno nie Hevisa. Bóg ognia, władzy, oszustwa i zdrady to syn Volindril, bogini wiosny i odrodzenia, oraz Pięciu Vektii. Jego płomień mogą człowieka ogrzać, lecz równie dobrze mogą go spalić na proch. Hevis jest smukły i smagły, ma czarne, lśniące włosy. Jest uderzająco podobny do Skowała – nic dziwnego, ci dwaj bogowie są braćmi. Ogień Hevisa rozświetla ciemność Skowała. Nie powinno się ufać żadnemu z nich.

Akaria, córka Aylis, jest boginią morza, a swą urodą przywodzi na myśl spokojne wody oceanu o zachodzie słońca. Jest jednak tak groźna jak podwodne wiry, które wciągają człowieka w głębiny. Przy niej siedziała Svenses, bogini wiatru i mrozu, córka Sunda i Volindril, dzika i nieprzewidywalna. Gdy te dwie walczą ze sobą, fale wznoszą się pod niebiosa, a statki idą na dno; rzeki wylewają i ludzie giną w powodziach.

Te boginie od zawsze były rywalkami i szczerze się nie znoszą. A jednak siedziały teraz tuż obok siebie. Svenses jest bowiem także boginią zemsty. Akaria, doprowadzona do szału z powodu śmierci siostry, postanowiła się sprzymierzyć ze swym odwiecznym wrogiem.

Volindril, bogini wiosny, tak niegdyś piękna, siedziała blada i smutna, wyglądała na przestraszoną, pogrążoną w rozpacz i żalobie.

Ten, który wznosił toast, to oczywiście Joabis, bóg uczty, przyjemności i wina; niestrudzony kawalarz. Gdy bogowie przejęli władzę nad światem, Torval zaprosił go do swego grona, ponieważ lubił ucztować i radować się. Tłustego i rubasznego Joabisa nikt nie traktuje poważnie. Wszystkim się wydaje, że jest zupełnie nieszkodliwy, choć tym, którzy nadużyli jego trunku, zdarza się przeklinać go następnego poranka.

Na końcu stołu siedziało rodzeństwo Torwała. Jego brat Gogroth, bóg Drzewa Świata, oraz siostra Freilis, bogini Talley, władczyni Nethervarldu, królestwa zmarłych. Na rozkaz Torwała Gogroth zasadził Drzewo Świata. Jego gałęzie urosły ku niebiosom. Korzenie zapuścił głęboko w Nethervarld. Komnata Torwała zbudowana jest z drewna z tego właśnie drzewa. Pod Drzewem Świata siedzą trzy Norny i przędą ludzki wyrd.

Freilis w ciemnej zbroi i z Karzącym Mieczem włada światem umarłych. Nawiedza pola bitwy, zabiera Talley, bohaterskich wojów wysyła do Komnaty Torwała na wieczną ucztę z ich niewiastami. Gdy nadejdzie potrzeba, wojownicy Torwała dołączą do niego w podniebnej bitwie. Do swojego królestwa Freilis zabiera natomiast dusze dzieci, kobiet i mężczyzn, którzy umierają ze starości lub od choroby, oraz tych, którzy splamili swój honor. Ci ostatni przykuwani są do skał i męczeni przez demony, które ucieleśniają ich zbrodnie.

Nagle Aylaen uświadomiła sobie, kogo brakuje: Sunda, boga kamienia, dalekowzroczości, historii, myśli i kontemplacji. Ten przyjaciel Torwała zaproszony został do rządzenia światem ze względu na swój niezwykły wgląd w płątaninę ludzkich i boskich wyrdów. Bez Sunda bogowie są zupełnie ślepi.

Tak ślepi jak ludzie.

– Gdzie on jest? – spytała w nagłej panice Aylaen.

– Przyjdzie – zapewnił ją Torval bez wahania.

Vindrash nie zaprzeczyła, ale w jej oczach pojawił się niepokojący błysk, a twarz pokryła niezwykła bladość.

Aylaen wyczuła strach bogini i jej dusza zamarła z przerażenia.

– Dlaczego zabraliście mi Garna? – krzyknęła. – Dlaczego zesłaliście na mnie zimę? Dlaczego pozbawiliście mnie wiosny?

– My tego nie uczyniliśmy.

Aylaen słyszała, że wokół Domu Wodza szaleje wichura – wściekła jak rozjuszona, ociekająca krwią bestia, która próbuje się wdrzeć do środka. Znowu poczuła przeszywające zimno. Rozejrzała się po zgromadzonych przy stole bogach. Patrzyła na boginię wiatru, boginię śniegu, boga nocy. Ich zbroje były poobijane i zniszczone. Wszyscy mieli przypasane miecze, poza bogiem uczty, który chichotał coś w pijackim widzie i sięgał po więcej wina.

Aylaen wpatrywała się w nich i powoli docierała do niej potworna prawda.

– Czemu tu tak siedzicie? Na zewnątrz szaleje wichura i króluje ciemność. Co się dzieje?

– To proste – wybełkotał Joabis i szczerze napelnił sobie kubek. – Spuszczają nam niezłe manto.

Torval zareagował ostrym przekleństwem.

– Niektórzy z nas przynajmniej walczyli z wrogiem...

– Taa, i aż dwoje dało się zabić – zauważył drwiąco Joabis.

– Sund żyje! – ryknął Torval, zagłuszając na chwilę wiatr. – Będzie tu zaraz. – Zdjął hełm i cisnął nim o podłogę. Siwe włosy opadły mu na twarz. Wyglądał staro. Wyglądał na zmęczonego. – Sund będzie tu z całą pewnością.

Vindrash podeszła do swego męża i znów położyła mu dłoń na ramieniu. Chwycił jej rękę i mocno przycisnął ją do pomarszczonego policzka. Pozostali bogowie wpatrywali się w stół, w kubki, wszędzie, byle nie patrzeć na Torwała. Poza Joabisem, który postanowił nalać wina Aylaen.

Wzdrygnęła się z obrzydzeniem, ale Joabis uśmiechnął się do niej i sam wypił wino ze smakiem.

– Powiem ci coś na ucho – szepnął poufałym tonem. Aylaen owionął smród wina. – Staruszek tak naprawdę boi się, że Sund żyje.

Gdzieś na zewnątrz zagrzmiały bębny i trąbki. Rozległ się szcęk stali. Torval zerwał się na równe nogi. Pozostali bogowie sięgnęli po broń, chwycili tarcze.

Vindrash otworzyła drzwi na oścież. Do środka wdarł się wiatr i śnieg. Bogini odwróciła się do Aylaen i wskazała jej ciemność za progiem.

– Idź już – rzekła.

Aylaen wzdrygnęła się na myśl o ciemności, zimnie, odgłosach bitwy.

– Chcę zostać tutaj, gdzie jest bezpiecznie.

– Nigdzie nie jest bezpiecznie. – Vindrash pokręciła głową.

Wiatr uderzył w Aylaen. Zadrzała.

– Nie mam nawet płaszcza. Nie wiedziałam, że nadchodzi zima!

– A jednak ona zawsze w końcu nadchodzi – rzekła Vindrash. – Jeśli nie byłaś gotowa, to nie nasza wina.

– To jest wasza wina! – wrzasnęła Aylaen, z wściekłości zapominając, że rozmawia z boginią. – Kochałam Garna, a wyście mi go zabrali!

– Tak śpiewa bard: „Nić skręca się i wiję na kole. Przecinam ją, umiera”. O czym jest ta pieśń? – spytała Vindrash.

– O śmierci – odpowiedziała z goryczą Aylaen.

– O narodzinach – poprawiła ją Vindrash. – O tworzeniu. Pamiętaj o tym.

Aylaen spojrzała na nią. Obejrzała się na pozostałych bogów. Patrzyli na nią beznamiętnie, nieporuszeni.

– Nie rozumiem.

Vindrash zaciągnęła ją do drzwi.

– Twoje miejsce jest gdzie indziej. Musisz już iść.

Aylaen chwyciła ją rozpaczliwie za dłoń.

– Gdy byłam mała, przychodziłaś, tuliłaś mnie i pocieszałaś. Czemu teraz już tego nie robisz?

– Bo nie jestem w stanie – rzekła Vindrash. – Jedyne, co mogę ci dać, to ta pieśń. Pamiętaj o niej, choćbyś zapomniała o wszystkim innym.

Chwyciła Aylaen i wyrzuciła ją na śnieg i ciemność.

Aylaen obudziła się, trzęsąc się z zimna. Opadła ją trwoga na myśl, że utknęła w zaspie i teraz zamrze na śmierć. Tak naprawdę jednak tylko skopała z siebie koc.

Wciąż drżąc, zaczęła się zastanawiać, jak długo spała. Słońce przedzierało się jeszcze przez szpary w deskach, ale cienie były tak długie, że musiało być już późno.

Na skrzyni przy drzwiach siedziała Treia. Ręce skrzyżowała na piersi, wyprostowała plecy, stopy ułożyła płasko na podłodze.

Aylaen nie miała ochoty z nią rozmawiać. Ukradkiem chwyciła róg koca i bardzo powoli naciągnęła go sobie na ramiona. Poruszała się pomału i cicho, ale widocznie nie dość ostrożnie.

– Aylaen! – krzyknęła ostro Treia. – Już nie śpisz?

Aylaen milczała.

– Wiem, że nie śpisz – stwierdziła Treia.

Aylaen westchnęła i przekręciła się w jej stronę.

– Miałam straszny sen.

Treia tylko prychnęła z pogardą.

– Ty i te twoje sny.

Aylaen otuliła się kocem.

– A może to nie był sen. Wszystko to wydawało się takie prawdziwe. Przyszła do mnie Vindrash. Przemówiła do mnie i...

– Ona zawsze do ciebie przemawia! – zdenerwowała się Treia. – Dlaczego nie przemawia do mnie? To ja jestem Kapłanką Kości. To ja spędziłam całe życie na kolanach, modląc się, żeby bogini do mnie przemówiła! Ale nie! Ani razu! A do ciebie to tak, choć co ty niby dla niej takiego zrobiłaś? Udawałaś, że zostajesz Kapłanką Kości, tylko żeby być ze swoim kochankiem!

Aylaen nie wiedziała, co powiedzieć. Nabrzmiące wściekłością słowa siostry zdumiały ją i zabolaty jak pchnięcie nożem. Na szczęście jednak nie musiała nic mówić. W drzwiach zazgrzytał klucz.

– Raegarze? – zawołała Treia i natychmiast zapominając o Aylaen, rzuciła się do drzwi.

Raegar nie wszedł jednak. Stał w progu i szeptał z nią chwilę, a potem Treia poszła z nim gdzieś, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Aylaen siedziała i wpatrywała się tępo w ciemność. Myślała o śnie. W głowie wciąż brzmiały jej złe słowa siostry i słyszała melodię tej dziwnej piosenki.

„Nić skręca się i wije na kole...”

Rozdział 4

Po powrocie na statek Trybun Zahakis zameldował Legatowi, że *Venjekar* został naprawiony i jest gotowy do wyjścia w morze. Nowy ster jest właściwie prowizoryczny, ale powinien na razie wystarczyć.

– Drobnny szkopuł tkwi w tym, panie, że nie mamy załogi – dodał Zahakis. – Moi żołnierze nie mają pojęcia o żegludze i prędzej pošlą ten okręt na dno, niż dowiosłują bezpiecznie do Sinarii. Nie wspomnę już, że potrzebuję ich wszystkich do pilnowania jeńców. W życiu nie widziałem takich barbarzyńców. Co za dzikie bestie. Zaczynam podejrzewać, że wszystkie te bajki, które słyszałem o Vindrasach, to najprawdziwsza prawda.

– A co takiego słyszałeś? – spytał z niekłamanym zainteresowaniem Acronis.

– Że żyją po to, by walczyć. Ich krwiożerczy bóg nie chce ich widzieć w zaświatach, jeśli nie zginą w bitwie. Jeden z tych barbarzyńców rzucił się na strażnika jak jakiś wariat i próbował go zadusić łańcuchem. – Zahakis aż zachichotał. – A ty, panie, chcesz wystawić ich w Para Diksie!

– Który z nich rzucił się na strażnika? – zaciekał się jeszcze bardziej Acronis.

– Zwą go Skylanem Ivorsonem. Wygląda na to, że był ich przywódcą, ale złamał jakieś prawo i jest teraz wyklęty. Nie chcą mieć z nim nic do czynienia.

Acronis i Zahakis stali na pokładzie triremy. Po drugiej stronie zatoki, na płytkiej wodzie, unosił się *Venjekar*. Zahakis nakazał swoim ludziom zwodować okręt, bo chciał sprawdzić, czy ster działa. Eksperyment się powiódł. Żołnierze wnieśli więc z powrotem ładunek, który usunęli ze smoczego okrętu na czas napraw, i wprowadzili jeńców.

Zahakis zamierzał zamknąć ich wszystkich pod pokładem, ale Raegar oświadczył nagle, że otrzymał rozkaz przeniesienia kobiet z powrotem na okręt i że chce zamknąć je w ładowni. Zahakis zostawił więc na pokładzie skutych ze sobą vindraskich wojowników, a na ich straży postawił czterech gotowych do strzału łuczników i dziesięciu żołnierzy piechoty. Po całym tym zamieszaniu z dzikim Ivorsonem Zahakis najchętniej użyłby wszystkich swoich dwudziestu piechurów do pilnowania tych barbarzyńców, ale jego żołnierze musieli przecież czasem jeść i spać.

– A skoro o Para Diksie mowa – rzekł Acronis – wiem, że nie jesteś zwolennikiem tej gry...

– Przez nią wojna wydaje się ludziom niewinną igraszką. Ten zwyczaj uwłacza prawdziwemu żołnierzowi. Lud myśli, że bitwa to jedynie wspaniały, fascynujący sport.

– Wolałbyś, żeby moi zawodnicy walczyli na śmierć i życie, Zahakisie? Pomyśl, jakie to by było kosztowne. Nimbym się obejrzał, skończyliby mi się wszyscy niewolnicy.

– Wszystkim by to wyszło na dobre, panie – mruknął Zahakis.

– No, no, no, nie kłóćmy się już. Pewnie i masz trochę racji. Wiesz, że nie zaprzętałbym sobie głowy tymi zawodami, gdyby nie to, że Chloe tak je lubi.

Zahakis uśmiechnął się.

– Mam czasem wrażenie, że twoja córka, panie, wie o tej grze znacznie więcej niż my obaj razem wzięci.

– Ja nie mam co tego żadnych wątpliwości – zgodził się z dumą Acronis. – Gdy będziemy już na pokładzie, pokaż mi tego Ivorsona.

Zahakis obiecał mu to i wrócili do poprzedniego tematu.

– Domyślam się, że nie jesteś w stanie przenieść kilku osób z załogi galery, by poprowadziły okręt barbarzyńców? – spytał Legat.

– To po prostu niewykonalne. – Zahakis pokręcił głową.

– Zatem, Trybunie, nie widzę innego wyjścia, jak wziąć ten okręt na hol. Chyba że zostawimy go tutaj i wrócimy po niego z dodatkową załogą.

Stali tak, patrząc na kołyszący się delikatnie na kotwicy *Venjekar*.

– To prawdziwy majstersztyk – zauważył Acronis, podziwiając smukłą linię kadłuba i misternie rzeźbiony galion. – Mów, co chcesz, o tych barbarzyńcach, ale budują okręty jak mało kto. Tylko pomyśl, Zahakisie, jak pięknie prezentowałoby się to cacko u mnie przed domem. Gdyby tak odmalować tego smoka. Oczy pociągnąć mu czerwoną farbą, łuski niebieską i zieloną. Chloe będzie zachwycona. Musimy zabrać go jakoś ze sobą. – Acronis oparł się o nadburcie, nie spuszczać statku z oczu. – Raegar utrzymuje, że nie musimy się martwić przeprowadzeniem tego okrętu. Zamierza wezwać smoka, prawdziwego smoka. Tego samego, który walczył z olbrzymami. Jak pamiętasz, zastanawialiśmy się nawet, skąd się wzięła ta bestia i gdzie się potem podziała.

– Te wyspy zwą Smoczymi, panie – zauważył z przekąsem Zahakis.

– Według Raegara nazwa pochodzi od świątyni jakiejś smoczej bogini, która tu właśnie się znajduje, ale nie mieszkają tu prawdziwe smoki. Zresztą z tego, co mówi, smoki w ogóle nie żyją w naszym świecie.

– Co zatem ma smok do naszego okrętu, panie? – spytał bez entuzjazmu Zahakis.

– Jak rozumiem, Raegar wierzy, że Vindrasi zawarli jakiś pakt ze smokami. Smok, jak ten na przykład, którego my widzieliśmy, łączy swego ducha z danym okrętem za pomocą smoczej kości i prowadzi okręt po morzach i oceanach. W zamian Vindrasi oddają mu wszystkie klejnoty, które uda im się zdobyć podczas wypraw łupieżczych. Ale nie pytaj mnie, na co smokom te klejnoty, Zahakisie – dodał Acronis – bo gdy ja spytałem o to Raegara,

okazało się, że jakimś cudem zdołałem obrazić Aelona, choć pojęcia nie mam, co ma jedno do drugiego.

Zahakis uśmiechnął się pod nosem.

– Smoki mają skrzydła. A przynajmniej ten, którego widzieliśmy, je miał. Czemu po prostu nie polecą sobie, gdzie chcą?

– Z tej samej przyczyny, dla której my używamy koni, Zahakisie: by oszczędzić sobie trudu. To duże, ciężkie bestie i choć są niezwykle silne, męczą się łatwo lotem i muszą się zbyt często zatrzymywać dla odpoczynku. Okręt napędzany duchem smoka wiezie na swym pokładzie jego kość. Smok może się ucieleśnić, gdy uzna, że zachodzi taka potrzeba, ale nie musi, jeśli takiej potrzeby nie widzi.

Zahakis uniósł brew.

– I wierzysz w te bajki, panie?

– O, nie mam wyjścia, Trybunie – zapewnił go z udawaną powagą Acronis. – Aelon mi to nakazał.

Zahakis uśmiechnął się. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale spod pokładu wyłonił się Raegar. Wtedy Zahakis zakasłał tylko znacząco, a Acronis natychmiast kątem oka zarejestrował obecność kapłana i zniżył głos.

– A jednak – rzekł cicho – na własne oczy widzieliśmy, jak smok walczył z olbrzymami. Czytałem też wspomnienia ludzi, którzy przetrwali najazdy Vindrasów. Wielu z nich wspomina smoki walczące po stronie tych dzielnych wojowników. Niektórzy utrzymują, że to wręcz okręty Vindrasów zmieniają się w te bestie. Inni twierdzą, że smok pojawia się dosłownie znikąd. – Acronis oparł dłoń na nadburciu i znów z podziwem przyjrzał się smoczemu okrętowi. – Dużo bym dał, żeby zobaczyć to na własne oczy.

– Nie mówisz poważnie, Legacie.

– Zupełnie poważnie – zapewnił go Acronis. – Jestem człowiekiem nauki, Trybunie. Widzieliśmy, jak smok walczył z olbrzymami. Jeśli smok naprawdę się pojawi, gdy ta kobieta zagwizdże, pomodli się czy co ona tam zamierza, nie mogę stracić takiej okazji.

– A jeśli rozkaże mu nas zabić? – spytał cierpko Zahakis.

Acronis rzucił przyjacielowi drwiące spojrzenie.

– Chyba nie wierzysz w te bajki?

– Płacisz mi, panie, między innymi za to, bym był przygotowany na wszelkie ewentualności – odparł Zahakis.

– To prawda, Trybunie. Raegar przechwala się, że ta kobieta go kocha i że zrobi dla niego wszystko. Nie mamy się więc czego obawiać. – Acronis poklepał Zahakisa po ramieniu. – Ale z pewnością będzie to bardzo interesujące. Potrzeba nam nieco odmiany w tej nudnej rutynie.

– Skoro tak uważasz, mój panie – zgodził się bez przekonania Zahakis.

– Podejmiemy próbę już jutro z rana. Nie wiem, jakie środki bezpieczeństwa uznasz za stosowne. Aha, i nie zapomnij, proszę, pokazać mi, który z tych dzikusów to Ivorson.

Acronis ruszył przez pokład, nie spuszczać wzroku z *Venjekaru*.

– Jeśli uda mi się zobaczyć smoka i to przeżyć – szepnął sam do siebie – jaką cudowną opowieść będę miał dla mojej Chloe.

Skylan siedział na pokładzie *Venjekaru* i patrzył na zachód słońca. Aylis, bogini słońca, ześlizgnęła się z chmury, za którą kryła się przez większość dnia, a potem rozpalona i krwście czerwona zanurzyła się w odmęty oceanu. Nim jednak zatonęła, wbiła jeszcze w niego rozjuszony wzrok, jakby oskarżając go o coś, wytykając go świetlistym palcem.

– Co czynisz? Dlaczego siedzisz tak beczynn timer? – zdawała się wołać. – Czyżbyś się poddał? Teraz, gdy czas walczyć, gdy cię potrzebujemy...

– A ty? Co ty sama wyprawiasz? – miał ochotę spytać ją Skylan, bo nawet wykrzykując te oskarżycielskie słowa, bogini chowała się tchórzliwie w morskie głębiny.

Jakby w odpowiedzi na jego niewypowiedziany zarzut zza drzew wyłonił się bóg nocy, Skoval, zasłonił majaczące na horyzoncie góry i zaczął chyłkiem kryć świat w ciemności, jakby się bał, że ktoś może go zauważyć przy pracy. Pojawił się dowódca Południowców, Zahakis, a z nim dziesięciu żołnierzy. Zwolnił tych, którzy pilnowali Vindrasów cały dzień, i wysłał ich na brzeg, żeby się przespałi. Łucznikom kazał przejść na galerę, żeby zjedli i odpoczęli, i zapowiedział im, że będą potrzebni od razu z rana.

Skylan zaczął się zastanawiać dlaczego. Co takiego ma się stać rano, że potrzeba do tego łuczników? Czy zapowiada się bitwa? Czy zobaczyli jakiegoś wroga? Wraz z *Venjekarem* na poszukiwanie krainy ogrów wyruszyły dwa inne smocze okręty. Skylan stracił z nimi kontakt podczas sztormu. Miał nadzieję, że teraz płyną im na ratunek.

Głowa mówiła mu, że to prawie niemożliwe, że oba statki najpewniej zatonęły lub przynajmniej zgubiły się zupełnie na morzu, ale jego serce chciało uwierzyć w tę mrzonkę. Wyobraził sobie, jak jego okręty atakują *Światło Morza*, wojownicy ciskają włócznie i zabijają większość żołnierzy, a potem wbiegają na pokład i pokonują resztę, a on sam zabija oczywiście Raegara.

Biorąc pod uwagę to, że siedział skuty łańcuchami na pokładzie *Venjekaru*, a Raegar był na galerze, nie był pewien, jak miałby właściwie tego dokonać, ale w końcu było to jego marzenie, więc hojnie oddał sobie w nim Taniec Krwi, który w rzeczywistości zabrał mu podły kuzyn. Umieścił się też na pokładzie galery, gdzie samodzielnie walczył z Raegarem i zabił go, potem uratował Aylaen, która z wdzięczności rzuciła mu się w objęcia i wyznała wielką miłość. Zaniósł ją triumfalnie na *Venjekar*, gdzie powitano go jak bohatera, a jego ludzie znów traktowali go jak Wodza Wodzów.

Nagle dała o sobie znać rzeczywistość. Aylaen i jej siostra Treia wchodziły właśnie po trapie *Venjekaru*, a eskortował je Raegar.

Treia rzuciła ponure, uparte spojrzenie na wojowników, szczególnie na swego ojczyma, Sigurda, który zaczął krzyknąć:

– Ty dziwko! Co tu robisz z tym zdrajcą? Nie jesteś moją córką! Ani ty, ani ta twoja kurewska siostra!

– Nie jesteśmy twoimi córkami! – odparowała Aylaen, a jej zielone oczy zabłysły złowieszczo w ostatnich promieniach słońca. – I co dzień dziękujemy za to Torvalowi!

Otoczyła Treię ramieniem i przeszły przez pokład w stronę ładowni. Raegar otworzył klapę i obie zeszły do małego pomieszczenia pod pokładem. Aylaen zatrzymała się jednak, nim zniknęła w otworze, i obrzuciła pokład szybkim spojrzeniem. Gdy jej oczy odnalazły Skylana, zatrzymały się na chwilę.

Wziął to za dobry znak, ale się mylił. Jej zmrużone, lśniące oczy powiedziały mu tylko, jak bardzo nadal go nienawidzi. Gdy miała już pewność, że ją rozumiał, gdy spuścił wzrok pod tym oskarżycielskim spojrzeniem, zeszła dumnie po drabinie.

Raegar pozostał na pokładzie. Bjorn, Grimuir i kilku innych Torgunów wykorzystało tę okazję, by obrzucić go wyzwiskami. Wrzeszczeli, że jest zdrajcą i tchórzem, że jego matka kopulowała z wężem (co odnosiło się do tatuażu na jego czole), i starali się zrobić wszystko, żeby sprowokować go do bójki.

Skylan milczał. Mógłby im powiedzieć, że niepotrzebnie zdzierają sobie gardła. Raegar tylko uśmiechnął się na te wyzwiska. Nie dbał o to, co myślą czy mówią o nim ci ludzie.

Zależało mu natomiast na opinii Orańczyków, co nie uszło uwagi Skylana. Raegar ukradkiem popatrywał na żołnierzy, którzy pilnowali Vindrasów, chcąc się upewnić, że widzą, jak mało sobie robi z tych obelg.

Twarze żołnierzy były jak kamienne maski – póki patrzył na nich Raegar. Dopiero gdy zszedł z Zahakisem do ładowni, by się upewnić, że kobiety są tam bezpieczne, żołnierze wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a jeden z nich rzucił jakiś komentarz. Inni pokiwali głowami i zmrużyli oczy z pogardą.

Skylan nie dosłyszał słów, ale rozumiał wszystko. Nikt nie lubi zdrajców, nawet jeśli stoją po twojej stronie, pomyślał. Bo jeśli ktoś już raz zdradził, nigdy nie możesz być pewien, że on rzeczywiście jest po twojej stronie.

Gdy Raegar wrócił na pokład, Torgunowie powitali go nową wiązką.

Teraz wydawał się naprawdę poirytowany.

– Jutro rano będziecie świadkami potęgi Aelona – ogłosił. Jego spojrzenie przesunęło się z Torgunów na żołnierzy i dodał ostro: – Wszyscy.

Wyskoczył zwinnie za burtę i dobrnął w płytkiej wodzie do *Światła Morza*. Gdy tylko zniknął, żołnierze popatrzyli po sobie. Jedni prychnęli z pogardą, inni uśmiechnęli się pod nosem i pokręcili głowami. Torgunowie ponuro milczeli.

Skylan chciał wrócić do swoich marzeń, ale nie pozostał po nich nawet ślad. Te mrzonki były po prostu głupie. Zwykła strata czasu. Przeguby i kostki miał przetarte do krwi, bo próbował uwolnić się jakoś z kajdan – bezskutecznie.

Jego miecz, tak jak i pozostała broń Torgunów, zamknięty był w skrzyni pod pokładem. Skylan pocieszał się, że mimo wszystko broń nadal znajduje się na *Venjekarze*, choć z drugiej strony mogła być równie dobrze na końcu świata i mieliby z niej mniej więcej tyle samo pożytku.

Przez chwilę znów zaświeciła mu iskierka nadziei, gdy zdał sobie sprawę z tego, że Aylaen i Treia są zamknięte razem z bronią. Nie wiedział jednak, po czyjej stronie jest Treia. Kocha Raegara, a raczej: kiedyś go kochała. Przecież nie kocha go nadal, skoro okazał się zdrajcą! Jest Vindrasyjką, jest przede wszystkim wierna swemu ludowi. Potem jednak przypomniała mu się opowieść Wulfe'a, i już sam nie był pewien, co myśleć o Trei. Aylaen z kolei na pewno jest lojalna. Na pewno nienawidzi Raegara jak oni wszyscy, ale też kocha swoją siostrę.

Gdy tak głowił się nad tym wszystkim, uświadomił sobie, że nie jest sam. Sigurd także rozmyślał o swoich pasierbicach. Właśnie zaczął na nie pomstować.

– Te dwie kozy spędziły całą noc na galerze i bóg jeden wie, co tam wyprawiały. Nikt już nie będzie chciał żadnej z nich za żonę. Trei to i tak żaden by nie wziął. Kto by się tam połasił na takie wysuszone, kwaśne jabłko.

Pozostali Torgunowie zmarszczyli brwi i poruszyli się zażenowani, ich łańcuchy zazgrzytały. Sigurd miał po czterdzieście. Był z nich wszystkich najstarszy. Był odważny i dzielny, świetnie walczył, ale wszyscy mieli go za ponuraka, człowieka twardego i bez serca. Ożenił się z wdową po bracie nie z miłości, a tylko po to, by mieć pewność, że jej ziemia pozostanie w rodzinie. Nie ukrywał tego, że ma kochankę i że powiła mu kilku synów. Nikt nie przepadał za Treią i może nawet w głębi duszy zgadzali się z nim, ale mimo wszystko była ich Kapłanką Kości i zasługiwała na szacunek.

Sigurd poprzestał na tych kilku zdaniach o Trei i przeszedł do narzekania na Aylaen.

– Wydałbym ją świetnie za męża. Byłem już w trakcie negocjacji z bogatym ziemianinem z Vindraholmu. Był mi gotów zapłacić podwójne wiano, bo jego syn zupełnie stracił dla niej głowę. A ona sobie bezczelnie ogoliła łeb i zaczęła paradować przebrana za chłopca...

– Poświęciła się bogini – przypomniał mu Skylan. Sigurd spojrział na niego, a potem do innych wojowników powiedział:

– Słyszałem jakiś hałas czy mi się zdawało? Jakby ujadał jakiś szczeniak czy co. Ktoś to słyszał?

– Ja słyszałem tylko paplaninę tchórza – nie dał się zbić z tropu Skylan. – Tylko tchórz obraża kobietę i to kobietę, która uratowała mu jego marne życie.

Sigurd zerwał się na nogi, lecz spętany łańcuchami zdołał jedynie upaść niezdarnie na Skylana, który jednak sam też próbował wstać i walczyć. Dwóch żołnierzy rzuciło się natychmiast w ich stronę, żeby ich rozdzielić, ale któryś ze strażników krzyknął, żeby dać barbarzyńcom pokazać, co potrafią.

– Ja obstawiam, że wygra ten młody – rzucił ktoś.

Bójkę szybko jednak zakończył surowy okrzyk. Z ładowni wyłonił się Zahakis, wrzeszcząc na swoich ludzi, którzy w popłochu obnażyli miecze i interweniowali. Chwycili za łańcuchy Sigurda, przycisnęli go do desek pokładu i zdzielili po głowie. Inni rzucili się na Skylana.

Sigurd podniósł się wreszcie z desek pokładu. Twarz miał obitą i zakrwawioną. Spojrzał z nienawiścią na Skylana, który właśnie ocierał krew z rozciętej wargi i wypluwał ząb.

– Chcieliśmy się tylko trochę zabawić, Trybunie – zaczął się tłumaczyć jeden z żołnierzy.
– Przecież musimy coś zrobić, poza siedzeniem tu cały dzień i wachaniem ich smrodów.

– Kto zaczął bójkę? – chciał wiedzieć Zahakis.

– Ten starszy, ten z blizną na nosie i siwymi włosami na brodzie. Ale nie wiem, o co poszło, Trybunie, nie zwracałem uwagi na ich gadanie. My to stawialiśmy na tego młodego.

– Znów ten w gorącej wodzie kąpany wyrostek. Legat pytał o niego – powiedział z namysłem Zahakis. Odwrócił się i spojrzał na Skylana. – Acronis zastanawia się, czy nie wystawić go w Para Diksie. Rzeczywiście ma sylwetkę prawdziwego wojownika. Spójrzcie tylko na te uda. Dobre bicepsy i muskulatura klatki piersiowej.

– Tylko go umyć, a kobiety będą za nim szalały – zauważył jeden z żołnierzy.

– Trzeba by go wytrenować – westchnął Zahakis. – A słyszałem, że dla barbarzyńców bitwa oznacza uformowanie dwóch linii i walenie się nawzajem gdzie popadnie.

Żołnierze się roześmiali. Skylana załapała wściekłość. Zapragnął wyzwąć ich do walki. Wszystkich. Nieważne, że był w kajdanach, nie miał broni, a ich było kilkunastu. Uniósł dłoń do amuletu Torwała, który nosił zawieszony na szyi, na znak, że poleca swą duszę bogu. Nagle zamarł; w głowie pojawił mu się pewien pomysł.

Był to zupełnie straceńczy plan i Skylan nie był pewien, czy mu się w ogóle podoba, bo wymagał wiele delikatności i wyczucia, a Garn zawsze mu przecież powtarzał, że jest mniej więcej tak delikatny jak ściana tarcz uformowana przez armię ogrów.

Skylan zaczął sobie masować szczękę. Kątem oka dostrzegł, że żołnierze wciąż jeszcze na niego patrzą. Potem ostentacyjnie odwrócił głowę w stronę Torgunów.

– Może wam się to podobać lub nie, ale to ja wciąż jestem Wodzem Wodzów, póki nie nastąpi sąd Vutmany – rzekł głośno. – To ja jestem odpowiedzialny za mój lud. To ja muszę naprawić swoje błędy.

A w głowie wciąż rozpatrywał wszystkie aspekty swego nowego planu.

Noc stawała się coraz ciemniejsza. Żołnierze zapalili latarnię i zebrali się na drugim końcu okrętu, skupieni na jakiejś swojej grze polegającej na wyrzucaniu kamyczków z pudełka. Skylanowi ta gra wydała się zupełną dziecinadą. Nie było tu miejsca na żadną strategię. Jeden wyrzucał kamienie, a reszta robiła zakłady, ile wyrzuci. Wyglądało na to, że to tylko prymitywny sposób na to, by oddać się hazardowi. Trudno się dziwić, że żołnierze najwyraźniej byli znudzeni.

Skylan leżał na deskach pokładu i próbował zasnąć, ale okazało się to zupełnie niemożliwe. Gdy tylko przysypiał, łańcuchy szczękały i zupełnie go wybudzały. W końcu przyzwyczał się wreszcie do tego brzdękania i już zapadał w letarg, gdy poczuł czyjś dotyk na ramieniu.

Przy nim kucał przemoczony do suchej nitki Wulfe. Nie było go cały dzień. Dawniej Skylan martwiłby się o niego, ale nauczył się już, że chłopak umie o sobie zadbać.

Westchnął i odwrócił się w jego stronę.

– Gdzieś ty się znowu podziewał?

– Gadałem z oceanidami – szepnął Wulfe. Rzucił baczne spojrzenie na żołnierzy, ale gdy zobaczył, że pochłonęła ich gra i nawet nie zauważyli, że wdrapał się po burcie na pokład, rozsiadł się wygodnie.

Skylan ziewnął i zamknął oczy.

– I co tam słyhać u tych twoich driad?

– Oceanid – poprawił go Wulfe. – Oceanidy to nie driady. Driady mieszkają w drzewach, a oceanidy mieszkają w oceanie.

Skylan był w głębi duszy rad, że jest ciemno i Wulfe nie widzi jego mimowolnego uśmiechu.

– Cóż więc tam słyhać u oceanid? – spytał, na wpół zasypiając.

– Mówią, że wasi bogowie wciąż żyją. Ukryli się przed atakami w swojej Komnacie. Bogowie Raj i Bogowie Nowego Świtu myślą, że wasi bogowie są już zupełnie pokonani i teraz ci nowi bogowie będą walczyć ze sobą.

– A niech sobie robią, co chcą – wymamrotał Skylan.

– Oceanidy mówią też, że z krainy ogrów wyruszyła flotylla okrętów wojennych. Oгры chcą zaatakować ziemię Bogów Nowego Świtu. Oceanidy chciały ich nawet zatopić, ale potem doszły do wniosku, że fajnie będzie popatrzeć sobie, jak jedni brzydale zabijają innych brzydali. One myślą, że jak wszyscy brzydale pozabijają się nawzajem, to bogowie sobie pójdą i światem znów będziemy rządzić my, leśny ludek.

Wulfe skulił się tuż przy Skylanie i przycisnął plecy do pleców przyjaciela, żeby się ogrzać.

– Jeśli tak się stanie, to ja cię nie zabiję – obiecał mu śpiącym głosem. – Pozwolę ci zostać. Użyję magii, żeby cię jakoś ochronić.

– A czemu jej nie użyjesz, żeby mnie teraz uwolnić, hę? – rzucił kpiąco Skylan.

– Chcesz? – spytał Wulfe, zupełnie nagle oprzytomniawszy. – Mam to zrobić? Nawet chciałem, ale bałem się, że się na mnie wściekniesz.

Wulfe powiedział mu kiedyś, że jego matka była królowną leśnego ludku, a ojciec zmieniał się w wilka. Te jego niesamowite kłamstwa jedynie już bawiły Skylana.

– Jasne. Użyj magii – szepnął. – Zmień moje łańcuchy w kwiatki.

– Nie mogę zaczarować żelaza – wyjaśnił mu Wulfe. – Ale nic się nie martw. Już ja coś wymyślę.

I usnął natychmiast. Skylan też zapadł chyba w sen, bo śniło mu się, że jest w Komnacie Torwala i widzi wszystkich bogów, w pełnej zbroi, z mieczami, gotowych do ostatniej bitwy. Wraz z nimi były i dusze poległych bohaterów. Skylan zaczął się rozglądać za Garnem, bo przecież umarł on waleczną śmiercią i powinien być gdzieś tutaj.

Spędził całą noc na szukaniu przyjaciela wśród zmarłych bohaterów, ale nie mógł go znaleźć.

Rozdział 5

Ładownia pod pokładem *Venjekaru* była ponura, ciemna i zagracona, ale i tak znacznie lepsza niż ta na galerze, choćby z tego tylko powodu, że nie śmierdziało tu rybami. Aylaen położyła się na kocu, mówiąc, że jest zmęczona, ale Treia niezadowolona się domagała, żeby porozmawiały o smoczjej kości.

– Nie wiem, czym zasłużyłam sobie na tak złe traktowanie, siostrze – narzekała Treia.

Aylaen westchnęła.

– Gdybym miała tę kość, przecież bym jej użyła. Tylko pomyśl, mogłabym wezwać smoka Kahg i poprosić go, by zabrał mnie do Garna...

Treia obrzuciła ją nieufnym spojrzeniem i w końcu powiedziała:

– Więc ty naprawdę jej nie masz?

– Powtarzam ci to i powtarzam, Treiu, kość przepadła w morzu – szepnęła Aylaen ze znużeniem.

– To... to co ja pocznę? – jęknęła zrozpaczona kapłanka. – Raegar myśli, że jutro rano wezwę smoka.

Aylaen tak to zdumiało, że aż usiadła.

– Ale niby skąd mu to przyszło do głowy? Gdybyś nawet wezwała smoka, pierwsze, co by zrobił, to zabił Raegara!

– Smok nikogo już nie zabije.

– Dlaczego?

– Raegar mówi, że Aelon pokonał naszych bogów, a teraz trzyma Vindrash jako zakładniczkę...

– Co za wierutna bzdura – przerwała jej ostro Aylaen. Już chciała wyjaśnić siostrze, że widziała Vindrash w swoim śnie, ale pomyślała, że Treia ją wyśmieje. – Zresztą nawet gdyby tak było, to nie ma znaczenia. Kość ducha przepadła...

– Tak sobie myślę – powiedziała Treia – że kiedy zraniony smok zdrowieje, oddaje kość ducha swej kapłance. Smok Kahg mógł ukryć swoją kość gdzieś na okręcie. Musimy jej tylko dobrze poszukać.

– Gdyby chciał ci ją oddać, po co by ją ukrywał? – spytała zdezorientowana Aylaen.

Treia rzuciła jej ostre spojrzenie.

– Aylaen, no naprawdę staram się nie tracić przy tobie cierpliwości, ale już brak mi sił. Przecież smok nie ukryłby jej przede mną, tylko przed naszymi wrogami.

Aylaen musiała przyznać, że to ma sens. W zasadzie więcej sensu niż wszystko inne, co mówiła dotąd Treia. To, że Treia próbowała znaleźć tę kość za wszelką cenę, wydawało się Aylaen nieco dziwne, może nawet podejrzane, ale kochała swoją siostrę i nie chciała jej robić przykrości, a przede wszystkim chciała mieć już wreszcie święty spokój. Dlatego właśnie postanowiła pomóc Trei szukać kości.

Siostry zaczęły podnosić wieka beczek i szperać w środku. Wytrzepywały koce i worki. Otworzyły wszystkie skrzynie po kolei, poza jedną, która – ku rozpaczy Trei – okazała się zamknięta na kłódkę. Skrzynia była ciężka, a gdy Treia zaczęła w nią kopać ze złości, wydała metaliczny odgłos.

– Raegar kazał swoim żołnierzom zamknąć tam naszą broń – powiedziała Aylaen.

Zabrali jej miecz, jej podarek od Vindrash, który znalazła w Świątyni Bogów w Ludzie. Dawno temu pewien wojownik podarował go bogini w podziękowaniu za opiekę. Odłożono go razem z innymi podarkami i tak przeleżał w zapomnieniu wiele lat.

Aylaen była z niego taka dumna. Ostrze było stare, ale Skylan powiedział, że stal jest świetnej jakości, a wykonanie prawdziwie mistrzowskie. Jeszcze gdy była małą dziewczynką, Skylan i Garn podczas swoich dziecięcych zabaw w ścianę tarcz nauczyli ją posługiwać się mieczem.

Oczy Aylaen napełniły się łzami na to wspomnienie. Otarła je szybko. Jeśli Treia zobaczy, że znów płacze, zdenerwuje się na pewno.

– Smok Kahg nie ukryłby kości w zamkniętej skrzyni – zauważyła.

– O! Jest mój kufer! – wykrzyknęła zdumiona Treia z ciemnego kąta za drabiną.

– No i co w tym dziwnego?

Treia wyciągnęła kufer zza schodków.

– Szukałam go po sztormie, ale nigdzie nie mogłam go znaleźć. Byłam przekonana, że zmyła go fala. Przysięgam, że szukałam też dokładnie w tym miejscu. I go nie było. Na pewno.

– Tu prawie nic nie widać – powiedziała Aylaen. – A wtedy było takie zamieszanie. Jak nic po prostu go przeoczyłaś.

– Nie. Nie było go tu.

Rzeczywiście trudno było nie poznać tej charakterystycznej skrzyni, którą Treia dostała w podarku od Draï. Na jej wieku widniała charakterystyczna runa symbolizująca Vindrash.

Treia uniosła wieko i aż westchnęła z radości.

– Są wszystkie moje ubrania, czyste i suche! – Sięgnęła do środka i wyciągnęła dwie suknie. – Możesz już przestać udawać, że służysz bogini. Nie musisz już się ubierać jak mężczyzna – stwierdziła, podając jej jedną z nich.

Aylaen pokręciła głową.

– Nie wygłupiaj się – zganiała ją Treia, wciskając jej suknię w dłonie. – Obydwie wiemy przecież, dlaczego postanowiłaś być mężczyznokobietą. Przecież nigdy nie chciałaś być Kapłanką Kości i chodziło ci tylko o to, żeby być z Garnem.

Aylaen pogładziła miękki materiał fartucha. Choć jej ubrania były mokre i brudne, za wszelką cenę pragnęła mieć nadal na sobie tę samą wełnianą tunikę, skórzane spodnie i buty. Nie chciała nic zmieniać ani w sobie, ani w czasie. Marzyła o tym, by czas zatrzymał się w miejscu. Chyba że mógłby się cofnąć. Każda inna zmiana wydawała jej się zdradą wobec Garna.

Złożyła starannie suknię. Już miała odłożyć ją z powrotem do skrzyni, gdy coś wypadło z jej fałd i stuknęło o deski podłogi.

– Co to? – spytała Treia, mrużąc oczy, już prawie zupełnie ślepa w półmroku panującym w ładowni.

Był to mały nóż, taki jak te, których rybacy używają do przecinania poplątanych sieci i patroszenia ryb. Aylaen podniosła go z podłogi, dotykając z radością. Był ostry. Wsunęła go szybko za cholewkę.

– To tylko brosza odpadła od sukni – skłamała. – Nic tu poza tym nie ma.

– Jesteś pewna? – dopytywała Treia podejrzliwie. Podeszła bliżej i próbowała zajrzeć Aylaen przez ramię.

Zdenerwowało to Aylaen i już miała powiedzieć siostrze, żeby sama sprawdziła, skoro jej nie ufa, gdy aż jęknęła. Na dnie skrzyni leżała sobie spokojnie smocza kość.

– Siostrzyczko! Znalazłam ją! – Wzięła ją do ręki i przykucnąwszy, wpatrywała się w nią zadziwiona. – Jak to możliwe? Przecież wpadła do oceanu. Skąd się tu nagle wzięła?

– Cóż, „znalazłaś ją” – wycedziła Treia, ale zmusiła się do uśmiechu. Potem natychmiast wyrwała ją Aylaen. – Tak przypuszczałam, że być może ją „znajdziesz”, jeśli tylko poszukamy.

Podniosła kość do oczu i przyglądała jej się przez chwilę uważnie, jakby podejrzewała, że ma do czynienia z podróbką.

– Przechowam ją, żeby już się więcej nie zgubiła.

– Weź ją – zgodziła się Aylaen. – Bogowie wiedzą, że wcale jej nie chcę.

Znów była myślami na polu bitwy z olbrzymami. Gdyby została na plaży i walczyła przy boku Garna i Skylana, zamiast biec do morza, żeby ratować kość, jej ukochany być może żyłby jeszcze. Szczerze nienawidziła tego malutkiego przedmiotu.

– Cieszę się, że to zrozumiałaś, siostro – pochwaliła ją Treia.

Aylaen nic nie rozumiała poza tym, że może już przestać szukać. W bucie czuła zimne ostrze nożyka.

– Jesteś może głodna? – zapytała Treia. – Poproszę o coś do jedzenia.

Wspięła się po drabinie i zaczęła walić pięścią w klapę, krzycząc, że Raegar obiecał im wodę i jedzenie. Na pokładzie rozległy się kroki.

Aylaen skryła się w kącie i wyciągnęła nóż z cholewy.

– Jeśli Garn do mnie nie wróci – szepnęła cicho i przesunęła opuszkami po ostrzu – ja pójdę do niego.

Rozdział 6

Następnego poranka Zahakis nakazał swym żołnierzom przeciągnąć *Venjekar* przez płytką wodę zatoki, tak by *Światło Morza* mogło go wziąć na hol. Legat był już na pokładzie galery, otaczało go czterech łuczników i dziecięciu żołnierzy, a załoga stała na stanowiskach, gotowa w każdej chwili ruszyć w morze, gdyby zaszła potrzeba ucieczki. Acronis nakazał wioślarzom sięść do wiosła, czyli pod pokładem, nie tylko po to, by byli gotowi odpłynąć w razie niebezpieczeństwa, ale także dlatego, że uznał, iż tam będą bezpieczniejsi. Większość z nich jednak tak bardzo chciała zobaczyć smoka, że tłoczyli się przy otworach na wiosła, żeby lepiej widzieć.

Raegar stał na pokładzie *Venjekaru*, tuż przy smoczym galionie. Miał na sobie paradną zbroję oraz komżę wyszywaną w żmije gryzące własne ogony tak jak przystało Kapłanowi Wojownikowi Nowego Świtu.

Tego ranka słońce świeciło wyjątkowo jasno. Gdy Raegar spojrział na to ogniste oko, ujrzał potęgę Aelona, który rządzi słońcem, tak jak rządzi wszystkim, co na dole i w górze. Gdy Skylan spojrział na słońce, zobaczył, że bogini Aylis wpatruje się w niego i w pozostałych Torgunów z niepojętą dlań wściekłością i skazuje ich na siódme poty.

Jeńców zagoniono na rufę, żeby stali jak najdalej od galionu, a Zahakis i jego dziesięciu ludzi nie spuszczało z nich oczu. Skylan siedział na skrzyni, ręce i nogi miał skute kajdanami i zachodził w głowę, co się dzieje. Erdmun twierdził, że podsłuchał, jak jeden z żołnierzy opowiadał o tym, jak to Raegar wezwie dziś smoka Kahg i każe mu przeprowadzić smoczy okręt przez całe morze. Skylan i pozostali oczywiście wyśmiali tę niedorzeczną plotkę.

– Nawet Raegar nie jest przecież tak głupi – mruknął Sigurd. – Smok Kahg zrobiłby sobie na śniadanie jajecznicę z jego jaj.

Pozostali roześmiali się i niemal każdy dodał jakiś równie wulgarny dowcip.

– Chyba że nasi bogowie umarli – odezwał się jakiś cichy głos. – Może jego bóg rządzi teraz już wszystkim, także smokami.

Młody chłopak, który przemówił, miał na imię Farinn. Był wśród Torgunów od niedawna. Przeprowadził się do Ludy, by zamieszkać z krewnymi po śmierci rodziców, którzy zginęli w pożarze domu. Miał zaledwie piętnaście lat i po raz pierwszy brał udział w wyprawie Vindrasów. Bitwa z olbrzymami była jego pierwszą w życiu potyczką. Nieźle sobie

podczas niej poradził; a raczej Skylan zakładał, że w ogóle sobie poradził, bo prawdę powiedziawszy, jakoś o nim nie pamiętał podczas walki, ale przecież Farinn musiał brać w niej udział. W każdym razie przeżył. Bitwa z olbrzymami była tak chaotyczna i kuriozalna, że Skylan zamiast normalnych wspomnień był w stanie przywołać jedynie jakieś pojedyncze, koszmarne obrazy. Farinn był zaś tak cichą i nieśmiałą osobą, że ludzie często w ogóle o nim zapominali. Nawet teraz – gdy się odezwał, wszyscy wyglądali na zdumionych. I zaniepokojonych.

Skylan nie znał go dobrze. Spoglądając tak na Torgunów, uświadomił sobie, że nie zna zbyt dobrze żadnego ze swoich ludzi, choć przecież żyje wśród nich od zawsze.

Nie umiał powiedzieć, co Sigurd jada na kolację. Może byłby w stanie wymienić kilka imion dzieci, no, przynajmniej synów, Grimuira, bo czasami bawił się z nimi w wojnę, ale gdyby go tak przycisnąć, nie byłby pewien, czy Grimuir ma właściwie trzech synów czy czterech.

Skylan znał swoich ludzi tylko jako wojowników. Wiedział dobrze, gdzie kogo postawić w ścianie tarcz, bez wahania opisałby, jak który posługuje się mieczem, włócznią czy toporem. Resztę zostawiał Garnowi. Garn zawsze wszystko o wszystkich wiedział i to nie dlatego, że lubił plotki tak jak Bjorn, ale dlatego że naprawdę szczerze dbał o swoich przyjaciół.

– Moim zadaniem nie jest dbać o tych ludzi, Garn. Pewnego dnia być może będę musiał posłać ich na śmierć – powiedział mu kiedyś.

– To tylko wymówka – stwierdził Garn, ale roześmiał się, żeby jego ostre słowa zabrzmiały mniej krytycznie. – Ciebie po prostu zaprzęta w zupełności dobro jednej osoby: Skylana Ivorsona.

Skylan znów przypomniał sobie ten serdeczny śmiech przyjaciela i ścisnęło mu się serce. Odwrócił wzrok od fal rozbijających się o kadłub okrętu i zaczął się przysłuchiwać rozmowie, w której oczywiście zupełnie go pomijano. Nikt nie pytał o jego opinię ani o to, co o tym wszystkim myśli. Odwrócili się do niego plecami.

– Nasi bogowie nie umarli – oświadczył stanowczo Bjorn.

– To gdzie się podziewają? Tu ich na pewno nie ma. Co do tego nie ma dwóch zdań – oponował Erdmun. – Słyszałem, że smoka ma wezwać Treia. Ona jest Kapłanką Kości. Jeśli ktoś wie, czy nasi bogowie żyją czy nie, to z pewnością ona.

Reszta popatrzyła na niego z niepokojem. Skylan drgnął. Przez chwilę zastanawiał się, czy się nie odezwać, czy nie powiedzieć Erdmunowi, że się myli, ale wiedział, że i tak nikt go nie posłucha. Zamiast tego więc skupił się Raegarze. Trudno było znieść ten widok: zdrajca przechadzał się po pokładzie pod samym galionem, co rusz dumnie obrzucając *Venjekar* krytycznym spojrzeniem, jakby był tu panem i władcą.

Torgunowie nadal pogrążeni byli w dyskusji. Zwykle żołnierze zabraniali im rozmawiać z obawy przed tym, że szykują może ucieczkę. Skylan nie rozumiał, dlaczego tym razem

pozwalają im mówić tak długo, póki nie zobaczył, że obok stoi Zahakis i najwyraźniej z ciekawością przysłuchuje się rozmowie o zmarłych bogach i smokach. Skylan już miał rozkazać swoim ludziom, żeby zamilkli wreszcie, ale zaraz przypomniał sobie, że na pewno go nie posłuchają.

– Smocza kość przepadła – mówił właśnie Bjorn. – Wpadła przecież do morza, gdy smok był ranny i wrócił do swojego królestwa. Wiem to na pewno, bo sam jej szukałem.

– Smocza kość zawsze wraca do Kapłanki Kości. Widocznie ją znalazła. Raegar nie ryzykowałby przecież, że się zbłąźni – argumentował Grimuir.

– Tu chodzi nie tylko o to, że mógłby się zbłąźnić – zauważył Sigurd. – Przecież on dobrze wie, że żeby posłać ten cały potworny okręt na dno morza, smokowi Kahg wystarczy jedno machnięcie ogona. Raegar coś wie. Albo myśli, że coś wie.

– On wie, że nasi bogowie umarli – upierał się Erdmun.

Skrzynia pod Skylanem zaczęła się energicznie poruszać, więc kopnął ją znacząco. Wulfe obudził się tego dnia jeszcze przed świtem i znów wybierał się na jakąś wycieczkę, żeby trzymać się z dala od okutych w żelazo i wymachujących żelazem żołnierzy. Skylan jednak kazał mu zostać, przekonując, że jeśli okręt odpłynie, chłopiec zostanie na wyspie sam jak ten palec.

Wulfe powiedział na to, że jeśli złapie go Raegar, sam będzie martwy jak ten martwy palec, więc Skylan przekonał go, żeby schował się w skrzyni. Wulfe był drobnej budowy i umiał tak się powyginać, jakby był z wierzbowych witek. Bez trudu skulił się w skrzyni. Siedział tam jednak już cały poranek i na pewno było mu ciasno, duszno i niewygodnie.

– Cicho siedź – szepnął mu Skylan. – Zanoszą się na coś dziwnego.

Raegar dał znak jednemu z żołnierzy, a ten dmuchnął w trąbkę. Gdy uwaga wszystkich skupiła się na Kapłanie Wojownika, zaczął przemawiać doniosłym głosem, żeby było go dobrze słychać aż na galerze. Jego tubalne przemówienie opiewało najpierw potęgę Aelona, a potem zapowiadało, że dziś zobaczą moc swego boga, bo nawet smok, który zwykł służyć bogom Vindrasów, pokłoni się samemu Aelonowi.

Mówił z wielkim przekonaniem. Skylan rozejrzał się i zobaczył, że Torgunowie spuścili wzrok i zacisnęli szczęki jak ktoś, kto nie ma wyboru i musi pogodzić się ze straszną prawdą.

Jak Raegarowi udało się to tak szybko osiągnąć? – zachodził w głowę Skylan. Musi być pewien, że ten jego bóg jest w stanie zapanować nad smokiem, bo inaczej nie ryzykowałby przecież wzywania Kahg, który bez trudu mógłby zmienić *Światło Morza* w *Żarzącą się Kupkę Popiołu*. Skylana opadły wątpliwości. Może Farinn ma rację. Wszystko wskazywało na to, że bogowie rzeczywiście opuścili swój lud. Skylan nie wierzył w to, że bogowie nie żyją, ale być może Torval i Vindrash nie mają już siły interweniować. Co, jeśli ten bóg, ten Aelon, ma dość mocy, by zmusić smoka Kahg do posłuszeństwa?

– To będzie znak – szepnął Skylan sam do siebie.

Raegar natomiast dalej perorował. Zdyscyplinowani żołnierze ani drgnęli mimo bezlitosnego słońca. Wszyscy mieli na sobie swoje najlepsze zbroje, hełmy z daszkami chroniącymi policzki i skórzane tuniki, w których na pewno dosłownie się gotowali. Ich twarze i nagie ramiona błyszczały od potu. Skylan rzucił tęskne spojrzenie na zimną morską wodę omywającą kil *Venjekaru*.

Potem zaczął się zastanawiać, czy żołnierze marzą o tym, żeby do niej wskoczyć, czy raczej woleliby wyrzucić za burtę Raegara. Nie ulegało wątpliwości, że Kapłan Wojownik mógłby tak chwalić Aelona jeszcze całymi godzinami, ale przerwano mu dość stanowczo w pół zdania.

– Mam nadzieję, że Aelon wybaczy mi, iż śmiem go ponaglać – krzyknął Acronis z pokładu wojennej galery. – Ale rzecz w tym, że wszyscy tu upieczemy się zaraz na śmierć. Przejdźmy więc do rzeczy.

Raegar zmarszczył czoło i widać było, że odebrał te słowa jako osobistą zniewagę.

– Niech jeden z twoich ludzi przyprowadzi Kapłankę Kości – syknął, starając się zachować resztki godności.

Skylan przypatrywał się uważnie Raegarowi, szukając jakichkolwiek oznak wątpliwości czy nerwów. Kapłan jednak wydawał się niezwykle pewny siebie.

Skylan westchnął i usłyszawszy warknięcie dochodzące z głębi skrzyni, znów ją kopnął.

Na dole, w ładowni, Treia była już ubrana w swoje rytualne szaty, które narzuciła na zwykły fartuch i lnianą koszulę. W dusznym, małym pomieszczeniu pocila się teraz jak mysz. Aylaen jeszcze nie wstała z posłania.

Słyszała donośny głos Raegara, który bez końca gadał o swoim bogu. Jego monotonna przemowa ukołysała ją z powrotem do snu. Obudziły ją kroki. Ktoś schodził po drabinie.

– Kapłanko – rzucił oschle żołnierz, machając ręką na Treię i wskazując pokład. – Wzywają cię. Pospiesz się.

Treia spojrzała na Aylaen, która ani drgnęła.

– Nie idziesz ze mną? – spytała z niepokojem.

– Ja? Po co? Przecież masz kość ducha.

Treia rzuciła okiem w stronę żołnierza.

– Powiedz Wojennemu Kapłanowi Raegarowi, że zaraz przyjdę.

Odczekała, aż żołnierz sobie pójdzie, po czym podbiegła do Aylaen i przyklękła przy posłaniu.

– Powinnyśmy obie pomodlić się do Vindrash, żeby wysłała smoka. Tak na wszelki wypadek.

Aylaen znów przypomniał się tamten sen, w którym Vindrash wygnała ją na mróz i śnieg. Pokręciła głową.

– Bogini na pewno nie ma ochoty słyszeć moich modłów.

– Treiu! – krzyknął z pokładu rozsierdzony Raegar. – Przecież posłałem po ciebie! Co to ma znaczyć?

– Musisz pójść ze mną, Aylaen! – błagała Treia. – Proszę cię!

Aylaen usiadła i splotła ręce na kolanach.

– Ale nie rozumiem po co...

– Bo czasem smok Kahg nie przychodzi na moje wezwanie – powiedziała Treia, a jej twarz była spięta i oblana potem.

– Ależ smok na pewno przyjdzie, Treiu. Przecież jesteś Kapłanką Kości.

Treia zacisnęła usta. Trzymała w dłoni kość ducha i nagle cisnęła nią Aylaen w twarz.

– Smok Kahg dał kość tobie. To ty ją znalazłaś. To znaczy, że chce, żebyś to ty ją miała.

– Ale ja jej nie chcę – zaprotestowała przerażona Aylaen. Patrzyła na siostrę z konsternacją. – Nie chcę mieć z nią nic do czynienia!

– W takim razie los naszych ludzi jest już przypieczętowany – oświadczyła Treia. – I to ty masz ich na sumieniu.

Powoli i walcząc z przemożną niechęcią, Aylaen wzięła kość ducha z dłoni Trei.

Na galerze Acronis przemierzał pokład, szukając najlepszego miejsca, z którego mógłby obserwować wydarzenia na *Venjekarze*. Słyszał, jak Raegar wzywa kobiety. Wyglądało na to, że pojawił się potem jakiś problem, bo nastąpiło dziwne opóźnienie, ale po chwili przyszły wreszcie obie – jedna w szatach, które wyglądały na rytualne, a druga ubrana jak mężczyzna. Według Raegara, ta druga złożyła jakąś tajemniczą, barbarzyńską przysięgę, że zostanie „mężczyznokobietą”.

Acronisa niezwykle zaciekał ten obrządek, skrzętnie więc wszystko sobie zanotował. Był jednak nieco zawiedziony, że Raegar nie zna zbyt wielu szczegółów.

– Od lat już przecież nie mieszkam wśród barbarzyńców – rzekł Raegar z lekceważeniem w głosie. – Aelonowi niech będą dzięki, zdołałem zapomnieć o tych ich dzikich zwyczajach.

Biedny Raegar. Ten ambitny mężczyzna może złapać wszystkie smoki świata, a i tak nie zdobędzie tego, o czym marzy – akceptacji w społeczności Sinarian. Na zawsze już pozostanie kimś z zewnątrz. Acronis próbował mu to nawet kiedyś bardzo delikatnie wytłumaczyć, ale Raegar wpadł w szał, wrzeszczał i przeklinał, potwierdzając jedynie to, co wszyscy i tak przecież wiedzieli. Pod tymi eleganckimi szatami krył się nieokrzesany barbarzyńca.

Kobiety stały tuż obok siebie. Ponoć były siostrami, choć Acronisowi trudno było dać temu wiarę, bo zupełnie nie były do siebie podobne. Ta, która ubrana była w męskie szaty, miała zielone oczy i szopę rudych loków. Oczy tej drugiej były ciemne, a włosy miały ciemny odcień blondu. Ta ruda była prawdziwą pięknoscią, a raczej byłaby, gdyby się umyła i rozczesała swoją bujną czuprynę. Jej starsza siostra też mogłaby uchodzić za atrakcyjną, gdyby nie to, że trochę zezowała i garbiła się nieco, w tak typowy dla krótkowidzów sposób.

Rytuał wezwania smoka zaczął się już najwyraźniej, bo starsza siostra trzymała w dłoniach jakiś mały przedmiot, który musiał być tą osławioną smoczą kością. Uniosła ją i zaczęła przemawiać do drewnianej głowy smoka.

Acronis stał zdecydowanie za daleko. Ani nie widział kości, ani nie słyszał słów kapłanki i naprawdę żałował, że nie może być na *Venjekarze*, widzieć wszystkiego z bliska i sporządzać szczegółowych notatek. Chciał przejść na pokład smoczego okrętu, ale po długiej rozmowie zgodził się w końcu z Zahakisem, że miejsce Legata jest na jego własnej galerze i że musi być gotowy do wydawania odpowiednich rozkazów, jeśli smok rzeczywiście zaatakuje.

Raegar zarzekał się, że jest w stanie utrzymać tę bestię w ryzach, a raczej że zajmie się tym Aelon. Ale Acronis miał co do tego wiele wątpliwości, choć prawdę powiedziawszy, po tylu godzinach gotowania się na tym strasznym słońcu i słuchania przynudzającego Raegara zrobiłby wiele, żeby wreszcie choć zobaczyć prawdziwego smoka.

Vindrascy jeńcy w milczeniu wpatrywali się w swoją Kapłankę Kości. W gorącej wodzie kąpany blondyn, którego zwano Skylanem, siedział nieco na uboczu.

– Z pewnością modli się do swego barbarzyńskiego boga, by smok zabił nas wszystkich – mruknął Acronis do siedzącego obok niego skryby. – Nie można go za to winić.

Kapłanka przestała mówić. Trzymając kość w dłoniach, zanurzyła ręce w wiadrze, nabrała trochę morskiej wody i trzymała w niej kość ducha.

Torgunowie zerwali się na równe nogi, za nic mając żołnierzy, którzy wrzeszczeli wściekle, żeby ich przywołać do porządku. Raegar obrzucił ich wszystkich złym spojrzeniem i kazał im się uspokoić.

Woda przeciekała kapłance przez palce i kapiała na pokład. Nic się nie działo.

Acronis spojrział na łuczników i pomyślał, że muszą już być bardzo zmęczeni od trzymania łuków w gotowości. Ale nie wydał żadnego rozkazu. Jeszcze nie. Nawet z galery widział wyraźnie, że twarz Raegara wykrzywiła się gniewnie i jakby nieco rozpaczliwie.

Raegar powiedział coś do kapłanki, która z kolei powiedziała coś do siostry, tej mężczyznokobiety, a potem wcisnęła jej kość w dłonie. Torgunowie zaczęli wrzeszczeć, ponaglać ją. Mężczyznokobieta pokręciła głową. Jej siostra mówiła do niej i mówiła, aż w końcu mężczyznokobieta się poddała. Wzięła kość ducha od kapłanki, zanurzyła dłonie w wodzie, a potem – nim Raegar miał czas ją powstrzymać – cisnęła nią w morze.

Acronis patrzył zafascynowany. Czy to aby należało do rytuału? Miał wrażenie, że nie, bo Raegar aż się zakrztusił z wściekłości i wrzeszczał, żeby ktoś wskoczył do morza po kość.

Kręgi na wodzie w miejscu, gdzie wpadła kość, jeszcze nie zniknęły, gdy nagle woda zaczęła wirować.

Acronis aż się pochylił na nadburciu, żeby lepiej widzieć. Wir stawał się coraz silniejszy, aż galera zaczęła się bujać na kotwicy, aż fale uderzały o *Venjekar*. Morze wznosiło się i pieniało. Piana strzelała w powietrze i tryskała jak fontanna.

Acronis patrzył oczarowany. Wznosząca się woda nabierała kształtu, formując coś wokół kości ducha. Z małej wyrosły wielkie kości, otoczyły je mięśnie, pojawiło się bijące serce, skóra i łuski. Na końcu wystrzeliły skrzydła. Na potężnej, krągłej szyi widać było wspaniały łeb. Błysnęły czerwone ślepia.

Acronisowi zapało dech w piersiach.

Smok rozpostarł skrzydła i wznosił się ponad taflę wody, która spływała z jego lśniącego ciała niczym potężna kaskada i opadała na wzniesione twarze wpatrzonych w niego ludzi – przerażonych i oniemiałych z wrażenia.

Kątem oka Acronis zauważył jakieś poruszenie – to jeden z łuczników wznosił łuk.

– Nie! – krzyknął Legat i chwycił łucznika za ramię.

Smok powoli zatoczył koło ponad obydwojma okrętami. Był zielenią morza tuż przed sztormem. Był błękitem oceanu, gdy wody są tak spokojne, że w niegroźnych falach figlują dzieci. Był szarością morza w zimie, gdy fale rozbryzgują się o skały nabrzeża. Jego grzebień był biały jak morska piana.

Acronis spojrzał w górę, a spływająca ze smoka woda ochłodziła mu twarz. Na drugim okręcie torguńscy jeńcy krzyczeli wniebogłosy, wołali smoka po imieniu, ponaglali do ataku.

Wzrok krwistoczerwonych oczu smoka spoczął na Acronisie, który stał jak zahipnotyzowany, podziwiając piękno bestii. Przez membranę skrzydeł prześwitywało słońce. Smok był tak blisko, że Acronis widział siatkę jego żył biegnącą wzdłuż zielonego ciała. Bestia runęła w dół.

Raegar wykrzyknął imię Aelona i zażądał, by smok poddał się jego rozkazom. Jego słowa odbiły się jednak od smoczej skóry. Bestia miała je za nic. Załoga galery zaczęła wrzeszczeć w panice i tratować się nawzajem w morderczym wyścigu pod pokład. Żołnierze wyciągnęli broń. Łucznicy wzniesli łuki. Acronis był o krok od śmierci, lecz patrząc na tę fenomenalną bestię, nie był w stanie myśleć o niczym innym jak o tym, że śmierć to niewielka cena za przywilej zobaczenia takiej wspaniałości.

Raegar znów zaczął wzywać Aelona.

– Kahg! – krzyknął jeden z Torgunów ostrzegawczo. – Za tobą!

Smok wygiął swój wielki łeb. Tuż nad powierzchnią oceanu pędziły trzy skrzydlate żmije, bestie Aelona. Tnąc grzbietami fale, mierzyły w smoka jak celne strzały.

Smok Kahg natychmiast zaprzestał spadania i wymachując łapami, usiłował wzlecieć jak najwyżej, by zyskać na wysokości. Wciągnął powietrze, nadał się, jego klatka piersiowa rozszerzyła się, zogromniała i nagle wypluł wielki obłok morskiej piany.

Woda uderzyła w pierwszą żmiję z siłą fali przyprływu. Gadzina zwinęła się, zamachała ogonem w panice, pisnęła i osunęła się w wodę, tonąc z głośnym sykiem. Zostały po niej tylko białe bąbelki na powierzchni morza. Pozostałe dwie żmije rzuciły się na smoka w okamgnieniu, rozdzielając się i otaczając go. Jedna nacierała z lewej, druga z prawej.

Kahg nie był w stanie zrobić uniku, a one zaatakowały, nim miał czas znów nabrać powietrza.

Węże próbowały opleść jego ciało, zadusić go, połamać mu kości. Smok rzucił się na nie z pazurami, kąsał je kłami, oddzierając całe płaty pokrytego łuskami mięsa i wypluwając je do morza.

Acronis stał w deszczu krwi. Jedna ze żmij, krwawiąc straszliwie, bo Kahg niemal przeciął ją na pół, osunęła się w odmęty morza. Druga zamachnęła się ogonem i uderzyła w smoczy zad. Kahg chwycił ją pazurami, ale żmija wiła się i skręcała, co rusz zadając nowe ciosy w smoczy łeb i skrzydła.

Jakiś głupiec wystrzelił w stronę smoka. Walczący o życie Kahg nawet nie zauważył strzały, która wpadła do morza, nikomu nie robiąc żadnej krzywdy.

Wiatr wzmógł się, wzburzając morze. *Venjekar* i *Światło Morza* kołysały się gwałtownie. Na horyzoncie pojawiły się potężne, czarne chmury. Zagrzmiało i błysnęło. Szalejąca wichura porwała smoka i żmiję i uniosła splecione w walce ciała bestii wysoko w niebo. Pochłonęły je chmury i wnet zniknęły zupełnie z oczu Acronisa.

Torgunowie milczeli. Raegar stał na pokładzie *Venjekaru* i patrzył w niebo. Ludzie na galerze byli zupełnie oniemiałi, jakby zamroczeni.

Ciszę przerwał Acronis. Głos aż mu się trząsał z gniewu:

– Natychmiast wychłostać tego głupca, który wypuścił strzałę!

Rozdział 7

Na pokładzie *Venjekar* Torgunowie wpatrywali się w burzowe chmury, modląc się ze wszystkich sił, by smok Kahg wrócił i pokonał ich wrogów. Czas mijał. Grzmoty umilkły. Chmury pomknęły dalej, rzucając na lśniąca wodę ciemne cienie. Smok nie wrócił.

– To udowadnia, że nasi bogowie umarli – podsumował ponuro Erdmun.

– Smok Kahg pokonał dwóch przeciwników – zauważył Skylan. – Zarówno smok, jak i bogowie żyją i walczą. Jeśli jednak potrzeba wam więcej dowodów – dodał – spójrzcie tylko na Raegara.

Kapłan Wojownik spurpurowiał na twarzy i karku. Żyły mu nabrzmiały. Oto przed chwilą zobaczył na własne oczy, jak bestie wysłane przez jego „niepokonanego” boga padły martwe do wody. Był tak rozjuszony, że zupełnie stracił panowanie nad sobą i zamachnął się na Treię, na którą w panice zrzucił całą winę za swoją porażkę. Aylaen była jednak szybsza i zakryła siostrę własnym ciałem.

– Tylko jej dotknij – syknęła – a zginiesz.

Jej głos był tak groźny, że choć nie miała przy sobie żadnej broni, Raegar opuścił dłoń. Torgunowie darli się i rwali kajdany. Zahakis zaś uznał, że wszystko zaszło zdecydowanie za daleko, i postanowił przejąć kontrolę i zaprowadzić spokój.

– Ty tam, zabrać kobiety pod pokład – rozkazał ostro jednemu ze swoich ludzi, po czym odwrócił się w stronę Raegara. – Co ty wyprawiasz, u diabła? Twój ziomkowie i tak sprawiają nam dość kłopotu. Naprawdę nie muszą jeszcze widzieć, że źle traktujesz ich kobiety. Zachowuj się tak dalej, a głowę daję, że zerwą się z łańcuchów i cię dopadną.

Raegar wbił w niego wściekłe spojrzenie. Bezsilnie zaciskał i rozluźniał pięści. Już nawet zaczął coś mówić, ale Zahakis spokojnie przerwał mu w pół słowa.

– Naprawdę mamy teraz poważniejsze zmartwienia. Może masz jakiś pomysł na przeprowadzenie tego okrętu, skoro smok zniknął?

– Rozkażę jeńcom, żeby go przeprowadzili – oświadczył Raegar. Krew powoli odpływała mu z twarzy, pozostawiając nieładny, czerwony kolor z białozółtawymi plamami.

– Z pewnością się zgodzą – stwierdził cierpko Zahakis.

Raegar uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Zaufaj mi, Trybunie. Znam tych barbarzyńców.

– Bo jesteś jednym z nich – mruknął żołnierz, który stał przy Skylanie.

Raegar podszedł do swoich byłych przyjaciół i rodaków, którzy nie omieszkali powiedzieć mu przy tej okazji, co chcieliby z nim zrobić. On jednak zupełnie nie zwracał uwagi na obelgi. Skylan zamarł, pewien, że szykuje się coś niedobrego.

Nie wiem, co znowu wymyślił ten łajdak, ale najwyraźniej jest przekonany, że jego plan się powiedzie.

– Przeprowadzicie ten okręt do Sinarii – powiedział gromko Raegar – bo jeśli nie, to rozkazę Trybunowi Zahakisowi i jego ludziom, by chłostali was tak długo, aż ciało spadnie z waszych kości i wykrwawicie się na śmierć. Pójdziecie do Torwała w kajdanach, zakrwawieni od chłosty, jak zwykli niewolnicy. Czy o takiej śmierci marzyliście?

Skylan stał sztywny i spięty. Torgunowie zamilkli. Nikt się nie poruszył. Nikt nie przemówił.

Umrzeć w niewoli to umrzeć w hańbie. Torwał nimi wżgardzi, wyrzuci ich ze swojej komnaty. Całe pośmiertne życie spędzą sami, rozłączeni ze swoimi bliskimi, którzy ze wstydu wyprą się ich zupełnie.

Skylan wstał powoli.

– Zdejmijcie mi kajdany. Stanę u steru.

– Tchórz! – syknął Sigurd i splunął z pogardą.

Inni posłali mu tylko nienawistne spojrzenie.

– Nie zamierzam umierać w kajdanach – powiedział Skylan. – I przysięgam na Torwała, że nie umrę, póki nie zemszczę się na tym, który nas zdradził.

Bjorn i Aki wymamrotali coś, co przypominało aprobatę, i wyglądało na to, że chcą się do niego przyłączyć, bo wstali. Sigurd warknął na nich ostro. Erdmun szepnął coś Bjornowi, który siadł z powrotem, patrząc z ukosa na Sigurda. Nikt inny nie podniósł głowy.

Torgunowie nie mogli zawsze polegać na smoku, ponieważ Kahg musiał się czasem zająć swoimi sprawami i nie mógł prowadzić dla nich okrętu. W takich wypadkach po prostu podnosili żagiel lub też, zależnie od pogody, każdy z wojowników siadał na swojej skrzyni, brał wiosło w dłoń i wiosłowali.

Skylan wstał ze skrzyni i otworzył ją. Ze środka wyrzwał Wulfę. Skylan kiwnął na niego i chłopiec wyskoczył z ulgą. Żołnierze wybuchnęli śmiechem i nawet Zahakis uśmiechnął się pod nosem. Tylko Raegar spojrział gniewnie.

– Co on tu robi? Ten chłopak to pomiot demonów! – ryczał, kipiąc z oburzenia. – Natychmiast wyrzuc go za burtę.

– To tylko mały chłopiec – odparł Skylan. – Jeśli mam przeprowadzić statek do portu, potrzebuję jego pomocy.

Zahakis spojrział na Acronisa. Załoga galery już podnosiła żagle. *Światło Morza* miało ich aż dwa – jeden w środku, a drugi na dziobie. Płótna wydymały się i łapały wiatr, a galera zaczęła powoli płynąć. Legat stał na pokładzie i obserwował zajście na *Venjekarze*. Nie

słyszał, co mówią, ale bez wątpienia domyślał się wszystkiego, bo pochwyciwszy spojrzenie Zahakisa, kiwnął głową. Chciał już naprawdę jak najszybciej wrócić do domu.

– Zdejmijcie mu łańcuchy – rozkazał Zahakis. – Ale zostawcie kajdany na nogach. Nie chcę, żeby przyszło mu do głowy skoczyć do wody i odpłynąć. Co do dzieciaka, przyznaję, że na moje oko rzeczywiście wygląda on niezwykle groźnie, ale mam nadzieję, że w razie czego dwunastu uzbrojonych żołnierzy da mu radę.

Jego ludzie roześmiali się. Raegar mruknął coś tylko i odszedł.

Pewnie jednak nieco zwątpił w moc swego boga, przemknęło Skylanowi przez myśl. Albo modli się do Aelona, by zesłał święty ogień, który pochłonie wszystkich na pokładzie, poczynając od Zahakisa.

Zdjęto mu kajdany z rąk i oswobodzono z łańcuchów. Z pomocą Wulfe'a Skylan wciągnął żagiel na maszt, a potem wskazał znajdujący się na rufie, prosty ster.

– Muszę stać tam, żeby sterować okrętem.

– Pójdę z tobą – rzekł Zahakis, kładąc dłoń na rękojeści swojego krótkiego miecza. – Gdybyś zdecydował się wpakować okręt na jakąś skałę, wiedz, że w takim wypadku posłucham rady Raegara i wyrzucę chłopca za burtę.

Skylan chwycił za rumpel. Poczul znajomy opór i powoli ustawił okręt tak, żeby złapać wiatr. *Światło Morza* było już daleko przed nimi. *Venjekar* ruszył za nim; lżejszy i szybszy wkrótce dogonił potężną galerę.

– Wykazałeś się wielką mądrością, młody człowieku – rzekł Zahakis, zajmując swoje stanowisko przy Skylanie. – Czasami wybranie życia ponad śmierć wymaga znacznie większej odwagi.

– Żyję tylko dla jednego celu – odparł spokojnie Skylan. – Żeby pewnego dnia cię zabić. Po tym oczywiście, jak zabiję Raegara.

Zahakis uśmiechnął się lekko i pokręcił głową. Oparł się o nadburcie i zapatrzył w morze.

– Cieszę się, że ten wasz smok nie odgryzł nam łbów – przyznał, a gdy odchodził, dodał jeszcze: – Ale gdziekolwiek teraz walczy, mam nadzieję, że zwycięstwo będzie po jego stronie.

Venjekar i *Światło Morza* przybiły tej nocy do brzegu, by nabrać świeżej wody i wysłać ludzi na polowanie. Na Smoczycach Wyspach nie udało się upolować żadnej dziczyzny. Widzieli ślady zwierzyny, a jednak nic nie łapało się w ich wnyki i przemysłne pułapki, a myśliwi wracali z pustymi rękami.

Raegar wykorzystał tę okazję, by przenieść się z *Venjekar* na *Światło Morza*. Nie wziął ze sobą Trei. Nadal nie mógł jej wybaczyć porażki przy wezwaniu smoka.

Gdy okręt przybił do brzegu, Trei i Aylaen pozwolono wyjść z ładowni. Treia patrzyła z rozpaczą, jak Raegar wchodzi po trapie *Światła Morza*. Nawet na nią nie spojrział.

– Pytał mnie, czy smok Kahg żyje. Uważa, że powinnam to wiedzieć – poskarżyła się siostrze.

– A wiesz? – spytała Aylaen.

– Nie – przyznała z goryczą Treia. – A ty?

Aylaen pokręciła głową.

Żołnierze eskortowali je do strumienia, żeby mogły się obmyć. Nie miały jednak żadnej prywatności, bo strażnicy nie spuszczały ich z oczu. Aylaen ochlapała twarz i kark zimną wodą, a potem siadła na brzegu i wpatrywała się w lśniącą w zachodzącym słońcu wodę.

Treia starannie wyplukała swoje długie włosy. Wymyła twarz i ciało tak dokładnie, jak tylko była w stanie bez zdejmowania ubrań.

Stara się być piękna dla Raegara, pomyślała Aylaen. Nie wiedziała, czy ma uzalać się nad swoją nieszczęsną siostrą, czy tylko wymierzyć jej mocny policzek, który sprowadziłby ją na ziemię.

Gdy skończyły kąpiele, wróciły do obozu. Treia chwyciła ją za ramię i kątem oka obserwując strażników, szepnęła:

– Jeśli kość ducha znowu do ciebie wróci, musisz mi o tym powiedzieć.

Aylaen odwróciła się do niej i obrzuciła ją beznamiętnym spojrzeniem.

– Przysięgam ci, Treiu, że jeśli kość wróci, zgmiotę ją pod obcasem na proch.

Wyrwała się siostrze i odeszła. Treia zawahała się, ale po chwili pobiegła za nią.

– Nie mówisz poważnie – szepnęła. – Raegar mówi...

– Raegar! – powtórzyła ze złością Aylaen. – Raegar zdradził nasz naród. Zdradził ciebie, Treiu! Czy ty tego nie widzisz? Jak możesz wciąż go kochać?

– Raegar robi to wszystko dla dobra naszego ludu...

– Treiu, jego bogowie chcą zniszczyć Torvala i Vindrash. Co w tym dobrego?

– Nasi bogowie sami wybrali sobie ten los – oświadczyła Treia. – Zupełnie nie dbali o ten świat.

W obozie paliło się już ognisko. Czuć było, że polowanie tym razem się udało. Pachniało pieczeniem. Aylaen zrobiło się słabo.

– Wracam na okręt.

– Musisz jeść – powiedziała Treia.

– Nie jestem głodna.

– Rozchorujesz się...

– I dobrze!

– Siostrze, wiem, że jesteś na mnie zła, ale zastanów się choć chwilę. – Treia zawahała się, ale potem dokończyła ostro. – Jak możesz wierzyć w bogów, którzy pozwolili, by zginął Garn?

Niebo zszarzało. Morze zszarzało. Zaczął padać deszcz. Krople spadały na płonące drewno i parowały z sykiem. Aylaen zwróciła twarz w stronę deszczu, strugi wody płynęły jej po policzkach. Próbowwała płakać za Garnem, ale łzy nie przychodziły. Wyplakała już wszystkie. Niebo płakało za nią.

Skylan i inni Torgunowie nie dostali pieczonego mięsa. Musieli siedzieć i wdychać smakowite zapachy, które sprawiały, że ciekła im ślinka i burczało im w brzuchach. Dano im obrzydliwą pastę ze zmielonej ryby, zwaną *garum*, chleb, wodę i owoce z Oranu, zwane oliwkami. Skylan jadł to dziwne pożywienie i wcisnął w siebie nawet tę paskudną pastę rybną. Musiał za wszelką cenę zachować siły.

Po posiłku ci żołnierze, którzy nie sprawowali akurat straży przy jeńcach, zorganizowali zapasy. Wyrysowali koło na piasku. Dwóch z nich rozebrało się do naga, a potem weszli w obręb koła i pocąc się nieludzko, przepychali się tak długo, aż któryś z nich wyszedł za linię albo został przytrzymany przez przeciwnika i nie mógł się poruszyć, więc musiał się poddać.

Nie wolno było zadawać ciosów. Zapaśnicy musieli polegać tylko na swojej sile, zwinności i szybkości. Sędziował Zahakis. Gdy jeden z walczących łamał którąś z zasad, Zahakis rozdzielał ich i musieli zaczynać od nowa. Honorowym gościem był oczywiście Acronis – przyglądał się walce, klaskał i wykrzykiwał imię tego zapaśnika, który wyjątkowo dobrze sobie poradził. Legat zakładał się nawet ze swoimi żołnierzami i załogą, śmiejąc się serdecznie i płacąc uczciwie, gdy przegrał, ale machając na wszelkie należne mu pieniądze, gdy wygrał.

Torguńscy wojownicy próbowali zrazu udawać, że ich to zupełnie nie interesuje, ale zapasy były wśród Vindrasów rozrywką niezwykle popularną. Brali w nich udział zarówno mężczyźni, jak i kobiety (choć one nie walczyły oczywiście nago, gdyż Torgunowie uważaliby to za oburzające). Dlatego jeńcy szybko przestali ukrywać, że z zapałem śledzą rozgrywki.

Aki, sam będący doskonałym zapaśnikiem, tak się przejął, gdy jeden z walczących przerzucił drugiego na plecy w wyjątkowo zmyślny sposób, że aż krzyknął z podziwu. Pozostali wojownicy spojrzeli na niego z naganą, a Aki spiekł raka, uśmiechnął się głupkowato i wzruszył ramionami.

Gdy skończyły się rozgrywki, a przegrani zapłacili, co mieli zapłacić, lub przynajmniej obiecali, że zapłacą, wszyscy zaczęli się szykować do snu. Ogniska już dogasały. Żołnierze owinęli się kocami. Po mokrej plaży przechadzali się wartownicy. Kropił deszcz. Jeńcy położyli się na piasku i próbowali spać. Zahakis rozkazał skuć ich ze sobą nawzajem. Skylanowi udało się zrobić tak, że został przykuty do Sigurda.

Teraz siedział i kątem oka obserwował wartownika, a gdy ten był wreszcie dość daleko, szepnął:

– Sigurdzie, muszę z tobą porozmawiać.

– A gadaj se sam ze sobą, ty zasrany tchórz – mruknął tylko Sigurd i odwrócił się na drugi bok, plecami do Skyłana.

Skylanowi udało się jakoś opanować wściekłość, choć żółc z pewnością wypaliła potężne dziury w jego żołądku.

– Mam plan ucieczki – powiedział cicho.

Sigurd milczał przez chwilę, a potem zaczął się odwracać z powrotem.

– Nie ruszaj się! – ostrzegł go Skylan. – Tylko słuchaj.

– No? – burknął Sigurd, nie siląc się nawet na uprzejmość.

– Ci Południowcy lubią dobrą walkę. Dostarczmy im rozrywki.

Sigurd poruszył się ostrożnie i spojrział na Skylana przez ramię.

– No, słucham, słucham.

– Odczekajmy kilka dni, aż będziemy na pełnym morzu, a żołnierze wynudzą się na śmierć i wtedy ty i ja rzucimy się na siebie. Żołnierze nas oczywiście rozdzielą. Wtedy powiem Zahakisowi...

– Cicho! – syknął ostrzegawczo Sigurd.

Zaskrzypiały buty na piasku. W ich kierunku zbliżał się wartownik. Skylan zamknął oczy, udając, że śpi.

Kiedy wartownik odszedł, Skylan cicho opowiadał dalej:

– Powiem Zahakisowi, że wyzwalesz mnie na pojedynek, ponieważ uważasz, że nie mam prawa być wodzem naszych wojowników i że musimy walczyć, żeby zdecydować, który z nas może być przywódcą.

– A więc Vutmana? – mruknął Sigurd.

– W pewnym sensie – zgodził się Skylan.

– Mów, mów. Zaczyna mi się to podobać.

– Wyjaśnię mu, że według tradycji do walki konieczny jest miecz i tarcza. Zaczniemy pojedynek, a gdy żołnierze się wciągną i stracą czujność, przestaniemy walczyć ze sobą i rzucimy się na nich.

Sigurd prychnął z pogardą.

– Nawet ślepy kot wyczuje szczura. Południowcy są głupi, ale nie aż tak.

– Jak mówię, mam plan.

– Wszyscy wiemy, jak skuteczne są te twoje plany – burknął Sigurd z szyderczym uśmiechem.

– Wchodzisz w to czy nie? – spytał Skylan.

– Pod jednym warunkiem.

– Jakim? – spytał ostrożnie Skylan.

– Vutmana będzie naprawdę. Pierwsza krew naprawdę zdecyduje, kto będzie od teraz wodzem.

Skylan zawahał się. Jeszcze niedawno od razu zgodziłby się na coś takiego, wierząc głęboko, że Torval go nie opuści. Ale teraz nie był już tak pewien przychylności swego boga. Złamał przysięgę. Kłamał, klnąc się na Torvala. Wprawdzie walczył przy jego boku w niebiosach, próbując pomóc mu pokonać zmięje, ale być może był to tylko sen.

Położył rękę na świeżej jeszcze ranie, którą zadała mu ogonem jedna ze żmij, gdy wypchnęła go z niebios i spadł na ziemię. Jeśli był to tylko sen, zostawił dość namacalne ślady. Skylan nadal wierzył w Torvala, bez względu na to, czy Torval pokładał w nim zaufanie czy nie.

– Zgoda – rzekł. – W imię Torvala.

– To na czym polega twój wspaniały plan? – spytał Sigurd.

– Najpierw musimy przekonać Południowców, że chcemy się nawzajem pozabijać – wyjaśnił Skylan.

Sigurd uśmiechnął się szeroko.

– Z tym nie będzie problemu.

Wulfe nie wyszedł z pozostałymi na brzeg, tylko został na pokładzie *Venjekaru*. Panicznie bał się żołnierzy. Śmierdzili żelazem. Oczekał, aż wszystko umilkło i słychać było tylko chrapanie, i dopiero wtedy cicho i ostrożnie wymknął się na brzeg.

Nudziło mu się. Lubił drzemać w ciągu dnia, gdy tak przyjemnie przygrzewało słońce, a potem bezkarnie buszować nocą, gdy mógł robić, co chciał i żaden Brzydał się na niego nie darł. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie iść do Aylaen, która wróciła na okręt, może trochę ją rozśmieszyć. Coraz bardziej ją lubił. Ale była z nią Treia, a jej Wulfe nie cierpiał.

Wraz z Raegarem przyłapała go na praktykowaniu magii, gdy sprowadził na olbrzymów stado mew, żeby uratować Skylana i pozostałych. Powiedziała wtedy, że należy do leśnego ludku, jakby była to najgorsza obelga. Ale Raegar był jeszcze gorszy – wyzwiał go od pomiotu demonów. Wulfe nie był pewien, co to znaczy pomiot demonów. Jeśli oznaczało to, że często walczy ze swoimi wewnętrznymi demonami, które namawiają go do strasznych rzeczy, to Raegar miał rację. Wulfe naprawdę miał ochotę zrobić straszne rzeczy Trei i Raegarowi, ale Matka Sowa ostrzegła go, że te demony są złe i że nie powinien się im poddawać.

– Chcą cię skrzywdzić, wpakować cię w kłopoty – powtarzała. – A wszystko to dlatego, że same są nieszczęśliwe, więc chcą, żebyś i ty był nieszczęśliwy.

Teraz Wulfe czuł się prawdziwie nieszczęśliwy, a przecież wcale nie poddał się podszeptom demonów. Był nieszczęśliwy, bo Skylan i jego przyjaciele byli nieszczęśliwi. Wulfe próbował zachować resztki nadziei. Miał przecież swoją magię. Tylko jakoś nie mógł wymyślić, jak jej użyć, żeby cokolwiek pomogła.

Zbiegł po trapie w duchu wdzięczny za deszcz, który przyćmił światło księżyca i gwiazd, kryjąc go przed wartownikami. Oczekał chwilę, upewnił się, że nikt nie patrzy w jego stronę, a potem popędził przez piasek, aż do najbliższych drzew i zniknął w cieniu lasu.

Próbował zagaic rozmowę z driadami, które żyły w pobliskich drzewach, ale były zbyt śpiące i nie zyczyły sobie, żeby zawracał im głowę. Zwierzęta, które krążyły w nocy po lesie, miały naprawdę ważniejsze rzeczy do załatwienia, więc tylko pozdrowiły go z szacunkiem i pobiegly w swoją stronę. Wulfe wałęsał się samotnie po lesie.

Zawsze miał nadzieję, że pewnej nocy, podczas jednego z takich spacerów, w jakimś pięknym zagajniku natknie się na mamę, piękną jak poświata księżycy, o gwieździstych włosach, tańczącą z innymi duszkami. Wyobrażał sobie, jak mama widzi go nagle, wybucha radosnym śmiechem i woła, żeby do niej dołączył. Tańczyłyby z nią wesoło, a ona zabrałaby go do leśnego królestwa i nigdy by się już nie rozstawali.

– Ale wtedy musiałbym zostawić Skylana – mruknął Wulfe sam do siebie. Trudny wybór. Co noc głowił się nad nim, ale nie mógł się zdecydować.

Na szczęście tej nocy Wulfe nie musiał jeszcze rozstrzygać tego dylematu. Nie spotkał leśnych duszków. W tak mroczną, ulewną noc kryły się pewnie w swych podziemnych domkach, by sączyć miód z koniczynowych kielichów i słuchać pięknych pieśni o tym, jak cudny był ten świat, nim przyszli bogowie Brzydali i wszystko zepsuli.

Zostawiając las za sobą, Wulfe wrócił na plażę. Odszedł już kawał drogi od okrętów i śmierdzących żelazem żołnierzy. Zrzucił ubranie, zostawił je na brzegu i wbiegł do wody. Oceanidy, te piękne mieszkanki morskich wód, strażniczki odmętów i wszystkich stworzeń, które w nich żyły, nie spały i były gotowe do wesołej zabawy.

Brzydale nie widzieli oceanid, bo ich skóra była przezroczysta i zmieniała kolor zależnie od wody, w której mieszkaly. Oceanidy przyplynęły wraz z delfinami, żeby Wulfe mógł na nich popływać, i dotrzymywały mu towarzystwa aż do świtu. Wtedy natychmiast pomachał im na do widzenia i pobiegł wślizgnąć się na pokład, nim ktokolwiek otworzy oczy.

Strząsnął z siebie wodę jak pies i drżąc trochę w zimnym, porannym powietrzu, szybko włożył swoje ubranie – parę wełnianych spodni i tunikę. Dali mu także skarpety i buty, ale jakoś nigdy ich nie włożył i teraz nie miał nawet pojęcia, gdzie się podziały.

Pobiegł zwinnie po plaży, czujnie wyglądając wartowników, starannie wyczekując odpowiedniej chwili, by wskoczyć po trapie, gdy nikt nie będzie patrzył. Był coraz bliżej *Venjekaru*, ale wartownicy też byli bardzo blisko. Na szczęście zatrzymali się, by porozmawiać. Już chciał wbiec na pokład, gdy zauważył, że na falach chlupocze coś małego, białego.

Pomyślał, że to ryba zaplątała się w przybrzeżnej kałuży po odpływie, i podbiegł ją uwolnić. Ale gdy był bliżej, zobaczył, że to nie ryba. Nie wiedział jednak co. Może bardzo duża muszla? Zaciekawiony przykucnął, żeby to podnieść. Kiedy jednak dotarło do niego, co to takiego, ręka zamarła mu w powietrzu.

Była to kość ducha. Kość ducha smoka Kahg.

Wulfe poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. To patrzył na niego smok. Zatrząsł się z przerażenia. Bał się nawet spojrzeć w stronę smoczego galionu, bo wiedział, że ujrzy czerwone, wściekłe spojrzenie Kahg. Smok nie lubił go, tego Wulfe był pewien, bo czerwone ślepie zawsze wpatrywały się w chłopca gniewnie.

– Nic się nie martw! – zapewnił go Wulfe i zebrawszy się na odwagę, rzucił ukradkowe spojrzenie na górującą nad sobą głowę. – Nawet jej nie dotknę!

Wstał, ale wtedy usłyszał wrzask

– Hej! Ktoś tu jest!

– I po co wyciągasz miecz? To tylko ten mały – odkrzyknął inny żołnierz.

– Co on, u diabła, robi tu w środku nocy?

– Nic dobrego, to pewne. Hej, ty tam... – zawołał żołnierz i zaczął biec w jego stronę.

Zaraz zobaczy kość ducha. Nie może jej nie zauważyć. Wulfe chwycił kość i schował ją za pazuchę, nim przypędził do niego żołnierz, chlapiąc niemiłosiernie. Mężczyzna chwycił go za kołnierz.

Przerażony chłopiec wyrwał mu się, skoczył na cztery łapy i tak, na czworaka, popędził przez plażę. Żołnierza tak to zbiło z tropu, że stanął jak wryty.

– Widziałeś to? Ten dzieciak biega jak jakiś cholerny psiak!

Żołnierze wybuchnęli śmiechem i zobaczywszy, że Wulfe skrył się na pokładzie okrętu, odeszli, znów pogrążeni w rozmowie.

Wulfe przykucnął przy zwojach liny na rufie, jak najdalej od oskarżycielskiego wzroku smoka, i zaczął się zastanawiać, co począć. Powinien pójść do ładowni i oddać kość Aylaen. Zrobiłby to, gdyby tylko była sama, ale Treia była z nią, a Wulfe wiedział, że Treia będzie dla niego bardzo niemiła. Pewnie zarzuci mu, że ukraść kość ducha. Odda go Raegarowi, który przecież chce go zabić.

Wyciągnął kość z za pazuchy. Śmierdziała magią, smoczą magią. Naprawdę jej nie chciał i przez chwilę walczył ze sobą, żeby nie wyrzucić jej z powrotem do morza, ale bał się, że smok by się na niego wściekł. Tak bardzo potrzebował teraz Skylana i jego rady. Ale to oznaczałoby wyjście z bezpiecznej kryjówki na okręcie i zejście na plażę, gdzie spali jeńcy. Gdyby tak zrobił, żołnierze od razu by go złapali.

Wreszcie podjął decyzję. Wstał, wyslizgnął się z za lin i przemknął po pokładzie. Gdy po raz pierwszy przyplłynął ze Skylanem do Ludy po jego tragicznej w skutkach przygodzie z druidami, przez wiele dni mieszkał na pokładzie *Venjekaru*. Wiele czasu spędzał na wałęsaniu się po wiosce Torgunów i nieraz napotykał przedmioty przepojone leśną magią; przedmioty, które albo Brzydale wyrzucili, albo zgubili, albo – wstyd przyznać – które po prostu im ukraść.

Wśród tych magicznych przedmiotów był dziecięcy ząbek, naparstek (który podniósł przez szmatkę), zwęglona kość palca, którą znalazł przy stosie pogrzebowym Garna, oraz pukle włosów Skylana, Aylaen i Trei. Wulfe zamierzał zdobyć też kosmyk włosów Raegara, ale ten uprzedził go i zgolił się na лыso.

Pod samą smoczą głową Wulfe odkrył poluzowaną deseczkę. Ostrożnie odczepił ją od gwoździ, które ją przytrzymały i zrobił sobie pod nią małą skrytkę, którą pieczołowicie wymościł kawałkami płótna do szycia żagli, żeby nie zamokła. Tam trzymał swoje skarby. Teraz znów wyjął deseczkę, starannie unikając wzroku Kahg, i włożył kość do środka. Zamknął swoją skrytkę, a potem położył dłoń na deseczce i wymruczał krótki wierszyk:

Nie wyczują złodzieja łapy.

Nie zobaczą cię szpiega oczy.

Rychłykres wnet ich zaskoczy.

Nie był do końca pewien, co znaczy „rychłykres”, ale mama nauczyła go tego magicznego wierszyka, nie wdając się w szczegóły. Zresztą pewnie sama nie wiedziała, co to znaczy. Gdy już odśpiewał tę krótką piosenkę, ziewnął i poczłapał na swoje posłanie. Okręcił się na kocu trzy razy, zawinął w kłębek i usnął.

Rozdział 8

Następnego poranka Sigurd próbował zadusić Skylana.

Skylan nie zdążył się nawet do końca obudzić. Z trudem zwlekał się właśnie z postania, gdy Sigurd skoczył mu na plecy, zarzucił mu łańcuch na szyję i pociągnął do tyłu. Upadli na ziemię, kotłując się bez ładu i składu.

Żołnierze natychmiast interweniowali i rozdzielili ich sprawnie. Skylan miał posiniaczoną i zakrwawioną szyję, a Sigurd utykał, bo Skylan zdołał kopnąć go w piszczel, próbując się oswobodzić z morderczego uścisku. Żaden jednak nie odniósł poważniejszych obrażeń. Obaj aż sapali z nienawiści, gdy żołnierze odciągali ich od siebie.

– Znowu wy dwaj – powiedział Zahakis i obrzucił ich ponurym spojrzeniem. – Klnę się na dupę Aelona, że najchętniej bym wam poderznął gardła i pozwolił waszym ciałom zgnić sobie w spokoju! Więcej przy was roboty, niż jesteście warci. Zabrać ich na pokład – rozkazał swoim ludziom. – I przez resztę dnia nie dawać im nic do jedzenia, tylko wodę!

Skylan stanął przy rumplu z ponurą miną. Sigurd rzucił jeszcze jakąś obelgę, gdy go mijiał. Skylan zacisnął pięści i już wstawał, lecz Zahakis pchnął go z powrotem na miejsce.

– Skąd tyle złej krwi między wami? – spytał Zahakis, gdy *Venjekar* wypłynął na morze za galerą.

– On twierdzi, że nie mam prawa być wodzem – wyjaśnił Skylan, obrzucając Sigurda posępnym spojrzeniem. Przykuty do grodzi Sigurd nie przestawał wpatrywać się w niego z nienawiścią.

– To ty jesteś wodzem? – zdziwił się Zahakis, nie kryjąc nawet rozbawienia. – Toż ty ledwo od ziemi odrosłeś!

– Widziałem już osiemnaście zim – odparował mu Skylan. Chciał dodać: „Nasi bogowie wybrali mnie na wodza mego ludu”, ale wiedział już przecież, że nie było to wcale takie pewne. Dotknął srebrnego miecza, który nosił na szyi, błagając Torvala o wybaczenie i błogosławieństwo, i rzekł: – Walczyłem z poprzednim wodzem i wygrałem.

– Dlaczego zatem Siwobrody podważa twoje prawo do władzy?

Skylan przełknął. Nie miał ochoty mówić prawdy, ale Zahakis może spytać Raegara, więc trzeba przedstawić przekonującą wersję wydarzeń.

– Sigurd myśli, że oszukiwałem w świętej walce o władzę. Twierdzi, że zamordowałem Horga, że go otrujęm.

Zahakis uniósł brew.

– A otruleś?

– Nie.

– Więc pokonałeś go w walce czy został otruty?

Skylan zapatrzył się markotnie w morze i nic nie powiedział. Wciąż nie umiał nawet o tym wszystkim myśleć. Taki był wtedy z siebie dumny, tak zadufany w sobie, że złamał przysięgę daną ojcu i bogu. A zaraz potem zrozumiał, że wszystko to opierało się na jednym wielkim kłamstwie.

– Jesteście doprawdy niezwykle dzikim narodem – zauważył Zahakis. Oparł się o nadburcie w wygodnej pozycji. – Przed nami długa podróż i żadnej rozrywki. Opowiedz mi o tej waszej rytualnej walce.

Skylan zrelacjonował mu historię Vutmany, szczegółowo opisując przebieg bitwy. Opisał, jak kapłanka odmierza rytualną tkaninę, na której stoją wojownicy. Wyjaśnił, że każdy z wojowników ma trzy tarcze i jeden miecz i że każdy z nich kolejno musi stać bez ruchu i czekać na cios przeciwnika, póki nie poleje się pierwsza krew.

– Bo to oznacza, że nasz bóg, Torval, podjął decyzję i wtedy kapłanka ogłasza zwyciężcę – zakończył Skylan.

– Więc musiałeś stać tak i czekać, aż ten Horg będzie próbował cię zabić? Nie mogłeś sam zadawać ciosu? Jakoś się bronić? – Zahakis pokręcił głową. – To wymaga wielkiej odwagi. Chciałbym zobaczyć taką Vutmanę.

– Nic prostszego – powiedział Skylan. – Pozwól nam walczyć, gdy tylko zejdziemy na ląd wieczorem. Udowodnię moim wojownikom, że to mnie wybrał Torval na wodza!

Mówił ze złością i żarem, których nie musiał udawać. Naprawdę pragnął tej walki i po obrażeniach na szyi wiedział, że Sigurd także szczerze jej pragnie.

– Jeśli będziecie wciąż sprawiać kłopoty, i tak będę musiał was zabić jeszcze przed końcem tej wyprawy – zauważył Zahakis. – Równie dobrze możecie dostarczyć nam nieco rozrywki. Porozmawiam z Legatem. W końcu stanowicie jego własność.

Gdy tylko Zahakis odszedł, Skylan popatrzył przez pokład na Sigurda i ledwo dostrzegalnie skinął głową. Sigurd podrapał się po brodzie i też kiwnął lekko.

Wieczorem dobili do brzegu. Według Zahakisa następnego dnia mieli wyjść w morze i odtąd przez wiele tygodni nie zobaczyć lądu. Legat uważał, że mają za małe zapasy solonego mięsa na tak długą podróż, więc znów wysłał ludzi na polowanie. Zahakis wykorzystał tę okazję, by porozmawiać z Acronisem o Sigurdzie i Skylenie, sugerując, żeby pozwolić barbarzyńcom rozwiązać konflikt w ten interesujący sposób.

Acronis z zainteresowaniem wysłuchał opisu tajemniczego barbarzyńskiego rytuału walki o władzę.

– Masz rację, przyjacielu – rzekł. – Stanie tak bez możliwości ataku, gdy przeciwnik próbuje cię zabić, wymaga niezwyklej odwagi. Wygląda mi to na atrakcyjną rozrywkę.

– Szkoda, że to tylko podstęp tego wariata Skylana, który próbuje przeciw zorganizować ucieczkę – rzucił z uśmiechem Zahakis.

– Czy my naprawdę wyglądamy na takich głupców, Zahakisie? – spytał Acronis pół żartem, pół serio. – Czy im się naprawdę wydaje, że damy im tarcze i miecze, a potem zareagujemy zdumieniem, jeśli przestaną walczyć ze sobą nawzajem i rzucą się na nas?

– Mam wrażenie, że ci dwaj naprawdę mają ochotę się pozabijać. Możemy pozwolić im walczyć na otwartym morzu, z dala od lądu. Rozrywka w sam raz dla naszych znudzonych żołnierzy. Zresztą zobaczymy, jak będzie się nam układała ta podróż.

– Wspaniały pomysł! – zgodził się Acronis.

Spojrzał na Skylana, który siedział na ziemi, jadł pastę rybną i co jakiś czas popatrywał na nich spod oka.

– Wie dobrze, że o nim mówimy – stwierdził Acronis. – Zatem to ten młodzieniec jest wodzem. Ciekaw jestem, jak sobie poradzi w tym pojedynku. – A po chwili namysłu dodał: – Pewnie powinniśmy skonsultować tę decyzję z Raegarem, nieprawdaż? W końcu jest naszym kapłanem i troszczy się o nasze duchowe samopoczucie.

– Już go pytałem – przyznał Zahakis. – Jest oczywiście przeciwny. Utrzymuje, że ta rytualna walka tylko utwierdzi Vindrasów w ich barbarzyńskiej wierze, a on chce za wszelką cenę zwrócić ich myśli ku Aelonowi.

Acronis westchnął ciężko.

– Muszę ci wyznać, Zahakisie, że ten Aelon wydaje mi się nieco męczącym bogiem. Wciąż wtyka nos w nasze sprawy, we wszystko się wtrąca, to żąda, żebyśmy robili to, to tamto...

– Jest w tym uderzająco podobny do mojej żony, panie.

Skylan musiał więc powiedzieć Sigurdowi, że nie będzie Vutmany, w każdym razie nie tego wieczoru. Sigurd zaczął oczywiście narzekać, że Skylan na pewno coś źle powiedział czy zrobił i tym samym zepsuł cały ich misterny plan. Skylan powiedział, że Sigurd jest kretynem, i żołnierze znów musieli interweniować i siłą odciągnąć ich od siebie.

Następnego poranka poszczęściło im się z pogodą. Wiał silny wiatr. *Światło Morza* i *Venjekar* wypłynęły na wody Morza Łez. Znaleźli się więc na terenie zupełnie Torgunom nieznanym. Przyzwyczajeni do pływania zawsze stosunkowo blisko brzegu i nawigowania na podstawie punktów orientacyjnych Vindrasi zupełnie nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Po pozycji słońca orientowali się, że płyną na południe, i nic poza tym.

Nie mieli też pojęcia, że można płynąć nocą. Żeglowanie po ciemku blisko brzegu było zbyt niebezpieczne. Okręt mógł się w każdej chwili rozbić o jakąś skałę lub wejść na mieliznę. Tymczasem na środku oceanu takie niebezpieczeństwa po prostu nie istniały. Jedyne, czego należało się obawiać, to to, czy się nie zgubią. Bez punktów orientacyjnych na łodzi Skylan nie miał pojęcia, gdzie jest.

Raegar próbował mu kiedyś pokazać, do czego służy mapa, jak ustala się dzięki niej, gdzie się jest, wytycza cel i trasę. Ale dla Skylana mapy były zupełnie bezużyteczne. Ani on, ani żaden z Vindrasów nie umiał przecież czytać.

Mimo to zaczynał rozumieć, że mapy są cennym wynalazkiem. Uświadomił sobie, że gdy już uda im się uciec, będzie musiał poprowadzić *Venjekar* do domu przez zupełnie obce mu wody. Dotarło do niego, że zdolność odczytywania tych tajemniczych linii i zygzaków warta jest zachodu.

Zahakis miał mapę, na której zaznaczał pokonaną przez *Venjekar* trasę. Gdy Skylan wykazał zainteresowanie nauką podstaw nawigacji, Zahakis pokazał mu na mapie, gdzie są, dokąd płyną i gdzie byli dotąd. Wskazał mu swoją ojczyznę i palcem przebiegł całą trasę, którą dotąd przeplłynęli.

– A jak dopłynęliście do mojej ojczyzny? – spytał niewinnie Skylan.

Zahakis spojrział na niego ostro, ale Skylan miał wzrok utkwiony w mapę i skupiony był na udawaniu zainteresowania, choć nic nie pojmował z tych bazgrołów i rysunczków.

– Najpierw popłynęliśmy na wschód, a potem na północ.

Wiatr pcha nas na południe, do Oranu, analizował sytuację Skylan. Gdy odzyskamy okręt, nie będziemy mieli sprzyjającego wiatru. Będzie trzeba wiosłować, a nie jest nas wielu. Będziemy musieli płynąć blisko brzegu i co noc schodzić na brzeg. To będzie długa przeprawa, ale damy radę.

– Raegar powiedział mi, że można płynąć przez otwarte morze, używając do nawigacji jakichś specjalnych narzędzi, które mierzą gwiazdy czy coś takiego – rzekł Skylan. – Ale oczywiście mu nie uwierzyłem – dodał pospiesznie, żeby nie wyjść na naiwnego.

– W tym wypadku akurat Raegar nie kłamał – stwierdził Zahakis. – Przyznam, że sam nie rozumiem działania tych naukowych przyrządów. Zbyt są dla mnie skomplikowane. Ale Legat jest adeptem tej nauki. Codziennie wykonuje odpowiednie pomiary i zaznacza naszą pozycję na mapie.

Skylan się zasępił. Gdy tak siedział przy rumplu, miał dużo czasu na rozmyślenia i powoli uświadamiał sobie, że jego świat, świat, którym – jak mu się zdawało – władał, w ogóle nie był żadnym światem. Był ledwie małą częścią większego świata, marnym okruchem oderwanym od olbrzymiego bochna.

Słuchał, jak Zahakis opisuje swoje miasto, Sinarię, stolicę Oranu; jak opowiada o jego cudach: o ogromnej liczbie mieszkańców (w jednym mieście miało mieszkać ponoć więcej ludzi, niż liczył cały lud Vindrasów). Zahakis powiedział mu także więcej o Legacie,

człowieku tak bogatym, że mógł sobie pozwolić na zlecenie budowy nie jednej, ale dwóch trirem, oraz na to, by płacić załodze i żołnierzom, którzy strzegli okrętu.

– Legat pełnił przez wiele lat funkcję namiestnika. Wraz ze swoim legionem bronił północnych prowincji Oranu przed twoim ludem, ogrami i cyklopami. Teoretycznie legion podlegał władzy Cesarza, lecz ponieważ znajdował się tak daleko od stolicy, Legat musiał *de facto* sprawować nad nim realną władzę i z czasem żołnierze zaczęli postrzegać go jako swojego najwyższego dowódcę. Wszystko było dobrze, póki stacjonowaliśmy daleko od Sinarii, lecz po jakimś czasie Cesarza, pod wpływem Generała Kapłana, zaczęła niepokoić zbyt mocna pozycja Legata. Rozkazał mu wrócić do domu, żeby mieć na niego oko.

Skylan rozumiał to aż za dobrze. Horg także bał się coraz mocniejszej pozycji Torgunów i dlatego zdradziecko sprzedał ich ogrom. Wyglądało na to, że ludzie zawsze pozostaną tacy sami, bez względu na to, czy mają śniadą skórę, jasną czy włochatą (jak ogry).

Gdy płynął tak przez bezkresny ocean, nad głową mając niebo, a pod nogami morską wodę, Skylan ujrzał, jak jego wyrd rozwija się przed nim, biegnie prosto po rozświetlonej słońcem tafli oceanu aż po niebieską mgiełkę na horyzoncie. Miał ochotę płynąć tak już zawsze, zostawić wreszcie za sobą to wszystko: wyrzuty sumienia, morderstwo, kłamstwa, żale, rozpacz.

Płynąć tak i czuć na twarzy podmuch wiatru... i pieczenie soli w ranach. Obtarte od kajdan ciało zapiekło niemiłosiernie, gdy morska woda chlusnęła na pokład.

Skylan zamrugał i skrzywił się z bólu. To spowodowało go brutalnie na ziemię. Niczego za sobą nie zostawiał. Jego wyrd wiązał go na zawsze z przeszłością, jak łańcuch, który nigdy się nie zerwie.

Jedyne, co mógł teraz zrobić, to spróbować naprawić wszystkie swoje straszne błędy.

Aylaen patrzyła, jak światło słoneczne wkrada się przez wąskie szpary między deskami ładowni i pokrywa świetlistymi cętkami fragmenty podłogi. Większa część pomieszczenia pozostawała jednak w cieniu.

Zwykle były tu same. Raz dziennie przychodził Zahakis, by sprawdzić, co u nich. Zawsze traktował je bardzo grzecznie i pytał, czy czegoś im nie brakuje. Pozwolił im także wychodzić na pokład, by zaczerpnęły świeżego powietrza, ale z tej oferty korzystała jedynie Treia. Aylaen nie podobały się spojrzenia, które posyłali jej żołnierze.

Czasami przychodził z wizytą Wulfe. Orańczycy pozwolili mu biegać zupełnie swobodnie po okręcie. Wciąż nie przepadał za Treią, ale był tak znudzony, że uznał ją za nieco lepsze towarzystwo niż żołnierzy. Aylaen słuchała jego opowieści o tym, jak wychował go jego ojciec, wilk, o matce, która była królową leśnego ludu, i zachodziła w głowę, jak zdołał wymyślić takie wierutne kłamstwa. Ale Treię denerwowały te odwiedziny chłopca. Narzekwała na niego bez ustanku i w końcu Aylaen powiedziała mu, że lepiej by było, żeby nie przychodził.

Pozostało im więc już tylko otulić się ciemnością w ładowni i tak trwać.

Aylaen patrzyła, jak słońce pełnie po podłodze, odmierzając czas. Treia skuliła się w odległym kącie, zaplotła ręce na nogach, oparła brodę o kolana, wbiła wzrok przed siebie.

Przez dwa ostatnie dni zdołała przewrócić całą ładownię do góry nogami w poszukiwaniu smoczej kości. Miała nadzieję, że gdy ją znajdzie, Raegar wybaczy jej porażkę przy wzywaniu smoka. Bez ustanku pokrzykiwała na Aylaen, żeby jej pomogła.

Wszystko jednak wskazywało na to, że tym razem kość przepadła na dobre. W końcu Treia poddała się i zaprzestała poszukiwań. Nie robiła już nic, tylko wpatrywała się tępo w ciemność.

Widząc, że siostra pogrążyła się we własnej rozpacz, Aylaen ostrożnie wyciągnęła nóż z cholewki.

Jak dotąd nie miała żadnej szansy go użyć. Treia nie spuszczała z niej oka. Niby w nocy Treia spała, a Aylaen – która większość dni spędzała na drzemce – wierciła się na posłaniu, nie mogąc zasnąć, ale gdy tylko sięgała po nóż, Treia to jęknęła przez sen, to krzyknęła, to zaczynała się podejrzanie kręcić. Przerazona, że siostra ją przyłapie, Aylaen natychmiast odwracała się na drugi bok i potem długo bała się poruszyć.

Teraz trzymała nóż w dłoni i patrzyła, jak promień słońca błyska na ostrzu. Obróciła go lekko; światło błysło i znikło, błysło i znikło.

– Co ty wyprawiasz?

Głos Trei uderzył w nią jak piorun. Serce podskoczyło jej do gardła, ręka drgnęła. Wypuściła nóż i natychmiast odruchowo go złapała, rozcinając sobie skórę na dłoni.

– Zobacz, co przez ciebie zrobiłam! – zdenerwowała się.

Treia wyrwała jej nóż i rzuciła go w kąt. Złapała Aylaen za rękę i odwróciła ją do światła, by przyjrzeć się ranie.

– Jest głęboka. Zostanie ci po niej blizna – wyszeptała drżącym głosem. – Głupia! Zachowujesz się jak dziecko!

Była naprawdę roztrzęsiona. Aylaen popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Nigdy nie podejrzewała nawet, że Treia tak się nią przejmuje.

– Przyciśnij ją w ten sposób – rozkazała jej Treia. – Wezmę tylko balsam i jakiś bandaż.

Aylaen przycisnęła rozcięcie lewą dłonią. Krew przeciekła jej przez palce. Oczy napełniły się łzami. Było jej głupio, że płacze z powodu małego zacięcia na rękę, gdy przecież zamierzała wbić sobie nóż w brzuch.

Treia przybiegła z powrotem, po drodze podnosząc nóż z podłogi. Oczyszczyła ranę i wtarła maść, a potem zabandażowała mocno kawałkiem płótna.

– Coś ty zamierzała zrobić? Chciałaś się zabić? – wypytywała.

– Chcę być z Garnem – wyszeptała Aylaen, nie śmiać podnieść głowy i spojrzeć siostrze w twarz.

Treia prychnęła z pogardą.

– Nawet jeśli wierzysz w te wszystkie bajki i uważasz, że Garn jest teraz w Komnacie Bohaterów, myślisz, że przyjąłby cię tam? Odwróciłby się do ciebie plecami ze wstydu. Torval chwyciłby cię za kołnierz i zrzucił na dół, do Freilis, która oddałaby cię swoim demonom do zabawy.

– Ale stare pieśni mówią, że gdy zrozpaczone żony rzucały się w ogień stosów pogrzebowych swoich mężów, Torval doceniał ich poświęcenie...

– Tak? A kto pisał te pieśni? – spytała pogardliwie Treia. – Mężczyźni. Oni tylko marzą o tym, żeby nam się zdawało, że żyć bez niech nie umiemy.

– Ale ja nie umiem bez niego żyć – załkała Aylaen.

– Bo jesteś słaba.

– Gdy byłaś pewna, że Raegar nie żyje, jak się czułaś?

– Nie usiłowałam się zabić – powiedziała Treia. Zaciśnęła bandaż tak mocno, że Aylaen aż jęknęła.

– Musisz trochę poluzować. Straciłam czucie w palcach.

Treia dokończyła opatrunek i odcięła nożem koniec płótna. Na bandażu zaczęły się pojawiać plamy krwi. Rana swędziała i pulsowała.

Aylaen westchnęła.

– Garn wstydziliby się za mnie, prawda, Treiu? Odwróciłby się ode mnie plecami.

– Tak – powiedziała Treia.

– Dziękuję, że mi pomogłaś. – Aylaen przełknęła ślinę i dodała: – Możesz teraz oddać mi nóż?

Treia rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie.

– Nie zamierzam się zabić – zapewniła ją pospiesznie Aylaen. – Szczerze mówiąc, i tak nie wiem, czy miałabym odwagę to zrobić. Ale jesteśmy jedynymi kobietami na okręcie pełnym mężczyzn, a przed nami długa podróż. Musimy mieć jakąś możliwość obrony...

Treia podała jej nóż bez słowa. Aylaen wsunęła go z powrotem za cholewkę, a potem nagle rzuciła się na siostrę i przytuliła ją mocno.

– Kocham cię, Treiu! Tak dobrze wiedzieć, że i ty mnie kochasz!

Treia zamarła w jej uścisku. Potem ostrożnie poklepała siostrę po ramieniu.

– Wieczorem zmienię bandaż i nałożę więcej maści na ranę. Jeśli ten mężczyzna, ten Zahakis, będzie pytał, co się stało, zmyśl coś. Nie wspominaj nic o nożu.

– Powiem mu, że spadłam z drabiny – obiecała Aylaen. Treia była dla niej tak dobra, że Aylaen chciała natychmiast coś dla niej zrobić. – Może chciałabyś znów poszukać kości ducha?

Treia uśmiechnęła się z rezygnacją.

– Nie ma sensu. To tylko strata czasu.

– Myślisz, że smok Kahg skrył się przed nami?

– Myślę, że nie żyje – stwierdziła Treia.

Rozdział 9

Venjekar i *Światło Morza* płynęły już od siedmiu dni.

Czas mieli dobry, bo nie było potrzeby zdawać się na wioślarzy. Zahakis wyjaśnił Skylanowi, że w tej części oceanu wieje stały wiatr z północy, który pcha okręty na południe. Skylan tymczasem zamartwiał się, że Zahakis albo całkiem zapomniał o walce, albo zaczął coś podejrzewać. Sigurd był na niego wściekły i zarzucał mu tchórzostwo i celowe unikanie pojedynku.

Pewnej nocy skończył się spokój na *Venjekarze*. Tym razem jednak nie z winy jeńców. Żołnierze jak zwykle grali w swoją grę w kamyki, gdy nagle jeden drugiego oskarżył o oszustwo. Inni natychmiast przyłączyli się do sporu. Poszło na pięści. Następnego dnia widać było pokiereszowane knykcie, opuchnięte wargi i podbite oczy. Zahakis zsiniał z wściekłości.

Jeszcze rano napisał coś szybko na zwoju papirusu, wrzucił to do worka i obciążył kamieniem. Potem kazał zbliżyć się do *Światła Morza* na odległość rzutu i cisnął worek na pokład galery. Skryba Acronisa podniósł go natychmiast i zaniósł Legatowi. Wkrótce przyszła odpowiedź.

Zahakis poinformował Skylana, że jeśli tylko pogoda dopisze, następnego dnia zostanie zorganizowana *Vutmana*.

Skylan rozejrzał się wokół, ale widział tylko niezmierny bezkres oceanu.

– Czy zbliżamy się do lądu? – spytał.

– Nie – odrzekł Zahakis.

– To jak mamy walczyć w *Vutmanie*?

– Na pokładzie tego okrętu.

Skylan nie wiedział, co powiedzieć. Taka możliwość nigdy mu nawet nie przeszła przez myśl.

– Ale... nie możemy walczyć na pokładzie okrętu – wybąkał. – To... to nie przystoi. Nie spodobałoby się bogom.

– No, to nie będziecie w ogóle walczyć i tyle – stwierdził Zahakis, wruszając ramionami.

Skylan siedział przy rumplu. Oczyma wyobraźni ujrzał, jak cały jego misterny plan wyleciał właśnie za burtę.

– Dobrze więc – mruknął posępnym głosem. – Będziemy walczyć na pokładzie okrętu.

– Powinieneś doceniać zaszczyt, jaki was spotyka – rzekł Zahakis z uśmiechem, jakby czytał mu w myślach. – Sam Legat przyjdzie oglądać wasz pojedynek. Będzie też twój rodak Raegar.

– Ten łajdak nie jest moim rodakiem – warknął Skylan.

Zahakis zachichotał.

– Przyznam, że i ja nie chciałbym się do niego przyznawać. W każdym razie przejdzie na nasz pokład dziś po południu, żeby poczynić przygotowania do tej Vu... no jak wy to tam nazywacie.

– Uwolnij mnie – wycedził Skylan – a już ja go odpowiednio powitam.

Zahakis roześmiał się w głos, ale nie skorzystał z tej propozycji.

Skylan westchnął ciężko. Jego cały misterny plan spalił na panewce. Założył, że będą walczyć na ładzie. Gdy galera przybijała do brzegu, Legat wysyłał wioślarzy i żołnierzy na ład. Polowali, uzupełniali zapasy wody i zajmowali się innymi sprawami. Zapalali ogniska, gotowali, szykowali się do nocy. Skylan planował, że gdy już będą mieli z Sigurdem broń, najpierw zabiją Zahakisa. Strata dowódcy zawsze rozbija szeregi, nawet w przypadku najbardziej zdyscyplinowanych żołnierzy. Wtedy Skylan uwolniłby Torgunów. Przejęliby kontrolę nad *Venjekarem* i odpłynęli. Nim Legat zdążyłby zebrać swoją dwuosobową załogę, nakazać im wrócić na pokład i rozpocząć pracę, *Venjekar* byłby już daleko w drodze do domu.

Taki był jego plan. Dobry plan, pomyślał Skylan z zalem, żegnając się z nim na zawsze. Resztę dnia spędził na intensywnym obmyśleniu nowego.

Żeby powiódł się jego nowy plan, należało przede wszystkim zdobyć jakoś klucz otwierający kajdany pozostałych jeńców. Miał go zawsze przy sobie Zahakis – nosił go na kciuku jak pierścień. Skylan długo łamał sobie nad tym głowę. Ani Aylaen, ani Treia nie były mu w stanie pomóc, bo Zahakis nie pozwolił im tego dnia wychodzić na pokład. Zarówno Skylan, jak i pozostali Torgunowie nie byli się w stanie ruszyć z powodu kajdan. Jedyna nadzieja w pomysłowości Wulfe'a.

Chłopiec biegał po okręcie bez żadnych ograniczeń. Żołnierze szybko go polubili i traktowali jak maskotkę. Gdy czasem przemknął przez pokład na czworaka, Orańczycy ryczeli ze śmiechu i dawali mu jakieś smakołyki. Z początku chcieli mu także dawać monety, ale panikował zupełnie na widok pieniędzy, które były przecież zrobione z metalu. Jego awersja do monet rozśmieszała żołnierzy do łez.

Wulfe mógł więc podejść jakoś do Zahakisa. Umiał skradać się cicho i lekko jak kot. Pozostawał jeden problem – jego strach przed żelazem.

Tego popołudnia, gdy Zahakis zszedł do ładowni upewnić się, że niczego nie brakuje kobietom, Skylan skinął na Wulfe'a. Chłopiec podbiegł do niego skwapliwie.

– Rozmawiałeś dziś z tymi swoimi oceanidami? – spytał Skylan.

– Oczywiście.

– A wspominały coś może o tym, żebyśmy zblizali się do lądu?

– Nie pytałem. Mam spytać?

– Jasne. Zrób to.

Wulfe podbiegł do burty i po chwili już wychylał się jak szalony i wrzeszczał coś w stronę fal. Żołnierze ryknęli śmiechem na ten cudaczny widok. Skylan poczuł się jak kretyn, lecz jednak poczekał cierpliwie na Wulfe'a i jego wieści od magicznych przyjaciół.

– Za dwa dni – oświadczył Wulfe, gdy tylko znów przy nim przykucnął. – Jeśli nie zmieni się kierunek wiatru. Ale mówią, że raczej nie.

Dwa dni. W dwa dni mogą dopłynąć do brzegu. Skylan nie był pewien, czy wierzy chłopcu, czy tylko chce mu wierzyć. Tak czy siak, nie miało to znaczenia. Nie mieli innej szansy na ucieczkę, więc muszą zaryzykować i zaufać bogom.

Powiedział chłopcu, o co chciałby go prosić.

Wulfe pokręcił głową jak szalony i czmychnął.

– Wracaj natychmiast – syknął Skylan.

Chłopiec wrócił, powłócząc nogami.

– Chcesz uciec od tych żołnierzy czy nie? – spytał Skylan cicho, kątem oka obserwując Zahakisa.

Wulfe pokiwał głową powoli, nie spuszczać z przyjaciela podejrzliwego spojrzenia.

– Chcesz, żeby Raegar zginął, czy nie?

Wulfe znów pokiwał głową, tym razem z większym przekonaniem.

– Więc musisz zdobyć dla mnie ten klucz – szepnął Skylan. – Nikt poza tobą nie jest w stanie tego zrobić.

– Ale on jest zrobiony z żelaza. Poparzę się – jęknął żałośnie Wulfe.

Jeszcze niedawno Skylan po prostu by mu nie uwierzył, ale gdy jakiś czas temu kazał mu wyczyścić miecz, na własne oczy zobaczył poparzone palce chłopca. Wyglądały tak, jakby Wulfe dotknął dłońmi rozgrzanego do czerwoności kotła.

Chłopiec zmarszczył brwi.

– A na co ci w ogóle ten klucz?

– Żeby otworzyć kajdany – wyjaśnił Skylan. – Wiesz przecież, jak działa zamek, tak?

Wulfe pokręcił głową przecząco.

– Druidzi nigdy niczego nie zamykali.

W zasadzie specjalnie to Skylana nie zdziwiło. Z tego, co widział w ich wiosce, druidzi po prostu nie mieli niczego, co warto by trzymać pod kluczem.

Skylan wskazał palcem kajdany u swoich nóg.

– Widzisz to metalowe pudełeczko w kształcie małej beczułki? Tam wkłada się klucz. Klucz dotyka sprężyny, która odskakuje i kajdany się otwierają. Nie będę potrzebował tego klucza na długo. Lepiej, żeby Zahakis nie zaczął go przypadkiem szukać.

Wulfe uśmiechnął się.

– Czyli chciałbyś, żebym ukradł Brzydalowi żelazny klucz, który trzyma na kciuku, i żeby on tego nie zauważył?

Skylan westchnął z rozpaczy. Chłopiec miał rację. To po prostu niewykonalne.

– Wulfe – powiedział nagle – rozmawiałeś może z Aylaen lub z Treią?

– Nigdy w życiu nie odezwę się do Trei – zapewnił go dzieciak.

– Ale odzywasz się do Aylaen, tak? Rozmawiałeś z nią?

– Tak – przyznał Wulfe. – Opowiadałem jej o mojej mamie i o moim tacie. Chyba podobały jej się moje historie. A co?

Skylan rozejrzał się dyskretnie i upewniwszy się, że nikt nie stoi zbyt blisko, spytał cicho:

– Czy nie wspominała o tym, że może znalazła się kość ducha?

Wulfe aż podskoczył z przerażenia i rzucił Skylanowi czujne spojrzenie spod kudłatej grzywki.

– Zgubiła się. Wpadła do morza.

– Wiem przecież, że wpadła do morza – zgodził się zniecierpliwiony Skylan. – Ale to nie znaczy, że przepadła na zawsze. Kość ducha zawsze wraca do tego, komu zaufa smok.

Wulfe wpatrywał się w niego z przejęciem.

– Serio? Wraca do osoby, której zaufa smok?

– No, tak. A co? Co to ma za znaczenie?

– A nie, nic – powiedział pospiesznie Wulfe. Zerknął jednak ukradkiem na smoczą głowę na dziobie. – Pomyślę o tym kluczu – rzucił i czmychnął.

Skylan zamierzał jeszcze poprosić chłopca, żeby powiedział Aylaen o planie; żeby spytał ją, czy nie zdołałaby jakoś pomóc. Lecz gdy to przemyślał, stwierdził, że nawet lepiej, że tego nie zrobił. Aylaen na pewno powiedziała o wszystkim Trei, a Treia niechybnie ostrzegłaby Raegara.

Skylan spojrzął na rzeźbioną głowę smoka, błagając o jakiś znak, choć jeden odbłysek światła w drewnianych oczach, który dałby mu cień nadziei. Lecz smocze oczy pozostawały zupełnie nieruchome; nie dały mu nic.

Zobaczył, że Wulfe znów wychyla się za burtę, macha do fali i gada z morską pianą.

– Nie dotyka żelaza, bo go parzy. Wierzy, że jego matka była Królową Leśnego Ludu, i gada z duszkami, które mieszkają w oceanie. – Skylan westchnął cicho i mruknął: – Ale w nim jednym cała moja nadzieja.

Wulfe siedział na deskach pokładu i obserwował Zahakisa. Już przedtem zauważył ten klucz, ale nie wiedział, ani co to jest, ani do czego służy. Myślał, że to po prostu taki brzydki pierścień. Teraz siedział i rozważał różne sposoby zdobycia tego kawałka żelaza. Mógłby wypowiedzieć zaklęcie, które kazałoby Zahakisowi upuścić klucz. Mógłby kazać jego ręce

drzeć tak długo, aż klucz sam by się zsunął. Mógłby rozpalić żelazo do czerwoności i wtedy Zahakis sam by chciał go na pewno zdjąć.

Ale to byłoby na nic, uświadomił sobie Wulfe. Bo wtedy Skylan też by go nie mógł dotknąć.

Jednak największa wada tych wszystkich pomysłów polegała na tym, że od razu widać było po nich, iż ktoś używa magii. Matka Sowa zawsze mu powtarzała, żeby ukrywał czary pod pozorami wydarzeń naturalnych i zwykłych. Bo inaczej ściągnie na siebie kłopoty.

To przypomniało mu o tamtej chwili, gdy wezwał mewy i Raegar uderzył go w twarz i kopał tak długo, aż Wulfe zemdłał. Tak, Wulfe naprawdę marzył o tym, żeby Raegar zakończył szybko swoje parszywe życie. Musi więc z całych sił skupić się na znalezieniu jakiegoś dobrego sposobu na wykradzenie kluczyka.

Późnym popołudniem na pokład wszedł Raegar. Skylan zastanawiał się, czy jego kuzyn zamierza przepłynąć wpraw z jednego okrętu na drugi, ale nie – galera wysunęła trap przeznaczony do abordażu i gdy *Venjekar* podpłynął dostatecznie blisko, opuściła go na pokład. Morze było spokojne. Raegar przeszedł po kładce bez żadnych przeszkód. Na smoczym okręcie powitał go dość sztywno Zahakis, a Torgunowie obrzucili go wyzwiskami. Raegar ostentacyjnie zapytał o Aylaen i Treię i wyraził nadzieję, że mają się dobrze. Oświadczył też, że musi z nimi porozmawiać, i zszedł na dół do ładowni.

Skylan nie widział Aylaen, odkąd odbili od brzegu. Treia wychodziła czasem na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza, ale Aylaen zawsze zostawała na dole. Skylan wiedział, że wciąż rozpacza po Garnie. I on nie mógł zapomnieć o przyjacielu i pragnął jakoś ją pocieszyć, może i samemu znaleźć pocieszenie we wspólnym wspomnianiu drogiej im osoby. Miał czasem wrażenie, że tylko ich dwoje prawdziwie opłakuje Garna. Bjorn i Erdmun też przecież byli jego przyjaciółmi. Widać było, że jest im smutno z powodu jego śmierci, ale ta strata nie uczyniła w ich sercach okrutnej wyrwy jak w wypadku Skylana. Czasami odczuwał ją tak boleśnie, jakby miał serce przekłute włócznią.

A może boleśniej, pomyślał. Każda rana goi się z czasem, potem szybko się o niej zapomina, a tymczasem rozpacz po stracie Garna i wyrzuty sumienia, że zginął z mojej winy, nie opuszczają mnie już do końca moich dni.

Nagle pojawił się przy nim Wulfe. Skylan musiał szybko przestać rozmyślać o zmarłym i skoncentrować się na żywych.

– Nie zasypiaj dziś w nocy – szepnął Wulfe i nim Skylan miał czas spytać go, o co chodzi, chłopiec pobiegł gdzieś i zniknął mu z oczu.

Co jakiś czas Zahakis sam stawał u steru w nocy i pozwalał Skylanowi odpocząć. Przykuwał go wtedy do tej samej grodzi co pozostałych Torgunów, którzy albo posyłali wówczas swemu wodzowi ponure spojrzenia, albo w ogóle nie zwracali na niego uwagi.

Tej nocy, gdy Skylan położył się przy Sigurdzie, szepnął:

– Nie zasypiaj. Powiedz innym.

Ciemne oczy Sigurda błysnęły groźnie. Kiwnął głową, odwrócił się na drugi bok i szepnął do Bjorna:

– Nie zasypiaj. Przekaż dalej.

Zapadła noc, a bóg Skoval przejął władanie nad światem. Była pełnia księżyca. Grzbiety fal skrzyły się srebrzyście. Z ładowni wyłonił się Raegar. Miał ponury wyraz twarzy. Wyraźnie był na coś zły.

Na straży jeńców stało dwóch żołnierzy. Jeden pełnił wartę przy rumplu, a pozostali jak zwykle grali w zgadywanie kamyków. Zahakis stał przy nadburciu na rufie i wpatrywał się w księżycowe fale. Wulfe’a nigdzie nie było widać.

Raegar podszedł do Zahakisa.

– Nadal nie pochwalam tej walki – oświadczył.

– Bardzo mi przykro, że się tym martwisz – odparł mu Zahakis, ale ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że jest wręcz odwrotnie. – Czy poinformowałeś o tym Legata?

– Tak – powiedział Raegar i zmarszczył brwi. – Wie dobrze, że ci dwaj chcą walczyć w imię swego barbarzyńskiego boga. Pozwalanie im na takie pogańskie rytuały tylko zachęca ich do oddawania czci bogom, którzy umarli.

– Rozumiem, że Legat nie wziął sobie do serca twojego argumentu – rzekł Zahakis.

– Nie – przyznał ze złością Raegar. – Acronis mówi, że żołnierze są wynudzeni i że potrzebują jakiejś rozrywki, by urozmaicić tę nużącą rutynę. Rozmawiałem jednak z Kapłankami Kości – dodał oschle. – Żadna z nich nie będzie brała udziału w tym cyrku.

– Jak się domyślam, kapłanka ma ważne znaczenie w przedstawieniu. Może jednak zgodzą się wyjść na pokład, jeśli ładnie je poproszę – odpowiedział Zahakis i nie udało mu się ukryć uśmiechu.

Raegar wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić, ale Zahakis po prostu odszedł, nie czekając nawet, co jeszcze miał do powiedzenia kapłan. Raegar mruknął coś pod nosem, a potem ruszył w stronę żołnierzy, którzy z ciekawością przysłuchiwali się tej wymianie zdań, a teraz udawali, że są całkowicie pochłonięci grą.

– Hazard jest nielegalny! – ryknął Raegar. – Marsz do łóżek!

Żołnierze spojrzeli na Zahakisa, który kiwnął lekko głową. Na to wszyscy wstali i – marudząc trochę – wykonali rozkaz.

Venjekar sunął po srebrzystych falach.

Skylanowi coraz bardziej chciało się spać i z irytacją pomyślał, że bez względu na to, jaki jest plan Wulfe’a, lepiej, żeby chłopiec zabrał się do roboty. Ledwie to pomyślał i zdążył zadać sobie pytanie, co właściwie zamierza jego przyjaciel, gdy Zahakis wrzasnął przeraźliwie i odskoczył od nadburcia, rozpaczliwie wymachując lewą dłońią.

Jego krzyk obudził wszystkich. Żołnierze rzucili się do broni. Torgunowie wstali raptownie. Wszyscy wpatrywali się w Zahakisa, który walczył z czymś lśniącem białawo w księżycowej poświacie.

Nagle Bjorn wybuchnął śmiechem.

– To meduza!

Trujące macki morskiego stworzonka oplótły palce dowódcy. Żołnierze pospieszyli go ratować, ale gdy już byli przy nim, okazało się, że żaden z nich nie ma właściwie pomysłu, co z tym zrobić. Nikt nie chciał dotknąć meduzy. Klnąc i wyjąc z bólu, Zahakis w końcu zdołał strząsnąć nieszczęsne stworzenie. Wylądowało na pokładzie z głośnym pluśnięciem.

Zahakis chwycił dłoń. Nie przestawał kłąć. Skylan znał to uczucie, bo kiedyś poparzyła go meduza. Ostre igły bólu wbijały się głęboko w skórę.

Dłoń Trybuna zaczęła szybko puchnąć od trucizny. Chwycił za pierścień, zerwał go i cisnął nim o pokład. Potem zwinął się z bólu, ściskając dłoń i wyjąc strasznie.

Żołnierze otoczyli go troskliwie. Każdy miał jakąś radę. Jeden z nich potknął się o coś i wtedy Skylan zauważył, że po pokładzie skrada się Wulfe. Żołnierze kazali mu nie zawadzać i przegonili go podenerwowani. Wulfe uciekł więc posłusznie. Trzymał już jednak małe zawiniątko. Po chwili upuścił Skylanowi na kolana kawałek płótna.

Skylan odwrócił się, żeby ukryć przed żołnierzami, co robi, i rozwinął płótno. W środku był pierścień z kluczem.

Już miał niepostrzeżenie podać go Sigurdowi, gdy światło księżycy przesłonił mu cień. Podniósł wzrok i zobaczył Raegara. Pospiesznie skrył klucz w dłoni i zacisnął pięść.

Ale Raegara w ogóle nie interesowały jego poczynania. Jego ofiarą padł zupełnie kto inny. Pochylił się i złapał Wulfe'a za włosy, a potem pociągnął mocno.

– To on to zrobił! – wrzasnął. – To on ci to zrobił, Trybunie!

– Co zrobił? – spytał rozeźlony Zahakis.

– To on wysłał meduzę, żeby cię zaatakowała – ryknął Raegar z nienawiścią.

Żołnierze wybuchnęli śmiechem i nawet cierpiącemu Zahakisowi usta drgnęły w uśmiechu.

– Raegarze, puść dzieciaka...

– A od kiedy to meduzy latają, co? – wrzeszczał wściekły Raegar. – Ten chłopak to demon! Musi umrzeć! Aelon żąda, by chłopak zginął!

Szarpnął Wulfe'em i cisnął nim za burtę.

Chłopiec zdążył tylko pisnąć, potem z pluskiem wpadł w wodę i od razu zniknął. Przez chwilę wszyscy stali tępo i wgapiali się bezradnie w fale, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Potem nagle wszyscy zaczęli biegać w tę i w tę i krzyczeć jeden przez drugiego.

Skylan zerwał się na równe nogi, z niepokojem o Wulfe'a zupełnie zapominając o tym, że jest w kajdanach. Przewrócił się i runął głową o deski pokładu. Kilku żołnierzy rzuciło się do

burty wyglądać chłopca. Wulfe wypłynął właśnie na powierzchnię. Bulgotał i chaotycznie wymachiwał rękoma. Żołnierze darli się i pokazywali go sobie palcami.

Wulfe znów zniknął pod wodą. Zahakis krzyknął, żeby jeden z ludzi skoczył po chłopca, gdy nagle ni stąd, ni zowąd ze spokojnego morza wyłoniła się potężna fala. Wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż zawisła nad *Venjekarem* jak wielka dłoń gotowa zabić muchę. Potem z hukiem rozbiła się o dziób.

Venjekar przechylił się raptownie. Ludzie chwyтали się, czego popadnie, żeby nie zmyło ich z pokładu. Okręt stanął niemal pionowo. Skylan desperacko zaciskał ręce na łańcuchach i nagle ze zdumieniem ujrzał, jak tuż obok niego przelatuje Wulfe pchany morską falą. Chłopiec wylądował pod jedną ze skrzyni i leżał po chwili na pokładzie, krztusząc się i plując wodą.

Morze uspokoiło się natychmiast, ale zdawało się, że ciche fale wciąż uderzają w burty z wyrzutem. Zahakis przyklęknął przy chłopcu, zaczął klepać go po plecach, wypytywał, czy nic mu się nie stało.

Skylanowi wydawało się, że w fali widział twarze, twarze pięknych wściekłych kobiet o włosach z morskiej piany. Nie miał jednak czasu, by się zastanawiać nad tym, czy wierzy własnym oczom czy nie. Rozeźleni żołnierze otoczyli Zahakisa i zaczęli krzyczeć, żeby pozwolił im wyrzucić Raegara za burtę. Skylan podpełzł do Sigurda i podał mu kluczyk.

– Powiedz pozostałym, żeby otworzyli kajdany, a potem udawali, że wciąż są zamknięte. Ale ty swoich nie otwieraj – dodał, wyciągając dłoń, żeby uniemożliwić Sigurdowi otworenie kajdan.

Sigurd spojrzał na niego groźnie.

– Jutro będziemy walczyć – wyjaśnił Skylan. – Jak by to wyglądało, gdyby Zahakis podszedł do ciebie, żeby wypuścić cię z kajdan, i zorientował się, że już sobie je sam otworzyłeś?

Sigurdowi chwilę zajęło przemyślenie tych słów, ale w końcu pokiwał głową i podał klucz Bjornowi, szepcząc mu, co ma zrobić. Bjorn sprawnie otworzył zamek i przekazał klucz Erdmunowi. Kluczyk wędrował przez rząd wojowników. Niektórym otwieranie zamka szło oporniej, a zgrzyt przekręcanego klucza wydawał się tak głośny, że niewątpliwie słyszano go nawet w Vindraholmie. Skylan wzdrygnął się mimowolnie. Żołnierze na pewno to słyszeli.

Ale żaden z nich nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Zahakis uciszył ich dość sprawnie, a potem nakazał im wyjąć ubrania, rozłożyć posłania i uporządkować swoje rzeczy, które rozrzucone były po całym pokładzie.

Trybun podszedł do Raegara z posępną miną.

– Masz szczęście, że nie zrobiłem tego, co chcieli moi ludzie, i że jeszcze nie jesteś za burtą – wycedził.

– Najpierw ta meduza – bełkotał przejęty Raegar – potem fala. Wszystko to jego sprawka. Zahakis po prostu odszedł.

– Jeszcze pożałujesz, że ten chłopak żyje! – zawołał za nim Raegar.

Zahakis powiedział coś, czego Raegar nie dosłyszał. W okręt uderzyła kolejna fala. Raegar podszedł do ładowni, uniósł klapę i wszedł pod pokład. Zahakis zbliżył się do Torgunów i stanął przed Skylanem, który zamarł, aż nazbyt świadomy tego, że klucz wędruje od jeńca do jeńca. Kątem oka zarejestrował, że Grimuir zacisnął go nerwowo w dłoni.

Skylan uśmiechnął się do Zahakisa niewinnie.

– Słyszałem, że uryna łagodzi pieczenie po meduzie. Chętnie na ciebie nasikam, Trybunie.

Zahakis pokręcił głową, mruknął coś i poszedł sobie.

Na razie zapomniał o kluczu, pomyślał Skylan, ale wkrótce sobie o nim przypomni. Z niepokojem spojrzał na Torgunów.

Grimuir nadal mocował się z zamkiem. Potem podał klucz następnemu wojownikowi. Wulfe przycupnął przy Aki, który siedział na końcu. Gdy tylko Aki się uwolnił z kajdan, oddał klucz chłopcu.

Wulfe pochwycił go i przebiegł przez pokład, dyskretnie zrzucając klucz na deski tuż obok miejsca, w którym stał Zahakis, gdy go zdjął. Po chwili potknął się o niego jeden z żołnierzy i natychmiast oddał go Trybunowi. Skylan odetchnął z ulgą. Pierwszy krok mają za sobą.

Żołnierze zabrali się do ścierania wody morskiej z mieczy i polerowania zbroi, żeby nie zardzewiała z wilgoci. Zahakis nabrał sobie wody morskiej do hełmu i zanurzył w nim dłoń. Torgunowie udawali, że śpią.

Wulfe ułożył się obok Skylana.

– Mój kocyk jest mokry – wyjaśnił obrażonym tonem.

– Nie narzekaj. Masz szczęście, że żyjesz – zbeształ go Skylan.

– E tam – zbagatelizował jego słowa chłopiec. – Przecież oceanidy by mnie uratowały.

Skylan znów miał przed oczyma te twarze, które zobaczył w fali. Spojrzał na Wulfe'a uważnie.

– Skąd się wzięła ta meduza?

– Śmieszne to było, nie? – mruknął zadowolony z siebie Wulfe. – A Zahakis tak podskakiwał w górę i w dół i tak wymachiwał tą ręką, żeby ją strząsnąć.

– Wulfe...

– Spać mi się chce – jęknął dzieciak, zwinął się w kłębek i przytulił plecami do Skylana, żeby było mu cieplej.

Sigurd dźgnął Skylana łokciem w żebra.

– Ten, który pierwszy zrani drugiego, jest wodzem. Zgodziłeś się na to. Przysięgłeś na Torvala.

Skylan nic nie odpowiedział.

Rozdział 10

Nastał dzień Vutmany. Było pogodnie, chłodno i bezchmurnie. Skylan uznał słońce za dobry znak; Aylis uśmiechała się do nich. Morze było zupełnie spokojne, panowała flauta. Okręty potrzebowałyby wioślarzy, ale Legat ogłosił, że ten dzień jest wolny od pracy. *Światło Morza* i *Venjekar* kołysały się delikatnie na gładkiej powierzchni. Załoga przełożyła trap i Acronis, wraz ze swoimi strażnikami oraz służącym niosącym składane krzeselko, przeszedł z galery na *Venjekar*. Załoga *Światła Morza*, nie wyłączając wioślarzy, zebrała się na pokładzie, by popatrzeć, jak walczą barbarzyńcy.

– Co ci się stało w rękę? – spytał Acronis, zauważywszy obrzęk na palcach, dłoni i przegubie Trybuna.

Zahakis zrelacjonował mu wydarzenia poprzedniego wieczoru.

– Dziwne, dziwne – rzekł Legat. – Więc Raegar wrzucił chłopca do morza, a ono go oddało?

– Na to by wyglądało, panie – przytaknął Zahakis.

Acronis spojrzał na żołnierzy.

– Jak zareagowali na to twoi ludzie?

– Raegar próbował utopić dziecko, panie. Żołnierzom się to nie spodobało.

– Ci sami ludzie nie zawahaliby się przed zabiciem go jak psa, gdyby napatoczył im się przy plądrowaniu miasta. A jednak zamartwiają się, gdy usiłuje go utopić jakiś kapłan – stwierdził Acronis i pokręcił głową z zastanowieniem.

– Co innego zabić w ferworze walki, panie, a co innego patrzeć, jak ktoś wyrzuca za burtę bezbronne dziecko – zaoponował Zahakis z lekką dezaprobatą.

Acronis zmarszczył brew.

– Tak, cóż, trudno im się dziwić. – Zaczerpnął słonego powietrza i z ulgą zmienił temat. – Czy barbarzyńcy są już gotowi do walki? Jak pewnie wiesz, Raegar nie popiera tego pomysłu.

– Raegarowi w ogóle jakoś nie dopisuje szczęście podczas tej naszej podróży – zauważył Zahakis ze złośliwym uśmieszkiem. – Wszystko jest już gotowe. Ludzie otrzymali odpowiednie rozkazy.

– Dobrze więc. Zaczynamy zatem... jak to się tam nazywa.

W ładowni Raegar przemierzał nerwowo małą przestrzeń, co było zresztą nie lada wyzwaniem dla mężczyzny o jego gabarytach. Musiał schylić głowę i zgarbić się w bardzo niewygodny sposób. Aylaen zignorowałyby go jak zwykle, gdyby nie to, że zaintrygowały ją wydarzenia poprzedniego dnia. Słyszały w nocy krzyki, potem czuły, że okręt przechylił się gwałtownie, aż poturlały się obie po podłodze ładowni. Po chwili *Venjekar* wrócił do poziomu i wszystko się uspokoiło, a kobiety nie miały pojęcia, co się w ogóle stało.

Aylaen była na siebie zła o tę ciekawość, o to, że w ogóle chce wiedzieć, co się wydarzyło. Garn nie żył. Przecież nic nie powinno ją interesować. A jednak musiała pospiesznie skryć uśmiech, gdy usłyszała skargi Raegara, który opowiadał właśnie, jak to Wulfe kazał meduzie wskoczyć na pokład okrętu i zaatakować Zahakisa. Najwyraźniej jednak nie udało jej się go ukryć zbyt skutecznie, bo Treia posłała jej karcące spojrzenie.

– Ten chłopak jest tak strasznym zagrożeniem – perorował Raegar. – Próbowałem ostrzec tych głupców, ale mnie nie słuchają. Aelon nakazał mi podjąć jakieś kroki. Wyrzuciłem więc chłopca do morza...

– Co zrobiłeś? – wrzasnęła przerażona Aylaen.

– I dobrze mu tak – skomentowała bez litości Treia.

– Ale, siostrzyczko, jak możesz tak mówić? Wulfe to tylko mały chłopiec, a ten mężczyzna go zabił tak po prostu!

– Wulfe żyje – sprostował Raegar. – Zaprzyjaźnione z nim demony oczywiście go uratowały. Fala wyrzuciła go z powrotem na pokład.

Aylaen otworzyła usta, żeby mu powiedzieć, że to kompletna bzdura, ale pochwyciła surowe spojrzenie Trei i umilkła potulnie. Jej siostra znów była szczęśliwa. Raegar wybaczył jej porażkę ze smokiem i znów zaszczycił ją swoją uwagą. Aylaen cieszyłaby się być może szczęściem siostry, ale nie uszło jej uwagi, że Raegar zaczął wykazywać duże zainteresowanie także jej osobą. Nic nie powiedziała, ale nie podobało jej się to, jak na nią patrzył.

– Czy Sigurd i Skylan będą walczyć w tej niby-Vutmanie? – pytała właśnie Treia. – Dlaczego Legat w ogóle na to pozwala?

– Bo żołnierzom potrzeba jakiejś rozrywki – wyjaśnił kwaśno Raegar. – Vutmana nie odbędzie się jednak bez Kapłanki Kości. Powiedziałem im, że żadna z was nie chce mieć z tym wszystkim nic do czynienia.

– Czemu nie? Ja mogę im sędziować – powiedziała Aylaen tylko po to, żeby zdenerwować Raegara.

Treia rzuciła jej wściekłe spojrzenie.

– Nie zrobisz czegoś takiego. Zabraniam ci!

– Mogłoby ci się coś stać – dodał Raegar głosem tak pełnym troski, że Aylaen przeszły ciarki po plecach z obrzydzenia.

– Dlaczego miałoby mi się coś stać? – spytała zgryźliwie.

Treia i Raegar wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Przecież cała ta Vutmana to tylko wybieg Skylana, żeby uciec.

– Naprawdę? – Aylaen otworzyła oczy ze zdumienia.

– Oczywiście – powiedział Raegar i lekceważąco machnął ręką.

– Ale w takim razie dlaczego Legat pozwala im walczyć?

– Acronis nie jest głupi. Przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności.

– Ale, siostrzyczko, czy ty nie chcesz uciec? – wybąkała Aylaen. – Nie chcesz wrócić do domu?

Wystarczyło popatrzeć na Treię i na jej rozkochany wzrok, by znać odpowiedź.

Aylaen ogarnęła tęsknota za domem. Tęskniła za matką, która tak bardzo nie chciała, żeby Aylaen wyruszała w tę podróż, która płakała i błagała, by Aylaen została. Tęskniła za polami, na których pracowała z Garnem, za zagajnikiem, w którym kochali się popołudniami. Z przerażeniem myślała o życiu w niewoli, drżała na samą myśl o swojej przyszłości. Nienawidziła Skylana, ale nigdy nie zwątpiła w jego odwagę i determinację. Nagle przyszło jej do głowy, że wszystkie te dziwne wydarzenia poprzedniej nocy mogły być częścią jego przemyślnego planu.

Popatrzyła z ukosa na Raegara, który siedział przy Trei i wylewał swe żale, rad, że ktoś słucha go z takim oddaniem. Widząc, że jest zajęty i choć przez chwilę nie zwraca na nią uwagi, Aylaen ostrożnie wyciągnęła nożyk z cholewki i wetknęła go za skórzany pasek, a potem zakryła go starannie fałdami tuniki, sprawdzając, czy na pewno go nie widać.

– Nie znalazłaś kości ducha? – pytał właśnie Treię Raegar.

– Nie – odpowiedziała i wzruszyła ramionami. – Wątpię, byśmy ją kiedykolwiek zdołali odnaleźć. Smok Kahg opuścił nas na zawsze.

Raegar pokiwał głową z nieukrywanym zadowoleniem.

– To znak, że wasi bogowie się poddali.

Nad klapą pochylił się żołnierz i krzyknął:

– Kapłanie Wojownika Raegarze! Jesteś proszony wraz z kobietami na pokład.

Raegar pomógł Trei wspiąć się po drabinie. Chciał pomóc także Aylaen, ale wyrwała mu się. Uśmiechnął się tylko, wzruszył ramionami i poszedł za Treią. Aylaen szła na końcu, a pod tuniką czuła zimną stal noża.

Nasi bogowie nigdy się nie poddadzą, pomyślała. I my też nie.

Raegar wyszedł na pokład. Legat i Trybun Zahakis pogrążeni w rozmowie stali na honorowym miejscu pod galionem i przyglądali się, jak żołnierze wznoszą prowizoryczne zadaszenie z płócien, które miało chronić Acronisa przed słońcem, żeby mógł w spokoju obserwować spektakl.

Acronis powinien był zaprosić tam także Raegara, który był w końcu Kapłanem Wojownikiem, wyznaczonym przez samego Kapłana Generała na duchowego opiekuna *Światła Morza*. Acronis zauważył Raegara i powiedział coś do Zahakisa, który uśmiechnął się

pod nosem. Raegar domyślił się, że mówią o nim. Pokłonił się. Acronis tylko kiwnął mu głową i odwrócił się do niego plecami.

Raegar był coraz bardziej rozeźlony. Jako przedstawiciel Aelona był odpowiedzialny za dusze wszystkich osób znajdujących się na pokładzie, nie wyłączając Trybuna i Legata. Sumiennie wywiązywał się ze swych obowiązków. Wygłaszał odpowiednie kazania o Aelonie, o tym, jak bóg światła ma na uwadze ich dobro, jak chce, by pędzili pobożne i pożyteczne życie.

Był szczerze oddany swemu bogu. Naprawdę wierzył, że wszyscy muszą stanąć przed obliczem Aelona, by osiągnąć zbawienie duszy. Naprawdę był przekonany, że robi to wszystko dla dobra Legata i jego załogi, a nawet swoich rodaków, Vindrasów. Co prawda zdradził ich i skazał na niewolę, ale jak często powtarza Kapłan Generał, jeśli Aelon czasem rzuca mroczny cień, dzieje się tak tylko dlatego, że światło za nim świeci z niezwykle jasnością.

Życie w Sinarii nie było łatwe dla wyzwolonego niewolnika. Raegar zwrócił się do Aelona z rozpaczą, a bóg go wybrał, wyciągnął z prochu i hojnie wynagrodził mu jego oddanie i pracę. Raegar marzył o tym, by otworzyły się oczy innych ludzi. Wszystko, co czynił, było dla ich dobra. A jednak – tylko dlatego że miał jasne włosy i niebieskie oczy – ciemnoocy, śniadzi Południowcy widzieli w nim jedynie barbarzyńcę, który jeszcze niedawno był ich niewolnikiem.

– Czy coś się stało, kochany? – spytała troskliwie Treia, widząc jego zachmurzone oblicze.

Żołnierze zmagali się wciąż z zadaszaniem, mieli więc czas na rozmowę.

– Spójrz tylko na tych dwóch – mruknął Raegar. – Powinni byli mnie posłuchać. Jeszcze tego pożałują. Ostrzegalem Legata przed moim kuzynem. Aelon dał mi znak, że Skylan i pozostali stanowią zagrożenie dla naszej wiary – dodał cicho.

– Aelon przemawia do ciebie? – chciała wiedzieć Treia.

– Nie słowami, lecz uczuciami – wyjaśnił. – Gdy Skylan Ivorson powiedział mi, że został Wodzem Wodków ludu Vindrasów, od razu poczułem w mym sercu i duszy, że musi umrzeć.

Treia rozwarła szeroko oczy w zdumieniu.

– Już przedtem zdarzały mi się tak silne uczucia i Kapłan Generał mówi, że bez wątpienia pochodzą one od Aelona i że powinienem być im posłuszny. Powiedziałem Legatowi, że ma zabić Skylana i pozostałych, prócz Aylaen oczywiście – dodał pospiesznie, rozglądając się za nią. Odeszła od nich chwilę temu i stała teraz sama przy nadburciu zapatrzona w morze. – Mam nadzieję, że twoja siostra nawróci się na naszą wiarę, tak jak ty to uczyniłaś – dodał znacznie łagodniejszym tonem.

Uczucia Raegara wobec Aylaen także były silne, choć raczej nie pochodziły od Aelona. Zawsze wydawała mu się piękna i ponętna, ale wiedział, że kocha Garna i że nie ma u niej szans. Teraz, gdy Garn już nie żył, Raegar zaczął mieć nadzieję na tę piękną dziewczynę.

Oczywiście nie dzielił się swoimi przemyśleniami z Treią. Jeszcze nie czas. Treia jest taka zazdrosna. Z czasem przekona ją jednak do swego sposobu myślenia.

– Skoro Aelon jest tak potężny – powiedziała Treia – dlaczego obawia się Skylana?

Spojrzał na nią ostro i zmarszczył brwi.

– Czy naśmiewasz się z boga?

– Oczywiście, że nie – zapewniła go pospiesznie, zamykając dłoń na jego dłoni w przepraszającym geście. – Miałam tylko na myśli to, że Skylan jest zwykłym śmiertelnikiem. Twoim niewolnikiem. Aelon to potężny bóg...

– Nie podważam nakazów boga – syknął Raegar. – Wiem, co czułem. Jeśli sądzisz, że się mylę... – Cofnął dłoń.

– Nie, nie! – Treia chwyciła go kurczowo. Spojrzała na swojego ojczyzna i pozostałych mężczyzn w kajdanach na rękach i nogach, a jej usta zacisnęły się w nienawiści. – Jestem pewna, że masz rację – dodała raptownie.

– Ostrzegłem Trybuna przed tymi ludźmi. A on mnie wyśmiał. Ten człowiek pogrążony jest w ciemności, Treiu – zapewnił ją żarliwie Raegar. – Próbuję tylko ukazać mu światło Aelona. Mimo to jednak on zupełnie mnie nie szanuje. Dlaczego?

– Bo jesteś tym obcym. Nieważne, że od lat żyjesz wśród tych ludzi. Nie jesteś jednym z nich i nigdy nie będziesz. Znam to – dodała z goryczą. – Mnie także traktowano w ten sposób. Zapomnij o pomaganiu im i skup się na pomaganiu sobie.

Raegarowi znów przypomniały się wszystkie obelgi i złośliwości, jedne zawołowane, inne nie. Znów pomyślał o tym, że on – wysokiej rangi kapłan – nigdy nie bywa zapraszany do arystokratycznych domów. Gdy chciał się ponownie ożenić, ubiegał się o rękę pewnej dobrze urodzonej niewiasty. Roześmiała mu się w twarz.

Podniósł dłoń Trei do ust.

– Jesteś mądrą kobietą, kochana.

Treia zarumieniła się na ten komplement.

Żołnierze wreszcie skończyli budowę zadaszenia. Służący Legata postawił w cieniu składane krzeselko. Acronis usiadł; Zahakis stanął przy nim.

Żołnierze otworzyli kajdany na nogach Skylana i uwolnili Sigurda z łańcuchów. Przyzwyczajony już do chodzenia z ciężarami u nóg Skylan zrobił niepewny krok i mało nie upadł. Sigurd stał i rozcierał sobie poobijane nadgarstki. Skylan obrzucił spojrzeniem cały pokład w poszukiwaniu Wulfe'a i zaniepokoił się, że go nie widzi. Potem jednak uświadomił sobie, że chłopak pewnie schował się w ładowni, z dala od mieczy i walki.

Acronis dał znak, że jest gotów i że można zaczynać.

– Jak rozumiem, sędziować będzie Kapłanka Kości. – Spojrzał na Treię.

Zamiast niej odezwał się Raegar.

– Kapłanka Kości Treia nie chce mieć nic do czynienia z tym pogańskim przelewem krwi
– oświadczył.

Sigurd i Skylan spojrzeli po sobie ponuro.

– Zabiję tego łajdaka – mruknął Skylan.

– Nie, jeśli ja pierwszy go dopadnę – syknął cicho Sigurd.

– Ten, kto wygra Vutmanę, ma też prawo zabić Raegara.

– Umowa stoi – szepnął Sigurd, lecz zaraz dodał posępnie: – Jeśli w ogóle będzie jakaś Vutmana. Co, jeśli teraz Acronis nie pozwoli nam walczyć?

Aylaen odwróciła się od nadburcia. Utkwiła zielone oczy w Skylanie.

– Będę sędziować w Vutmanie – oznajmiła. – Ten człowiek nie zasługuje na to, by być Wodzem Wodzów.

Zahakis wysłał więc swoich żołnierzy do ładowni, gdzie schował broń Vindrasów, i nakazał im przynieść dwa miecze i sześć tarcz, po trzy dla każdego z przeciwników.

Torgunowie patrzyli w pełnym napięcia milczeniu, przerywanym jedynie przez Erdmuna, który nerwowo bawił się zamkiem w kajdanach u nóg.

Jego brat, Bjorn, dźgnął go łokciem w żebra i szepnął:

– Przestań wreszcie, bo jeszcze ktoś zauważy!

– Ale ja nie wiem, co mam robić – zrzędził Erdmun.

– Czekaj – syknął Bjorn. – Wkrótce się dowiemy.

– Czyli że ty też nie wiesz – gderał Erdmun.

Ale brat już go nie słuchał.

Skylan tracił cierpliwość. Sigurd stał i głośno zgrzytał zębami. Jeden z żołnierzy wprowadził Aylaen do środka koła wyrysowanego na deskach pokładu. Raegar zaczerwienił się cały z wściekłości i próbował ją powstrzymać, ale Treia powiedziała mu coś na ucho i nic w końcu nie zrobił. Aylaen nawet nie zwracała na niego uwagi. Minę miała ponurą i poważną.

– Myślisz, że wie? Domyśla się? – mruknął Sigurd.

Skylan nieznacznie wruszył ramionami. Nie miał pojęcia.

Aylaen obrzuciła obu mężczyzn surowym spojrzeniem.

– Czy przyrzekacie, że zastosujecie się do wyroku Torwała?

– Ufam jego osądowi – rzekł Sigurd.

– A ty, Skylanie Ivorsonie? – spytała Aylaen, po czym dodała z drzeniem w głosie: – To ty kłamałeś, oszukiwałeś i dopuściłeś się morderstwa. Czy i ty zaufasz dziś Torwalowi?

Skylan aż drgnął na te okrutne słowa. Otworzył usta, by powiedzieć, że tak, ufa swemu bogu, ale to proste zdanie utknęło mu w gardle. Torwał ukarał go już za grzechy, bo co może być gorszego niż niewola? A jednak Torwał był bogiem mściwym, a jego pamięć była tak długa jak sam czas. Być może wcale jeszcze z nim nie skończył.

– Pokładam swoje zaufanie w Torwalu – powiedział w końcu Skylan i wiedział, że mówi to z głębi serca. Cokolwiek się stanie, wierzy w swego boga.

Zielone oczy Aylaen stały się tak szare jak morze.

– Modłę się, by Torwal osądził cię tak, jak na to zasługujesz.

– Jeśli tak uczyni, będę wkrótce wodzem – zapowiedział Sigurd. – Do pierwszej krwi więc.

Aylaen pokierowała obu przeciwników na miejsca, tak by stali naprzeciwko siebie po przeciwległych częściach koła.

Acronis tymczasem zajął się wyjaśnianiem swym ludziom zasad tej barbarzyńskiej walki. Mówił, że każdy z dwóch mężczyzn będzie miał szansę zaatakować przeciwnika, który będzie mógł w tym czasie jedynie zablokować cios tarczą lub bronią, lecz nie będzie mu wolno się bronić ani odpowiedzieć ciosem. Jeśli któryś z mężczyzn wyjdzie poza koło, okryje się hańbą.

Nastąpiły ostatnie zakłady. Większość stawiała na Sigurda. Wszyscy, poza Treią i Raegarem, usadowili się tak, by dobrze widzieć walkę. Oburzony kapłan okazał pogardę dla całego tego wydarzenia, wraz z kapłanką odchodząc na rufę, jak najdalej od walki. Oboje udawali, że nic ich nie interesuje Vutmana, i uparcie wpatrywali się w wodę.

Skylan kątem oka zarejestrował, że Bjorn, Grimuir i pozostali po cichu oswobadzają się z okowów, które otworzyli jeszcze w nocy.

Jako wyzwany miał prawo zadać pierwszy cios. Chwycił za jedną z tarcz i wziął do ręki miecz. Żołnierze przynieśli, co mieli pod ręką. Skylan nie miał pojęcia, co się stało z jego mieczem, który nazwał Tańcem Krwi, ale do ostatniej chwili się łudził, że Torwal wepchnie go żołnierzom do ręki. Albo Torwal nie chciał, by Skylan walczył swoją bronią, albo jej tam po prostu nie było. Od razu poznał ostrze, które wybrał dla niego człowiek Zahakisa. Sam podarował ten miecz Bjornowi tuż przed wyprawą. Popatrzył teraz na przyjaciela i pomachał mu mieczem. Bjorn uśmiechnął się nieznacznie i kiwnął mu głową.

Sigurd rozstawił nogi na deskach i uniósł tarczę, przygotowując się na cios. Zgodzili się ze Skylanem, że najlepiej będzie walczyć przez kilka rund, żeby żołnierze naprawdę się wciągnęli, a dopiero potem zaatakować wrogów.

Skylan był już gotowy do ataku, gdy nagle powietrze przeszył krzyk. Obrócił się i ujrzał, że jeden z żołnierzy trzyma na gardle Aylaen długi nóż.

– Nic jej nie grozi – krzyknął Acronis ze swojego wygodnego siedziska pod daszkiem – jeśli użyjecie tych mieczy jedynie do walki ze sobą i nie będziecie próbować nas zaatakować.

Rozdział 11

Rozwścieczony porażką Skylan rzucił się na Sigurda z siłą zrodzoną z rozpacz i frustracji. Sigurd zatoczył się i niemal upadł. Jego tarcza rozpadła się na pół. Zdrętwiało mu ramię od nadgarstka po łokieć. Odrzucił resztki tarczy. Skylan odszedł na swoje miejsce tak, jak nakazywały reguły walki, i czekał, aż jego przeciwnik dojdzie do siebie.

Gdy tak stał, spojrzął na Bjorna, który podrapał się po brodzie i machnął lekko głową. Był to ustalony sygnał; wojownicy byli już wolni i mogli walczyć. Cóż mogli jednak zrobić?

Sigurd pochwycił drugą tarczę. Minę miał ponurą, posępną. Zacisnął palce na rękojeści miecza i nagle jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu – szerokim, szalonym uśmiechu, który pojawiał się u niego zawsze, gdy stał w ścianie tarcz obłany krwią wroga. Sigurd nie miał jeszcze wcale robić użytku ze swojej broni. Według zasad Vutmany miał nadal stać i czekać, aż przeciwnik uderzy. Ale gdy Skylan ujrzał jego uśmiech, wiedział już, że Sigurdowi nie chodzi wcale o uwolnienie siebie czy pozostałych. Chodzi mu tylko o jedno – jego krew.

Skylan rzucił więc swoją tarczę i obydwoma rękami trzymając miecz, ruszył w stronę swego przeciwnika. Uderzył w jego tarczę i – patrząc na ruchy jego nóg – zobaczył, że Sigurd przenosi ciężar ciała z jednej na drugą, by zadać mu cios. Skylan nie włożył w swój atak całej siły, bo wiedział, że żywy Sigurd przyda mu się znacznie bardziej niż martwy. Podskoczył, zwinął się zgrabnie, rzucił się na pokład i wykorzystując siłę ślizgu, kopnął Sigurda w kolana.

Zaskoczony Sigurd przeleciał mu nad głową i wylądował plecami na nim. Leżał tak chwilę, sapiąc głośno. Skylan zacisnął mu łokieć na gardle i musiał go na wpół udusić, nim żądny krwi szaleniec w ogóle zaczął go słuchać. Skylan powtórzył to samo dwukrotnie.

– Nasi wojownicy są wolni. Ty draniu, nasi wojownicy mogą walczyć.

Sigurd stęknął, a potem raptownie uderzył Skylana w twarz, rozdzierając mu wargę.

– A co z Aylaen? – syknął.

– Zajmę się nią – obiecał Skylan, a potem zrzucił Sigurda, żeby się spod niego wygramolić.

– To niezgodne z zasadami – zaprotestował czujny Acronis i wysłał Zahakisa, żeby rozdzielił walczących i odesłał ich na miejsca.

Gdy Sigurd mijał Skylana, uśmiechnął się, wskazał na jego usta i syknął:

– Pierwsza krew.

Skylan poczuł w ustach ciepłą sól. Sigurd wybrał następną tarczę, a on wolno wrócił na swoje miejsce.

Zwykle Torgunowie wrzeszczeliby i wiwatowali, ale byli zbyt spięci. Czekali na rozkaz do ataku. Wszystko szło nie tak, jak powinno, i Skylan nie rozumiał, dlaczego Zahakis tego w ogóle nie zauważył. Orańczycy robili hałas za wszystkich, głośno dopingując swoich faworytów. Pieniądze wędrowały z ręki do ręki. Acronis patrzył z nieukrywanym zainteresowaniem. Wskazał na Skylana i powiedział coś do swego skryby.

Skylan udał, że kuleje, żeby zyskać trochę na czasie przy podejściu do miecza. Rozejrzał się ukradkiem i ujrzał wszystkich i wszystko tak, jak widzi się czasem w zimowy poranek, gdy słońce roziskrza śnieg, powietrze ani drgnie, nic się nie porusza i nie ma żadnych dźwięków. Ujrzał rzeczywistość z absolutną ostrością.

Siedzący pod smoczym galionem Acronis miał na sobie luźne szaty, z pewnością wygodne w tym upale. Nie był uzbrojony. Po obu jego stronach stali strażnicy i ci byli uzbrojeni po zęby. Pozostali żołnierze rozproszeni byli po całym pokładzie, opierali się o nadburcie lub kucali na pokładzie. Niektórzy mieli na sobie zbroję, wszyscy jednak mieli przy sobie krótkie miecze.

Aylaen i jej strażnik stali tuż przy kole, w którym odbywała się walka. Zahakis – w pełnej zbroi i z przypasanym mieczem – znajdował się może dwa kroki od nich. Torgunowie przykuci byli do grodzi bliżej rufy.

W głowie Skylana zaczął się rodzić straceńczy plan. Pozostawało tylko wymyślić, jak uratować Aylaen. Spojrzał na nią. Ich oczy się spotkały. Znał tę zaciśniętą szczękę, drżące usta i zielony ogień w oczach. Aylaen się nie bała. Ona była wściekła. Spuściła wzrok. Dłoń przesunęła ku pasowi. Zrobiła nią gest, jakby zaciskała palce na rękojeści.

Mówiła mu w ten sposób, że ma broń i że jest w stanie o siebie zadbać.

Skylan chwycił za miecz. Sigurd trzymał tarczę i darł się, żeby odważyć się go wreszcie zaatakować. Skylan zrobił krok do przodu i zobaczył, że ręka Aylaen znika w fałdach tuniki. Błysnął metal. Stojący przy niej żołnierz ryknął rozpaczliwie i upuścił nóż. Z jego pachwiny lunęła krew. Z jękiem opadł na deski pokładu i zwinął się w agonii. Aylaen wyrwała mu miecz.

Skylan rzucił się w stronę Zahakisa, skacząc na niego głową do przodu i powalając, nim Trybun miał czas sięgnąć po broń. Za plecami słyszał wojenne okrzyki Torgunów, którzy zrzucili kajdany i rozbiegli się po pokładzie.

Skylan z całej siły uderzył Zahakisa w szczękę dwa razy, upewnił się, że Trybun omdlał, i już biegł w stronę Acronisa z Aylaen po jednej, a Sigurdem po drugiej stronie.

– Złap Legata! – krzyknął do Aylaen. – Chcę go żywego! Nie zabijaj go!

Aylaen popatrzyła na niego oszołomiona, lecz przytaknęła. Strażnicy Legata wyciągnęli miecze i zakryli go własnymi ciałami. Skylan rzucił się na jednego z nich, a Sigurd na drugiego. Przyzwyczajony do walki włócznią i toporem niewprawnie się posługiwał mieczem

i w końcu zaczął nim wymachiwać tak, jakby był to topór, waląc nim po głowie i ramionach przeciwnika. Strażnikowi udało się dźgnąć go w klatkę, ale Sigurd chyba nawet tego nie zauważył. Już opadło go szaleństwo Torvala i jego wróg nie był w stanie oprzeć się tak brutalnemu atakowi.

Zdawało się, że Torval pobłogosławił swym szaleństwem wszystkich Torgunów. Chyba że opadło ich szaleństwo na myśl o wolności. Wymachując łańcuchami i kajdanami jak bronią, wrywali Orańczykom miecze z dłoni, powalali ich na ziemię, masakrowali. Gdy tylko któryś z żołnierzy padł, już jeden z Torgunów był na nim, zabierał mu broń i pędził walczyć z następnym.

Skylan usiłował walczyć i zarazem mieć oko na Aylaen, która krążyła za Acronisem. W ten sposób popełnił błąd, który mógł go kosztować życie. Chcąc jak najszybciej skończyć potyczkę, zamarkował cios, a potem pchnął miecz do przodu i dopiero wtedy uświadomił sobie, że żołnierz tylko na to czekał. Szaleńczy skok na bok uratował mu życie, ale dosłownie w ostatniej chwili. Ostrze żołnierza przejechało mu po żebrach.

Pchnął miecz w owłosioną pachę przeciwnika niechronioną przez zbroję, ciął ścięgna, gruchotał kości. Wyrwał głownię z ciała i odskoczył, bo opadało, już martwe, na deski pokładu.

– Mam go! – zawołała Aylaen.

Stała za Acronisem, trzymała mu nóż na gardle i uśmiechała się triumfalnie.

Legat nie wydawał się przesadnie zaniepokojony. Sprawiał wrażenie, jakby wszystko to przydarzyło się komuś innemu. Jego skryba natomiast klęczał na zalanym krwią pokładzie, unosił ręce w błagalnym geście, trząsł się jak osika i krzyczał, by mu darować życie.

Skylan rozejrzał się i ze zdumieniem stwierdził, że zwyciężyli. Część żołnierzy wyskoczyła za burtę. Innych wyrzucili Torgunowie, zabrawszy im zbroję i broń. Brakowało tylko jednej osoby.

– Gdzie ten drań Raegar? – ryknął Sigurd.

Ostatni raz Skylan widział go na rufie. Odwrócił się w tę stronę, ale było już za późno. Obaj zobaczyli tylko, jak Raegar skacze do wody. Treia piszczała w panice, a on ją nawoływał. Kapłanka po chwili wahania wspięła się na nadburcie i skoczyła w morze.

Aylaen wrzasnęła, upuściła miecz i rzuciła się w jej stronę. Pochyliła się na nadburciu i zaczęła krzyczeć za siostrą. Raegarowi udało się chwycić Treię i na wpół płynął, na wpół ciągnął ją przez wodę. Treia nie umiała pływać. Wymachiwała rękoma, krztusiła się i rozpaczliwie chwytala go w morderczym uścisku. Spojrzała na Aylaen i odwróciła wzrok. Aylaen zamilkła i stała tak zrozpaczona.

Sigurd przejął Acronisa. Erdmun wiązał mu właśnie dłonie na plecach.

– Co robimy z naszym przyjacielem Trybunem? – spytał ponuro Bjorn.

Zahakis odzyskał przytomność i stał na własnych nogach. Bjorn i Grimuir związali mu ręce liną.

– Poderżnijmy mu gardło! – zawołał Aki, a pozostali Torgunowie przyklasnęli z aprobatą. Zahakis odwrócił się w stronę Skylan i uśmiechnął odważnie – jak tylko mógł ze złamanym nosem, rozciętą wargą i obitą do krwi twarzą.

– Niech żyje – powiedział krótko Skylan, ale na tyle głośno, by słyszano go nie tylko na *Venjekarze*, ale i na *Świetle Morza*. – Niech żyje i opowie światu, że Torgunowie to dzielni wojownicy i nie będą niczymi niewolnikami!

Nie spodobało się to Sigurdowi, ale pozostali Torgunowie z chęcią przystali na takie rozwiązanie. Vindrasi często wypuszczali na wolność tych wrogów, którzy przetrwali bitwę, żeby ich opowieści o vindraskiej dzikiej odwadze rozniosły się po świecie i wzbudziły postrach.

Skylan przejął Zahakisa. Przyłożył miecz do jego pleców i kazał mu iść w stronę burty. Tam przeciął pętające go liny.

– Zawdzięczam ci życie tego chłopaka – powiedział cicho.

Zahakis uśmiechnął się ze smutkiem.

– Nie doceniałem was, barbarzyńców. Co zrobicie z Legatem?

– Będzie naszym zakładnikiem.

Zahakis pokiwał głową.

– Wiesz, że wyruszę w pościg za wami.

– Tak, wiem. Będziemy na ciebie czekać.

Zawołał do pomocy Bjorna i we dwóch przetrzucili Zahakisa przez nadburcie. Wylądował w wodzie z głośnym pluskiem, załała go fala i szamotał się chwilę, lecz zaraz potem wynurzył się i mocnymi, zdecydowanymi ruchami popłynął sprawnie w stronę galery.

Aylaen patrzyła ze smutkiem, jak żołnierze wyciągają Treię z wody i pomagają jej wejść na triemę. Pozostali Torgunowie wzniesli wiwaty. Byli wolni. Byli w drodze do domu.

Rozdział 12

Żagiel zwisał bezwładnie. Spalone słońcem powietrze ani drgnęło. Morze było zupełnie gładkie. Jeśli smok nie wróci, Torgunowie będą musieli zasiać do wiosła. Siedem osób to o wiele za mało, by sprawnie wiosłować. Gdyby tylko był z nimi smok, mogliby popłynąć do Drzewa Świata i z powrotem. Skylan spojrział błagalnie na rzeźbioną głowę na dziobie.

Drewniane oczy patrzyły zupełnie bez wyrazu.

Skylan westchnął, pokręcił głową i zaczął się zastanawiać nad ich położeniem. Większość z jego ludzi odniosła w bitwie jakieś obrażenia, choć nikt nie był poważnie ranny. Wzięli Południowców z zaskoczenia. Ledwie kilku żołnierzy w ogóle zdołało wyciągnąć miecze, gdy Torgunowie już ich dopadli. Walka odbywała się wręcz, były więc podbite oczy, rozcięte policzki, pokiereszowane kłykcie. On sam miał ranę na żebrach, lecz niegroźną. Grimuirowi na pewno pozostanie blizna po nożu na ramionach. Utrzymywał jednak, że dzięki niej będzie się jeszcze bardziej podobał kobietom.

Torgunowie byli przejęci i szczęśliwi. Wolność uderzyła im do głów jak mocne wino. Byli zawiedzeni, że bogowie im nie pomagają, ale nie winili ich za to i nie narzekali. Bogowie Vindrasów byli surowymi rodzicami, którzy chodzili swoimi drogami, żyli własnym życiem i oczekiwali, że nieśmiertelnicy też sobie sami poradzą. Jeśli życie powaliło cię na łopatki, wstań, otrzyj krew i rzuć się z powrotem w bój, a nie wracaj z płaczem do domu.

Pchnęli więc skrzynie na miejsca i wyciągnęli wiosła. Sigurd chodził po pokładzie i wydawał rozkazy. Torgunowie jednak sami dobrze wiedzieli, co robić.

Gdy byli już gotowi, wiosła dotknęły wody, a okręt drgnął i zaczął pełzać przez fale, zaintonowali pradawną szantę. Skylan nie mógł tego znieść. Zszedł do ładowni, mrużąc coś o przyniesieniu broni.

Skrzynia z ich mieczami i toporami stała otwarta. Widział delikatne błyski słońca na głównej swego miecza, Tańca Krwi. Nie podniósł go jednak. Stał tak w ciemności, oparł głowę o belkę i zamknął oczy w rozpacz.

Czy tylko on jeden pojmował, w jak beznadziejnej znaleźli się sytuacji? Nie było smoka, który poprowadziłby ich przez morza. Znajdowali się daleko od lądu i mieli marne pojęcie o tym, gdzie właściwie są na tym przepastnym oceanie. Było ich za mało na wiosłowanie. Byli słabi, gdyż przez wiele dni jedli niewiele więcej niż pastę rybną i siedzieli bez ruchu w

kajdanach. A tuż obok Zahakis niecierpliwym krokiem przemierzał swoją wojenną galerę z dwustoma wypoczętymi i najedzonymi wioślarzami.

Skylan westchnął ciężko. Na nic się zda przeklinanie ciemności. Przypasał pochwę z kozłej skóry, którą kazał uszyć specjalnie na swój miecz, wsadził w nią swoją wspaniałą broń i poczuł się nieco lepiej. Wrócił na pokład poszukać Aylaen, która stała przy nadburciu i wciąż patrzyła na swoją siostrę. Skylan kiwnął na nią, by odeszła z nim na rufę, z dala od innych. Poszła za nim, ale jej dumnie uniesiona głowa i sztywno wyprostowane plecy dały mu jasno do zrozumienia, że ma zachować bezpieczny dystans.

Skylan przemówił do niej tak cicho, by nikt go nie usłyszał.

– Aylaen, czy Treia ma kość ducha? Czy zabrała ją ze sobą?

– Nie! Oczywiście, że nie! – syknęła Aylaen i zmierzyła go pełnym oburzenia wzrokiem.

– Gdyby ją miała, przecież natychmiast wezwałaby smoka, żeby nam pomógł!

Skylan spojrział na galerę. Widział, że Raegar jest już na pokładzie. Przy nim stała Treia. Aylaen zobaczyła, że jego wzrok wędruje za jej siostrą, i jej oczy błysnęły złością.

– Ty też myślisz, że ona nas zdradziła, tak?

– Aylaen... – zaczął Skylan, próbując ją jakoś udobruchać.

– Ona nie ma tej kości! Wiem, że na pewno jej nie ma, bo szukałyśmy jej! Razem jej szukałyśmy! – Głos jej się łamał. – Wiesz dobrze, że gdyby smok Kahg chciał, byśmy ją miały, wcale nie musiałybyśmy jej szukać. Spójrz prawdzie w oczy, Skylan. Smok nas opuścił. Bogowie nas opuścili!

Opuściła głowę i zamrugwała rozpaczliwie.

– Aylaen...

– I wszystko to twoja wina! – krzyknęła.

– Wiem, że to moja wina – szepnął pośepnie. – Ale ta nic już się przerwała i nie mogę jej z powrotem związać, choćbym nie wiem jak chciał. Musisz przestać mnie oskarżać. Przestać martwić się o siostrę. Podjęła taką decyzję i miała do tego prawo. A ty musisz być teraz wojownikiem, Aylaen. Musisz pilnować Legata, bo wszyscy mężczyźni potrzebni są przy wiosłach. – Podał jej miecz w pochwie. – Znalazłem go w ładowni.

Aylaen otarła łzy, wzięła pochwę i wyciągnęła z niej lśniące stalowe ostrze o wytartej rękojeści z kości słoniowej. Był to miecz, który znalazła w świątyni Vindrash. Sama bogini dała jej tę broń, a przynajmniej tak wierzyła Aylaen. Zacisnęła dłoń na rękojeści. Miecz był mniejszy niż męska broń, idealny dla kobiecej ręki.

Uniosła go i spojrzała na Skylana, a potem przeniosła wzrok na Sigurda.

– Stanę na straży Legata, wodzu. Potrzebujesz wszystkich mężczyzn do wiosłowania.

Sigurd machnął w jej stronę z aprobatą. Aylaen wcisnęła miecz do pochwy i zawiesiła ją sobie w pasie. Odwróciła się na pięcie bez słowa i przeszła przez pokład do Acronisa, który wciąż siedział sobie na składanym krzeselku z rękoma związanymi na plecach i spętanymi kostkami.

Widząc, że Aylaen do niego podchodzi, uśmiechnął się ubawiony.

– To dzięki tobie dziś wygrali. Żeby zadźgać kogoś, kto trzyma ci nóż na gardle, trzeba odwagi i opanowania. Czy wszystkie barbarzyńskie kobiety tak świetnie znają się na wojennym fachu?

Aylaen pokręciła głową, aż zatrzęśły się jej rude loki.

– W tej chwili marzę wprost o tym, by znów kogoś zadźgać – syknęła. – Weź sobie moją radę do serca i siedź cicho.

Legat tylko uniósł brew. SkyLAN szedł już, żeby się przy rumplu, ale przystanął jeszcze, żeby się upewnić, że więzień jest dobrze związany.

– Jak rozumiem, jestem waszym zakładnikiem – zagadnął Acronis. – Zabijecie mnie, jeśli Zahakis będzie usiłował odebrać wam okręt.

– Coś w tym stylu – odparł wymijająco SkyLAN.

– Twój plan był świetny i bardzo dobrze wprowadziliście go w życie – pochwalił go Legat. – Dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, jakim cudem udało wam się zdobyć klucz do kajdan.

SkyLAN miał na końcu języka, że i on dałby wiele za tę informację. To przypomniało mu, że odkąd rozpoczęła się walka, nie widział Wulfe'a.

– Popęniłeś jednak jeden błąd – ciągnął Acronis.

– Jaki? – spytał SkyLAN.

– Powinieneś być zabić Zahakisa. Od lat jest dowódcą w moim wojsku i cechuje go wyjątkowa lojalność. Będzie was ścigał.

– Na to liczę – oświadczył SkyLAN.

Acronis zmarszczył brwi zaintrygowany.

– Zahakis jest tak lojalny, że jeśli zakuje cię w kajdany i wyrzucę do morza, zatrzyma pogoń i zrobi wszystko, by cię uratować – wyjaśnił SkyLAN.

Potem zszedł na dół do ładowni, żeby szukać chłopca. Znalazł go w jednej z pustych beczek

Cały dzień *Venjekar* pełził niemrawo po falach. SkyLAN siadał czasem do wiosła, a Erdmun zastępował go przy rumplu.

Bogowie nie tylko nie próbowali im pomóc, ale zdawało się, że robią wszystko, żeby im przeszkodzić. Bogini słońca Aylis smagała ich bez litości. Svenses wstrzymała oddech. Akaria kazała swoim wodom ospale obijać się o kil.

Wojownicy rozebrali się do samych spodni. Pot spływał po ich nagich torsach, kapał z włosów i bród. Dnie bez ruchu i dostatecznej ilości jedzenia osłabiły ich mięśnie, pozbawiły wytrzymałości. Lecz każdy z nich, choćby padał z wycieńczenia, spoglądał na łańcuchy, które jeszcze niedawno go skuwały, i znajdował w sobie nową siłę.

Światło Morza było daleko za nimi, a jednak nie aż tak daleko, jak im się zdawało. Zahakis był sprawnym dowódcą i udało mu się dość szybko powyławiać swoich ludzi z morza, położyć kres zdezorientowaniu załogi i uspokoić wszystkich rozpaczających po stracie Legata. Kazał ludziom zasiąść do wiosł i wkrótce galera była gotowa do pościgu za *Venjekarem*. Co więcej, płynęła znacznie szybciej niż okręt Torgunów.

Nie było na pokładzie *Venjekaru* człowieka, który by nie widział, że odległość pomiędzy nimi i triemą powoli maleje.

– Gdyby tylko był z nami smok – szeptali Vindrasi.

Wulfe słyszał, jak mówią o smoku. Słyszał ich modlitwy do Smokini Vindrash i nie miał pojęcia, co robić. Podśluchał rozmowę Skylana i Aylaen o smoczej kości. To wtedy właśnie postanowił dać drapak i skryć się w pustej beczce.

Wiedział aż za dobrze, gdzie jest smocza kość – przecież sam ją ukrył w małym schowku pod samym nosem smoka. Smocza kość sama do niego przyszła. Przynajmniej tak wynikało z tego, co mówił Skylan. Smok chciał, żeby to on ją miał.

Chyba.

Tak naprawdę Wulfe wcale nie był tego taki pewien. Może Kagh chciał, żeby smoczą kość znalazła Aylaen lub Treia, a Wulfe trafił na nią zupełnie przypadkiem. A w takim razie wziął coś, co do niego nie należało, i na pewno wpadnie przez to w jakieś tarapaty. Skylan będzie chciał go ukarać i pewnie znów mu każe czyścić swój miecz.

Choć z drugiej strony może Skylan i pozostali tak się ucieszą na widok smoczej kości, że nie będą się na niego złościć.

Cały dzień Wulfe roztrząsał tę kwestię, patrząc, jak ludzie pocą się przy wiosłach i męczą na ostrym słońcu. Galera, która wyglądała jak jakiś obrzydliwy żółw o tysiącu nóg, sunęła uparcie za nimi. Była coraz bliżej. Wulfe podjął wreszcie decyzję.

Nie mógł przecież jednak przemaszerować sobie przez cały pokład i na oczach wszystkich wyciągnąć kości z tajnej skrytki. Wszyscy dowiedzieliby się o jego skarbach, a choć Wulfe naprawdę lubił niektórych Brzydali, jak Skylana, Bjorna, Aylaen i może jeszcze Farinna, byli i tacy – w szczególności Sigurd i Grimuir – których po prostu nie znosił. Jedynymi Brzydalami, którym ufał, byli Skylan i Aylaen, lecz i to zaufanie miało swoje granice. Skylan kazał mu przecież czyścić swoją broń i przez niego chłopiec boleśnie się poparzył. Aylaen była siostrą Trei, której Wulfe szczerze nienawidził. Aylaen mówiła jej wszystko. Wulfe nieraz je podśluchiwał, więc co do tego nie miał żadnych złudzeń.

Postanowił więc zaczekać do nocy, gdy wszyscy pójdą spać. W nocy nawet galera przestanie ich gonić, bo każdy wiosłarz musi kiedyś odpocząć.

Słońce było jeszcze krwawą plamą na horyzoncie, gdy Sigurd dał rozkaz, by przestali wiosłować. Rozkaz nie był właściwie potrzebny. Niewielu jeszcze próbowało pracować. Przez cały dzień okręt ledwie poruszył się z miejsca. Sigurd obudził tych, którzy już zasnęli na siedząco. Kazał wyciągnąć wiosła z dulek i położyć je na środku okrętu, by były gotowe

na jutro. Skylan wciągnął żagiel na maszt, licząc na wieczorną bryzę. Płótno zwisało jednak bezwładnie i bynajmniej nie dodawało im otuchy.

Skylan poszedł sprawdzić, co z Legatem. I Acronis, i Aylaen zasnęli kamiennym snem. Aylaen leżała na deskach pokładu z dłonią na rękojeści miecza. Legat spał na krzeselku, brodę oparłszy o klatkę piersiową. Na pewno było mu niewygodnie. Ręce miał całe zakrwawione od ciasno związanych lin. Dostał trochę wody do picia, ale Sigurd tak oszczędnie racjonował jedzenie, że poza tym nic mu nie dał przez cały dzień. Acronis jednak nie narzekał i ze stoickim spokojem siedział na swoim stołeczku.

Skylan rzucił ostatnie znużone spojrzenie na *Światło Morza*, nim słońce utonęło w wodzie i ciemność pochłonęła galerę, kryjąc ją przed jego wzrokiem. Z ulgą stwierdził, że także wciągnęła wiosła. Bał się, że Zahakis będzie ich ścigał z takim zapamiętaniem, że każe ludziom wiosłować w nocy.

Ale czemu miałby to robić? – pomyślał Skylan z goryczą. Jeśli bogowie nam nie pomogą, Zahakis z łatwością nas dogoni, być może już jutro.

Skylan spojrzął na swoich ludzi, śpiących bezładnie na deskach okrętu, zbyt zmęczonych, by pościelić sobie posłania czy nawet jeść. Skórę mieli poparzoną od słońca, ręce odarte do żywego mięsa. Torgunowie tak rzadko musieli wiosłować. Zwykle mogli przecież liczyć na wiatr lub smoka.

Być może jeszcze tej nocy stanie się cud.

Skylan dotknął swego amuletu i zaczął się modlić do Torwała żarliwiej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu.

– Nie dbam o to, co chcesz mi zrobić, Torwalu – mówił. – Niech spadnie na mnie twój gniew jak cios młota zadany twą potężną ręką. Rozgnieć mnie i nakarm mną demony Freilis. Ale ocal mój lud. Ocal Aylaen.

Leżał na pokładzie i wpatrywał się w gwiazdy. Nie zasnął, raczej zapadł w jakiś męczący stupor.

Wulfe czekał z niecierpliwością, aż wreszcie zobaczył, że Skylan przewraca się na drugi bok, oczy ma zamknięte, a jego oddech stał się regularny. Nawet wtedy jednak chłopiec odczekał jeszcze chwilę, by się upewnić, że wszyscy śpią głębokim snem. Gdy był już pewien, że jest jedyną osobą na pokładzie, która nie śpi, bezszelestnie podkradł się bosy do galionu.

Poluzował ostrożnie drewnianą deseczkę i wyciągnął ją. Kość ducha była wciąż na miejscu, leżała sobie spokojnie i bezpiecznie. Wulfe znów się obejrzał na śpiących, upewniając się, że nikt na niego nie patrzy. W końcu sięgnął ręką do środka.

Wciąż miał wrażenie, że ktoś jednak go obserwuje. Zamarł i znów się rozejrzył. Mężczyźni spali. Aylaen także i spał nawet ten Brzydał, którego przywiązali do krzeselka. Wulfe powoli podniósł wzrok. Głowa smoka zwrócona była wprost na morze, ale chłopiec

był już pewien, że to smocze oczy wpatrują się w niego z dezaprobatą. Tak się przestraszył, że odruchowo wyciągnął rękę z dziury.

– Nie chcę smoczej kości – zapewnił smoka. – Oddam ją Aylaen.

Znów sięgnął do skrytki. Już naprawdę nie marzył o niczym innym, jak tylko o tym, by pozbyć się wreszcie tej kości. Wtedy na pewno smok da mu wreszcie spokój.

Stało się tak, jakby Svenses wstrzymywała oddech tak długo, że aż stało się to dla niej bolesne, i teraz zmuszona była wypuścić wreszcie powietrze z głośnym szumem. Wiatr, o który tak modlił się Skylan, uderzył *Venjekar* z potężną mocą. Wulfe usłyszał nad sobą cichy trzask. Spojrzał w górę i zobaczył, że głowa smoka pękła.

Pisnął z przerażenia i przyłgnął do pokładu, wrzeszcząc wniebogłosy, a drewniana głowa smoka runęła w dół, z hukiem lądując w stercie wioseł. Mało brakowało, a rozbiłaby mu głowę. Szalona wichura ustała tak nagle, jak się pojawiła. Znów panowała absolutna cisza.

Przestraszony Wulfe wpatrywał się w szczątki galionu. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że smok próbował go zabić za to, że śmiał dotknąć smoczej kości. Wulfe zatrzasnął skrytkę i czmychnął do ładowni.

Skylan usłyszał potworny huk. Zerwał się na równe nogi, nim jeszcze się w pełni rozbudził, nieprzytomnie spoglądając w zamglone gwiazdy i cienki, ponury księżyc. Sigurd i pozostali także się obudzili. Zaspani potykali się o siebie nawzajem, jeden drugiego wypytywał, co się dzieje.

– Co do... – chciał zakląć Skylan, ale słowa zamarły mu na ustach. Nie wierząc własnym oczom, wpatrywał się w gruzy po katastrofie, a jelita skręciły mu się jak robaki w błocie.

Głowa smoka Kahg leżała na stercie zupełnie połamanych wioseł. Była w idealnym stanie. Nic jej się nie stało przy upadku.

Puste oczy smoka wpatrywały się w puste niebiosy.

Następnego dnia Zahakis przejął *Venjekar* bez żadnej walki.

Pogrążeni w rozpacz Torgunowie siedzieli apatycznie na pokładzie i zupełnie nie zwrócili uwagi na to, że żołnierze znów zakuwają ich w kajdany i owijają łańcuchami. Zahakis uwolnił Legata, który wrócił na swą galerę. Rozciągnięto ciężką linę między *Światłem Morza* i *Venjekarem* i wzięto połamany okręt na hol. Treia darła się przez wodę, żeby Aylaen przeszła na pokład *Światła Morza*. Raegar dodał swoje błagania. Aylaen nie odezwała się do żadnego z nich.

Przychylny wiatr (zesłany widać przez Aelona) wydał żagle *Światła Morza*. Wojenna galera ruszyła ku Sinarii, miasta bogatego, miasta spasionego, miasta, które dobrze wiedziało, że jego przeznaczeniem jest rządzić całym cesarstwem, a pewnego dnia i całym światem. *Venjekar* podskakiwał niemrawo na falach i płynął za galerą. Głowa smoka leżała na pokładzie i wpatrywała się w Torgunów oskarżycielsko.

Skylan patrzył na złamany galion, czuł ciężar kajdan na nogach i myślał o tym, że i tak znacznie większy ciężar odczuwa w sercu.

– Może jednak bogowie naprawdę nas opuścili – powiedział w przestrzeń.

Ku jego zdziwieniu odpowiedziała mu Aylaen.

– Gdy walczysz w bitwie, nie jesteś w stanie usłyszeć płaczu swych dzieci – szepnęła cicho, bardziej do siebie niż do niego. – Jedyne, co słyszysz, to szczęk broni. Tak właśnie jest z naszymi bogami.

Księga II

Rozdział 1

O poranku *Światło Morza* wpłynęło powoli na wody zatoki Trevalis. Choć słońce ledwie wstało, dzień był już gorący. Torgunowie źle znosili ten upał. W ich ojczyźnie latem dni były przyjemnie ciepłe, a noce zawsze chłodne. W tej części świata natomiast nie ustawało gorąco. Jedyne, co się zmieniało w nocy, to to, że wiatr często zupełnie ustawał, skazując ich na pocenie się i bezsenne wiercenie na posłaniach.

Słońce grzało spokojne wody zatoki, a Skylan siedział w łańcuchach na pokładzie swego porwanego okrętu i patrzył ze zdumieniem na majaczące w oddali miasto zwane Sinarią. Jakiś czas temu Zahakis powiedział mu, że populacja stolicy Oranu jest liczniejsza niż cały lud Vindrasów.

Skylan mu oczywiście nie uwierzył.

Teraz wpatrywał się w niekończące się rzędy domów z kamienia i drewna, jeden za drugim, jeden za drugim, pokrywające całe zbocza wzgórz, jakby wyrastały z ich szczytów i spływały w doliny. Wąskie ulice wiły się niczym węże, pełzły w górę i w dół, wślizgiwały się między budynki.

W porcie roilo się od najróżniejszego rodzaju statków i stateczków – od małych łodzi rybackich po olbrzymie jednostki kupieckie pełne amfor i pasażerów, którzy wylegiwali się pod eleganckimi zadaszeniami. Gdy tylko dojrzano galerę, w jej stronę wystrzeliły małe łódki, a siedzący na nich przekupnie oferowali im wszystko: od wina i jedzenia po ładacznice, które bezwstydnie zachwalały swoje dobra i wykrzykiwały nazwy ulic, gdzie można je znaleźć.

Na lądzie widać było niezliczone magazyny. Powozy transportowały towary ze statków do składów. Odjeżdżały w głąb miasta dopiero w nocy, bo ulice były tak wąskie i zatłoczone, że większe wozy nie miały prawa wjazdu do miasta za dnia. Zza magazynów wyłaniały się drewniane wieże, które wyrastały w równych odległościach z drewnianej palisady, stanowiącej fortyfikację miasta. Od lądu wiał gorący wiatr i niósł odór doków zmieszany ze smrodem dymu, ryb, gnijących śmieci, odpadków i brudu.

– Co to za budynki? – spytał Skylan Zahakisa, który przeszedł na pokład *Venjekaru* wraz ze starszym matem, żeby wprowadzić niesprawny okręt do zatłoczonego portu, co wymagało niezwyklej precyzji.

– Domy, sklepy, jakieś składy – mruknął Zahakis.

Skylan wpatrywał się w nie z niedowierzaniem.

– Wyglądają jak chlewy, w których trzymamy świnie.

– Wasze świnie mają się pewnie znacznie lepiej niż ludzie, którzy mieszkają w tych norach – westchnął Zahakis. – Bywa, że w jednopokojowej dziurze gnieździ się ze dwadzieścia osób. Młodzi i starzy, wszyscy tam śpią, jedzą, gotują, spółkują, umierają. – Ton jego głosu stał się tak ponury, że Skylan spojrzał na niego w zamyśleniu. Zahakis wyglądał na przybitego.

– Który to dom Legata?

Zahakis parsknął niewesołym śmiechem. Wskazał coś w oddali.

– Widzisz tę mętną rzekę, która wpływa do morza w tamtym miejscu? To Cydron. Gdy popłyniesz się nim w górę, w końcu dotrzesz do posiadłości Acronisa. To tam będziesz sobie teraz żył.

– Nie będę żył. Będę niewolnikiem – syknął Skylan.

Zahakis pokręcił głową.

– Masz się za niezwykle pokrzywdzonego, młody człowieku, lecz gdy przejdiesz ulicami Sinarii, dotrzesz do ciebie, że masz szczęście, bo jesteś niewolnikiem Legata, a nie jednym z tych biedaków, którzy muszą żyć w slumsach. U Legata masz przynajmniej pewność, że nie będziesz przymierał głodem, nikt cię nie zasztyletuje w nocy o jakiś zgniły liść kapusty, nie będziesz musiał uczyć swych synów kraść ani swe córki, jak się prostytuować, żeby zdobyć jedzenie. – Zahakis stał i wpatrywał się w slumsy. Zaciśnął szczęki, oczy zaszyły mu mgłą bólu. – Zastanawiasz się, dlaczego jestem tak lojalny względem Legata – powiedział nagle i kiwnął głową w stronę miasta. – To Acronis uratował mnie od tego życia. Miałem ledwie dziewięć lat. Próbowalem go okraść. Mógł mnie zabić jak muchę. Inny postąpiłby tak bez chwili wahania. Ale on zabrał mnie do domu. Nakarmił. Ubrał. Odnalazł moją rodzinę i wysłał ich na jedno ze swoich gospodarstw, gdzie dał im pracę. Gdy wyjechał na prowincję, zabrał mnie ze sobą. Postarał się, bym nauczył się czytać i pisać. Kiedy dorosłem, wstąpiłem do jego legionu i choć nie ukrywał, że mnie lubi, kazał mi samodzielnie, ciężką pracą zarobić na każdy awans. Dlatego jestem i zawsze będę wobec niego lojalny. – Zahakis oparł się na nadburciu. – Na tych wzgórzach nic nie rośnie, tylko bieda.

– Ale co na to wasz władca? – dopytywał się Skylan.

Zahakis prychnął tylko.

– Cesarskie straże nie odważyłyby się nogi postawić w tych zaułkach. Te dzielnice rządzone są przez gangi, których dowódcy mają tu większy mir niż nasza niedawno koronowana Cesarzowa. Gangi bez trudu mogłyby przejąć władzę nad miastem, gdyby tylko chciały. Ale nie chcą. Nic by na tym nie zyskały.

– Dlaczego wasz bóg, ten cały Aelon, nie zrobi czegoś, by pomóc tym ludziom? – nie mógł zrozumieć Skyłan.

– Aelon nie jest moim bogiem – oświadczył ponuro Zahakis. – Lecz muszę przyznać, że próbował oczyścić miasto. Pewnej nocy wybuchł pożar w jednej z kamienic czynszowych na północ od rzeki. Pożerał przecznicę za przecznicą tak szybko, że ludzie nie mieli szans na ucieczkę. Zginęły tysiące mieszkańców, w tym żona i dzieci Raegara. Kapłani Aelona twierdzą, że to bóg zesłał oczyszczający ogień, by wypalić na zawsze ludzkie grzechy.

– A wy nas nazywacie barbarzyńcami – mruknął Skyłan.

Zahakis uśmiechnął się smutno.

– Nadejście taki dzień... W tym kotle wrze. Nastanie dzień, gdy zacznie kipieć. – Milczał przez chwilę, potem pokręcił głową i znów zaczął wskazywać Skyłanowi różne części miasta. – Widzisz te bliźniacze wzgórza? Tamten budynek na samej górze, ten skryty za kamiennym murem, to cesarski pałac. Tam mieszka nasza nowa Cesarzowa i jej rodzina. Ta potężna budowla na drugim wzgórzu to sanktuarium Aelona. Jeszcze niedawno stała tam świątynia naszych starych bogów, ale kapłani Aelona zrównali ją z ziemią. Była piękna, z białego marmuru, otoczona portykami z kolumnami, prosta i pełna elegancji. Aelon jednak zażądał większego przepychu. Jego sanktuarium zwieńczone jest złotą kopułą. Promienie słoneczne odbijają się w niej z taką jasnością, że zdaje się, iż to drugie słońce zeszło z niebios, by ozdobić nasze miasto. Nawet w nocy kopuła nie przestaje świecić, a jej światło jest jaśniejsze niż blask księżyca. Ludzie, którzy mieszkają w pobliżu, twierdzą, że nie daje im spać.

Skyłan słuchał oniemiały ze zdumienia. Nigdy dotąd nie słyszał takich słów jak „slumsy”, „pałac” czy „cesarzowa”. Wpatrywał się w sanktuarium Aelona, otaczające je ogrody i rozrzucone po wzgórzu białe fontanny, odcinające się ostro od ciemnej zieleni trawników. Rozboleły go oczy. W głowie mu się nie mieściło, że może istnieć taki przepych. Świątynia Vindrash, która była najwspanialszym i największym budynkiem, jaki widział dotąd, mogłaby się cała schować w sanktuarium Aelona i nikt by jej tam nawet nie zauważył.

W głowie nie mieściło mu się również, że może istnieć taka bieda.

Co prawda nie budujemy tak imponujących świątyń, ale przynajmniej nie pozwalamy, by nasze dzieci mieszkaly w chlewach, pomyślał.

Światło Morza sunęło ostrożnie do przodu, próbując jakimś cudem nie staranować flotylli łódeczek, które wypłynęły mu na powitanie. Z kilku z nich wysiedli bogato odziani mężczyźni i weszli na pokład, by porozmawiać z Acronisem. Skyłan był pewien, że to kupcy lub arystokraci, lecz Zahakis wyśmiał go i wyjaśnił, że to jedynie naukowcy, przyjaciele Legata, którzy chcą się natychmiast dowiedzieć wszystkiego o podróży. Wskazał ukradkiem na Raegara, który stał z boku i przyglądał się gościom z wyraźną dezaprobatą.

– Kapłani nie popierają myślenia – rzekł z przekąsem. – Ludzie, którzy mają zwyczaj myśleć, lubią też podawać wszystko w wątpliwość. Aelon nie lubi, gdy się wątpi lub pyta.

– Wspomniałeś o waszych starych bogach – powiedział Skylan, spoglądając na Raegara z nienawiścią. – Jacy oni byli?

– Z tego, co mi opowiadałeś, wnoszę, że bardzo podobni do waszych – odparł Zahakis, wzruszając ramionami. – Kto wie? Być może nasi bogowie byli waszymi bogami, tylko znaliśmy ich pod innymi imionami.

Skylan chciał mu coś na to ostro odpowiedzieć, ale Zahakis odszedł, wezwany przez skrybę na pokład triremy.

W końcu zarzucono kotwicę niedaleko doków. Szybko rozniosła się wieść, że wrócił Legat i że przyprowadził smoczy okręt pełen barbarzyńców. Raegar zszedł na ląd, oświadczając wszem i wobec, że musi złożyć raport Kapłanowi Generałowi.

Pod jego nieobecność Aylaen przeniosła się na galerę, tak jak ją poprosił. Opierała się jeszcze argumentom Raegara, choć nie uszło uwagi Skylana, że czyniła to bez większego przekonania. Trudno ją było za to winić. Już wystarczająco długo żyła sama jedna na pokładzie *Venjekar* i bez wątpienia tęskniła za siostrą, bez względu na to, czy Treia była tego warta czy nie. Kapłanka Kości już na nią czekała. Zarzuciła jej ręce na szyję i obie szybko skryły się pod pokład.

Raegara nie było prawie cały dzień. Wrócił dopiero wieczorem i obwieścił, że z zarządzenia Cesarzowej odbędzie się parada na cześć Legata, w której główną atrakcją będzie jego wspianała zdobycz – straszliwy smoczy okręt. Niestety – ku rozczarowaniu Legata – *Venjekar* bynajmniej nie budził grozy.

Przez większą część drogi powrotnej cieśle ze *Światła Morza* pracowali w pocie czoła, by naprawić smoczy galion. Z jakiegoś jednak powodu (choć zupełnie nie byli w stanie tego zrozumieć) gdy tylko udawało im się przymocować z powrotem do dziobu smoczy łeb, odpadał on z głośnym hukiem.

Za pierwszym razem wpadł do morza i trzeba go było wyławiać. Całe związane z tym zamieszanie kosztowało ich jeden dzień postoju. Za drugim razem runął wprost na pokład, omal zabijając syna cieśli. Cieśla oświadczył wtedy, że nie może pracować na morzu, i obiecał, że przymocuje smokowi głowę, gdy tylko dotrą do brzegu.

Ten tajemniczy opór ze strony Kahg niezwykle podniósł Torgunów na duchu. Skylan wiedział aż za dobrze, co by na to wszystko powiedział Garn: galion to jedynie kawał drewna wyrzeźbionego w kształcie smoczej głowy, przedmiot martwy, który nie ma umysłu ani woli. Kawał drewna nie jest w stanie stawiać oporu.

Skylan z szacunkiem wspominał mądre rady Garna, a jednak wiedział, że tym razem jego przyjaciel by się mylił. Być może smok Kahg także został pojmany. Być może to jedyny sposób walki, jaki mu pozostał. Drewniane ślepie smoka nie wydawały się już tak puste jak przedtem, raczej mówiły: „Nie poddawajcie się!”.

W dodatku okręt zachowywał się dziwnie, niezgrabnie, nieprzewidywalnie, co doprowadzało do szału Zahakisa, który nie mógł pojąć, jak strata ozdobnego galionu może wpływać na sposób prowadzenia okrętu.

– To dowód na to, że nasz smok żyje – oświadczył mu Skylan.

– To dowód na to, że Legat zatrudnił beznadziejnych cieśli – odciął się.

Mimo rozczarowania związanego z galionem Zahakis cieszył się na myśl o spektaklu dla ludu. Raegar zażądał honorowej funkcji – chciał nieść smoczą głowę i upierał się, że to Aelon uniemożliwia przymocowanie jej z powrotem do okrętu. Legat zwierzył się Zahakisowi z pewnym rozbawieniem, że nie potrafi dociec, jaki interes ma Aelon w psuciu mu parady, ale skoro Raegar ma ochotę iść całe mile z ciężką głową na ramionach, to któż mu tego zabroni?

Acronis miał natomiast jechać na swoim rydwaniu, poprzedzany przez straż honorową złożoną z jego oddanych żołnierzy, którzy spędzali ostatnio całe dni na polerowaniu zbroi i hełmów, aż ich blask niemal oślepił. Za nimi mieli iść wiosłarze, co było formą nagrody za ich katorżniczą pracę. *Venjekar*, który zamierzano umieścić na specjalnej platformie na kołach, miał zostać przeciągnięty przez całe miasto przez torguńskich wojowników. Obie barbarzyńskie niewiasty zaś miały stanowić ozdobę smoczego okrętu.

Zahakis wyjaśnił jeńcom, co mają robić. Słuchali z pogardą, wpatrując się w wodę, jakby go w ogóle nie zauważali. Nie na wiele się to jednak zdało. Gdy tylko bowiem usłyszeli, że mają przeciągnąć swój ukochany okręt przed tłumem gapiów, wpadli w szal.

– Po moim trupie! – ryknął Sigurd.

Zahakis pokazał palcem na *Światło Morza*. Odwrócili się i ujrzeli na pokładzie Aylaen i Treię. Przy nich stał uzbrojony żołnierz. Więc to dlatego zabrali Aylaen na pokład galery.

– Trzymamy wasze kobiety jako zakładniczki – rzekł Zahakis.

– Nasze kobiety prędzej umrą, niż zgodzą się na coś takiego! – warknął Sigurd.

– W takim razie – oświadczył Zahakis spokojnym głosem, który zagłuszył wrzawę podniesioną przez jeńców – każę was przykuć do kadłuba i chłostą zmuszę do przejścia po ulicach Sinarii. Pomyślcie o tym.

Odszedł, pozostawiając wściekłych Torgunów samym sobie. Wykrzykiwali jeszcze za nim, że wolą, by żywcem odarto im mięso z kości, i że się nie poddadzą. Skylanem też owładnął gniew. Na samą myśl, że ma zostać wystawiony niby jakaś tłusta maciora na targu, robiło mu się słabo.

Nie będą musieli mnie zabijać, pomyślał. Sam umrę ze wstydu.

Po chwili, gdy Zahakis przechodził obok niego, zatrzymał się na moment, mówiąc cicho:

– Może powinieneś wiedzieć, że Raegar liczy na to, iż twoi ludzie nie będą chcieli iść po dobroci. Podczas parady będą was pilnowali kapłani wojownicy tacy jak on. Jeśli ty i reszta nie będziecie posłuszni, mają rozkaz zachłostać was na śmierć.

– Przecież Legat chce, żebyśmy żyli – syknął Skylan, marszcząc brwi. – Słyszałem, jak o tym mówiliście. Chce, żebyśmy walczyli dla niego w jakiejś waszej grze.

Zahakis schylił się, udając, że poprawia sznurowadła przy butach, i szepnął cicho:

– Acronis nie będzie w stanie nic zrobić. Będzie jechał na drugim końcu procesji. Wy będziecie zdani na kapłanów wojowników. A z jakichś sobie tylko wiadomych powodów Aelon chce, żebyście wszyscy zginęli. – Zahakis wyprostował się. – Na waszym miejscu nie dałbym mu tej satysfakcji.

– Co cię obchodzi, co się z nami stanie? – spytał podejrzliwie Skylan.

– A żebym to ja wiedział – mruknął Zahakis. Spojrzał na niego z ukosa i wzruszył ramionami. – Mamy tu takie powiedzenie, młody człowieku: Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

Odszedł w stronę *Światła Morza*, by dokończyć przygotowania do zejścia na ląd.

Skylan zamyślił się nad jego słowami. Nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. Nie mógł zupełnie rozgryźć, na czym polega animozja między Acronisem i całym tym bogiem Aelonem. Zresztą prawdę rzekłszy, nic go to nie obchodziło. Niechby ich wszystkich pochłoneły te paskudne żmije. Pojmował tylko jedno – być może uda się wykorzystać nienawiść między Legatem i Raegarem, by uratować Torgunów.

Jeśli w ogóle przeżyją paradę.

Słuchał przez chwilę, jak jego ludzie pomstują na Zahakisa i cały ten pomysł, i westchnął cicho. On, szalony, porywczy, nigdy nie myślący i nie planujący ani na krok do przodu, miał oto być głosem rozsądku. Głowę daje, że Garn siedzi teraz w Komnacie Torvala i pęka ze śmiechu, pomyślał.

Wziął głęboki oddech. Zaraz powie coś, za co go znienawidzą.

– Moim zdaniem trzeba to zrobić – rzucił głośno. – Trzeba wykonać rozkazy Legata.

– No jasne! – Sigurd tylko machnął na niego ręką. – Wszyscy wiemy, komu się tu tyłek trzęsie ze strachu.

– Jesteśmy Torgunami – odparował ostro Skylan. – Jesteśmy jeńcami w mieście wroga. Czy chcecie wkroczyć na te ulice jak niewolnicy wleczeni przez miasto w łańcuchach i chłostani do krwi?

Sigurd prychnął z pogardą i odwrócił się do niego plecami, mrużąc coś do swojego kumpla Grimuira. Ale Bjorn popatrzył na Skylana z zastanowieniem; jego brat rzucił mu niepewne spojrzenie. Pozostali przynajmniej postanowili go wysłuchać.

– Chcecie wejść do miasta jak niewolnicy czy przemaszerować przez ulice wroga z dumnie uniesionymi głowami i pieśnią oporu na ustach? – pytał Skylan.

– Nie słuchajcie go – syknął głosem pełnym drwiny Sigurd. – Nie słuchajcie tego szczeniaka. Spadaj lizać tyłek Zahakisowi, Skylan, i zostaw nas w spokoju.

– Ale ja chcę go wysłuchać – powiedział cicho, lecz z uporem Farinn.

– Ja tu jestem wodzem – wściekł się Sigurd.

– Ale to jest zebranie rady – postawił mu się Bjorn. – Każdy ma prawo głosu. Mów, Skylanie.

– Tylko spójrzcie na siebie. – Skylan uniósł skute dłonie. – Cuchniemy jak świnie. Mamy długie brody. Nasze włosy są brudne i skołtunione. Jak wyglądamy? Jak śmierdzimy?

– Jak niewolnicy – odpowiedział mu Erdrnun.

– Właśnie. Wyglądamy i śmierdzimy jak niewolnicy. Pokażmy tym Południowcom, że choć mogą skuć nam nogi i ręce, nigdy nie skują naszych dusz!

Pozostali pokiwali na to z aprobatą. Nawet Sigurd przestał się drwiąco uśmiechać.

– Jaki masz plan? – zapytał Bjorn.

Skylan wyjaśnił im, a oni wysłuchali i spojrzeli na Sigurda.

– Może i zadziała – mruknął ten bez entuzjazmu.

– Lepsze to, niż dać się zachłostać na śmierć – szepnął cicho do brata Erdrnun.

Wieczorem, gdy Zahakis wszedł znów na pokład smoczego okrętu, Skylan już na niego czekał.

– Zrobimy, o co prosisz – powiedział. – Przeciagniemy nasz okręt przez wasze ulice.

– Mądra decyzja – pochwalił go Zahakis. – Jak ci się udało przekonać Siwobrodego? Z tego, co słyszałem, chciał umrzeć tylko po to, żeby zrobić nam na złość.

– Chcemy coś w zamian – rzekł Skylan.

Zahakis sarknął cicho.

– Niewolnicy się nie targują.

Skylan wzruszył ramionami.

– Twój Legat chce zaimponować ludziom. Jeśli spełnisz moją prośbę, zrobimy takie przedstawienie, że wasz lud całe miesiące nie będzie mówił o niczym innym.

– Czego więc chcesz? – spytał Zahakis, a na jego ustach zaigrał uśmiezek – Broni? Już tego próbowaliście i raz daliśmy się nabrać. Drugi raz nie popełnimy tego błędu.

– Chcemy się wykapać – powiedział Skylan.

Zahakis obrzucił go zdumionym spojrzeniem. Zaczął się śmiać, lecz szybko przestał, bo zrozumiał, że Skylan mówi poważnie. Przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Co ty knujesz, młody człowieku?

– Chcesz mieć żywych niewolników czy wolisz martwych? – stracił cierpliwość Skylan.

– Dobrze, porozmawiam z Legatem – obiecał Zahakis.

Skylan usłyszał rechot i obejrzał się przez ramię na swoich rodaków. Sigurd szczyrzył zęby w złośliwym uśmiechu. Powiedział coś cicho do Grimuira, który zachichotał głupawo z uciechy.

Skylan odwrócił wzrok. Po śmierci wszyscy dzielni wojownicy spotykają się w Komnacie Torvala, bez względu na to, czy za życia byli przyjaciółmi czy wrogami. Wojownik, który poległ w walce, będzie pił z wrogiem, który go zabił, jeśli ten okaże się godny szacunku.

W Komnacie Torvala będę ucztował z Zahakisem, pomyślał Skylan. Na pewno nie z Sigurdem.

Zahakis przeszedł po trapie na *Światło Morza*. Galera stała jeszcze na kotwicy, a dopiero następnego dnia miała triumfalnie zawinąć do portu.

Trybun znalazł Legata w jego małym biurze, pogrążonego w planowaniu jutrzejszego dnia. Gdy Trybun przekazał mu prośbę Torgunów, oczy Acronisa otworzyły się szeroko ze zdumienia.

– Czego chcą?

– Wykapać się, panie – powtórzył Zahakis.

Acronis pokręcił głową.

– To bardzo dziwna prośba. Co oni knują?

– Coś knują, to pewne, ale muszę przyznać, że nie wiem co. Chyba nie liczą przecież na to, że umkną nam wpływ.

– Ten Skyłan to szczwany lis. Nie ryzykowałby takiej głupoty. Musi zdawać sobie sprawę z tego, że jakakolwiek próba ucieczki skończy się dla nich śmiercią. Poza tym trzymamy pod kluczem ich kobiety, a widziałem przecież, jak on patrzy na tę rudowłosą piękność. Kocha ją jak wariat. Nigdy by jej tu nie zostawił. A nawet gdyby udało im się jakimś cudem uciec, gdzie by się niby skryli? Z tymi jasnymi włosami i niebieskimi oczami ci barbarzyńcy nie rozplyną się raczej w tłumie.

Acronis długo rozważał wszystkie możliwości. Zahakis czekał w milczeniu i nie podzielił się z nim swoimi przemyśleniami.

W końcu Legat wzruszył ramionami i rzekł:

– Trudno. Niech się umyją, jeśli tak o tym marzą. Niech nałożą zbroje i te ich hełmy ze skrzydełkami. Ma być widowisko, niech będzie widowisko. Przynajmniej potem, jak będą walczyć w Para Diksie, na arenę przyjdą tłumy, żeby tylko ich zobaczyć. Poza tym – dodał Acronis, a głos mu się od razu zmienił – Chloe będzie zachwycona.

Zahakis uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że tu w ogóle chodzi tylko i wyłącznie o Chloe. Gdyby zażądała gwiazdki z nieba, Acronis znalazłby jakiś sposób, by zedrzeć z nieboskłonu kilka świecidełek dla córki. Ten triumfalny pochód także był tylko dla niej. Jako człowiek nauki i filozof Acronis nie przepadał za takimi pustymi gestami. Najchętniej od razu udałby się w spokoju do swojej willi i zamknął przed światem w bibliotece. Ale Chloe uwielbiała wszelkiego rodzaju parady i nic nie cieszyło jej bardziej niż możliwość przyglądania się w towarzystwie Cesarzowej i dam Sinarii, jak jej ojciec przejeżdża przed widownią z wieńcem laurowym na czole.

Torgunowie zrzucili z siebie ubrania. Żołnierze wyswobodzili ich z łańcuchów i wojownicy wskoczyli do morza. Zahakis kazał łucznikom stanąć na pokładzie i wycelować gotowe do strzału łuki prosto w wodę.

Gdy tylko Torgunowie wylądowali w morzu, natychmiast zapomnieli o niewoli. Byli jak dzieci – jeden drugiego wpychał pod wodę, chlapali się i kopali dziko. Wulfę wskoczył razem

z nimi, śmiejąc się w głos i coś tam opowiadając. Aylaen patrzyła na nich z pokładu *Światła Morza*. Widać było, że wiele by dała, by móc się do nich przyłączyć. Po chwili jednak znalazła ją tam zgorszona Treia – mężczyźni byli zupełnie nadzy! Oburzona odciągnęła Aylaen od tych nieprzyzwoitych widoków.

Po powrocie na *Venjekar* Skylan i pozostali Torgunowie wyprali ubrania, splekli swoje długie włosy i rozczesali brody. Najchętniej by się ogolili jak każdy wojownik latem, dla celów wojennych. Brody zapuszczali tylko na zimę, żeby ich grzały podczas mrozów. Skylan nawet poprosił Zahakisa o brzytwę, ale Trybun roześmiał mu się na to w twarz, a potem zdecydowanie odmówił.

Skylan nie posiadał się ze zdumienia, gdy Zahakis oświadczył mu, że zarówno on, jak i jego wojowie będą mogli mieć na sobie zbroje i hełmy. Żołnierze wyciągnęli zbroje z ładowni. Skylan wzruszył się do łez na widok swojej ukochanej kolczugi. Powinien nosić ją z dumą w ścianie tarcz, a nie mieć ją teraz na sobie jako niewolnik, który ciągnie przez ulice wrogiego miasta potrzaskany okręt. Zaciśnął szczęki i pozwolił, by wściekłość wypaliła w jego sercu ból. Dotknął amuletu Torwała.

– Mam nadzieję, że podczas swoich walk będziesz miał choć chwilę, by na nas spojrzeć – szepnął bogu. – Będziesz z nas dumny.

Wulfe włożył ubranie, które dali mu żołnierze. Dawno już zaskarbił sobie ich sympatię. Byli przekonani, że dzieciak przynosi im szczęście, bo Wulfe umiał przywoływać delfiny, które uważane były za przyjaciół żeglarzy. W Sinarii chłopcy nosili krótkie wełniane tuniki bez rękawów, które związywali paskiem. Wulfe podrośł nieco podczas podróży, ale ku swojej rozpaczy wciąż nie za wiele. Pragnął być tak wysoki jak Skylan.

Chłopiec rozmawiał niedawno ze swoimi przyjaciółkami, oceanidami, i teraz zamartwiał się tym, co mu naopowiadały. Odszukał Skylana, który właśnie polerował swój hełm. Jako że był to hełm metalowy, Wulfe zachował bezpieczną odległość.

– Oceanidy mówią, że ci Brzydale tam, na lądzie, nie cierpią leśnych stworzeń. Że je zabijają. Nie dasz im mnie zabić, prawda?

– Jasne, że nie – mruknął Skylan, który słuchał chłopca jednym uchem.

Wulfe odetchnął z ulgą i podszedł nieco bliżej.

– Oceanidy mówią, że flota ogrów jest już w połowie drogi. Ogry płyną tu, żeby walczyć z Południowcami.

Skylan wymamrotał coś na odczepnego w odpowiedzi. Chciał za wszelką cenę zetrzeć tę smugę rdzy na hełmie. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, co powiedział chłopiec. Przestał polerować i popatrzył na przyjaciela uważniej.

– Twoje oceanidy mówią, że ogry płyną tu, do Sinarii?

Wulfe zrobił obrażoną minę.

– No, przecież ci już mówiłem.

– Płyną tu, żeby zaatakować?

– No chyba tak – odparł dzieciak. – A po co by miały płynąć, nie?

Skylan splunął na metal i znów potarł go szmatką, nie spuszczać oczu z chłopca. Rzeczywiście pamiętał, że Wulfe mówił mu coś o tym, że ogry płyną w stronę Sinarii. Coś o tym, że Brzydale będą się nawzajem zabijać.

Wulfe zostawił go tak zamyślonego, oparł się o nadburcie i patrzył, jak oceanidy baraszkują wśród fal. Uparcie wpatrywał się w harce przyjaciółek, żeby nie musieć spoglądać na smoka, którego głowa wciąż leżała na pokładzie. Zdecydowanie nie podobało mu się, jak te drewniane oczy się na niego gapią.

Nie odważył się słowem napomknąć Skylanowi, ani nikomu innemu, o smoczej kości, która z tego, co wiedział, nadal leżała sobie spokojnie w jego strzeżonej magicznym zaklęciem skrytce w kadłubie. Wpadł w panikę, że odkryją ją naprawiający galion cieśle, ale magia działała skutecznie – nic nie znaleźli.

Skylan i pozostali mogli sobie myśleć, że smok nie żyje, ale Wulfe nie był ślepy. On jeden widział słaby błysk w oczach Kahg, oczach, które wciąż go śledziły. Nie miał pojęcia, czego ten smok od niego chce. Żałował szczerze, że w ogóle znalazł całą tę smoczą kość. Gdy próbował powiedzieć o niej Skylanowi, smok rzucił się przeciw na niego i mało go nie pożarł.

Skylan myślał, że łeb smoka po prostu odpadł.

Wulfe jednak wiedział swoje.

Rozdział 2

Acronis triumfalnie wkroczył do miasta. Lecz to torguńscy wojownicy, zwykli niewolnicy okazali się prawdziwymi zwycięzcami tego dnia.

Procesję rozpoczynał Raegar, który zażądał zaszczytu niesienia smoczego galionu. Wyobrażał sobie, jak będzie dumnie kroczył przez ulice z obciętą głową smoka, symbolem zwycięstwa Aelona nad bogami barbarzyńców. Że będzie imponujący, olśniewający.

Ale gdy uniósł smoczą głowę i ruszył z nią wzdłuż trasy orszaku, powitał go śmiech gapiów. Wyglądało to tak, jakby smok wybrał się na przechadzkę na nogach Raegara. Co gorsze, zdawało mu się, że koszmarna głowa dosłownie ożyła. Rzuciła się to w jedną, to w drugą stronę, zwijała się raptownie i wpadała w tłum – ku przerażeniu małych dzieci i radości starszych.

Żartownisie, którym zawsze się wydaje, że ich obowiązkiem jest dostarczać ludziom rozrywki z byle okazji, zaczęli wykrzykiwać jakieś prostackie uwagi, a tłum aż trząsł się od śmiechu. Gdy Raegar tak kroczył ulicami miasta, dosłownie widział, jak rozbawienie kołysze tłumem i wędruje coraz dalej jak fale, gdy jedni gapie przekazują żart drugim, a ci z tyłu próbują się przepchać do przodu, by lepiej widzieć.

Nim uszedł kilka przecznic, był zlany potem, wściekły i wykończony. Gdyby nie to, że Aelon zapewnił go, iż bogowie Vindrasów zostali już pokonani i ledwie krok dzieli ich od zupełnego unicestwienia, Raegar byłby podejrzewał, że to sama Smokini Vindrash i smok Kahg stroją sobie żarty jego kosztem.

Zahakis, który widział męczarnie Raegara, dziękował w duchu losowi, że ma na głowie hełm; rozbudowane metalowe daszki na policzkach skutecznie kryły jego szeroki uśmiech.

W orszaku szli także marynarze i wioślarze ze *Światła Morza*, z dumą machając do swoich przyjaciół i krewnych w tłumie. Pracowali w znoju, w trudnych warunkach, nieraz groziło im niebezpieczeństwo, lecz pomimo wszystko ci ludzie nie byli niewolnikami. Byli wolnymi obywatelami Oranu i Acronis traktował ich należycie. Był to szczęśliwy moment w ich ciężkim życiu, więc szli i machali dumnie, czasem podnosząc małe dzieci po drodze i niosąc je dalej na rękach.

Za nimi ruszyli żołnierze, olśniewając swymi zbrojami; twarze mieli srogie, oczy utkwione przed siebie. Prowadzili ich chorążowie.

Potem dopiero mieli iść vindrascy jeńcy.

Venjekar został umieszczony na platformie z kołami i przywiązano do niego długie liny, żeby torguńscy wojownicy mogli ciągnąć go przez ulice. Okręt nie był dla nich przesadnym ciężarem. Byli przyzwyczajeni do wyciągania go z wody na brzeg.

Prawdziwy ciężar odczuwali w sercach.

Świadomość tego, że są niewolnikami, pokonanymi i pojmanymi. Poniżenie wywołane tym, że oto prezentowano ich ku rozrywce tłumy gapiów. Tęsknota cudzoziemców w obcym kraju, tak daleko od domu i bliskich. Rozpacz po poległych przyjaciółach. Osamotnienie w tej walce, w której nie mogli lub nie chcieli pomóc im ich bogowie. Niewypowiedziany strach przed nieuniknionym losem. Utrata nadziei. Oto, co było dla nich prawdziwym ciężarem.

Aylaen postanowiła, że będzie szła wraz z wojownikami. Acronis zarządził początkowo, że kobiety mają stać na pokładzie *Venjekaru*, ale Aylaen oświadczyła mu, że równie dobrze może ją od razu zabić, bo prędzej umrze ze wstydu, niż wykona jego rozkaz.

– Żebyś widział ten ogień w jej oczach – relacjonował potem Zahakisowi. – Zaciśnięta szczęka, uniesiona dumnie głowa. Natychmiast olśniło mnie, że ta dziewczyna musi walczyć w Para Diksie. Nazwę ją Ogressa. Ogressa i barbarzyńcy. Dobrze brzmi, prawda?

I tak Acronis pozwolił jej iść razem ze Skylanem i pozostałymi Torgunami. Teraz jednak sama nie była pewna, czy nie popełniła błędu. Z rozpaczą wpatrywała się w wąskie, kręte uliczki i potężne budynki, które górowały nad nią jak ściany jakiegoś posępnego grobowca. Była przerażona ogromem tego straszego miasta i tymi tłumami. Lecz najgorszy z tego wszystkiego był smród, którego nie zapomni już do końca życia.

Tysiące niemytych ciał w upale letniego dnia. Śmieci gnijące na ulicach. Ścieki pełne brązowej, cuchnącej wody. Dym z kuźni i kuchni, zawieszony w tym martwym powietrzu. Zrobiło jej się niedobrze od tego fetoru. Poczula, jak żółć podchodzi jej do gardła, i przestraszyła się, że zaraz zwymiotuje.

– Jak oni to wytrzymują? – jęknął Erdmun, krztusząc się strasznie. Torgunowie stali przy okręcie i czekali na rozkaz ciągnięcia lin. – Tu jest gorzej niż w sraczu!

Aylaen próbowała zatkać sobie nos rękawem tuniki, ale wiedziała, że gdy będzie już ciągnąć linę, nie uniknie oddychania w tym smrodzie.

Ludzie gapili się – w szczególności na nią, bo była przecież jedyną kobietą wśród tylu mężczyzn – pokpiwali sobie i śmiali się w głos. Policzki Aylaen płonęły ze wstydu, trzęsła się cała, nogi się pod nią uginały. Zdawało jej się, że po prostu umrze z tego upokorzenia. Miała nadzieję, że umrze. Widziała, że nie ona jedna tak to odczuwa. Skylan był trupio błądy, zacisnęła szczęki.

Nagle jednak uniósł dumnie głowę, zwilżył usta językiem i zaintonował pradawną pieśń Vindrasów:

*Śpiewajmy na chwałę Torvala,
niech śpiewa z nami jasna stal mieczy.
Imię Torvala rozbrzmiewa,
gdy miecz uderza w tarczę,
gdy młot uderza w mury wroga.
Potęga i siła wroga jest niczym.
Zwyciężymy.
Torval rozpala w naszych sercach ogień,
a włócznie płoną od boskiego żaru.*

Głos Skylana stawał się głośniejszy i mocniejszy w miarę śpiewania. Pociągnął mocno i lina się napięła. Dołączyli do niego pozostali Torgunowie. Chwycili za liny i zaczęli śpiewać pieśń, którą dobrze znali, pieśń śpiewaną często przez wojowników w ścianie tarcz, by nie opuściła ich odwaga.

Aylaen nigdy przedtem nie śpiewała tych słów, ponieważ była to pieśń wojowników, pieśń mężczyzn. Skylan stał na samym przedzie, tuż obok Sigurda. Obrócił się i obrzucił pozostałych spojrzeniem, które dało im siłę. Pieśń zjednoczyła ich i byli jednym, jakby znów stali razem w ścianie tarcz.

Wzniesli głosy w pieśni oporu i odwagi. Skylan zaintonował kolejną zwrotkę. *Venjekar* ruszył do przodu. Torgunowie rzucili się naprzód biegiem, zupełnie zaskakując idących z przodu żołnierzy. Na twarzy Sigurda pojawił się ten sam szalony uśmiech, który miał zawsze podczas bitwy. Bjorn biegł tuż przy Aylaen. Darł się na całe gardło. Zaczęła więc śpiewać – trochę niepewnie – a Bjorn uśmiechnął się zachęcająco. Biegnący przed nią Grimuir obejrzał się przez ramię i kiwnął głową z aprobatą.

Wbrew wszystkiemu Torgunowie postanowili nie tracić nadziei. Postanowili, że będą nieść swój ciężar z dumnie uniesionymi głowami. Postanowili zaśpiewać na cześć swego boga Torvala, choć wiedzieli, że on sam być może walczy właśnie, zakrwawiony, osaczony. Biegnąc odważnie przez ulice, wołali jego imię i energicznie ciągnęli swój okręt, uparcie deptając po piętach żołnierzom, którzy przyspieszyli ze strachu przed stratowaniem.

Zapłacą jeszcze za ten moment odwagi. Ta euforia nie potrwa długo – są niewolnikami i jedynie bogowie wiedzą, jak wiele jeszcze czeka ich poniżenia i cierpienia. Lecz Aylaen nie myślała o przyszłości. Skupiła się na teraźniejszości i słowach wojennej pieśni. Już nie czuła tego strasznego smrodu. Nie widziała oczu gapiów, otwartych ust. Nie słyszała śmiechów i drwin.

Ujrzała nagle Torvala. Stary, zmęczony i ranny biegł przez niebiosy i ciągnął liny, do których przywiązany był świat. Jego zbroja była poobijana, tarcza – połamana. A jednak i on biegł z uporem.

– Wasi bogowie nie żyją – powtarzał im Raegar.

Pokonani. Pograżeni w rozpacz. Może nawet umierający. Ale na pewno żyli.

Aylaen podniosła swój kobiecy głos i dołączyła do pieśni. Jej piękny, aksamitny śpiew płynął po powierzchni głębokich męskich głosów. Ciągnęła liny, ręce jej krwawiły i śpiewała pieśń na chwałę Torwała.

Ludzie przyszli, by się pośmiać z barbarzyńskich niewolników, lecz ich szyderczy śmiech utonął w pieśni nieulekłych wojów. Wielu Sinarian, którzy przyszli, by kpić lub użalać się nad tymi ludźmi, nagle zaczęło ich podziwiać. Ulice pełne były niewolników. Wymywali łąjno ze ścieków, nieśli pojemniki z pomyjami, czekali na swoją kolej, by jechać do pracy w kopalni czy przy wydobywaniu gliny, targali swych panów w ozdobnych krzesłach, wachlowali swe panie. Tego dnia niewolnicy podnieśli głowy znad swych codziennych prac i ujrzeli Torgunów, nowych niewolników – dumnych i odważnych – i po raz pierwszy w życiu niektórzy z nich poczuli w sercach iskierkę nadziei.

Tego dnia Torgunowie walczyli we własnej bitwie. Nie dbali o bitwy innych. Lecz – choć nigdy się o tym nie dowiedzą – to właśnie tego dnia rozpalili iskrę w sercach wielu. Rozpalili mały ogień w mokrym i brudnym sianie, na które nikt nie zwracał uwagi. Nikt nie zauważył cieniowego, strzępiastego, złowieszczonego dymu.

Widział go jednak wszechwiedzący Aelon. Widział wiele, gdy spoglądał w przyszłość.

Ostatni jechał na swym rydwanie Acronis. Oto udało mu się wywołać nie lada sensację. O jego pochodzie będzie się mówiło przez całe dni, a może nawet miesiące. Jego przyjaciele będą się cieszyć, a wrogowie zazdrościć. Lecz on w ogóle o tym nie myślał. Jechał przez ulice miasta i nawet nie zwracał uwagi na wiwatujące tłumy. Marzył już tylko o końcu tego całego przedstawienia. Chciał ujrzeć uśmiech na jednej małej twarzy, chciał zobaczyć światełko radości w jednej parze ukochanych oczu.

Torgunowie zaciągnęli swój okręt na wielką arenę. Nie mieli pojęcia, gdzie się znaleźli. Wyglądało to jak wielka misa zagrzebana w ziemi i otoczona ławkami. Pośrodku znajdowało się jakby wielkie ognisko. Widać było ślady po jakichś kołach i liniach wyrysowanych na trawie. To deszcz nie zmył jeszcze znaków po ostatnim Para Diksie. Na polu znajdowały się potężne głazy, niektóre wysokości dorosłego mężczyzny. Całość otaczał tor dla rydwanów i innych pojazdów.

Acronis wjechał na arenę, a tłumy wiwatowały. Torgunowie wciągnęli tam okręt i – na rozkaz Zahakisa – przystanęli. Skylan usiłował zachować poważną, niewzruszoną minę. Miał nadzieję, że nie widać po nim, jak bardzo jest zdumiony. Widział tego dnia rzeczy, o których istnieniu nie miał pojęcia. Uzmysłował sobie, że jego przyjaciele czują to samo.

Acronis podjechał pod cesarską lożę. Pokłonił się przed nową Cesarzową – kobietą zupełnie nijaką, gdyby nie misternie ułożona czerwona peruka. Oczy miała pomalowane kohlem, usta pociągnięte karneolem. Oto nagradzała długie tygodnie monotonnej, ciężkiej,

niebezpiecznej pracy chłodnym uśmiechem i lekkim skinięciem głowy. Potem troskliwie uniosła swego mopsa, żeby lepiej widział te atrakcje.

Prawda była jednak taka, że choć Acronis kłaniał się Cesarzowej, w rzeczywistości widział tylko jedną osobę – drobną dziewczynkę, która była nieco za niska i za chuda jak na swoje piętnaście lat. Siedziała na poduszkach kilka rzędów za Cesarzową i jej dworem. Miała duże, brązowe oczy, które w tej chwili lśniły dumą. Jej uśmiech był dla Acronisa jak wschód słońca. Klaskała tak mocno, że na pewno bolały ją dłonie.

Wskazała okręt barbarzyńców i szepnęła:

– Dla mnie?

Bogowie moi, pomyślał Acronis, a serce ścisnęło mu się z bezgranicznej miłości.

Wokół niego kobiety rzucały płatki róż. Mężczyźni wznosili gromkie owacje.

– Umrzyj teraz! – krzyczeli zgodnie z pradawnym zwyczajem. Życzyli mu śmierci u szczytu sławy, by nie musiał żyć ze świadomością, że nigdy już nie będzie tak szczęśliwy jak tego dnia.

Acronis jednak cieszył się świetnym zdrowiem i bynajmniej nie umarł tego dnia.

Rozdział 3

Na posiadłość Acronisa składało się kilka zabudowań, z których najważniejsza była pradawna willa pozostająca w jego rodzinie od lat. Poza tym były tu baraki dla żołnierzy oraz zabudowania gospodarcze takie jak stajnie, piekarnia, kuźnia i łaźnie, a wszystko otoczone ceglany murem. Willa stała na najwyższym w tej części Oranu wzgórzu. Wyszędłszy na portyk, Acronis mógł rzucić okiem na swoje gaje oliwne, łany zbóż, zielone wzgórza pełne owiec i krów oraz teren, na którym zamierzał trzymać zdobytych właśnie niewolników.

U stóp wzgórza płynęła rzeka Cydron, a jej lśniąca wody wiły się aż do morza. Acronis kochał tę rzekę. Lubił o niej myśleć jako o symbolu przeszłości, życia, które pamiętał z młodości – spokojnego, wolnego, wytwornego i dumnego.

W centrum marmurowo-granitowej willi znajdowało się przestronne atrium, otwarta przestrzeń o kamiennej posadzce. Ozdobione marmurowymi fontannami, statuetkami z brązu, egzotycznymi drzewami i pięknie pachnącymi kwiatami było dla Acronisa miejscem, w którym najchętniej przyjmował gości.

Można było na nie otworzyć okna i drzwi pokoiów w środkowej części willi i dzięki temu rozkoszować się w środku chłodną, pachnącą bryzą. Największy i najpiękniejszy z tych pokoi należał do Chloe. Na atrium wychodziły także jadalnia i gabinet Acronisa. Dalej, w głębi domu były jeszcze sypialnie dla niewolników, toaleta i kuchnia, która znajdowała się na końcu domu, tuż przy piekarni.

Pałac Cesarzowej, jaskrawe sanktuarium Aelona i hałaśliwe, śmierdzące, zatłoczone miasto oddalone były o wiele mil i skryte za wzgórzami.

Wycieńczeni jeńcy jedynie z daleka widzieli willę, a raczej jej białe ściany zaróżowione lekko w świetle zachodzącego słońca. Była tak inna od ich długich domów, że nawet się nie domyślali jej przeznaczenia. Było im to zresztą obojętne. Gdy dotarli wreszcie do tej rozległej posiadłości, ciągnąc za sobą swój okręt, byli nieludzko zmęczeni i kompletnie pozbawieni bojowego ducha. Znikła ich wola walki, prysła nadzieja, przebrzmiała pieśń.

Bolały ich mięśnie. Ręce otarte były do krwi. Serca przepelniała rozpacz. Gdy powiedziano im, że są już na miejscu, które będą odtąd zwać swoim domem, byli tak zmęczeni, że większość padła na ziemię, tak jak stała, i nawet nie zadali sobie trudu, by rzucić okiem wokół.

Ale Skylan rozejrzył się uważnie i zmarszczył brwi.

– Dziwne – mruknął.

Znajdowali się w czymś, co przypominało starą zagrodę dla owiec. Duży, trawiasty obszar u stóp wzgórza otaczał kwadratowy kamienny murek. Tkwiła w nim zardzewiała żelazna bramka. Wewnątrz żołnierze rozbijali właśnie trójkątne namioty z koziej skóry. W oddali Skylan widział niknące promienie słoneczne drżące na powierzchni wody, być może rzeki.

Dziwne natomiast było to, że murek sięgał mu ledwie do uda. Mógłby go bez trudu przeskoczyć. Co to za więzienie?

Wciągnęli okręt do tej podejrzanej zagrody. Acronis zamierzał postawić swoje trofeum przed samą willą, ale dopiero gdy naprawiona zostanie wreszcie ta nieszczęsna smocza głowa. Do tego czasu *Venjekar* był takim samym więźniem jak oni.

Wojownicy siedzieli na ziemi zupełnie oszołomieni.

Nie wiadomo skąd pojawił się Wulfe i rozsiadł na trawie przy Skylanie, który odetchnął z ulgą. Pół dnia zastanawiał się, gdzie znowu się podział ten urwipoleć.

– Gdzieś ty był? – spytał.

– Schowałem się w ładowni – wyjaśnił Wulfe. Przysunął się bliżej Skylana i szepnął: – Nie podoba mi się tu. Kiedy sobie stąd pójdziemy?

Skylan spojrzał na niego, po czym szybko odwrócił wzrok.

Bogini słońca Aylis poddawała się już i tonęła na zachodzie. Nieboskłon upstrzony był czerwonymi promieniami. Cienie się wydłużyły. Część Torgunów zasnęła na trawie. Mimo wycieńczenia Skylan był jednak tak niespokojny, że nie mógł spać. Miał nieprzyjemne przeczucie, że nim skończy się dzień, stanie się coś jeszcze gorszego.

Legat nie trzymałby przecież niewolników w zagrodzie, z której można tak łatwo uciec, gdyby nie miał jakichś innych metod sprawowania nad nimi pełnej kontroli. Przeczucie Skylana sprawdziło się niestety. Ujrzał, że przed bramą zatrzymują się cztery dziwaczne wozy ciągnięte przez konie.

Wyglądały jak małe domki na kołach. Zbudowane były z drewna, miały ściany i łukowate daszki, które chroniły podróżującego przed niepogodą. Boczne deski można było otworzyć lub zamknąć, tak że ktoś w środku mógł wyglądać na zewnątrz, ale mógł też zupełnie skryć się przed światem. Z tyłu widniały drzwi, przez które wchodziło się do wozu. Z jednego z tych cudacznych domków wyłonił się Raegar. Towarzyszyło mu sześciu kapłanów i dwóch wojowników. Na ich straży stał Zahakis wraz z dwudziestoma żołnierzami, uzbrojonymi we włócznie i miecze.

– Znosi się na jakieś kłopoty – ostrzegł swoich ludzi Skylan.

Bjorn zabrał się do budzenia Erdmuna. Reszta od razu zerwała się na równe nogi. Wulfe rzucił się do ucieczki, ale Skylan zdołał go złapać.

– Za późno. Raegar już cię zauważył. Biegnij do Aylaen. Ona cię obroni.

– Ale nie chcę cię zostawiać samego – oświadczył Wulfe.

– Nie obejdzie się bez walki – ostrzegł go Skylan, więc chłopak czmychnął w stronę Aylaen i schował się za nią. Uśmiechnęła się do niego, ale nie wypadło to zbyt przekonująco.

Skylan i pozostali z niepokojem patrzyli na zbliżającego się Raegara. Towarzyszący mu żołnierze musieli także być kapłanami wojownikami, bo mieli na sobie taką samą jak on zbroję, na której widniały zmija i słońce. Pozostałych sześciu kapłanów ubranych było inaczej. I oni mieli tatuaże oraz ogolone głowy tak jak Raegar, ale nosili długie szaty umocowane na ramionach. Na ich gołych ramionach lśniły złote bransolety w kształcie węży.

– Mężczyźni tutaj ubierają się jak kobiety – prychnął z pogardą Sigurd.

– Bo to są kobiety – skonstatował ze zdumieniem Bjorn.

Z bliska przekonali się, że Bjorn ma rację. Skylan widział teraz, że sześć kapłanek ma delikatniejsze, kobiece rysy twarzy. Gdy podeszły bliżej, zobaczył z przerażeniem, że złote bransolety bynajmniej nie były ze złota. Na nagich rękach kobiet wiły się żywe żmije. Skręcały się i syczały, migając cienkimi językami.

– Czuję złą magię – szepnął Wulfe. – Bardzo złą magię.

Tym razem Skylanowi nie trzeba było tego powtarzać. Sam czuł, że w jego stronę ciągnie coś złego, że pełźnie ku niemu i pozostałym. Wolałby stanąć twarzą w twarz z armią wymachujących toporami ogrów.

Spojrzał kątem oka na Zahakisa. Trybun miał ponury wyraz twarzy. Cokolwiek miało się zaraz wydarzyć, z jakichś względów nie budziło jego aprobaty.

Raegar zatrzymał się przed Torgunami. Uniósł głowę i wznosił ręce ku niebu. Już miał rozpocząć swoje przemówienie, gdy odezwała się Aylaen:

– Gdzie jest moja siostra? – krzyknęła.

Raegara wyraźnie zirytowała ta niesubordynacja, ale zmusił się do uśmiechu.

– Jest bezpieczna w świątyni. Wkrótce ją zobaczysz. Zabiorę cię tam jeszcze dziś wieczorem...

– Nigdzie jej nie zabierzesz – przerwał mu spokojnie Zahakis. – Legat chce, żeby dziewczyna walczyła w Para Diksie. To jego niewolnica. I tak w swej hojności oddał ci już tę drugą kobietę. A teraz załatw, co masz załatwić, bo wszyscy jesteśmy nieludzko zmęczeni.

Raegar posłał Zahakisowi nienawistne spojrzenie. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale potem jednak się rozmyślił. Wyprostowawszy się dumnie, zwrócił się do Torgunów.

– Aelon próbował oświecić was swym przenajświętszym światłem, lecz odmówiliście mu. Aelon nie wini was za to. Bóg wie, że jesteście upartymi i zbuntowanymi dziećmi, które rodzice nazbyt rozpieścili. Wie dobrze, że jak każde rozpieszczone dziecko marzycie tak naprawdę o dyscyplinie i mocnej ręce.

– Tak naprawdę to marzę o tym, żeby ci skopać tyłek – odparował mu Sigurd, a Skylan i pozostali ryknęli śmiechem.

Raegar przyjął to grubiaństwo bardzo spokojnie, co Skylan uznał za zły znak. Nie spuszczał oczu z kapłanek z wężami.

– Przychodzę do was z niewiastami zwanymi Kapłankami Ducha. Do ich zadań należy między innymi pomagać takim właśnie jak wy, zagubionym w ciemnościach dzieciom, odnaleźć drogę ku światłu Aelona. Jesteście uparci. Zamykacie uszy na moje słowa. Nie chcecie słuchać mojego nauczania. I dlatego właśnie bóg przemówi do was bezpośrednio. Naznaczeni zostaniecie znakiem Aelona.

Torgunowie milczeli. Stali w zwartym szeregu, ramię w ramię, bez słowa uformowawszy ścianę tarcz, by stawić czoło wrogowi. Nie mieli broni. Nie mieli tarcz. Nie liczyli na to, że przeżyją tę walkę, lecz ufali, że Torval uśmiechnie się do nich, gdy powita ich jeszcze dziś w Komnacie Bohaterów.

Aylaen zrobiła krok, by do nich dołączyć. Wulfe pisnął cicho i przywarł do jej ręki, odciągając ją na bok.

– Nie zostawiaj mnie – błagał. – Nie pozwól mu mnie zabrać. On mnie zabije!

– Cicho, Wulfe, cicho. Nikt cię nie zabije – szepnęła Aylaen, ale jednak została przy dziecku i nie dołączyła do wojowników. Stała obok i trzymała Wulfe'a za rękę.

Skylan podziękował jej uśmiechem, ale udała, że tego nie widzi.

Raegar popatrzył na nich i wzruszył ramionami.

– Tylko nam to wszystko ułatwiacie.

Skylan przygotował się do ataku. Był pewien, że Raegar rozkaże teraz żołnierzom Zahakisa rzucić się na nich. Tymczasem ku jego zdziwieniu Raegar zwrócił się do sześciu kapłanek.

– Przygotujcie tych barbarzyńców na boskie błogosławieństwo.

– A co z chłopcem i kobietą? – spytały.

– Chłopak idzie ze mną – powiedział ostrym tonem kapłan. A potem znacznie łagodniej dodał: – Ta niewiasta znajduje się pod moją specjalną opieką.

Uśmiechnął się do Aylaen przypochebnie, a oczy my zaśniły. Skylanowi ścisnął się żołądek. Ręka sama powędrowała do miecza, którego nie było. Ileż by dał, żeby zmasać ten paskudny uśmiech z gęby tego parszywca. Aylaen splonęła się i żeby nie spojrzeć na Raegara, pochyliła się i powiedziała coś pocieszającego do Wulfe'a, który przykucnął u jej stóp i trząsał się cały.

Sześć kapłanek ze zmijami wijącymi się na ramionach złapało się za dłonie i zaczęło coś nucić, wzywając Aelona. Wulfe pisnął w panice. Aylaen próbowała go trzymać, ale wyrwał jej się i zaczął biec. Raegar rzucił rozkaz jednemu ze swoich kapłanów wojowników, który natychmiast pobiegł za chłopcem, aż mu zagrzechotała zbroja.

Skylan nawet nie spojrzął za przyjaciela. Nie mógł oderwać oczu od nucących kapłanek. Słowa modlitwy wślizgiwały się do jego głowy jak węże, które kobiety miały na

ramionach; wiły się w jego mózgu; syczały podstępnie. Próbował zamknąć się na te głosy. Chciał zatkać uszy, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa.

Był taki zmęczony. Miał już dość walki, dość cierpienia, dość trwania przy nadziei wbrew wszelkiej logice. Nawet wzięcie oddechu wydawało się wysiłkiem ponad jego siły. Łatwiej byłoby się poddać.

Łatwiej...

Skylan siedział na trawie. Zapadła noc, a on nie pamiętał, jak się tu znalazł. Przed nim klęczały dwie kapłanki z syczącymi węzami na ramionach. Jedna trzymała go za ręce i przyglądała im się w świetle pochodni. Skylan popatrzył na nią z obojętnością. Dlaczego miałby się czymkolwiek przejmować? Te ręce i tak nie były przecież jego. Należały przecież do kogoś innego.

Staął nad nim Raegar.

– Ten jest praworęczny. Zróbcie mu tatuaż na tej ręce, którą walczy.

Kapłanki kiwnęły głowami. Jedna z nich trzymała misę z jakąś ciemną cieczą. Postawiła ją na ziemi. Wyciągnęła fiolkę z drobnymi kryształkami, które zalśniły w świetle pochodni. Usunęła zatyczkę i ostrożnie odmierzyła kilka kropel migoczących, kolorowych kryształów.

– Sproszkowane kamienie szlachetne – wyjaśniła, gdy zauważyła, że Skylan na nią patrzy. – Kwarc, ametyst i półszlachetne kamienie pobłogosławione przez samego Aelona. – Wskazała na swoje czoło, na którym iskrzyły się czerwone rubiny. – Nie ma się czego bać, młody człowieku – powiedziała. – I my otrzymałyśmy błogosławieństwo Aelona. Bóg przemawia do nas tak, jak będzie przemawiał teraz do ciebie.

Skylanowi wcale się to nie spodobało. Jego umysł kazał mu walczyć, wyrwać się, uciekać. Ale umysł nie był w stanie połączyć się z ciałem, które już do niego nie należało. Należało do kogoś zupełnie innego. Do kogoś, kto siedział na trawie i patrzył, jak kryształowy pył traci swój blask w ciemnej cieczy.

– Atrament z kałamarnicy – objasniła kobieta, mieszając kryształy w atramencie. – Święta mikstura jest już gotowa.

Druga kobieta wyciągnęła z sakwy wąski, srebrny nóż. Głownia ozdobiona była żmijami, które trzymały w paszczach słońca. Wytarta rękojeść z kości zżółkła.

Skylan patrzył, jak kobieta kładzie ostry czubek noża na skórze jego przedramienia. Obserwował, jak nóż wbija się w jego ciało, jak cieknie czerwona krew. Patrzył, jak posoka płynie po ostrym nożu, a potem po ręce, a strużka układa się w kształt S, zupełnie jak węze na ramionach kapłanek. Patrzył. Wiedział, że powinien coś zrobić, żeby temu wszystkiemu zapobiec, jego mózg kazał mu walczyć, lecz on sam nie mógł się wyrwać z tego dziwnego transu.

Kapłanka odłożyła nóż na trawę i zaczęła odginać brzegi rany. Druga kobieta wlała do środka atrament z kryształkami, a potem zaczęła go wbijać głębiej w ciało.

Skylana przeszył nieznośny ból. Wrzasnął i wyrwał się, żeby uciekać. Ale w rzeczywistości nawet się nie poruszył. Jego ciało nadal jedynie siedziało i patrzyło.

Zakończywszy pracę z kryształkami, kapłanka założyła bandaż na ranę. Skylan patrzył, jak przez płótno przecieka krew zmieszana z atramentem.

– Przez kilka dni nie zdejmuj opatrunku – zaleciła kapłanka.

Wstała i podeszła do Farinna, który obserwował Skylana z przerażeniem w oczach. Gdy kapłanka uniosła jego rękę, chłopak drgnął. Lecz to była cała jego reakcja. Potem siedział na trawie i patrzył bez ruchu, jak wbijają mu nóż w ciało.

Skylan nie posiadał się z wściekłości. To, że musiał patrzeć, jak zadają ból Farinnowi, było znacznie gorsze od samego bólu, który przeżył przed chwilą. Skylan coraz bardziej lubił tego chłopaka. Nieraz słyszał, jak Farinn śpiewa sobie coś cicho, gdy zdawało mu się, że nikt go nie słucha. W głowie Skylan rzucił się na równe nogi, by zaatakować kapłankę, wykręcił jej dłoń, by upuściła ostrze, może nawet złamał jej rękę. W rzeczywistości siedział i patrzył, jak rozcinają Farinnowi ramię, jak płynie krew, jak chłopak wdryga się z bólu. I – ku swojej rozpaczycy – nic nie zrobił.

Nagle Skylan przypomniał sobie tę straszną chwilę, gdy jeszcze w Ludzie ogrzy szaman rzucił na niego jakiś paskudny urok, paraliżując mu ręce i nogi, uniemożliwiając walkę.

„Czuję złą magię”, ostrzegł go Wulfe przed chwilą.

Skylan zadrżał, lecz nawet to zdawało się wymagać zbyt dużego wysiłku.

Gdy kapłanki zakończyły wreszcie obrządek, opróżniły misy i spakowały srebrne noże, atrament i fiołki z kryształkami.

– Wrócimy do wozów i tam na ciebie poczekamy – rzekła do Raegara jedna z nich. – Co robimy z kobietą?

Mówiły o Aylaen, która patrzyła na to wszystko z przerażeniem.

– Zostaje tutaj – oświadczył twardo Zahakis. – Musi wkrótce rozpocząć trening.

Raegar rzucił mu rozniewane spojrzenie.

– Porozmawiam o tym z Kapłanem Generałem. To mu się nie spodoba.

Zahakis wzruszył ramionami. Kapłanki, które trzymały Aylaen, puściły ją. Podbiegła do wojowników. Siedzieli na murawie i wpatrywali się tępo przed siebie. Aylaen patrzyła na nich bezradnie, nie mogąc pojąć, co się stało, nie wiedząc, co robić. Kapłanki odeszły.

Raegar stał i czekał niecierpliwie na powrót kapłana wojownika, którego wysłał w pogoń za chłopcem.

– Możecie już odejść – rzekł Zahakisowi i lekceważąco machnął na niego ręką. – Nie potrzebujemy już waszych mieczy. Torgunowie nie stanowią już żadnego zagrożenia.

– Mam rozkaz odprowadzić ciebie i twoich ludzi do samego wyjścia – odparł Zahakis.

Raegar wbił w niego spojrzenie pełne nienawiści, lecz wziął głęboki oddech i nic nie powiedział. Skylan zaczął się zastanawiać, co Raegar ma na myśli. Jak to nie stanowią już

zagrożenia? Jeśli o niego chodzi, zamierza być zagrożeniem dla tego zdrajcy dopóty, dopóki ten podły pies chodzi po tym świecie.

– W życiu nie znajdziecie po ciemku tego dzieciaka – zauważył złośliwie Zahakis. – Odwołaj bezsensowny pościg.

– Nie pozwolę, by ten demon latał po okolicy – syknął Raegar. – Ty i twoi ludzie możecie sobie iść. Jak już mówiłem, nie jesteście tu potrzebni. Idźcie spać.

Zahakis pokręcił tylko głową i nie ruszył się z miejsca ani nie pozwolił spocząć żołnierzom.

Rana Skylana piekła, kłuła i bolała. Bandaż był zaciśnięty zbyt mocno. Postanowił zdjąć opatrunek i ze zdziwieniem stwierdził, że jego dłoń posłuchała nakazu mózgu. Walczył właśnie z paskiem płótna, próbując znaleźć jego początek, żeby go odwinąć, gdy posłyszał przeraźliwy skowyt.

Dwóch kapłanów wojowników pochwyliło jednak Wulfe'a. Chłopiec wił się, wrywał i kopał jak szalony. Wojownicy przyciągnęli go w ponurym milczeniu do Raegara.

– Co robimy z tym gówniarzem? – spytał jeden z nich.

– Zabrać go do Świątyni – rozkazał Raegar.

Wulfe pisnął z przerażenia i podwoił wysiłki, by się wyrwać.

Skylan wstał. Dziwne osłabienie powoli zniknęło.

– Nigdzie go nie zabieracie, Raegar. Chłopak zostaje ze mną.

Chciał zrobić krok w kierunku kapłanów wojowników, ale nieznośny ból przeszył mu ramię. Z trudem się powstrzymał od jęknięcia.

Raegar bez mrugnięcia okiem kontynuował wydawanie rozkazów.

– Zaprowadzić chłopca do enklawy Aelona. Zamknąć go w tej specjalnej celi dla jemu podobnych stworzeń. Zajmę się nim jutro rano...

Wulfe zwinął się i wbił zęby w rękę jednego z kapłanów. Mężczyzna zawył z bólu i puścił. Chłopak wyrwał się drugiemu i rzucił w stronę Skylana.

– Nie pozwól mu mnie zabrać – błagał. – On mnie zabije!

– Brać go – ryknął Raegar i obrzucił obu kapłanów niezadowolonym spojrzeniem.

Skylan zasłonił Wulfe'a ramionami.

– Chłopak zostaje ze mną...

Takiej męki nie przeżył jeszcze nigdy w życiu. Czuł się tak, jakby włożył rękę do kotła z wrzącym, rozpalonym do czerwoności, stopionym żelazem. Zwinął się z bólu, chwycił za ramię i jęknął głucho.

Pozostali Torgunowie przyglądali się temu z rosnącym niepokojem. Nie mogli pojąć, co się dzieje.

– Tak oto karze Aelon tych, którzy nie są mu ulegli – skomentował z satysfakcją Raegar. Potem wskazał na Wulfe'a. – Zabrać chłopaka.

Wulfe wrzasnął w panice. Skylan nie mógł mu jednak pomóc. Zdawało mu się, że jego ręka płonie żywym ogniem. Aylaen chwyciła Wulfe'a i przytuliła do siebie opiekuńczym gestem.

– Możesz go zostawić pod moją opieką, Raegarze – powiedziała. – Będę za niego odpowiedzialna.

Raegar zawahał się, nie wiedząc, jak wybrnąć z tej sytuacji. Nie chciał w żaden sposób urazić Aylaen, ale za wszelką cenę pragnął dorwać chłopaka.

– Nie rozumiesz, moja droga – rzekł w końcu. – Zabieram go do Świątyni, bo stanowi zagrożenie dla nas wszystkich. Robię to dla twojego dobra. To dziecko leśnych stworzeń. Jest niebezpieczne dla każdego, ciebie nie wykluczając.

– To tylko mały chłopiec, Raegarze – zaproponowała Aylaen, a w jej głosie słychać było źle ukrytą kpinę. – Będzie przy mnie bezpieczny.

– Zaślepiąca jesteś w swej niewiedzy, Aylaen, i dlatego Aelon wybacza ci twoje błędy – przemówił uroczyście Raegar. – Nie chcę twojej krzywdy...

– Dość tego! – warknął Zahakis.

Z ponurym wyrazem twarzy podszedł do Aylaen, chwycił chłopca i wyrwał go jej. Gdy Aylaen próbowała protestować, dwóch żołnierzy wyciągnęło miecze. Stała więc, patrząc bezradnie, jak kapłani wojownicy odchodzą i ciągną ze sobą Wulfe'a.

Dzieciak usiłował się wyrwać i oglądał się za siebie.

– Skylan! Nie pozwól im! Oni mnie zabiją!

– Torvalu – szepnął Skylan z rozpaczą. – Potrzebuję twojej pomocy.

Zahakis stał tuż przed nim, odwrócony do niego plecami. Był bardzo zmęczony i tym tylko należy tłumaczyć ten błąd. Prawa ręka Skylana piekła, jakby płonęła żywym ogniem. Użył więc lewej, by szybko sięgnąć po miecz Trybuna.

Zdawało mu się, że coś zdruzgotało mu każdą, nawet najmniejszą kość w prawej ręce. Stracił zupełnie czucie. Opadły go mdłości. Padł na kolana i wymiotował.

Zahakis pochylił się nad nim.

– Dam ci dobrą radę, młody człowieku – powiedział cicho. – Przestań walczyć. Nigdy nie wygrasz.

– Doprawdy? – syknął Skylan słabo. Twarz oblaną miał potem.

– Tak. Ja jestem człowiekiem rozsądku. I powiem ci, że z czasem może ci się tu nawet zacząć podobać – dodał Zahakis. – Ty i twoi ludzie macie walczyć w Para Diksie, a to oznacza, że będziecie traktowani znacznie lepiej niż większość niewolników. Być może nawet uda wam się kiedyś wykupić z niewoli...

– Idź do diabła – zdołał wycedzić Skylan przez zaciśnięte zęby.

Zahakis wzruszył ramionami i odszedł, dając żołnierzom znak, by maszerowali za nim.

Kapłani zaciągnęli Wulfe'a do wozów. Chłopiec przestał się nagle szamotać i Skylan zaczął się obawiać, że dzieciak zemdlał ze strachu. Raegar posłał Aylaen tęskne spojrzenie,

lecz ona odwróciła się do niego plecami, więc bez słowa odszedł w stronę wozów. Nie pozwolił nawet, by Wulfe'a wieziono razem z kapłankami, i rozkazał kapłanom wojownikom, którzy go trzymali, iść do Świątyni piechotą. Wozy ruszyły, a żołnierze Zahakisa maszerowali po obu ich stronach. Kapłani niosący Wulfe'a szli tuż za nimi.

Ból w ramieniu Skylana ustał nieco. Najwyraźniej Aelon uznał, że ten niewolnik został wystarczająco ukarany. Skylan powlókł się na drżących nogach w kierunku *Venjekaru*, który wciąż stał na platformie z kołami. Czuł na sobie wzrok przyjaciół. Bjorn powiedział coś, ale Skylan go nie słyszał.

Jeszcze przed chwilą butnie postawił się Zahakisowi, ale teraz zwątpił. Na co mu buta? Na co mu odwaga? Nie mieli jak uciec. Nie mieli jak dotrzeć do domu. Nawet jego największa duma, jego smoczy okręt – stał się zwykłym więźniem. Cóż znaczył pozbawiony ducha smoka Kahg, który jeszcze niedawno pozwalał mu pędzić przez fale? Skylan oparł głowę o kadłub swego ukochanego, zniszczonego okrętu, pochylił czoło i poczuł, że po policzkach ciekną mu łzy.

Boję się, musiał przyznać w duchu.

Nigdy jeszcze nie doznał takiego strachu, nawet wtedy, gdy stał w ścianie tarcz i spoglądał na dwa razy większą od swego wojska armię ogrów. Walczył z olbrzymami i widział ich miażdżące kości głowy, lecz i wówczas nie czuł czegoś takiego – strachu, który ścisnął mu wnętrzności i skręcił kiszkę.

Oto był zwykłym niewolnikiem. Nie miał żadnego wpływu na swój los. Jeśli Acronisowi spodoba się zagłodzić go na śmierć, Skylan umrze z głodu. Jeśli Acronis będzie miał ochotę go wychłostać, Skylan zginie pod rzemieniem. Raegar zabije Wulfe'a, a Skylan nie może zrobić nic, by chronić dzieciaka, którego pokochał jak brata.

Zawiodłem go, tak jak zawiodłem wszystkich innych: ojca, Drayę, Garna. Zawiodłem Aylaen. Zawiodłem Torvala i wszystkich moich bogów.

Skylan spojrział wstecz na wszystkie popełnione błędy – błędy, które doprowadziły go i jego ludzi do tego właśnie miejsca – i z całej duszy zapragnął móc przeżyć swoje życie od nowa. Ręka piekła i pulsowała, ale ten ból był niczym w porównaniu z bólem, jaki czuł w sercu. Gdyby był teraz przy nim jego ojciec, Skylan padłby przed nim na kolana i łkał jak małe dziecko.

– Jak tam mój nóż do patroszenia ryb? – spytał jakiś głos.

Skylan uniósł głowę i zobaczył, że przed nim stoi sam Torval. Bóg trzymał w dłoni popękaną tarczę. Jego wojenny topór był porysowany, a hełm obity. Ubrania miał podarte, twarz – w siniakach. Jego oczy jednak lśniły jasno jak stalowe ostrze w zimowym słońcu.

Skylan spłonął się ze wstydu.

– Nie patrz na mnie, panie – wyjącał. – Nie jestem godzien, byś na mnie spoglądał. Zawiodłem cię.

Torval milczał chwilę ponuro.

– Nie – rzekł wreszcie. – To my, bogowie, was zawiedliśmy.

– Nie, panie! – zaprotestował osłupiały Skylan.

Torval uśmiechnął się ze znużeniem.

– Dobrze już, dobrze. Nie będziemy się przecież o to sprzeczać.

– Jak idzie wam walka w niebiosach? – spytał Skylan z najwyższym szacunkiem.

Torval wzruszył ramionami.

– Mniej więcej równie dobrze jak wam tu, na ziemi. Mimo to jednak, póki wy walczyacie, my również nie zaprzestaniemy walki.

– Walki... – powtórzył Skylan z goryczą. – Jak mam walczyć, jeśli ten ich cały Aelon odciął mi prawą rękę?

– Może i bogowie mają kontrolę nad kołem – odparł Torval – lecz nie, która się na nim wije, jest tylko twoja.

Zaczęło miarowo padać. Żołnierze, których Zahakis pozostawił na straży więźniów, siedzieli nieopodal i kulili się przy ognisku, którego płomień syczały w deszczu.

Skylan położył dłonie na burcie i podciągnął się, by wskoczyć na pokład pokierowanego okrętu. Smoczy galion leżał na deskach, puste oczy wpatrywały się w krople. Znalazszy koc, Skylan rozwinął go i położył się.

Zimny deszcz bębnił mu o czoło. Koc był po chwili zupełnie przemoczony i do niczego się tak naprawdę nie nadawał. Po jakimś czasie jednak Skylan usłyszał kroki na pokładzie. Potem głosy – Erdmun pojękiwał i gderał, że go boli ręka, Bjorn kazał mu się zamknąć. Sigurd, nie przebijając w słowach, wysłał Aylaen pod pokład, żeby nie zmkła. Aylaen upierała się przy swoim:

– Będę spała na pokładzie tak jak wszyscy wojownicy – mówiła.

Namioty, które rozbili żołnierze dla niewolników, chroniłyby przed deszczem. Ale Torgunowie ułożyli się do snu na swoim okręcie.

Skylan uśmiechnął się w skąpanych deszczem ciemnościach.

Na co im odwaga? Na co im buta?

Być może na nic. Być może umrzemy w niewoli, z tatuażami na rękach. Być może pozostaniemy jeńcami Aelona, póki śmierć nas nie uwolni.

Póki co jednak będziemy spać na naszym okręcie.

Rozdział 4

Świątynia Nowego Świtu znajdowała się tuż przy wejściu do enklawy Kościoła Nowego Świtu. Bywała czasami niesłusznie mylona z Sanktuarium Aelona. Różnica polegała jednak na tym, że Świątynia była otwarta dla wszystkich. Sanktuarium – nie. Świątynię zbudował około czterdziestu lat temu pewien ambitny Kapłan Generał imieniem Saatsakis.

Była to piękna budowla – prosta i elegancka; otwarta na jasne światło słońca i blask księżyca. Zbudowana była wyłącznie z białego i czarnego marmuru. Można było do niej wejść z każdej strony, wspiąć się po szerokich, marmurowych schodach, przejść przez portyk z kolumnami i schować się w zacienionym wnętrzu.

Na samym środku stał olbrzymi posąg Aelona. Wykuty z marmuru przedstawiał boga jako pełnego energii młodzieńca w złotej zbroi, który w jednej dłoni trzyma miecz, a w drugiej płomień. U jego stóp leżał umierający smok, którego bóg przebił swym orężem. Ogień płonący w marmurowej dłoni Aelona pojawił się tam w cudowny sposób – wzniecony modlitwą Kapłana Generała w dniu konsekracji świątyni. Błogosławiony płomień nigdy nie gasł.

W świątyni było tłoczno zarówno w dzień, jak i w nocy. Wierni przynosili podarki i prosili boga o błogosławieństwa. Kapłani Aelona zawsze zapewniali, że szczodrość boska nie ma granic, lecz jednocześnie dawali delikatnie do zrozumienia, że kto chce otrzymać, powinien umieć też dawać. Z ołtarza podarki wędrowały prosto do skarbców Kościoła.

Zbierany majątek należało na bieżąco odpowiednio rozparcelowywać, przy czym większość szła na koszty eksploatacyjne i utrzymanie budynków Kościoła, a część trzeba było przeznaczyć na utrzymanie kapłanów i kapłanek Aelona oraz cele charytatywne.

Kapłani i kapłanki z zakonów żebraczych pracowali wśród biedoty. Kapłani wojownicy Aelona znajdowali się jednak znacznie wyżej w hierarchii kościelnej i cieszyli się większym szacunkiem. Stali na straży porządku i tajemnic kościoła, a w sekrecie czekali cierpliwie na dzień, gdy Kościół zajmie wreszcie miejsce rodziny cesarskiej i przejmie władzę w Oranie.

Ludzie zwykle nie pamiętali o tym, że Nowy Świt reprezentowany był przez cały panteon bogów. W Świątyni znajdowały się także posągi tych mniejszych bóstw, które zjawiły się na świecie wraz z Aelonem. Były one znacznie mniejsze i z czasem poprzysuwano je na bok,

wciśnięto w jakieś zacienione wnęki i pochowano po kątach. Rzadko kto, nawet z osób blisko związanych z Kościołem, był w stanie wymienić imiona wszystkich bogów Nowego Świtu.

Treia stała w świątyni wroga Torwała i wpatrywała się w młodą, przystojną twarz Aelona, który był dla niej jedynie zamazaną białą plamą. Wyraźniej widziała zabitego smoka, który leżał u jego stóp, i znów przypomniał jej się drewniany posąg Vindrash, który rozpadł się na dwie części w malej, nędznej świątyni bogini. Spojrzała na wielką twarz boga i wydał jej się silny, pewny siebie, odważny, potężny. Taki jak Raegar. Uśmiechnęła się.

Raegar dużo jej opowiadał o Aelonie. Przedstawiał go jako boga ambitnego, za wszelką cenę dążącego do swego celu – to jest, by rządzić wszechświatem. Treia była w stanie zrozumieć takiego boga, mogła go podziwiać; ale nie czcić. Treia nie spotkała dotąd boga, którego umiałaby czcić.

Raegar opowiadał jej także o Sinarii i Treia była niezwykle ciekawa wszystkich cudów tego miasta. Gdy *Światło Morza* dotarło wreszcie do przystani, powiedział jej, że będzie brał udział w triumfalnym orszaku. Przekazał ją strażnikom Świątyni (kapłanom wojownikom niższej rangi), którzy pomogli jej się usadowić na konstrukcji, którą nazwał „lektyką”. Było to krzeselko na solidnych drągach, które dźwigało dwóch niewolników.

Treia wpadła w panikę na myśl o tak dziwnym środku lokomocji, lecz Raegar zapewnił ją, że będzie zupełnie bezpieczna. Siedziała sztywna i spięta na krzeselku, bojąc się nawet drgnąć, żeby niewolnicy przypadkiem jej nie upuścili. Po jakimś czasie rozluźniła się jednak i zaczęła wyglądać ciekawie przez jedwabną zasłonkę, która chroniła ją przed gapiami. Zadziwiło ją mrowie zgromadzonych na ulicach ludzi. Poczowała nieładny zapach, ale przez lata musiała znosić znacznie gorsze smrody, gdy zajmowała się chorymi. Miasto zupełnie ją zachwycało.

Zgodnie z rozkazem Raegara strażnicy zabrali ją do jednej z sal w Świątyni, gdzie podano jej posiłek. Miała pozostać w Świątyni, aż on po nią przyjdzie. Czekanie bynajmniej jej się nie dłużyło. Spacerowała po pięknych ogrodach, patrząc, jak ludzie wchodzi i wychodzą, ze zdumieniem przyglądając się ubraniom noszonym przez tutejsze kobiety, które składały się z długich, luźnych sukni upiętych na ramionach złotymi szpilkami. Niektóre kobiety miały na to narzuconą prostą, wełnianą szatę, umocowaną na ramionach dwoma paskami. Treia dowiedziała się później, że to oznaczało, iż dana kobieta jest mężatką. Zamożne kobiety narzucały na to starannie udrapowane peleryny.

Treia chodziła od sali do sali. W jednej przy pulpitych siedzieli skrybowie, przepisując nauczania Aelona na zwoje papirusu. Treia nie miała jednak pojęcia, co robią ci ludzie, a nie interesowało jej to na tyle, by zadawać jakiegokolwiek pytania.

Gdy wreszcie zjawił się Raegar, był w bardzo złym humorze. Spotkali się w przeznaczony dla niej sali w Świątyni. Oczekiwał, że po tak triumfalnym powrocie z niebezpiecznej wyprawy zostanie przynajmniej zaproszony na obiad u Cesarzowej.

Tymczasem władczyni wezwała do siebie Legata Acronisa oraz Kapłana Generała, ale nie Raegara.

– Nastanie dzień, gdy mnie zauważy – grzmiał. – Już wkrótce!

Treia zamrugła, nic nie rozumiejąc.

– Co masz na myśli, kochanie?

Raegar tylko pokręcił głową.

– Już jutro otrzymasz odpowiedzi na wszystkie swoje pytania, moja droga. Jesteś zmęczona, a ja mam dziś w nocy dużo do zrobienia. Zaprowadzę cię do sypialni.

Treia z trudem ukryła rozczarowanie. Cały dzień była sama i miała nadzieję, że spędzi wreszcie trochę czasu ze swoim ukochanym. Zaprowadził ją do enklawy, która otoczona była murem. Tu już nie miał wstępu zwykły człowiek. Brama strzeżona była przez strażników Świątyni w zbroi podobnej do tej, którą nosili żołnierze Legata. Lecz ich hełmy były nieco inne – nie miały daszków policzkowych. Poza tym nosili krótkie pelerynki ozdobione wężami i słońcami. Strażnicy pozdrowili Raegara, który z ponurą miną odpowiedział im tym samym.

Za murami nie słychać było gwaru miasta ani nie czuło się smrodu. Panowała zupełna cisza. Po wysypanych kamykami ścieżkach łączących poszczególne budynki przechadzali się kapłani i kapłanki. Niektórzy cicho witali się z Raegarem, lecz większość w kompletnym milczeniu szła w sobie tylko znanym kierunku. Promienie słoneczne odbijały się w kopule Sanktuarium Aelona, która lśniła przez to świętym światłem.

– Co takiego musisz dziś jeszcze zrobić? – spytała Treia.

– Aelon chce, bym oświecił naszych braci pogrążonych w mrokach niewiedzy – rzekł Raegar. – Kapłan Generał jest przekonany, że ci ludzie stanowią zagrożenie. Rozmawiał nawet o tym z Cesarzową, radził jej, by przeprowadzić egzekucję ich wszystkich, wyjaśniał, że taka jest wola Aelona. Ale Legat Acronis już zdążył jej obiecać, że nowi niewolnicy będą walczyć w Para Diksie. Cesarzowa nie chce słuchać rad Kapłana Generała, a on potrzebuje jakiegoś sposobu, by sprawować nad nimi kontrolę.

Potem Raegar opisał tatuaże ze sproszkowanych klejnotów zmieszanych z atramentem, który zostanie wlany w ciało na rękach torguńskich wojowników.

– Klejnoty znajdujące się w ciele sprawiają, że bóg może przekazywać swoje myśli kapłankom. One natomiast mogą rozmawiać bezpośrednio z Aelonem. Cóż za błogosławieństwo!

– I Aelon zamierza to samo zrobić ze Skylanem i Sigurdem? – spytała z niedowierzaniem Treia. Mało nie roześmiała się na głos, lecz w porę uświadomiła sobie, że Raegar pewnie poczułby się dotknięty.

– Oczywiście, że nie! – oburzył się Raegar. – Niczym sobie nie zasłużyli na taki zaszczyt!

Nie uszło uwagi Trei, że niektóre kapłanki uśmiechają się do Raegara, więc wzięła go pod ramię i przytuliła się lekko. Była też świadoma ciekawskich spojrzeń, jakie posyłały jej

niektóre kobiety, lustrując jej dziwne ubranie, szepcząc coś między sobą i nawet cicho chichocząc.

– Jaka szkoda, że Aylaen musi doznać takiego bólu i poniżenia – powiedziała. – Ale trochę dyscypliny bynajmniej jej nie zaszkodzi.

– Nic się nie martw, moja droga. Aylaen to oczywiście nie dotyczy – zapewnił ją Raegar. – Mimo że Legat upiera się, iż Aylaen ma przejść trening jako jego niewolnica, nie wątpię, że twoja siostra wkrótce do nas dołączy.

Coś w jego tonie sprawiło, że Treia posłała mu surowe spojrzenie.

– Co masz na myśli, mówiąc, że Aylaen do ciebie dołączy? – spytała chłodno. Zabrała dłonie z jego ramienia.

– Jestem pewien, że oboje mamy nadzieję, iż wkrótce twoją siostrę oświeci przenajświętsze światło Aelona – odpowiedział z naganą w głosie.

– Nie próbuj zaprzeczać – syknęła Treia w napadzie zazdrości. – Zakochałeś się w niej!

– Kocham ciebie, Treiu – rzekł Raegar, stając na środku ścieżki, biorąc jej dłonie w swoje i przyciągając je do ust. – Chcę, żebyś była moją żoną. Co do Aylaen, jest przecież twoją siostrą. Dbam o nią, bo należy do rodziny.

Treia jednak nie uwierzyła mu. Nawet jej słabe oczy były w stanie dojrzeć jego zachwyt Aylaen. Zawsze była o nią zazdrosna. Jej młodsza siostra była nie tylko piękniejsza – całe jej życie było łatwiejsze. Treia po prostu nie była w stanie znieść myśli o tym, że Aylaen, tak szczerze obdarzona przez los pod każdym względem, może jej teraz odebrać Raegara.

– Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, kochany – wycedziła Treia. – Ja kocham cię nad wszystko, lecz wiem, że Aylaen nie darzy cię sympatią. Wręcz odwrotnie, nieraz słyszałam, jak mówiła, że cię nienawidzi.

Raegar zmarszczył brwi.

– Mam nadzieję, że znajdę sposób, by zmieniła o mnie zdanie.

– Opowiedz mi o naszej sypialni – powiedziała Treia, żeby zmienić temat. – Mam nadzieję, że nie wrócisz dziś zbyt późno. Tak dawno już nie spaliśmy ze sobą.

Liczyła na to, że Raegar uśmiechnie się na te słowa. On jednak pokręcił tylko głową i przyspieszył kroku.

– Będiesz spała w klasztorze dla kapłanek. Aelon zezwala, by tylko małżeństwa spędzały razem noc.

Trei wcale się to nie spodobało. Chciała nawet przypomnieć Raegarowi, że bóg jakoś nie miał nic przeciwko temu, żeby kochali się na galerze, ale bała się dodatkowo rozgniewać ukochanego. Czekala, aż Raegar powie, że ta rozłąka jest tymczasowa, że już niedługo będą razem na zawsze jako mąż i żona. On jednak płynnie przeszedł do zachwytów nad pięknem enklawy i wskazywał jej kolejne zabudowania, które mijali.

Treia uśmiechała się, lecz tylko ustami. W rzeczywistości zgrzytała zębami.

W końcu doszli do budynku, który on nazywał „klasztorem żeńskim”. Była to duża budowla, która przypominała Trei oborę, gdzie Vindrasi trzymali zimą bydło. Tam oddał ją pod opiekę ciemnowłosej kobiecie, którą przedstawił jako Kapłankę Matkę. Popatrzyła uważnie i nieufnie na ubrania Trei i zdawała się nie mieć pojęcia, co zrobić z powierzoną jej cudzoziemką.

Kapłanka Matka i Raegar rozmawiali chwilę szeptem, a Treia stała na uboczu i przeżywała katusze upokorzenia, bo trzy młode nowicjuszkę, które szły właśnie na wieczorną modlitwę, zatrzymały się i przyglądały jej z nieukrywaną ciekawością.

Po chwili Kapłanka Matka odesłała dwie z nich w kilku ostrych słowach. Trzeciej nakazała zaprowadzić Treię do jej pokoju.

Treia utkwiała w Raegarze błagalny wzrok.

– Czy naprawdę musisz mnie tu zostawiać?

– Wiesz dobrze, że tak. Zobaczymy się jutro po porannej modlitwie – odpowiedział krótko i odszedł do Torgunów. Do jej siostry.

Cela Trei była jedną z wielu w długim rzędzie. Było to małe pomieszczenie z łóżkiem, biurkiem, krzesłem i nocnikiem. Niewielkie okienko w kamiennej ścianie tuż pod sufitem dawało trochę światła i świeżego powietrza. Treia nie miała nawet świeczki, lecz blask kopuły Sanktuarium Aelona był tak jasny, że niczego poza tym nie potrzebowała.

Nowicjuszkę dała jej luźną koszulę do spania i zaczekała, aż Treia się rozbierze. Potem zabrała jej ubrania i oznajmiła, że rano przyniesie jej odpowiednie szaty. Treia chciała zachować brosze, którymi zawsze spinała fartuch. Były ze złota i stanowiły część jej posagu.

– Żadnego majątku osobistego – oświadczyła jej nowicjuszkę. – Wszystko, co mamy, należy do boga.

Treia oddała jej więc brosze bez protestu. Chciała jednak zachować bieliznę, lecz nowicjuszkę uparła się, że musi ją jej zabrać, i lekceważącym tonem dodała, że na pewno i tak załęgło się w niej robactwo i trzeba ją spalić.

Treię zatkało z oburzenia, bo po zapachu mogła łatwo stwierdzić, że kąpała się znacznie częściej niż ta młoda dziewczyna. Ugryzła się jednak w język, obawiając się, że jeśli w jakikolwiek sposób urazi kapłankę, prędzej czy później dotrze to do Raegara i będzie na nią zły.

W końcu nowicjuszkę poszła sobie, na pożegnanie wyjaśniając jej jeszcze, że ma wstać, gdy tylko usłyszysz poranne dzwony wzywające na modlitwę. Treia nie miała zupełnie nic do roboty i choć słońce dopiero zaczęło się chylić ku zachodowi, położyła się do łóżka. Była zmęczona, lecz nie mogła zasnąć. Ostre światło kopuły raziło ją nawet przez zamknięte powieki. Po tylu tygodniach na pokładzie zdawało jej się, że łóżko faluje pod nią, wznosi się i opada, aż zrobiło jej się niedobrze.

Leżała na łóżku i myślała o Aylaen, o Raegarze.

Wierciła się na posłaniu ze smutkiem w sercu, aż nagle obudziły ją dzwony.

Sama Kapłanka Matka przyniosła jej suknię podobną do tych, które widziała poprzedniego dnia u kapłanek, oraz pelerynę. Ku zaskoczeniu Trei Kapłanka Matka – która poprzedniego wieczoru była taka chłodna, wręcz odnosiła się do niej z pogardą – o poranku przywitała ją bardzo ciepło, może nawet przypoehlebnie. Treia włożyła cienką suknię z wełny, przewiązała się w pasie zgodnie z instrukcją Kapłanki Matki, a na to zarzuciła pelerynę, drapując ją na jednym ramieniu.

Przyzwyczajona do noszenia kilku warstw odzieży miała teraz wrażenie, że do pozostałych kobiet dążących na poranną modlitwę dołączyła półnaga.

Kapłanka Matka wzięła ją pod ramię i zachowywała się jak jej osobista eskorta. Gdy prowadziła ją do Sanktuarium Aelona, słońce było ledwie różową smużką na horyzoncie.

Treia myślała, że na modlitwę wróć do Świątyni, lecz Kapłanka Matka wyjaśniła jej, że w Świątyni modlą się jedynie „dzieci” Aelona.

– Pospólstwo, siostró – dopowiedziała, gdy zobaczyła, że Treia wpatruje się w nią nierozumiejącym wzrokiem. Kapłanka Matka prychnęła z pogardą, a po chwili ciągnęła: – Ci z nas, którzy poświęcili Aelonowi całe swoje życie, mają zaszczyt zbierać się na modlitwę w Sanktuarium Aelona, miejscu przenajświętszym. To miejsce wyłącznie dla najwierniejszych sług boga. – Kapłanka Matka uśmiechnęła się. – Raegar opowiadał mi o tym, jak nawróciłaś się na prawdziwą wiarę, jak oddałaś Aelonowi swoją duszę i serce.

– Tak było, Kapłanko Matko – potwierdziła Treia. Kapłanka Matka obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem.

– Aelon widzi twe serce, siostró. Jeśli kłamiesz, nie wpuści cię do tego przenajświętszego miejsca.

– A w jaki sposób bóg by mnie powstrzymał? – spytała Treia, starając się ukryć niepokój.

– Gdy ktokolwiek, kto nie czci Aelona, odważy się wejść do jego sanktuarium, potężny wiatr uniesie takiego heretyka wprost do niebios, by mógł na własne oczy ujrzeć oblicze boga i zadrzeć.

– A gdy ktoś nadal nie zechce oddawać mu czci? – dopytywała się Treia.

– Takiego heretyka musi spotkać śmierć – oświadczyła Kapłanka Matka z przekonaniem.

Szły kolejnymi drózkami wijącymi się po zielonym zboczu. Ścieżki były dosłownie zatłoczone. Na porannych modlitwach musiał się stawić każdy – od najmłodszego nowicjusza po najstarszego kapłana.

Sanktuarium okazało się najdziwniejszym budynkiem, jaki Treia kiedykolwiek widziała. Ta wielka budowla z cegieł miała okrągły kształt i wyglądała nieco jak postawiony do góry nogami czajnik. Pokryta złotem kopuła lśniła tak jasno, że przyćmiewała blaskiem wschodzącą właśnie boginię słońca Aylis.

Kapłanka Matka potrzebna była w środku, więc pospiesznie zostawiła Treię, która stała teraz sama i wpatrywała się w łukowate wejście do Sanktuarium. Z trudem była w stanie

dojrzyć rzeźby przedstawiające słońca w paszczach żmij. Znow przypomniały jej się słowa Kapłanki Matki.

„Heretyka spotkać musi śmierć”.

Zastanawiała się przez chwilę, co robić. Bynajmniej nie nawróciła się na wiarę w Aelona. Miała o nim dobre zdanie, lecz nie czciła ani jego, ani żadnego innego boga. Jej serce należało do Raegara, ale jej dusza należała tylko do niej.

Mimo to nie miała powodów, by obawiać się Aelona. Im bardziej o tym myślała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że bóg Nowego Świtu poświęcił dużo czasu i energii na to, by ją tu sprowadzić. A skoro tak – musi mieć po temu jakiś powód.

Aelon z pewnością będzie dla niej miły.

Weszła śmiało do jego Sanktuarium.

A bóg nie pozwolił, by włos spadł jej z głowy.

Rozdział 5

Treia rozejrzała się po Sanktuarium. Wielki otwór w suficie był jak oko niebios wpatrujące się w tłum w środku. Niezwykle długą mszę odprawiał sam Kapłan Generał. Stał na drewnianych schodach o kształcie spirali, które wnosiły go wysoko ponad wiernych, tak by wszyscy mogli go widzieć i słyszeć. Głos miał donośny. Jego słowa rozlegały się w całym budynku, odbijały echem od kamiennych ścian i spadały w dół jak grzmoty. Wierni wokół Trei słuchali z przejęciem i odpowiadali żarliwymi okrzykami.

Spytała kogoś, czy nie wie, gdzie jest Kapłan Wojownik Raegar, i dowiedziała się, że stoi on tuż przy ołtarzu, który znajdował się na przedzie Sanktuarium. Kapłani wojownicy trzymali wartę honorową przy Kapłanie Generale. Treia natomiast znajdowała się na samym końcu, tuż przy drzwiach, wciśnięta w grupkę nowicjuszek.

Od hałasu i duchoty rozboleła ją głowa. Zgnieciona przez te wszystkie ciała wokół przestała słuchać kazania i znów zaczęła myśleć o siostrze.

Aylaen, zawsze ta Aylaen! Piękna, niezależna, porywczą Aylaen. Nie Treia – półślepa, brzydka, zasuszona dziewczica.

Nim w jej życiu pojawił się Raegar, nikt nigdy jej nie kochał. Żaden mężczyzna nawet na nią nie spojrział. Na samą myśl, że może go utracić, ogarniała ją teraz rozpacz. Nie zniesie życia bez niego. Musi wymyślić jakiś sposób, by nadal ją kochał; jakiś sposób, by przestał pożądać Aylaen.

Spojrzała w górę, na oko w suficie, które gapiło się na tłum zgromadzony w Sanktuarium. Aelon pozwolił jej wejść do świętego sanktuarium. Ten bóg jej potrzebował. A teraz ona potrzebowała jego. Jakby w odpowiedzi na jej oczekiwanie słowa Kapłana Generała zabrzmiały nagle jasno i mocno. Wydawało jej się, że mówi tylko do niej.

– Żaden inny bóg, a już na pewno żaden z bogów Raj czy z tych starych bóstw Vindrasów nie ma mocy przywracania życia umarłym – mówił Kapłan Generał. – Tylko Aelon!

– Błogosławiony niech będzie Aelon! – odkrzyknęli wierni.

Moc przywracania życia umarłym, powtórzyła Treia w zamyśleniu. Uśmiechnęła się. Jeśli tylko rzeczywiście było to możliwe, problem Aylaen ma już właściwie rozwiązany.

Miała wrażenie, że minął cały eon, nim skończyła się wreszcie msza. Wierni wychodzili jeden za drugim; każda twarz lśniła blaskiem, który oświetlał ich z góry. Treia stanęła tuż przy wyjściu. Czas mijał, a Raegar się nie pojawiał. W końcu została sama w pustym budynku, który teraz wydawał się naprawdę olbrzymi.

Wreszcie zobaczyła go. Szedł dziarsko po posadzce Sanktuarium. Wysoki, przystojny, po prostu olśniewający w swych kapłańskich szatach. Łysa głowa lśniła mu w świetle słonecznym; oczy błyszczały z przejęcia.

– Kochana moja! – powiedział i pocałował ją na powitanie w policzek, a potem wziął za rękę.

– Co się stało wczoraj w nocy? – spytała Treia. – Ze Skylanem i resztą? Z tatuażami Aelona? – dodała, widząc, że Raegar patrzy na nią nieprzytomnie.

– A, z tatużami. – Prychnął tylko i machnął ręką z pogardą. – Skylan oczywiście próbował opierać się woli boga. Drogo zapłacił za swój bunt. Zrozumie z czasem. A jeśli nie, bóg go unicestwi – dodał z satysfakcją.

– A co z Aylaen? – dopytywała się Treia.

– Próbowала bronić tego demońskiego pomiotu, tego Wulfe'a, ale w końcu się poddała, gdy ujrzała potęgę Aelona. Co do chłopca, zajęli się nim moi kapłani. Nie otrzymałem jeszcze od nich porannych raportów, lecz z pewnością chłopak siedzi już w specjalnej celi, która jest pomyślana tak, by stawić opór jego magii. Zajmę się nim jeszcze dziś, ale potem, po naszym spotkaniu z Kapłanem Generałem.

Treia od razu zapomniała o chłopcu i o Aylaen.

– Spotkamy się z Kapłanem Generałem? – spytała tak zdumiona, jakby została zaproszona przez samego Aelona.

– Kapłan Generał wyświadcza nam wielki zaszczyt – przytaknął Raegar.

Gdy przechodzili pod dziurą w suficie, Treia znów spojrzała na oko w kopule. Świeciło jasno światłem, które od razu ją uspokoiło.

Przeszli koło ołtarza, który z pewnością był niezwykle piękny. Nie umiałyby jednak powiedzieć, jak wyglądał. Z przejęcia w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Na znajdujących się za ołtarzem dwuskrzydłowych drzwiach z brązu, które prowadziły do kwater Kapłana Generała, widniały skrzydlate żmije. Stało przed nimi dwóch strażników. Po obu stronach widać było więcej żołnierzy. Gdy Raegar podszedł bliżej, wartownicy skrzyżowali włócznie, blokując mu dostęp do środka.

– Kapłan Generał oczekuje mnie – rzekł Raegar.

Jeden ze strażników kazał im poczekać, a sam wszedł do środka. Natychmiast zastąpił go inny. Treia trzymała dłoń na ramieniu Raegara i czuła, że jej ukochany drży z niecierpliwości. Ona także drżała, lecz bynajmniej nie z tego powodu.

Gdy po powrocie strażnik oświadczył, że Raegar może wejść, wpuszczono ich do środka. Treia oczekiwała, że za drzwiami kryje się jakaś wspianiała komnata. Zamiast tego jednak

weszli w długi, zacieniony korytarz z ciągiem sal. Treia z ciekawością zerkała na te, które mijali. W jednej na wysokich taboretach siedzieli kapłani i pisali coś na woskowych tabliczkach lub zwojach papirusu. W innej kilku kapłanów siedziało wprost na ziemi. Przed każdym stała duża srebrna misa, prosta, lecz elegancka, pełna wody. Każdy z kapłanów wyraźnie skupiony był na swojej misie. Co jakiś czas woda płonęła żywym ogniem, a wtedy kapłan pochylał się nad nią, jakby się w nią wsłuchiwał.

– To obserwatorzy – wyjaśnił Raegar. – Każdy kapłan Aelona może wysłać wiadomość do obserwatora z każdego zakątka świata poprzez wodę i ogień. Następnie obserwator przekazuje ją w odpowiednie miejsce.

Ledwie to powiedział, jeden z obserwatorów wstał i bezszelestnie przemknął do kapłana, który siedział na krześle pośrodku pokoju. Obserwator szepnął mu coś na ucho. Kapłan wysłuchał go, przemyślał coś, po chwili kiwnął głową. Obserwator wrócił do misy i zaczął do niej przemawiać. Płomień drżał i tańczył pod jego oddechem.

– Robiłeś kiedyś coś takiego? – spytała szeptem Treia.

– Oczywiście – odparł Raegar. – A jak ci się zdaje, skąd Legat wiedział, gdzie znaleźć *Venjekar*?

To zrobiło na Trei duże wrażenie, a nawet sprawiło, że zaczęła mieć lepsze mniemanie o tym bogu, tym Aelonie, który potrafił wyczyniać takie cuda.

W końcu dotarli do stalowych drzwi na końcu korytarza. Proste i niczym nieozdobione nie robiły takiego wrażenia jak te z brązu. Przed nimi stał nie strażnik Świątyni, ale kapłan wojownik. Uniósł dłoń w oficjalnym powitaniu.

– Aelon spogląda na was łaskawie. Możecie wejść – rzekł.

– Tych drzwi strzeże sam Aelon – wyjaśnił Trei Raegar. – W środku znajduje się skarbiec. Kapłani muszą się modlić do boga, by ich do niego dopuścił.

Skarbiec był ogromny i jasny, bo oświetlało go światło kuli ognia zawieszanej w powietrzu tuż pod sufitem tak, jakby Aelon schwycił słońce i uwiązał je do dachu. Światło odbijało się od złota, rozświetlało srebro i migotało w klejnotach, aż bolały oczy. Treia zamrugła oślepiąca. Piękne, niezwykle cenne przedmioty leżały w stertach na stołach i podłodze, wysypywały się z przepelnionych skrzyń. Posągi (niektóre naturalnej wielkości), kielichy mszalne, misy, naszyjniki, pierścienie, pasy, naramienniki, monety i tysiące innych rzeczy – a wszystkie z metali szlachetnych i wysadzane klejnotami – dosłownie wypełniały całą salę.

– Oto dowód na potęgę Aelona – powiedział Raegar, pokazując jej skarby dumnym gestem.

Przyglądał jej się uważnie, czekając na jej reakcję. Treia oczywiście go nie zawiodła. Wiedziała, co ma powiedzieć. Zawsze wiedziała, co powiedzieć, gdy przez te wszystkie lata klęczała na drewnianej podłodze, z posiniaczonymi kolanami, zawodząc modlitwy przed kawałkiem drewna w kształcie Smokini.

– Błogosławiony jest przენajświętszy Aelon i ci, którzy są mu wierni.

– Dobrze powiedziane, siostrze.

Przez stalowe drzwi wszedł do sali jakiś mężczyzna. Na jego rozkaz drzwi się zamknęły.

– Kapłanie Generale Xydisie – przemówił Raegar – oto niewiasta, o której ci opowiadałem. Treia Adalbrand, Kapłanka Kości narodu Vindrasów.

– Do usług, Czcigodny Panie – powiedziała Treia, którą Raegar poinstruował wcześniej, jak ma się zwracać do Kapłana Generała. Pokłoniła się nisko.

Zyprexa Xydis był niewysoki i dobrze zbudowany. Miał umięśnione ramiona, grubą szyję i mocne ciało. Wydawał się silny i wytrzymały jak głaz, jak ktoś, o kogo fale życia mogą się bez końca rozbijać i nigdy go nie zniszczą.

Jego cera była śniada, a łysa głowa pokryta tatuażami i klejnotami. Twarz miał gładko ogoloną. Niebieski cień po zaroście podkreślał jego ostro zarysowaną szczękę. Ciemne oczy spoglądały bystro. Trzymał się prosto jak drzewce włóczni i sam jego widok budził respekt; nim został kapłanem wojownikiem, przez lata był żołnierzem. Miał na sobie purpurową togę ze złotą lamówką. Biła od niego moc, tak jak od słońca bije ciepło, i Treia czuła, że Raegar spina się cały i lekko drży w obecności tego człowieka.

Xydis przyglądał jej się długo w milczeniu, nie spuszczać z niej swych przenikliwych oczu. Odpowiedziała mu odważnym spojrzeniem, odruchowo buntując się przed tą analizą i reagując z chłodną przekorą. Widać spodobała mu się taka reakcja, bo uśmiechnął się przychylnie.

– Raegar twierdzi, że jesteś wyjątkową kobietą – powiedział swym niskim, tubalnym głosem. – Ma rację. Chodź ze mną.

Odwrócił się i odszedł. Zaskoczył Treię tym raptownym poruszeniem, nawet trochę zaniepokoił. Xydis nie należał do osób, które lubią strzępić sobie język. Znany był z tego, że nie znosił „czczej gadaniny” i ponoć dość niegrzecznie ucinał paplaninę nawet samej Cesarzowej. Był energiczny i szczery, wolał działać, niż głądzić.

Poprowadził ich przez drogocenne rupiecie do drewnianego stołu na tyłach skarbcza. Stanął za nim, założył dłonie za plecami i kiwając się z jednej stopy na drugą, wskazał jej głową na blat, a potem spojrzał wyczekująco.

– A zatem? Co o tym myślisz, Kapłanko Kości?

Przed nią znajdowały się dwa przedmioty. Od jednego z nich bił złoty blask, lecz Treia nie była w stanie dojrzeć swoimi słabymi oczami, co to takiego. Drugi był prostszy, zwykleszy.

– Ja... Muszę spojrzeć na nie z bliska, Czcigodny Panie – wymamrotała przepraszać tonem. – Moje oczy...

Kiwnął głową i odsunął się nieco, popatrząc to na nią, to na stół. Raegar stał za nią w milczeniu.

Treia pochyliła się najpierw nad tym przedmiotem, który lśnił złotym blaskiem, i serce jej zamarło. Nie miała wątpliwości, na co patrzy. Udała jednak, że nie wie co to, bo zupełnie nie wiedziała, co powinna zrobić. Musiała jednak się jakoś zdradzić ze swoimi uczuciami, bo mogłaby przysiąc, że oczy Xydisa zmrużyły się raptownie. Żeby ukryć zdenerwowanie i zyskać na czasie, skupiła się na drugim przedmiocie.

– To kość ducha, kość smoka – orzekła.

– Tak właśnie utrzymuje Raegar – odpowiedział Xydis. – Mówi mi też, że jesteś Kapłanką Kości. Czy jesteś w stanie zavezwać tego smoka?

– Znam rytuał przyzywania smoka – odpowiedziała Treia wymijająco, nie chcąc się do niczego zobowiązywać.

– Czy tej sztuczki można nauczyć kogoś innego? – spytał Xydis. – Załóżmy, że ja chciałbym wezwać smoka. Czy potrafiłabyś nauczyć mnie odpowiedniego rytuału?

– Tak. Nie jest on trudny. To jednak nie oznaczałoby jeszcze, że możesz go użyć do wezwania smoka, Czcigodny Panie. Wzywanie smoka jest częścią paktu zawartego między smokiem, wzywającym i Smokinią Vindrash. A nawet wtedy smok zawsze ma wolną wolę. Musi chcieć odpowiedzieć na wezwanie.

Xydis wziął do ręki kość ducha, tę zwykłą. Zdawało się, że doskonale układa mu się w dłoni.

– Ta smoczyca na pewno odpowie – powiedział. – Sama do nas przyszła.

Treia wpatrywała się w niego zdumiona.

– Czy ta smoczyca czci Aelona?

– Sądzę, że przede wszystkim lubi klejnoty – sprostował drwiącym tonem Xydis.

Trei przypomniał się Kahg – arogancki, bezczelny, zawsze zadowolony z siebie jak wszystkie te smoki, niezmiennie przekonane o swojej wyższości. Okazywało się zatem, że nie są im obce słabości, które one same z pewnością uważają za typowe dla rodzaju ludzkiego.

– Rytuału mogłabym nauczyć cię ja, Czcigodny Panie – powiedziała. – Lecz równie dobrze mogłaby to zrobić sama smoczyca.

– Wybornie – odrzekł Xydis. Obrzucił ją uważnym spojrzeniem, po czym przeniósł wzrok na drugą kość, tę ozdobioną złotem, i szepnął: – A to? Opowiedz mi coś o tym.

Xydis przyprowadził ją tutaj, żeby zobaczyć jej reakcję. Treia miała nagle co do tego absolutną pewność. Dobrze wiedział, co to za kość. Potrzebował od niej jedynie potwierdzenia, że kość przyda się do jego celów. To o to mu chodziło.

Treia poczuła, że robi jej się sucho w ustach, wargi jej spierzchły. Zwilżyła je końcówką języka, rozpaczliwie zastanawiając się, jak się zachować. Miała ochotę powiedzieć mu, że to nic takiego, ot, kolejna kość ducha, tylko tym razem oprawiona w złoto. Rzuciła szybkie spojrzenie na Xydisa i nie miała już wątpliwości, że on wie, iż jest to przedmiot zupełnie wyjątkowy, iż wiąże się z nim jakaś tajemnica.

– Skąd to macie? – spytała.

– Nieważne... – Raegar stracił cierpliwość.

Wystarczyło, że Xydis zmarszczył brwi, a Raegar splonął się i zamilkł natychmiast.

– Czy to cenny przedmiot? – spytał Xydis, nie odpowiadając na jej pytanie.

– O, tak – szepnęła Treia z napięciem w głosie.

– To kość smoka...

– To nie jest kość zwykłego smoka – przerwała mu. Zabrakło jej tchu w piersiach, miała wrażenie, że się zaraz udusi. – To kość ducha jednego z Pięciu Vektii.

Raegar wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

Xydis popatrzył na nią, potem na niego i zmarszczył brwi.

– Co to oznacza?

Treia nie mogła oderwać wzroku od tego pięknego przedmiotu. Złote pasy okręcone były na kości jak smoczy ogon. Wyrastały z niej złote skrzydła, a na szczycie każdego z nich przyczepiony był złoty łańcuszek. Głowa smoka zdawała się wyłaniać wprost z kości, a tuż nad nią znajdowały się największe szmaragdy, jakie Treia w życiu widziała. Dwa mniejsze zdobiły skrzydła.

– W jaki sposób ta kość się tu znalazła, Czcigodny Panie? – powtórzyła pytanie Treia.

– Podarował nam ją jeden z waszych bogów – odpowiedział Xydis.

Treia kiwnęła głową, wcale się temu nie dziwiąc.

– Hevis? – spytała, podając imię buntowniczego boga, który nieraz już sprzeciwiał się Torwalowi. To on dawno, dawno temu uwiódł Kapłankę Kai i namówił ją do wezwania jednego z Pięciu Vektii, co skończyło się zupełną katastrofą.

– Ten bóg miał chyba na imię Sund – rzucił Xydis, jakby nie miało to żadnego znaczenia. Za nic miał imiona tych wszystkich bóstw, których los i tak był już przesądzony. – Z tego, co rozumiem, ten wasz bóg, ten Sund spojrział w przyszłość i zobaczył, że zwycięży Aelon. Przestraszył się, że zginie, więc podarował nam kość, żeby ratować własne życie.

Sund, bóg logiki, racjonalnego rozumowania, dalekowzroczności. Jeżeli on przeszedł na stronę Aelona, musiał mieć pewność, że starzy bogowie są już skończeni. Trei bynajmniej nie zdziwiła jego zdrada. Wiedziała dobrze, że bogowie Vindrasów dbają głównie o samych siebie, a ich troski i zachcianki są dla nich znacznie ważniejsze niż dobro śmiertelników, którzy im podlegają.

– Powiedz mi, na czym polega wyjątkowość tego smoka – rozkazał Xydis.

Zamiast Trei odpowiedział Raegar. Był podekscytowany, rozpromieniony, z przejęcia zacierał ręce.

– Smoki Vektii są niezwykle potężne, Kapłanie Generale. Taki smok mógłby spalić całe miasto jednym oddechem.

Xydis spojrział na Treię i podszedłszy bliżej, zaczął się zachowywać tak, jakby była to poufna rozmowa między nimi dwojgiem.

– Czy Raegar ma rację, siostrze?

– Tak – potwierdziła Treia.

– Ale tu chodzi o coś więcej niż tylko o możliwość spalenia miasta, prawda? Jesteś Kapłanką Kości. Opowiedz mi o tym smoku.

Treia zawahała się. Nie dlatego że się zastanawiała, po czyjej stronie stanąć. Umiiała podejmować takie decyzje z zimną krwią zupełnie jak Sund, i choć jej wzrok był słaby, widziała wyraźnie, że starzy bogowie przegrywają tę bitwę. I ona zamierzała stanąć po stronie wygranych. Wahała się jednak, bo nie była pewna, ile kart powinna teraz odsłonić.

Myślała, że Xydis będzie chciał, by wezwała zwykłego smoka, takiego jak Kahg. On zaś żądał wezwania jednego z Pięciu Vektii! To dlatego była potrzebna Aelonowi. Treia musiała się teraz zastanowić, jak wykorzystać tę niesamowitą okazję, by zyskać jak najwięcej. Dla siebie i dla Raegara oczywiście.

– Pięć Smoków Vektii to nie są zwykłe smoki. Powstały z grzebienia samej smoczycy Ilyrion, Stworzycielki Świata. W tych pięciu smokach wciąż obecna jest sama smoczycza.

Urwała, obserwując reakcję Xydisa. Drgnął. Uniósł brwi. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

– Chcesz powiedzieć, że te smoki powstały z samej Stworzycielki. Te smoki to... – Urwał jak rażony gromem i wpatrywał się w Treię.

– Smoki Vektii nie są tak naprawdę smokami. Jedynie przybierają ich formę. Zostały zrodzone z tworzenia – tłumaczyła Treia. – Są ucieleśnieniem tworzenia. Ten, który przejmie władzę nad Pięcioma Vektii, będzie w stanie tworzyć, co tylko zechce: życie, księżyc, gwiazdy, słońca...

Na Raegarze bynajmniej nie zrobiło to wrażenia.

– Po cóż Aelonowi taki smok? I tak jest najpotężniejszy.

– Nie. Nie jest – zaprzeczyła Treia.

– Nie obrażaj Pana! – oburzył się Raegar, purpurowiejąc.

– Zamknij się, Raegar – syknął zniecierpliwiony Xydis. – Mów, mów, Kapłanko Kości.

– Nastanie dzień, gdy każdy człowiek chodzący po tej ziemi będzie czcił Aelona – powiedziała Treia. – Lecz nawet wtedy Aelon nie będzie prawdziwym władcą tego świata. To starzy bogowie, bogowie Vindrasów, będą nim zawsze władać.

– Ci starcy nie mieliby nawet siły władać kupą gnoju! – sarknął Xydis.

Treia pokręciła głową.

– Możecie ich osłabić. Możecie ich nawet zabić, tak jak uczyniliście to z boginią Desirią. Lecz nigdy nie zniszczycie starych bogów, póki mają oni władzę nad Pięcioma Vektii, bo to one są mocą tworzenia.

– Aelon jest najpotężniejszy! – powtórzył oburzony Raegar. Utkwił wzrok w Xydisie, szukając u niego poparcia, ale gdy Kapłan Generał nic nie powiedział, zwątpił. – Jest, prawda?

Xydis milczał.

On wie, przemknęło Trei przez myśl. Wie dobrze, że tacy wędrujący bogowie jak Aelon czy bogowie Raj chcą przejąć nasz świat właśnie dlatego, że nie są w stanie stworzyć sobie własnych.

Xydis postanowił wyładować frustrację na Raegarze.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że ta kość jest taka cenna?

– Nie wiedziałem, Kapłanie Generale – wybąkał Raegar.

– Nie miał prawa wiedzieć, Czcigodny Panie – Treia pospieszyła kochankowi z pomocą.

– Niewielu Vindrasów zna prawdę o smokach vektyjskich. Tylko jedna osoba zna tajemnicę rytuału potrzebnego do wezwania smoka. Tą osobą jest Kapłanka Kai, która trzyma go w sekrecie i przekazuje swojej następczyni dopiero na łożu śmierci. Wtedy dopiero nowa Kapłanka Kai poznaje rytuał.

Xydis patrzył na nią z uwagą.

– Gdzie przebywa teraz Kapłanka Kai?

– Kapłanka Kai nie żyje, Czcigodny Panie. Zginęła, nim była w stanie przekazać komukolwiek tajemnicę rytuału.

Xydis obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

– To skąd ty wiesz tak dużo o vektyjskich smokach?

– Draya rozmawiała często z boginią Vindrash – wyjaśniła. – Były bardzo blisko ze sobą. Zwierzała jej się ze wszystkich swoich problemów, mówiła do niej bez ustanku. A ja, jako nowicjuszka, byłam jej służką. – Nie udało jej się ukryć w głosie goryczy, jaką odczuwała na samo to wspomnienie. Nawet po tylu latach wciąż pamiętała tamto przeszywające zimno, tamtą ogłupiającą nudę. – Musiałam czekać na nią bez końca, wysłuchiwać jej ciągłych monologów. Musiałam klęczeć przy niej na zimnej podłodze, aż bolały mnie posiniaczone kolana. Słyszałam wszystko, co mówiła. Często rozmawiały o Pięciu Vektii, o potężnej smoczycy Ilyrion, o potędze stworzenia. Chciała koniecznie wiedzieć, czy nie ma jakiegoś sposobu, by użyć tej mocy do zmniejszenia ludzkiego cierpienia.

– A ty słyszałaś to wszystko – rzekł Xydis. – Choć miało to być największą tajemnicą.

– Byłam tylko dzieckiem – powiedziała Treia, wzruszając ramionami. – Draya z pewnością myślała, że i tak nic z tego nie rozumiem. Ale rozumiałam. Gdy tak klęczałam na twardej podłodze, nieraz wyobrażałam sobie, że jestem Kapłanką Kai i mam władzę nad jednym z vektyjskich smoków. Pierwsze, co bym rozkazała, to żeby zabił Drayę.

Raegar zakaszłał i zmarszczył brwi. Treia zreflektowała się i rzuciła szybkie spojrzenie na Kapłana Generała. Wpatrywał się w kość ducha i zdawało się, że w ogóle nie słyszy ostatnich słów.

– Powiedziałaś, że jest pięć smoków. Zatem każdy musi mieć swoją kość ducha – rzekł nagle. – My mamy jedną. Gdzie są cztery pozostałe?

– Ja wiem tylko o dwóch – odparła Treia. – Wy macie jedną. Drugą mają ogry.

– Ogry! – krzyknął zdumiony Xydis.

– Aelonie jedyny! – wyszeptał Raegar. – Zupełnie o tym zapomniałem. To straszne!

Xydis wpatrywał się z uwagą w Treię.

– Mówisz, Kapłanko, że ogry mają jedną z kości vektyjskich?

– Tak – potwierdziła. – Ukradły ją... To długa historia...

– Ogry czczą naszych wrogów, bogów Raj. A teraz są w posiadaniu jednego z tych potężnych smoków. – Xydis przeniósł wzrok na Raegara. – Myślisz to samo co ja.

– Wreszcie wiemy, dlaczego armia ogrów płynie na Sinarię – mruknął ponuro Raegar.

Treia wbiła w niego przerażony wzrok.

– Ogry? Płyną na Sinarię?

– Nie mogliśmy pojąć, czemu ogrom mogłoby się zdawać, że są dość silne, by nas zaatakować – wyjaśnił Xydis. – Teraz wiemy. Mają smoka vektyjskiego.

– Płyną tu? – dopytywała Treia. – Skąd to wiecie?

– Mamy szpiegów w ich królestwie – powiedział Xydis. – Ze dwa tygodnie temu przekazali obserwatorom informację o flocie ogrów płynącej w naszą stronę. Ponoć wielce to świętowały. Ich szamani otwarcie mówili o ataku na Sinarię, złożyli swoim bogom odpowiednie ofiary.

Xydis przybliżył dłoń do kości ducha, jak przysuwa się ręce do ognia, by się ogrzać.

– Czy dwa smoki vektyjskie walczyłyby ze sobą? – spytał.

Treia wzdrygnęła się na samą tę myśl.

– Tylko raz udało się pewnej Kapłance Kai wezwać smoka, Czcigodny Panie. Nie była jednak w stanie go kontrolować. Smok wpadł w szał, zabijając wszystko, co znalazło się na jego drodze. Zginęły setki, jeśli nie tysiące Vindrasów. Z powierzchni ziemi zniknęły całe klany.

– Nie o to pytałem – zauważył Xydis z niezadowoleniem.

Treia zadrżała, lecz nie przed nim. Nie miała już wątpliwości, co teraz nastąpi, i próbowała się na to przygotować.

– Te smoki to siły natury, Czcigodny Panie. Czy huragan dba o statki, które przezeń toną? Czy wulkan płacze po tych, którzy giną w potoku rozżarzonej lawy? Te smoki nie dbają o nic, nawet o siebie nawzajem. Sama myśl o tym, że dwa z nich miałyby ze sobą walczyć...

– Musimy podjąć to ryzyko – zdecydował Xydis. Splótł dłonie za plecami. – Słyszałaś, co twoja Kapłanka Kai mówiła o smokach vektyjskich, więc jak rozumiem, znasz rytuał potrzebny do zawezwania tego potężnego stworzenia.

Treia pokręciła głową.

– Obawiam się, że nie znam, Czcigodny Panie. Ten rytuał objęty jest ścisłą tajemnicą. Draya nigdy nic o nim nie mówiła.

– Znasz przecież rytuał potrzebny do wezwania innych, pomniejszych smoków – upierał się Xydis. – Na pewno wiele się od siebie nie różnią.

– Nawet jeśli jest to ten sam rytuał, w co wątpię, na pewno składają się na niego sekrety, które znała tylko Kapłanka Kai.

Xydis przemyślał to i po chwili się uśmiechnął. Znalazł rozwiązanie.

– Jesteś Kapłanką Kości. Idź do swojej bogini, pomódl się i przekonaj ją, żeby przekazała ci tę tajemnicę smoka.

Treia nic na to nie odrzekła.

– Możesz to przecież zrobić, kochana – dodał Raegar, szturchając ją lekko.

Treia nadal milczała.

Xydis podszedł bliżej i zaczął mówić ciszej, poufale, zwracając się do niej po imieniu.

– Treiu, musisz przecież odkryć tę tajemnicę. Potrzebujemy smoka vektyjskiego, żeby stawić czoło ogrom. Mamy smoczą kość. Tylko pomyśl, to ty wezwiesz smoka i pošlesz go do walki z naszym wrogiem. Pomyśl tylko, staniesz się bohaterką Sinarii. Oran będzie u twoich stóp!

Trei nie brakowało wyobraźni. Już widziała siebie obsypaną przez wdzięcznych Południowców bogactwem, jakie zobaczyła przed chwilą w skarbcu; chwaloną i docenianą. Mieszkałaby w pałacu. Niczego by jej nie brakowało. Oczyma wyobraźni ujrzała, jak kłaniają się przed nią Kapłanka Matka i te chichoczące nowicjuszki. A co najważniejsze: widziała Raegara w roli swego rozkochanego męża. Osiągnie to wszystko, ale musi to zrobić po swojemu.

– Byłabym zaszczycona, mogąc ci służyć, Czcigodny Panie – rzekła tonem pełnym żalu.

– Lecz nie mogę zrobić tego, o co mnie prosisz. Nie mogę modlić się do Vindrash.

– Oczywiście, że możesz! – warknął gniewnie Raegar. – Kapłanie Generale, pozwól, że ja z nią porozmawiam. Treia potrafi być czasem trochę uparta, ale zaraz ją przekonam...

Xydis uniósł dłoń. Nie spuszczał wzroku z Trei.

– Dlaczego nie możesz tego zrobić?

– Odkąd jestem z Raegarem, Czcigodny Panie, opowiedział mi wiele o potędze przenajświętszego Aelona. Bóg zechciał oświecić mnie swym błogosławionym światłem. Jestem jego oddaną wyznawczynią. Smokini nie wysłucha moich modłów. Vindrash odwróciła się ode mnie.

Xydis niemal się uśmiechnął. Biedny Raegar zapowietrzył się i widać było, że łamie sobie głowę, jak wybrnąć z tych nieprzewidzianych opalów. Doskonale wywiązał się z obowiązku nawrócenia jej na właściwą wiarę; zbyt dobrze.

To Treia pospieszyła mu na ratunek. Nim Raegar się obejrzy, będzie miał u niej olbrzymi dług.

– Smokini z pewnością zechce przemówić do mojej siostry, Aylaen – powiedziała Treia.

Rozdział 6

Tego samego poranka, gdy Treię obudziły dzwony na jutrznię, także Skylan wstał wcześniej. Słońce czerwieniło się na wschodzie, lecz nie było mu dane zagościć na dobre w ten pochmurny dzień. Nocne burze znikły, jednak deszczowe chmury już na nowo zbierały się na horyzoncie. Skylan przypomniał sobie o Wulfie i postanowił, że za wszelką cenę musi się dowiedzieć, co się z nim stało. Tymczasem jednak Torgunowie mieli co robić. Ignorując ból w ranie, Skylan ruszył przez pokład *Venjekar*, zrywając koce ze swych wojowników i krzycząc, żeby natychmiast wstawali.

– Ręka mnie boli – gderał Erdmun, kryjąc się z powrotem pod kocem. – Jak śpię, to przynajmniej zapominam o bólu.

– Nie masz o nim zapomnieć – oświadczył ponuro Skylan. – Nie masz zapominać ani o bólu, ani o tym, kto ci go zadał. Być może już dziś uda się nam uciec. A jeśli nie dziś, może jutro. Jeśli nie jutro, może pojutrze. Gdy tylko pojawi się szansa ucieczki, musimy ją wykorzystać. Do roboty, próżniaku. Nie ma co tracić czasu. Nasz okręt musi być zawsze gotowy do ucieczki.

Bjorn chwycił za koc brata i pociągnął tak mocno, że zaspany Erdmun poturlał się po pokładzie. Pozostali roześmiali się, ziewnęli, przeciągnęli i mimowolnie skrzywili z bólu. Aylaen wstała i odeszła na bok, żeby się obmyć.

– Naprawienie statku to dobry plan – stwierdził Sigurd. – Właśnie miałem wydać odpowiednie rozkazy.

– Jasne – mruknął Skylan.

Chmury przetoczyły się po niebie i zasłoniły słońce. Zapowiadał się zimny, szary i mokry poranek. Willę stojącą na szczycie wzgórza przesłaniała mgła unosząca się znad rzeki. Sigurd stał na pokładzie i patrzył na północ.

– Myślę o moich synach – powiedział nagle. – Obaj są już w tym wieku, że wkrótce będą mogli stanąć w ścianie tarcz. Przygotowywałem ich do wojennego fachu. To dobrzy chłopcy, ale jeszcze nie są w pełni gotowi. Kto ich teraz tego nauczy? – Westchnął ze smutkiem i pokręcił głową.

Skylan przyjrzał mu się zdumiony. Ponury Sigurd nigdy nie zdradzał się z żadnymi uczuciami. Teraz, gdy tylko zobaczył współczujące spojrzenie Skylana, zacisnął szczękę ze złości. Niewątpliwie już żałował tej chwili słabości.

– To ja tu rządzę – warknął. – Ty masz słuchać moich rozkazów, a nie sam rozkazywać.

Skylan wzruszył ramionami. Sigurd wyglądał na rozczarowanego tak obojętną reakcją. Być może miał ochotę na bójkę. Może, tak jak Skylan, czuł potrzebę wyżycia się na kimś.

– To ja jestem wodzem. Twoja krew popłynęła pierwsza. Kiedyś będziesz musiał w końcu to zaakceptować – dodał Sigurd.

– Kiedyś – zgodził się Skylan i się uśmiechnął. – Ale jeszcze nie dziś. – Zaskoczony zauważył, że Sigurd odpowiedział mu uśmiechem.

Pierwszym zadaniem Torgunów było przymocowanie smoczej głowy z powrotem na dziób. Cieśle Legata nie zdołali tego zrobić, bo nie znali *Venjekaru*. Skylan, Sigurd i Aki, który pracował kiedyś jako cieśla przy statkach, pochyłili się nad galionem i zaczęli analizować sposoby przymocowania go na dziobie.

Smoczy łeb wyrzeźbiony został z pojedynczego kawałka drewna. Złamanie było bardzo równe, jakby głowa bestii została dosłownie odrąbana od karku. Aki wymyślił, że można by wyrzeźbić pal z tej części dziobu, która była szyją smoka, potem wydłubać dziurę w smoczym karku i zamocować pal w dziurze.

Takie rozwiązanie byłoby oczywiście tymczasowe. Gdy tylko wrócą do ojczyzny, zbudują nowy okręt na cześć Smoka Kahg. Kiedy Erdmun wspomniał coś o śmierci smoka, Sigurd kazał mu szorować pokład.

Żołnierze zabrali im jeszcze wczoraj skrzynię z bronią, ale pozostawili narzędzia. Torgunowie wzięli się więc do pracy. Aylaen przyniosła jedzenie: chleb (zamokły od deszczu), kozi ser i oliwki, które podawano tu do każdego posiłku.

Okolo południa, choć praca przy galionie szła bardzo powoli, Sigurd zarządził koniec. Musieli się przecież jeszcze zająć ćwiczeniami, żeby nie stracić formy, nim nadejdzie dzień, gdy znów staną do walki.

Vindrasi nie mieli w zwyczaju trenować całym oddziałem, tak jak – z tego, co opowiadał Skylanowi Zahakis – ćwiczyli Południowcy. Skylan słuchał zresztą ze sporą dozą sceptycyzmu, gdy Trybun wyjaśniał mu, jak musztruje swych żołnierzy, uczy ich maszerować i walczyć w odpowiednich formacjach, które mogły się kręcić i przesuwac po polu bitwy zależnie od rozwoju sytuacji. Mówił o wieżach oblężniczych wypełnionych ludźmi, które jakoby można było podsunąć pod same mury miasta; o urządzeniach, które miały kule ognia.

Skylan był pewien, że Zahakis zmyśla większość z tych opowieści, dopóki nie ujrzał Sinarii – muru, który ją otaczał, oraz wewnętrznych fortyfikacji strzegących pałacu i Świątyni. Zobaczył, jak sprawnie maszerują żołnierze Zahakisa, jak wykonują skomplikowane manewry, popisują się podczas parady. W pewnym momencie uformowali

zwarty czworobok. Żołnierze stojący na zewnątrz trzymali tarcze przed sobą, a ci w środku unieśli je poziomo nad głowami, tworząc w ten sposób coś, co Zahakis nazwał „żółciem”.

– To chroni ich przed włóczniami i strzałami – wyjaśnił Trybun, a Skylan tylko patrzył i podziwiał.

Teraz stanął przy Bjornie i czekał, co takiego wymyśli Sigurd. Ponieważ nie mieli broni i nie mogli ćwiczyć walki mieczem i tarczą, Sigurd postanowił, że będą się siłować. Połączył wojowników w pary i kazał im trenować chwyt i rzuty przeciwnikiem. Z początku nie przykładali się zbyt do tych ćwiczeń.

Wkrótce jednak walka rozgrzała ich i dodała im ducha. Zaczęły ich cieszyć te pojedynki, choć szybko uświadomili sobie, że długi okres bezczynności na okręcie zrobił swoje. Ich mięśnie obwisły i osłabły, po zwykłej zwinności nie pozostał ślad. Erdmun, któremu nigdy jeszcze nie udało się nikogo pokonać w zapasach, wygrał z Grimuirem, z czego był niezwykle dumny.

Sigurd wściekał się na nich, ciskał gromy, wytykał słabości. Sam walczył ze Skylanem przez kilka rund. Niektóre wygrał Skylan, niektóre Sigurd. Skończyło się remisem. Nikt nie dopingował Skylana, ale on miał wrażenie, że głównie dlatego, żeby nie urazić Sigurda. Gdy skończyli walczyć i obaj wstali spoceni i zasapani, a potem uścisnęli sobie dłonie, wszyscy wiwatowali.

Aylaen trzymała się z boku, popatrując na nich z zazdrością. Vindrasyjki często urządzały między sobą zapasy, a Aylaen zawsze lubiła ten sport. Kobięcie jednak nie wypadało walczyć z mężczyzną. Dlatego też to ona pierwsza zobaczyła zbliżających się żołnierzy i ostrzegła pozostałych.

Skylan spojrzał na wzgórze i zobaczył Zahakisa w towarzystwie czterech strzelców i osiemnastu piechurów. Wszyscy byli uzbrojeni, a z ponurego wyrazu twarzy Trybuna bez trudu można było wyczytać, że coś się stało.

Zahakis machnął tylko na żołnierzy.

– Przeszukać okręt i namioty.

Strzelcy stanęli przed Torgunami i wznieśli łuki, gotowi wystrzelić w każdej chwili. Skylan zaczął zachodzić w głowę, o co chodzi. Żołnierze weszli do namiotów i niemal od razu wyszli. Przeszukanie okrętu zajęło im nieco więcej czasu. Zeszli pod pokład, otwierali skrzynię po skrzyni.

– Ten chłopak – powiedział Zahakis, patrząc wyczekująco na Torgunów. – Gdzie on jest?

Skylan spojrzał na niego zaskoczony.

– Właśnie miałem spytać cię o to samo. Kiedy widziałem go ostatnio, ludzie Raegara ciągnęli go do więzienia.

– Nigdy tam nie dotarli – odparł Zahakis. – jeśli ukrywacie chłopaka, Skylan, oddajcie nam go.

– Nie ma go tu – zapewnił go Skylan. – Nie widziałem Wulfe’a od tamtego czasu. O czym ty mówisz? Jak to nigdy nie dotarli do więzienia? Co się stało z dzieciakiem?

Zahakis odwrócił się do pozostałych Torgunów.

– Jeśli kłamięcie lub próbujecie go ukryć, źle się to dla was skończy. Dla was wszystkich. Wojownicy popatrzyli po sobie w milczeniu.

Zahakis obrzucił ich uważnym spojrzeniem, potem zatrzymał wzrok na Aylaen.

– Widziałaś go?

Potrząsnęła rudymi lokami.

– Widziałam, jak zabrał go Raegar. Potem już go nie widziałam.

Skylan poczuł, że zaraz zwariuje z niepokoju.

– Mówię ci przecież, że tutaj go nie ma. Co się z nim stało?

Zahakis obrzucił spojrzeniem swoich żołnierzy. Dwaj, którzy sprawdzali jeszcze pod pokładem, także wrócili z niczym.

– Tamci dwaj strażnicy zostali znaleźieni martwi – rzekł ponuro Trybun. – W kałuży własnej krwi. Mieli podcięte gardła, a twarze zmasakrowane tak bardzo, że trudno ich było rozpoznać. Jeden z nich miał ramię oderwane od ciała.

– Ale co z chłopcem? – spytał znów Skylan, czując, że serce ściska mu się z niepokoju. Dopiero w tej chwili zrozumiał, jak bardzo pokochał tego dzieciaka, którego w tak dziwny sposób znalazł podczas swojej nieszczęsnej podróży na Wyspę Druidów. – Co z nim? Czy jest ranny?

– Zniknął. Raegar oskarża go o zamordowanie obu strażników.

Skylan wpatrywał się w niego przez chwilę, nie rozumiejąc. Potem przeniósł wzrok na swoich ludzi, którzy stali oniemiały, z rozdziawionymi gębami. Wreszcie po prostu wybuchnęli śmiechem.

– No, to znacie już naszą tajemnicę. Wulfe jest z nas najpotężniejszym wojownikiem – powiedział Skylan. – Kiedy dochodzi do bitwy, zawsze wysyłamy go przodem, żeby zajął się mordowaniem, a my przychodzimy tylko tak, żeby po nim posprzątać.

Zahakis jednak nie wyglądał na ubawionego.

– Widziałem ciała tych strażników, a raczej to, co z nich zostało. Nieraz widywałem podczas bitwy zmasakrowane ciała i nie robiły na mnie wrażenia. Ale to, co zobaczyłem tym razem, będę pamiętał do końca moich dni. Tych ludzi nie zabił żaden gang czy wałęsająca się grupa złodziejasków. Zabił ich demon z piekła rodem. A raczej bestia z piekła rodem. Na ziemi wokół ciał znaleźliśmy krwawe odciski łap.

– To, że chłopak ma na imię Wulfe, nie znaczy, że możesz się dawać ponosić wyobraźni – warknął Skylan. Miał już tego wszystkiego dość. – Ten dzieciak może leży gdzieś martwy, a ty oskarżasz go o zabicie dwóch dorosłych mężczyzn i oderwanie im rąk?!

– Co wiecie o tym chłopaku? – spytał Zahakis.

– To sierota, zaopiekowałem się nim – powiedział Skylan. – Nie wiem o nim wiele ponad to, że twierdzi, że jest synem leśnej królowej.

– Ten dzieciak mieszka z nami już od dawna – dodała Aylaen. Jej rude loki szalały od wilgoci. Gniewny ogień jej zielonych oczu wydawał się jedynym źródłem światła w ten szary, nijaki poranek. – Nigdy nikogo nie skrzywdził.

Wojownicy poparli ją, dorzucając swoje trzy grosze. Torgunowie mieli Wulfe'a za dziwne dziecko. Umiał przecież zawołać ptaki, które sfruwały z drzew i siadały mu na dłoni. Twierdził, że umie rozmawiać ze zwierzętami i że rozumie ich język. Dużo czasu spędzał ze starą Matką Sową, którą wielu miało za wiedźmę. Mimo to jednak Wulfe stał się już jednym z nich. A to, że znienawidzony przez wszystkich zdrajca Raegar go nie znosił, działało tylko na korzyść dzieciaka.

Zahakis miał nadal bardzo ponurą minę.

– Mówię to dla twojego dobra, Skylan. Jeśli chłopak wróci, przekaż go mnie.

Skylan milczał uparcie, wyzywająco skrzyżowawszy ręce na piersi.

Zahakis obrzucił go posępnym spojrzeniem.

– Póki co wzywa cię Legat.

– Niech się wypcha! – wściekł się Skylan. – Muszę przecież znaleźć Wulfe'a...

Jeden z żołnierzy dźgnął go trzonkiem włóczni i Skylan zwinął się z bólu, łapiąc się odruchowo za brzuch. Zahakis spojrzał po pozostałych.

– Nie jestem w nastroju na żadne gierki. Widzę, że macie ochotę na ćwiczenia. Z radością spełnię waszą zachciankę. Jest tu pole, z którego należy wybierać kamienie.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Żołnierze chwycili Skylana i pchnęli go, żeby szedł, a gdy tylko zwalniał, kłuli go włóczniami. Inni otoczyli Torgunów, nie wyłączając Aylaen, i kazali im maszerować.

Skylan odwrócił się i spojrzał na okręt. Zdawało się, że *Venjekar* dryfuje w morzu mgły. Znów przypomniała mu się tamta koszmarna podróż na tym właśnie okręcie, gdy wracał z nieszczęsnej wyprawy na Wyspy Druidów, a u steru siedziała sama Smokini Vindrash. Skryła się wtedy w ciele jego zmarłej żony, zastraszyła go zupełnie. Noc w noc zmuszała do gry w smocze kości. Dopiero na Smoczycach Wyspach ukazała mu się w swej prawdziwej smoczej postaci.

Skylan poczuł, że dostaje gęsiej skórki. Oto Smokini znowu stała przy sterze okrętu. Wpatrywał się w nią zdumiony. Uniosła dłoń, jakby go pozdrawiała. Potem, powoli, rozczapierzyła palce. Liczba pięć.

– Ruszaj się, gamoni! – wrzasnął jeden ze strażników i pchnął go mocno.

Skylan potknął się na mokrej trawie, zachwiał i mało by nie upadł, lecz udało mu się odzyskać równowagę i zrobił krok naprzód. Spojrzał przez ramię. Bogini już nie było.

Rozdział 7

W największym i najpiękniejszym pokoju, którego drzwi wychodziły wprost na atrium willi, Acronis dreptał w tę i z powrotem, nerwowo czochrając sobie siwe włosy dłonią.

– Ale, Chloe, czy jesteś pewna? – pytał.

Legat był jednym z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych ludzi w Oranie. Stał na czele własnej, prywatnej armii. Znany był powszechnie jako dzielny wojownik, a liczne blizny świadczyły dobitnie o jego bohaterskich czynach. Był naukowcem, wynalazcą, nauczycielem i filozofem. Sama Cesarzowa nieraz zwracała się do niego po radę.

Lecz wystarczyło, że pewna piętnastoletnia dziewczynka, szczupła i mała na swój wiek, spoglądała na niego swymi piwnymi oczyma, uśmiechnęła się czarująco i powiedziała: „Oj, proszę, tatusiu!”, a Legat stawał się równie bezbronny jak nowo narodzone jagnię.

Chloe leżała na łożu, wygodnie podparta poduszkami, i trzymała lusterko z brązu, gdy tymczasem Rosa, jej niewolnica, układała jej loki według najnowszej mody. Najpierw zebrała część włosów w kok nad karkiem dziewczynki, potem oplotła go długim warkoczem. Na koniec skręciła pozostałe kosmyki tak, by zwisały luźno wokół twarzy Chloe.

– Spójrz, tatusiu, dobrze to wygląda? – spytała Chloe, odkładając lustro i unosząc twarz w stronę ojca.

– Jesteś tak piękna jak świt – wyznał zachwycony rodzic.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jestem szara i ponura? – spytała Chloe zawadiacko i spojrziała w stronę atrium.

Jej ojciec nakazał, by drzwi wychodzące na atrium były zamknięte, ponieważ bał się, że jego ukochane dziecko się przeziębii. Chloe jednak uparła się, że mają być otwarte. Twierdziła, że dosłownie się dusi, gdy pokój jest zupełnie zamknięty.

Tak więc drzwi stały otworem.

Acronis natychmiast zapewnił ją, że nie miał na myśli nic takiego i że wcale nie jest szara ani ponura. Chciał tylko powiedzieć, że jest tak piękna jak świt, gdy nie pada, jak świt pogodny i różowy. Chloe roześmiała się beztrąsko.

– Ojczy, przecież tylko tak sobie żartuję. – Poklepała dłonią brzeg łożka i odsunęła się trochę, żeby mu zrobić miejsce. – A teraz chodź tu, siądź przy mnie i wymień mi wszystkie te powody, dla których nie mogę mieć tego, czego chcę.

Acronis potulnie wykonał jej rozkaz. Był uzbrojony po zęby – miał w zanadrzu logikę, zdrowy rozsądek i silną wolę. Był w pełni przygotowany do tego, by wytrzymać atak przeciwnika.

Chloe jednak od razu go rozbroiła.

– Przecież obiecałeś mi prezent z podróży. Obiecałeś coś zupełnie specjalnego, żeby wynagrodzić mi tę długą rozłąkę – przypomniała przymilnym głosem. – Gdzie ten wspaniały naszyjnik, który mi obiecałeś?

Tarcza Acronisa rozprysła się w drzazgi, jego miecz odpadł od rękojeści.

– Kochanie, przecież to nie była przejażdżka dla przyjemności. Nie mogłem pójść na zakupy na targ, bo nie było nigdzie żadnego targu. Musieliśmy pojmać niebezpiecznych wojowników. – Ujrawszy nagle wyłom w jej murach obronnych, zaatakował pełną parą i przez chwilę zdawało się, że ma szansę na zwycięstwo. – I właśnie dlatego, że ci wojownicy są niezwykle groźni, nie pozwolę, byś wzięła sobie jednego z nich do domu jak jakiegoś pieska.

– Nie potrzebuję pieska, tatusiu – obraziła się Chloe. – Nie jestem małą dziewczynką. Potrzebuję służącego.

– Jest przecież Kakos...

– Mam go już po dziurki w nosie – zniecierpliwiała się dziewczynka. – Jest gruby, leniwy i śmierdzi czosnkiem. Gdy tylko proszę go o coś, choćby to była najmniejsza drobnostka, taka jak zanieśnienie mnie do ogrodu, jęczy i gdera, i mówi, że go bolą plecy. Raz, kiedy uparłam się, żeby mnie jednak zaniósł, twierdził, że strzeliło go w krzyżu, i potem przez tydzień nie ruszał się z łóżka.

Kakos był w służbie u Legata od urodzenia. Jego matka była kucharką, a ojciec ogrodnikiem i choć Acronis wiedział dobrze, że opowieść Chloe jest mocno przesadzona, nie mógł nie przyznać w duchu, że Kakos miał sporą nadwagę oraz skłonność do uzalania się nad sobą.

Postanowił więc przejść do kontraktaku.

– Ten niewolnik, którego byś chciała... umówmy się tak. Wyszkołę go do Para Diksu, Chloe. Będzie twoim osobistym zawodnikiem. Co ty na to? Niewiele piętnastolatek w Sinarii ma szczęście mieć swojego zawodnika!

Chloe aż zaklaskała z radości.

– Co za wspaniały pomysł, tatusiu! Jestem pewna, że mój służący może pełnić obie funkcje. Gdy będzie trenował przed zawodami, ja i tak będę musiała się uczyć. Gdy tylko skończy, będzie mógł mi usługiwać.

Wtuliła policzek w ramię ojca i spojrzała na niego lekko zażawionymi oczyma.

– Przecież wiesz, tatusiu – szepnęła – jak nudne są moje dni. Jesteś zawsze taki zajęty. Tak rzadko cię widuję. Proszę o tak niewiele...

Acronis poczuł, że ostatnie jego twierdzenie wałę się w proch.

– Pomyślę o tym – obiecał niechętnie.

– Dziękuję, tatusiu! – Chloe zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała go w policzek. – Jak ma na imię mój zawodnik? Mówiłeś mi już, ale zupełnie zapomniałam.

– Skylan – mruknął Acronis.

– Skylan – powtórzyła Chloe z przejęciem. – Przyślij go tu do mnie. Chcę go poznać.

– Niczego jeszcze nie obiecałem – przypomniał jej Acronis.

– Wiem, tatusiu – zapewniła go ze słodyczą córka, ale wiedziała równie dobrze jak on, że wygrała tę bitwę w cuglach.

– Nie mówisz poważnie, panie! – krzyknął Zahakis, gdy Acronis przekazał mu swoją decyzję. – Musisz natychmiast zmienić decyzję. Musisz jej odmówić!

– Nie masz jeszcze dzieci, mój przyjacielu – odparł mu z uśmiechem Acronis. – Odmawianie im nie należy do rzeczy łatwych. A życie Chloe jest takie ciężkie. Ten młodzieniec to barbarzyńca, ale nie dzikus. To człowiek honoru. Bez trudu mógł mnie zabić podczas buntu niewolników, a jednak nie uczynił tego.

– Panie, Skylan nie zabił cię z wyrachowania, a nie z litości – przekonywał Zahakis. – Zarówno on, jak i pozostali to szaleńcy gotowi na wszystko, byle tylko stąd uciec. Że już nie wspomnę nawet o tym dzieciaku, który najwyraźniej poderżnął gardło dwóm dorosłym ludziom...

– Chyba nie wierzysz w te brednie, Zahakisie – zdumiał się Acronis.

– Nie wiem już, w co mam wierzyć, panie. Wiem tylko, że gdybym miał córkę, nie pozwoliłbym jej zbliżyć się na milę do żadnego z tych okrutnych ludzi.

Acronis znów poczochnął sobie włosy dłonią. Znów pełen był niepokoju. Nagle jego twarz pojaśniała.

– Mam pomysł. Obiecałem Chloe, że pošlę po Skylana, żeby mogła go poznać. Gdy na własne oczy ujrzy tego barbarzyńcę, gdy usłyszy, jak on się wysławia, na pewno nie będzie chciała mieć z nim nic do czynienia. Gdzież on się podział?

– Jest w atrium, panie. Czeka na twoje rozkazy – odpowiedział Zahakis.

– Zaprowadź go do pokoju Chloe. Tam się spotkamy. Weźmiemy ją z zaskoczenia.

Chloe siedziała wsparta o poduszki. Jej łóżko – jedno z najpiękniejszych w całej Sinarii – wyrzeźbione było z drewna, starannie wypolerowane i ozdobione złotem i muszlami. Narzuta z adamaszku wyszyta była w kwiaty. Powietrze pachniało świeżo ściętymi bukietami, które wypełniały misy. Nawet w tak pochmurne dni jej pokój pełen był światła.

Chloe czytała właśnie dziennik z ostatniej podróży swego ojca. Uwielbiała jego zapiski. Pozwalały jej zajrzeć do świata, który krył się poza jej sypialnią; świata, którego nigdy nie zobaczy.

Styl tekstów Acronisa był suchy, dydaktyczny, jak przystało na naukowca. Piętnastolatka umiała je jednak ożywić, tchnąc w rzeczowo opisywane sceny sporą dozę romantyzmu. Bez

trudu wyobraziła sobie smoka Kahg i zapragnęła ujrzeć tę bestię naprawdę. Śmiała się w głos, czytając o Zahakisie i jego przygodzie z meduzą, a potem z sercem na ramieniu śledziła walkę Skylana i pozostałych o wolność. Wzruszyła się do łez, gdy przeczytała, jak galion spadł z dziobu, a dzielni wojownicy porzucili wszelkie nadzieje.

Była w połowie opisu bitew, jakie staczają Vindrasi, i poznawała właśnie zasady formowania ściany tarcz, gdy ojciec i Zahakis wprowadzili do jej pokoju niewolnika o imieniu Skylan.

Był wyższy od obydwu. Jego jasna skóra była opalona. Włosy miał koloru słońca, a oczy niebieskie jak niebo. Nigdy przedtem nie widziała tak błękitnych oczu i oczarowała ją intensywność tego koloru. Był szeroki w barach i klatce piersiowej, pod skórzaną tuniką widać było zarys silnych mięśni. Od razu zrozumiała, dlaczego jej ojciec wybrał go na zawodnika Para Diksu. Najbardziej jednak zafascynowało ją to, że stał przed nią dumny i wyprostowany, głowę trzymał wysoko, a na jej spojrzenie odpowiedział odważnym, może nawet beczelnym wzrokiem.

Jego ubranie było w strasznym stanie. Widać było plamy, które uznała za ślady krwi. Pachniał morską wodą, mokrą skórą i czymś, czego nie umiała określić...

– Życiem – szepnęła cicho Chloe. – On pachnie życiem.

Nie pachniał jej życiem, nie perfumami, olejkami, pomarańczami, ciętymi kwiatami, czosnkiem i tym, co akurat gotowano na kolację. Te zapachy były zawsze miłe, zawsze takie same, zawsze trwałe, nawet wtedy, gdy Rosa otwierała drzwi, żeby przewietrzyć pokój. Nawet powietrze wokół Chloe pachniało zawsze tak samo, dzień po dniu – zupełnie tak samo.

Skylan był inny. Miała ochotę oddychać tym zapachem pełną piersią, ale zarazem odruchowo marszczyła nos. Skylan był niebezpieczeństwem, był tym, co nieoczekiwane. Był życiem, życiem, którego nie знаła. Życiem, którego nigdy nie pozna.

Był wojownikiem. Z jego ręki ginęli ludzie. Na tę myśl Chloe poczuła, że zalewa ją fala paniki, i w tej chwili być może przyznałaby ojcu rację. Może jednak nie powinna przebywać w jego towarzystwie. A potem znów spojrzała w jego błękitne oczy.

Nawet nie drgnął pod jej uważnym spojrzeniem. Ona jednak w tych niebieskich oczach, które miały być takie obojętne i zimne, dojrzała błysk niepewności. Chloe przeczytała w dziennikach ojca o jego ludzie, o jego życiu. Teraz nagle uświadomiła sobie, że jej świat musi się mu wydawać nieprzyjazny i dziwny. Musi być bardzo zagubiony, przerażony, nieszczęśliwy.

– Skylan mi odpowiada, ojciec – oświadczyła. Zobaczyła, że Acronis unosi brew. Wyglądało na to, że zamierza się z nią o to kłócić, więc uniosła swą małą dłoń, by go powstrzymać.

Młody mężczyzna znów podniósł wzrok, zmrużył oczy i popatrzył prosto na nią. Pewnie nic z tego nie rozumiał. Uśmiechnęła się do niego.

– Będziesz moim służącym, Skylanie – wyjaśniła Chloe. – Twoje obowiązki nie będą uciążliwe. Będziesz mi czytał...

– On nie umie czytać – przerwał jej Zahakis. – Ani pisać.

To zaskoczyło Chloe, ale po zastanowieniu uznała, że to czyni go tylko jeszcze bardziej intrygującym.

– Doprawdy? Cóż, Skylanie, więc będziesz zabawiał mnie opowiadaniem historii. Poza tym, jeśli będzie ładna pogoda, zanieśesz mnie czasem do ogrodu...

– Ja miałbym cię zanieść? – warknął Skylan ostro. W jej pokoju, w którym wszystkie dźwięki były przytłumione, a muzyka tylko najcichsza, ten głos zabrzmiał jak wybuch.

Chloe aż podskoczyła zdumiona i nieco przestraszona. Było to nowe i ekscytujące uczucie.

Młodzieniec spojrział na nią gniewnie.

– Noszę tarczę i miecz. A nie jakieś rozpuszczone bachory. Masz nogi. Sama się zanieś, gdzie chcesz.

– Jak śmiesz?! – warknął Acronis. – Każę cię wychłostać...

– Oj, tatusiu, nie bądź głuptaskiem – ucięła Chloe. – To mój niewolnik i nie pozwolę, żeby go chłostano. Nie miał nic złego na myśli. – Spojrzała na Skylana i uśmiechnęła się. – Masz rację. Mam nogi. – Odsunęła adamaszkową kapę, odkrywając nogi, i wzruszyła lekko ramionami. – Ale moje biedne nogi do niczego się nie nadają. Nie używałam ich już od lat.

Skylan wpatrywał się w nią, nic nie rozumiejąc.

– Gdy moja córka miała pięć lat, przeszła ciężką chorobę – wyjaśnił niechętnie Acronis. – Przeżyła, ale straciła władzę w nogach.

– Dałabym wiele za to, by móc samodzielnie dojść do ogrodu – wyznała Chloe. – Ale nie mogę. Muszę leżeć w tym pokoju dzień i noc. – Znów spojrzała na Skylana i dodała łagodnie. – Rozumiesz więc, że i ja wiem, co to niewola.

Zahakis wyprowadził Skylana z sypialni. Szli przez przestronne, rozbrzmiewające echem pokoje pełne posągów i zdobnych mebli, jakich Skylan nigdy w życiu nie widział. Były tu nawet małe zbiorniki wody – we wnętrzu domu! Ze zdumieniem ujrzał, że pływają w nich złote rybki. Wokół kręcili się ludzie zajęci swoją pracą. On i Zahakis minęli kilka kobiet, które na kolanach szorowały podłogę.

– Która z nich to żona Legata? – spytał Skylan. Zahakis spojrział na niego zaskoczony i mało się nie roześmiał.

– Żona Legata nie żyje – powiedział w końcu. – Ale na pewno nie szorowałaby podłogi. To tylko niewolnice.

Skylan popatrzył na nie. Skupione na pracy, nawet nie odwróciły głowy w jego stronę. Dwóch mężczyzn nacierało meble jakimiś słodko pachnącymi olejkami. Gdy tak szli z

Zahakisem przez kolejne pomieszczenia, napotkali małego, może sześciolatniego chłopca, który czyścił jeden ze zbiorników dla rybek.

– Czy to dziecko także jest niewolnikiem? – spytał Skylan.

– Jest synem niewolnika, toteż samo jest niewolnikiem.

– Ale... – Skylanowi zabrakło słów. – Przecież ci ludzie są z waszego ludu! Jak mogą być waszymi niewolnikami?

– Niektórzy z nich rodzą się w rodzinach niewolników, więc sami automatycznie stają się niewolnikami. Niektórzy zostają sprzedani w niewolę. Jeszcze inni sami się sprzedają, żeby spłacić długi.

– Żyję tylko myślą o tym, że kiedyś ucieknę z tej strasznej krainy – powiedział Skylan.

Zahakis przystanął i złapał rękę Skylana. Stali zupełnie sami w korytarzu z czarnego marmuru, który prowadził do atrium.

– Pamiętaj, że jesteś niewolnikiem, jesteś własnością Legata. Ty i ten owoc macie wiele wspólnego. – Trybun wziął do ręki jabłko z misy, która stała na stoliku obok. Nagle cisnął nim o ścianę z taką siłą, że jabłko się rozprysło. Sok i miąższ popłynęły po ścianie, pocięły po podłodze. – Legat robi to samo z twoją głową, Skylanie Ivorsonie – rzekł Zahakis – jeśli choć pomyślisz o tym, żeby skrzywdzić to dziecko.

– Jego córkę? Nie chcę mieć nic do czynienia z tym kajtkiem! – zapewnił go Skylan.

– Gdyby to zależało ode mnie, nie pozwoliłbym ci się do niej zbliżyć. Ale ja nie mam tu nic do gadania – dodał ponuro Zahakis.

– Zatem muszę się nią zajmować – stwierdził Skylan.

– Życzenie Chloe jest dla jej ojca rozkazem. A ty jesteś jego niewolnikiem.

Skylan zatrzymał wzrok na kawałkach roztrzaskanego jabłka, które zsuwały się po ścianie.

– Nie masz się czego obawiać – powiedział. – Jego córka jest ze mną bezpieczna. To on jest moim wrogiem. Gdybym mógł go zabić, nie zawahałbym się. Ale nie zabijam dzieci. I nie biorę ich w niewolę.

Zahakis rzucił rozkaz i dwie kobiety podbiegły pospiesznie z wiadrem i szmatami. Zrobiłyby to samo, gdyby na podłodze leżała rozlupana czaszka Skylana. Kolejne brudy dla niewolników do posprzątania.

Rozdział 8

Zahakis wyprowadził Skylana do atrium i zostawił obok rabatki pełnej kwiatów. Przy nim postawił dwóch strażników i kazał czekać na rozkazy Legata. Skylan widział stąd Acronisa, od którego oddzielał go żywopłot o bujnych zielonych liściach i różowych kwiatach. Legat chodził w tę i z powrotem po ścieżce z pokruszonego różowego marmuru. Gdy zobaczył Zahakisa, gestem nakazał mu podejść. Obaj przechadzali się, omawiając coś z ożywieniem.

Przestało padać i słońce odbijało się w kropkach na mokrych liściach. Skylan stał tam, gdzie mu kazano, wściekły i sfrustrowany. Nie był przyzwyczajony do wykonywania niczyich rozkazów. Zawsze robił to, co chciał, a teraz nagle kazano mu iść tu czy tam i czuł, że długo tego nie wytrzyma.

Kątem oka spojrzał na żołnierza, który go pilnował, zastanawiając się nad zaatakowaniem go. A może powinien rzucić się od razu na Acronisa, który był przecież nie dalej jak trzy kroki od niego. Jego i Zahakisa oddzielał od Skylana jedynie ten kwitnący krzak i marmurowy posąg półnagiego mężczyzny opierającego się na włóczni. Nie miałyby oczywiście żadnych szans. Żołnierze zabiliby go, nim znalazłby się bliżej Acronisa, ale w tej chwili śmierć wydawała się Skylanowi najlepszym wyjściem. Życie bowiem stawało się nie do zniesienia.

Poważnie rozpatrywał zalety tego rozwiązania, gdy jego uwagę zwróciły słowa Acronisa. Natychmiast zapomniał o użalaniu się nad sobą i zaczął się bacznie przysłuchiwać.

– Kapłan Generał poinformował Cesarzową, że w stronę Sinarii płynie cała flota ogrów. Sto okrętów, może więcej, wszystkie pełne żołnierzy.

– A skąd Kapłan Generał ma takie informacje? – chciał wiedzieć Zahakis.

– Dzięki swoim szpiegom, kapłanom, którzy dali się pojmać ogrom, żeby się dostać do niewoli i móc bez przeszkód szpiegować.

Zahakis pokręcił głową.

– Wiem. To samo sobie pomyślałem. W każdym razie ci szpiegdy przekazują informacje przez obserwatorów, tych, którzy cały dzień siedzą w Sanktuarium Aelona i gapią się w miski z wodą.

Skylan zerknął szybko na strażników, żeby sprawdzić, czy na niego patrzą. Trudno mu było zapanować nad mięśniami twarzy, które ułożyły się w grymas niepomiernego zdumienia.

Słyszał już przecież o flocie ogrów od Wulfe'a, który twierdził, że dowiedział się o niej od tych swoich oceanid. Skylan oczywiście nie uwierzył w te dziecięce zmyślenia. Ale wszystko wskazywało na to, że Południowcy dali im wiarę.

Strażnicy prawie w ogóle nie zwracali na niego uwagi. Skylan przypomniał sobie, co powiedział mu kiedyś jego podły kuzyn, gdy jeszcze udawał, że jest jego przyjacielem. Raegar był przecież niegdyś niewolnikiem Południowców. Żył w ich krainie wiele lat.

– W Oranie niewolnicy są niczym. Traktuje się ich jak meble. Ich właściciele są przekonani, że niewolnicy są głusi, niemi, ślepi i bezmyślni. Kobiety przyjmują swoich kochanków, gdy ich niewolnicy stoją tuż przy łożu. Mężczyźni planują zamordowanie rywala, gdy ich niewolnicy nalewają im wina. Mógłbym skompromitować połowę populacji Sinarii, gdybym tylko wykorzystał to, co usłyszałem, gdy pracowałem jako niewolnik.

Wtedy jeszcze Skylanowi przez myśl nawet nie przeszło, że mógłby znaleźć się w takiej sytuacji, więc śmiał się beztrosko z głupoty Południowców. Teraz nie było mu do śmiechu. Bycie niewolnikiem w domu Acronisa mogło mieć swoje zalety. Skylan dotknął amuletu, który miał na szyi, żeby przeprosić Torvala za chwilę zwątpienia.

– Ogry są słabymi żeglarzami – mówił właśnie Zahakis. – W życiu nie uda im się tu dopłynąć. Ich okręty potoną, nim przemierzą połowę oceanu.

– Nie doceniasz ich. Pamiętaj, że ci „słabi żeglarze” rok w rok przepływają morze, by siać zniszczenie w naszych północnych koloniach – przypomniał mu Acronis.

Skylan mógłby coś na ten temat powiedzieć. Przecież ogrom udało się śledzić *Venjekar* przez całą drogę aż do ojczyzny Torgunów.

Acronis dodał coś o tym, że Kapłan Generał zapewnił Cesarzową, iż Aelon uniesie wody oceanu, by pochłonęły wroga.

Zahakis przerwał mu raptownie.

– Może zmienimy temat, mój panie – rzekł.

– A, tak, prawda, Trybunie – zgodził się Acronis. – Dziękuję ci za czujność.

Skylan pomyślał, że przyłapali go na podsłuchiwanie, ale zorientował się, że spoglądają na kogoś po drugiej stronie ogrodu. Ujrawszy przybysza, nie miał żadnych wątpliwości, dlaczego rozmówcy tak nagle urwali rozmowę.

W ich stronę szedł ogr. Na ramieniu miał taki sam tatuaż jak Skylan.

Jak wszystkie ogry był potężny, wysoki. Skylan nie sięgał mu nawet do ramion, a Południowcy wydawali się przy nim karzełkami. Był w świetnej kondycji fizycznej, co było dość dziwne, jako że zwykle ogry, które z zasady stroniły od wszelkiego wysiłku, obrastały tłuszczem już w bardzo młodym wieku. Miał na sobie typowe dla swej rasy odzienie – skórzane spodnie, spięte szerokim skórzanym pasem i wetknięte w skórzane buty ze sznurowadłami owiązanymi wokół ogromnych łydek. Jego umięśniona, włochata klatka piersiowa była naga, a na niej przepasaną miał skórzaną uprząż, która w normalnych warunkach zawierałaby broń. Ta jednak była pusta.

Tak jak zawsze u ogrów to wielkie ciało wieńczyła mała, łysa główka o twarzy miękkiej, krągłej i niewinnej jak u dziecka. Policzki miał pulchne, usta małe, a oczy jasne. Oгры miały świadomość, że ich twarze zamiast strachu wywołują śmiech, toteż by wyglądać groźniej, malowały głowy. Sposób pomalowania czaszki świadczył też o randze ogra i jego miejscu w społeczeństwie.

Ten ogr miał na głowie biały pasek, który ciągnął się od karku po brodę, oraz drugi, czarny, który biegł od jednego policzka przez nos do drugiego. Skyłan znów przypomniał sobie ten dzień nie tak dawno temu (choć zdawało się, że od tej chwili minęły wieki), kiedy do ich wioski przybiły oгры i oświadczyły Torgunom, że bogowie Vindrasów umarli. Skyłan widział wtedy tylko dwóch ogrów z takim znakiem na głowie i byli to dowódcy, zwani przez ogrów bożypanami.

Zachodził w głowę, co oгры bożypan robi w Oranie i w jaki sposób trafił do niewoli. To, że bożypan był niewolnikiem, było oczywiste nie tylko ze względu na tatuaż na ramieniu, ale także dlatego, że Acronis i Zahakis traktowali go w charakterystyczny sposób: poczekali, aż podejdzie do nich, zamiast wyjść mu na spotkanie, a potem – choć stał już przy nich – spokojnie kończyli rozmowę (która dotyczyła teraz jakichś błahostek) i przez chwilę zupełnie go ignorowali.

Ogr cierpliwie rozglądał się wokół. Skyłanowi wydawało się kiedyś, że oгры są głupie, leniwe i tępe. Na własnej skórze przekonał się jednak, że w rzeczywistości cechują się one sprytem, inteligencją i przebiegłością. Ciężkie, tęgie i grubokościste miały szerokie ramiona i wielkie brzuszyska, stąd w naturalny sposób przejawiały skłonności do siedzącego trybu życia, co inne rasy często niesłusznie brały za lenistwo. Niezbyt sprawnie posługiwały się bronią, ponieważ nigdy jej nie potrzebowały. Większość wrogów była od nich dużo mniejsza i mogły ich pokonać samą swoją masą.

Skyłan znów miał przed oczyma ten straszny moment, gdy oгры wojownicy zmasakrowali ścianę tarcz Torgunów. Formacja poszła w rozsypkę, po ludziach z pierwszego szeregu pozostały tylko krwawe ślady.

Gdy odganiał właśnie te bolesne wspomnienia, ogr nagle spojrzał na niego. Zatrzymał na nim wzrok i lustrował go od góry do dołu, wyraźnie chcąc sobie wyrobić o nim opinię. Oгры i Vindrasi walczyli ze sobą od wieków. Skyłan odpowiedział mu dumnym spojrzeniem i wyprostował się wyniośle, starając się wyglądać na wyższego. Wypiął klatkę i skrzyżował ręce na piersi. Popatrzył ogrowi prosto w oczy, a potem także zlustrował go od góry do dołu.

Ogr zachichotał wyraźnie ubawiony, aż się w Skyłanie krew wzburzyła. Zahakis i Acronis odwrócili się w jego stronę i zaczęli wraz z ogrem mówić o nim tak, jak gdyby był on zupełnie głuchy. Padły słowa „w gorącej wodzie kąpany” i „szczeniak”, a Zahakis stwierdził, że „wyrostek” jako tako radzi sobie z mieczem.

– Jako tako? – ryknął Skyłan. – Dajcie mi miecz, a zobaczycie, jak radzę sobie z mieczem!

Wystarczył jeden gest Acronisa, a żołnierz pilnujący Skylana chwycił go za ramię i siłą poprowadził wokół krzaka, po ścieżce, która biegła pod treliązem obrośniętym winem. Skylan szedł dumnie wyprostowany i nie spuszczał oka z ogra.

– Oto trener naszej drużyny Para Diksu. Nazywamy go Strażnikiem Ognia – dokonał prezentacji Zahakis. – To on przygotowuje was do gry. Strażniku, oto Skylan Ivorson.

Ogr mruknął coś pod nosem i pokręcił głową.

– Mam tylko nadzieję, że jest mądrzejszy, niż na to wygląda.

Skylan złapał się palcami za nos.

– A ja mam nadzieję, że jesteś mądrzejszy, niż na to śmierzisz.

Strażnik zamachnął się. Jak na ogra poruszał się niezwykle szybko. Skylan nie miał czasu na unik i potężna pięść rąbnęła go w szczękę. Runął do tyłu na kwitnący krzak, łamiąc gałązki. Odbił się od grubego treliazu i plując krwią, padł na kolana. Był tak ogłuszony, że przez chwilę nie mógł się dźwignąć.

Strażnik pokręcił głową i otworzył usta, by znów powiedzieć coś złośliwego, ale Skylan skoczył na równe nogi i z całych sił dźgnął go łokciem w brzuch.

Ogr zwinął się z bólu.

Jak przez mgłę doszedł Skylana perlisty, dziewczęcy śmiech.

– Ha! Ale cię załatwił, Strażniku! To mój zupełnie własny zawodnik, wiesz? – wołała Chloe. – Mój Skylan będzie najlepszym graczem w całym mieście!

Kaleka dziewczynka została właśnie wyniesiona na ławkę w atrium.

Skylan poczuł, że robi się purpurowy ze wstydu. Rzucił okiem na ogra pewien, że ten prychnie z pogardą, ale ku jego zdumieniu Strażnik spojrzał na niego z większym szacunkiem. Potem odwrócił się w stronę dziewczynki i pokłonił jej się niezgrabnie.

– Wytrenuję go tak, panienko Chloe, że będzie panienki wart. Jego i pozostałych.

– Wiem, że to zrobisz, Strażniku – zapewniła go z uśmiechem Chloe. – A to, że Skylan jest moim nowym zawodnikiem, nie znaczy, że ty i ja nie będziemy nadal przyjaciółmi.

Pod farbą na twarzy nie było wiele widać, ale Skylan mógłby przysiąc, że pulchne policzki ogra zaróżowiły się z radości.

– A teraz, kochanie – wtrącił się Acronis, podchodząc do córki i pochylając się nad nią z troską – dość już tych atrakcji na jeden dzień. Wracaj do łóżka.

– Ale, tatusiu, pozwól mi popatrzeć! – broniła się Chloe.

– Może jutro. – Acronis dał znak blademu grubasowi o licznych podbródkach. – Kakosie, zabierz panienkę Chloe do jej sypialni.

– Kakosie, głowę bym dała, że słyszałam, jak smakowite udo jagnięce wołało cię z kuchni. Może idź tam i sprawdź, czy nie czas je zjeść – powiedziała Chloe. Wskazała dłonią na Skylana. – Mnie zanieś mój nowy zawodnik

– Nie ma mowy – zaprotestował Acronis, marszcząc groźnie brwi. – Kakosie, zanieś panienkę.

– Kakosie, ostrzegam. Jeśli choć dotkniesz mnie tymi swoimi niezdarnymi łapskami, każę kucharzom karmić cię przez cały tydzień samym chlebem i wodą – odparowała Chloe.

Kakos popatrywał to na swego pana, to na malutką panią. Widać było, że pojęcia nie ma, kogo powinien posłuchać. Załamywał ręce i wyraźnie był na skraju rozpacz.

– Skylan jest cały we krwi – argumentował Acronis przekonującym szeptem.

– Może się obmyć w fontannie – znalazła rozwiązanie Chloe. Oparła się wygodnie na ławce, złożyła dłonie na kolanach i czekała z miną oznaczającą, że ta dyskusja została już zakończona.

Skylan czuł, że takiego upokorzenia po prostu nie przeżyje. Nie miał odwagi nawet spojrzeć na ogra. Pewien był, że Acronis nigdy nie przystanie na tę absurdalną zachciankę córki, i tylko to trzymało go przy życiu.

– Dobrze. Umyjcie go – rozkazał zrezygnowany Acronis.

Zahakis zacisnął szczękę tak mocno, że nie ulegało wątpliwości, co o tym wszystkim myśli. Chwycił tylko Skylana i zaciągnął go do sadzawki, w której posąg dzika pluł wodą.

– Myj się – nakazał mu ponurym głosem, a gdy Skylan nie wykonał ablucji, Trybun wepchnął mu głowę pod wodę i trzymał tak trochę za długo.

Gdy go wreszcie puścił, podtopiony Skylan zaczął pluć i prychać. Z trudem stanął. Ledwie trzymał się na nogach i ociekał wodą. Niewolnica Rosa podbiegła do niego z ręcznikiem i wytarła go do sucha, ostrożnie osuszając rozciętą wargę i obitą szczękę.

– Nie zapominaj o tamtym jabłku – szepnął Zahakis złowieszczo i pchnął Skylana w stronę Chloe, która czekała cierpliwie na ławce. Jej bezsilne nogi skryte były pod jedwabną chustą.

Skylan podszedł do dziewczynki, która była tak chuda, słaba i krucha jak pisklątko. Kompletnie nie wiedział, co z nią zrobić. Bał się, że wystarczy, iż jej dotknie, a coś jej złamie. Patrzył tak na nią z góry bezradnie i nie miał pojęcia, jak się zachować.

Chloe zadarła głowę bez trwogi i roześmiała się na widok jego niepokoju.

– Nic mi się nie stanie. Jestem silniejsza, niż ci się zdaje. – Wyciągnęła do niego ręce z ufnością dziecka.

Nieporadnie wsunął jedną rękę pod jej plecy, a drugą pod jej bezwładne nogi i uniósł ją razem z wszystkimi kocykami i chustami. Zarzuciła mu ręce na szyję i uśmiechnęła się promiennie. Była lekka jak piórko. Uniósł ją bez żadnego trudu.

– Strażnik jest świetnym trenerem – zapewniła go, gdy niósł ją do pokoju, gdzie pod ścianą stało łóżko. – Pracuje u mojego ojca już od trzech lat i jest po prostu niesamowitym graczem. Ale ty będziesz jeszcze lepszy. Jestem tego pewna. Wszystkie kobiety w całym mieście będą mi ciebie zazdrościć.

Ułożył ją ostrożnie na poduszkach.

– Jednak troszkę się zmęczyłam tym wszystkim – przyznała Chloe. – Odpocznę teraz odrobinę. Powiedz Rosie, żeby zamknęła drzwi.

Gdy Skylan podszedł do niej z powrotem, chwyciła go za rękę.

– Przyjdź jutro rano. Chcę wiedzieć wszystko o twoim pierwszym treningu.

Skylan wymamrotał coś, a gdy wreszcie z ulgą wychodził, wpadł na Zahakisa, który stał tuż za nim. Rosa zamykała drzwi prowadzące na dwór. W pokoju panował półcień. Służąca nakazała im wyjść. Skylan obejrzał się na Chloe. Układała się już do snu na poduszkach. Uśmiechnęła się jeszcze do niego i odprowadziła go wzrokiem.

Uciekł do atrium i wziął głęboki oddech. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że ze strachu niemal przestał oddychać.

– Byłeś dla niej bardzo delikatny – stwierdził Zahakis. W jego głosie słyhać było zdziwienie.

– A czegoś się spodziewałeś? – zachnął się Skylan, posyłając mu mordercze spojrzenie. – Myślałeś, że ją zaduszę czy co? To tylko dziecko. Chore dziecko. Może trudno ci w to uwierzyć, ale my, barbarzyńcy, też mamy dzieci i kochamy je tak bardzo, jak wy kochacie swoje. Tymi rękoma musiałem pochować trzech moich małych braciszków.

Znów sobie o nich przypomniał. Wszystkie trzy niemowlaki urodziły się za wcześnie. Były zbyt małe, by przeżyć. To on trzymał każde z tych małych ciałek w swoich dłoniach, powierzał ich dusze Freilis, a potem odkładał je na wieczne spoczywanie. Ostatnie dziecko musieli pogrzebać wraz z Sonją, macochą Skylana, która zmarła przy porodzie.

– Miałem pomagać w ich wychowaniu – powiedział, myślami znów będąc w Ludzie. – Miałem nauczyć ich walczyć mieczem. Pewnego dnia stanęliby przy mnie w ścianie tarcz. Moi bracia. Byłbym z nich taki dumny.

Westchnął cicho i ze smutkiem pokręcił głową. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że Zahakis mu się przygląda i że powiedział za dużo. Zamilkł natychmiast.

W głowie mu huczało, bolała go szczęka. Nie spał od wielu nocy. Był wycieńczony, a tymczasem popołudnie miał spędzić na treningu Para Diksu. Coś mu mówiło, że będzie to brutalne szkolenie. Ogr, którego zwano Strażnikiem, już zacierał ręce i uśmiechał się nieprzyjemnie.

Rozdział 9

Z początku wydawało mu się, że z wyjaśnień Strażnika wynika, iż cały ten Para Dix jest dość podobny do gry, w którą grał z przyjaciółmi w dzieciństwie, zwanej Górą Torwała. Jedno z nich było wtedy Torwalem i wybierało sobie wojowników z Komnaty Bohaterów. Pozostałe dzieci grały po stronie Smoczycy Ilyrion i formowały dla niej ścianę tarcz, a potem próbowały zepchnąć Torwała z jego wzgórza.

Była to swego czasu ulubiona zabawa Skylana i zwykle kończyła się jednym wielkim zamieszaniem, w którym chłopcy i dziewczynki turlali się z piskiem po zboczu, brudni, zmęczeni, szczęśliwi i z poobdzieranymi kolanami.

W Para Diksie po jednej i po drugiej stronie stawało dziesięciu wojowników. Celem obu drużyn było zdobycie świętego ognia, który płonął pośrodku boiska. Potem należało jeszcze obronić ogień przed drużyną przeciwnika.

Gra cieszyła się w Sinarii niezwykłą popularnością. Rozgrywki Para Diksu odbywały się na nowej, ogromnej arenie – podarowanej ludowi przez Aelona. Bogaci obywatele, tacy jak Acronis, sponsorowali własne drużyny. Plebs zapełniał betonowe ławki otaczające boisko. Nobilowie obserwowali mecze z łóż wyposażonych w wygodne krzesła, kryli się pod parasolkami od słońca i chłodzili wachlarzami z piór.

Mecze Para Diksu rozgrywano od stuleci i tak jak Góra Torwała, gra ta symbolizowała odwieczną walkę bogów o świat. Swego czasu filozofowie wykładali jej złożoną symbolikę, lecz było to, zanim nastał czas kapłanów Aelona, którzy nie przepadali ani za filozofami, ani za ich wykładami, ani nawet za samą grą. Odtąd niepokonany Aelon panował nad wszystkimi. Nikt nie miał prawa podawać jego władzy w wątpliwość, a żadna gra nie powinna przedstawiać Aelona jako słabego.

Wiele lat temu jego kapłani usiłowali więc zabronić gry. Okazało się jednak, że choć lud Oranu nie przejmował się specjalnie utratą starych bogów, oburzyła go bardzo możliwość utraty ulubionego sportu. Tłum wyszedł na ulice, kapłani więc pospiesznie przywrócili grę; tym razem Para Dix miał się odbywać pod auspicjami Kościoła. Aelon stał się bogiem bohaterem, który dzielnie broni ognia stworzenia przed złymi intruzami.

Równie dobrze mógłby oszczędzić sobie tego wysiłku. Niewielu Sinarian wiedziało o religijnej symbolice, jeszcze mniej osób w ogóle o nią dbało. Dla wszystkich natomiast ważne

było jedno: czy wygra ich drużyna. Kościół wprowadził zakaz zakładów podczas gry; to nieprzyzwoite uprawiać hazard, gdy dotyczy to samego boga. Jedyny skutek, jaki przyniósł ten zakaz, był taki, że hazard został całkowicie przejęty przez uliczne gangi.

W swojej posiadłości Legat kazał zbudować replikę boiska do Para Diksu i to tam właśnie Strażnik zabrał Skylana. Wyjaśnił mu, że docelowo w grze będą brać udział wszyscy Torgunowie, ale Skylan ma grać w niej główną rolę, toteż wymaga dodatkowego szkolenia. Po kolei wykładał mu reguły gry, gdy szli, lecz Skylan puszczał je wszystkie mimo uszu.

Słyszał przecież, jak ogr powiedział, że w grze chodzi o walkę, uznał więc, że wie wystarczająco dużo. Reszta go nie obchodziła. Ogr coś tam gadał o przechodzeniu z jednego pola na drugie, o tym, że jakieś pionki mogą poruszać się tylko po jakichś polach, i o tym, że Legat będzie decydował o każdym ruchu. Skylan jednak wiedział jedno – dadzą mu miecz.

– Powiedziałeś, że trening polega na walce – powiedział, przerywając ogrowi w pół zdania.

– Tak – potwierdził Strażnik, patrząc na niego tak, jakby zgadywał jego myśli.

– Moi ludzie nie potrzebują żadnego treningu, a już na pewno nie u ciebie – oświadczył Skylan. – Umiemy walczyć. Ja sam stanąłem po raz pierwszy w ścianie tarcz, gdy skończyłem czternaście lat. Kiedyś zabiłem nawet pewnego bożypana. – Rzucił ogrowi znaczące spojrzenie i dodał: – W pojedynkę.

Strażnik wzruszył ramionami. Wyraźnie nie robiło to na nim żadnego wrażenia.

– Skoro ty i twoi ludzie jesteście tak doskonałymi wojownikami, to czemu macie na swych ramionach tatuaże niewolników?

– To przez tego zdrajcę! – syknął Skylan. – To była zasadzka! Moi ludzie nawet nie mieli przy sobie broni! Gdybyśmy tylko mogli walczyć z tymi draniami, nie ostałby się ani jeden! – Obejrzał się na żołnierzy, którzy szli za nim, i podniósł głos, żeby na pewno go usłyszeli. – Południowcy to dranie i tchórze. Po prostu boją się walczyć z prawdziwymi wojownikami w otwartej bitwie.

Żołnierze pogrążeni byli jednak w rozmowie i zupełnie nie zwrócili na niego uwagi.

– Niepotrzebnie strzepisz sobie język. Oni nawet cię nie słyszą – mruknął Strażnik – Dla nich jesteś jak pies szczekający ciemną nocą.

– Jak pies? – powtórzył ponuro Skylan. – Niech więc będzie, że jestem jak pies. Nadejdzie dzień, gdy ten pies rzuci im się do gardła.

– Kiedyś i ja czułem taką złość – przyznał Strażnik. – To minie. Jesteś zawodnikiem Para Diksu. Będziesz nieźle traktowany. Jak to się mówi, zagłaszczą cię na śmierć.

Skylanowi zabrzmiały w uszach słowa Zahakisa: „Z czasem może ci się tu nawet zacząć podobać”.

– Ale ja nie chcę, żeby ta złość minęła! Nie chcę stać się taki jak ty: gruby i zadowolony z siebie – odparował mu Skylan. – Ty już zasmakowałeś w niewoli. Legat dba o ciebie, karmi cię, ubiera...

– Nienawidzę tego! – wycedził Strażnik z taką mocą, że Skylan spojrział na niego zaskoczony. Wzrok ogra powędrował gdzieś daleko. Wskazał dłonią w tym kierunku. – Tam leży moja ojczyzna. Jestem niewolnikiem już od wielu lat. Moja kobieta z pewnością myśli, że umarłem. Może już znalazła sobie innego, by grzał jej łożę. Może obcy mężczyzna wychowuje moje dzieci. – Westchnął. – A jednak nie czuję już żaru w sercu. – Spojrzął na Skylana z żalem. – Kiedyś byłem jak ty. Przez lata w moim sercu płonął gorący ogień. Pewnego poranka obudziłem się i już go nie było. Było mi już wszystko jedno. Smutne. Nazywają mnie przecież Strażnikiem Ognia. Imię to otrzymałem podczas obrzędu poszukiwania wizji. Zawsze myślałem, że ma ono jakieś głębsze znaczenie. Widocznie jednak się myliłem.

Doszli w końcu do miejsca, które ogr nazywał boiskiem. Na skoszonej trawie wyrysowane były białe okręgi wewnątrz większych, także białych kół. Na samym środku znajdował się znicz, ale nie płonął. Po boisku rozrzucone bez składu i ładu leżały wielkie kamienie pomalowane na biało i z czarnymi runami. Na przeciwległych końcach zewnętrznego koła stały dwie drewniane platformy.

– Tu odbywają się mecze i tu będziemy trenować – wyjaśnił Strażnik.

Skylan obrzucił boisko zdruzgotanym spojrzeniem. Jego interesowało tylko jedno.

– Kiedy będziemy walczyć?

Strażnik zarechotał.

– Najpierw musisz poznać reguły gry. Jesteś pierwszym Vindrasem, jakiego kiedykolwiek przygotowywałem do Para Diksu. Walczyłem kiedyś z wami, ale tak naprawdę niewiele o was wiem. W mojej ojczyźnie mamy taką grę, w której najważniejsza jest drewniana plansza z wyrysowanymi kwadratowymi polami, oraz kamyki, które przesuwamy z pola na pole. Czy i Vindrasi grają w coś podobnego?

– Nie zajmujemy się takimi bzdurami – odburknął Skylan, któremu na samą myśl o ojczyźnie ścisnęło się serce. Ogień w jego sercu płonął i nie zamierzał pozwolić mu zgasnąć. Kątem oka zauważył, że do boiska zbliża się Acronis, który przyszedł obejrzeć trening. Skrzyżował więc ręce na piersi i powiedział głośno: – U nas gra się w grę zwaną „Pieprzyć ogra”.

Strażnik uniósł lekko brew, co sprawiło, że Skylan uznał go za najgłupszego ogra na całym świecie. Ten kretyn nawet się nie zorientował, że go ktoś obraził!

Ogr machnął ręką w stronę boiska.

– Wyobraź sobie, że to wielka plansza do gry, a ty i twoi ludzie to pionki. – Dźgnął Skylana w klatkę grubym palcem i krzyknął do Legata: – Jest już gotów, panie.

– Powiedz mu, żeby przeszedł do głazu numer dziesięć – polecił Acronis. – On nie umie czytać, więc będziesz go musiał nauczyć kilku cyfr.

– Głaz z wyrysowanym X to głaz numer dziesięć – wyjaśnił od razu Strażnik. – Legat właśnie przesunął cię na to pole na planszy. Idź i stań przy tamtym kamieniu, a potem czekaj na dalsze instrukcje.

– Powiedz Legatowi, że może sobie do woli szczać na głaz ze znakiem X – powiedział Skylan. – A jeśli jeszcze raz mnie tkniesz tym swoim brudnym paluchem, to ci go odłamię.

– Vindraski niewolnik mówi, że ma trudności ze zrozumieniem reguł gry, panie – wrzasnął Strażnik.

– To mu je wyjaśnij jakoś prościej – odkrzyknął Acronis z uśmiechem.

Ogr kopnął Skylana w brzuch, a gdy ten zwijał się z bólu, chwycił go jedną ręką, przerzucił sobie przez ramię i zaniósł do odpowiedniego głazu. Tam zrzucił go na ziemię.

– Tak właśnie gra się w Para Dix – wyjaśnił.

Rozdział 10

Podczas gdy Skylan zgłębiał tajniki Para Diksu, pozostali torguńscy wojownicy wraz z Aylaen zbierali kamienie z pola. Ziemia była tu pokryta głazami różnego rozmiaru i kształtu. Niektóre osadzone były bardzo głęboko. Żołnierze kazali Torgunom zbierać kamienie wielkości pięści człowieka i układać je w stosy na obrzeżu pola. Praca ta była ciężka i – z tego, co Aylaen mogła powiedzieć – zupełnie bezsensowna. Pracowała w gospodarstwie, odkąd tylko podrosła wystarczająco, by odróżnić chwast od kielka fasoli, więc teraz od razu wiedziała, że ten teren i tak jest zbyt skalisty, by kiedykolwiek udało się na nim cokolwiek wyhodować. Dopiero gdy kazano im przenieść kamienie do wozów, zorientowała się, że to właśnie one są plonem, który zbierali. Jeden z żołnierzy wyjaśnił im, że kamienie zostaną skruszone i użyte do produkcji betonu.

Aylaen była przyzwyczajona do ciężkiej pracy w polu. Lubiła siał i sadzić, patrzeć, jak wszystko rośnie, a potem zbierać owoce trudu. To nie przypominało jednak niczego takiego. Szybko znienawidziła tę pracę. Od ciągłego przystawania, pochylania się i noszenia rozboleły ją plecy. Palce miała poranione i zakrwawione od ciągłego wydłubywania kamieni z gleby.

Słońce prażyło, lecz powietrze było wilgotne od deszczu. Mężczyźni ściągnęli tuniki. Żołnierze zaczęli się z niej naśmiewać. Podpuszczali, żeby i ona zdjęła ubranie.

Pod czujnym okiem Zahakisa traktowali ją z szacunkiem, teraz jednak używali sobie bez ograniczeń. Popatrywali na nią pożądliwie i rzucali sprośne żarty. Puszczala je mimo uszu. Jej ojczym nie mógł ich jednak nie słyszeć i jak pozostali Torgunowie wrzał gniewem.

Przy którymś wyjątkowo niesmacznym żarcie Sigurd nie wytrzymał i cisnął kamieniem w stronę żołnierzy. Nie trafił. Żołnierze chwycili za rękojeści mieczy, lecz tak naprawdę nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Tatuaż na ramieniu Sigurda działał bez zarzutu. Gdy zwinął się z bólu, zarechotali z satysfakcją. Aylaen miała ochotę zapaść się pod ziemię wraz z tymi wszystkimi kamieniami.

Bała się, ale wzburzenie zaczynało pochłaniać jej strach. Była wściekła na żołnierzy za te okropne rzeczy, które mówili, i na ojczyma, że czuł się w obowiązku stawać w jej obronie.

Żołnierze nakazali wszystkim Torgunom usiąść plecami do wozu. Aylaen była zadowolona z tej przerwy, choć wiedziała, że za chwilę, gdy będzie musiała znów wstać, pożałuje tego bezruchu. Już czuła, jak sztywnieją jej mięśnie.

Pot spływał jej po skórze, kapał z mokrych rudych loków. Męska koszula, którą miała na sobie, przylepiła się jej do ciała. Była głodna jak wilk i tak spragniona, że gdy jeden z żołnierzy podał jej kubek z wodą, chwyciła naczynie łapczywie i odchyliła głowę do tyłu, by szybciej wypić.

Wtedy żołnierz złapał ją za piersi.

Ze wstydu i oburzenia Aylaen cisnęła mu naczyniem w twarz. Kubek rozbił się, a jego odłamki wbiły się w ciało natręta. Zaklął z bólu, chwycił się za twarz, a jego palce zaczerwieniły się od krwi.

– Ty dziwko! Powinnaś być mi wdzięczna za okazane względy! – Uderzył ją wierzchem dłoni.

Aylaen wpadła w furię. Była wściekła na tych mężczyzn – na wszystkich mężczyzn – za to, że sprawiali, iż czuje się słaba, bezbronna i przerażona.

Ogarnęło ją nagle Torguńskie Szaleństwo, ten święty ogień, który zsyła bóg, by wojownicy nie czuli strachu i bólu. Aylaen chwyciła kamień z wozu i cisnęła nim w stronę żołnierza, który ją uderzył. Chwyciła następny i cisnęła w Sigurda, który krzyknął z bólu i spojrzał na nią zdezorientowany. Zaślepiąca szaleństwem rzucała kamień za kamieniem, nie patrząc, czy mierzy we wroga czy w przyjaciela. Nie trzeba było zresztą specjalnie mierzyć – mężczyźni stali zwartą grupą i nie mogła nie trafić. Wystarczyło rzucać. Przeklinała więc ich i ciskała kamienie.

Ktoś chwycił ją od tyłu. Jakieś silne ramiona zacisnęły się na niej, unieruchomiły ręce. Nie widziała, kto ją trzyma. Nie miała pojęcia, czy to przyjaciel czy wróg. Widziała tylko, że ten ktoś powstrzymuje ją od krzywdzenia tych, którzy ją krzywdzili, więc kopnęła go w piszczel, próbowała ugryźć i za wszelką cenę się uwolnić. Mężczyzna trzymał ją mimo wszystko.

– Przestań! Przestań, Aylaen! Zabiją cię, jeśli się nie uspokoisz!

– I dobrze! – syknęła zjadliwie i wbiła piętę w jego stopę.

Trzymał ją uparcie.

– Jeszcze przyjdzie czas naszej zemsty, Aylaen – szepnął jej do ucha. – Ale nie dziś. Dziś musimy zrobić wszystko, żeby przeżyć.

Szaleństwo zniknęło. Krwawa mgiełka, która przesłaniała jej oczy, rozproszyła się. Mężczyźni wokół trzymali się za głowy, jęczeli, twarze mieli posiniaczone i zakrwawione. Aylaen z satysfakcją zauważyła, że żołnierz, który jej się narzucił, ścisnął poranioną głowę.

– Już nic mi nie jest – mruknęła. – Możesz mnie puścić.

Skylan rozluźnił uścisk i dopiero wtedy uzmysłowiła sobie, że to on ją trzyma. Nie miała pojęcia. Wszyscy na nią patrzyli. Poczowała, że do oczu napływają jej łzy. Z rozpaczą stwierdziła, że zaraz rozplacze się przy tych wszystkich mężczyznach, a przez to okaże jeszcze większą słabość.

Skylan stanął przed nią i zaczął opowiadać Torgunom o Para Diksie, o tym, jak mają walczyć w tej grze. Mężczyźni skupili uwagę na jego wynurzeniach, dzięki czemu miała chwilę, żeby odwrócić się i otrzeć łzy.

Zahakis nie musiał nawet pytać o przyczynę bójk. Domyślił się wszystkiego. Kazał żołnierzowi ze złamanym nosem iść założyć opatrunek, a Torgunom wrócić do pracy. Potem podszedł do Aylaen.

– Mam rozkaz zabrać cię do Świątyni – oświadczył.

– Wysłałeś Wulfe'a do Świątyni i nigdy tam nie dotarł – przypomniał mu z wyrzutem Skylan.

– Nie zaczynaj znowu – mruknął Zahakis – i tak nie wygrasz.

– A co z Para Diksem? – spytał Skylan. – Przecież Strażnik mówił, że Aylaen gra w naszej drużynie.

– Idzie do Świątyni tylko z wizytą – wyjaśnił Trybun. – Wróci na trening.

– To nawet lepiej, Skylanie – uspokoiła go Aylaen. – I tak chciałabym zobaczyć się z Treią.

– Spróbuj dowiedzieć się czegoś o dzieciaku – szepnęła jej Skylan.

Aylaen kiwnęła głową, ale przed oczami jej wirowało i ledwie go widziała.

– Rozgromiłaś dwie armie naraz – powiedział. – Sama jedna. Dobra robota.

Aylaen otarła nos wierzchem dłoni i dumnie wyprostowana odmaszerowała z Zahakisem.

Zahakis jechał do Świątyni na koniu, a Aylaen siedziała za nim. Nie zwracała uwagi na tłumy na ulicach, na ludzi, którzy się na nich gapili. Była tak wymęczona, że z trudem się trzymała. Zahakis zawiózł ją do Świątyni i posłał kogoś po Raegara.

Kapłan wojownik przyszedł natychmiast, a z nim Treia.

– Jutro przyślę po nią żołnierzy, by eskortowali ją na szkolenie – oświadczył Zahakis.

Raegar zmarszczył brwi, wyraźnie niezadowolony.

– Być może wcale nie będzie chciała opuszczać Świątyni. Aelon może powołać ją do służby kapłańskiej.

Zahakis spojrzał na Aylaen. Twarz miała zarumienioną i brudną, ubrania – podarte i poplamione, włosy opadały jej na twarz, a palce i ramiona krwawiły jeszcze od zadrapań. Pomyślał o kłopotach, jakie sprawiała i jakie z pewnością nadal będzie sprawiać.

– Życzę mu powodzenia – rzucił z przekąsem.

Treia i Raegar zabrali ją do Świątyni. Raegar pokazał jej wszystkie skarby tej budowli – wielki posąg Aelona, podarki znoszone przez wiernych. Aylaen ziewała, potykała się i mało nie usnęła na stojąco. Widząc jej stan, Treia zaproponowała, by zabrali ją do jej pokoju.

Aylaen poszła więc za nimi, zbyt zmęczona, by w ogóle zwracać uwagę na to, dokąd idą. Zauważyła jednak, że Treia zdążyła już przywdziać szaty odpowiednie dla kapłanek Aelona, gdyż inne kobiety miały na sobie takie same długie, białe suknie przepasane w talii.

Dotarli do klasztoru. Raegar uśmiechnął się do Aylaen, ujął jej dłoń i uściskał ją serdecznie, a potem zostawił je same. Aylaen miała świadomość, że ten gest nie uszedł uwagi siostry.

– Wyglądasz, jakbyś się biła – stwierdziła Treia, przyglądając jej się krytycznie. – Musisz się koniecznie wymyć.

Zaprowadziła ją do niewielkiej celi i kazała się położyć na łóżku. Aylaen opierała się trochę, lecz bez przekonania. Pozwoliła siostrze rozebrać się i umyć zimną wodą. Usnęła jeszcze podczas tych zabiegów i nie wiedziała w ogóle, co się z nią działo. Gdy się obudziła, była noc.

W świetle wpadającym przez małe okienko widziała siostrę zupełnie wyraźnie. Treia siedziała na krześle obok łóżka.

– Przespałaś się trochę. Jak się czujesz? – spytała z troską.

– Wszystko mnie boli – jęknęła Aylaen, wzdrygając się z bólu, który czuła w ramionach i na plecach. – I umieram z głodu.

Treia dała jej jedzenie – chleb, miód, suszone jabłka i oliwki.

– Siostrzyczko... – zaczęła Treia.

– Nie mów tak do mnie – warknęła Aylaen, mocząc chleb w miodzie.

– Jak? – spytała zaskoczona Treia.

– Siostrzyczko. Nazywasz mnie siostrą tylko wtedy, gdy czegoś ode mnie chcesz.

Treia zrobiła się czerwona na twarzy i wstała. Podeszła do okna i stanęła plecami do siostry. Aylaen ogarnął wstyd.

– Przepraszam, Treiu. Nie chciałam cię urazić. Już sama nie wiem, co wygaduję i wyczyniam. Taka jestem zmęczona. Nie mogę spać. Ale zarazem... zupełnie jakbym nie mogła się obudzić.

Treia odwróciła się w jej stronę. Przez chwilę patrzyła na nią w milczeniu, po czym podeszła i usiadła przy niej. Jej szeroko otwarte, wilgotne oczy lśniły.

– Chcę ci pomóc, Aylaen. Aelon chce ci pomóc. I dlatego właśnie muszę z tobą porozmawiać. Bóg chce spełnić twoje największe pragnienie.

Aylaen popatrzyła na nią, nie rozumiejąc.

– Aelon? To bóg naszych wrogów, Treiu. Dlaczego w ogóle się do niego modlisz?

– A dlaczego miałabym się nie modlić? Nasi bogowie zabrali mi dzieciństwo. Nasi bogowie uczynili mnie półślepa starą panną, z której wszyscy się śmieją. Nasi bogowie nie dają naszemu ludowi nic poza cierpieniem i ciężką pracą. Dlaczego miałabym ich czcić? – Przynęła się bliżej, położyła zimną rękę na dłoni Aylaen. – Dlaczego ty miałabyś ich czcić, Aylaen? Pozwolili, by zginął Garn...

Nić skręca się i wije na kole. Przecinam ją, a on umiera. Aylaen znów przypomniała sobie tę piosenkę.

– Aelon chce uśmierzyć twój ból, Aylaen. Ma dla ciebie wspaniały dar.

– Widziałaś tatuaże u naszych ludzi? Ten twój bóg zadaje ból, a nie go uśmierza.

Treia pokręciła głową.

– Nasz bóg nie chce ich skrzywdzić. Smutno mu, że musi ich karać tak, jak naszej matce było zawsze smutno, gdy musiała wyznaczyć nam jakąś karę.

– Sigurd nigdy nie był smutny, gdy musiał nas karać – przypomniała jej Aylaen. – Lubił nas bić. Może twój bóg jest bardziej podobny do Sigurda.

– Dość tego, Aylaen – straciła cierpliwość Treia. – Usiłuję ci pomóc. Aelon w niczym nie przypomina Sigurda. Bóg chce, żebyś wiedziała, że on cię kocha. I dlatego chce, byś otrzymała ten dar.

– Co to za „dar”? – spytała nieufnie Aylaen.

– Aelon może przywrócić Garna do życia.

Aylaen wbiła w nią przerażony wzrok.

– Nie wierzę ci. To jakiś okrutny żart.

– Nie, siostrzyczko – zapewniła ją Treia. – Mówię prawdę.

Aylaen wstała i owinęła się prześcieradłem, żeby zakryć nagie ciało.

– Nie będę tego słuchać. Chcę stąd wyjść. Gdzie są moje ubrania?

– Wyrzuciłam je. Były zakrwawione i cuchnęły. Czy nie chcesz, by Garn do ciebie wrócił?

– Kłamiesz – wyszeptwała Aylaen. – Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

– Raegar zapewnił mnie...

– Ach, Raegar! – Aylaen uśmiechnęła się z goryczą. – Więc to on za tym stoi. Mogłam się domyślić.

– Proszę cię, Aylaen, wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia! – Treia próbowała złapać siostrę, ale Aylaen odskoczyła od niej zwinnie. – Wiem, że nie lubisz Raegara, ale on darzy cię wielką sympatią – jej usta zacisnęły się, gdy to powiedziała – i nie chce patrzeć, jak cierpisz.

– Chcesz mi powiedzieć, że ten wasz bóg umie przywrócić Garna do życia? – powiedziała Aylaen. – Jak to możliwe?

– Aelon to potężny bóg, Aylaen. Znacznie potężniejszy niż bogowie Vindrasów i dlatego właśnie on ich pokona.

– Garn byłby ze mną? Żywy? Mógłby oddychać? Dotknąć mnie? Rozmawiać ze mną...?

– Dzięki błogosławionemu Aelonowi stanie się cud i Garn będzie znów z tobą.

Aylaen usiadła z powrotem na łóżku. Pomyślała o Garnie. O tym, że znów mogłaby go trzymać w ramionach, znów powiedzieć mu, jak bardzo go kocha. Oczy zaszyły jej łzami.

– Nie wierzę w to – wyszeptwała.

– Raegar ci to udowodni, Aylaen – oświadczyła Treia. – Dziś śpij tu u mnie. Jutro masz cały dzień, żeby to sobie przemyśleć. Jeśli się odważysz, Raegar zabierze cię do Kapłanek

Ducha jutro wieczorem. Teraz śpij. Brak snu nie służy urodzie. A przecież już jutro zobaczy cię Garn.

Aylaen położyła się na łóżku, ale nie mogła zasnąć. Była zbyt oszołomiona, zagubiona, miała mętlik w głowie. Tak bardzo chciała uwierzyć w to, że znów będzie z Garnem. Ale nie można przecież przywrócić do życia zmarłego. To nie tylko niemożliwe, ale i niesłuszne. Garn jest już na pewno w Komnacie Torwała wraz z innymi bohaterami. Byłby na nią zły, gdyby go stamtąd wyciągnęła.

Ale za nic mam jego złość, pomyślała Aylaen. Wszystko mam za nic, jeśli tylko mogę znów być przy nim!

– Treiu, czego Aelon chce w zamian? – spytała Aylaen. – Przecież na pewno czegoś ode mnie chce.

– Aelon chce tylko, byś go kochała, siostrzyczko. Tak jak i on kocha ciebie.

– I nic poza tym?

– No... – przyznała Treia, a w półmroku Aylaen nie zobaczyła jej uśmiešku – no może chce, byś wyświadczyła mu jakąś małą przysługę...

Rozdział 11

Następnego ranka niebo było czyste, a słońce świeciło jasno i mocno. Dzień zapowiadał się upalny. Raegar rozkoszował się ciepłem słonecznych promieni, gdy szedł do Sanktuarium na spotkanie z Treią. Tłumy zbierały się już na modlitwę. Gdy po raz pierwszy przybył do Oranu jako niewolnik, nienawidził tego skwaru. Myślał, że umrze od żaru, w upalne noce bezsennie leżał obłany potem; za dnia zdawało mu się, że bezlitosne słońce uderza w niego jak młot, aż kręciło mu się w głowie.

Z czasem przyzwyczyił się do spiekoty, a teraz ją po prostu uwielbiał. Gdy przypominał sobie te straszne, mordercze zimy w ojczyźnie; palce, które czerniały od odmrożeń, aż trzeba je było odcinać; ciągnące się bez końca miesiące śniegu i wiatru, które trzeba było przetrwać o głodzie i chłodzie, wzdrygał się na samą myśl o tamtym życiu i zachodził w głowę, jak mógł kiedykolwiek za nim tęsknić.

Aelon był teraz jego życiem. Jego życiem była Sinaria i jej mieszkańcy. Pragnął z całego serca, by go zaakceptowali, by go szanowali. Miał kość ducha smoka. Treia nauczy go odpowiedniego rytuału, albo może nauczy go smoczyca Fala.

Jeszcze nie próbował jej wezwać, ale nie miał wątpliwości, że przyjdzie. Gdy rabowali świątynię, ta kość po prostu sama wskoczyła mu w dłoń. Choć jeszcze w ogóle nie widział smoczyca ani nawet z nią nie rozmawiał, miał wrażenie, że zna ją od lat. Gdy tylko dotykał smoczej kości, przed oczami stawał mu jej obraz. Fala była młodym smokiem – ambitnym i niecierpliwym. Tak młodym smokom trudno przetrwać i wydać dzieci na świat, bo to starsze smoki, takie jak Kahg, mają pierwszeństwo w wyborze klejnotów, które czasami wcale nie są klejnotami, lecz nienarodzonymi smokami.

Smoczyca Fala nie czciła Aelona. Po prostu chciała zdobyć trochę klejnotów i w zamian za nie zgodziła się żeglować z Raegarem po morzach w ich poszukiwaniu. W tajemnicy przed wszystkimi wojenna galera została więc przebudowana odpowiednio, by mogła odtąd służyć smokowi.

Teraz jedyne, co mu pozostało, to przekonać Treię, by poznała tajemnicę kontrolowania vektyjskiego smoka. A wtedy będzie wybawcą tego ludu. Przejedzie przez ulice na rydwaniu. Tłumy będą wiwatować i obrzucać go kwiatami. Sama Cesarzowa nałoży mu na skroń wieniec laurowy. Może nawet mianuje go Kapłanem Generałem.

Zastał Treię na ławce w cieniu oleandra. Siedziała, jak zwykle, z sztywno wyprostowanymi plecami, dłonie złożyła równo na kolanach. Patrząc na nią, nie był w stanie powiedzieć, czy udało jej się przekonać Aylaen, czy też poniosła całkowitą klęskę. Z Treią w ogóle nigdy się nie wiedziało, co ona myśli czy czuje.

Gdy pierwszy raz ją zobaczył, uznał ją za kobietę oziębłą, z tych, które urodziły się, by zostać starymi pannami. Nawet gdy już było jasne, że się w nim zakochała, sztywniała natychmiast, gdy tylko jej dotknął czy próbował się z nią kochać. Dlatego też brał sobie do łóżka inne przez te długie miesiące, więc nie odczuwał tak bardzo braku damskiego towarzystwa. A jednak ze zdziwieniem stwierdził, że pragnął właśnie jej. Pragnął przebić się przez tę ścianę lodu; chciał, by Treia wreszcie należała do niego.

Wciąż pamiętał, jak na Smoczycach Wyspach znalazła go w Świątyni Vindrash. Była wtedy pewna, że zginął, i oszalała z radości, gdy odkryła, że żyje. Była tak szczęśliwa, że oddała mu się nie raz, lecz kilka razy. I odtąd ich zbliżenia zawsze były właśnie takie – pełne napiętności i ognia. Poczuli, że krew płynie mu szybciej w żyłach na samo wspomnienie. Patrzył, jak siedzi na ławce, zimna i obojętna wobec świata, i wyobraził ją sobie w swoich ramionach – jęczącą i wbijającą mu paznokcie w ciało.

Ciekawe, czy Aylaen jest pod tym względem podobna do siostry. Z tymi rudymi lokami i ognistym temperamentem pewnie była w łóżku dzika jak pantera.

Rozejrzył się wokół.

– Gdzie Aylaen? – spytał.

– Przyjechał po nią Zahakis. Ma trenować tę głupią grę. Nie martw się – dodała na widok jego niepokoju. – Powiedziałam mu, że Aylaen musi wrócić do Świątyni jeszcze dziś wieczorem. Zgodziła się pójść do Kapłanek Ducha.

– Doskonale. – Raegarowi natychmiast poprawił się humor. – Prawdę powiedziawszy, cieszę się, że jej tu nie ma. – Chwyił ją za ramię i przyciągnął do siebie. – Chodź ze mną.

– Dokąd? Przeoczmy poranne modlitwy.

– Nic nie przeoczmy. Zdamy na modlitwę. To nie potrwa długo.

Zaprowadził ją do małej kapliczki znajdującej się na terenie enklawy. Była to mała i nędzna budowla, którą zbudowano jako jedną z pierwszych kaplic dla Aelona, gdy pojawił się na tym świecie jako nowy bóg. Z czasem Kapłan Generał poświęcił ją jakiemuś pomniejszemu bóstwu z panteonu Nowego Świtu.

Kapłani i kapłanki odwiedzali ją dość często, lecz nie po to, by oddawać się modlitwie. Osłonięta gęstym sosnowym zagajnikiem była jednym z niewielu miejsc w murach enklawy, gdzie schronienie mogli znaleźć kochankowie. Większość par przychodziła tu nocą. Raegar jednak nie mógł czekać do nocy.

Kaplica była tak mała, że wyglądem przypominała mauzoleum. Raegar pchnął ciężkie drzwi, wciągnął Treię do środka i zatrzasnął je za sobą. Zapadła ciemność. Od razu zgadła,

czego chce, i jęknęła dziko, zarzucając mu ramiona na szyję. Uniósł jej suknię i przycisnął ją do ściany. Stęknął kilka razy, ona jęknęła z rozkoszy i już było po wszystkim.

Rozległ się dzwon wzywający wiernych na modlitwę.

Treia poprawiła suknię i przeczesła palcami zmierzwione włosy. Raegar rozprostował swoje szaty i uspokoił oddech. Gdy już oboje wyglądali przyzwoicie, wyszli z kaplicy i poszli od razu w stronę Świątyni.

– Wiesz, Treiu, że cię kocham – szepnął Raegar.

– Wiem – odpowiedziała mu cicho. – I ja cię kocham. Uwielbiam cię.

– Chcę, żebyśmy byli już na zawsze razem. Chcę, żebyśmy się pobrali.

– Rozmawiałam z Aylaen – powiedziała Treia. – Zrobi, o co ją prosimy. A raczej zrobi, o co poprosi ją Garn.

Raegar pokiwał głową.

– Rozumiem.

– Ona wyobraża sobie, że zobaczy go żywego, mówiącego i oddychającego.

– Kapłanki Ducha spotykają się na co dzień z takimi oczekiwaniami. Wiedzą, jak sobie z tym radzić. Z początku będzie rozczarowana, ale rozmowa z nim zaostri jej apetyt. Dadzą jej nadzieję na więcej.

Byli już blisko Świątyni, weszli w tłum wiernych spieszących na modlitwę. Treia zniżyła głos.

– W jaki sposób Kapłanki Ducha sobie z tym poradzą? Przecież ona musi być pewna, że rozmawia z mężczyzną, którego kochała, którego znała od dziecka.

– Nie zapominaj, jak potężny jest Aelon – uspokoił ją Raegar z przekonaniem. – Jego święta magia sprawia cuda. Sama się przekonasz.

– A te Kapłanki Ducha aby wiedzą, co „Garn” ma jej kazać zrobić? Co musi powiedzieć? O co poprosić?

– Ja i Kapłan Generał rozmawialiśmy o tym z Kapłanką Ducha, która przeprowadzi rytuał. Ta czcigodna niewiasta ma wiele doświadczenia. Rozumie takie sprawy.

Dotarli do Świątyni. Drzwi były jeszcze zamknięte. Ludzie zbierali się w grupkach, śmiali i rozmawiali. Mieli jeszcze trochę czasu.

– Opowiedz mi o tych Kapłankach Ducha. Czym się właściwie zajmują? Mówiłeś, że komunikują się bezpośrednio z Aelonem. W jaki sposób? Czy rozmawiają z bogiem tak jak Draya z Vindrash?

– Kapłanki Ducha Aelona żyją i pracują z dala od kapłanów wojowników i misjonarzy – zaczął – gdyż potrzebują ciszy, by usłyszeć głos boga. Kapłanek Ducha jest stosunkowo mało. Bardzo niewiele osób spełnia wymagania na to stanowisko, a jeszcze mniej zgadza się na resztę życia związać z Aelonem. Kapłanki Ducha muszą obnażyć przed bogiem serca i dusze. Muszą być bezwarunkowo posłuszne jego woli. Nie mogą wychodzić za mąż ani brać sobie kochanków – opowiadał Raegar. – Ich życie skupione jest w pełni na bogu i jego dziele.

Kapłanki komunikują się bezpośrednio z bogiem, lecz Aelon nie przemawia do nich tak, jak Vindrash przemawiała do Draï. Porozumiewa się z nimi poprzez kamienie znajdujące się w ich policzkach albo też – w wypadku kapłanek wyższych rangą – na ich czołach.

Treia nie mogła w to uwierzyć.

– Umieszczenie kamieni w ciele, zwane „darem oświecenia” – tłumaczył jej Raegar – to najświętsza ceremonia, która odbywa się w tajemnicy i w której uczestniczą tylko Kapłanki Ducha. Nawet Kapłan General nie wie, co się dzieje podczas tych świętych obrzędów.

– Czy ten proszek, który kapłanki wysypały Skylanowi w tatuaż, też pozwala niewolnikom komunikować się z bogiem? – spytała Treia.

– Nie! Nie! – oburzył się Raegar. – Tamten proszek to sposób na to, by bóg mógł okazywać swą wolę niewolnikom, okazać im swoje niezadowolenie. To tak jakby matka uderzyła po rękach niegrzeczne dziecko.

– Rozumiem. Czemu więc nie zrobiliście tego samego z Aylaen? – chciała wiedzieć Treia. – Czemu i jej nie wytatuowaliście? Wtedy Aelon po prostu zmusiłby ją do wydania nam tej całej tajemnicy smoka.

– Wciąż mam nadzieję, że Aylaen zwróci się do Aelona z własnej woli – powiedział Raegar.

– Raczej że Aylaen zwróci się do ciebie i wejdzie ci do łóżka – mruknęła Treia.

– Źle mnie oceniasz, Treiu – zaprotestował Raegar, przysuwając się bliżej. – Aylaen jest przecież twoją siostrą i kocham ją z twojego powodu. Nic poza tym.

Nie była to cała prawda, lecz wiedział, że ułożenie tych wszystkich spraw wymaga czasu. Gdy już będą z Treią małżeństwem, będzie mógł robić, co mu się podoba. Aelon wie przecież, że mężczyźni mają swoje potrzeby, dla których zaspokojenia nie wystarcza jedna kobieta. Wielu mężczyzn trzymało w domach niewolnice właśnie w tym celu. Ale nawet nie próbował tego teraz Trei tłumaczyć. Nie zrozumiałaby.

Odwrócił się do niej plecami i odszedł, chcąc, by Treia odczuła jego niezadowolenie. Już po chwili usłyszał, że za nim biegnie. Uśmiechnął się z satysfakcją.

– Przepraszam, kochany – szepnęła potulnie. – Wybacz mi, proszę.

Wybaczył jej, pocałował i pod samo Sanktuarium Aelona poszli już razem.

Drzwi Sanktuarium otworzyły się na oścież. Raegar przyciągnął Treię do siebie i cicho powiedział:

– Dziś o zachodzie słońca zaprowadź Aylaen do Kapłanek Ducha. Pamiętaj, kochana, jeśli uda nam się wezwać smoka, by pokonał ogry, staniemy się wybawicielami Sinarii. Świat będzie u naszych stóp!

Po mszy Raegara wezwał do siebie Kapłan General. Kapłan Wojownik musiał poczekać chwilę, aż Xydis zakończy poprzednie spotkanie. Potem natychmiast kazano mu wejść do gabinetu.

Xydis wskazał mu krzesło. Ledwie Raegar zdążył usiąść, Kapłan Generał od razu przeszedł do rzeczy:

– Musimy coś zrobić z tym Acronisem. Cesarzowa poinformowała go o ograch, o zagrożeniu z ich strony, o tym, że planują atak na Sinarię. Wysłałem do niego prośbę o przekazanie mi trirem i prywatnej armii, tak jak tego wymaga prawo Aelona w chwilach tak wielkiego niebezpieczeństwa.

– A on odmówił – dokończył za niego Raegar.

– Nie tylko odmówił, ale miał jeszcze czelność oświadczyć mi, że jego ludzie odmawiają pełnienia służby pod moim dowództwem! Powiedziałem mu, że jego ludźmi dowodziłbyś ty, nie ja, a on mi na to, że oni mają dla ciebie jeszcze mniej szacunku niż dla mnie!

Raegar spurpurowiał ze złości.

– Powiedz Cesarzowej, że Acronis narusza prawo. Niech go aresztuje.

– Tego nie mogę zrobić – powiedział Xydis. – W tej bitwie będzie mi potrzebna jego armia. Jego żołnierze są lepiej wyszkoleni i wyposażeni niż nasi. Gdybym był tak bogaty jak on, tacy ludzie też by dla mnie walczyli. – Niecierpliwie machnął ręką. – Acronis wypływa co rusz na tak niebezpieczne wyprawy, a jednak zawsze wraca cały i zdrowy. Czasem się zastanawiam, co Aelon sobie o tym myśli.

– Nie rozumiem, co zyskalibyśmy na tym, gdyby nawet zginął – przyznał Raegar. – Jego majątek odziedziczyłaby jego córka, a z tego, co słyszałem, jest równie zatwardziała jak ojciec.

Xydis popatrzył na niego z rozbawieniem.

– W przeciwieństwie do was, barbarzyńców, tu, w Oranie, nie pozwalamy, by kobiety cokolwiek dziedziczyły. A ponieważ Acronis nie ma męskiego potomka, jego majątek przeszedłby na rzecz Cesarzowej, a ona przekazałaby go Kościołowi.

Raegar zatrząsł się aż od tej obelgi, lecz nic na nią nie powiedział, jak na tyle innych, które musiał nauczyć się znosić z pokorą. Przemyślał słowa Xydisa i nagle dotarło do niego, że Kapłan Generał coś mu chyba sugeruje.

– Acronis nie musi wypływać na morze, by znaleźć się w niebezpieczeństwie – zauważył ostrożnie Raegar. – Może przecież paść ofiarą rabunku lub wejść w konflikt z jednym z miejskich gangów.

– Robimy wszystko, by oczyścić miasto z takich podejrzanych elementów – odparł niejasno Xydis. Po chwili dodał: – Tak, gdyby Legat padł ofiarą jednego z tych strasznych gangów, ponieśliśmyby wielką stratę. Powinniśmy się modlić do Aelona o bezpieczeństwo Acronisa. – Urwał, po czym uściślił: – Szczególnie dziś w nocy, gdy Legat, ten twój kuzyn, Skylan, oraz ogr zwany Strażnikiem zostali zaproszeni do Pałacu, by świętować otwarcie sezonu Para Diksu. Legat będzie wracał do domu już po zmierzchu...

– Módlmy się zatem – zgodził się z uśmiechem Raegar.

Rozdział 12

Pierwsze szkolenie Para Diksu odbyło się tego samego poranka, gdy Raegar spotkał się z Xydisem. Torgunów na boisko zaprowadzili żołnierze Trybuna, którzy kazali im siąść na ziemi i się nie odzywać. Chwilę potem zjawiała się Aylaen pod eskortą Zahakisa. Nie była w stanie myśleć o niczym innym poza Garnem i przyrzeczeniem, że Aelon może go przywrócić do życia. Garn osiągnął to, o czym marzył każdy wojownik – zmarł śmiercią bohatera. Jest już z pewnością w Komnacie Torvala. Jeśli ona go z niej wyciągnie... Nieszczęśliwa i zagubiona, rozdarta między tym, czego tak bardzo pragnęła, a tym, co powinna uczynić, usiadła z dala od ludzi i spuściła głowę.

Kątem oka obserwując strażę rozmawiającą z Zahakisem, Skylan przemknął się chyłkiem bliżej Aylaen.

– Udało ci się dowiedzieć czegoś na temat Wulfe'a? – spytał.

Aylaen drgnęła, a potem spojrzała na niego, jakby go pierwszy raz w życiu widziała.

Skylan przyjrzał jej się z niepokojem.

– Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście – skłamała.

– Jesteś pewna? Nie wyglądasz najlepiej.

– Nic mi nie jest! – wycodziła, wpatrując się w niego groźnie.

– Dowiedziałaś się coś na temat Wulfe'a?

Aylaen spłoniła się z poczucia winy.

– Ja... nie... naprawdę nie miałam kiedy. Przepraszam. – Zgarbiła się, skuliła i odwróciła do niego plecami.

Pojawił się ogr. Człapał ciężko przez boisko. Poprzedniego dnia Skylan musiał powiedzieć swoim ludziom, że ogrzy bożypan będzie ich uczył, jak mają walczyć. Przekazał im, czego już się nauczył o Para Diksie, choć nie było tego, prawdę powiedziawszy, tak wiele, gdyż nie zwracał za bardzo uwagi na wykłady ogra. Z początku Sigurd i pozostali w ogóle mu nie uwierzyli, potem, gdy przysiągł na brodę Torvala, że mówi prawdę, wpadli we wściekłość – na niego.

– Mamy walczyć do krwi, gdy ci południowi kozojebcy będą się z nas śmiać! – ryczał Sigurd.

– Zawsze możesz wrócić do zbierania kamieni – odparował Skylan. – Słyszę, że nieźle ci to szło. Ja jednak wolę trzymać znów miecz w dłoni.

Sigurd posłał mu mordercze spojrzenie, świadom, że właśnie postawił się w złej pozycji. Mając do wyboru pracę fizyczną i szansę na walkę – bez względu na to, że była to tylko walka na pokaz – pozostali Torgunowie na pewno wezmą stronę Skylana. Nawet zawsze tak lojalny wobec Sigurda Grimuir miał dość niepewną minę.

– Będę więc walczył w Para Diksie – zgodził się łaskawie Sigurd. – Ktoś musi poprowadzić ludzi do walki.

Kiedyś – nie tak dawno temu – Skylan rzuciłby mu się do gardła. Lecz podczas tamtej deszczowej nocy na *Venjekarze*, gdy niemal zupełnie poddał się z rozpaczy, zrozumiał, że siła Torgunów tkwi w tym, że trzymają się razem. Żeby wygrać tę bitwę, będą musieli stać ramię w ramię jak w ścianie tarcz.

Strażnik kazał im wstać, a tatuaże Aelona zmusiły ich do wykonania rozkazu. Wstali, ponuro wpatrując się w zniechęconego ogra. Strażnik odpowiedział im spojrzeniem, którym obejrzał ich sobie od stóp do głów.

Wreszcie podszedł do Sigurda.

– Ty śmiesz się zwać wojownikiem, Siwobrody? Nic dziwnego, że skończyłeś w niewoli.

Zacisnęła wielką pięść i uderzył Sigurda w twarz. Torgun upadł. Twarz miał zalaną krwią. Grimuir wskoczył na plecy napastnika, rękoma łapiąc go za szyję. Ogr wyciągnął rękę do tyłu, chwycił go i przerzucił sobie wysoko nad głowę. Grimuir wylądował z hukiem na ziemi i przez chwilę leżał ogłupiały i tępo wpatrywał się w niebo nad sobą. Zahakis rozsiadł się wraz ze swoimi ludźmi tuż obok boiska. Przyglądali się tym przepychankom z uśmiechami na twarzach.

– Wy dwaj, wstawać! – ryknął Strażnik.

Grimuir z trudem się podniósł. Sigurd zaklął pod nosem i wypluł krew na buty ogra. Strażnik podszedł do niego i zamachnąwszy się oplutym buciorem, kopnął go w głowę i znokautował.

Potem obejrzał się na pozostałych.

– Ktoś jeszcze chce mnie wypróbować? A może po prostu macie ochotę kogoś uderzyć? No, dalej. – Skinął w ich stronę. – Nie żałujcie sobie. Spróbujcie tylko. Nie? No, to zaczynamy ćwiczenia. Nie mamy za dużo czasu. Wasz pierwszy mecz już pojutrze.

Spojrzał na Aylaen, która stała z rękoma skrzyżowanymi na piersi i opuszczoną głową. Uparcie wpatrywała się w swoje buty.

Ogr posłał Zahakisowi złe spojrzenie.

– Nigdy w życiu nie trenowałem kobiety. Czy Legat naprawdę nalega, żeby ona brała udział w grze?

Zahakis pokiwał głową.

– Uważa, że będzie dodatkową atrakcją, że tłum zupełnie dla niej zwariuje.

Strażnik się skrzywił i westchnąwszy, zwrócił się bezpośrednio do Aylaen.

– Czy kiedykolwiek brałaś udział w bitwie, kobieto?

Aylaen jednak zupełnie go nie słyszała. Wyraźnie myślami była bardzo daleko.

– Ty tam, kobieto! – krzyknął Strażnik.

– Była w bitwie – odpowiedział za nią Skylan. – Dobrze walczy.

Strażnik nadal nie mógł przejść nad tym do porządku dziennego.

– Czy taki macie zwyczaj? Wszystkie wasze kobiety walczą?

– Aylaen została wybrana przez boginię Vindrash, by dla niej walczyć. Smokini pobłogosławiła także miecz, którego Aylaen używała w bitwie.

Ogr spojrział na dziewczynę z szacunkiem.

– Czy wiesz, kobieto, że Para Dix odbywa się na chwałę Aelona? Czy walka dla boga Południowców nie obrazi twojej bogini?

– Oczywiście, że obrazi – odparła Aylaen z zimną krwią. – Rozgniewana Vindrash uczyni moje ramię tym silniejszym.

Torgunowie popatrzyli po sobie i pokiwali głowami.

– Trybunie Zahakisie – rzekł Strażnik. – Dopilnuj, by ta kobieta otrzymała swój prawdziwy miecz. I oddaj tym mężczyznom ich miecze.

Torgunowie własnym uszom nie mogli uwierzyć. Wytrzeszczyli oczy. Rozdziawili gęby. Popatrzyli po sobie. W końcu spojrzeli na Skylana, by się upewnić, czy dobrze zrozumieli. On jednak zachował zupełny spokój, nie dając po sobie nic poznać.

Sigurd, który wciąż jeszcze leżał nieprzytomny na ziemi, zaczął pojękiwać i łapać się za obolałą głowę. Grimuir podszedł, by pomóc przyjacielowi. Coś mu szepnął.

– Co? – wymamrotał Sigurd. – Naszą broń? Ci durnie chcą nam oddać broń?

Skylan miał ochotę znów kopnąć go w głowę. Sigurd odtrącił pomocną dłoń Grimuira i wstał z wysiłkiem, by dołączyć do swoich ludzi.

– Nie róbcie sobie nadziei. – Strażnik posłał im złośliwy uśmiezek. – Będziecie uzbrojeni, ale jedynie podczas meczu. A waszej broni będziecie używać pod czujnym okiem Aelona. Możecie dla próby zaatakować mnie teraz, a od razu poczujecie boską karę.

Skylan spojrział na obandażowane ramię. Gdy tatuaż go nie palił, swędział niemiłosiernie. Mógł na własnym przykładzie potwierdzić, jak działa gniew Aelona, i musiał przyznać, że bóg wiedział aż za dobrze, jak przypominać o swoim istnieniu. Mimo to jednak serce biło mu szybciej. Wreszcie znów będzie uzbrojony. Jego ludzie będą mieli broń. Pewnego dnia znajdą przecież jakiś sposób, by – z Torwalowym błogosławieństwem – wykorzystać swe miecze i uciec z tego miejsca.

Strażnik przeszedł do wyjaśniania zasad gry. Wskazał im środek boiska, który składał się z koła obudowanego kwadratami, większymi na zewnątrz i coraz mniejszymi i liczniejszymi bliżej środka. Na zewnętrznej granicy koła w równych odległościach leżało sześć olbrzymich głazów.

– Kapłani zapalają ogień na środku boiska. Cel gry jest prosty. Musicie przejąć ten ogień. Mówię: cel gry jest prosty – powtórzył Strażnik. – Bo sama gra taka bynajmniej nie jest.

Torgunowie pokręcili głowami. Co może być trudnego w odpaleniu jakiegoś płomienia?

– Ja jestem waszym wodzem... – ciągnął Strażnik.

– Gówno prawda – wciął mu się Sigurd, choć słowa stłumiła trochę krew płynąca mu z nosa.

– ...czy wam się to podoba czy nie. – Strażnik nie przejął się nim. – Ja jestem waszym wodzem, ponieważ gram w tę grę od lat. Od wielu lat – powtórzył, a jego głos zdradzał pewne napięcie. Spojrzał szybko na Skylana, jakby przypomniawszy mu się ich wczorajsza rozmowa.

Zamilkł i spochmurniał. Szybko jednak otrząsnął się jak mokry pies i przeszedł żwawo do omawiania reguł gry.

Nie może zapomnieć o tym, co mu powiedziałem, dotarło do Skylana i uśmiechnął się do siebie pod nosem. Ten ogr już nie zjada swego obiadu z takim smakiem jak kiedyś. Każdy kęs przypomina mu o tym, że je odpadki z pańskiego stołu.

Ktoś dźgnął Skylana łokciem w żebra.

– Słuchasz tych bzdur? – syknął Bjorn.

– Wszystko to słyszałem już wczoraj – szepnął mu Skylan.

Coś tam o tym, że dany gracz może się poruszyć tyle a tyle pól za każdym razem. Każdy z graczy mógł się zresztą poruszyć, tylko jeśli mu kazano, a nawet walczyć miał tylko wtedy, gdy mu wydano takie polecenie.

– Wszystko to bzdury. Masz rację – powiedział głośno Skylan.

Strażnik przerwał wyjaśnienia.

– Chodzi tylko o to, że mamy przejąć ten ogień, tak? – rzucił Skylan i machnął w stronę swoich ludzi. – Daj nam tarcze i miecze, a my przejmujemy ten cały ogień, gdy nasi przeciwnicy będą sobie tańcować po tych cholernych polach.

Torgunowie ryknęli i pokiwali głowami.

Zahakis wstał i podszedł do Strażnika.

– Tak grano dawniej – powiedział. – Ludzie zabijali się nawzajem, krew zalewała boisko. Widowni szybko się jednak znudziło oglądanie takich zorganizowanych burd. Teraz gramy według zasad, które usiłuje wam wyjaśnić Strażnik.

– Mam wrażenie, że ten młodzieniec rzadko grywa zgodnie z zasadami gry – stwierdził Strażnik, patrząc Skylanowi prosto w oczy.

– Ty jesteś posłuszny ich zasadom – powiedział Skylan. – I dzięki temu żyjesz i tyjesz w ojczyźnie wroga.

Tłuste policzki Strażnika zadrżały ze złości, jego małe oczy zmrużyły się. Zaciśnął pięści i zrobił krok w stronę Skylana, który przygotował się na cios. Powoli, z widocznym wysiłkiem ogr opanował się jednak.

– Jak się przekonacie, to poniżająca gra – wycedził Strażnik, nie spuszczać oczu ze Skylana, choć mówił do nich wszystkich. – Będzie wam ją trudno znieść. Widownia będzie z was drwiła, obrzucała wyzwiskami. Będą pękać ze śmiechu, gdy będziecie się wic z bólu na ziemi, będą klaskać, gdy wróg wbije wam włócznię w brzuch. Będą szaleć z radości, gdy wy będziecie umierać. I w imię czego to wszystko? By grać w jakąś, jak wy to mówicie, głupią grę. Ale mylicie się. My, gracze Para Diksu, nie gramy dla cuchnącego tłumu. Nie gramy dla Cesarzowej, dla naszych panów ani nawet dla ich bogów.

Strażnik wypiął dumnie pierś i objął ich wszystkich wzrokiem, jakby łącząc ich w jedno.

– Gramy w imię honoru. Nie chodzi o to, by wygrać, bo czasem nie uda się wygrać. Gramy w imię swego honoru i w imię honoru swych ludzi. I dlatego musimy grać zgodnie z regułami gry, nawet jeśli się nam one nie podobają. – Znów spojrzał na Skylana, a w jego małych oczach pojawił się błysk. – Może i jesteście niewolnikami. Może i zabrali nam naszą wolność. Może i zabrali nam nasze życie. Ale honoru w naszych sercach nikt nie może nam odebrać.

Jego słowa paliły Skylanowi mózg jak tatuaż na ramieniu. Mówił zwykły ogr, lecz jemu zdawało się, że to przemawiają sami bogowie.

Resztę popołudnia Torgunowie spędzili na skakaniu z pola na pole: jedno w przód, trzy do tyłu, jedno przeskoczyć. Urządzili też kilka próbnych potyczek, ćwicząc drewnianymi mieczami. Gdy tylko któryś się pomylił i wykonał jakiś niedozwolony ruch (na przykład Aki poszedł raz do przodu jedno pole zamiast dwóch), Strażnik upewniał się, że dana osoba zapamięta swój błąd (podchodził i kopał nieszczęśnika w tyłek). A gdy komuś przyszło do głowy mu oddać (tak jak Akiemu, który zamachnął się na ogra), Strażnik znów podchodził i kopał tak długo, aż wreszcie wszyscy wszystko rozumieli.

Tylko jedno z nich nigdy nie było karane za błędy: Aylaen. Jeśli przesunęła się na złe pole lub stała, bezmyślnie gapiąc się przed siebie, i w ogóle się nie poruszała, Strażnik ryczał „Kobieto!” tak długo, aż w końcu go usłyszała.

Skylan myślał z początku, że Strażnik traktuje ją tak z szacunku do kobiet, ale wkrótce zrozumiał, że się myli.

– Ty, tam, kobieto! Walczysz ku chwale swej bogini – wrzasnął na nią ogr – ale w ogóle się nie starasz. Kompromitujesz przecież swoją boginię!

– Ta gra jest głupia – naburmuszyła się Aylaen.

– Może i jest głupia, ale jeśli popełnisz w niej błąd, nie tylko ty na tym ucierpisz. W takim wypadku zawiedziesz wszystkich, swoich współzawodników, swoich wojowników.

Aylaen wzruszyła ramionami. Było jej wszystko jedno.

– Kobieto, gdy stoisz w ścianie tarcz, czy chronisz tylko siebie? – spytał Strażnik – Nie. Zakładasz tarczę na tarczę tak, że chroni nie tylko ciebie, ale i wojownika obok. Jeśli będziesz myślała tylko o sobie, sprowadzisz na kogoś cierpienie.

Aylaen pobladła. Spojrzała na niego z takim przerażeniem i rozpaczą, że Bjorn tego nie wytrzymał.

– Przystań się jej czepiać. Przecież się stara. Jak my wszyscy.

– Niech wam bogowie dopomogą – warknął tylko Strażnik.

Jednak po tych jego słowach Aylaen zaczęła znacznie bardziej koncentrować się na grze.

W drużynie było dziecięciu graczy, z czego ośmioro Torgunów. Legat przysłał też dwóch zawodników z innej drużyny, by trenowali wraz z nimi. Strażnik wyjaśnił im, że często trenuje się razem nowych zawodników z tymi zaprawionymi w boju, żeby jedni mogli się uczyć od drugich. Ci dwaj także byli niewolnikami; mieli na rękach tatuaże, lecz byli Południowcami i Skylan szybko pojął, że są niezwykle dumni z tego, że grają w Para Diksie.

Śmiali się w głos z głupoty barbarzyńców i z pewnością skończyłoby się to wszystko sporymi kłopotami mimo obecności żołnierzy, gdyby nie to, że w pewnej chwili na boisku pojawił się sam Legat, który przyszedł popatrzeć, jak idzie trening. W jego obecności Południowcy stawali się zupełnie innymi ludźmi. Potulni i służalczy płaszczyli się przed nim i przymilali, jak mogli.

– Rzygać się chce, nie? – mruknął Bjorn.

Strażnik pozwolił im na chwilę odpoczynku. Mieli czas, by się napić wody, otrzeć pot i krew.

Skylana zdziwiło, że Bjorn w ogóle postanowił się do niego odezwać, że przestał go ignorować. Ale jeszcze bardziej się zdumiał, gdy Bjorn powiedział nagle:

– Przepraszam, że cię tak traktowałem, Skylanie. Chyba próbowałem ukarać ciebie za śmierć Garna. To nie było w porządku.

– To ja ciebie przepraszam, przyjacielu – odpowiedział Skylan. – Zawiodłem Garna. Zawiodłem ciebie. Zawiodłem moich ludzi.

Bjorn wpatrywał się w niego przez chwilę szeroko otwartymi oczami, potem uśmiechnął się smutno.

– Pierwszy raz w życiu słyszę, żebyś kogokolwiek za cokolwiek przeprosił, Skylanie. Jak wróci prawdziwy Skylan, to mu powiedz, żeby się do mnie odezwał.

– Skylan Ivorson dorósł, przyjacielu – powiedział cicho Skylan. – Torval da, a tamten stary Skylan nigdy już nie wróci.

Strażnik zagwizdał i trening znów się rozpoczął.

Nim Strażnik ogłosił koniec ćwiczeń, zmierzchało. Torgunowie padli na ziemię wykończeni stanem, skakaniem, bieganiem i walką na ostrym słońcu.

– Lepiej się do tego przyzwyczajcie – powiedział im Strażnik. – Na arenie będziecie walczyć tuż przy gorących płomieniach znicza.

Byli tak zmęczeni, że było im wszystko jedno. Zahakis otrzymał rozkaz zabrać Aylaen z powrotem do siostry. Podczas gry jej policzki nabrały zdrowszych kolorów, lecz gdy tylko zobaczyła, że zbliża się Trybun, zrobiła się blada jak śmierć.

– Powiedz, że nigdzie nie pójdziesz – syknął Skylan.

Posłała mu spojrzenie pełne rozpacz i przerażenia, ale pokręciła głową i odeszła z Zahakisem.

Skylan nigdy jeszcze nie był tak wyczerpany. Nawet walka w ścianie tarcz nie męczyła tak bardzo. Bolał go dosłownie każdy mięsień. W głowie huczało mu od upału. Był poobijany i krwawił. Każdy najmniejszy ruch wymagał wielkiego wysiłku, a droga z powrotem do zagrody niewolników była daleka.

Nie narzekał jednak, tak jak nie narzekał żaden z Torgunów. Podczas gry Grimuir wdepnął w krecią norę i skręcił sobie kostkę. Teraz musiał się zatrzymać po drodze, żeby zwymiotować. Młody Farinn zaczął oddychać z wyraźnym trudem i przyciskał sobie dłoń do żeber. Aki zdusił jęk bólu, gdy szli przez wysoką trawę. Bjorn dosłownie niósł obolałego Erdmuna. Wszyscy jednak czuli się znacznie lepiej, niż gdyby spędzili cały dzień na zbieraniu kamieni. Honoru nikt nie może nam odebrać...

Skylan marzył już tylko o tym, żeby upaść i spać, gdy Strażnik zawołał go na stronę.

Zlany potem ogr cuchnął nieludzko. Poruszał się powoli, jego masywne ramiona opadły z wysiłku. Ogry są w ogóle mało wytrzymałe, źle znoszą długotrwały wysiłek. Strażnik był w lepszej formie niż większość ogrow, lecz i jemu ten dzień musiał się dać we znaki.

– Czy nie dość się już dziś nade mną znęcałeś? – mruknął z irytacją Skylan. – Czego znowu chcesz?

– Podziękować ci – powiedział Strażnik cicho i kątem oka sprawdził, czy aby nie patrzą na nich strażnicy.

– Za co? – spytał nieufnie Skylan pewny, że ogr stroi sobie z niego żarty. – Za to, że nie zarzygałem ci butów. A racja, z tego wszystkiego zapomniałem zupełnie. Zarzygałem ci je przecież.

Strażnik uśmiechnął się, lecz szybko spoważniał.

– Miałeś rację. Zbyt się przyzwyczailem do życia w niewoli. To przyniosło hańbę mi i mojemu ludowi.

Skylan aż przystanął z wrażenia. Zagapił się na ogra, a w jego głowie od razu zaczął się rodzić pewien plan. Patrzył na niego długo bez słowa, aż Strażnik się zirytował, a żołnierze zwrócili na nich uwagę.

– Co jest? Wyrosło mi nagle oko Cyclopa czy jak? – mruknął Strażnik

– Ej, wy dwaj, nie ma gadania – wrzasnął jeden z żołnierzy. – Strażniku, Legat wzywa cię do siebie do willi. Nie każ mu czekać.

– Odwal się – mruknął Strażnik, ale bardzo cicho. Potem posłusznie wykonał rozkaz. Odwrócił się plecami do Skylana i ruszył w stronę willi.

Skylan podbiegł za nim cicho. Jeden z żołnierzy krzyknął ostrzegawczo, ale było już za późno. Chłopak dogonił ogra i rzucił mu się na plecy. Napadnięty ryknął z wściekłości, lecz pod jego ciężarem upadł na ziemię.

– Słuchaj! – Skylan wcisnął czoło ogra w ziemię i zaczął szeptać mu do ucha. – Cała flota ogrów płynie zaatakować Sinarię.

Strażnik zdołał wykręcić głowę i spojrzeć na niego jednym okiem.

– Mówię prawdę – wysapał Skylan, wciskając mu kolano w plecy. – Podśluchałem, jak Acronis mówił o tym Zahakisowi.

Strażnik uwolnił ręce i podniósł się raptownie, zrzucając z siebie Torguna, któremu udało się przeturlać na tyle szybko, że but ogra nie trafił w jego głowę. Skylan zerwał się na równe nogi i zmierzył się wzrokiem ze Strażnikiem. Obaj zgodnie zignorowali okrzyki żołnierza, który próbował ich uspokoić.

– Czy w mieście jest was więcej? – szepnął Skylan.

– Tak – potwierdził cicho Strażnik.

– Uda ci się rozpuścić wici?

Strażnik tylko kiwnął szybko głową. Nie mieli już więcej czasu; żołnierze byli o krok

– Spokój. Przestańcie. Czy nie mieliście już dość przelewu krwi jak na jeden dzień, wy dzikusy skończone?!

Strażnik otarł sobie błoto i krew z twarzy.

– Nie, jeszcze nie – mruknął.

Skylan uśmiechnął się. Ogień znów płonął.

Dopiero później, gdy już niemal zasypiał, uświadomił sobie, że gdy zaatakował Strażnika, ramię wcale go nie piekło. Najwidoczniej Aelon nie miał nic przeciwko temu, żeby niewolnicy mordowali się nawzajem.

Rozdział 13

Raegar posłał Trei wiadomość, że mają się wraz z Aylaen spotkać z nim przy kaplicy Kapłanek Ducha o wschodzie księżyca. Posłaniec przekazał jej też wskazówki wyjaśniające, jak dotrzeć do tego znajdującego się na uboczu enklawy budynku. Treia szła bez końca po wijących się ścieżkach, co jakiś czas zatrzymując się, by spytać o drogę, ale kolejne osoby zapewniały ją, że idzie w dobrym kierunku. Ze względu na słaby wzrok czuła się bardzo niepewnie w obcych miejscach. Upierała się, że musi trzymać Aylaen za rękę i że Aylaen ma jej służyć za przewodnika. Prawda była jednak taka, że Aylaen była tak bardzo zdenerwowana, a jej dłoń tak zimna, że Treia bała się po prostu, że siostra może jej w ostatniej chwili uciec.

Gdy doszły do ogrodu i zobaczyły mury Świątyni, Aylaen przystanąła. Poczowała, że ma nogi jak z waty; musiała się oprzeć o ścianę.

– Boję się – wyszeptała, drżąc cała. – Nie wiem, czy dam radę, Treiu. Nie powinnam tego robić. Garn jest już z Torvalem, w Komnacie Bohaterów. Jestem egoistką...

– Kochasz go – powiedziała Treia, zastanawiając się, gdzie się podziewa Raegar. Potrzebowała jego pomocy. Nie była pewna, jak długo jeszcze uda jej się utrzymać Aylaen przy sobie. – Nie ma żadnej Komnaty Bohaterów. To wszystko kłamstwo. Duch Garna jest zagubiony, porzucony. Ty znajdziesz go i wskażesz mu drogę.

– Drogę dokąd? – spytała skołowana Aylaen.

Treia powstrzymała się od złośliwej odpowiedzi. Skąd niby miała wiedzieć? Przecież tylko powtarzała to, co naopowiadał jej Raegar. Usłyszawszy kroki, odetchnęła z ulgą. Nareszcie się pojawił. Treia podała usta do pocałunku, ale musnął ją tylko w policzek i zwrócił się do Aylaen.

– Nie wyglądasz dobrze, moja droga – powiedział z troską. – Rozchorujesz się z tej żałoby.

– Nie jestem żadną „twoją drogą” – warknęła Aylaen, odpychając go, gdy chciał wziąć ją za rękę. – Nie chcę tego robić. Ja... ja chcę wracać.

– Wybór należy oczywiście do ciebie – zapewnił ją gładko Raegar. – Nikt cię do niczego nie zmusza. By stanąć na progu śmierci, trzeba znaleźć w sobie niezwykłą odwagę.

Oczywiście mają ją tylko ci, których miłość jest silna i prawdziwa. Ty jesteś młoda. Minęło już trochę czasu. To naturalne, że twoja miłość do Garna wygasa...

– Moja miłość do Garna wcale nie wygasła. Kocham go bardziej niż kiedykolwiek przedtem! – krzyknęła Aylaen. – Chcę go zobaczyć. Chcę być znowu przy nim. Ale on jest już u bogów...

– Powinnaś przynajmniej spróbować. Jeśli rzeczywiście jest tak, jak mówisz, i Garn jest już w Komnacie Bohaterów, gdzie hula sobie z innymi wojownikami, to nie przyjdzie przecież do ciebie i będziesz miała pewność, że już o tobie zapomniał. Nie będziesz musiała więcej po nim płakać.

Aylaen milczała. Te słowa dotknęły ją do żywego.

– Sama sprawdzę – mruknęła w końcu.

Raegar chciał jej podać swoje ramię, ale wzgardziła nim i ruszyła. Treia posłała swemu kochankowi gniewne spojrzenie, złapała go za ramię i odeszli razem.

– Ona nigdy cię nie zechce – syknęła Treia.

– Nie będziemy w ogóle o tym rozmawiać – uciszył ją ostro Raegar.

Kaplica Kapłanek Ducha była małą, sześcienną budowlą, wzniesioną z wapiennych bloków i ozdobioną marmurem. Cechowała ją prostota i elegancja. Dach wspierały cztery kolumny po czterech stronach. Nie było okien. Wchodziło się pojedynczymi drzwiami, do których prowadziły schody.

W przeciwieństwie do Świątyni Aelona, którą zdobiły najróżniejsze symbole i runy, ten budynek był zupełnie pozbawiony ozdób czy dekoracji. Magia, którą zajmowały się Kapłanki Ducha, była natury delikatnej i wrażliwej jak cienkie nici babiego lata. Musiały być wyczulone na każde, najmniejsze nawet drgnienie tych nici i nie mogła ich rozpraszać żadna magia, nawet święta magia ich boga.

Przy wejściu do kaplicy powitał ich Kapłan Generał. Rzucił Raegarowi pytające spojrzenie, na które otrzymał potakujące kiwnięcie głową. Xydis uśmiechnął się i powitał Aylaen życzliwie, wyrażając współczucie z powodu jej tragedii. Widział, że jest przestraszona i niepewna. Ucisnął więc jej dłoń i powiedział kilka słów, by ją uspokoić.

Potem zadzwonił małym dzwoneczkiem i otworzyły się drzwi z brązu.

Aylaen cofnęła się, drżąc cała.

– W tej ceremonii nie ma nic strasznego czy niewłaściwego. To święty, błogosławiony obrządek. Już za chwilę znów będziesz z mężczyzną, którego kochasz.

Ojcowskim gestem otoczył ją ramieniem i przeprowadził przez próg.

Treia i Raegar już mieli pójść w ich ślady, gdy nagle Treia zacisnęła dłoń na ręce Raegara i przyciągnęła go do siebie.

– Jesteś pewien, że wszystko przebiegnie po naszej myśli? – syknęła ledwie dosłyszalnym szeptem.

– Kapłanki Ducha znają się na swym fachu. Poza tym jest z nimi Aelon – uspokajał ją Raegar. Uścisnął jej dłoń ostrzegawczo. – Teraz jednak musisz być cicho.

Wkroczyli w zimną ciemność ciężką od zapachu kadzideł i stopionego wosku. Wysokie, cienkie lichtarze z kutego żelaza na środku pokoju tworzyły kształt koła. Wewnątrz kręgu czekała już na nich Kapłanka Ducha. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Była starszą, być może pięćdziesięcioletnią kobietą. Jej twarz nosiła znaki wieku i dziwnie kontrastowała z gładką jak u dziecka skórą na ogolonej głowie. Oczy miała duże, spokojne i łagodne. Była tam, lecz jakby jej nie było. Widziała ich, lecz jakby ich nie zauważała. A może raczej: widziała ich, lecz nie była nimi zainteresowana.

„Gdy usłyszało się już głos boga, zwykły mawiać Kapłanki Ducha, wszystkie inne głosy są jak krakanie wron”.

Nie miała na sobie tatuażu w kształcie węża. Zamiast niego w jej ciele znajdowały się duże diamenty – jeden na czole i dwa na policzkach. Raegar wlepił w nią zafascynowany wzrok i aż wstrzymał oddech z zachwytu.

– Spotkał nas wielki zaszczyt! To sama Semelon, ksieni zakonu – szepnął Trei na ucho.

Diamenty świadczyły o wysokim stanowisku Semelon. Kapłanki niższe rangą miałyby w tym miejscu jedynie półszlachetne kamienie. Niewolnikom, takim jak Skylan na przykład, musiał starczyć sproszkowany kwarc. Semelon miała na sobie prostą białą tunikę, upiętą na ramionach i przepasaną w talii. Była boso i gestem nakazała im wszystkim zdjąć buty i zostawić je przy wejściu.

Nie odezwała się, lecz pozdrowiła ich, wyciągając do nich ręce, jakby chciała ich objąć. Wszystkich opadł głęboki spokój, ich dusze wyciszyły się, ogarnęła je święta cisza. Aylaen przestała drzeć, wzięła głęboki oddech i przymknęła oczy. Xydis kiwnął nieznacznie głową, by dać znak, że są gotowi.

Semelon patrzyła kolejno na każde z nich. Nie zadała żadnego pytania, nie wypowiedziała ani słowa. Przesunęła się do przodu, ujęła dłoń Aylaen i zaprowadziła ją w krąg światła. Aylaen poszła za nią, zapomniawszy zupełnie o wahaniu, strachu, wątpliwościach.

Semelon uniosła dwie zapalone świece z lichtarzy. Jedną podała Aylaen, drugą zatrzymała dla siebie. Uklękła na środku kręgu i przechyliła świecę, a stopiony wosk zaczął kapać na podłogę, aż stworzył małą kałużę. Ustawiwszy w niej świecę, gestem wskazała Aylaen, by uczyniła to samo, pokazując jej, że swoją świecę ma ustawić około dwudziestu kroków dalej. Wzięła jeszcze dwie świece i podając jedną Aylaen, uczyniła z nimi to samo, aż na podłodze w obrębie koła powstał kwadrat.

Wtedy wyprowadziła z niego Aylaen i trzymając jej dłoń, dotknęła palcami dziewczyny diamentu na swoim lewym policzku. Zamknęła oczy. Jej usta poruszyły się w cichym zaklęciu.

Po chwili w kwadracie utworzonym ze świeczek pojawiła się jakaś postać. Treia wciągnęła powietrze przez zęby i wbiła paznokcie w rękę Raegara, który przełknął z widocznym trudem i cofnął się o krok.

– Garnie! – wyszeptała Aylaen.

Jej oczy wypełniły się łzami. Semelon zasłoniła jej usta dłonią, dając znak, żeby nie ważyła się odzywać. Postać była ledwie widoczna, postrzępiona, drżąca jak poranna mgła unosząca się nad wodą. Semelon nasiliła swoje zakłęcie. Teraz było już słychać słowa. Ton jej głosu był ponagląjący, rozkazujący.

Duch stał się bardziej wyraźny, zaczął nabierać ciała. Ręce i nogi Garna były w łańcuchach. Jego twarz wydawała się posiniaczona i zakrwawiona, jakby był wielokrotnie bity.

Aylaen jęknęła z przerażenia i zakryła usta dłonią.

Xydis posłał Semelon srogie, pytające spojrzenie. Ona jednak pozostała niewzruszona i spokojna.

– Teraz możesz do niego przemówić – powiedziała.

– Kochany, dlaczego jesteś w łańcuchach? – spytała zrozpaczona Aylaen.

– To ty trzymasz mnie tutaj – powiedział głosem pełnym smutku. – To przez ciebie jestem więźniem.

Aylaen krzyknęła z bóleści i ruszyła w jego stronę, w stronę kwadratu ze światła. Semelon powstrzymała ją jednak.

– On przemawia do nas z królestwa umarłych. Żyjący nie mają tam wstępu.

– Wybacz mi, kochany... – wyszeptała Aylaen łamiącym się głosem. – Powiedzieli mi, że Aelon może cię przywrócić do życia! – Wyciągnęła do niego drżącą dłoń. – Tak bardzo cię kocham, Garnie. Tak bardzo za tobą tęsknię...

– Jeśli naprawdę mnie kochasz, znajdziesz jakiś sposób, by mnie uwolnić – powiedział Garn. Uniósł skute dłonie. – Nie pozwól, by trzymali mnie tu przez całą wieczność.

– Jak mogę cię uwolnić? Wiesz, że zrobię wszystko, co tylko możliwe!

– Musisz przekazać siostrze tajemnicę smoka vektyjskiego – powiedział Garn.

Treia jęknęła cicho z wrażenia, a Raegar wlepił w ducha szeroko otwarte oczy.

– Ale... ale ja przecież nic nie wiem o smokach Vektii! – wybąkała drżącym głosem Aylaen. – Skąd miałabym cokolwiek wiedzieć? Tylko Kapłanki Kai wiedzą takie rzeczy!

– Przecież Vindrash przemawia do ciebie, siostrze – wtrąciła się ostro Treia – tak jak dawniej przemawiała do Draï. Jeśli tylko spytasz o to Smokinię, na pewno ci powie.

Aylaen spojrzała na siostrę zupełnie oszołomiona.

– Ale po co ci taka informacja?

Treia nic na to nie odpowiedziała. Kapłan General zachował kamienną twarz, ale posłał Semelon groźne spojrzenie. Raegar znów przełknął ślinę. Z trudem zmuszał się, żeby patrzeć na umarłego. W kaplicy zapadła cisza. Słychać było tylko syk płonących świec.

Po chwili znów przemówił Garn.

– Kapłan Aelona ma jedną z pięciu kości Vektii. Dał mu ją bóg Sund. Treia chce użyć jej i wezwać smoka.

– Bóg Sund... Czy to prawda, Treiu? – krzyknęła przerażona Aylaen. – Czy i ty pracujesz teraz dla naszych wrogów? I ty nas zdradziłaś?

– Nie oceniaj mnie, Aylaen – odpowiedziała jej Treia. – Nie masz w ogóle pojęcia, o czym mówisz.

– Przekaż siostrze tajemnice smoka, a Garn będzie znów wolny – powiedział Xydis, lecz od razu dodał delikatniej: – Tak jak mówi Treia, wszystko to nie jest takie proste. Jesteśmy świadkami niezwykle doniosłych wydarzeń, które będą miały wpływ na ciebie, na twój lud, na wszystkich w Sinarii. Twoja siostra nie jest zdrajczynią, tak jak nie jest zdrajcą twój bóg. Oboje czynią to wszystko dla dobra twego ludu.

Aylaen z przerażeniem zacisnęła sobie dłonie na ustach. Popatrzyła na Treię, potem znów na Garna. Skryła twarz w dłoniach. Jej ciało zatrzęsło się od płaczu. Osunęła się na kolana.

Garn przysunął się do niej, lecz nie wyszedł poza okrąg. Zrobił gest, jakby chciał ją objąć, ale powstrzymały go łańcuchy.

– Nie musisz o nic pytać Vindrash, Aylaen. Ktoś jeszcze zna tajemnicę smoka. To Skylan. Jego zapytaj.

– Skylan?! – powtórzył głośno Raegar. Zmarszczył brwi podejrzliwie. – Skąd niby Skylan miałby ją znać? To pułapka. Duch kłamie.

– Umarli nigdy nie kłamią – powiedziała Semelon.

Treia przysunęła się do Raegara i szepnęła:

– Widocznie Draya mu powiedziała. Ta głupia kobieta zupełnie straciła dla niego głowę. Z pewnością wydałaby mu każdy sekret. Skylan kocha Aylaen. Powie jej.

Raegar wciągnął powietrze przez zęby i mruknął:

– On kłamie.

– Porozmawiaj ze Skylanem, Aylaen – nalegał Garn. – Spytaj go o tajemnicę. Powie ci.

Aylaen spojrzała na niego ze smutkiem.

– Jeśli powiem Trei, czy Aelon cię uwolni?

– Spytaj Skylana, Aylaen – powtórzył Garn.

W kaplicy powiała nagle ciepła bryza. Świece zamigotały. Wiatr wzmógł się, zgasił płomienie. Duch zniknął. Aylaen zawiodło ciało. Opadła na podłogę bez czucia.

– Zemdląca – stwierdziła Semelon, przyklękając przy dziewczynie. – Duch zupełnie nią zawładnął. To się często zdarza.

Wzięła Aylaen w ramiona, przycisnęła do siebie i zaczęła kołysać, mrucząc uspokajające słowa.

Xydis ruszył w stronę drzwi, posyłając Raegarowi ponagląjące spojrzenie. Raegar potruchnął posłusznie.

– Wszystko to nie przebiegło wcale tak, jak się tego spodziewaliśmy – oświadczył Xydis, gdy już byli na zewnątrz i zamknęli za sobą drzwi. – Z drugiej strony mamy, o co nam chodziło, a tylko to się liczy. Ten Skylan... czy on jej przekaże tę tajemnicę?

Raegar milczał. Był blady jak ściana. Na czole wystąpiły mu krople potu.

– Powie wszystko mojej siostrze, Czcigodny Panie – zapewniła Xydisa Treia, zachodząc w głowę, co się stało Raegarowi. Wyglądał bardzo źle. – Jest w niej szaleńczo zakochany.

Xydis mruknął coś, co miało oznaczać zadowolenie, i zostawił ich samych. Raegar jęknął głucho i osunął się na kamienny mur.

– O co ci chodzi? – spytała zdeorientowana Treia. – Przecież to dobra wiadomość. Skoro Skylan zna tajemnicę...

– Właśnie o to chodzi! – wrzasnął Raegar, rzucając się na nią w furii. – Skylan zna tajemnicę smoka, a ja właśnie wysłałem mordercę, żeby go zlikwidował!

Rozdział 14

Rano Zahakis zaprowadził Aylaen z powrotem na teren dla niewolników. Była blada, wymizerowana i nie chciała w ogóle rozmawiać z Bjornem, gdy spytał ją, co się stało. Minęła go bez słowa.

Skylan nawet nie próbował się do niej odzywać. Wiedział aż za dobrze, że go odtrąci – jak zawsze. Zdumiał się więc niezmiernie, gdy sama do niego podeszła.

Nic nie powiedziała. Wpatrywała się tylko w niego, jakby czegoś oczekując, o coś prosząc. Gdyby coś wtedy powiedział, może by mu wszystko wyznała, ale był tak zaskoczony, że odjęło mu mowę i patrzył na nią oniemiały. Aylaen westchnęła, spuściła wzrok i odeszła.

Dopiero wtedy się ocknął i chciał za nią pobiec, ale poczuł na ramieniu dłoń Zahakisa.

– Wzywa cię panienka Chloe.

– Nie teraz – odburknął Skylan, zapominając zupełnie o tym, gdzie jest i kim się stał. Zapomniał o wszystkim. Wiedział tylko jedno: Aylaen czegoś od niego chciała, potrzebowała go.

– Wybacz, panie – powiedział Zahakis. – Przekażę panience Chloe, żeby poczekała, aż najdzie cię ochota ją odwiedzić.

Nim Skylan się zorientował, już wił się po ziemi, jęcząc z bólu. Zahkis dźgnął go trzonkiem włóczni w wątrobę.

– Co widzę, panie. Już przyszła ci ochota? – mruknął Zahakis, stawiając Skylana na nogi.

Skylan stał w bogato zdobionym pokoju i przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą, próbując jakoś uśmierzyć ból pleców. Niewolnica Rosa rozłożyła na nogach Chloe jedwabną narzutę i postawiła w zasięgu jej ręki misę schłodzonych winogron. Potem otworzyła drzwi do atrium, a pokój zalało słońce. Delikatna bryza przyniosła zapach kwiatów.

– Zostaw nas, proszę, samych, Roso – rozkazała Chloe. Niewolnica skłoniła się i zajęła swoje miejsce w zacienionym kącie.

Chloe zmarszczyła brwi i spojrzała na nią groźnie.

– Powiedziałam: zostaw nas samych.

Rosa spojrzała na nią z niepokojem, ale się nie poruszyła.

– Za chwilę zacznę się złościć – ostrzegła Chloe.

– Ona nie może wyjść – zauważył Skylan. – Twój ojciec kazał jej zostać i dopilnować, żebym cię nie skrzywdził.

Chloe roześmiała się wesołym, radosnym śmiechem.

– A gdybyś postanowił mi zrobić jakąś krzywdę, naprawdę sądzisz, że Rosa byłaby w stanie cię powstrzymać?

– Nie – przyznał Skylan, uśmiechając się mimo woli. – Ale mogłaby krzyknąć. A wtedy dwudziestu żołnierzy Zahakisa, którzy stoją za drzwiami, wpadłoby tu, żeby mnie zabić.

– A ty walczyłybyś z nimi na śmierć i życie?

– Oczywiście – potwierdził Skylan.

W policzku Chloe pojawił się dołeczek.

– Chciałabym to zobaczyć. Może powinnam krzyknąć. Spróbujemy?

– Dwudziestu Południowców na jednego Torguna? To nie byłaby uczciwa walka – zauważył Skylan. – Poza tym twój ojciec byłby na mnie zły, gdybym tak po prostu zabił mu dwudziestu żołnierzy.

Chloe znów wybuchnęła śmiechem.

– Roso, idź do mego ojca i powiedz mu, że straszny z niego głuptas.

Rosa pokręciła głową przerażona.

Chloe westchnęła z irytacją, a potem podniosła głos:

– Zahakisie!

Zapadła cisza. Po chwili otworzyły się drzwi prowadzące w głąb domu. Do sypialni wszedł Zahakis.

– Tak, panno Chloe.

– Pewna jestem, że zarówno ty, jak i twoi ludzie macie znacznie lepsze rzeczy do roboty, niż sterczeć tu pod moimi drzwiami. Idźcie sobie. I zabierzcie ze sobą Rosę.

Zahakis mógł odpowiedzieć na to, że nie ma w zwyczaju wykonywać rozkazów nastoletnich pańienek, ale wiedział, że w ten sposób odwlekałby tylko nieuniknione. Chloe zawołałaby ojca, a jej uśmiech z dołeczkami rzuciłby Acronisa na kolana i oczywiście rozkazałby Zahakisowi usunąć straż spod sypialni. Zahakis uznał więc, że równie dobrze może zaoszczędzić im wszystkim czasu i upokorzenia.

– Naprawdę umiem całkiem głośno krzyżeć, Zahakisie – zapewniła go na pocieszenie Chloe, po czym dodała ze złośliwym uśmieszkiem: – Chcesz usłyszeć?

Zahakis jednak nie uznał tego za zabawne.

– Będę w zasięgu głosu – oświadczył. Skinął na Rosę, która wybiegła za nim pospiesznie, i zatrzaskał drzwi.

– O, znacznie lepiej – stwierdziła Chloe. Wskazała Skylanowi krzesło. – Usiądź. Pojutrze twój pierwszy mecz Para Diksu. Musisz oszczędzać siły. – Klasnęła w dłonie i bardzo podekscytowana dodała: – Będę na arenie, żeby móc zobaczyć, jak walczysz! A dziś jadę do

pałacu na przyjęcie u Cesarzowej! Ojciec mi pozwolił. Ty i Strażnik jedźcie z nami! Taka jestem tym przejęta. Jesteś moim pierwszym zawodnikiem. A teraz opowiedz mi, jak było na treningu. A ta piękna dziewczyna z rudymi włosami? Jak ona ma na imię? Ojciec mówi, że ona też gra. Przebierze ją za Ogressę. Czy już wiesz, co to oznacza? Na jakiej ona gra pozycji? Nie powiem już ani słowa więcej. Opowiedz mi wszystko.

Skylanowi przypomniało się, jak na treningu Sigurd klęczał i rzygał bez końca; jak Bjorn rąbnął głową o głaz. Grimuir zawsze szedł nie na to miejsce co trzeba, a Aki i Farinn wpadali na siebie nawzajem. Teraz zupełnie nie wiedział, co ma powiedzieć przejętej dziewczynce.

– Przepraszam. Zadaję za dużo pytań – odezwała się Chloe. – Ojciec mówi, że nawijam jak najęta. No, więc na jakiej grasz pozycji?

– Ja.. – Skylan zawahał się, próbując przypomnieć sobie to trudne słowo. – Gram na pozycji pradusa.

Chloe znów klasnęła w dłonie.

– Jesteś pradusem! Wspaniale! To najmocniejsza figura na całej planszy. I najtrudniejsza. To idealna pozycja dla ciebie. A ta kobieta...

– Aylaen – powiedział Skylan.

– Aylaen to loris, tak? Oczywiście! Pionek mistycznej mocy. Ojciec mówił mi, że Aylaen walczy w imię swojej smoczej bogini.

Chloe zadawała pytanie za pytaniem i Skylan wkrótce zrozumiał, że dziewczynka jest wytrawnym kibicem Para Diksu. Nie ulegało wątpliwości, że wie o grze znacznie więcej niż on. Tłumaczyła mu rolę każdej z figur i powody, dla których poruszają się w ten a nie inny sposób, czego zresztą Strażnik nigdy nie raczył mu wyjaśnić.

Gdy wyczerpali już temat strategii gry, Chloe zaczęła wypytywać Skyłana o jego dom, rodzinę, lud Vindrasów i ich smoki.

– Ojciec opowiadał, że widział waszego smoka. Mało nie pękłam z zazdrości – wyznała mu. – Ale skoro i tak nigdy nie zobaczę prawdziwego smoka, musisz mi o nich wszystko opowiedzieć.

Skylan zawsze lubił opowiadać i robił to dobrze, a Chloe okazała się uważną i wdzięczną słuchaczką. W ramach opowiadania o smoku Kahg znów mógł zrelacjonować swoją walkę z ogrzym bożypanem. Opowiedział Chloe, jak ogry przypląnęły do jego wioski i oświadczyły Torgunom, że ich bogowie umarli. Jak Torgunowie próbowali ich przechytryć, piekąc upolowanego przez niego dzika na ogniu, żeby nadać sygnał dymem i wezwać w ten sposób pozostałe klany na pomoc. Jak przywódca ogrów pojawił się na uczcie ze świętym Torquesem Vektyjskim na szyi; jak smok Kahg przybył Torgunom na pomoc w bitwie; i jak Skylan zabił bożypana i zaraz potem został zaczarowany przez szamana, który ukradł mu torques.

Chloe słuchała go z zapartym tchem i westchnęła głęboko, gdy historia dobiegła końca.

– Naprawdę wolałabym, żeby to nasz bóg umarł – oświadczyła. – O wiele bardziej podobają mi się wasi bogowie. Opowiedz mi jeszcze o Torvalu.

Skylan opowiedział jej o bogu wojny, którego czcił każdy wojownik. Opowiedział jej o Komnacie Torwała, do której odchodzili po śmierci woje, by spędzać całą wieczność na picciu, hulankach i potyczkach między sobą, jeśli nie mieli już zupełnie z kim walczyć.

– Czy w Komnacie Torwała w ogóle nie ma kobiet? – dopytywała się Chloe.

– Jeśli kobieta jest żoną bohatera, po śmierci dołącza do męża – wyjaśnił jej Skylan. – Śpiewają, tańczą i opowiadają sobie różne historie. Wojownicy poznają tam bohaterów, którzy odeszli dawno temu, jak choćby wielkiego Thorgunnda. Spotykają swoich przyjaciół i rodziny.

– Masz jakichś znajomych w Komnacie Torwała? – spytała Chloe.

– Jest tam mój najlepszy przyjaciel – powiedział Skylan. – Ma na imię Garn. Zginął w walce z olbrzymami na Smoczycy Wyspach.

– W walce z olbrzymami? Na Smoczycy Wyspach? – Chloe aż jęknęła z wrażenia. – To brzmi tak cudownie. Znaczący, nie chcę przez to powiedzieć, że to cudowne, że Garn zginął. Bardzo mi przykro, że umarł.

– Niech ci nie będzie przykro – rzekł Skylan. – Garn zginął bohaterską śmiercią i jest już u Torwała. Tego pragnie każdy wojownik.

– Ale tęsknisz za nim, prawda? – stwierdziła Chloe.

– Tak – przyznał Skylan.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Nie był przyzwyczajony do tak długiego siedzenia i zeszywniały mu mięśnie.

– Czy Torval miałby coś przeciwko temu, żebym się do niego modliła? – spytała nagle Chloe. – Wiem, że jestem dziewczyną i że nie mogę chodzić, i że nigdy nie będę bohaterem, ale czasami nie mogę w nocy spać i leżę, wpatrując się w ciemność. Wtedy myślę, że tak właśnie jest po śmierci: cicho, ciemno. Tak strasznie ciemno. Nie lubię ciemności. Kiedy myślę o śmierci, opada mnie taki strach, że nie mogę oddychać. – Urwała, a po chwili dodała ciszej: – W Komnacie Torwała nie jest ciemno. Ani cicho. Ludzie tańczą i śpiewają. Gdyby Torval był przy mnie, chyba bym się tak nie bała.

Skylan zaczął jej wyjaśniać, że kobiety nie modlą się do Torwała, ale do Vindrash lub Aylis czy innych bogiń, które chronią je przy porodzie i stoją na straży domowego ogniska. Nagle zorientował się, że w oczach dziewczynki stanęły łzy.

– Nie mogę wstawiać się za ciebie u Torwała – oświadczył szorstko. – Ale ty sama możesz przecież spróbować. Jeśli bóg nie życzy sobie, byś się do niego modliła, sam ci o tym powie.

Oczy Chloe pojaśniały.

– Mógłby do mnie przemówić? Naprawdę? Jak?

– Torval po prostu wyrwałby z zawiasów drzwi do waszej willi, wpadł jak huragan do twojego pokoju i z wściekłości uniósł dach. Potem kazałby ci natychmiast wytłumaczyć, dlaczego dorosła młoda dama przychodzi do niego i popłakuje mu jak dziecko z powodu ciemności. Jego topór runąłby na twoje piękne łóżko i roztrzaskał je w pył.

Chloe roześmiała się. Jej chichot zabrzmiał w całym pokoju, a niewolnica Rosa uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

– A jeśli Torval tego nie zrobi? – spytała Chloe, a w jej policzku znów pojawił się dołek. Skylan wzruszył ramionami.

– To znaczy, że jednak się na ciebie nie gniewa.

Rosa wślizgnęła się nieśmiało do pokoju.

– Panienko, czcigodny ojciec panienki przypomina, że powinna panienka odpocząć, jeśli chce panienka jechać wieczorem do pałacu.

– Dobrze, Roso. Idź i powiedz ojcu, że utnę sobie teraz małą drzemkę.

Wyciągnęła do Skylana rękę.

– No, przecież możesz mi uścisnąć dłoń. Nie złamiesz mi jej.

On jednak zachował dystans, niepewny, co powinien zrobić. Wiedział aż za dobrze, że Acronis dostałby co najmniej siedmiu napadów apopleksji, gdyby się dowiedział, że barbarzyńca dotknął jego ukochanej córki. Chloe w lot pojęła przyczynę jego wahań i zdecydowanym ruchem palców przywołała go do siebie.

– Nie lubię, gdy ktoś nie wykonuje moich rozkazów – oświadczyła z udawaną surowością.

Skylan ujął więc jej rękę, która wydała się jeszcze mniejsza i jeszcze delikatniejsza w jego dużej, silnej, twardej dłoni. Lecz ta mała dłoń uścisnęła go mocno i zdecydowanie. Odpowiedział jej jak najdelikatniej.

– Świetnie sobie poradzisz w Para Diksie – powiedziała.

Skylan pokręcił głową.

– Będę miał szczęście, jeśli nie wpadnę do tego całego znicza.

Chloe roześmiała się i umościła się na swoim posłaniu. Rosa skakała nad nią, poprawiała poduszki, prostowała jedwabną narzutę.

Skylan pokłonił się i odwrócił w stronę wyjścia. Usiłował otworzyć sobie drzwi niepewny, jak właściwie działają, gdy nagle same się uchyliły i stanął oko w oko z Acronisem.

Twarz mężczyzny była ponura, surowa. Dał Skylanowi znak, żeby milczał i go nie wydał. Skylan wyszedł z pokoju. Niewolnik Kakos cicho zamknął za nim drzwi. Skylan pewien był, że wpakował się w nowe kłopoty, lecz nagle zobaczył, że w oczach Acronisa lśnią łzy. Legat dał znak Zahakisowi, który wyłonił się cienia.

– Zrób coś, żeby Skylan wyglądał jak człowiek – rozkazał Acronis. – Wyruszamy o zachodzie słońca.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Wszystko słyszał – stwierdził Skylan.

– Oczywiście – przytaknął Zahakis. – A czegoś się spodziewał?

– Musiał słyszeć, że pytała, czy może modlić się do Torwała. Był zły?

Zahakis pokręcił głową. Mijając stawy z rybkami i fontanny, przeszli po marmurowej posadzce do atrium i na zewnątrz willi. Zahakis jakby się zastanawiał, czy powinien coś powiedzieć.

Rozejrzawszy się wokół, żeby upewnić się, że są sami, rzekł:

– Musisz o czymś wiedzieć, Skylanie. Chloe nie pozostało już wiele dni na tym świecie. Wszyscy medycy są co do tego zgodni. Zrobili wszystko, co było w ich mocy, ale nie dają Acronisowi żadnej nadziei.

Skylan poczuł, że coś chwyta go za gardło, i był zły na samego siebie. W jego ojczyźnie takie kalekie dziecko w ogóle by przecież nie przeżyło. Zabiłaby je pierwsza zima. Tu rozpieszczane, otoczone bogactwem mogło cieszyć się życiem znacznie dłużej. Tak naprawdę Chloe miała szczęście.

– Czy Acronis powiedział jej, że umiera? Czy ona wie? – spytał.

– Oczywiście, że nie – syknął Zahakis, wyraźnie zszokowany takim pomysłem. – Trzeba być potworem, by zrobić coś takiego. Acronis zapewnia ją, że z jej zdrowiem jest znacznie lepiej.

Skylan przypomniał sobie, jak Chloe mówiła o śmierci i ciemności.

Ona wie, zrozumiał. Ona wie.

Rozdział 15

Zahakis zabrał Skylana do męskiej łaźni, a potem do cyrulika, który go ogolił i podciął mu włosy. Wszyscy zawodnicy mieli mieć dziś w pałacu taką zbroję, jaką będą mieli na sobie podczas gry. Skylan i jego drużyna dostali nowe ubrania, uszyte tak, by wyglądały jak ich własne.

– Tylko bez plam po krwi – dodał złośliwie Zahakis.

Skylan przywdział więc skórzaną tunikę obszytą futrem, ale bez rękawów, obcisłe skórzane spodnie i skórzane buty, także obszyte futrem. Kazano mu poza tym włożyć jego własną kolczugę i hełm, bo zbroja na mecz została już wysłana na arenę, żeby była gotowa na pojutrze.

W pałacu miał być też obecny Strażnik, jako kapitan drużyny. Skylan spytał go, co się będzie działo na przyjęciu. Ogr wyjaśnił, że będą trzymeni w specjalnej zagrodzie, a potem będą musieli przedefilować przez jadalnię ku rozrywce Południowców.

– Dlatego mamy być przebrani. Mamy zbroję, ale zauważyłeś pewnie, że nie dali nam broni – dodał ogr. – Mamy tylko wystąpić w roli atrakcji.

– Zbroję się wkłada, by walczyć w bitwie – mruknął rozeźlony Skylan. – Nie, żeby ktoś się na ciebie gapił.

Strażnik wzruszył ramionami.

– Możesz stanąć przed Cesarzową ubrany jak chłop, a możesz zaprezentować się jako wojownik. Twój wybór.

Strażnik miał na sobie tradycyjną uprząż, w której ogry trzymały broń, skórzane spodnie, buty i nic poza tym. Ogry nie nosiły metalowej zbroi. Gdyby ubrać ogra w pancerz zakrywający jego wielką klatkę piersiową, dodać do tego równie wielką kolczugę, hełm, nagolenice, ochraniacze i inne akcesoria, cała zbroja ważyłaby pewnie tyle, ile wojownik, który nim dotarłby na pole bitwy, padłby pod tym ciężarem.

Strażnik pomalował sobie głowę i twarz i zarzucił skórzany płaszcz, który świadczył o jego randze bożypana. Jak wyjaśnił, podarował mu go sam Legat. Płaszcz był zrobiony ze skóry niedźwiedzia, którego łapy zwisały Strażnikowi z karku. Ogr wyglądał w nim dostojnie i potężnie.

Skylan wypolerował swoją kolczugę z wyjątkową starannością. Mimowolnie wrócił jednak myślami do chwil, gdy miał na sobie tę zbroję, gdy wkładał ją z dumą, by zająć swoje miejsce w ścianie tarcz, by stanąć oko w oko z ogrzym bożypanem. Zawsze, gdy ją wkładał, miał nadzieję, że Torval będzie z niego dumny. Teraz jednak liczył tylko na to, że bóg jest zbyt zajęty jakąś potyczką, by być świadkiem tego poniżenia.

Wyruszyli przed zachodem słońca. Legat i jego otoczenie uformowali niewielki orszak. Acronis jechał konno, Chloe zaś spoczywała na urządzeniu, które Skylan pierwszy raz widział – była to jakby sofa, okryta baldachimem i umieszczona na dwóch długich palach. Gdy Chloe już się na niej usadowiła, sofa została uniesiona przez czterech silnych niewolników, a każdy ułożył sobie pał na ramieniu. Zasłony baldachimu miały chronić skromność dziewczynki – wysoko urodzonej kobiety nie powinni oglądać byle gapie.

Chloe nie lubiła tych zasłon. Narzekała, że jest jej przez nie za gorąco, za duszno, że nic nie widzi. Jej ojciec nalegał jednak, by je zasunęła, więc Chloe ostentacyjnie zrobiła, o co ją prosił, choć Skylan widział potem, gdy już zajął swoje miejsce w orszaku, że uchyliła je nieco i wyglądała ciekawie przez szparę. Jej służąca dreptała tuż przy lektyce.

Skylan i Strażnik szli za Acronisem. Po nich maszerowało sześciu żołnierzy Zahakisa i on sam. Ludzie zatrzymywali się na ich widok i wiwatowali. Para Dix był popularny wśród obywateli, a zawodnicy tej gry cieszyli się powszechnym szacunkiem. Kilka osób krzyknęło nawet do Strażnika, wyraźnie go rozpoznając. Zapewniali o swoim poparciu albo pytali żartem, czy powinni obstawiać, że jego drużyna wygra.

Gdy dotarli do murów pałacu, Acronis i Chloe weszli jednym wejściem, a Skylan, Strażnik i żołnierze drugim. Żołnierze zaprowadzili ich na teren za pałacem, gdzie – jak wyjaśnił Strażnik – trenowali zawodnicy Cesarzowej. Arena oświetlona była pochodniami, znicz na środku płonął. Była świnia z rożna, świeżo upieczony chleb, oliwki, ser i jabłka. Każdy z zawodników dostał też trochę wina (ale tylko jeden pucharek, a i to było bardzo rozwodnione). Arenę otaczali żołnierze, ale zachowywali się swobodnie i spokojnie. Wielu strażników rozmawiało z niewolnikami, których niby mieli pilnować.

Niektórzy zawodnicy byli ludźmi wolnymi, wielu było jednak niewolników, takich jak Skylan, a raczej Strażnik. Przyzwyczaili się już do niewoli, było im z nią coraz wygodniej. Karmiono ich tu dobrze, traktowano z szacunkiem, tłum ich wielbił. Skylan patrzył na tych dobrze odżywionych niewolników w lśniących zbrojach i z przerażeniem zastanawiał się, czy i on będzie tak wyglądał za rok czy dwa. Czy i on wpadnie w samozadowolenie? Czy i on się uspokoi? Czy i jemu zacznie się podobać to, że ktoś mu wciąż mówi, co ma, a czego nie ma robić? Skylan zadrżał na samą tę myśl. Jego żołądek ścisnął się ze strachu.

Wieczór ciągnął mu się w nieskończoność. Najpierw musiał wraz z pozostałymi zawodnikami czekać na arenie, potem kazano im stanąć gęsiego, pomaszerować do pałacu i paradować przed Cesarzową. Skyłana zalało światło i przesłodzony zapach perfum. Mężczyźni i kobiety odpoczywali na sofach, cichą muzykę zagłuszały głośne rozmowy

pijanych gości. Zawodnicy zostali zapędzeni do pokoju i zaraz potem kazano im wyjść. Ci jednak, których zdolności sportowe przyniosły im już sławę, a w niektórych przypadkach także majątek, zaproszeni zostali do pozostania.

Na Skylana nie zwrócił uwagi nikt poza Chloe. Zobaczył, że dziewczynka macha do niego ze swojej sofy. Z przejęcia policzki jej się zaróżowiły, oczy lśniły. Widać było, że świetnie się bawi. Skylanowi znów przypomniła się jego rozmowa z Zahakisem o tym, że Chloe jest umierająca.

Pamiętał dobrze strach przed śmiercią, który ogarniał go za każdym razem, gdy stawał w ścianie tarcz. Nigdy nie udało mu się w pełni nad nim zapanować, choć przecież powtarzał sobie zawsze, że gdy umrze, wreszcie trafi do miejsca, o którym tak marzył: do Komnaty Torwała. Teraz zaczął sobie wyobrażać, jak to jest żyć dzień w dzień ze świadomością, że śmierć przyjdzie już za kilka dni; każdej nocy kłaść się spać ze strachem. Uśmiechnął się do Chloe i wyprostował jeszcze bardziej. Był teraz naprawdę zadowolony, że wypolerował swoją zbroję.

Kiedy wrócili na arenę, zawodnicy zaczęli rozmawiać o Para Diksie, drzemać lub grać na pieniądze. Skylan siadł obok Strażnika, którzy już zdążył przysnąć. Dźgnął go łokciem. Ogr beknął głośno i otworzył oczy.

– Rozmawiałeś ze swoimi? – spytał Skylan. – O inwazji.

– Mów ciszej – mruknął Strażnik.

Skylan rozejrzał się dyskretnie.

– Nikt nie zwraca na nas uwagi. – Mimo to jednak przysunął się bliżej ogra i zaczął mówić szeptem. – No więc, rozmawiałeś z nimi?

– Z kilkoma – szepnął Strażnik, bacznie obserwując pozostałych zawodników. – Spotkanie się razem jest zbyt niebezpieczne. My, ogry, trochę się jednak rzucamy w oczy.

Skylan wyobraził sobie grupkę ogrów pogrążonych w rozmowie na jakimś rogu ulicy w Sinarii. Kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Nikt z moich niczego nie słyszał. – Strażnik pokręcił ponuro głową. – Nie uwierzili mi.

– Acronis powiedział Zahakisowi, że ta wiadomość jest trzymana w tajemnicy, żeby nie wybuchła panika. Ale ty w to wierzysz, prawda?

Strażnik wzruszył ramionami.

– Już raz próbowałem uciec. Obmyśliliśmy z przyjacielem cały plan. Znaleźliśmy łódź. Okazało się, że to pułapka. Udało mi się umknąć. Mój przyjaciel wskoczył do wody. Ogry nie pływają dobrze. Utonął.

– Przykro mi. Ale co to ma wspólnego z inwazją? – zniecierpliwił się Skylan.

– Kiedy mi o tym powiedziałaś, strasznie się przejąłem, ale potem, kiedy to przemyślałem... Nie jestem już taki pewien, czy w to wierzę. To zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

Skylan mało mu nie powiedział, że przecież Wulfe mówił to samo, ale na szczęście przypomniał sobie na czas, że Wulfe czerpał swoje informacje od oceanid. Na samą myśl o chłopcu, który wciąż nie został odnaleziony, Skylanowi ścisnęło się serce.

Westchnął i rzekł cicho:

– Ja w to wierzę. Muszę w to wierzyć!

Strażnik spojrział na niego.

– Wiem jedno. Jeśli moi naprawdę zaatakują Sinarię, ty będziesz dla nich tylko jeszcze jednym gównem wartym człowiekiem. Zabiją cię, tak jak resztę tych drani.

– Mogą próbować – odparł z ponurą miną Skylan. – Zresztą w takim wypadku przynajmniej zginąłbym w walce.

Strażnik ziewnął i znów mu się odbiło. Zjadł trzy razy więcej pieczonej wieprzowiny niż Skylan.

– Gdyby zaatakowały ogry, obudź mnie – mruknął i ułożył się leniwie.

Czas płynął powoli i w końcu Skylan także zasnął. Obudziło go jakieś zamieszanie. Przyjęcie miało się ku końcowi. Czas wracać do domu. Jeden z żołnierzy Legata przyszedł po niego i Strażnika. Dołączyli do orszaku Legata tuż przez pałacem, ale już poza jego murami. Acronis niósł w ramionach śpiącą Chloe. Ostrożnie ułożył ją w lektyce.

– Usnęła zaraz po paradzie zawodników – mówił właśnie do Zahakisa, który odsunął zasłonę w lektyce. – Chciałem wyjść wcześniej. Sam wiesz, jak mnie mierzą wszystkie te uczy. Ale Xydis uparł się, że musi ze mną porozmawiać. Nie chciał mnie wypuścić, aż w końcu wyciągnął mnie do jakiegoś odległego pokoiku.

Acronis starannie otulił ramiona Chloe jedwabną narzutą.

– Czego chciał Kapłan General? – spytał Zahakis.

Acronis rozejrzał się. Jeden z żołnierzy prowadził już konie ze stajni. Inni trzymali płonące pochodnie, które miały im oświetlić drogę do willi. Po drugiej stronie lektyki stali Skylan ze Strażnikiem, ale zasłony kryły ich przed wzrokiem Acronisa. Skylan położył palec na ustach, ostrzegając Strażnika, żeby był cicho.

– Znów chciał rozmawiać o inwazji ogrów. Otrzymał wiadomość, że ich flota zeszła na ląd w Argonie, że spędzili tam trzy dni na polowaniu i robieniu zapasów wody. Potem wrócili na morze i płyną w naszą stronę.

– W Argonie – powtórzył w zamyśleniu Zahakis. – To przy dobrym wietrze czterdzieści dni żeglugi. Jaki jest plan Xydisa?

– Żeby modlić się do Aelona o zły wiatr, oczywiście – stwierdził z przekąsem Acronis. – Poza tym opowiedział mi o projektowanych środkach obronnych dla miasta. Całkiem niezłych, jeśli nie brać pod uwagę tego, że ich wykonanie zajęłoby dosłownie każdy z tych czterdziestu dni. A oni nawet nie wiedzą, od czego zacząć. Chce, żebym zablokował wejście do portu moimi galerami, gdy tylko ogry pojawią się na horyzoncie. Mało mu się nie

roześmiałem w twarz. Dwie triremy miałyby walczyć z flotą ponad stu okrętów! Ten człowiek jest zupełnie szalony.

– Jak przyjął twoją odmowę?

– Dobrze – powiedział Acronis z zastanowieniem. – Byłem pewien, że wpadnie w furję, ale o dziwo przyznał, że nie wie za wiele o prowadzeniu wojny na morzu, powiedział, że decyzja należy do mnie i tak dalej. Poprosił, żebym mu przedstawił pomysły co do wykorzystania trirem. Pytał też, co myślę o jego planach co do miasta. Był tak miły, że doprawdy trudno mi się było wymknąć. Gdy tylko próbowałem zrobić krok w stronę drzwi, nalegał, bym jeszcze został i przedyskutował to czy tamto.

Zahakis pokręcił głową.

– On coś knuje.

– Z pewnością – zgodził się z nim Acronis. – Rzecz w tym, że nie mam pojęcia co takiego.

– Może cała ta inwazja ogrów to jedno wielkie kłamstwo.

– Ale w jakim celu by je stworzył? Nie wydaje mi się. Myślę, że mówi prawdę, jeśli chodzi o ogry. W innym razie na pewno nie wydawałby pieniędzy Kościoła na budowanie murów i tym podobnych.

Zahakis mruknął coś i powiedział:

– Co więc zrobisz, panie?

– Przede wszystkim muszę wysłać Chloe do naszego domu na wsi. Tam, daleko od brzegu, będzie bezpieczna. Potem będę pewnie musiał się zająć zaplanowaniem jakiejś obrony dla miasta. Nie zamierzam zdać się w tej sprawie na Aelona...

Odeszli i Skylan nie usłyszał już dalszej części ich rozmowy. Zresztą słyszeli dość. Spojrzał na Strażnika triumfująco.

– I co na to powiesz?

– Na co? – spytał ogr.

– Na to, co właśnie usłyszeliśmy! O inwazji!

Strażnik wzruszył ramionami.

– Nie uwierzę, póki nie ujrzę tego na własne oczy.

Odszedł, by zająć swoje miejsce za Acronisem, który właśnie wsiadał na konia. Legat uniósł dłoń i mały orszak ruszył cicho i powoli, żeby nie obudzić Chloe.

Rozdział 16

Noc była ciemna. Młody księżyc dawał jedynie nikły blask. Cienka warstwa chmur przesłoniła gwiazdy. Strażnicy rozglądali się czujnie, gdy orszak kroczył po pustych ulicach. Nigdzie nie paliło się światło. Na noc zamykano wszystkie tawerny. Blask kopuły Aelona lśnił na dachach budynków, lecz nie oświetlał niżej położonej ulicy. Wozy z towarami wjadą na te ulice dopiero nad ranem.

Panowała cisza tak ciężka i złowieszcza, że gdy przerwał ją nagły wrzask walczących kocurów, mężczyźni podskoczyli, a Rosa zatkała sobie usta dłonią, żeby zdusić krzyk, który mógłby przecież obudzić jej panienkę.

Nie mogli przemieszczać się szybciej, niż byli w stanie iść niewolnicy niosący lektykę, więc sunęli powoli i ostrożnie po brukowanych ulicach. Duże kamienie ułożone były tu na warstwie skały i choć ulice znajdowały się w dobrym stanie, co jakiś czas któryś kamień pękał czy przesuwiał się, narażając przechodnia na potknięcie. Żaden niewolnik nie chciałby się potknąć, niosąc lektykę z ukochaną córką Legata Acronisa.

Byli już głęboko w mieście, gdy Skylan zrozumiał, że ktoś ich śledzi. Z początku nie był pewien. Poprzez stukot butów żołnierzy, szcęknięcie broni i łomot końskich kopyt na bruku trudno było dosłyszeć tupot biegnących cicho stóp. Po raz pierwszy usłyszał coś, gdy tylko wyszli z pałacu. Potem, choć te stopy zatrzymywały się czasem, co chwilę znów się pojawiały gdzieś w pobliżu.

Rozejrzał się, czy ktoś poza nim je słyszy. Acronis jechał na koniu z głową opuszczoną, głęboko pogrążony w zadumie, z pewnością rozmyślając o tym, co mu powiedział Kapłan Generał, i łamiąc sobie głowę nad obroną miasta, którego – zdaniem Skylana – obronić się nie da. Przy nim dreptał Strażnik, co rusz potrząsając nieprzytomnie głową i z trudem walcząc z sennością. Ogry w ogóle potrzebują dużo snu, a on nie był przyzwyczajony do nocnych eskapad. Wydawało się, że ani Zahakis, ani żołnierze także nie zauważyli niczego podejrzanego.

Skylan wciąż jednak słyszał czyjeś kroki i zaczął się wpatrywać w ciemność, licząc na to, że ujrzy tę tajemniczą osobę, która tak wytrwale ich śledzi. Bardziej go to zaciekało niż zaniepokoiło. Pojedyncza osoba nie mogła przecież zaatakować uzbrojonych i świetnie wyszkolonych żołnierzy.

Zwykle słyszał kroki w bocznych uliczkach, jakby ktoś biegł równolegle do orszaku. Czasami znikwały zupełnie i uświadomił sobie, że pewnie ten ktoś musi wymijać jakieś budynki czy inne przeszkody, by znów się z nimi zrównać. Zawsze jednak w końcu kroki znów się pojawiały na ich wysokości.

Orszak zbliżał się do skrzyżowania dwóch głównych traktów. Oba były szerokimi ulicami i Skylan założył, że ten, kto depta im po piętach, będzie musiał przebiec jakoś przez otwartą przestrzeń. Wyteżył więc wzrok, licząc na to, że będzie na tyle blisko, iż dojrzy go w świetle pochodni. Ku jego zdumieniu tajemnicza postać wprost skoczyła w krąg światła. Zobaczył skołtuniony łeb, chude ciało i żółte, lśniąco oczy. Ten ktoś rozpaczliwie wymachiwał do nich ręką.

– Wulfe! – wrzasnął Skylan i rzucił się za nim.

Przekonany, że Skylan ucieka, Zahakis natychmiast wydał szybkie rozkazy. Zostawił dwóch ludzi przy lektyce, a sam wraz z pozostałymi dwoma żołnierzami rzucił się w pogoń za uciekinierem. Acronis zaciągnął lejce i pokręcił głową nad tym szalonym młodzieńcem, który najwyraźniej znów próbował walczyć o swoją wolność. Niewolnicy niosący lektykę zatrzymali się raptownie, aż mała podróżniczka poleciała do przodu. Obudziła się raptownie. Nie mogła zrozumieć, co się dzieje ani nawet gdzie się znajduje. Zawołała Rosę, która jednak była zbyt przerażona, by jej odpowiedzieć.

Skylan dopadł chłopaka, nim jego samego zdołał złapać Zahakis. Nie wiedział, czy go przytulić czy sprać porządnie za cały ten niepokój, który przez niego przeżył. Nim jednak zdołał się zdecydować, Wulfe chwycił go mocno za ramię.

– Chcą cię dorwać! – wrzasnął przeraźliwie. – Zaraz tu będą!

Skylan otworzył usta, by spytać kto, ale wtedy je zobaczył.

Wilki, największe wilki, jakie w życiu widział – wilki wielkości górskich lwów. Nie tylko były największe, były też najstraszniejszymi i najdziwniejszymi wilkami, jakie kiedykolwiek było dane mu zobaczyć. Ich ślepie lśniły żółtym blaskiem, który zalał ulicę upiorną poświatą. Jęzory miały wywieszane. Kły połyskiwały groźnie. Z pysków kapła ślina. Pędziły na polowanie z widoczną radością, żądne krwi.

Skylan chwycił Wulfe'a pod pachę i rzucił się w stronę orszaku, niemal taranując Zahakisa i dwóch żołnierzy, którzy nie widzieli jeszcze, co czai się na nich za zakrętem.

Żołnierze złapali go za ramiona.

– Spójrzcie tylko za siebie, durnie! – krzyknął Skylan. Wilki wypadły z za węgła, a zdumieni żołnierze puścili Skylana, który popędził co sił w nogach.

Na widok ofiar wilki zaczęły warczeć i szczekać, zupełnie jakby wydawały sobie jakieś rozkazy.

– Nie biec! – rzucił rozkaz Zahakis. – Atakujcie je pochodniami!

Wilki były już przy nich. Zahakis i żołnierze zniżyli pochodnie, celując płomieniami w łby bestii, przekonani, że wystraszy je ogień.

Przewodnik stada zupełnie jednak zignorował płomienie i skoczył na Zahakisa, powalając go na ziemię. Trybun krzyknął i zadał mu cios. Jego ludzie próbowali mu pomóc, wrzeszcząc na atakujące zwierzęta i wymachując pochodniami. Z cienia wyskoczyło więcej bestii. Żołnierze stojący na straży lektyki wyciągnęli miecze i pobiegli Zahakisowi na pomoc. Przywódca watahy zeskoczył z Trybuna i popędził dalej. Pozostałe wilki wyminęły żołnierzy i pomknęły za swoim przywódcą.

– Skylan, muszę ci coś powiedzieć... – darł się Wulfe, wijąc się Skylanowi pod pachą i wrywając ze wszystkich sił.

– Cicho siedź – syknął Skylan.

Z chłopcem w jednej ręce biegł w stronę lektyki. Odsunął zasłonę i wpakował dzieciaka do środka. Chloe była już zupełnie obudzona i wyglądała raczej na zdziwioną niż przestraszoną. Wulfe nawijał coś o jakichś ludziobestiach.

– Nie ma czasu! – krzyknął tylko Skylan i zasłonił baldachim, nie tyle by ochronić dzieci, bo trudno było liczyć na to, że jedwabna zasłonka da im jakąkolwiek ochronę, ale żeby nie były przynajmniej świadkami tej strasznej walki na śmierć i życie.

Potem rzucił się w stronę niewolników od lektyki, którzy stali oniemiały, sparaliżowani ze strachu.

– Ruszać się, durnie! – wrzasnął na nich. Zaczął wymachiwać rękami. – Już! Szybciej! Szybciej!

Niewolnicy spełnili jego rozkaz, ale bynajmniej nie tak, jak tego oczekiwał. Upuścili lektykę na ziemię i dali drapaką.

Skylan przeklął tych tchórzy, choć prawda była taka, że i jemu przysłała do głowy myśl, że mógłby przecież wykorzystać to zamieszanie i uciec. Rozważeniu tej możliwości poświęcił może sekundę i się uśmieł. W końcu odnalazł się Wulfe i Skylan naprawdę nie zamierzał znów go utracić. Poza tym nie było mowy, by zostawił kaleką dziewczynkę na pożarcie wilkom.

– Broni! Potrzeba mi jakiejś broni, do cholery! – krzyknął.

– Skylan... – Wulfe wytknął głowę zza zasłony.

– Cicho! – wrzasnął na niego Skylan.

Koń zarżał ze strachu i Skylan odwrócił się natychmiast w tę stronę. Wilki były tuż przy Acronisie. Dwa z nich rzuciły się na konia, który zupełnie oszalał z przerażenia. Bestie kęsały go w nogi, drapały pazurami boki.

Wierzchowiec wrywał się, miotał i wierzgał. Uderzał w wilki kopytami, kopał zadnimi nogami. Acronis z trudem utrzymywał się w siodle, zapierając się udami. Konia otaczało coraz więcej wilków. Zahakis i jego ludzie byli odcięci w uliczce; między nimi a Acronisem znajdowała się teraz cała wataha wilków.

Skylan usłyszał ostry trzask i odwrócił się w tym kierunku. To Strażnik wyrwał jeden z pali, które podtrzymywały baldachim. Dług pękł posłusznie w jego dłoniach. Baldachim przekrzywił się, ale nie opadł.

– Ja bronię dzieciaków – krzyknął krótko ogr. – Ty leć do Legata.

Skylan spojrzał na niego i obaj pomyśleli o tym samym. Ten człowiek uczynił ich niewolnikami. Nie mieli żadnych powodów, by go ratować.

– Powinien zginąć z mojej ręki, a nie w żołądku jakiegoś wilka – mruknął pod nosem Skylan i popędził w stronę Acronisa. Wziął głęboki oddech i gdy biegł, krzychał: – Miecz! Dajcie mi miecz!

Zahakis zawahał się. Ale to Skylan, a nie on, był blisko Legata. W tej samej chwili koń Acronisa stanął dęba, a Legat ześlizgnął się z niego i wylądował wśród wilków. Zahakis cisnął mieczem w stronę Skylana.

Broń uderzyła w bruk u stóp Skylana, a on chwycił ją, nawet się nie zatrzymując. Już nie widział Acronisa pod tą włochatą, poruszającą się masą, ale wciąż słyszał jego krzyki. Obok Skylana przegalopował koń z zakrwawionymi bokami i szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Wilki nawet nie zwróciły na niego uwagi. Wyraźnie chodziło im o Acronisa. Nagle usłyszały wściekły ryk pędzącego na nich Skylana.

Przywódca watahy uniósł łeb. Na widok Skylana błysnęły mu ślepia. Wszystkie wilki utkwili w nim wzrok. Ich oczy zdawały się po ludzku inteligentne. To go wytrąciło z równowagi. Przywódca warknął i dwa wilki oderwały się od Acronisa, by skoczyć na Skylana.

Udało mu się tylko zobaczyć, że Acronis leży na bruku zupełnie nieruchomo, i już wilki były na nim.

Skylan zamachnął się na nie mieczem. Na widok lśniącej stali bestie cofnęły się nagle, wpatrując się w broń z błyskiem nienawiści w ślepiach.

Nie boją się ognia, ale uciekają przed mieczem.

Skylan nie miał jednak czasu przemyśleć tej obserwacji. Usłyszawszy ostrzegawczy krzyk, obejrzał się przez ramię. Strażnik pokazywał mu wilka, który czaił się tuż za jego plecami. Inna bestia już skakała na niego od przodu. Skylan ryknął i znów zamachnął się mieczem. Wilk odskoczył zwinnie. Druga bestia rzuciła się Skylanowi na plecy i powaliła go na ziemię.

Owionął go odór zgniłego mięsa. Poczł gorący oddech i przeszywający ból, gdy wilk zatopił zęby w jego ciele, próbując zacisnąć mu szczęki na karku.

Usiłował zrzucić go z siebie, ale zwierzę było ciężkie i nie mógł zrobić nic poza miotaniem ciosów na ślepo. Mieczem i ręką starał się celować w łeb wilka. Słyszał sapanie i warczenie. Zbliżało się więcej bestii.

Nagle oślepiło go przedziwne światło. Dobywało się zza niego. Usłyszał głos Wulfe'a. Chłopiec śpiewał. Wilk na plecach Skylana jęknął z bólu.

Skylan uniósł głowę. Nad nim stał rozczochrany dzieciak z pochodnią w dłoni. Z nieba padały na nich rozpalone do czerwoności węgielki, prosząc na wilki jak śnieg. Bestie wyły z bólu. Iskry podpalały ich futra i paliły ciało. Zwierzęta usiłowały chwycić je zębami, biegały wokół w panice albo tarzały się po ziemi, desperacko usiłując je zgasić.

Wulfe nie przerywał śpiewu. Wymachiwał pochodnią w powietrzu. Jeden z węgielków wylądował Skylanowi na głowie. Poczul smród spalenizny i szybko strącił go na ziemię.

Przybiegł Zahakis ze swoimi ludźmi. Zaatakowali bestie mieczami. Znalazłszy się między jasną stalą a magicznymi płomieniami, wilki poddały się zadziwiająco szybko i warcząc z wściekłości, uciekły w ciemną noc. Niektóre wciąż jeszcze płonęły.

Skylan z trudem wstał. Ugryzienie wilka bolało bardziej niż rana od miecza. Żołnierze rzucili się do Acronisa, usiłowali jakoś powstrzymać upływ krwi z jego ran.

– Wezmę to już – powiedział Zahakis, odbierając Skylanowi miecz.

Potem zawahał się i w końcu szybko, krótko skinął głową, jakby w podzięce. Potem zatknął sobie miecz za pas i poszedł zobaczyć, jak się czuje Acronis, który bez przerwy pytał, co z Chloe. Trybun zapewnił Legata, że jego córce nic się nie stało, i doradził mu leżeć bez ruchu. Acronis jednak uparł się, że musi ją zobaczyć na własne oczy, i próbował wstać. Opadł jednak z jękiem, zwinął się i zaczął wymiotować.

– Muszę z tobą porozmawiać! – wołał Wulfe, uczepiwszy się Skyłana.

– Później – mruknął Skylan, powstrzymując jęk bólu.

– Później nie będzie jak – protestował Wulfe. – Nie mogę zostać. Raegar mnie dorwie.

– Nie, nie dorwie – zapewnił go Skylan. – Nie pozwolę mu. Nie tym razem.

Żołnierze pomagali Acronisowi przejść do lektyki. Zahakis stał obok i marszczył brwi, patrząc na krew na bruku. Usłyszawszy głos chłopca, podniósł wzrok i spojrzał na niego, jakby go dopiero teraz zauważył. Uniósł brwi w najwyższym zdumienia.

– A ten skąd się tu wziął, u diabła?

Wulfe odskoczył jak oparzony, gotów dać nogi za pas. Skylan złapał go jednak.

– Był w jednej z uliczek. Ostrzegł mnie przed wilkami.

Oczy Zahakisa zmrużyły się w wąskie szpary. Spojrzał w alejkę, w której znikają ostatnie bestie.

– Nieraz przedtem zdarzyło mi się walczyć z wilkami, ale nigdy nie spotkałem jeszcze takiego, który by się nie bał ognia. Ani takiego, który wybiera sobie ofiary: puszcza konia żywego, a rzuca się na człowieka. Nigdy też nie słyszałem o tym, żeby wilki buszowały w mieście, tym bardziej nie w samym środku lata, gdy mają w bród jedzenia w lesie. – Znow spojrzał na Wulfe'a. – Skylan mówi, że go ostrzegłeś. Ty coś wiesz.

– Nie – mruknął obrażonym tonem Wulfe.

Zahakis podszedł do chłopca, przykucnął przy nim i spojrzał mu w oczy, a raczej próbował. Wulfe spuścił głowę, a jego poplątane kudły spadły mu na twarz.

– Ci dwaj strażnicy, którzy mieli cię zaprowadzić do Świątyni, wyglądali, jakby zaatakował ich jakiś wilk. A o tym co wiesz?

Wulfe grzebał palcem u nogi w szczelinie między kamieniami na ulicy.

Jeden z żołnierzy krzyknął coś do Zahakisa i Trybun wstał.

– Później porozmawiam z tym chłopakiem – rzucił do swoich ludzi. – Zaprowadzić go do zagrody dla niewolników. Ale tak, żeby nikt niczego nie zauważył. Nie chcę, żeby znowu wpadł w ręce Raegara.

Trybun odszedł. Jeden z żołnierzy podbiegł po konia, który nie uciekł daleko, i przyprowadził zwierzę z powrotem. Zahakis tymczasem próbował przekonać Acronisa, żeby jechał do domu w lektyce. Legat odmawiał ze złością. W końcu żołnierze pomogli mu wsiąść na konia.

Żołnierze i Strażnik unieśli połamaną lektykę z opadającym lekko baldachimem i ruszyli. Zahakis szedł przy Acronisie na wypadek, gdyby ten miał się osunąć z wierzchowca. Skylan i Wulfe dołączyli do orszaku.

Gdy mijali lektykę, Chloe odsunęła zasłonę. Oczy lśniły jej od łez, a drżące usta ułożyły się w słowo:

– Dziękuję!

– Ładna jest – stwierdził Wulfe. – Wygląda jak driada.

– Tak – zgodził się Skylan.

Nie opuszczał go niepokój. Czuł się nieswojo. Złapał się na tym, że wpatruje się w każdą ciemniejszą uliczkę, którą mijają. Gdy zaszczekał jakiś pies, serce skoczyło mu do gardła.

– To były bardzo dziwne wilki – powiedział.

– Bo to wcale nie były wilki – prychnął Wulfe.

– Nie?

– Nie – potwierdził Wulfe. – Przecież próbowałem ci powiedzieć. Ale mnie nie słuchałeś.

– Jeśli nie wilki, to co? – spytał Skylan niechętnie, bo czuł, że w odpowiedzi usłyszy znów jakieś niestworzone historie.

– To były leśne stworzenia, ale te złe – szepnął cicho Wulfe. – Nazywamy je ludziobestiami. To ludzie, którzy zmieniają się w zwierzęta. Raegar ich zatrudnił.

– Raegar? – powtórzył zdumiony Skylan. Potem jednak pokręcił głową z niedowierzaniem. – Raegar miałby zatrudnić wilki. Po co?

– Żeby zabiły ciebie i tego tam – wyjaśnił Wulfe, wskazując na Acronisa. – Zapłacił ludziobestiom, żeby zabiły was obu.

Skylan zerknął na chłopca kątem oka. Przypomnił sobie, że wilki bały się miecza, a nie ognia. Przypomnił sobie, jak inteligentnie patrzyły i jak bardzo ich warczenie przypominało krótkie rozkazy. Uświadomił sobie, że celowo odcięły Zahakisowi i jego żołnierzom drogę, by nie pomogli Acronisowi. Przypomnił też sobie, jak kiedyś Wulfe opowiedział mu o

swoim ojcu i całej jego rodzinie, która została zmieniona w wilki. Przypomnił sobie węgliki, które spływały z pochodni chłopca i jego dziwny śpiew.

– Czy to te... te ludziobestie zabiły strażników, którzy cię zabrali? – spytał.

– Nie – zaprzeczył Wulfe, a po chwili dodał bardzo cichutko: – To ja.

Rozdział 17

Gdy dotarli do willi, na wschodzie połyskiwały już pierwsze promienie słońca. W oknach paliło się światło. Powrót zranionego pana postawił cały dom na nogi. Niewolnicy biegali z gorącymi i zimnymi okładami, maściami i bandażami. Wezwano medyków. Chloe, mimo jej protestów, zaniecono do łóżka. Nie chciała jednak zasnąć, nim się nie upewni, że nic nie grozi jej ojcu, i upierała się, że medyk ma opatrzyć ranę Skylanowi.

Medycy orzekli, że Acronis nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń. Miał niezwykle szczęście. Zbroja osłoniła jego szyję przed wilczymi kłami. Stwierdzili jednak niewielkie wstrząśnienie mózgu na skutek uderzenia o bruk. Kazali mu wypoczywać, ale nie zasypiać. Przy łóżku postawiono niewolników, którzy mieli go budzić natychmiast, gdyby tylko zamknął oczy.

Potem medycy poszli zbadać Skylana, którego zabrano wraz z Wulfeem do kuchni. Chłopak dostał jedzenie, na które rzucił się z wilczym apetytem. Kucharka i niewolnice zaczęły natomiast krzątać się wokół Skylana, obmywać krew, czyścić rany po ugryzieniach i w zasadzie uczyniły dla niego więcej niż medycy, którzy rzucili okiem na obrażenia, kazali mu się modlić do Aelona i wyszli.

Gdy Chloe zapewniono, że zarówno jej ojciec, jak i ulubiony zawodnik przeżyją tę przygodę, dziewczynka wreszcie zgodziła się zasnąć.

Zahakis nakazał swoim ludziom eskortować Skylana i dzieciaka do zagrody dla niewolników. Nim jednak wyszli, usiłował porozmawiać z Wulfe'em, który zwiesił głowę, przestępował z nogi na nogę i uparcie udawał, że ogłuchł i oniemiał. Zahakis obrzucił go uważnym spojrzeniem, a potem odciągnął na bok Skylana, chłopca pozostawiając pod strażą. Dzieciak od razu zrobił się nerwowy i nie spuszczał oczu ze Skylana.

– Co on ci powiedział wtedy w uliczce?

– Ostrzegł mnie, że zbliżają się wilki – odpowiedział Skylan.

Zahakis zmrużył oczy.

– Te wilki nie przypominały żadnych wilków, jakie kiedykolwiek widziałem, Skylanie. Ten dzieciak wiedział, że one nas napadną, więc wie o nich coś więcej. On naprawdę jest niebezpieczny. Mówiłem ci to już przedtem.

Skylan rzucił okiem na chłopca. Włosy miał potargane i tak długie, że zakrywały mu pół twarzy. Był ubrany w jakieś szmaty, które wisiały na jego chudym ciele. Oczy miał rozbiegane, pełne niepokoju, wciąż przestępował z nogi na nogę, gotów do ucieczki w każdej chwili.

– To tylko mały chłopiec – powiedział Skylan, ale nie przekonał tym nawet samego siebie.

– On wie, co tak naprawdę wydarzyło się dziś w nocy – syknął Zahakis. – Wydobądź to z niego. – Już odchodził, gdy odwrócił się jeszcze i dodał posępnym głosem: – I trzymaj go z dala od Chloe! Bardzo go polubiła.

Skylan pogrążył się w ponurych rozmyślaniach. Żołnierze zaprowadzili go i chłopca do zagrody niewolników. Gdy tam dotarli, Vindrasi spali jeszcze na pokładzie okrętu, za co Skylan był im w duchu niezwykle wdzięczny.

– Musimy porozmawiać – mruknął do dzieciaka. Zaprowadził go do jednego z pustych namiotów i kazał usiąść na posłaniu.

Zapalił prymitywną lampkę, zrobioną z kawałka szmaty wetkniętej w naczynie z oliwą, i ustawił ją na ziemi. Płomień drżał poruszany bryzą wpadającą do namiotu. Oliwa kopcila niemiłosiernie.

– Chcę wiedzieć, co tu się dzieje – zażądał wyjaśnień Skylan, siadając na posłaniu naprzeciwko. – Ostrzegłeś mnie przed wilkami. Skąd wiedziałeś...

– Głodny jeszcze jestem – przerwał mu gderliwie Wulfe. – Mogę dostać coś do jedzenia?

Skylan głowę by dał, że chłopiec próbuje tylko wykręcić się od rozmowy, ale z drugiej strony dzieciak wychudł strasznie. Poszedł więc po jedzenie. Wulfe rzucił się na nie z wielkim apetytem, odrywając zębami wielkie kawały chleba i połykając je w całości. Zaspokoiwszy nieco głód, zwolnił, ale nie przestawał jeść.

– No, dość już czasu zmarnowałeś – ponaglił go Skylan. – Opowiadaj.

Wulfe tylko pokazał mu, że ma pełną buzię.

– Mam czas – oświadczył Skylan. – Mogę tu tak siedzieć cały dzień.

Wulfe westchnął i z pewnym trudem przełknął cały chleb, który napakował sobie do ust.

– Nie wiem, od czego zacząć – bąknął.

– Proponuję od momentu, gdy strażnicy zabrali cię do Świątyni.

Wulfe skrzywił się niechętnie.

– Muszę?

– Jeśli chcesz ze mną zostać, tak, musisz.

– Strażnicy zabrali mnie ze sobą – zaczął więc Wulfe. – Bałem się. Wiedziałem, że mnie zabiją. Ty też wiedziałeś – dodał i spojrzał na niego z wyrzutem. – Pozwoliłeś im mnie zabrać.

Skylan wskazał na swój tatuaż.

– Próbowałem ich powstrzymać. Widziałeś, co się stało. Ten cały bóg Raegara mało nie spalił mi ręki.

Nagle uświadomił sobie, że bóg bynajmniej nie próbował go powstrzymać przed bronieniem się, gdy zaatakowały wilki. Dziwne. Skoro Raegar chciał, żeby Skylan zginął, czemu Aelon pozwolił mu walczyć? Skylan postanowił sobie, że zastanowi się nad tym innym razem.

– Nie próbuj zmieniać tematu. Udało ci się uciec strażnikom. Jak?

Wulfe spuścił głowę. Chciał wstać, ale Skylan złapał go za ramię i kazał mu z powrotem usiąść. Dzieciak wzdrygnął się. Wzrok wbił w ziemię.

– Mam w sobie takie niedobre coś. Druidzi mówili, że to demon. I ten mój demon namawia mnie do różnych złych rzeczy. Zwykle nie zwracam na niego uwagi, ale czasami jednak go słucham. Jak mi się podoba, co mówi.

Jego głos był cichy. Mamrotał tak niewyraźnie, że Skylan musiał się bardzo pochylić, żeby go dosłyszeć.

– No i ten demon powiedział, że strażnicy mnie zabiją – ciągnął Wulfe tak cicho, że właściwie szeptał. – Jak miałem ich inaczej powstrzymać? Musiałem ich zabić. Miałem stracha jak nie wiem. No i zrobiłem to.

– Co zrobiłeś? – spytał Skylan, żeby usłyszeć to z ust chłopca.

Wulfe podniósł głowę i spojrzał mu w oczy.

– Zabiłem ich.

– Dwóch dorosłych mężczyzn? Uzbrojonych po zęby? – powiedział Skylan. – Zabiłeś ich? W jaki sposób?

– Zmieniłem się w człowiekobestię. – Nagle Wulfe uśmiechnął się szeroko, aż błysnęły jego wielkie zęby. – Mówię ci, wtedy to oni mieli niezłego stracha.

Skylanowi zaschło w ustach. Powiedział sobie, że mu nie wierzy, ale właśnie w uśmiechu chłopaka było coś, co ostatecznie go przekonało.

Musiał oblizać wargi, żeby być w stanie w ogóle się odezwać.

– I co się stało potem...?

– Nie pamiętam – przyznał Wulfe. Westchnął głęboko. Najgorsze było już za nim i teraz słowa popłynęły jedno za drugim. – Nigdy nie pamiętam. Wiem tylko, że jak się ocknąłem, to byłem w jakiejś starej ruderze. Cały byłem we krwi i przywiązali mnie do krzesła. Nie wiedziałem, gdzie jestem ani skąd się tam wzięłem, bardzo się bałem. Przyszła do mnie ta kobieta i mówi: Jesteś jednym z nas. Nie próbuj kłamać. Widziałam, co zrobiłeś”. Ja jej na to, że nic nie zrobiłem, ale ona się uparła. Wymyła mnie z krwi i jak ją zapewniłem, że nigdzie nie pójdę, bo nie mam dokąd, to mnie odwiązała i dała jeść. Potem spałem i spałem. Zawsze długo śpię jak... po...

– To się zdarzało już wcześniej – stwierdził Skylan ze ściśniętym gardłem.

Wulfe pokiwał głową.

– Kiedy mieszkałem u druidów.

– A jak mieszkałeś w naszej wsi?

– Nie! – zapewnił go z przekonaniem Wulfe. – Byłeś dla mnie dobry i demon nigdy niczego ode mnie nie chciał. Myślałem, że sobie poszedł. Ale chyba jednak nie.

– Wiesz, że ci nie wierzę? – mruknął Skylan.

Wulfe wzruszył ramionami.

– No, co ja mogę zrobić. Taka jest prawda.

Skylanowi przemknęło przez myśl, żeby kazać mu udowodnić to wszystko i zmienić się na miejscu w wilka, ale szybko odrzucił ten pomysł. Gdyby chłopak zmienił się w zwierzę, Skylan musiałby mu uwierzyć. Tymczasem jednak mógł mieć jeszcze cień nadziei, że to wszystko bujda.

– I zostałeś u tej kobiety?

– I u mężczyzny. Oboje byli ludziobestiami.

– Martwiłem się o ciebie – powiedział Skylan, ignorując tę ostatnią informację. – I Aylaen też. Dlaczego do nas nie wróciłeś?

Wulfe milczał przez chwilę. Usta mu drżały. Oczy miał pełne łez.

– No, przecież zabiłem tamtych ludzi. Wiedziałem, że się o to wściekniesz.

– Torvalu jedyny – mruknął Skylan. Cień nadziei zniknął bez śladu. Wierzył w to, co mówił dzieciak. Nic na to nie mógł poradzić. Raegar miał rację. Zahakis miał rację. Wulfe rzeczywiście należał do leśnego ludu, tak jak mówił. Skylan przypomniał sobie, jak chłopak stał nad nim, śpiewał tę dziwną pieśń, a z jego pochodni sypał się deszcz węgielków. Wulfe stanowi zagrożenie dla Skylana i wszystkich wokół. Nie można mu ufać. Powinno się go zabić. Skylan westchnął głęboko i ostrożnie dotknął swojej rany po ugryzieniu człowiekobestii.

– Teraz mi wierzysz, prawda? – upewnił się Wulfe.

– Raczej nie dajesz mi wyboru. Szlag by to trafił! – warknął wściekły Skylan.

Zerwał się na równe nogi, głową uderzył w dach namiotu i mało nie przewrócił całej konstrukcji. Przestraszył tym chłopca, który schował się w kącie namiotu i przycupnął na czworaka. Widząc jego przerażenie, Skylan opanował się i usiadł z powrotem na posłaniu.

– Powiedziałeś, że Raegar wynajął te ludziobestie. Skąd o tym wiesz?

– Ludziobestie spotykają się w takiej tawernie nad rzeką. Byłem tam pewnego dnia. Nagle przyszedł Raegar, ale nie widział mnie, bo się schowałem pod stołem. Chyba znał już tych ludzi. Powiedział, że ma dla nich robotę. Że chce, żeby zginęło kilka osób, i że dobrze za to zapłaci. Powiedział, że ci ludzie będą wracać późną nocą z pałacu. Dał im pieniądze i obiecał więcej za skończoną robotę.

– Skoro wiedziałeś, co się święci, czemu wcześniej mnie nie ostrzegłeś? – zdenerwował się Skylan.

– Przecież nie wiedziałem, że chodzi o ciebie! – bronił się Wulfe. – Nie usłyszałem imion. Jak już się zorientowałem, że jednym z ludzi, których mają zabić, jesteś ty, przybiegłem natychmiast. Tylko że już było za późno. Wilki deptały mi po piętach.

– To jak się dowiedziałeś, że to o mnie chodzi?

– Wczoraj wieczorem do tawerny wpadł Raegar. Był cały czerwony na twarzy i spocony jak mysz. Krzyczał, że odwołuje robotę. Że ludziobestie mogą zabić Acronisa, ale niech się nie wazą tknąć człowieka o imieniu Skylan. Ludziobestie chciały wiedzieć, czy dostaną za to tyle samo pieniędzy, a on zapewnił, że tak. Ale jak on już sobie poszedł, ludziobestie od razu wymknęły się z tawerny. Spytałem tamtej kobiety, dokąd poszli, a ona powiedziała, że i tak wykonają tę robotę. Raegar chciał, żebyś żył, ale ktoś inny chciał, żebyś zginął. No i płacił więcej niż Raegar. Nie usłyszałem tylko kto, bo od razu pobiegłem cię ostrzec.

Skylan pokręcił głową.

– To nie ma sensu. Najpierw Raegar knuje cały ten spisek, żeby mnie zabić, a potem próbuje mnie chronić. A w dodatku jeszcze ktoś inny chce mojej śmierci! Dlaczego nagle stałem się taki ważny?

Wulfe ziewnął, aż mu coś trzasnęło w szczęce.

– A bo ja wiem. Mogę już iść spać?

Skylan kiwnął głową. Wulfe skulił się w kącie namiotu i zamknął oczy. Skylan już miał wyjść, ale potem cofnął się i położył na posłaniu. Obiecał sobie w duchu, że już nigdy nie spuści tego dziecka z oczu.

Lampka wciąż dawała nikłe światelko, ale Skylan był zbyt zmęczony, żeby wstać i ją zgasić. Poza tym jakoś nie miał ochoty leżeć w ciemnościach. Nie po tym, co właśnie usłyszał. Już zamykał oczy, gdy nagle uświadomił sobie, że ktoś woła go po imieniu. Zerwał się zelektryzowany.

– Skylanie? – szepnęła Aylaen. Stała przed namiotem. – Jesteś tam? Muszę z tobą porozmawiać.

Skylan zeskoczył z posłania i odsunął klapę namiotu.

– Przepraszam, jeśli cię obudziłam... – wybąkała Aylaen.

Na wschodzie niebo było już zupełnie szare. Aylaen wyglądała na zmęczoną. Ubranie miała pogniecione, włosy potargane, oczy podkrążone.

– Nie, nie spałem jeszcze – zapewnił ją Skylan. – Wulfe wrócił.

– Dzięki bogu! – ucieszyła się Aylaen. Podeszła do chłopca i delikatnie odsunęła mu z twarzy zabłąkany kosmyk – Jak on wychudł. Czy nic mu nie jest? Gdzie się podziewał?

– To długa historia. Później ci opowiem. Chciałaś ze mną porozmawiać?

Popatrzyła na niego przerażona.

– Cały jesteś we krwi! Co się stało?

Nim zdążył odpowiedzieć, zauważyła też rany na jego szyi.

– Pogryzł cię jakiś pies?

– Wilk – sprostował Skylan.

– Ale przecież miałeś być w pałacu z Legatem...

– To także długa historia. Lepiej powiedz mi, proszę, z czym do mnie przychodzisz.

– Poczekaj, pójdę po maści Trei – szepnęła Aylaen i wybiegła z namiotu, nim zdołał ją powstrzymać.

Czekał, a serce biło mu tak szybko, że z trudem oddychał. Gdy wciąż nie wracała, zaczął się zastanawiać, czy maści nie były tylko jej wymówką, żeby sobie pójść. Zrobiło mu się słabo z rozczarowania, ale nagle znów stanęła przed namiotem.

– Trochę mi zeszło na szukaniu. Ktoś przesunął skrzynię z lekami. Siadaj. Uwaga, będzie piekło.

Usiadła przy nim na posłaniu. Poczł jej bliskość, jej zapach. Zapłonął miłością i pożądaniem. Zaczęła wmasowywać maść w ranę. Zrobiło mu się zimno. Jej palce drżały. Cała jej dłoń się trzęsła.

– Muszę cię o coś prosić – powiedziała.

– Możesz mnie prosić, o co tylko zechcesz – szepnął i spojrzał jej prosto w twarz. – Wiesz przecież.

Aylaen splonęła się i spuściła wzrok.

– Muszę poznać tajemnicę rytuału potrzebnego do wezwania smoka Vektii.

Skylan nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

– Co takiego?

– Wiem, że Draya przekazała ci tajemnicę smoka – mówiła Aylaen z desperacją w głosie.

– Musisz mi powiedzieć. Musisz! – Mówiła coraz ciszej, wyciągnęła do niego rękę. – Błagam, Skylanie! – prosiła drżącym głosem. – Błagam, powiedz mi! Musisz! Bo jeśli nie...

– Co, jeśli nie? – spytał Skylan, który nic z tego nie rozumiał.

Aylaen przygryzła wargę i pokręciła głową. Z jej twarzy zniknął rumieniec. Była blada i drżała cała.

– Nic. Muszę znać tę tajemnicę. To wszystko. Musisz mi zaufać.

Skylan zasępił się nad tą łamigłówką. Raegar wzywa Aylaen do Świątyni, a równocześnie każe mnie zabić. Potem nagle próbuje powstrzymać wynajętych już morderców. Teraz z kolei przychodzi Aylaen i wypytuje mnie o tajemnicę smoka Vektii.

– Raegar ma jedną z kości Vektii – stwierdził raczej, aniżeli zapytał.

Aylaen otworzyła oczy ze zdumienia.

– Skąd wiesz?

Skąd wiedział? Znów miał przed oczami Smokini Vindrash, stojącą na okręcie i unoszącą dłoń. Jej pięć palców.

Wulfe zaczął się wiercić i skomleć przez sen.

– Wyjdźmy na zewnątrz – powiedział.

Aylaen wymknęła się z namiotu. Stała z zaciśniętymi dłońmi, z napięciem na bladej twarzy, którą zalało jasne światło poranka.

– Dlaczego Raegar chce poznać ten rytuał? – spytał Skylan.

– Twierdzi, że stanie się coś strasznego, jakiś atak czy inwazja czy coś takiego. Mówi, że Treia musi wezwać smoka, żeby ochronić ich lud.

– Nie wierzysz mu.

– Nie ma znaczenia, w co ja wierzę. Muszę im dać, czego chcą.

– I nie powiesz mi dlaczego.

– Musisz mi zaufać, Skylanie – powiedziała cicho Aylaen. – Ufasz mi, prawda?

– Wiesz, że tak..

– Więc przekaz mi tę tajemnicę.

Skylan czuł, że powinien to wszystko przemyśleć. Coś mu nagle zaczęło świtać.

– Widziałaś tę kość ducha? Wiesz, gdzie jest przechowywana?

– Treia wie – powiedziała Aylaen. Patrzyła na wschód, gdzie światło wschodzącego słońca przyćmiewało już powoli gwiazdy. – Widziała ją. Mówi, że kość przechowują w skarbcu w Sanktuarium. Że chroni ją sam Aelon. Żaden niewierzący nie ma wstępu do Sanktuarium. Aelon zabiłby go na miejscu.

Ale każdy, kto będzie chciał wezwać smoka, będzie musiał wydostać kość z Sanktuarium. Skylan czuł, że robi mu się gorąco z przejęcia. Niemal widział, jak dłoń Vindrash łączy wszystkie nici. Był tylko jeden problem.

– Ufam ci, Aylaen – powiedział powoli. – Powierzyłbym ci własne życie. Powierzyłbym ci także tajemnicę smoka Vektii...

Odwrociła się w jego stronę z wdzięcznym uśmiechem, oczy jej lśniły.

Skylan pokręcił głową.

– Ale jej nie znam.

– Nie kłam! – wybuchnęła dziewczyna. – Oczywiście, że znasz tę tajemnicę, Skylanie! Garn powiedział, że ją znasz!

– Garn ci powiedział? – powtórzył Skylan, nic nie rozumiejąc.

Aylaen spłoniła się i przygryzła wargę.

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek rozmawiał z Garnem na ten temat – powiedział Skylan.

– Najwidoczniej rozmawiałeś – zdenerwowała się Aylaen. Unikała jego wzroku.

I nagle wszystko sobie przypomniał.

Po powrocie z tego koszmarnego spotkania z druidami, po śmierci Draii, jej ciało przychodziło do niego co noc i zmuszało go do gry w smocze kości. Mara zawsze zaczynała od rzucenia pięciu kości, co było bardzo dziwne. Rozmawiał o tym kiedyś z mądrą staruszką, zwaną Matką Sową, która zwróciła mu uwagę, że może sama ta liczba ma jakieś znaczenie. Wtedy spytał Garna, co jest takiego specjalnego w liczbie pięć.

– A on uważał, że najważniejsze to to, iż jest pięć smoków Vektii – mruknął Skylan pod nosem. – Tylko ten jeden raz o tym rozmawialiśmy. Na pewno nigdy nie mówiłem mu, że znam tajemnicę przywoływania smoków.

– Ale Draya na pewno ci powiedziała – upierała się Aylaen. – Żony mówią swoim mężom wszystko...

– Draya i ja... my nie byliśmy jak mąż i żona – wybąkał Skylan ze wstydem.

– Na pewno znasz tę tajemnicę, Skylanie! Na pewno! – jęknęła Aylaen z rozpaczą. – Garn powiedział, że ją znasz!

– Przykro mi, Aylaen. – Skylan rozłożył bezradnie ręce. – Naprawdę chciałbym ją znać ze względu na ciebie.

Aylaen wpatrywała się w niego uważnie, a potem załkała i skryła twarz w dłoniach.

– I co ja teraz zrobię?

– Aylaen, przecież widzę, że masz jakiejś kłopoty. Pozwól sobie pomóc. Powiedz mi, co ci zrobił Raegar – próbował ją przekonać Skylan. – Zmuszę go do mówienia. Jakoś znajdziemy kość i ją wykradniemy...

– Nie! – krzyknęła przerażona Aylaen. – Nie! Nawet nie próbuj! Nie masz pojęcia, co by się stało, gdybyś to zrobił! A ja nic nie mogę ci powiedzieć. – Chwyliła go za rękę, wbijając mu paznokcie w ciało. – Nie rób nic ani nic nikomu o tym nie mów, Skylanie, błagam cię! To mój problem. To moja wina. Tylko ja mogę to wszystko naprawić. Przysięgnij mi, że nic nikomu nie powiesz. Przysięgnij na Torvala, Skylanie. Przysięgnij!

Skylan zawahał się.

– Przecież mnie możesz powiedzieć, Aylaen.

– Nie tym razem. – Jej głos zabrzmiał głucho. – Znienawidziłbyś mnie.

– To się nigdy nie stanie – zapewnił ją. – Kocham cię, Aylaen. Zawsze cię kochałem...

– Jeśli mnie kochasz, przysięgnij – błagała rwącym się głosem. – Przysięgnij natychmiast. Chwyliła jego dłonie. Jej palce były zimniejsze niż ręce draugry.

– Przysięgnij na Torvala, że nic nikomu nie powiesz. Przysięgnij na Torvala, że zapomnisz o wszystkim, co ci powiedziałam!

– Aylaen, nie mogę...

– Przysięgnij! – Jej głos zazgrzytał nieprzyjemnie.

– Przysięgam na Torvala – powiedział Skylan i dotknął ręką amuletu. – Ale ty przysięgnij, że pozwolisz sobie jakoś pomóc.

– Nie możesz mi pomóc – szepnęła. – Nikt nie może. Nie wiesz, jak straszną rzecz zrobiłam. Nawet bogowie odwrócili się ode mnie.

Odeszła kilka kroków, ale zawróciła jeszcze.

– Jeśli cokolwiek sobie przypominasz o smokach Vektii, natychmiast mi o tym powiedz.

Poszła. Skytan zastanawiał się, czy nie pobiec za nią, czy nie próbować jej jakoś przekonać, ale uznał, że tylko pogorszy sprawę. Przynajmniej, pocieszał się, przyszła do niego ze swoimi problemami. Rozmawiała z nim jak z przyjacielem, niemal tak jak dawniej.

Wrócił do namiotu i ułożył się na posłaniu. Miał tak wiele rzeczy do przemyślenia.

Najdziwniejsze było to, że Raegar i Treia, Aylaen i nawet Garn uważali, że to on zna tajemnicę smoków vektyjskich.

Zaczął się z niepokojem zastanawiać, czy aby nie mają racji.

Rozdział 18

Następnego dnia Chloe nie wezwała do siebie Skylana. Domyślił się, że dziewczynka zbyt martwi się stanem ojca. Acronis nie wychodził z łóżka, ale uparł się, że ma się odbyć trening Para Diksu.

To okazało się jednak błędną decyzją.

Brak snu sprawił, że Strażnik był podenerwowany i gderliwy. Aylaen, nieprzytomna i nieszczęśliwa, na niczym nie była w stanie się skoncentrować. Sigurd i pozostali byli w ponurych i buntowniczych nastrojach. Skylan martwił się o Wulfe'a, wciąż przerażony, że Raegar znajdzie jakiegoś chłopaka, i zarazem łamał sobie głowę, próbując przypomnieć sobie, czy jednak Draya nie powiedziała mu czegoś o smokach vektyjskich.

Strażnik darł się na nich, zdzierając sobie gardło, i tłumaczył wszystko pięścią, oszczędzając jedynie Aylaen, której oświadczył wprost, że sprawę jej walki pozostawia jej bogini.

Kryzys nastąpił, gdy jeden z doświadczonych zawodników wyzwał Torgunów od „głupich dzikusów”. Sigurd powalił go na ziemię. Pozostali Południowcy rzucili się w obronę rodaka. Grimuir i Skylan pobiegli na pomoc Sigurdowi i tak wybuchła poważniejsza bójka. Oddawali się właśnie z zapałem tej wspaniałej burdzie, gdy Skylana zawołał Zahakis.

Miał ochotę zignorować to wezwanie, ale nauczył się już, że czasami jedynym sposobem na zdobycie jakichś wiadomości jest poddanie się.

Zahakis obrzucił uważnym spojrzeniem boisko, na którym żołnierze, Torgunowie i Południowcy tarzali się w bezlitosnej bijatyce. Tylko Aylaen nie włączyła się do rękoczynów. Siedziała bezmyślnie na trawie, oparłszy łokcie na kolanach, twarz skryła w dłoniach.

– Co się z nią dzieje? – spytał Zahakis.

– Kobięce sprawy – mruknął Skylan, wiedząc, że to utnie wszelką rozmowę o Aylaen. Żaden mężczyzna nie będzie o nic więcej pytał. Zgodnie z jego rachubą Zahakis uznał temat za zamknięty.

– Miałeś porozmawiać z tym dzieciakiem. Udało ci się?

Skylan już od wczoraj zastanawiał się, co powie, gdy padnie to pytanie. Nie mógł się zdecydować, ile prawdy powinien odsłonić, a co zachować dla siebie.

– Historyjka, którą opowiada, jest taka. Możesz w nią wierzyć lub nie. Twierdzi, że tamte wilki to w ogóle nie były wilki. Mówi, że to magiczne stworzenia, które nazywa ludziobestiami. Ale on zawsze twierdzi, że widzi masę magicznych stworzeń. Gada z driadami i oceanidami...

– Jak już mówiłem wczoraj, te wilki nie zachowywały się jak jakiegokolwiek wilki, które dotąd widziałem – przerwał mu Zahakis, kiwając głową. – Co jeszcze powiedział?

Skylan zawahał się. Założył sobie, że Zahakis mu po prostu nie uwierzy. Nie był pewien, czy chciał, żeby ktoś mu wierzył.

– Według chłopaka te ludziobestie, kiedy chcą, wyglądają jak normalni ludzie – ciągnął Skylan. – Pracują jako płatni mordercy. Wykorzystują swoją zwierzęcą postać, żeby mordować, bo dzięki niej ofiary wyglądają tak, jakby zabiły je dzikie zwierzęta...

– Tak jak tamci strażnicy, którzy mieli zabrać chłopaka do Świątyni – zauważył Zahakis, znów mu przerywając.

Skylan udał, że tego nie usłyszał, i mówił dalej. Wiedział, że następna informacja znacznie bardziej przyciągnie uwagę Trybuna.

– Ofiarą tych wczorajszych ludziobestii miał być Legat. Wynajął je Raegar.

– Raegar? – powtórzył Zahakis, wpatrując się w niego uważnie. – Jesteś pewien?

– Chłopak słyszał, jak Raegar rozmawiał z ich przywódcą, i go rozpoznał. To Raegar powiedział im, gdzie znajdują Legata; że Acronis będzie wracał o tej porze z Pałacu...

– A Kapłan Generał zagadywał go tak długo, aż było bardzo późno – dodał cicho Zahakis. – To się zaczyna układać w logiczną całość.

– Kapłan Generał?

– Raegar to tylko nic nie znaczący wazeliniarz. Nie ma nawet prawa sam myśleć. Wykonuje tylko rozkazy z góry. Chcesz dowodu? Tych czterech tchórzy, którzy nieśli lektykę, uciekło i tyle ich widzieliśmy. Wszyscy mieli przecież tatuaże takie jak ty. Ale najwyraźniej nie poczuli nawet mrowienia, kiedy uciekali ze służby Legata. Twoje ramię piekło, prawda? Kiedy rzuciłeś się bronić Acronisa?

Nie. Ramię Skylana nie piekło. Ale działa się tak z pewnością dlatego, że Aelon chciał, żeby Skylan pozostał przy życiu jako ten, który zna sekret smoków vektyjskich. Skylan jednak postanowił zachować tę informację dla siebie.

– Domyślam się, że chłopak nie pamięta nazwy tej speluny ani nie zaprowadzi nas tam – rzekł Trybun. – Chciałbym rzucić okiem na te ludziobestie.

Skylan pokręcił głową.

– Nawet jeśli pamięta nazwę, nie powie mi. Boi się ich jak ognia. Boi się, że go dorwą.

– Doprawdy? – spytał Zahakis z przekąsem. – A kto zabił tamtych strażników, Skylenie? Pomyśl o tym. A potem zastanów się, czy aby na pewno chcesz trzymać tego chłopaka przy sobie.

– Chwileczkę, Trybunie – zawołał za nim Skylan, bo Zahakis już odchodził. – Dlaczego Kapłanowi Generałowi zależałoby na śmierci Legata?

– Jeśli zginie Acronis, jego majątek przechodzi na rzecz Cesarstwa. A wszyscy wiemy, kto tak naprawdę rządzi teraz Cesarstwem.

– A co by się stało z Chloe?

– Przeszłaby pod kuratelę Cesarzowej.

– Co zrobi Legat? – spytał Skylan. – Wyjedzie z Sinarii?

– Acronis nie jest tchórzem. Tu go potrzebują. Szczególnie teraz. Nie zostawi swoich ludzi na łaskę...

Zahakis urwał. Widać było, że i tak powiedział więcej, niż zamierzał.

– Aelona? – skończył za niego Skylan.

Zahakis chrząknął tylko i odszedł. Po kilku krokach odwrócił się jednak.

– Wy, Torgunowie, nieźle się jutro skompromitujecie w całym tym Para Diksie, wiesz o tym, nie?

– Gównu mnie to obchodzi.

– Akurat. – Zahakis uśmiechnął się kąśliwie. – Ty nie umiesz przegrywać. W niczym.

Gdy zapadła noc, a żołnierzy na warcie zupełnie pochłonęła gra na pieniądze, Torgunowie siedli na pokładzie *Venjekar* i zaczęli cicho omawiać możliwość ucieczki. Podczas gry dostaną wreszcie broń i tarcze. Nadal jednak będą mieli tatuaże Aelona. Mimo to każdy z wojowników wierzył, że jest w stanie pokonać ból siłą woli.

Sigurd chciał nakreślić cały plan, ale jak zauważył Skylan, zbyt dużo było niewiadomych. Nie mieli pojęcia, jak wygląda arena, gdzie się znajduje, ilu będzie strażników, ilu widzów. Mieli setki pytań, a żadnych odpowiedzi.

– Wiemy tylko jedno: jesteśmy Torgunami – powiedział Skylan. – Trzymamy się razem i jeśli Torval pozwoli i nadarzy się okazja do ucieczki, nie przegapimy jej.

Księga III

Rozdział 1

Mecze Para Diksu odbywały się raz w miesiącu na specjalnie w tym celu zbudowanej arenie. Niemal każda wysoko urodzona osoba, nie wyłączając samej Cesarzowej, sponsorowała własną drużynę i wystawiała ją w rozgrywkach. Acronis, tak jak wielu innych arystokratów, sam brał udział w grze, dyktując ruchy swym figurom. Cesarzowa zatrudniała w tym celu zawodników, którzy grali za nią.

Cały dzień przeznaczony był na rozgrywki. Lud Sinarii miał wolne od pracy. O poranku w Świątyni Aelona odprawiano modły za zawodników. Poprzez swych kapłanów bóg informował ich, że walczą w jego imię i że zsyła na nich swoje błogosławieństwo.

Uznawszy, że Skylan i jego Torgunowie mogą narobić kłopotów podczas ceremonii, Acronis nie pozwolił im brać udziału w modlitwie, głosząc, że to przecież barbarzyńcy i że ich nieprzyzwoite zachowanie mogłoby obrazić boga.

Ceremonii przewodniczył sam Kapłan Generał Xydis. Świątynia pękała w szwach, choć większość wiernych przyszła tak naprawdę popatrzeć na swoich ulubionych zawodników, a nie ze specjalnej pobożności.

Po zakończeniu ceremonii Xydis posłał wiadomość do Raegara, żeby spotkał się z nim w jego kwaterze. Gdy Raegar stawiał się na miejscu, Kapłan Generał upewnił się, że nikogo nie ma na korytarzu, po czym zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. Od razu naskoczył na Raegara.

– Legat Acronis zgłosił się do mnie z zażaleniem! Twierdzi, że kilka dni temu, gdy nocą wyjechał z pałacu, został napadnięty przez watahę wilków.

– Mówiłem tym ludziobestiom, że mają zabić tylko Legata. Zapewniłem, że i tak im zapłacę, to nie! Musieli z własnej inicjatywy próbować zabić także Skylana – bronił się Raegar.

– Nieważne – uciął Xydis. – To zresztą nie twoja wina. Ludziobestie wykonywały tylko czyjś rozkaz. Ktoś nie chce, żeby tajemnica smoków została odkryta. Mam wśród nich szpiega, kobietę o imieniu Rea. Mówi, że ktoś inny zapłacił im za zabicie Skylana.

– Ale kto to może być...

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – zniecierpliwił się Xydis. – Kapłanka Kości, Treia, musi porozmawiać z siostrą i wyciągnąć ze Skylana tę tajemnicę, zanim zaczniesz się

mecz Para Diksu. Gdzie łatwiej zabić kogoś jak nie na arenie? Takie morderstwo nie wzbudziłoby niczych podejrzeń.

Treia udała się do willi Acronisa w krytym powozie należącym do Kościoła. Weszła do zagrody niewolników i po krótkich poszukiwaniach znalazła siostrę w jednym z namiotów. Aylaen wpatrywała się właśnie z rozpaczą i bezsilną wściekłością w ubiór, który przygotowano dla niej na mecz: spódniczkę z tłoczonych skóry, która ledwo kryła jej biodra, oraz skórzaną przepaskę, ledwo zakrywającą piersi. Poza tym miała mieć na sobie jeszcze nagolenice, ale nie miała wkładać hełmu, żeby – jak wyjaśnił jej Strażnik – widzowie mogli w pełni podziwiać jej urodę.

Słyszając czyjeś kroki, Aylaen się obejrzała. Była zbyt wściekła, by zdziwić się na widok siostry.

– Spójrz tylko! Spójrz, w co oni mi się każą ubrać! – Wskazała na swoją skąpą zbroję.

– Całe miesiące paradowałaś w męskich ubraniach. Powinnaś się już przyzwyczać, że robisz z siebie pośmiewisko – stwierdziła Treia.

Aylaen posłała jej zabójcze spojrzenie, a Treia przypomniała sobie poniewczasie, że przyjechała, żeby wydobyć jakoś z siostry tajemnicę Skylana.

– Przepraszam – powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. – Gadam głupoty. Wszystko przez to, że... że od tamtej nocy w kaplicy zamartwiam się o ciebie. Rozmawiałaś ze Skylanem?

– Nie – syknęła Aylaen.

Unikała jednak wzroku siostry i Treia od razu wiedziała, że oszukuje. Aylaen zupełnie nie umiała kłamać.

– Dlaczego nie? Miałaś tyle czasu.

– Dobrze, włożę tę zbroję, skoro nie mam wyjścia, ale pod spodem będę miała spodnie – obwieściła Aylaen, próbując zmienić temat.

Trei jednak nie dało się tak łatwo zmylić.

– Musisz porozmawiać ze Skylanem jeszcze dzisiaj, Aylaen. Poproś go, żeby zdradził ci tajemnicę Vektii.

– Czemu akurat dzisiaj? – spytała Aylaen, patrząc podejrzliwie na siostrę.

– Para Dix to niebezpieczna gra – powiedziała ostrożnie Treia. – Może mu się coś stać. Jeśli Skylan jest jedyną osobą, która zna tajemnicę smoków, musisz ją z niego wydobyć. W innym wypadku może przepaść raz na zawsze.

– Ja też gram w tej grze – zwróciła jej uwagę Aylaen. – O mnie to się jakoś nie boisz?

– Nie muszę, siostrzyczko – zapewniła ją Treia z wymuszonym uśmiechem. – Aelon będzie cię chronił.

Aylaen zmrużyła oczy.

– A dlaczego niby nie może też chronić Skylana? – Nagle jej oczy rozwarły się z niepokojem. – Coś mu się stanie, tak? Co takiego?

– Pewnie po prostu jestem przewrażliwiona – wyznała Treia, siadając na posłaniu. – Raegar zapewnia mnie, że Para Dix jest zupełnie bezpieczną grą. Od miesiący nie zginął żaden z zawodników. Ale przecież zawsze się może zdarzyć jakiś wypadek, a tajemnica vektyjskich smoków jest tak cenna, że nie możemy podejmować takiego ryzyka. Musisz jeszcze dziś porozmawiać ze Skylanem.

Aylaen milczała chwilę. Siadła przy Trei i spytała zmienionym głosem:

– Co się stanie, jeśli Skylan nie zna tej tajemnicy?

– Oczywiście, że ją zna! – wyśmiała ją Treia. – Przecież Garn ci powiedział, że Skylan ją zna. – Wyciągnęła rękę i poprawiła siostrze rozczochrane włosy. – Skylan cię kocha, siostrzyczko. Zrobi wszystko dla jednego twojego uśmiechu...

Oczy Aylaen błysnęły złowieszczo.

– Nie kupczę sobą, jeśli tego ode mnie żadasz!

Treia straciła cierpliwość.

– Po prostu wyciągnij od niego tę cholerną tajemnicę! – syknęła i wypadła z namiotu.

Po ceremonii w Świątyni ulicami Sinarii przechodziła parada zwana Procesją Graczy. Drużyny przechodziły w kolejności wyznaczonej w rankingu. Jako drużyna, która nigdy jeszcze nie grała, Barbarzyńcy, jak ich nazwał Legat, mieli maszerować na samym końcu.

Szli we własnych zbrojach, z wyjątkiem Aylaen, która włożyła swoje przebranie od Acronisa, a pod to zwykle spodnie. Oświadczyła Strażnikowi, że inaczej w ogóle nie pójdzie, a ogr zapewnił Acronisa, że dziewczyna nie żartuje. Torgunowie nieśli też własne tarcze, broń jednak mieli dostać dopiero na arenie. Jak wyjaśnił Strażnik, ustalono takie zasady, ponieważ dawniej zawodnicy, którzy przynosili na mecze własną broń, uciekali się do oszustw, takich jak smarowanie mieczy naparstnicą czy psianką.

Choć mieli dziś walczyć jedynie w grze, a nie w ścianie tarcz, Skylan stwierdził ze zdziwieniem, że serce bije mu szybciej, gdy wkłada hełm, zapina napierśnik i zajmuje pozycję wśród swoich ludzi zaraz za Strażnikiem, który jako kapitan drużyny miał iść na przedzie.

Najlepszą drużyną była w tym roku drużyna Cesarzowej. Jej zawodnicy ubrani byli w lśniące zbroje, a ich hełmy zdobiły pióra. Śniada skóra błyszczała od olejków. Długie czarne włosy splecione były w misterne warkocze. Mieli na ramionach złote bransolety, a na nogach buty z tłoczonej skóry. Towarzyszył im doboz i trębacz, a nad głowami powiewały kolorowe sztandary. Kapitan przemieszczał się na rydwanie w kolorach drużyny, a gdy wyjechali na ulicę, tłum po prostu oszalał. Mężczyźni wykrzykiwali imiona ulubionych zawodników i życzyli im powodzenia. Kobiety posyłały pocałunki i rzucały kwiaty. Dzieciaki biegły za rydwanem i łapały łakocie rozrzucone przez niewolników Cesarzowej. Potem ruszyły

pozostałe drużyny. Skylan i jego zawodnicy czekali coraz bardziej znużeni upałem. Strażnik ostrzegł ich, że na koniec parady nie czeka zbyt wielu ludzi, bo nikogo nie interesują nowe drużyny.

– Tylko ci, którzy zastanawiają się, czy warto zaryzykować i obstarwić waszą drużynę w zakładach – przewidywał ogr. – I ci, którzy chcą się z nas pośmiać.

Tłum rzeczywiście przerzedził się znacznie, nim przyszedł czas na Barbarzyńców. Nieliczni widzowie patrzyli na nich w milczeniu. Nikt nie wiwatował. Nikt jednak się z nich nie śmiał.

Skylan i Torgunowie maszerowali dumnie. Rozległ się szczeł ich zbroi, ziemia zadrżała od ich dziarskiego kroku.

– Spójrz, Skylanie – szepnął zdumiony Ogr. – To niewolnicy.

Niewolnicy Sinarii – ci, którzy należeli do swych panów lub których panią była bieda – nie zapomnieli o tych dziwnych cudzoziemcach, którzy ciągnąc swój statek przez ulice wrogiego miasta, odważyli się śpiewać pieśń oporu. Także w innych drużynach grali niewolnicy, lecz tamci zawodnicy mieli złote bransolety i pachnieli wykwintnymi olejkami; ich dzieci były tłuste. Ci, którzy czekali na Skylana i Torgunów, byli chudzi i wymizerowani. Ich dzieci bawiły się w ściekach ze szczurami i co dzień marły z głodu.

Ci niewolnicy nie mieli odwagi wiwatować. W ogóle nie powinno ich tu pewnie być, a gdy wrócą do swoich obowiązków, czeka ich za to nieposłuszeństwo chłosta. Miejscy strażnicy, którzy stali na rogatkach ulic, by pilnować porządku, nie spuszczały oczu z tego dziwnego zgromadzenia, gotowi w każdej chwili reagować na najmniejszą oznakę buntu.

Nagle jeden z niewolników zaczął klaskać. Inni poszli za jego przykładem. Usłyszawszy ten aplauz, Skylan jęknął cicho. Opadły go czarne myśli – ostatni trening zakończył się kompletnym fiaskiem. Na policzki wystąpił mu rumieniec wstydu. Nagle pożałował, że nie przykładął większej wagi do wskazówek Strażnika. Może – tak jak powiedział Zahakis – Skylan po prostu nie umiał przegrywać. A może, zobaczywszy te brudne, głodne dzieci, zaczął się bać, że zawiedzie ludzi, którzy pokładają w nim nadzieję.

– Zbłaźnimy się dzisiaj – mruknął Strażnik, jakby odgadł jego myśli.

– Może nie – odpowiedział Skylan.

Strażnik tylko prychnął.

– Chyba kpisz. Sigurd nie umie liczyć. Zawsze przechodzi o kilka pól za dużo. Grimuir co chwila idzie w złym kierunku, a młody Farinn potknął się wczoraj o własną nogę i rozwalil sobie łeb.

Skylan musiał przyznać, że ogr ma rację, ale wojownicy grali tak słabo, gdyż w ogóle się nie przykładali. Po ich poważnych minach widział, że ich nastawienie właśnie się diametralnie zmieniło.

– Jak sądzisz, jak nam dziś pójdzie?

Strażnik mruknął coś, przewrócił oczami i powiedział:

– Jeśli szczęście nam dopisze, nikt nie zginie. O ile nam dopisze – dodał ponuro.

Ulubieńcy tłumów szli po dywanie słodko pachnących kwiatów, a w uszach rozbrzmiewały im pochwały kibiców. Skylan i jego drużyna szli po gnoju, a w uszach rozbrzmiewał im zakazany aplauz niewolników.

Skylan dotknął amuletu na szyi. Miał lekkie wyrzuty sumienia, że prosi boga o coś tak dziwnego, ale tym razem chodziło o honor jego – i ludu Vindrasów.

– Torvalu, prosiłem cię już, żebyś znalazł jakiś sposób, byśmy zdołali odzyskać wolność. Nadal cię o to proszę – dodał pośpiesznie – ale najpierw pomóż nam wygrać ten mecz!

Rozdział 2

Tego popołudnia miały walczyć nowe drużyny. Większość artystokratów sponsorowała jedną drużynę mistrzów, jedną zawodników drugiej klasy i jedną zupełnie nowych. Tej ostatniej używano zwykle do trenowania zawodników. Ci, którzy się wyróżniali, przechodzili do drużyny drugiej klasy. Do zespołu mistrzów trafiali tylko wybitni gracze.

Nowe drużyny walczyły między sobą, ale zwycięska stawała naprzeciw grupy z drugiej klasy. Tego popołudnia na widowni pojawili się więc ludzie, którzy do gry podchodzili poważnie, chcieli się przyjrzeć nowym zawodnikom, wytypować nowe gwiazdy lub analizować mecz.

Torgunowie wkroczyli na boisko. Skylan rozejrzał się zdumiony. Po raz pierwszy był na arenie przygotowanej do meczu. Naiwnie założył, że będzie podobna do boiska, które Acronis kazał zbudować przy swojej willi. Ono jednak tak się miało do słynnej sinaryjskiej areny jak rudera z dzielnicy slumsów do pałacu Cesarzowej.

Zbudowano ją w niewielkiej, płytkiej dolinie położonej niedaleko miasta. Jej dno zostało wyrównane tak, by tworzyło boisko. Plebs siedział na otaczających je rzędach ławek usytuowanych na zboczach wzgórz.

Arystokracja zajmowała trybuny zbudowane po jednej stronie areny. Cesarzową, Kapłana Generała i inne znakomitości chronił przed wybrykami pogody drewniany dach. Siedzieli w miejscu, z którego mieli doskonały widok na grę – naprzeciwko znicza znajdującego się pośrodku areny.

Gdy wszystkie drużyny stanęły na boisku, kapłani rozpoczęli ceremonię rozpalania świętego ognia i poświęcania gry Aelonowi. Był to długi rytuał i mało kto się na nim koncentrował. Widzowie zajmowali miejsca, rozmawiali z sąsiadami, otwierali kosze z prowiantem i rozsiadali się wygodnie. Skylan nigdy jeszcze nie widział tylu ludzi naraz. Tłum był większy niż wtedy, gdy walczył w Vutmanie i setki Vindrasów przybyły, by oglądać jego pojedynek.

On, Sigurd i pozostali wymienili spojrzenia i posępnie pokręcili głowami. Jeszcze poprzedniego dnia z takim przejęciem mówili o ucieczce. Teraz wszyscy myśleli o tym samym. Dziś Torgunowie nie uciekną.

Skylan zdusił w sobie rozczarowanie i starał się wykorzystać tę okazję do przyjrzenia się innym drużynom. Usiłował zgadnąć, którzy zawodnicy są najlepsi i z którymi oni będą dziś walczyć.

Na te mecze przybywało zwykle niewielu arystokratów. Większość uznawała, że nie warto fatygować się na popołudniowe rozgrywki, i czekała do wieczora, kiedy to naprzeciw siebie stawały najlepsze drużyny. Byli obecni tylko ci, którzy, jak Acronis mieli grać swoimi drużynami. Skylan zmrużył oczy, chroniąc je przed jasnym słońcem, i próbował dojrzeć, gdzie siedzi Chloe. Obiecał dziewczynce, że jej pomacha.

Gdy ceremonia religijna się wreszcie skończyła, ludzie zaczęli wiwatować. Tłum falował z przejęcia. Zaraz zaczynały się rozgrywki Para Diksu. Strażnik i inni kapitanowie nowych drużyn wyszli naprzód, by ciągnąć losy. W misie znajdowały się dyski z gliny z wymalowanymi na nich barwami drużyn. Kapitanowie odwracali wzrok, wkładali ręce do misy i wyciągali dysk.

Drużyny zeszły z boiska i ustawiły się na jego obrzeżach. Większość ludzi z zainteresowaniem wpatrywała się w losujących kapitanów. Skylan jednak martwił się o Aylaen. Wyglądała na zaniepokojoną i nieszczęśliwą.

Dyskretnie przesunął się w jej stronę.

– Widziałem, że Treia przyszła dziś do ciebie. Pytała o smoki Vektii, tak?

Aylaen pokiwała głową i zacisnęła usta. Nawet na niego nie spojrzała. Wbijała niewidzący wzrok w murawę boiska.

– Treia martwi się, że coś ci się może stać podczas gry.

Skylan mało się nie roześmiał w głos.

– Treia? Martwi się o mnie? – Już chciał dodać: „Toż to cud boski”, ale nagle zrozumiał, o co chodzi. – Ten jej nagły niepokój o moją osobę wynika z tego, że jej się zdaje, iż znam tajemnicę smoka. Boi się, że zabiorę ją ze sobą do grobu. No, to może powinienem jej na złość tak właśnie zrobić.

– Nie żartuj sobie, Skylenie – wyszeptła smutno Aylaen. Na jej rzęsach zalśniły łzy. – Nic nie rozumiesz.

Poczuł się paskudnie. Nie chciał przecież doprowadzić jej do płaczu.

– Będę myślał, Aylaen. Obiecuję ci. A poza tym spójrz na to z tej strony: póki ja znam tę tajemnicę, a raczej póki im się zdaje, że ją znam, Treia i Raegar zrobią wszystko, żeby mnie utrzymać przy życiu.

Aylaen zmusiła się do uśmiechu i otarła łzy. Kapitanowie drużyn rozeszli się do swoich zawodników, żeby im powiedzieć, z kim grają. Natychmiast gracze zaczęli wykrzykiwać obelgi i naigrawać się z przeciwników.

Gdy Strażnik wrócił do swojej drużyny, miał ponury wyraz twarzy. Czekali już na niego Acronis z Zahakisem.

– Nie mogło być gorzej – powiedział ogr. Otworzył dłoń i pokazał dysk z czerwonym znakiem. – Gramy z nową drużyną Cesarzowej.

Acronis i Zahakis spojrzeli po sobie. Zahakis uniósł brew i zazgrzytał zębami.

– Co jest? Czy jej drużyna jest tak dużo lepsza od naszej? – zdenerwował się Skylan.

– Stado osłów jest o niebo lepsze od was – syknął zjadliwie Strażnik. – Słyszałeś plotkę, panie?

– Nikt nie mówi o niczym innym – zauważył niechętnie Acronis.

– Przecież to niezgodne z regułami gry! – złościł się Strażnik

– To Cesarzowa – przypomniał mu Acronis. Odwrócił się w stronę graczy i podniósł głos, żeby usłyszeli go mimo hałasu na arenie. – Wszystko wskazuje na to, że Cesarzowa ma dziś specjalnego gracza. To stworzenie należące do leśnego ludu.

– Magiczne stworzenie? Jak nimfa czy driada? – spytał Skylan, nie zdoławszy ukryć uśmiechu. Nigdy w życiu nie spotkał żadnej nimfy, ale z opowiadań Wulfe’a wynikało, że raczej nie ma się czego bać.

– Nie – odrzekł Acronis chłodno. – Coś bardziej przypominającego wilki, z którymi walczyłeś tamtej nocy.

Skylanowi uśmiech zamarł na ustach.

– Podobno Cesarzowa schwytała furie – ciągnął Acronis. – I wytrenowała ją do gry.

Torgunowie patrzyli na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Co to takiego? Jak wygląda cała ta furia? – spytał Bjorn.

– Furie przybierają postać pięknych niewiast. Ponoć przyciągają je osoby, które popełniły jakieś morderstwo czy inny akt przemocy. Cierpienie i strach ofiar działają na nie mniej więcej tak jak krew na rekiny – wyjaśniał Acronis. – Są tacy, którzy wierzą, że furie mszczą się w ten sposób na mordercy, męcząc go, dopóki nie oszaleje. Inni twierdzą, że ta diabelska rasa po prostu lubi zadawać ludziom ból, a wybiera morderców, bo od nich odwrócili się bogowie.

– W legionach służyłem z mężczyzną, którego prześladowała furia – dodał Zahakis. – Za to, że zabił żonę. Oszalał zupełnie. Wskoczył do rzeki i utonął.

Torgunowie patrzyli na nich sceptycznie. Poza Skylanem, który aż za dobrze pamiętał, jak prześladowała go draugra jego zmarłej żony.

– Jak walczą furie? – spytał jak zwykle praktyczny Strażnik. – W jaki sposób atakują? Jakiej broni używają?

Acronis pokręcił bezradnie głową.

– Miałem nadzieję, że zobaczę ją podczas procesji, ale Cesarzowa uznała, że to stworzenie jest zbyt niebezpieczne, by pozwolić mu przejść przez tłum. Na arenę dostarczą ją specjalne straże.

Gdyby był z nimi Wulfe, mógłby opowiedzieć Skylanowi wszystko o furiach. Albo przynajmniej zmyślić jakąś obrazową bujdzę. Skylan miał jednak nadzieję, że Wulfe

posłusznie siedzi skryty na okręcie. Chłopak obiecał mu, że tam zostanie, ale Skylan nie wierzył mu już zupełnie. Gdy przypomniał sobie o nim, wpadł mu jednak do głowy pewien pomysł.

– Powinniśmy się wycofać – mówił właśnie Strażnik.

Skylan wskazał mu ludzi na trybunach.

– Chcesz, żeby się z nas śmiali?! Żeby wyzwali nas od tchórzy? Nie! Poza tym nie ma takiej potrzeby. Skoro ta cała furia należy do leśnego ludu, walka z nią to betka. Leśny lud boi się żelaza. Ucieknie na sam widok mieczy.

– A skąd wiesz? – spytał sceptyczny Strażnik.

Skylan nie mógł przecież powiedzieć, że widział poparzone od miecza dłonie Wulfe'a.

– Każdy Vindras wie takie oczywistości – odparował.

Obejrzał się na Bjorna, Grimuira, Sigurda i pozostałych, licząc na wsparcie z ich strony. Wyglądali na zaskoczonych, bo oczywiście nigdy nie słyszeli o takich przymiotach leśnego ludu, ale za wszelką cenę chcieli trzymać znów w dłoniach broń, więc poparli go głośno i z przekonaniem.

– Musimy grać – dodał Skylan. – Tu chodzi o honor Vindrasów.

– Cesarzowa ma w nosie wasz honor – powiedział Acronis. – Robi to tylko po to, by zyskać sympatię tłumu, który uwielbia rozlew krwi. Ale to wbrew zasadom. To zniewaga!

– Odpowiemy na zniewagę, zabijając tego potwora – obiecał Skylan.

– Skoro mowa o potworach – mruknął Sigurd i splunął. – Zobaczcie, kto idzie złożyć nam wizytę.

Zbliżali się ku nim Raegar i Treia. Wyraźnie się spieszyli. Raegar, który uczestniczył rano w ceremonii poświęcenia zawodników, miał jeszcze na sobie rytualne szaty i zbroję. Jego łysa głowa połyskiwała od potu. Treia ubrana była w szaty kapłanki Aelona. Torgunowie po raz pierwszy zobaczyli ją w tym stroju i ryknęli z wściekłości.

– Znasz zasady, Raegarze – powiedział Zahakis, wychodząc im naprzeciw. – Nie powinienes do nas podchodzić.

– To sprawa wyjątkowej wagi – rzekł Raegar. – Wylosowaliście drużynę Cesarzowej. Właśnie słyszałem, że gra tam jakieś stworzenie z leśnego ludu.

– Tak, i my o tym słyszeliśmy – odparł mu Zahakis. – Dziękujemy za ostrzeżenie, ale musicie już iść...

– Zatem oczywiście wycofasz drużynę z gry, Legacie. – Raegar spoglądał na Acronisa, omijając wzrokiem Zahakisa. – Nie martw się o ranking. Osobiście zwrócę uwagę Kapłana Generała na to poważne naruszenie zasad...

Acronis spojrzał pytająco na Strażnika, który głośno powiedział:

– Skylan ma rację. Ja także nie chcę wyjść na tchórza.

– Nie wycofam swojej drużyny – oświadczył Acronis i z chytrym uśmieszkiem dodał: – Jak sam wspomniałeś, ktoś tu poważnie naruszył reguły gry, Raegarze, toteż ufam, że Aelon będzie miał to na uwadze i pobłogosławi nas.

Raegar wiedział aż za dobrze, że Acronis kpi sobie z niego w żywe oczy, ale przyszedł tu w konkretnym celu.

– Boję się o Torgunów. Jestem jednym z nich. To moi rodacy...

W jego czoło uderzył kamień. Raegar rzucił wściekłe spojrzenie na Torgunów, ale stali zwartą grupą i nie sposób było powiedzieć, kto go zaatakował.

– Mam świadomość, że mi nie wierzycie – warknął – ale przywiozłem was tu dla waszego dobra. Musiałem uratować was przed bogami, którzy są starzy i beużyteczni, oraz ukazać wam moc Aelona, boga młodego i potężnego.

Tak zwykle cichy i małowówny Farinn wydał z siebie nagle dziki skowyt i rzucił się na Raegara, a jego dłonie zacisnęły się na gardle kapłana. Skylan i Bjorn musieli go siłą odciągnąć od ofiary.

– Myślę, że lepiej będzie, jak już sobie pójdziecie – stwierdził Acronis.

– Pójdziemy – odpowiedziała mu Treia, która dotąd przyglądała się wszystkiemu w milczeniu. – Ale najpierw chcę porozmawiać z moją siostrą. Na osobności.

– Przykro mi, pani – rzekł Acronis. – Lecz, tak jak powiedział Zahakis, byłoby to złamaniem reguł.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Treia. – Co ma moja rozmowa z siostrą do jakichś reguł?

– Nikt nie ma prawa rozmawiać z graczami przed rozpoczęciem meczu. Wyjątkiem są trenerzy drużyn i ich właściciele. Ta reguła jest bardzo stara, pani, i powstała, by zapobiegać oszustwom w zakładach poprzez przekupienie zawodników, przemycenie im opiatów lub zatrucie.

– Przecież Aelon zakazuje hazardu – zauważyła Treia.

– To prawda – zgodził się Acronis poważnym tonem, lecz ukradkiem mrugnął do Zahakisa – zarówno ty, pani, jak i ja wiemy jednak przecież, że są na tym świecie źli ludzie. Ludzie, którzy zrobią wszystko dla pieniędzy.

Treia była wyraźnie niepocieszona.

– Ale ja muszę porozmawiać z siostrą.

– Powiedz to na głos, tak, żeby wszyscy słyszeli – zaproponował Acronis. – A potem idźcie już.

Treia spojrzała na Raegara.

– On ma rację – przyznał Raegar. – To byłoby niezgodne z regułami Para Diksu.

Treia odwróciła się w stronę Aylaen.

– Siostrzyczko, czy chciałabyś mi coś powiedzieć? – spytała.

– Tylko to, że bardzo cię kocham, siostro – odpowiedziała Aylaen i spuściła wzrok.

Treia zacisnęła usta.

– Nic więcej?

Aylaen pokręciła głową. Skylan miał ochotę spytać Treię i Raegara o tę kość ducha Vektii, ale przysiągł Aylaen na Torvala, że zachowa w tajemnicy wszystko, co mu powiedziała. Złamał już zbyt wiele obietnic, by łamać jeszcze jedną.

Raegar zobaczył, że sędzia spogląda na nich groźnie, więc wziął Treię za ramię i pociągnął za sobą. Niezadowoleni z niepowodzenia zeszli z boiska.

Skylan usiłował spojrzeć Aylaen w oczy, ale odwróciła głowę. W tej cudacznej zbroi było jej zadziwiająco dobrze. Skórę miała opaloną po morskiej podróży, rude włosy dosłownie płonęły w promieniach słońca. Stała z dumnie uniesioną głową, ręce skrzyżowała na piersi, oczy utkwiała w murawie boiska, jakby wszystkie jej myśli koncentrowały się już na grze. Skylan mógłby się jednak założyć o całe stado bydła, że w ogóle nie myśli o meczu. Żałował, że nie udało mu się jej przekonać, żeby jednak podzieliła się z nim swoimi problemami, ale wiedział dobrze, że zmuszanie jej do czegokolwiek tylko zwiększyłoby jej upór. Przyszła do niego raz. Przyjdzie może jeszcze raz.

Zahakis i Acronis dyskutowali nad czymś z ożywieniem. Udając, że się przesuwają, żeby lepiej obejrzeć boisko, Skylan podszedł tak, żeby ich słyszeć.

– Na wszelki wypadek – mówił właśnie Acronis – zabierz Chloe do domu.

Zahakis uśmiechnął się niewesoło.

– Niby jak mam to zrobić, panie? Nie pójdzie po dobroci. I pozwól, że ci przypomnę, panie, że jest gościem Cesarzowej. Siedzi w cesarskiej łoży. Może gdybyś ty z nią porozmawiał...

Acronis pokręcił głową.

– Nie mam teraz czasu, żeby się z nią kłócić. To nasz mecz rozpoczyna dzisiejsze rozgrywki, a ja już dawno powinienem zająć swoje stanowisko na boisku. Widzisz, już nawet mnie szukają. Zahakisie, idź do mojej córki. Broń jej. Cokolwiek by się ze mną stało. Rozumiesz?

– Tak, Legacie.

Zacisnąwszy dłoń na pochwie miecza, żeby mu się broń nie obijała o nogi, Zahakis pobiegł w stronę cesarskiej łoży i małej postaci, którą wnosili tam właśnie tłusty niewolnik Kakos.

Skylan spojrział na boisko, na sześć wielkich głazów ułożonych w kole, na kwadraty wymalowane na murawie, znicz płonący w środku areny. Po przeciwnej stronie gracze z cesarskiej drużyny zbierali się wokół swego kapitana. Byli ponurzy i rozeźleni.

– Mam dziwne wrażenie, że pomysł, żeby znaleźć się z furią na jednym boisku, podoba się tym draniom mniej więcej tak jak nam – mruknął Skylan do Bjorna.

– Nic już z tego wszystkiego nie rozumiem. Szczególnie tego nagłego przyływu miłości braterskiej u Raegara. – Bjorn spojrział przez ramię na Aylaen. – A z nią dzieje się coś bardzo

niedobrego. Odkąd wróciła z wizyty w Świątyni, zachowuje się dziwnie. Co ten podły bóg jej zrobił? Wiesz coś o tym?

Skylan wiedział, ale nie mógł mu powiedzieć. Na szczęście oszczędzono mu wymyślania jakiejś wymijającej odpowiedzi, bo Strażnik właśnie wzywał swoich zawodników, by przedstawić im plan gry.

Torguńscy wojownicy wpatrywali się w swojego kapitana kompletnie skołowani.

Rozdział 3

Jak na popołudniowy mecz łoża cesarska była niezwykle zatłoczona. Ludzie siadali na swoich miejscach, niewolnicy otwierali dla nich kosze z jedzeniem, nalewali wina. Nawoływano do znajomych, śmiano się i rozmawiano. Wymieniano najnowsze plotki. Raegar dostał rozkaz, że ma się zgłosić do Xydisa. Musieli wyjść z łoży i zejść na murawę, tuż pod trybunami, żeby móc porozmawiać w spokoju.

– Aylaen nie chce nam powiedzieć. Co za uparta dziewczyna – relacjonował Raegar przełożonemu. – Pewien jestem, że wie, ale celowo chce nam popsuć szyki.

– Trzymamy jako zakładnika ducha jej ukochanego – powiedział Xydis. – Zrobiłaby wszystko, żeby go uwolnić. To Skylan nie chce jej powierzyć tajemnicy. Czy ostrzegłeś Acronisa przed furią?

– Tak – zapewnił go Raegar.

– Wycofuje się oczywiście.

– Nie, Czcigodny Panie, odmówił.

– Co za bezczelny głupiec! – zdenerwował się Xydis.

– Cesarzowa złamała reguły gry – szepnął Raegar tak cicho, że Xydis musiał wyteńczyć słuch, żeby go dosłyszeć. – Czy nie możemy w jakiś sposób odwołać tego meczu?

– Cesarzowa to cesarzowa – mruknął Xydis. – Dla niej reguły nie istnieją. Apropoz Cesarzowej, muszę być w pobliżu, gdy przyjedzie, żeby ją odpowiednio powitać. Porozmawiamy potem. Módl się do Aelona.

– I co? – chciała od razu wiedzieć Treia, gdy Raegar wrócił na swoje miejsce tuż obok znicza. Jako kapłan wojownik miał stać na straży świętego ognia. – Czy Kapłan Generał odwoła mecz?

– Nie może – odpowiedział Raegar. – To w końcu Cesarzowa. Xydis nic nie może zrobić.

– Ale co z tajemnicą smoka? – zapytała z rozpaczą Treia.

– Xydis mówi, żebyśmy nie tracili wiary w boga, bo on wie przecież najlepiej, co robić – rzekł Raegar. – Aelon ma nas w swojej opiece. A teraz przepraszam cię, obowiązek wzywa, muszę już iść.

Odmaszerował pospiesznie, pozostawiając Treię samej sobie.

– Chrzanić Aelona – zaklęła pod nosem.

Stała chwilę pogrążona w myślach, po czym odwróciła się na pięcie i z determinacją zaczęła przepychać przez tłum.

Wulfe z całego serca pragnął wypełnić polecenie Skylana. Tak naprawdę nie posiadał się ze szczęścia. Znów był wśród przyjaciół, a w dodatku wreszcie oczyścił swoje sumienie, wyznając wszystkie grzechy, bo trochę mu ciążyło zamordowanie tamtych dwóch strażników. Skylan jednak zapewnił go, że wcale się nie gniewa.

– Co nie znaczy, że inni by się nie rozgniewali – ostrzegł go od razu. – A nawet być może chcieliby się ciebie pozbyć. Musisz zachować w tajemnicy to, że... hm... że masz tego demona, tak? Obiecujesz?

Wulfe mu obiecał i czego jak czego, ale tej obietnicy zdecydowanie zamierzał dotrzymać.

Torgunowie ucieszyli się z powrotu chłopca. Wulfe był zaskoczony i wzruszony tą oznaką ich przywiązania. A to sprawiało, że coraz trudniej było mu dochować tej drugiej tajemnicy. Skylan i jego przyjaciele byli w niewoli, a Wulfe miał przecież sposób, by ich uwolnić. A przynajmniej dać im szansę walki.

Gdy Torgunowie poszli grać w Para Dix, Wulfe został sam i mógł robić, co mu się żywnie podoba. Najpierw postanowił znaleźć coś do jedzenia. Potem poszedł nad rzekę się wykapać.

Chlapał się w wodzie przez chwilę, licząc na to, że napotka jakieś rzeczne duszki, bo strasznie mu się nudziło i czuł się trochę samotny. Nie było tu jednak nikogo. W drzewach nie widział żadnych plotkujących driad. Leśny ludek dawno opuścił tę ziemię lub wygonił go Aelon.

Po pływaniu opadła go senność, wrócił więc do swojego namiotu i uciął sobie drzemkę. Obudził się przerażony. Śniło mu się, że Skylana próbowała zabić jakaś furia.

Woźnicę jednego z kościelnych powozów niezwykle zirytowała Treia, która nagabnęła go ni z tego, ni z owego, po czym kazała mu natychmiast jechać do willi Legata Acronisa, oświadczając, że musi tam leczyć jakiegoś niewolnika. Za nic nie chciał opuścić meczu. Treia powiedziała mu jednak, że działa z rozkazu Kapłana Wojownika Raegara, więc nie miał wyjścia.

Mrucząc pod nosem jakieś przekleństwa, wykonał jej rozkaz i ruszyli zaraz przez zupełnie opustoszałe ulice. Wszyscy byli na meczu. Tylko wśród śmieci pałętały się w poszukiwaniu jedzenia jakieś dzieciaki i kilka na wpół zagłodzonych psów. Brudne kobiety z dziećmi na biodrach stały w drzwiach lub siedziały w cieniu. Powóz minął jakiegoś mężczyznę leżącego w rynsztoku bez ruchu, jakby był martwy albo przynajmniej zupełnie pijany.

Gdy dojechali na miejsce, Treia powiedziała woźnicy, że nie musi na nią czekać; nie wiedziała, jak długo jej to zajmie. Ucieszył się, że tak szybko go zwolniła, i popędził z powrotem na arenę.

Treia energicznym krokiem ruszyła w dół wzgórza, w stronę zagrody dla niewolników.

Gdy Wulfe się obudził, aż nadto wyraźnie pamiętał swój straszny sen. W tym okropnym miejscu jego przyjaciółom groziło niebezpieczeństwo. I będzie tak dopóty, dopóki tu pozostaną. A on może ich uratować i zrobi to.

Wyszedł więc z namiotu i ruszył przez zagrodę niewolników w stronę *Venjekaru*. Okręt nie stał już na platformie, tylko leżał na trawie jak wieloryb, który utknął na plaży. Wulfe podciągnął się na burcie i wskoczył do środka. Poczł się jak w domu, ale to miłe uczucie zniknęło natychmiast, gdy zobaczył głowę smoka opartą o kadłub.

Zawsze odczuwał wielki podziw dla Kahg, podziw podszyty bojaźnią. Czerwone ślupia smoka spoglądały na niego z niechęcią, a przynajmniej chłopiec tak to odebrał.

Znał tajemnicę smoka. Wiedział dobrze, że kość ducha wcale nie zaginęła. Była bezpiecznie schowana w skrytce, którą on sam zrobił na dziobie okrętu. Już raz przecież zamierzał wyjąć tę kość i oddać Skylanowi, ale wtedy głowa smoka odłamała się od dziobu tuż ponad tajną skrytkę.

Na to wspomnienie znów się zawahał, ale potem zebrał się na odwagę i podszedł do smoka, zachowując jednak bezpieczny dystans od jego paszczy ze świeżo pomalowanymi na białło kłami.

Znów mu się przypomniało, jak ta głowa się odłamała i rzuciła na niego. Zadrżał na samo wspomnienie. Teraz tak jakoś leżała na pokładzie, że widać jej było tylko jedno oko. I to oko wpatrywało się w chłopca groźnie.

– Nie chcę cię niepokoić, Kahg – odezwał się Wulfe bardzo uprzejmym tonem. – Tylko sprawdzę szybciułko, czy kość jest nadal bezpieczna. Gdybyś mógł przesunąć się nieco w lewo...?

Smok ani drgnął. Wulfe mógłby oczywiście sam przesunąć galion na stronę, ale już chyba prędzej przyszłoby mu do głowy przesunąć prawdziwego smoka. Chciał właśnie jeszcze grzeczniej błagać, gdy zauważył, że czerwone ślupie już wcale na niego nie patrzy. Oczy chłopca powędrowały za wzrokiem Kahg i Wulfe ujrzał, że ktoś szybko zbliża się do okrętu.

– Treia! – wymamrotał w panice Wulfe. Od razu wiedział, że przyszła po niego. Jeśli go złapie, przekaże go Raegarowi i będzie po nim.

Chłopak wybąkał jeszcze pospieszne podziękowania za to, że Kahg ostrzegł go w porę, i rzucił się w stronę ładowni. Podniósł klapę i wskoczył do środka, by rozpaczliwie szukać jakiejś kryjówki. Zwykle krył się w drewnianej skrzyni, w której Treia i Aylaen trzymały ubrania. Ale Treia znała już ten jego zwyczaj, więc na pewno od razu tam zajrzy.

Sterna koców wydała mu się bezpieczniejsza. Zarzucił je sobie na głowę, zakopał się pod nimi, a gdy usłyszał kroki na pokładzie, zamarł, bojąc się nawet oddychać. Serce biło mu jak młotem, gdy kroki się zbliżyły, i skoczyło do gardła, gdy usłyszał, jak Treia schodzi po drabinie. Będzie szukała pod pokładem.

Zwinął się pod swoimi kocami i czekał, aż go znajdzie. Znów obudził się jego demon i zaczął mu szeptać, żeby ją zaatakował, żeby od razu poderznął jej gardło. Wulfe rozważył takie rozwiązanie, ale był prawie pewien, że smokowi nie spodobałoby się, gdyby zamordował mu kapłankę, a za nic w świecie nie chciał go rozgniewać.

Nie wysłuchał więc podszeptów demona i już po chwili był bardzo z tego zadowolony, bo Treia w ogóle nie podeszła bliżej. Usłyszał, jak się krząta, i odsunął rąbek koca, żeby zobaczyć, co robi. Otwierała właśnie swoją skrzynię i czegoś w niej szukała. Zrobiło mu się słabo na myśl o tym, że mało się tam nie schował.

Treia zaczęła się rozbierać. Zdjęła szatę kapłanki Aelona i rzuciła ją na podłogę. Ze skrzyni wyciągnęła ceremonialne szaty Kapłanki Kai, włożyła je na siebie i uklękła niezgrabnie.

W ładowni było ciemno, zimno i wilgotno. Zdawało jej się przez chwilę, że słyszy jakiś szmer. Odwróciła się i wbiła wzrok w stertę koców, ale jej słabe oczy niczego nie dojrzały. Zresztą nic już nie było słychać.

Pewnie szczur.

Złożyła dłonie, zacisnęła palce na knykciach. Była zdenerwowana. Nigdy przedtem nie rozmawiała z Hevisem, ale знаła dobrze rytualną modlitwę.

Raz do roku Kapłanki Kai poświęcały mu jeden dzień, nie tyle by go uczcić, ile by go udobruchać. Był bogiem ognia i dymu, oszustwa i tajemnic. Ten syn Volindril, bogini wiosny, oraz pięciu smoków Vektii był chytry, niebezpieczny, zdradziecki i niszczycielski. Bez niego jednak Vindrasi nie mogliby przetrwać – na jego ogniu gotowało się ich jedzenie i to on ogrzewał ich podczas długich, ciężkich zim.

– Hevisie, stwórcy i niszczycielu, zanoszę do ciebie korne modły. – Treia rozłożyła ręce i zakreśliła na podłodze runę, która symbolizowała ogień. – Błagam, przybądź, Hevisie. Jesteś mi potrzebny.

Czekała w ciemności. Od klęczenia na drewnianej podłodze bolały ją kolana i myślami znów wróciła do dzieciństwa, gdy tak często musiała godzinami kulić się w świątyni Vindrash i czekać, aż Draya skończy się wreszcie modlić.

Głos, który jej odpowiedział, niemal spalił jej duszę.

– Nie strzepisz języka, Treiu Adalbrand. Podoba mi się to. Nie wyobrażasz sobie, jak inne kapłanki zwykły mnie zanudzać.

Twarz boga jaśniała w ciemności jak rozpalony kawał węgla. Pomarańczowy, czerwony i żółty blask prześwitywał przez szpary, wypływał z ust, oświetlał oczy. Jego włosy były

żywym ogniem. Nie miał ciała, kończyn, korpusu. Ogarnęło ją nieznośne gorąco, które zdawało się wysysać powietrze z ładowni. Odetchnęła z trudem i odsunęła się trochę, żeby nie spłonąć żywcem.

– Dziwi mnie trochę ta twoja modlitwa. Przecież stanęłaś już po stronie innego boga. – Hevis urwał. Jego rozszarpane oczy spojrzały w jej serce. – Paskudne imię tego boga nie pojawi się nigdy na moich wargach. Bóg ten bowiem jest moim śmiertelnym wrogiem.

Treia zadrżała. Być może prawdą zjedna sobie tego boga kłamstwa i oszustwa. Lecz równie dobrze Hevis może ją zniszczyć. Musiała jednak podjąć to ryzyko. Krople potu wystąpiły jej na czoło, spłynęły po twarzy aż na dekolt.

– Nie stoję po stronie Aelona, Hevisie, tak jak nie stoję po stronie żadnego innego boga – wyznała Treia tak cichym głosem, że niemal szeptała. Podniosła wzrok. – Zawsze stoję tylko po własnej stronie.

Jego oczy znów zapłonęły.

– Odpowiedź pełna prawdy. Czego ode mnie chcesz?

Bóg wydawał się obojętny na jej wyznanie. Przybył tu jedynie z ciekawości, nic poza tym. Była jednak niemal pewna, że uda jej się go czymś zainteresować.

– Znam pewną tajemnicę – powiedziała. – Cenną tajemnicę. Jestem tu, by ci ją przekazać. Hevis uśmiechnął się szyderczo. Ogarnęła ją fala gorąca.

– Ty, śmiertelna, śmiesz twierdzić, że wiesz coś, czego nie wiedzą bogowie?

– Tak – odrzekła z pewnością, której nie czuła.

– A więc mów, a ja ocenię, czy masz rację – zażądał Hevis.

– Przychodząc tu, żeby powierzyć ci tę tajemnicę, ryzykuję własne życie. Chcę czegoś w zamian.

Wokół niej rozszalał się ogień i przez chwilę bała się, że zginie na miejscu. Poczowała mdlący smród płonących włosów, jej własnych włosów, i zobaczyła, że na jej szaty spadają iskry i wypalają dziury.

– Najpierw muszę się przekonać, czy ta tajemnica w ogóle warta jest twego nędznego życia – ryknął Hevis. – Co takiego wiesz?

Treia skuliła się przed nim ze strachu i jęknęła.

– Bóg Sund oddał Aelonowi kość ducha jednego z Pięciu Vektii, kość ducha jednego z twych ojców!

Oślepiające światło zbladło, w ładowni zrobiło się chłodniej. Treia odetchnęła z ulgą. Słusznie zgadła, że bogowie Vindrasów nie wiedzą jeszcze o zdradzie Sunda.

– Skąd to wiesz? – spytał Hevis.

– Kapłan Aelona pokazał mi kość ducha. Widziałam ją na własne oczy. Dotykałam jej.

– Skąd wiesz, że to kość jednego z Pięciu?

Treia opisała mu kość, złote okucie, piękne szmaragdy.

– Tak – mruknął Hevis, a w jego głosie pobrzmiwała gorycz. – To kość, której miał strzec Sund. Mówisz więc, że oddał ją Aelonowi? Z własnej woli? Po co?

– Sund spojrział w przyszłość i zobaczył, że Aelon zwycięży w tej wojnie. Torval i wszyscy zostaniecie pokonani. Sund oddał więc kość ducha Aelonowi w zamian za zachowanie życia.

Płomienie Hevisa zasyczały, lecz nie ze złości. Wydawało się, że bóg się śmieje.

– Torval kocha Sunda. To złamie mu serce, więc rzeczywiście to cenna informacja. Cóż takiego pragniesz w zamian, Treiu Adalbrand? Mów, czego sobie życzysz, bo kiedy jestem w dobrym nastroju, potrafię być hojny.

– Naucz mnie rytuału wzywania smoków Vektii.

– Po co ci on? – spytał bóg, a jego płomienie zatańczyły.

– Muszę wezwać smoka, by zniszczył ogry, które chcą zaatakować tę ziemię – wyjaśniła Treia.

– Być może wcale nie znam rytuału.

– Znasz – powiedziała Treia. – Dawno temu pomogłeś już pewnej Kapłance Kai wezwać smoka.

– Nie jesteś Kapłanką Kai.

– Draya nie żyje i nie pozostawiła następczyni – rzekła Treia. – W tych niespokojnych czasach nie tak prędko zostanie wybrana nowa Kapłanka. Jeśli w ogóle się to uda.

– Znasz historię tamtej Kapłanki Kai. Wiesz, że nie była w stanie kontrolować smoka. Wiesz, że smok wpadł w szał i zniszczył całą wieś, zabijając setki ludzi. Musisz mi najpierw udowodnić, że jesteś w stanie panować nad vektyjskim smokiem, Treiu Adalbrand. W przeciwnym razie nie odważę się nauczyć cię niczego.

– Powiedz mi, co muszę zrobić.

– Udowodnij mi, że jesteś dość silna. Pokaż, że nie dasz się ponieść emocjom. Dopiero wówczas uznam, że jesteś zdolna panować nad jednym z Pięciu Vektii. Musisz poświęcić mi jedną z najbliższych ci osób.

– Chcesz powiedzieć, że muszę kogoś zabić? – zawahała się Treia. – Kogoś, kogo kocham?

Pierwszą osobą, która przyszła jej do głowy, był Raegar, i od razu wiedziała, że nie jest w stanie zapłacić takiej ceny. Był dla niej wszystkim. Był jej droższy niż życie. Załamała się. Cały ten wysiłek na nic zupełnie. Potem jednak przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Czy to może być ktokolwiek?

– Tak. Każda osoba, którą szczerze kochasz.

Spociły jej się dłonie; ścisnął się żołądek. Poczowała w ustach gorzki smak. Wzdrygnęła się z odrazą na samą tę myśl, ale potem przypomniała sobie, o co toczy się ta gra. Przełknęła gorycz i oświadczyła:

– Naucz mnie tego rytuału. Złożę ci odpowiednią ofiarę.

Hevis wejrzał w jej serce i uśmiechnął się.

Na widok boga Wulfe zakopał się jeszcze głębiej. Nie widział jego twarzy. Nie miał pojęcia, czego bóg chce. Czuł tylko gorąco i leżał pod kocami, trzęsąc się ze strachu, że bóg Brzydali go tam znajdzie.

Dość dobrze słyszał całą rozmowę między Treią a bogiem, ale był tak przerażony, że zupełnie nic z niej nie rozumiał.

Gdy już był pewien, że umrze ze strachu pod tymi wszystkimi kocami, bóg zniknął nagle, a wraz z nim to koszmarne ciepło. Treia siedziała długo w ciemności. Wulfe zaś leżał pod kocami, nienawidząc jej z całego serca i marząc tylko o tym, żeby sobie już poszła.

Wreszcie usłyszał, jak się poruszyła w drugim końcu ładowni. Odsunął rąbek koca i wziął głęboki oddech.

Treia zdejmowała swoje ceremonialne szaty. Zwinęła je i schowała z powrotem do skrzyni, po czym włożyła suknię kapłanki Aelona. Rozejrzała się jeszcze po ładowni. Wulfe jednak ani drgnął, więc wspiąwszy się po drabinie, odeszła sztywnym krokiem po pokładzie.

Gdy już nie słyszał jej kroków, wybiegł z ładowni i zobaczył jeszcze, jak idzie szybko przez pole. Patrzył za nią, aż zniknęła mu z oczu, a potem wrócił do smoczego łba, który nadal zagradzał mu drogę do kryjówki ze smoczą kością.

– Proszę, pozwól mi ją oddać – wybąkał błagalnym tonem Wulfe.

Czerwone ślepie smoka błysnęły groźnie.

Wulfe westchnął i poszedł poszukać czegoś do jedzenia.

Rozdział 4

Plotka o nowym graczu Cesarzowej obiegała łożę arystokracji jak wiatr buszujący w zbożu. Ludzie wychylali się w stronę sąsiadów, by pochwycić tę fascynującą informację, po czym odwracali się natychmiast, by przekazać ją dalej.

Chloe usłyszała ją od Rosy, która usłyszała ją od niewolnicy należącej do pewnego arystokraty, który usłyszał ją od przyjaciela pewnej damy, która cieszyła się ostatnio sympatią Cesarzowej. Rosa była tak przejęta, że gdy przekazywała opowieść swojej młodej pani, mówiła zbyt szybko i tak bezładnie, że Chloe ledwie udało się cokolwiek z tego zrozumieć. Poza tym córka Legata zdawała sobie sprawę ze skłonności służącej do przesady i w dodatku nie była zbyt pewna źródła tej informacji. Toteż czuła palącą potrzebę potwierdzenia jej u kogoś bardziej wiarygodnego.

Choć siedziała w cesarskiej łoży, była zaledwie niewielkim księżycem orbitującym wokół przewspaniałego słońca – Cesarzowej. Mogła się cieszyć jej światłem i ciepłem, ale jedynie z oddali. Na razie jednak łoży nie oświetlało jeszcze cesarskie słońce, Cesarzowa wciąż bowiem nie przybyła. Zwykle przychodziła na mecze tylko wieczorami, by obejrzeć swoją ulubioną drużynę mistrzów. Mówiło się jednak, że dziś jest już w drodze na boisko. Oczywiście nie spieszyła się, bo podróż w takim upale była niezwykle męcząca. Mecz należało więc przesunąć na późniejszą porę, to jest wtedy, kiedy jej cesarska wysokość zajmie swoje miejsce w łoży.

To opóźnienie i plotka o tym, że sama Cesarzowa będzie kibicować graczom, uwiarygodniło informację o tajemniczym graczem. Chloe marzyła tylko o tym, by ktoś złożył jej wizytę w łoży, lecz choć elegancy panowie kłaniali się jej, a ich żony posyłały jej pocałunki opuszkami palców, nikt nie siadł przy niej, żeby poplotkować.

Chloe rozumiała to wszystko. Jej ojciec był osobą niezwykle zamożną, więc arystokraci byli dla jego córki nienagannie uprzejmi. Nikt nie chciał go urazić. Acronis pozostawał nadal w dobrych stosunkach z Cesarzową i dlatego właśnie monarchini zaprosiła Chloe do swojej łoży. Wszyscy jednak wiedzieli, że Legat ma dość przykry zwyczaj mówienia prawdy prosto w oczy, a w sprawach religii wykazuje niepokojący cynizm. To czyniło ludzi bardzo ostrożnymi. Jeszcze niedawno, gdy nowa religia dopiero wkraczała do tego kraju, arystokracja spoglądała na nią z pewną pogardą, traktując Aelona jako boga młodego, boga

parwienuszy, niższych klas, ludzi niewykształconych i nieumytych, boga nieodpowiedniego dla osób z wyższych sfer.

Z czasem Kościół Aelona wzbogacił się, zyskał większe grono wyznawców, a nastawienie arystokracji zmieniło się diametralnie. Gdy sama Cesarzowa stała się fanatyczną wyznawczynią Aelona, jego kapłani, którzy dotąd wchodzili do willi arystokracji kuchennymi drzwiami, nagle zaczęli być zapraszani na obiady do rodziny królewskiej. Acronis jednak nie zmienił swojego zdania na temat Aelona i Kapłana Generała, a uczucia Cesarzowej do Legata zaczęły chłódnać. Nie mogła sobie pozwolić na otwartą wojnę – ten człowiek miał przecież własną armię i dwie triremy, ale umiała okazywać swoje niezadowolenie na inne, bardziej subtelne sposoby, jak choćby zmniejszenie liczby zaproszeń na obiad.

Acronis nawet tego nie zauważył. I tak nie lubił proszonych obiadów. Wolał zjeść posiłek z ukochaną córką i bliskimi przyjaciółmi. Pochodził z prastarej rodziny arystokratycznej, której przodkowie założyli Sinaric. Był człowiekiem inteligentnym, ale krótkowzrocznym. Z całego serca wierzył, że kult Aelona to chwilowa fanaberia tłumów. Teraz dopiero uświadamiał sobie, że się mylił. Gdyby zobaczył skarbiec kapłanów Aelona i bogactwa, jakie w tajemnicy przed wszystkimi udało się im zebrać, byłby wstrząśnięty.

Chloe podzielała zdanie ojca. Uważała Cesarzową za kobietę głupią i próżną. Córka Legata nie dbała o wyniosłych arystokratów i ich zarozumiałe żony. Było jej wszystko jedno, gdzie siedzi, jeśli miała dobry widok na boisko. Lecz bycie społecznym wyrzutkiem miało swoje wady i nigdy jeszcze nie dały one o sobie znać tak bardzo jak w tej chwili, gdy tak bardzo chciała wiedzieć, co się naprawdę dzieje, a zupełnie nie miała kogo o to wypytać. W końcu zobaczyła Zahakisa i zaczęła rozpaczliwie wymachiwać w jego stronę, a potem wysłała Rosę, żeby przyprowadziła Trybuna.

Wszyscy wiedzieli, że Zahakis jest dowódcą armii jej ojca, nie miał więc żadnych trudności, by wejść do loży Cesarzowej. Podeszedł prosto do Chloe i szepnął:

– Ojciec dał mi rozkaz, bym zabrał panienkę do domu.

Chloe roześmiała mu się w twarz.

– Nie żartuj sobie, Zahakisie. Usiądź tu przy mnie i opowiedz mi wszystko. Czy w tej plotce jest choć ziarno prawdy?

– Mówię poważnie, panienko – odrzekł Trybun. – Taki otrzymałem rozkaz od ojca pani. Usiądź i porozmawiajmy – powiedziała, poklepując zachęcająco jedwabne poduszki obok siebie. Uśmiechnęła się, a na jej policzku pojawił się dołeczek. – Takie są moje rozkazy, a wiesz, że jestem wyższa rangą od mego ojca.

Zahakis nie miał co do tego żadnych złudzeń. Usiadł więc przy niej.

– Słyszałam plotkę, że Cesarzowa chce, by przeciwko drużynie mego ojca grał jakiś straszny potwór – powiedziała z przejęciem. – Czy to prawda?

– Mów ciszej, dziecko – szepnął Zahakis.

Do loży wchodziła właśnie Cesarzowa ze swym dworem. Towarzyszył jej mały piesek, który miał własnego niewolnika, oraz niewolnicy niosący poduszki, niewolnicy z koszami jedzenia, niewolnicy z wielkimi wachlarzami ze strusich piór. Zapanował hałas i rwetes, gdy witała przyjaciół i ludzi z elity, którzy natychmiast otoczyli ją i zasypali pochlebstwami.

– Twój ojciec chciał się wycofać z gry – relacjonował cicho Zahakis, wykorzystując głośne powitania i śmiechy. – Ale ci twoi barbarzyńcy uparli się, że chcą walczyć.

– Skylan! – wyszeptała Chloe. – To on, prawda? On jest taki odważny!

– „Bywa, że odwaga to tylko brak wyobraźni” – mruknął Trybun, powtarzając stare przysłowie.

Chloe zrobiła obrażoną minkę i udała, że uderza go po rękę.

W tej właśnie chwili wszystkie głowy obróciły się w jedną stronę, rozmowy umilkły, tłum na arenie wstał jak jeden mąż. Każdy chciał mieć lepszy widok.

Przez główną bramę wjechał rydwan i wtoczył się na bieżnię okrążającą boisko. Z ust do ust powtarzano sobie, że to właśnie nowy gracz, to właśnie ten tajemniczy stwór zwany furią. Nigdy jeszcze w historii całego Para Diksu nic podobnego się nie zdarzyło. Zawodnicy weszli na murawę, a za nimi sędziowie, Mistrzowie Gry, a nawet wojownicy kapłani, którzy mieli trwać na straży świętego ognia.

Przez tłum przeszedł pomruk zdumienia. Krzyknęło jakieś dziecko, jedna z dam zemdląła, ucichły szepty, zapadła cisza. Ludzie wpatrywali się w bestię oniemiałi.

Furia była zarazem piękna i odrażająca. Jej oczy, wielkie, błękitne i błyszczące, broczyły krwią, która ciekła po jej policzkach niczym upiorne łzy. Zamachała do tłumu delikatną dłonią o długich, smukłych palcach, które kończyły się ostrymi, zaplamionymi krwią szponami. Długie czarne włosy zdobiły węże wyrastające wprost z jej głowy, wijące się, syczące i gryzące się między sobą. Na jej plecach widać było skrzydła o czarnych piórach.

Od pasa w górę była naga. Jej duże piersi dyndały i podskakiwały, gdy rydwan kiwał się na nierównej powierzchni. Długa spódnica z czerwonego jedwabiu opasała jej kibić i opadała prowokacyjnie na nogi. Nikt jednak na arenie nie odczuł na ten widok seksualnego pożądania. Wszystkich ogarnęło lodowate przerażenie.

Zamiast koni rydwan ciągnęli niewolnicy, bo biedne zwierzęta uciekły w popłochu z zaprzęgu. Niewolnicy także nie podjęli się tego zadania z własnej woli. Tych sześciu, którzy w końcu ciągnęli powóz, musiał do tego zmusić sam Aelon, okazując im swoje niezadowolenie poprzez tatuaże. Pocąc się ze strachu i wycieńczenia, ciągnęli rydwan po jego własnych śladach i choć furia była niezwykle ciężka, pędzili w panice, chcąc być jak najdalej od tego upiornego pasażera.

Wszyscy byli tak przerażeni i zdumieni widokiem furii (której najwyraźniej przypadło do gustu to zainteresowanie ze strony tłumu), że mało kto zwrócił uwagę na człowieka, który szedł przy rydwanie. Był wysoki, dobrze zbudowany. Miał gładką twarz, wysokie kości policzkowe i mocną szczękę. Długie, brązowe włosy opadały mu na ramiona. Ubrany był w szare szaty, proste i bez ozdób. Wyraźnie nie bał się furii, bo trzymał się blisko niej i od czasu do czasu zwracał się wprost do niej, jakby coś do niej mówiąc.

Tłum był zafascynowany. Ludzie Oranu wierzyli w istnienie leśnego ludu, wiedzieli, że stanowi on część świata – tę złą część, jak do znudzenia przypominali im kapłani Aelona. Ludzie zachowywali oczywiście zdrowy rozsądek: unikali kręgów z grzybów, przybijali do drzwi warkocze czosnku, a gdy musieli wejść do lasu, wkładali ubrania tyłem naprzód. Te niewinne przesady nikomu nie utrudniały specjalnie życia, a najwyraźniej działały bez zarzutu, bo większość Orańczyków nigdy nie natknęła się na żadne leśne stworzenie.

Pomysł wprowadzenia do gry magicznego potwora wydawał się z początku zabawny. Był to jakiś sposób, by rozświetlić trochę tę szaroburą rutynę codziennego dnia. Teraz jednak zasłona, która oddzielała ich uporządkowany świat od magicznego chaosu leśnego ludu, została brutalnie rozdarta. Oczyma wyobraźni zobaczyli, jak furia śledzi swą ofiarę, jak zakrada się nocą do jej domu, jak wpatruje się w nią, gdy ta próbuje zasnąć, jak roni krwawe łzy, jak rozrywa szponami jej duszę, aż w końcu zastraszonego nieszczęśnika nie ma innego wyjścia, jak tylko sam zakończyć swoje męki raz na zawsze.

Kapłani wojownicy otrząsnęli się z pierwszego szoku i żeby zapobiec masakrze, ruszyli uspokajać tłum, przypominając widzom, że znajdują się pod opieką samego Aelona. Ludzie usiedli trochę spokojniejsi, choć wyczuwało się napięcie.

Niewolnicy zatrzymali rydwan przed lożą Cesarzowej. Monarchini wstała i właśnie miała przemówić, gdy przerwała jej sama furia, która odchyliła głowę i wybuchnęła piskliwym śmiechem. Cesarzowa uśmiechnęła się do niej i obrzuciła tłum niezadowolonym spojrzeniem. Oczekiwała wiwatów i oklasków dla swego „ślicznego zwierzątko”, a niepojęta dla niej reakcja tłumu bardzo ją rozczarowała. Już chciała dać ciżbie poznać, co to złość Cesarzowej, gdy jeden z jej doradców szepnął jej na ucho, że mecz i tak jest już opóźniony i może lepiej nie wystawiać cierpliwości widowni na próbę. Cesarzowa wzruszyła ramionami, z niezadowoleniem otuliła się płaszczem i usiadłszy, wyciągnęła kielich, by nalano jej wina.

Chloe była przerażona, lecz w przeciwieństwie do innych dziewcząt, które piszczały, drżały i zakrywały oczy, jęknęła tylko cicho i sięgnęła po dłoń Zahakisa. Martwiąc się o Skylana, wyglądała z niepokojem na tę część boiska, gdzie stali jej zawodnicy. Odnalazła go z łatwością, bo nawet z oddali widać było jego jasne włosy. Stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi i zmrużonymi oczyma wpatrywał się w furię z uwagą, jakby oceniał wroga, z którym ma się zaraz zmierzyć w ścianie tarcz. Chloe pochyliła się w stronę Zahakisa.

– Czy znasz jakieś modlitwy do Torvala? – spytała szeptem.

– Nie znam żadnych modlitw do żadnych bogów, panienko – odpowiedział. – Dlaczego pytasz?

– Chciałabym prosić Torwała o opiekę nad Skylanem – odrzekła. – A nie wiem, jak się należy do niego modlić w takiej sytuacji. Nie chciałabym go urazić.

– Z tego, co słyszałem, ten bóg nie przywiązuje specjalnej wagi do ceremonii – zauważył Zahakis, ukrywając uśmiech, ale pospiesznie dodał: – Tylko żeby nikt cię nie usłyszał!

Chloe kiwnęła głową, złożyła ręce i wyszeptowała:

– Torwalu, nie znasz mnie, ale ja znam ciebie. Skylan wszystko mi o tobie opowiedział. Jest moim zawodnikiem i mam nadzieję, że nie myślisz sobie, że jestem bezczelna. Chciałam cię tylko prosić, żebyś obronił go przed tym potworem. Dziękuję.

Miała nadzieję, że Torwał zdołał ją jakoś usłyszeć mimo całego tego hałasu w jego pełnej hulanki Komnacie. Ułożyła brodę na dłoniach i zaczęła się wpatrywać w furję, która schodziła właśnie z rydwanu.

– Jeśli to rzeczywiście istota należąca do leśnego ludu, musi być bardzo potężna – stwierdziła Chloe. – Zastanawiam się, jak ludziom Cesarzowej udało się ją złapać? I kim jest ten mężczyzna, który stoi tuż przy niej? Ten w szarych szatach.

Zahakis także przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– To druid.

– Druid?! – Chloe aż jęknęła z przejęciem. – Nigdy w życiu nie spotkałam żadnego druida. Myślisz, że zgodziłby się przyjść do nas na obiad? Musisz koniecznie powiedzieć memu ojcu, żeby go zaprosił, Zahakisie.

– Charakter to masz niewątpliwie po ojcu – mruknął Zahakis, który wciąż obserwował bacznie ludzi wokół siebie. Ze zdumieniem stwierdził, że i on budzi czyjeś zainteresowanie. Xydis przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niego, po czym wstał i zaczął schodzić ku nim po schodach. – Zbliży się Kapłan Generał – ostrzegł cicho Chloe.

– Nic się nie martw – zapewniła go dziewczynka. – Będę bardzo grzeczna. Nie dam ci powodu do wstydu.

Zahakis wstał i zasalutował sztywno. Xydis odpowiedział mu chłodnym spojrzeniem, uklonił się Chloe i oświadczył, że cieszy się, iż widzi ją w tak dobrym zdrowiu. Chloe poruszyła się wśród swoich poduszek i uśmiechnęła uprzejmie. Jako że nie miała matki, to ona występowała w roli pani domu, więc zapytała Kapłana Generała, czy nie zechciałby napić się trochę wina lub zjeść miodowego placka. Podziękował jej równie uprzejmie, rzucił wymowne spojrzenie na Zahakisa i rzekł:

– Muszę zamienić z tobą słówko, Trybunie.

Zahakis więc poszedł z nim aż do jednego z wyjść z cesarskiej loży. Ludzie wokół z przejęciem komentowali to, co przed chwilą zobaczyli. Panował taki gwar, że żaden z nich nie musiał nawet ściszać głosu.

Xydis nie spojrzał na Zahakisa, gdy mówił. Stał wyniośle, jedną ręką podtrzymując sobie poły płaszcza, ze wzrokiem utkwionym w boisko, jakby omawiał właśnie zbliżający się mecz.

– Być może zainteresuje cię fakt, iż Cesarzowa otrzymała tego potwora w podarunku, Trybunie. Nie ma pojęcia od kogo ani skąd. Posłaniec, który go dostarczył, przysięgał, że to stworzenie zostało wytresowane do gry w Para Diksie. Cesarzowa jednak nie była w stanie sprawdzić tej informacji, jako że jej sparaliżowani strachem zawodnicy nie chcieli mieć nic do czynienia z tym potworem. Być może Legat chciałby o tym wiedzieć.

Zahakis zmarszczył czoło niepewny, czy dobrze zrozumiał słowa Xydisa, a jeszcze mniej pewny, dlaczego w ogóle Kapłan Generał je wypowiedział.

– Poza tym losowanie było ustawione, Trybunie – dodał Xydis, z uśmiechem kłaniając się jakiemuś znajomemu. – Osoba, która przesłała ten tajemniczy podarek, określiła jasno, że życzy sobie, by furia walczyła z waszą drużyną. – Po czym Kapłan Generał odszedł, by dołączyć do swoich znajomych.

Zahakis stał chwilę w przejściu, analizując to, co właśnie usłyszał. Podjęcie decyzji nie zajęło mu dużo czasu i pospiesznie wrócił do Chloe.

– Muszę natychmiast porozmawiać z twoim ojcem – powiedział, dodając błagalnie: – Jeśli zgodzisz się wrócić do domu, panienko, będę ci dozgonnie wdzięczny.

– Nie wygłupiaj się, Zahakisie. – Chloe wydeła usteczka. – Zaraz zobaczę, jak gra prawdziwa furia.

– Mógłbym rozkazać moim ludziom zabrać cię stąd siłą...

– A ja bym się obraziła na cały świat i przez tydzień nie dawała wam żyć. Oj, Zahakisie, przestań tak nade mną skakać. Jesteś gorszy niż moja stara niańka. – Potem przyciągnęła go bliżej i szepnęła: – Wiesz dobrze, że jeśli ma mi się stać coś złego, równie dobrze może to nastąpić w domu. A uwierz mi, że wolę być w takiej chwili z tobą i moim ojcem niż sama jedna w naszej willi.

Spojrzała na niego, upewniając się, że ją zrozumiał.

– Nie boję się, Zahakisie. Naprawdę.

– Tak, charakterek to masz niewątpliwie po tatusiu – stwierdził raz jeszcze Zahakis. – Wyślę do ciebie jednego z moich ludzi.

– Tylko nie Manosa – zastrzegła się Chloe, marszcząc nosek. – On puszcza bąki!

Acronis szedł po murawie boiska ramię w ramię z graczem z przeciwnej drużyny. Rozpoczynała się ceremonia otwarcia, podczas której ustalano, do którego z Mirchanów, jak nazywano tych graczy, należy pierwszy ruch. (Nazwa gracza pochodziła od imienia orańskiej bogini Mirchan, znanej wśród Vindrasów jako Mirchana, która była jedną z Norn sprawujących władzę nad ludzkim losem. Z czasem imię to zaczęło także oznaczać „marionetkarz”). Furia dość potulnie dołączyła do drużyny Cesarzowej, a ludzie na widowni

zupelnie przestali się niepokoić. Kiedy minął pierwszy strach, kibicom spodobała się ta ekscytująca atrakcja. Nie mogli się już doczekać rozpoczęcia meczu.

Gdy jeszcze rydwan zataczał triumfalne koło wokół areny, przejechał tuż obok Skylana. Zakrwawione oczy spojrzwały wprost na niego, jakby ze szczególną uwagą. Piękne usta ułożyły się w upiorny uśmiech okraszony szkarłatnymi łzami, które spływały po policzkach i ciekły po wargach. Żmije na głowie zasyczały złowrogo.

Skylan poczuł, że przewraca mu się w żołądku. Zacisnął palce na amulecie Torwała i odwrócił wzrok. Ujrzał wstrząśniętą twarz Sigurda. Poczuł, że stojący obok niego Bjorn trzęsie się cały. Erdmun wydał z siebie dźwięk nieco przypominający skomlenie, a Farinn jęknął cicho. Aylaen wbiła wzrok w ziemię, zaciskając kurczowo dłonie. Strażnik trzymał w rękach jakiś talizman, pocierał go i mruzczał coś pod nosem. Skylanowi wydawało się kiedyś, że wiwerna Matki Sowy jest przerażającą bestią. Teraz przy furii tamta wiwerna zdawała mu się oswojoną wroną.

– Kim jest ten człowiek obok niej? – spytał Aki głosem zachrypłym od strachu. – Czy on też należy do leśnego ludu?

– Nie – odpowiedział mu Skylan. – To druid.

Wulfe wyjaśnił mu już dawno, że ze wszystkich Brzydali leśny ludek ufa tylko druidom.

Ci, których spotkał na Wyspach Druidów, bali się Południowców, gdyż grozili, że przejąwszy władzę na tej pięknej wysepce, wytną święte drzewa i zbudują miasta z kamienia. Co więc robił druid w Sinarii? Czy był niewolnikiem? Więźniem? I dlaczego towarzyszył furii?

Druid odwrócił się i spojrzął Skylanowi prosto w oczy, jakby usłyszał te pytania i chciał na nie odpowiedzieć. Skylan jednak nie miał pojęcia, co tajemniczy przybysz chce mu powiedzieć. Próbował sobie przypomnieć, czy już go widział. Chyba nie. Druidzi, których spotkał, byli siwymi staruszkami. Ten był młody, mógł mieć zaledwie dwadzieścia lat.

Druid wciąż patrzył na niego. Najwyraźniej, choć Skylan go nie znał, mężczyzna znał jego. Na samo wspomnienie o tym, jak źle potraktował jego rodaków na tamtej wyspie, Skylana przeszedł dreszcz przerażenia.

– Ta bestia spojrzała mi prosto w oczy! – mówił właśnie Grimuir roztrzęsionym głosem. – Zobaczyłem w jej twarzy twarz tamtej staruszki, którą zabiłem podczas najazdu. To był wypadek. Celowałem w takiego jednego wojownika, a ona tak jakoś się nawinęła. Włócznia przebiła ją na wylot. Widziałem jej twarz...

Acronis i drugi Mirchan wchodzili już po schodach prowadzących na platformy, z których mieli obserwować grę. Strażnik wcisnął talizman do sakiewki i oznajmił Skylanowi i pozostałym, że już czas.

Rozpoczął się Para Dix.

Skylan i jego przyjaciele mieli wyjść na boisko, by grać w grze, której nie rozumieli. I tak już mieli dość kłopotów i będą musieli się nieźle nagłowić, żeby z nich wybrnąć, szczególnie

że to Aylaen grała na pozycji loris, a zatem była jednym z kluczowych graczy, jak wciąż powtarzał jej Strażnik. Chodziło przede wszystkim o to, że mogła się poruszać w dowolnym kierunku i w dowolny sposób, gdy tymczasem ruchy Skylana i pozostałych były bardzo ograniczone.

Skylan był pradusem, co Strażnik porównywał do roli przywódcy. Był więc jedyną „figurą”, która miała prawo podjąć walkę z pradusem z przeciwnej drużyny, by przejąć ogień na środku planszy. Niestety przedostanie się tam graniczyło z cudem. Skylan nie mógł bowiem po prostu sobie tam podejść (a gdy wczoraj próbował tak właśnie zrobić, dostał kopa w tyłek). Zgodnie z regułami nie mógł się przesunąć na żadne pole, jeśli nie towarzyszyła mu jakaś inna figura. W dodatku z niepojętych dla niego przyczyn, jeśli między nim a ogniem stanął jakiś pionek z przeciwnej drużyny, Skylan musiał cofnąć się aż do „kamienia probierczego”, czyli jednego z sześciu gładów.

Skylan miał dość mętne pojęcie na temat tego, co robi i po co. Pozostali Torgunowie nie radzili sobie lepiej i byli podczas treningów zupełnie zdezorientowani. A teraz w dodatku zamiast skoncentrować się na grze, wpatrywali się w bestię.

Skylan widział twarz Garna i wszystkich tych ludzi, którzy – tak jak Garn – zginęli z jego winy. Te obrazy oplatały go jak żmije, syczały...

Czar prysnął, gdy metal zazgrzytał o metal. To niewolnicy wciągnęli na boisko wóz z bronią. Strażnik nakazał swym graczom wybrać sobie broń i tarcze.

Skylan wpatrywał się ponuro w miecze, które niewolnicy wysypali na ziemię. Broń ta została wykuta specjalnie do gry, a to – jak mówił Strażnik – oznaczało, że chodzi tylko o wygląd. Widowni będzie się zdawało, że jest prawdziwa, ale tak naprawdę te głównie były bardzo słabej jakości, a ostrza po prostu tępe.

Skylan wybrał sobie miecz najlepszy, jaki znalazł. Teoretycznie wszyscy gracze mieli posługiwać się bronią tego samego typu, ale Strażnik uprzedził ich, że najważniejszym graczom pozwalano walczyć lepszą bronią, wykutą specjalnie dla nich. Sędziowie przymykali na to oko.

Skylan dźwignął swój miecz i od razu wiedział, że jest źle wyważony. Już chciał się odwrócić, gdy drgnął i znów spojrzał na stertę broni. Jeden z mieczy wydał mu się znajomy. Był to miecz Aylaen, ten, który podarowała jej sama Smokini Vindrash. Popatrzył na Strażnika ze zdumieniem.

– Ona walczy w imię swojej bogini – wyjaśnił ogr. – Powinna więc walczyć mieczem, który podarowała jej Vindrash.

Aylaen wpatrywała się w swoją broń, ale ani drgnęła. Jeszcze niedawno była z niej tak dumna. Skylan pamiętał, jak czyściła ją z wielką troską, jak spędzała całe dni na tarcu i oliwieniu ostrza, by usunąć rdzę, jak polerowała go miękką szmatką, żeby w końcu doprowadzić do użytku ten stary, przez lata nieużywany miecz, który znalazła w Świątyni Vindrash.

– Co się dzieje z tą kobietą? – jęknął zirytowany Strażnik. – Wiele ryzykowałem, żeby przeszmuglować dla niej tę broń!

Ogr schylił się, wziął miecz do ręki i rzucił go Aylaen. Ostrze wbiło się w ziemię u jej stóp.

– Świetny miecz – powiedział na głos. – Idealny dla kobiety. – A ciszej dodał: – Bierz go! Nie obrażaj swej bogini!

– Już ją obraziłam – odrzekła Aylaen. – Nie odważę się obrazić jej jeszcze bardziej, dotykając świętego miecza.

Sięgnęła po topór. Świetnie posługiwała się mieczem, toporem znacznie gorzej.

– Powiedz jej coś! – syknął na Skylana Strażnik.

– Oszczędź sobie – ostrzegła go Aylaen. – Nawet nie tknę tego miecza. Vindrash by mnie za to przeklęła. Nie masz pojęcia, Skylanie, co ja zrobiłam!

Rozległ się dźwięk trąbki. Wzywano graczy. Kręcąc głową z rezygnacją, Strażnik wziął miecz bogini i rzucił go na stertę broni.

Rozdział 5

Zgodnie ze wskazówkami Strażnika stanęli na liniach bocznych. Strażnik miał właśnie opisać im, jak będzie wyglądać otwarcie gry, gdy na dźwięk trąbki Sigurd chwycił topór i wybiegł na boisko.

– Wracaj, ty dupku! – darł się za nim Strażnik, biegnąc ile sił w nogach. – Wracaj natychmiast!

Sigurd zatrzymał się i rozejrzał.

– Do mnie mówisz? A co ja takiego zrobiłem? – spytał zdumiony.

– Nie twoja kolej! – grzmiał Strażnik. – Złaż mi zaraz z boiska, kretynie, nim stracimy przez ciebie ruch! A następnym razem czekaj, aż ci powiem, że zaczynamy!

Tłum potrzebował czegoś, co rozładowałoby napięcie wywołane pojawieniem się furii, a błąd Sigurda wydał się wszystkim niezwykle zabawny. Gracze z drużyny Cesarzowej uśmiechnęli się szyderczo, a jeden z nich krzyknął, że może lepiej by było, gdyby Barbarzyńcy od razu się poddali i oszczędzili sobie dalszych upokorzeń.

Do Sigurda dotarło, że to z niego śmieje się cała arena. Spurpurowiał ze wstydu i zszedł z murawy. Gdy dotarł do linii bocznych, cisnął toporem o ziemię i klnąc i pomrukując, oświadczył, że prędzej umrze, niż weźmie udział w „tej głupiej grze”.

Strażnik wezwał Aylaen, Bjorna i Farinna. Wyjaśnił im, jak będą grać. A gdy cała trójka wpatrywała się w niego dość tępo, powtórzył cierpliwie instrukcje, ignorując buczenie dochodzące z widowni. Acronis, jako Marchin, wyznaczył cel, jaki mieli osiągnąć w tej rundzie. Strażnik przekazał go graczom i wysłał ich na boisko. Zawodnicy mieli wymyślić jak go osiągnąć, nie zapominając o tym, że każdy z nich może się poruszać tylko w określony dla danej figury sposób.

Bjorn, grający na pozycji chaveusa, mógł się przesuwając do czterech pól do przodu, przy czym ostatni ruch musiał zrobić w stronę znicza. Farinn, jako kovas, mógł się przesuwając parzystą liczbę pól, ale ostatni ruch musiał wykonać w stronę przeciwną od znicza. Aylaen, czyli loris, mogła się poruszać w dowolną stronę i o tyle pól, ile jej się podobało. Skylan, pradus, nie miał w ogóle prawa wyjść na boisko w pierwszej rundzie.

Niby wszystko to wiedzieli. Niby już to przeciwicyli. A jednak zupełnie ich to przerastało.

Gra rozpoczęła się wysłaniem na boisko po jednym graczu z każdej z drużyn. Strażnik kazał pierwszej wyjść Aylaen, instruując, że ma stanąć na środkowym kwadracie leżącym na zewnętrznym kręgu.

Aylaen z przerażeniem spojrzała na tłum. Miała wrażenie, że od hałasu na widowni trzęsie się ziemia. Wszędzie wokół widziała rozdziawiające się z ciekawości gęby. Cofnęła się strwożona.

– Nie wyjdę tam! – powiedziała. – Słabo mi...

– To tylko trema – uspokajał ją Strażnik. – Zaraz ci przejdzie.

Pchnął ją, aż potykając się, poleciała na środek boiska. Tłum ryknął śmiechem.

Skylan zamarł. Marchin Cesarzowej wystawił swego lorisę – furię. Stworzenie wkroczyło na murawę zmysłowym krokiem. Spódnica powiewała. Czarne pióra trzepotały poruszone ciepłą popołudniową bryzą. Na jej widok śmiech zamarł ludziom na ustach. Zapadła pełna niepokoju cisza.

– Nie możesz kazać Aylaen walczyć z tym czymś! – wściekł się Skylan. – Wyślij mnie zamiast niej!

Strażnik pokręcił głową ponuro. Wyglądał na zafrasowanego.

– Jesteś pradusem. Nie możesz wyjść teraz na boisko. Ale nie martw się. Nie będą walczyć. To klasyczny gambit. Lorisę Cesarzowej przesunie się teraz o jedno pole...

Furia rzeczywiście zmieniła pozycję, ale bynajmniej nie o jedno pole. Rozłożywszy skrzydła, uniosła się w powietrze i pofrunęła.

Jej usta rozwarły się w makabrycznym uśmiechu. Wyciągnęła szpony, złożyła skrzydła i zanurkowała w dół. Wprost na Skylana.

Zdążył usłyszeć wrzask Aylaen i ostrzegawczy krzyk Bjorna.

Przypomniał sobie, co sam przed chwilą mówił o leśnym ludzie i żelazie, więc wyciągnął miecz, by odeprzeć atak.

Furia zaskrzeczała ze złości. Machając skrzydłami, krążyła wokół niego. Skupiła wzrok na mieczu. Z jej zakrwawionych oczu błysnęło białe, gorące światło. Promień uderzył w broń Skylana, a żelazo zaczęło topić mu się w dłoniach. Kapało na ziemię jak sople.

Bestia natarła, nim zdołał pojąć, co się stało. Uderzyła całym cielskiem, powaliła go na ziemię. Przysiadła na nim, wbijając mu w brzuch jego własne kolana. Śmierdziała jak rozkładający się trup. Machała skrzydłami. Żmije na jej głowie syczały i kąsały go. Jej wargi rozsunęły się, ukazując poplamione krwią kły. Zacisnęła pazury na jego szyi.

Skylan zakrztusił się. Poczul w ustach krew. Chwycił ją za nadgarstki, próbując wyrwać się z morderczego uścisku. Była jednak niezwykle silna i roześmiała się tylko upiornie z jego daremnych wysiłków. Nie mógł oddychać. W oczach błyskały mu światła. Tracił już przytomność, gdy nagle furia rozluźniła uścisk.

Bjorn, Strażnik i Grimuir rzucili się na bestię i zdołali odciągnąć ją od Skylana. Wziął łapczywy oddech i krztusząc się rozpaczliwie, przetoczył się na bok, zbyt słaby, by zrobić cokolwiek innego. Bezsilny patrzył, jak tych trzech silnych mężczyzn walczy z furią.

Bjorn puścił ją, rycząc z bólu, i upadł na ziemię, zaciskając dłoń na ramieniu, na którym z dwóch dziur tryskała krew. Ukąsiła go jedna ze żmij.

Sigurd ryknął, żeby zeszedł mu z drogi. Strażnik i Grimuir odskoczyli, a Sigurd popędził na bestię z uniesionym wysoko toporem. Zwróciła na niego swój biały wzrok, a ostrze topora rozpuściło się i spłynęło na ziemię. Klnąc dziko, Sigurd natarł na nią samym trzonkiem. Furia wyrwała mu go z ręki i trzasnęła w skroń z taką siłą, że drewno rozkruszyło się w drobne drzazgi. Sigurd osunął się na ziemię. Zdołał się jeszcze unieść, po czym jęknął i padł bez sił. Nie podniósł się więcej.

Farinn chwycił za włócznię i chciał nią cisnąć. Bestia dojrzała go i splunęła mu w twarz. Farinn wrzasnął i upuścił broń. Wyjął z bólu, chwycił się rękoma za oczy.

Strażnik porwał pierwszy z brzegu miecz i próbował dźgnąć furię w plecy. Jedno z jej skrzydeł dotknęło żelaza. Zaśmierdziało spalonymi piórami, furia zaskrzeczała i obróciła się w jego stronę. Z jej oczu tryskała krew, opadając na ostrze, które rozgrzało się do czerwoności. Strażnik puścił je z krzykiem.

Furia skierowała wzrok na stertę broni. Ostrza toporów stopniały. Głównie mieczy zaczęły bulgotać i znikać. Zadowolona i pewna, że wrogowie już nie mają jak jej zaatakować, bestia odwróciła zakrwawione oczy w kierunku Skylana.

Zamachała skrzydłami i uniosła się w powietrze. Skylan chwycił drewniano-skórzaną tarczę i trzymał ją przed sobą, desperacko rozglądając się za jakąkolwiek bronią. Popatrzył na górę stopionego żelastwa i ujrzał miecz Aylaen. Nietknięty. Stał głowni się nie stopiła.

Pobiegł w tę stronę. Bestia spadła na niego, więc skrył się pod tarczą, a ona uderzyła w nią pięścią.

Drewno roztrzaskało się. Dzięki skórze tarcza wciąż się jako tako trzymała. Znow biegł w stronę miecza, wskazując na niego i wrzeszcząc wniebogłosy. Jego wojownicy skupieni byli na furii, czaili się tuż obok, niepewni, jak ją zaatakować. Nikt poza nim nie widział miecza. Wrzasnął raz jeszcze, wskazując palcem na broń.

Aylaen zobaczyła jego gest i od razu pojęła, o co mu chodzi. Podbiegła do sterty, wyrwała swój miecz i popędziła w stronę Skylana.

Furia wbiła w miecz wzrok pełen nienawiści. Z jej oczu trysnęło magiczne białe światło. Miecz zajaśniał przeraźliwą bielą, odbijając promień, który uderzył bestię prosto w twarz. Wydała z siebie wściekły pisk i odskoczyła, wpatrując się w broń ze złością.

– Dlaczego nie stopniał? – spytała zdumiona Aylaen.

– Bo Vindrash go pobłogosławiła? Pojęcia nie mam! – Skylan uniósł tarczę. – Atakuj. Będę cię osłaniał.

Aylaen już miała wbić ostrze w straszliwe cielsko, gdy wyrosła przed nią postać w szarej szacie. Druid uniósł dłoń.

– Nie krzywdź jej! – krzyknął.

Skylan myślał, że druid zakazuje furii skrzywdzić Aylaen, lecz nagle olśniło go, że jest wręcz odwrotnie: druid mówił do Aylaen o furii.

Obrzucił boisko szybkim spojrzeniem. Sigurd leżał w kałuży krwi. Farinn wciąż krył oczy w dłoniach. Erdmun usiłował wyssać truciznę z rany brata.

– Z drogi – warknął Skylan z ponurą determinacją. – Nie chcę cię zabijać, ale zrobię to, jeśli nie będę miał wyjścia.

– Błagam! – prosił druid. – Pozwól mi z nią porozmawiać. Szukałem jej po całym Oranie, nim w końcu ją odnalazłem. Lecz niestety było już za późno.

Odwrócił się w stronę furii i zaczął przemawiać do niej w jakimś nieznanym języku. Jego głos był spokojny, jakby próbował ją po prostu udobruchać.

Furia wskazała na Skylana, a jej wargi uniosły się, ukazując zakrwawione kły.

Skylan wciąż trzymał uniesioną tarczę i nie spuszczał bestii z oczu.

Druid znów przemawiał przez chwilę do furii, tym razem znacznie surowszym głosem, a ona zaczęła się złościć, wrzeszczeć coś w odpowiedzi, z nienawiścią wskazując na miecz Aylaen. Żmije na jej głowie wiły się i syczały.

Warknęła i splunęła na Skylana. Ślina chlusnęła na tarczę i wypaliła w niej dziurę. Bestia rozpostarła skrzydła i skoczyła. Przeleciała ponad głowami widowni, zanosząc się ohydny chichotem. Jej lot nabrał prędkości. Pędziła na północ i wkrótce zniknęła na niebieskim niebie.

Nikt nie odważył się nawet poruszyć ze strachu, że może jeszcze wrócić. Dopiero gdy nie pozostał po niej nawet mały punkcik na niebie, zapanował całkowity chaos.

Na boisko wybiegli żołnierze.

– Domyślam się, że teraz mnie aresztują – stwierdził druid z uśmiechem rezygnacji.

– Spróbuj się zgubić w tłumie – krzyknął do niego Skylan. – Będziemy cię chronić.

Druid złożył dłonie na swojej szarej szacie, spokojnie oceniając sytuację, a potem kiwnął głową.

– Dobry pomysł. Lecz nim zniknę, muszę ci coś powiedzieć, Skylanie Ivorsonie. Masz nowego wroga. Ta furia została wysłana, by cię zabić.

Skylan wpatrywał się w niego zaskoczony. Druid pokłonił mu się, po czym odszedł, nie spiesząc się, w stronę trybun. Pięciu żołnierzy biegło tuż za nim, byli już na wyciągnięcie ręki, gdy nagle i druida, i żołnierzy zepchnął na bok tłum kibiców, którzy wtargnęli na murawę boiska.

Skylan przestraszył się, że tłum chce go zaatakować, chwycił więc Aylaen i wepchnął ją za siebie, a potem osłonił się tarczą. Wyciągnęły się w jego stronę dłonie, a on przygotował

się do walki, lecz nim się zorientował, ludzie już klepali go po plecach, ściskali mu dłoń lub tylko próbowali go dotknąć.

Jakaś kobieta wyrwała mu Aylaen, ale tylko po to, by ją serdecznie uściskać. Ludzie wiwatowali, obwołując Barbarzyńców bohaterami.

Kilku mężczyzn chwyciło go i uniosło na ramionach. Inni rzucili się podnosić Strażnika, lecz to okazało się niemożliwe; ogr był zbyt ciężki nawet dla rozszalałego tłumu. Ludzie przejęli więc wóz, w którym przywieziono broń przed meczem, i wepchnęli na niego Strażnika.

Bojąc się, że Aylaen zostanie stratowana, ogr chwycił ją i postawił obok siebie. Stała oszołomiona i trzymała się kurczowo, gdy młodzi mężczyźni zaczęli ciągnąć wóz wokół boiska. Tłum ruszył za nim, tworząc spontaniczny orszak. Inna grupa mężczyzn pobiegła po rydwan, w którym przybyła na arenę furia, i uniósłszy Acronisa, zapakowała go do środka i obwoziła triumfalnie.

W cesarskiej łoży Chloe niemal zemdląła z przerażenia, a teraz po prostu płakała z ulgi. Wrzeszczała, zdzierając sobie gardło, i klaskała w dłonie jak szalona. Gdy ludzie przenosili Skylanę tuż obok niej, zaczęła machać do niego i wołać go po imieniu. Potem pomachała do ojca, który odpowiedział jej uśmiechem.

Chloe podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła, że Cesarzowa wstaje ze swego tronu wściekła jak osa i ostentacyjnie opuszcza łożę. Niewolnicy biegali wokół, usiłując pospiesznie zebrać wszystkie pióropusze, dzbany z winem, poduszki, kosze z jedzeniem i psa. Wzięci z zaskoczenia dworzanie pędzili za nią i w jednej chwili łoża zupełnie opustoszała. Wśród pustych ławek pozostał jedynie Kapłan Generał. Siedział wygodnie rozparty i nie zdradzając żadnych emocji, oglądał tumult na boisku.

Teraz już także zawodnicy z przeciwnej drużyny tłoczyli się wokół Torgunów, przepychając się między sobą, by móc im uścisnąć dłonie.

– Lepiej leć ratować moich niewolników! – krzyknął Acronis do Zahakisa, wychylając się z rydwanu w stronę Trybuna. – Boję się, że mi ich zagłaszczą na śmierć! – Cisnął mu sakwę zwycięzcy, którą dostał przed chwilą. – Może się przydać!

Zahakis wezwał swych ludzi i zszedł na boisko. Weszli między kibiców i rozdając monety, sugerowali, by poszli świętować to zwycięstwo w jakiejś miłej tawernie. Tłum rozszedł się w radosnym nastroju. Zahakis zorientował się szybko, że mimo wszystko Skylanowi udało się utrzymać Torgunów razem. Brakowało tylko Sigurda, Farinna i Bjorna, ale ci znajdowali się w wozie, pod czujną opieką Strażnika. Aylaen próbowała opatrzeć im rany i ukąszenia.

– Zatem? Jakiego boga udało się tobie rozgniewać? – spytał mimochodem Zahakis, kiedy szli ze Skylanem przez arenę.

Gdy ludzie się już rozeszli, a arena opustoszała, Raegar i kapłani wojownicy zostali przydzieleni do oczyszczenia boiska. Treia zastała ukochanego przy grupie niewolników, których nadzorował. Wiązali właśnie liny wokół jednego z przewróconych głazów.

– Gdzieś ty się podziewała? – spytał ją cierpko. – Dokąd to sobie poszłaś? Nie byłaś z innymi kapłankami – dodał z naganą w głosie. – Szukałem cię...

– Poszłam się modlić. Grasz o tak wysoką stawkę, kochany – odrzekła Treia. – Czułam, że po prostu muszę zanieść moje troski do boga.

Raegar otworzył usta, ale się pohamował. Nie mógł przecież łajać jej za to, że się modli.

– Opowiedz mi wszystko – zażądała Treia. – Co takiego straciłam?

Raegar miał wielką ochotę wygadać się komuś, ze szczegółami więc opisał, jak furia zaatakowała Skylana, jak ten potwór topił żelazo samym spojrzeniem zakrwawionych oczu, jak uderzała z siłą dwudziestu chłopca.

– A gdy naszymi modlitwami do Aelona zdołaliśmy wygnać potwora, czy ten motłoch w ogóle to zauważył? – pytał rozjątrzony i rozgoryczony. – Nie! Rzucili się na boisko, by uczcić Skylana i tych jego Torgunów! Zrobili z nich bohaterów! Ta hałastrą stała się nagle ulubieńcami całej Sinarii.

Niewolnicy pociągnęli za liny i głaz zaczął się unosić. Jeden z nich potknął się jednak, puścił linę i skała uderzyła w ziemię. Raegar kopnął niezdarnego niewolnika i kazał im zacząć od początku. Podszedł do Trei, która przyglądała się pracy.

– Jakiś bóg kocha tego cholernego Skylana – ciągnął gniewnym szeptem. – Przeżył nie jedno morderstwo, ale dwa!

Treia oplotła dłońmi jego ramię i przytuliła się czule.

– Trzeciego nie przeżyje.

Raegar prychnął.

– Nie będzie trzeciego. Kapłan Generał już i tak jest na mnie zły. Skyłan musi przecież żyć. Tylko on zna cały ten rytuał...

– Nie on jeden – przerwała mu Treia. – Już nie tylko on.

Raegar spojrzał na nią zaskoczony. Już chciał spytać ją, co ma na myśli, gdy uświadomił sobie, że boisko do Para Diksu nie jest pewnie najlepszym miejscem na tę rozmowę.

Niewolnikom udało się wreszcie ustawić głaz w odpowiedniej pozycji i spojrzeli na Raegara, czekając na dalsze instrukcje. Rzucił im krótki rozkaz, by zebrali śmieci z murawy, a potem zaprowadził Treię do zacienionego, oddalonego kąta pod trybunami.

– Czy Aylaen udało się wydobyć tę tajemnicę? – spytał.

– Nie potrzebujemy już Aylaen – odparła spokojnie Treia. – Ani Skylana.

– Kto więc zna rytuał? – wypytywał niecierpliwie Raegar.

– Ja, mój kochany.

Popatrzył na nią zadziwiony.

– Jestem w stanie wezwać smoka vektyjskiego – ciągnęła Treia. – Mogę odeprzeć inwazję ogrów.

– Ale jak udało ci się osiąść tę tajemnicę? – spytał oszołomiony Raegar. – I od kogo?

– Od Aelona, kochany – odparła Treia. – Od kogóż by innego?

– Od Aelona! Oczywiście! Cud! Cud! – zaczął krzyczeć Raegar żarliwie i wziął ją w objęcia. – Błogosławiony niech będzie Aelon!

– Błogosławiony niech będzie Aelon! – powtórzyła za nim Treia, tuląc się do niego czule.

– Już nie musisz się martwić o życie Skylana.

– Pozbędziemy się wszystkich tych cholernych Torgunów – zapewnił ją Raegar. – Poza Aylaen, rzecz jasna.

Treia zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła twarz w jego piersi, by nie widział jej uśmiechu.

Rozdział 6

Następnego dnia odwołano trening Para Diksu, żeby zawodnicy mogli nieco odpocząć. Skylan zerwał się jednak wcześniej, bo chciał sprawdzić, jak czują się ranni. Szczególnie martwił go stan Farinna, którego oślepiła furia, lecz na szczęście okazało się, że chłopak powoli odzyskuje wzrok.

Wszyscy razem zjedli posiłek, na który składał się chleb i suszone mięso. Wszyscy poza Bjornem, który wciąż odczuwał jeszcze skutki zatrucia jadem żmii. Sigurd i pozostali zastanawiali się, dokąd uciekła furia i czy wystarczająco daleko. Skylan nikomu nic nie powiedział o tym, co usłyszał od druida o jakimś tajemniczym wrogu, który pragnął jego śmierci.

Wojownicy nie szczędzili pochwał Aylaen i bez końca rozmawiali o jej mieczu, którym pokonała furie. To magiczna broń, mówili, pobłogosławiona przez samą Vindrash. Szkoda, że kapłani jej ją zabrali, choć z drugiej strony trudno się im dziwić.

Aylaen przyjmowała ich pochwały z niewyraźnym uśmiechem, a gdy tylko mogła, odłączyła się od grupy pod pretekstem wykąpania Wulfe'a. Gdy patrzyli, jak odchodzi z chłopcem, Grimuir powiedział na głos to, o czym wszyscy myśleli.

– Prawie nic nie zjadła. Coś jej dolega.

– To samo, co nam wszystkim – mruknął Sigurd. – Niewola.

– Może i jesteśmy niewolnikami, ale ludzie nas kochają – wtrącił się Erdmun. – Wiwatowali na naszą cześć. A jedna dziewczyna nawet mnie pocałowała.

– Jego pierwszy pocałunek – dopowiedział Bjorn.

Mężczyźni roześmiali się, choć nie było im do śmiechu. Sigurd nie zadał sobie trudu zmuszenia się do wesołości. Miał opuchnięty nos, podbite oczy, a po jednej stronie głowy wyrósł mu wielki guz. Z obrzydzeniem cisnął o pokład niedojedzonym kawałkiem chleba.

– Torval na pewno nie wiwatował. Gdybyśmy przyszli do jego Komnaty, wystarczyłoby jedno machnięcie jego buta, by wykopać nas za drzwi. – Wstał i obrzucił ich gniewnym spojrzeniem. – To była tylko gra! Jakaś cholerna gra! Jesteśmy niewolnikami, którym każą grać w jakąś cholerną grę! Gdzie tu miejsce na honor?!

– Wczoraj zależało ci na wygranej tak samo jak nam wszystkim – wytknął mu Erdmun.

– Na tym polega ich plan – pieklił się Sigurd. – Traktują nas tak, jakbyśmy byli ważni. – Rzucił Skylanowi ponure spojrzenie. – A niektórym się to zaczyna podobać. Powinniśmy byli uciec wczoraj w całym tym zamieszaniu. Gdzie się podział honor Vindrasów?

– Torval nie poważa tych, którzy tracą życie z głupoty. – Bjorn wskazał na tatuaż. – Co niby mamy z tym zrobić? Odciąć sobie ręce?

– Jeśli nie ma innego wyjścia, może to właśnie powinniśmy zrobić – warknął Sigurd. – Jedno jest pewne. Jak na nas patrzę, to mi się rzygać chce. Szczególnie jak patrzę na ciebie, Ivorson. Podoba ci się tu i dlaczegóż miałyby ci się nie podobać? Uratowałeś życie Legata. Jesteś jego ulubieńcem. Czterech niewolników uciekło tamtej nocy, gdy was napadły wilki. A ty? Czemu też nie uciekłeś? Czemu nie skorzystałeś z okazji?

– Chcesz powiedzieć, że miałem uciec i opuścić ciebie i moich przyjaciół? – spytał Skylan. Pokręcił głową. – Jesteśmy Torgunami. Uciekamy razem albo w ogóle.

– I kiedyś nastąpi ten wspaniały dzień? – syknął zjadliwie Sigurd.

Skylan miał na końcu języka wiadomość o zbliżającej się inwazji ogrów. To wtedy właśnie nastąpi przecież dzień, w którym będą mogli uciec. W zaatakowanym mieście ludzie wpadną w panikę, a żołnierze będą musieli się skupić na odpieraniu najeźdźcy. Nawet Aelon będzie może zbyt zajęty, żeby zwrócić uwagę na kilku marnych niewolników, którzy wymkną się wtedy ze swojej zagrody, zanoszą okręt nad rzekę i odpłyną. Tak właśnie wyglądał jego plan i wiedział, że jeśli jego ludzie go poznają, odzyskają nadzieję.

Słowa cisnęły mu się na usta, lecz w końcu nic im o tym wszystkim nie powiedział.

– Nastąpi, kiedy nastąpi – mruknął tylko wymijająco.

Ta odpowiedź nikogo jednak nie zadowoliła. Torgunowie popatrzyli na niego z rozczarowaniem. Sigurd prychnął z pogardą, a Skylan odwrócił głowę. Nie chodziło o to, że nie ufa przyjaciółom. Wszyscy razem, nawet Sigurd, rzucili się mu przecież wczoraj na ratunek, gdy zaatakowała go furia. Wiedział jednak, że gdyby powiedział im o inwazji, byłiby tak przejęci, że trudno byłoby im ukryć podekscytowanie. Radośni, pełni nadziei niewolnicy. Niewolnicy w dobrych nastrojach. Niewolnicy uśmiechający się do siebie nawzajem i szepczący coś konspiracyjnym tonem. Na pewno nie uszłoby to uwagi strażników i zaczęliby coś podejrzewać.

Trudno mu było utrzymać tę informację w tajemnicy. Wciąż musiał uważać, żeby się nie wygadać.

Ale co będzie, jeśli inwazja wcale nie nastąpi? Tyle rzeczy mogło przecież pójść nie po jego myśli. Choćby jakiś sztorm, który mógł posłać całą ogrzą flotę na dno morza. Raegar i jego kapłani z pewnością modlą się o to dzień i noc, a Aelon być może jest dość potężny, by zniszczyć swych wrogów wiatrem i wodą.

Była też kwestia kości ducha vektyjskiego smoka. Jakże mógłby pozostawić ją w rękach wroga? Wciąż łamał sobie głowę nad jakimś sposobem, by wykraść ją kapłanom. Miał jednak świadomość, że to zadanie ogromne, może nawet niemożliwe. Spojrzał na głowę smoka,

która wciąż leżała oparta o nadburcie. Jego ludzie uwierzyli już, że naprawienie galionu także jest niemożliwe, ale Skylan wciąż nie chciał się poddać. Przypomniawszy sobie, jak Vindrash ukazała mu się niedawno na pokładzie *Venjekar*.

Poszedł szukać Aylaen. Znalazł ją dzięki rozpaczliwym piskom Wulfe'a. Oboje byli właśnie nad strumieniem. Aylaen trzymała chłopca za ramię i tarła go energicznie ługowym mydłem. Wulfe darł się, że go nim zatruje.

Na widok Skylana chłopak zaczął błagać o ratunek. Skylan pokręcił jednak głową i przyglądał się tym ablucjom z rękoma skrzyżowanymi na piersi, póki Aylaen nie uznała, że dziecko jest już czyste i można je wypuścić na wolność.

Wulfe posłał Skylanowi spojrzenie pełne wyrzutu i czmychnął. Skylan podszedł do Aylaen, która właśnie wychodziła z rzeki.

– Muszę cię spytać o tę kość ducha...

– Przypomniałeś sobie tajemnicę smoka Vektii? – spytała z przejęciem Aylaen.

– Nie – odpowiedział. – Ale myślałem o tym długo i wydaje mi się, że ją znam. Tylko nie wiem, że ją znam.

Aylaen pokręciła głową.

– To nie ma sensu.

– Czy Treia powiedziała ci, skąd Południowcy mają tę kość? – spytał. – To nie ta sama kość, którą ukradły nam ogry, prawda?

– Nie, inna. Powiedziano mi... – Aylaen urwała, jakby starannie dobierała słowa – ...że to bóg Sund przekazał ją Aelonowi. Z początku w to nie uwierzyłam, ale po zastanowieniu doszłam do wniosku, że to niestety może być prawda.

Skylan milczał, czekając, co jeszcze mu powie.

– Wiesz, że czasem mam te wizje – dodała niepewnie. – Widzę bogów... Treia zawsze na mnie fukała jak jej o tym mówiłam. Mówiła, że to tylko głupie sny. Ale to nie są sny, Skylanie.

Rzuciła mu groźne spojrzenie, jakby oczekiwała, że jej zaprzeczy, ale on milczał, więc po chwili znów zaczęła mówić.

– Prawdziwe sny kłębią się jak szalone. Wszystko jest szare i czarne i nic nie ma sensu. A moje wizje są jasne, pełne światła i kolorów. Dobrze je pamiętam. Słyszę każde słowo. Byłam z bogami w Komnacie Torwała. Właśnie wrócili z bitwy. Mieli broń i tarcze. I jednego z nich brakowało. Właśnie boga kamienia, Sunda.

– Druid powiedział – przerwał jej Skylan – że ktoś potężny wysłał furię, żeby mnie zabiła. Może to Sund?

Aylaen popatrzyła na niego w zamyśleniu.

– Nie, to by nie miało sensu. Skoro Sund dał Aelonowi vektyjską kość ducha, musi mu przecież zależeć na tym, żeby kapłani byli w stanie wezwać smoka. A to z kolei oznacza, że pewnie raczej wolałby, żebyś żył, bo przecież znasz tę tajemnicę.

– Masz rację – przyznał Skylan. Był w kropce.

– Chyba że... – Aylaen zawahała się.

– Chyba że co?

– Chyba że chodzi o samą tajemnicę. Sund to jedyny bóg, który umie spojrzeć w przyszłość. To miała na myśli Vindrash, gdy powiedziała, że pozostali bogowie są teraz ślepi. A jeśli Sund dał naszym wrogom kość ducha z zupełnie innego powodu, niż nam się wydaje? I z innego powodu, niż im się wydaje... – Aylaen chwyciła go za ramię i potrząsnęła mocno. – Przypomnij sobie, Skylanie! Musisz sobie przypomnieć! Znając tajemnicę, odnajdziemy klucz do całej tej zagadki!

– Do zagadki samych bogów – powiedział ponuro Skylan. – Może w ogóle nie ma tu odpowiedzi. – Westchnął, a potem ze smutnym uśmiechem stwierdził: – Tyle dobrego z tej całej tajemnicy, że przynajmniej znów się do mnie odzywasz.

Aylaen spłoniła się i szybko puściła jego ramię.

– Wiem, że nigdy nie wybacysz mi śmierci Garna – dodał. – Nie zasługuję zresztą na twoje wybaczenie. Sam nigdy sobie nie wybaczę. Mam jednak nadzieję, że już mnie tak nie nienawidzisz...

– Byłam wściekła, Skylanie – przyznała Aylaen i westchnęła smętnie. – Byłam pełna nienawiści. Do ciebie. Do bogów. Do Garna za to, że umarł i mnie opuścił. Teraz nienawidzę już tylko samej siebie. Popęliłam straszny uczynek, Skylanie. Gorszy niż wszystko, co możesz sobie wyobrazić.

Spadając w otchłań rozpaczy, wyciągała dłoń po pomoc. Już niemal była gotowa wyznać mu wszystko. Czekał, nie śmiać nawet oddychać, by jej nie wystraszyć.

– Skylanie Ivorsonie! – ryk Zahakisa rozległ się w całym obozie.

– Cholera! – zaklął Skylan.

– Lepiej idź już – szepnęła Aylaen.

– Porozmawiamy później – obiecał, a ona kiwnęła głową, ale wiedział, że druga taka szansa nie nastąpi.

Zahakis przyprowadził ze sobą Treię. Skylan wychodził z zagrody niewolników, gdy siostra Aylaen właśnie do niej wchodziła. Nie spojrzała nawet na niego, przemykając obok.

– A ona co tu robi? – spytał Skylan.

– Powiedziała, że chce rozmawiać z ojczymem i pozostałymi Torgunami – wyjaśnił Zahakis.

– O czym niby? – zaniepokoił się Skylan, natychmiast pełen podejrzeń.

Zahakis wzruszył ramionami.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

– Powinienem zostać i dowiedzieć się, o co chodzi...

Zahakis spojrzał na niego znacząco, a potem wzrokiem wskazał mu sześciu żołnierzy, którzy maszerowali za nimi. Skylan tylko westchnął.

– Czego chce ode mnie Legat? – spytał poirytowany.

– To nie Legat. To Chloe. Pytała o ciebie. Z nią nie jest dobrze, Skylanie – dodał nagle Zahakis. – Medycy mówią, że miała za dużo wrażeń. Mówią, że mamy robić, czego tylko zapragnie. Spełniać każdą jej zachciankę.

– Chloe jest umierająca? – spytał przerażony Skylan.

Zahakis tylko skinął głową w milczeniu.

Skylana zaskoczył smutek, jaki chwycił go za serce. Znał ją tak krótko, a jednak jej wyrd splótł się z jego tak silnym węzłem, że nie sposób go było zerwać bez bólu.

Treia i jej intrygi nie miały już żadnego znaczenia. Po prostu o niej zapomniał.

Na widok zbliżającej się do okrętu Trei torguńscy wojownicy zerwali się na równe nogi – wściekli; nawet Farinn, wciąż półślepy po ataku furii. Twarze mieli ponure i groźne. Odruchowo uformowali szereg, stając ramię w ramię. Aylaen rzuciła na nich nerwowe spojrzenie i podbiegła, by odciągnąć Treię na stronę.

– Cieszę się, że cię widzę, siostró – powitała ją. – Porozmawiajmy w moim namiocie...

Treia wyrwała jej się jednak.

– Przyszłam porozmawiać z wami wszystkimi – oświadczyła głośno.

– Następnym razem przyprowadź ze sobą tego twojego kochasia – odparował jej Sigurd.

– Chętnie „porozmawiamy” sobie z tym zdrajcą.

– Gdzie jest Skylan? – chciała wiedzieć Treia.

– To ja jestem wodzem – powiedział Sigurd. – A co do Skylana, to jak wiesz, jest niewolnikiem, tak jak my wszyscy. Musi robić to, co każe mu jego pan.

– I ciekawe, przez kogo to znaleźliśmy się w niewoli – mruknął zjadliwie Grimuir, krzyżując ręce na piersi.

– Na pewno nie przeze mnie, jeśli to masz na myśli – odcięła mu się Treia. – Co do Raegara, postanowił nie przychodzić tu dla waszego dobra.

– Jeśli przyszłaś, żeby nam prawić kazania... – zaczął Bjorn.

– Jestem tu, żeby pomóc wam uciec – weszła mu w słowo Treia.

Torgunowie zamilkli ze zdumienia i przyglądali jej się podejrzliwie.

– A niby czemu miałybyś nam pomagać? – spytał Sigurd, marszcząc brwi. – Dałaś nam dość jasno do zrozumienia, że nas nienawidzisz.

– Choć raz pomyśl o moich uczuciach! – wrzasnęła Treia. Jej twarz była blada, wykrzywiona ze złości. – Własna matka sprzedała mnie w niewolę, gdy byłam ledwie dzieckiem, oddając mnie Kai, żeby Vindrash uratowała życie jej mężowi. A on i tak umarł. Nie, nie płakałam, gdy widziałam, że stajecie się takimi niewolnikami jak ja.

– Skoro tak nas postrzegasz, czemu miałybyś nam pomagać? – spytał nadal podejrzliwy Sigurd.

– Wiem, że mi nie uwierzycie, ale Raegar przywiózł was do Sinarii, byście wreszcie pojęli swój błąd. On także czcił kiedyś starych bogów. On także trafił do niewoli. Lecz pewnego dnia odnalazł Aelona i od tego czasu jego życie nabrało sensu. Bóg dał mu swoje błogosławieństwo. Dla was pragnął tego samego.

– Jak tylko go spotkam, to go za to pocałuję – obiecał Erdmun, a Torgunowie roześmiali się szyderczo.

Treia wzruszyła ramionami.

– Od razu mówiłam mu, że nigdy nie zaprzestaniecie swych barbarzyńskich praktyk. Wreszcie zrozumiał, że miałam rację. Raegar nie chce mieć na sumieniu waszej krwi. A tym bardziej ja tego nie chcę.

– Krwi? – spytał Sigurd. – Kto miałby nas zabić? Ludzie nas uwielbiają...

– Ale Cesarzowa nie – sprowadziła go na ziemię Treia. – Jest wściekła. Ośmieszyliście ją przed jej własnym ludem. Nieważne, że Cesarzowa złamała reguły gry, że furia mogła rzucić się na tłum, gdybyście jej nie powstrzymali. Ona nie dba o takie rzeczy. Dla niej ważne jest tylko to, co ludzie myślą o niej. Rozsierdziło ją, że tłum uznał was za bohaterów kosztem jej własnych graczy. Toteż postanowiła się was pozbyć.

Torgunowie wpatrywali się w nią zdumieni.

– Jej żołnierze mogą spróbować nas zabić – powiedział Grimuir. – Ale nie będzie to takie łatwe. Będziemy walczyć...

– Walczyć? – wyśmiała go Treia. – Jej Cesarska Mość nie dopuści do tego, by jej wyśmienici żołnierze brukali sobie dłonie walką ze zwykłymi niewolnikami! Dysponuje zresztą znacznie tańszymi i łatwiejszymi środkami. Chleb, który jedliście dziś rano. Czy nie smakował jakoś dziwnie? A piwo? Czy nie wyczuliście jakiejś goryczki?

– Chcesz powiedzieć, że ona nas otruje? – wybąkał Erdmun, który zrobił się dziwnie zielony na twarzy.

– Trucizna to tylko jedna z wielu możliwości. Aylaen jest moją siostrą. Wy moimi rodakami – mówiła Treia. – Jesteście rodakami Raegara. Ani on, ani ja nie możemy stać z założonymi rękami i czekać, aż ktoś was wybije jak muchy. Obmyśliliśmy więc plan ucieczki.

– Jak wygląda ten plan? – spytał Sigurd. – Posłuchajmy.

– W starszej części ogrodu znajduje się starożytna kaplica, a za nią katakumby... takie jakby tunele – wyjaśniła. – Katakumby są bardzo stare i wybudowane tak, by mieszkańcy willi zawsze mieli drogę ucieczki, gdyby nastąpił atak. Prowadzą z willi wprost nad morze, gdzie Legat trzyma okręt, który w razie potrzeby pozwoli mu i jego domownikom bezpiecznie uciec. Powiem wam, jak znaleźć tę kaplicę. Legat ma klucz, żeby ją otworzyć.

– Raczej mało prawdopodobne, żeby nam go dał – sarknął Sigurd.

– To prawda – zgodziła się spokojnie Treia. – Dlatego musicie zabić Legata i jego strażników, a potem zabrać mu klucz.

– Daj nam broń, a poradzimy sobie z Legatem. Ale co z tym? – Sigurd wskazał na swój tatuaż. – Jak mamy niby powstrzymać tego twojego paskudnego boga od wypalenia nam rąk?

– Aelon nie będzie płakał, jeśli Legata spotka nagły koniec – oświadczyła Treia.

– Innymi słowy, odwalamy brudną robotę dla waszego boga, a on w zamian pozwala nam uciec – podsumował Bjorn.

– Musicie przyznać, że to dość korzystna dla was umowa – odrzekła Treia. – To Legat wziął was w niewolę. Nasi ludzie zginęli także przez niego.

Spojrzeni po sobie i wzruszyli ramionami. Gotowi byli wykonać taki plan. Farinn jednak miał wątpliwości wymalowane na twarzy, a Bjorn kręcił głową. Aylaen milczała. Patrzyła na siostrę, zupełnie nic nie rozumiejąc.

– Kiedy już dotrzecie do katakumb – ciągnęła Treia – musicie tylko iść przed siebie, a wkrótce dojdziecie do morza.

– I tam będzie czekał na nas okręt? – spytał Erdmun.

– Raegar nie może przecież odwalać za was całej roboty – mruknęła niegrzecznie Treia. – Sami będziecie musieli sobie znaleźć jakiś okręt.

– Możemy ukraść łódź rybacką – zasugerował Aki. – Widziałem ich setki w zatoce, gdy wpływaliśmy do doków.

– Wygląda na to, że ten plan jest bardzo prosty – zgodził się Sigurd.

– Zbyt prosty – stwierdził Bjorn. – Nie ufam ani Raegarowi, ani jego bogu. I myślę, że powinniśmy poczekać na Skylana i z nim to przegadać.

– Róbcie, co chcecie – powiedziała Treia. – Ale dobrze wiecie, że będzie przeciw. Zresztą słyszałam, że Legat obiecał mu wolność, jeśli Skylan będzie mu wiernie służył. Choć domyślałam się, że nie wspominał wam o tym...

– Skylan nigdy by nas nie zdradził – stanął w obronie przyjaciela Bjorn.

Sigurd odchrząknął i pokręcił głową. Treia odwróciła się do Aylaen.

– Niech mężczyźni zajmą się omawianiem planu ucieczki, a ja muszę zamienić z tobą słówko.

Aylaen przytaknęła. Torgunowie zaczęli się naradzać, a tymczasem ona i Treia odeszły na bok.

– Musimy porozmawiać o smoku vektyjskim – powiedziała Treia.

– Nie znam tej tajemnicy – szepnęła bezradnie Aylaen. – Skylan też jej nie zna.

– Powiedz raczej, że nie chce ci jej wyjawić – poprawiła ją siostra.

– Ufam mu, Treiu. Chce mi pomóc...

– Nie powiedziałaś mu o Garnie, co? – spytała zaniepokojona Treia.

– Nie, oczywiście, że nie. Jakbym śmiała? Tak mi wstyd...

Treia westchnęła i ujęła dłoń siostry. Uścisnęła ją delikatnie.

– Nie ma się czego wstydzić, Aylaen. Zrobiłaś to z miłości. Przecież rozumiem. Sama zrobiłabym wszystko dla Raegara.

– Nic z tego nie rozumiem, Treiu – odpowiedziała Aylaen. – Jeśli pomożesz Skylanowi uciec, tajemnica smoka przepadnie razem z nim.

– To już nie ma żadnego znaczenia – oświadczyła jej Treia i aż się spłoniła z dumy. – Znam rytuał.

– Znasz? – zdumiała się Aylaen. – Skąd?

– Pomodliłam się do Vindrash – skłamała Treia. – To prawda, nie przepada ona za Aelonem, ale jeszcze bardziej nienawidzi i boi się bogów Raj. Wrogowie moich wrogów są moimi przyjaciółmi, jak mówi przysłowie. I dlatego Vindrash dała mi moc przywoływania smoka, bym mogła zniszczyć flotę ogrów.

– Ale co z Garnem? – spytała Aylaen z rozpaczą. – Przecież nie mogę pozwolić, by jego duch pozostał w kajdanach.

– Nic się nie martw. Garn jest już na wolności. Obiecałam Vindrash, że pomogę wszystkim naszym ludziom odzyskać wolność, wszystkim, nie wyłączając Garna. Tylko pod tym warunkiem nauczyła mnie rytuału. No co? Myślałam, że się ucieszysz.

– Cieszę się – powiedziała powoli Aylaen. – Ale chcę porozmawiać z Garnem. Zobaczyć go na własne oczy.

– Nie ufasz mi – obraziła się Treia.

– Ufam ci, Treiu – zapewniła ją Aylaen. – Lecz to jest zbyt ważne. Błagam, zabierz mnie do kaplicy, pozwól mi z nim porozmawiać. Muszę prosić go o wybaczenie...

– To niemożliwe. Kapłanki Ducha zaczęłyby coś podejrzewać. Cały plan ucieczki byłby na nic, a życie naszych ludzi zawisłoby na włosku.

Aylaen wpadła w popłoch.

– Nie chcę ich narażać na żadne niebezpieczeństwo.

– Garn jest już u Torwała, Aylaen – powiedziała Treia. – Chce, żebyś i ty była już wreszcie wolna. Przysięgam ci na moją miłość do Vindrash i do ciebie, siostrzyczko. Musisz uciec wraz z naszymi przyjaciółmi, naszymi rodakami. Musisz się upewnić, że Skylan ucieknie razem z tobą. Legatowi nie można ufać. Jeśli Skylan zostanie w Oranie, zginie.

– Tak bym chciała, żebyś i ty uciekła z nami, Treiu – szepnęła bardziej ugodowym głosem Aylaen. – Ledwie cię odzyskałam. Nie mogę znieść myśli o tym, że znów cię stracę. Być może już na zawsze.

– Kocham Raegara, tak jak ty kochasz Garna. Poświęciłabym dla niego wszystko.

Aylaen przytuliła ją; przycisnęła swój mokry od łez policzek do policzka siostry. Treia zeszytywniała w jej objęciach, ale też ją przytuliła.

Mężczyźni nie rozmawiali długo. Sigurd znów przypomniał wszystkim, że to on jest Wodzem Wodków, i oświadczył, że plan jest dobry. Bjorn chciał poczekać na Skyłana i wysłuchać jego opinii, ale Sigurd przypomniał im, że to właśnie Skyłan sprowadził na nich wszystkie te nieszczęścia i dlatego właśnie nie jest już wodzem. Gdy wróciła Aylaen i oświadczyła, że jest gotowa wykonać plan Trei, Bjorn się poddał.

Treia wytłumaczyła im, jak trafić do kaplicy.

– A co z żołnierzami Legata? – spytał Sigurd. – Co noc stawia na straży niewolników kilku ludzi, a samej willi strzeże chyba z pięćdziesięciu żołnierzy.

– Nimi nie musicie się martwić – uspokoiła ich Treia. – Wszystko już załatwione. Na straży będzie ich stało tylko kilku i łatwo sobie z nimi poradzicie. Wieczorem przyjedzie wóz z jedzeniem. Tam znajdziecie ukrytą broń.

– Trzeba będzie wymyślić jakąś dobrą kryjówkę, żeby ją przechować – zauważył Sigurd, pocierając brodę w zamyśleniu.

– Nie – odrzekła spokojnie Treia. – Ucieczka musi nastąpić dziś w nocy.

– Dziś w nocy? – powtórzył zaskoczony Sigurd. – To za wcześnie. Musimy przecież wszystko sobie zaplanować. Farinn jest na wpół ślepy...

– Wszystko jest już ustalone – powiedziała Treia. – Myślisz, że Cesarzowa będzie czekać, żeby was zabić? Albo uciekacie dziś albo – wzruszyła ramionami – zostajecie tu i giniecie za jej sprawą. Wybór należy do was.

Zgodzili się więc na ucieczkę. Aylaen raz jeszcze objęła siostrę. Treia ucałowała ją, a z resztą pożegnała się dość chłodno.

Gdy szła przez zagrodę, spojrzała w niebiosa.

– Zrobiłam to, czego ode mnie zażądałeś, Hevisie – szepnęła. – Dziś w nocy otrzymasz swoją ofiarę.

Rozdział 7

Skylan i Strażnik stali przed sypialnią Chloe i czekali, aż zostaną wezwani do środka. W domu panowała dziwna cisza. Ludzie chodzili na palcach, rozmawiali szeptem. Po korytarzach przechadzała się już śmierć i każdy, od żołnierza po niewolnika, zamierał w jej upiornej obecności.

– Gdzie jest Acronis? – spytał cicho Strażnik.

– Z nią – odpowiedział Zahakis. – Nie chce odstąpić jej na krok

– Czy ona... czy cierpi? – spytał Strażnik i odchrząknął.

– Medycy poją ją syropem makowym. Mówią, że to uśmierzy ból. – Zahakis uśmiechnął się niewesoło. – Ale szczerze mówiąc, myślę, że dają jej to po prostu, żeby już im nie zawracała głowy.

Otworzyły się drzwi i z pokoju wyszła Rosa. Oczy miała czerwone od łez. Z głębi pokoju dochodziła ich jakaś melodia grana na flecie. W sypialni było ciemno i duszno, a drzwi do atrium zamknięto. Równie dobrze mógł być środek nocy, a nie poranek.

– Przecież ona jeszcze żyje. Czemu tu już panuje taka grobowa atmosfera? – mruknął Skylan. – Chloe uwielbia świeże powietrze i słońce. Te drzwi powinno się natychmiast otworzyć.

– Ona też to wciąż powtarza – odparł Zahakis. – Jak już mówiłem, są powody, żeby dawać jej ten syrop.

Chloe leżała na łóżku wśród swych jedwabnych narzut. Wydawała się jeszcze mniejsza i delikatniejsza. Skylan nie widział Acronisa, ale domyślał się, że ojciec umierającej jest tuż obok. Miała zamknięte powieki, jakby spała, ale na głos Skylana usiadła i otworzyła oczy. Uśmiechnęła się do niego i Strażnika i szepnęła słabym głosem:

– Chciałabym porozmawiać z moimi zawodnikami. Proszę, wprowadźcie ich.

Jakiś medyk natychmiast podbiegł do jej łóżka, kręcąc głową i wymachując rękoma.

– Żadnych odwiedzin. Musi panienka odpoczywać. – Przyłożył do jej ust kubek.

– Spadaj, stary nudziarzu – zezłościła się Chloe. – I ani kropli więcej tego paskudztwa. – Wytrąciła mu kubek z ręki. Syrop wylał się na narzutę. – Nie będę tego piła, słyszysz? Jedyne ból, jaki mi naprawdę doskwiera, to ból w tyłku od tego ciągłego siadania.

Słysząc było, że Acronis próbuje ją zganić, ale Chloe zareagowała na to podniesionym głosem.

– Ale ja chcę ich zobaczyć. To moi najlepsi zawodnicy, tatusiu. Byli wczoraj tacy wspaniali, no, sam przyznaj. Cudowni po prostu. Moja własna drużyna Para Diksu. Chcę, żeby przyszli tu wszyscy razem. Mówiłam ci, tatusiu, żebyś od razu posłał po nich wszystkich.

Medyk otworzył oczy ze zdumienia. Wyglądał, jakby miał zemdleć. Zahakis odwrócił się, zakrywając twarz, by skryć uśmiech lub łzy, a może jedno i drugie. Strażnik pokręcił głową. Skylan przełknął i miał już wejść do pokoju, gdy usłyszał za sobą oburzony głos.

– A co tu robisz ci poganie?!

Skylan obrócił się i zobaczył niskiego, krępego mężczyznę w ceremonialnych szatach, który kroczył w stronę drzwi z irytującą pewnością siebie. Obcy obrzucił Skylana i ogra spojrzeniem pełnym pogardy, a potem rzekł do Zahakisa:

– Trybunie, natychmiast pozbadź się tych niewolników.

Strażnik warknął groźnie. Skylan chwycił go uspokajająco za ramię.

– Kapłanie Generale – rzekł zdumiony Zahakis. – A co ty tu robisz?

– Przybyłem na prośbę Legata – odparł Xydis. – Spytaj go, jeśli mi nie wierzysz.

W drzwiach stanął Acronis. Miał ponury wyraz twarzy, a jego skóra mimo opalenizny zdawała się szara. Widać było, że dawno nie spał. Brodę pokrywał mu kilkudniowy zarost.

– Wpuść kapłana, Trybunie.

Chloe pisnęła przeraźliwie.

– Nie chcę go tu! Odeślij go, tato!

Próbowała usiąść na posłaniu, ale była już na to za słaba. Zaciągnęła więc sobie narzutę na głowę. Natychmiast podbiegł do niej medyk z kubkiem syropu w dłoni. Ściągnął z niej narzutę, przyłożył kubek do ust i zmusił do wypicia mikstury. Chloe zakrztusiła się i wypluła większość płynu, ale coś widocznie jednak połknęła, bo nagle głowa jej opadła bezwładnie na poduszki. Nadal jednak protestowała cichutko.

– Legacie – przemówił Xydis. – Jadąc do twej willi, minąłem spory oddział wojska. Powinieneś natychmiast odesłać tych ludzi. Ta słodka dziecina nie powinna mieć w swym otoczeniu niczego, co zakłócałoby spokój i miłość, jaką daje Aelon.

– Odeślij strażę, Zahakisie – rozkazał Acronis. – Daj im siedmiodniową przepustkę.

– Ale panie, nie mówisz chyba poważnie – wybąkał Zahakis.

– To rozkaz, Trybunie – rzekł Legat. Rzucił okiem na Skylana i Strażnika. – A tych ludzi zabierz z powrotem do ich zagrody.

– Chloe chce nas zobaczyć, Legacie – zaprotestował Skylan.

– Moja córka śpi – oświadczył Acronis i zatrzasnął im drzwi przed nosem.

– Co on wyprawia? – nie mógł zrozumieć Skylan, gdy szli z Zahakisem przez pusty dom.

– Jest zdesperowany – szepnął Zahakis, kręcąc głową ze smutkiem. – Jest gotów na wszystko, by ją ocalić. I dlatego właśnie postanowił modlić się do boga, którego nienawidzi.

Gdy tylko Skylan wszedł do zagrody, od razu wiedział, że pod jego nieobecność wydarzyło się coś ważnego. Jego przyjaciele stali razem i rozmawiali ściszymi głosami.

– Co się dzieje? – spytał Skylan, którego opadły złe przecucia. Pierwsze, co mu przyszło do głowy, to że żołnierze ze świątyni złapali Wulfe’a.

Torgunowie umilkli. Wszyscy, nawet Aylaen, spojrzeli wyczekująco na Sigurda, który wyraźnie był z tego zadowolony. Skylan poczuł narastający niepokój.

– Gdzie jest Wulfe? – spytał ostro.

– Nie wiem i gównu mnie to obchodzi – odburknął Sigurd.

– Jest tutaj, Skylanie – powiedziała szybko Aylaen. – Nic mu nie grozi. Nic się nie martw.

– O co więc chodzi? – spytał z ulgą Skylan.

Sigurd spojrzał na Strażnika.

– Odeślij tego ogra.

– Jest niewolnikiem tak jak i my – powiedział Skylan. – I naszym przyjacielem. Możesz mu zaufać.

Sigurd zlustrował ogra z góry do dołu i wzruszył ramionami.

– Dobra. Może nam się nawet przydać. Wynosimy się stąd. Uciekamy.

– Uciekamy...? – Skylan popatrzył po przyjaciółach.

Taka wiadomość powinna doprowadzić ich do wybuchu radości. Zamiast tego jednak przyglądali mu się nieufnie. Oczekiwali po nim odmowy. Półuśmiezek Sigurda świadczył o tym, że Sigurd wręcz liczy na to, iż Skylan się nie zgodzi.

– Jaki macie plan? – spytał Skylan.

– To nie nasz plan – mruknął Bjorn i posłał Skylanowi ponure spojrzenie. – To plan Trei.

– Trei? – powtórzył zdumiony Skylan. – Treia chce nam pomóc uciec?

Usłyszawszy powątpiewanie w głosie Skylana, Sigurd wyraźnie się zdenerwował.

– A jakie to ma znaczenie, czyj to plan? Grunt, że jest dobry.

Wyjaśnił mu, że Treia dowiedziała się, że Cesarzowa chce ich zabić, i postanowiła umożliwić im ucieczkę. Włamią się do willi Legata, zabiją go i wydobędą klucz do kaplicy. Ukryte tunele zaprowadzą ich aż do morza.

– Włamiecie się do willi? – powtórzył Skylan. – Ale co z tymi wszystkimi żołnierzami?

– Dziś w nocy nie będzie żadnych żołnierzy – nieoczekiwanie odpowiedział mu Strażnik

– Nie pamiętasz? Legat dał im przepustkę.

– Za radą Kapłana Generała – dodał w zamyśleniu Skylan.

– Nie ma żadnych żołnierzy? – Sigurd uśmiechnął się szeroko. – Tym lepiej.

– Taaak – zgodził się Skylan. Pokręcił głową nieufnie. – Przecież to Treia to wszystko wymyśliła. Dlaczego mielibyśmy jej ufać? Przecież to kochanka Raegara!

– I moja siostra – przypomniała mu Aylaen. – Ufam jej. Zależy jej na naszym bezpieczeństwie.

Skylan próbował przemówić przyjaciółom do rozsądku.

– Zastanówcie się tylko! Żeby Cesarzowej chciało się kogoś zamordować, musiałyby w ogóle wiedzieć o jego istnieniu. My jesteśmy tylko marnymi niewolnikami. Jesteśmy niczym. Dba o nas tyle co o mrówki w słoiku miodu. Co innego Raegar, ten nieraz mówił, że chciałby się pozbyć nas wszystkich.

– Treia nigdy nie pozwoliłaby, żeby stała nam się jakakolwiek krzywda – zdenerwowała się Aylaen.

– Ale przecież Raegar mógł jej skłamać, Aylaen. Nieraz już jej kłamał!

Nim jednak skończył mówić, wiedział, że wszystkie te słowa są na nic. Jego przyjaciele ujrzeli błysk nadziei. Za żadną cenę nie chcieli znów wrócić w ciemności, które ten błysk rozjaśnił.

A jeśli mają rację? – zastanawiał się. Jeśli z jakiegoś sobie tylko znanego powodu Raegar naprawdę postanowił podarować im wolność? Poza tym Treia, choć jest wyrachowana i bezwzględna, szczerze kocha siostrę. Przecież nie wysłałaby Aylaen na śmierć.

– Co o tym myślisz? – spytał, zwracając się do Strażnika.

– Znam te katakumby – powiedział Strażnik. – Byłem w środku. Towarzyszyłem Acronisowi, gdy składał tam ciało swej zmarłej żony. Od pokoleń chowana jest tam jego rodzina. To święte miejsce.

– Ktoś jest tam pochowany? – wybąkał Erdmun drżącym głosem. – Znaczy, że te całe katakumby pełne są trupów?

Sigurd posłał mu rozeźlone spojrzenie.

– Nie mów mi tylko, że się boisz kilku zmurszałych kości?!

– Wcale się nie boję – bronił się Erdmun. – Ale on mówi, że to święte miejsce... bogom się to nie spodoba...

– Święte nie święte – oświadczył Sigurd – prowadzą do morza czy nie?

Strażnik wzruszył olbrzymimi ramionami.

– Być może. Pojęcia nie mam.

– Wkrótce sami się o tym przekonamy – zdecydował Sigurd. – Uciekamy dziś w nocy.

– Dziś w nocy?! – Skylan pokręcił głową. – To niemożliwe.

– Niby dlaczego? – spytał Sigurd.

– Musimy przecież zdobyć jakąś broń...

– Już mamy. Miecze i topory. Treia powiedziała, że będą ukryte w wozie z jedzeniem, i rzeczywiście tam były.

– Dobra, ale co ze strażą? Przecież żołnierze będą pilnować naszej zagrody? Im Acronis nie dał przepustki.

– Dziś wieczorem dostaną wino z jakimś środkiem nasennym.

– A tatuże? Czy Aelon nie będzie chciał nam czegoś powiedzieć, gdy spróbujemy uciec?

– Wygląda na to, że ten cały Aelon jest dość ugodowym bogiem. Nie ma nic przeciwko morderstwu. Wypuszcza nas. Chcesz dowodu? Odpakowaliśmy broń i żaden z nas nie poczuł nawet swędzenia.

Skylanowi coraz mniej się to wszystko podobało, ale nie wiedział, co powiedzieć. Plan był doskonały. Aż za bardzo.

– Podjęliśmy już decyzję – dodał Sigurd. – Jesteś z nami czy nie?

Skylan zwrócił się do Aylaen po pomoc. Przecież on nie mógł nic im powiedzieć o vektyjskiej kości ducha. Przecież przysiągł na Torvala. Ale ona mogła.

Zrozumiała go. Stała jednak z rękami skrzyżowanymi na piersi i zaciśniętymi ustami. Spojrzała na niego, jakby nie wiedziała, o co mu chodzi.

– Jestem z wami – zdecydował niechętnie Skylan. – Ale dziś w nocy nie możemy zaatakować willi.

– Niby dlaczego nie? Chcesz mieć czas, by ostrzec swego przyjaciela Legata, co?

Skylan obrzucił ich ponurym spojrzeniem.

– Acronis to wojownik. Umie o siebie zadbać. Chodzi o jego córkę. Ta dziewczynka jest ciężko chora. Umierająca. Powinna umrzeć w spokoju.

– Mówi prawdę – wtrącił się Farinn. – Słyszałem, jak żołnierze o tym rozmawiali. Podobno ta dziewczynka nie dożyje rana.

– Mamy własne dzieci i o nie powinniśmy się troszczyć przede wszystkim – zauważył z goryczą Aki.

Skylan przegrał i był tego aż nadto świadomy.

– Uważam, że albo uciekamy wszyscy, albo nikt. Uciekasz z nami, Strażniku?

– Nie ma wyjścia – zauważył ponuro Sigurd. – Słyszał wszystko. Nie możemy go tu zostawić. Może powinniśmy go zabić...

– Nie gadaj głupot. Przecież on wie, jak trafić do kaplicy – mruknął Bjorn. – Może nam pokazać drogę.

– Tak, mogę – powiedział Strażnik i pokręcił głową. – Ale nie pomogę wam zabić Legata. Był dla mnie zawsze bardzo dobry. Być może zbyt dobry – dodał, spoglądając na Skylanę ze smutkiem.

– Nie podoba mi się to wszystko – westchnął Skylan. – Mamy za mało czasu na przemyślenie tego planu. Mam przeczucie, że to pułapka. Nie powinieneś uciekać z nami, mój przyjacielu. Powinieneś poczekać tu na swoich ludzi.

– To ty sprawiłeś, że znów zapłonął ogień w moim sercu – rzekł Strażnik. – A co do moich ludzi, to nadal nic nie słyszałem od swoich o tej całej inwazji. Pewnie wcale tu nie płyną.

Skylan czuł, że powinien porozmawiać z Aylaen o kości ducha. Gdy tylko jednak zobaczyła, że się do niej zbliża, oświadczyła, iż pomoże w pakowaniu zapasów na drogę, i zniknęła pod pokładem z Grimuirem i Aki.

Skylan spojrzął na smoczą głowę, która wciąż leżała oparta o nadburcie. Wydało mu się, że smok patrzy na niego ze złością.

Ni stąd, ni zowąd przypałętał się Wulfe.

– Treia była tu wczoraj. Na okręcie – szepnął. – Jak wy walczyliście z tą furia. A mówiłem ci już, że śniła mi się furia?

– Treia była na okręcie? – Skylan przyjrzał się chłopcu uważnie. – Po co?

– Gadała z jakimś bogiem – wyjaśnił Wulfe. – Zeszła na dół do ładowni, włożyła te wszystkie swoje szaty i gadała z tym bogiem.

– Treia? Tutaj? Modliła się? – szepnął cicho Skylan. – Może ja ją jednak źle oceniam. Może ona naprawdę chce nam pomóc.

– Raczej nie – stwierdził Wulfe. – To był bardzo zły bóg. Ale z drugiej strony – dodał po zastanowieniu – każdy bóg Brzydali jest zły, a przynajmniej tak mi zawsze mówiła mamusia.

Skylan pokręcił głową i odszedł.

Rozdział 8

Torgunowie z wytęsknieniem wyglądali zachodu słońca. Bogini Aylis nie spieszyła się jednak. Świeciła jasno, długo i ciepło. Dzień ciągnął się w nieskończoność. Wojownicy ukradkiem czyścili broń. I znów ukradkiem czyścili broń. Aylaen zajęła się pakowaniem leczniczych maści i mikstur. Skylan zamartwiał się o Chloe. Strażnik myślał o swojej kobiecie, o dzieciach i o inwazji; gdyby w ogóle nastąpiła, być może wreszcie wróciłby do swojej rodziny. Farinn siedział w kącie i mrucał pod nosem pieśń o ich podróży, pieśń, która być może będzie miała kiedyś jakieś szczęśliwe zakończenie. A być może nie.

Wszyscy byli spięci, nerwowi. Każdy bał się, że spisek może w każdej chwili zostać odkryty, że zaraz do zagrody wkroczą żołnierze Legata.

Lecz popołudnie minęło bez żadnych zakłóceń. Część strażników drzemała w słońcu, a reszta chodziła po zagrodzie i narzekała bez końca, że nie dostali przepustki tak jak wszyscy ich koledzy.

Wreszcie Aylis skryła się za wzgórze, pozostawiając czerwonopurpurowy szlak na niebie. Gdy cienie ześlizgnęły się ze wzgórz i skryły zagrodę niewolników, Torgunowie zeszli do ładowni *Venjekar* i rozdali broń. Strażnik tymczasem obserwował żołnierzy. Zjedli i wypili wino z bukłaków. Gdy głowy bezwładnie zwisły im na piersiach, ogr dał umówiony znak. Torgunowie zeszli z okrętu. Pozostał tylko Skylan.

Nie był w stanie opuścić pokładu. Dłonią gładził z miłością drewniane nadburcie, wspominając wszystko to, co razem przeszli – on i ten okręt. To na nim walczył z ogrami. To na nim przyплыł na Vutmanę. To *Venjekar* zabrał ciało znieślawionego wodza Horga, którego nigdy już nikt nie zobaczył. To *Venjekar* zabrał Skylana i Drayę na tę nieszczęsną podróż na Wyspy Druidów, by potem przywieźć go z powrotem, samego, z draugrą zmarłej żony zmuszającą go do gry w smocze kości. To *Venjekar* przetrwał sztorm zesłany przez rozszalałą z gniewu i rozpaczyny boginię. A teraz padł ofiarą innego potężnego boga.

Serce mu się ścisnęło na myśl o tym, że musi opuścić swój okręt. Zaczął się martwić, co się z nim stanie, gdy już uciekną. Nie umiał sobie tego wyobrazić, a jednak poprzysiągł sobie, że wróci po niego.

Puścił nadburcie i podszedł do drewnianego łba. Położył dłoń na rzeźbionym pysku smoka, żeby się pożegnać, a drewno pod palcami wydało mu się ciepłe i drżące.

– On nie chce, żebyśmy sobie szli – szepnął Wulfe.

– To on nas opuścił – odpowiedział z rezygnacją Skylan. – Teraz nie ma już wiele do powiedzenia.

Lecz stał wciąż przed smoczą głową, spoglądając na złamany galion, wystrugany kołek i dziurę, w której miał zostać umocowany.

– Może i muszę zostawić *Venjekar* – mruknął. – Ale przynajmniej nie zostawię go w takim złym stanie.

– Ivorson! – zawołał cicho Grimuir. – Chodź już lepiej, bo Sigurd zaczyna tracić cierpliwość.

Skylan chwycił smoczą głowę, uniósł ją i ostrożnie umocował z powrotem na dziobie, wkładając kołek w dziurę. Poczuł, jak drewno wchodzi na swoje miejsce. Pchnął lekko galion. Ani drgnął. Znów można było podziwiać pełną wdzięku szyję i potężną głowę smoka, którego ślepią spoglądały bez trwogi w przyszłość. Popatrzył w te namalowane oczy i zdawało mu się, że ujrzał w nich błysk czerwonego płomienia.

To tylko złudzenie, odbłask zachodzącego słońca, pomyślał i odwrócił się. Wspiął się na nadburcie i wyskoczył z okrętu. Nikt nic nie mówił. Wszyscy wpatrywali się w smoczą głowę, która tkwiła na galionie, dumna i groźna.

– Jak ci się to udało? – zdumiał się Bjorn. – Przecież tyle razy próbowaliśmy ją naprawić i zawsze odpadała.

Skylan wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia.

– Może nie powinniśmy nigdzie iść – szepnął zaniepokojony Erdmun. – Może to znak.

– Ja ci zaraz dam znak – warknął Sigurd, unosząc pięść i trzęsąc nią Erdmunowi pod nosem. – Oto mój znak. Spadamy stąd. Nie ma co tracić czasu.

Skylan pobiegł za pozostałymi, ale po chwili uświadomił sobie, że nie ma przy nim Wulfe'a. Zaklął cicho i popędził z powrotem na okręt. Zapadł już zmrok i trudno było cokolwiek zobaczyć. Znalazł chłopca pod smoczym galionem.

– Wulfe! – syknął na niego ponaglająco.

– Zaraz, zaraz! – odkrzyknął dzieciak.

Wcisnął sobie coś za pazuchę i pomknął przez pokład. Przeskoczył burtę i wylądował na czterech łapach tuż przy Skylanie.

– Coś ty tam robił? – spytał Skylan, pomagając mu wstać.

– Musiałem zabrać mój skarb – szepnął tajemniczo Wulfe, klepiąc się po zawiniątku skrytym pod postrzępioną koszulą. – Miałem taką specjalną skrytkę na statku i tam chowałem rzeczy. Smok ich dla mnie strzegł.

– Jakie znowu rzeczy?

Wulfe spojrział przez ramię na smoka, a potem wzruszył ramionami.

– Różne takie.

Skylan postanowił nie tracić czasu na zastanawianie się nad jego słowami. Pozostali Torgunowie byli już daleko przed nimi i zbliżali się właśnie do wyjścia z zagrody. Chwył więc dzieciaka i pobiegli, żeby dogonić resztę.

Sigurd dał im znak, żeby byli cicho. Według Strażnika żołnierze posnęli już po winie, lecz przecież równie dobrze mogą tylko udawać. Na palcach podkraść się do bramy i wyjrzał ostrożnie przez żelazne pręty.

– Widzę tylko jednego. Śpi – relacjonował szeptem.

Machnął na Strażnika, żeby podszedł. Ustalili przedtem, że ogr po prostu wyważy bramę. Strażnik przymierzył się ramieniem i natarł z całej siły. Brama otworzyła się po prostu, a zdumiony ogr omal nie runął jak długi.

Cofnął się czujnie. Pozostali chwycili za broń. Wszyscy czuli to samo. Szło im zbyt łatwo, zbyt prosto.

– Po prostu zapomnieli zamknąć bramę, wielkie mi rzeczy – powiedział Sigurd. – Torval czuwa nad nami.

– Tak jak i Aelon – mruknął pod nosem Bjorn.

Wskazał im swój tatuaż. Oni także nie poczuli żadnego bólu, ba, nawet swędzenia.

Sigurd otworzył bramę na oścież i wyszedł poza zagrodę. Nikt się mu nie przeciwstawił. Nikt go nie powstrzymał. Pozostali poszli za nim. Żołnierze leżeli na ziemi. Przy nich wały się dzbany po winie Legata, którego część rozlała się na ziemię. Mężczyźni leżeli zupełnie nieruchomo, podejrzenie spokojnie. Grimuir pochylił się i położył dłoń na karku jednego z nich.

– Nie żyje – powiedział.

Bjorn przykucnął przy innym, chwycił go za rękę i odwrócił na plecy. Mężczyzna opadł ciężko na ziemię, jego oczy wpatrywały się w półmrok. Na ustach wciąż miał pianę, a twarz zamarła w grymasie bólu. Jego śmierć nie była łatwa.

– Treia mówiła, że w winie będzie tylko środek nasenny – wyszeptała przerażona Aylaen.

– Raegar powiedział jej, że tylko ich uspi!

– Ten tu na pewno nie wypił niczego na sen – stwierdził cierpko Bjorn. – W tym winie była śmiertelna trucizna.

– Treia nie wiedziała! – wybąkała Aylaen i jeszcze kilka razy powtórzyła cicho: – Ona nie wiedziała. Skąd miała wiedzieć?

Skylan stał tuż przy niej i poczuł, że się cała trzęsie. Wyciągnął rękę, żeby ją pocieszyć, a ona zacisnęła na niej palce tak mocno, że aż jęknął cicho z bólu.

– Trucizna – powiedział Strażnik, kręcąc łysą głową. – Nie tak powinien umierać wojownik.

Torgunowie zrozumieli go od razu. Wojownik powinien umierać z bronią w ręku.

– Chcecie się tak gapić na te trupy całą noc czy uciekamy? – ryknął na nich Sigurd. – Co się stało, to się nie odstanie. Zabierzcie im pochodnie. Przydadzą się w tunelach.

Aki i Grimuir chwycili za pochodnie. Sigurd poprowadził ich w stronę willi, której ciemna sylwetka odcinała się na bladopurpurowym niebie. W domu było ciemno. Nie paliło się żadne światło.

Aylaen puściła dłoń Skylana. Przeszła obok otrutych mężczyzn, z przerażeniem odwracając wzrok. Skylnan zamyślił się nad śmiercią strażników. Poza złymi przeczuciami opadł go teraz także smutek. Nie pomogło, że Strażnik zwolnił kroku i dołączył do niego.

– Kapłan Generał zadbał o to, by żołnierze stojący na straży domu dostali przepustkę – analizował ogr cicho. – Wyszedłby na głupca, gdyby rozkazał zwolnić też żołnierzy pilnujących niewolników. Nie bez powodu ci ludzie nie żyją. Środki nasenne szybko przestają działać. Człowiek jest po nich może trochę otumaniony, ale nie aż tak, żeby nie móc w razie czego chwycić za miecz. Cokolwiek ma się dziś w nocy wydarzyć w willi, Raegar upewnił się, że żaden żołnierz mu w tym nie przeszkodzi.

– Raegar i ten jego bóg robią wszystko, żeby pomóc nam uciec – mruknął Skylnan, marszcząc czoło.

Nie mógł pozbyć się wrażenia, że każdy krok oddalający go od ukochanego okrętu to krok w zupełnie niewłaściwym kierunku. Jego wyrd związany jest z *Venjekarem* jak lina z kotwicą.

Sigurd tymczasem szedł coraz szybciej, aż w końcu biegł w górę po zboczu, w stronę ciemnej willi. Wulfe biegł na czterech nogach, żeby było szybciej. Skylnan spojrzał na dzieciaka mknącego przez trawę jak pies... jak wilk i włos zjeżył mu się na głowie.

– Wstawaj – zgnił go ze złością. – Biegnij jak normalny człowiek, u licha!

Zaskoczony jego ostrym tonem dzieciak skoczył na równe nogi.

– Złóścisz się na mnie? O co?

– Nie złószczę się na ciebie – zapewnił go Skylnan. – Zły jestem na Sigurda. I na samego siebie. Powinienem był zaprotestować. Przekonać ich, że to zły plan. Coś tu jest bardzo nie tak.

Obejrzał się przez ramię. W ciemności nie widział już okrętu, ale wciąż czuł na sobie wzrok smoka.

– Obiecałem, że albo uciekniemy wszyscy razem, albo w ogóle. A wyszło tak, że zostawiamy za sobą jednego z nas.

Torgunowie wspięli się po stromym zboczu prowadzącym do willi. Grzbietem wzgórza wiała się brukowana droga, na tyle szeroka, że zmieściłyby się na niej obok siebie dwa wozy. Zrobiona była z pokruszonych kamyków, które lśniły biało w świetle gwiazd. Księżyc w pełni świecił dziwnie pomarańczowo, zupełnie jak jesienią, a nie w środku lata.

Droga była pusta, lecz wojownicy i tak trzymali się w cieniu sosen, które rosły po bokach. Na każdym kolejnym zakręcie znów ukazywała im się willa – czarny cień na tle rozgwieżdżonego nieba.

Skylan był aż nadto świadom, że jego tatuaż wciąż nawet nie zaswędziało. Teoretycznie nie było w tym nic złego, a jednak nie czuł się dobrze z myślą, że robi coś, co podoba się Aelonowi.

Gdy dotarli do trawnika przed willą, zwolnili. Nie było widać żadnych niewolników krzątających się w domu. Żaden żołnierz nie stał na straży. Panowały tu zupełne ciemności. Noc była tak cicha, że gdy nagle rozległ się upiorny jęk, wszyscy aż podskoczyli.

– Uciekajmy! – krzyknął Wulfe w panice. – To lemur!

– Co takiego? – spytał Sigurd, odruchowo unosząc miecz i rozglądając się wokół.

– Lemury to duchy przodków danej rodziny – wyjaśnił Strażnik – Niektórzy mówią, że to dobre duchy, które strzegą domu i chronią żywych, by nie stała im się żadna krzywda.

– Musimy stąd uciekać – upierał się drżącym głosem Wulfe. – Lemury nas tu nie chcą.

Zawodzenie stało się jeszcze głośniejsze, aż w końcu mogli rozpoznać pojedyncze słowa.

– To nie jest żaden duch – burknął Sigurd z ulgą, zły, że w ogóle się wystraszył. Otarł twarz wierzchem dłoni. – To tylko jakaś kobieta płacze.

– Córkę Legata kocha cała służba – powiedział Strażnik i było w jego głosie coś, co jeszcze bardziej ich zaniepokoiło. – Wszyscy niewolnicy pracujący w domu będą ją oplakiwać.

Wojownicy popatrzyli po sobie posępnie, niepewnie. Zawodzenie kobiety, która płacze za umierającą, to z pewnością zły omen.

– To lemury, sami zobaczycie – wymamrotał pod nosem Wulfe.

– Niech ktoś coś zrobi z tym bachorem – warknął wściekły Sigurd. – Gdzie ta kaplica, z której jest wejście do katakumb?

Strażnik wskazał na wschód.

– W tym kierunku. To bardzo wiekowa budowla, poświęcona starym bogom. Za nią znajdują się katakumby, w których spoczywają zmarli. W ogóle nie musimy więc wchodzić do domu.

– To dobry pomysł – poparł go Skylan. – Idźmy od razu do kaplicy. Nikt nie będzie nawet wiedział, dokąd uciekliśmy. Legat obudzi się rano i zorientuje się, że nas nie ma. Nim domyśli się, dokąd poszliśmy, będziemy już daleko stąd.

– Jak zawsze próbujesz pójść na łatwiznę, tchórze jeden – wyśmiał go Sigurd. – Zapomniałeś już, że musimy zdobyć klucz, który ma Legat?

– Pamiętam, że są tam drzwi z brązu – powiedział Strażnik. – Ale jestem pewien, że nie są zamknięte. Tak jak mówi Skylan, możemy uciec w taki sposób, że nikt nie będzie miał pojęcia, gdzie nas szukać.

– A ja wam mówię, że potrzebujemy tego klucza! – wściekał się Sigurd. – A człowiek, który go ma, jest odpowiedzialny za naszą niewolę, więc jeśli o mnie chodzi, nie ruszę się stąd, póki się na nim nie zemszczę.

– Czy chcesz ryzykować cały plan ucieczki tylko po to, żeby poderżnąć komuś gardło? – spytał Skylan, któremu jakimś cudem udało się opanować, mimo że od obelgi Sigurda mało nie dostał apopleksji. – Weź pod uwagę, że w willi będzie wiele osób. Na pewno jest tam Zahakis i na pewno jest uzbrojony. Są też jacyś medycy, kapłani, niewolnicy. Możemy wślizgnąć się do tuneli i nikt nawet nie będzie wiedział, gdzie się podziliśmy, albo możemy zrobić z tego taką burdę, że będą wiedzieć wszyscy i w dodatku część z nas może zginąć.

– Lemury czy zawodzące kobiety, to nie ma znaczenia. To zły omen. Po tym domu przechadza się Freilis – odezwał się nagle upiornie cichym głosem Farinn. – Zostawmy w spokoju tych, którzy należą już do bogini śmierci.

Sigurd przygryzł wargę.

– Torval każe nam jeszcze za to zapłacić. Nie spodoba mu się to, że nie zemściliśmy się odpowiednio.

– Może spodoba mu się to – odpowiedział mu Skylan – że gdy tylko wrócimy do ojczyzny, zbierzemy nasze smocze okręty i wrócimy tu, by uwolnić *Venjekar* i zemścić się na wrogu!

Sigurd zaczął się wahać.

– W tę albo z powrotem. Na Torwała, nie stójmy tak jak te głupki! – jęknął zdenerwowany Aki.

Zawodzenie stawało się z każdą chwilą głośniejsze, ostrzejsze, coraz bardziej upiorne.

– Dobra. Strażniku, prowadź do kaplicy – rozkazał Sigurd.

Skylan odetchnął z ulgą, lecz zrobił to za wcześnie. Drzwi willi się otworzyły. Na progu, podświetlonym słabym światelkiem z oliwnej lampki, stał Acronis, a raczej to, co z niego zostało. Był zgarbiony. Głowę miał pochyloną. Oczy zaczerwienione. Skórę szarą. Zamrugał, próbując dojrzeć, co się dzieje. Uniósł lampkę i jej światło padło na wojowników.

– Skylanie... Nie spodziewałem się, że uda ci się przybyć tak prędko. – Obrzucił Torgunów niewidzącym spojrzeniem. Ich zbroja lśniła jasno w świetle lampki. – Dziękuję wam, panowie, że tak się z tym uwinęliście. Bałem się... bałem się, że nie zdążycie.

– Co do cho... – zaczął Sigurd.

– Jemu się zdaje, że jesteśmy jego żołnierzami – wyszeptał zdumiony Strażnik.

– Jak mu poderżnę gardło, to na pewno zrozumie swój błąd!

Sigurd uniósł miecz i zrobił krok naprzód. Powstrzymała go jednak dłoń Skylana, która zacisnęła się na jego ramieniu.

– Ten człowiek nie ma przy sobie broni – szepnął Skylan. – Jego dziecko właśnie umiera. Czy Torwalowi spodobałoby się, gdybyś zamordował kogoś, kto dosłownie szaleje z rozpacz?

Sigurd mruknął coś i wyrwał mu ramię, ale opuścił miecz.

– Możecie już iść – rozkazał im Acronis. – Wracajcie do swojej pracy. Skylanie, chodź ze mną.

– Czy Kapłan General wciąż jest w willi? – spytał Skylan.

– Posłałem tego drania do stu diabłów – syknął Acronis. – Miał czelność powiedzieć mojemu dziecku, że skoro nie wyznaje Aelona, całą wieczność spędzi w ciemnościach. – Przełknął, przetarł drżącą dłonią oczy i wyszeptał. – Sam jestem sobie winien. Xydis wmówił mi, że Aelon ją uratuje. Nie umiałem pozwolić jej odejść!

– Nie umiałam pozwolić mu odejść... – powtórzyła za nim Aylaen. W jej oczach błysnęły łzy. – Przepraszam, Garnie. Wybacz mi, błagam!

Skylan pochylił się i powiedział Sigurdowi prosto do ucha:

– Uciekajcie, prędko, nim Legat pojmie swój błąd. Strażnik wskaże wam drogę. Zostanę tutaj i będę was osłaniał.

– Nie wyobrażaj sobie, że będziemy po ciebie wracać, Ivorson – ostrzegł go Sigurd. Odwrócił się i skinął na pozostałych. – Za mną.

– Zostaję ze Skylanem – oświadczyła Aylaen.

– Nie musisz, Aylaen – chciał ją powstrzymać Skylan.

– Muszę – odpowiedziała spokojnie. Spojrzała mu prosto w oczy po raz pierwszy od śmierci Garna. – Muszę powiedzieć ci prawdę.

– Moim zdaniem nie powinniśmy się rozdzielać – zaprotestował Bjorn.

– Gównu mnie obchodzi twoje zdanie – sarknął Sigurd. – Skylan, zabierz ze sobą tego bachora. Strażnik, ty idziesz ze mną.

Strażnik spojrział na Skyłana niepewnie.

– Idź, przyjacielu – powiedział Skylan. – Wiesz, że cię potrzebują.

– Zaprowadzę ich do kaplicy – obiecał Strażnik. – A potem wrócę po ciebie.

– Szybciej, Skyłanie, szybciej! – ponaglał Acronis. – Musimy się spieszyć.

Uniósł lampę, by oświetlić mu drogę. Weszli do domu, a Legat zatrzasnął drzwi. Usłyszeli cichy zgrzyt. To zamek wskoczył na swoje miejsce.

– Przyszedłeś w przebraniu na Para Dix! – powiedział Acronis, spoglądając na miecz. – Wspaniale. Chloe tak się ucieszy.

Ruszył przodem. Szli przez zupełnie puste korytarze. Skylan mógłby zadźgać go w ciemności. A potem dogoniliby z Aylaen swoich przyjaciół.

Ta myśl pojawiła się w jego głowie i natychmiast zniknęła.

Acronis szedł szybko i Skylan z Aylaen musieli niemal biec, by go dogonić. Wulfe trzymał się blisko nich. Wciąż z trwogą wpatrywał się w cienie.

– Lemury są tuż obok – szeptał. – Ale nie są już złe. Nie zrobią nam krzywdy. Czekaają...

Spieszyli więc przez korytarze. Aylaen nigdy jeszcze nie była w willi i co chwila zwalniała, by rozejrzeć się wokół. Tu i ówdzie stały lampki oliwne i ukazywały jej olbrzymie dzbany pełne ciętych kwiatów, małe sadzawki z lśniącymi złotymi rybkami, sofy i krzesła oraz pięknie zdobioną porcelanę.

W końcu doszli do pokoju Chloe. Acronis otworzył drzwi i kazał im wejść do środka.

Rozdział 9

Sypialnia jarzyła się światłami. By odgonić ciemności, zniesiono tu niemal wszystkie lampki z całego domu. Było gorąco i duszno.

Chloe leżała na łóżku. Z ponurym uporem nie chciała zasnąć. Oświadczyła, że nie będzie piła już więcej syropu, a medycy wyszli obrażeni, oznajmiając, że nic więcej nie mogą zrobić. Odesłała też Rosę, by mogła sobie „chlipać” gdzie indziej. Rękoma ścisnęła jedwabną narzutę, a jej palce zaciskały się co rusz w spazmach bólu.

Jej ciało było słabe i wątłe. Jej duch – niezłomny. W pierwszej chwili Skylanowi ścisnęło się serce z litości. Lecz zaraz zastąpił ją podziw.

Przy łóżku stał Zahakis. Twarz miał surową, szczękę zaciśniętą.

Usłyszawszy, że ktoś otwiera drzwi, Chloe odwróciła twarz w tę stronę.

– Tato, czy to Skylan? – spytała niecierpliwie. – Czy przyszedł wreszcie?

– Tak, kochanie. To on i Aylaen, i... – spojrzał z zaskoczeniem na Wulfe’a – i ten chłopiec...

Odsunął się, by mogli wejść do środka. Wulfe pokręcił dziko głową i cofnął się.

– Lemury – szepnął Skylanowi do ucha. – One stoją tuż przy łóżku.

– Zaczekaj tu na mnie – nakazał mu Skylan.

Wulfe pokiwał głową.

– Zaczekam. Obiecuję.

Skylan wszedł do środka i od razu poczuł na sobie świdrujące spojrzenie Zahakisa. Trybun skądś wiedział, czy może tylko zgadł, że Torgunowie wykorzystają to zamieszanie, by uciec. Skylan bez słowa odpiął miecz i podał mu swoją broń. Aylaen chciała zrobić to samo, ale powstrzymała ją Chloe.

– Czy to ten miecz, który pobłogosławiła twoja bogini? Ten, który odstraszył furie i powstrzymał jej atak? Ojciec tyle mi o nim opowiadał. Mogę zobaczyć? Proszę!

Aylaen drgnęła. Broń dostarczona przez Treię bynajmniej nie była ich własną bronią. Aylaen chwyciła więc pierwszy lepszy miecz i nawet mu się nie przyjrzała.

– Podaj jej miecz – szepnął cicho Skylan. – Wymyśl coś. Przecież się nie zorientuje...

Aylaen wyciągnęła miecz z pochwy i otworzyła oczy ze zdumienia. Rzuciła zdziwione spojrzenie na Skylana, potem znów na swoją broń. Misterny wzór na rękojeści zaśnił jasno jak słońce, gdy jego promienie odbijają się w łuskach smoka.

– Piękny! – wyszeptała Chloe głosem pełnym szczerego podziwu. – Opowiedz mi wszystko o swojej bogini. Czy jest piękna? Czy zna Torvala? Wiesz, boga Skylana?

– Ma na imię Vindrash – zaczęła Aylaen. Urwała, żeby odchrząknąć, bo ścisnęło ją w gardle. – Jest boginią wszystkich smoków i wszystkich naszych ludzi. To na jej cześć nazywamy się Vindrasami. Jest żoną Torvala i jest niezwykle piękna.

– Jakże ona musi cię kochać, skoro podarowała ci własny miecz – powiedziała zachwycona Chloe.

Oczy Aylaen zaszyły łzami.

– Kiedyś mnie kochała. Ale potem popełniłam straszny uczynek i boję się, że Smokini jest na mnie zła.

– O, ja też czasami rozgniewam tatę tak bardzo, że aż strach – wyznała jej Chloe. – Ale wiem, że on mnie i tak kocha. Czy mogę potrzymać twój miecz?

Aylaen położyła broń na jedwabnej narzucie. Chloe zacisnęła swoją słabą dłoń na rękojeści. Jej małe palce trzymały ją ze wszystkich sił. Spojrzała na Skylana.

– Jeśli umrę z mieczem w dłoni – szepnęła – czy Torval wpuści mnie do swej Komnaty?

Zahakis drgnął i odszedł, by schować się w cieniu. Acronisowi zaczęły się trząść usta. Za plecami zacisnął palce w pięść.

Skylan pomyślał o tych wszystkich bohaterach zgromadzonych w Komnacie Torvala. O bohaterach, którzy walczyli mimo ran, bólu i strachu, o bohaterach, którzy nie chcieli się poddać, którzy odważnie spoglądali w oczy śmierci.

– Tak – powiedział. – Torval z radością powita cię w swej Komnacie.

Zobaczył w jej oczach cień strachu, a głos jej zadrżał:

– Tam, w Komnacie, nie jest ciemno, prawda? Skylenie, nie będę tam sama w ciemnościach, prawda?

Otulił dłonią jej dłoń i zacisnął mocniej na rękojeści miecza.

– Komnatę Torvala rozświetla tysiąc pochodni, które płoną jasno całą wieczność. W olbrzymim kominku pali się polano z samego Drzewa Życia i wypełnia komnatę ciepłem i światłem. Gra muzyka, ludzie śpiewają, tańczą i się bawią. Bohaterowie opowiadają sobie nawzajem historie wspaniałych bitew, a stoły uginają się od jedzenia i picia, którego nigdy nie brakuje.

– Chciałabym potańczyć – rozmarzyła się Chloe. – Nigdy jeszcze nie tańczyłam, wiesz?

Zabrakło jej tchu. Skrzywiła się i jęknęła cicho. Jej ręka zacisnęła się mocniej na rękojeści miecza. Nie poddawała się. Wciąż jeszcze walczyła.

– Ty i ja będziemy tańczyć w pierwszej parze, zobaczysz – obiecał jej Skytan.

– Naprawdę? To by było wspaniałe. – Znow jęknęła cicho i przez chwilę krztusiła się, aż w końcu udało jej się wziąć oddech i usiadła na łóżku. Wpatrywała się w coś w oddali, w jakąś wizję dostępną tylko dla jej oczu, które błyszczały teraz jasnym blaskiem. Być może – kto to wie? – było to już odbicie światła w Komnacie Torvala.

– Tysiąc płonących pochodni – wyszeptała – które odganiają ciemność. I będę tańczyć w pierwszej parze...

Zamknęła oczy. Opadła na poduszki. Lecz jej dłoń wciąż zaciskała się mocno na mieczu.

Skylan puścił jej palce. Uniósł małą, bezwładną dłoń i złożył na niej pocałunek. Aylaen płakała w milczeniu. Acronis wziął miecz i podał go jej powoli.

– Dziękuję – powiedział cicho.

Usiadł na łóżku i przytulił córkę razem ze wszystkimi poduszkami i narzutami. Kołysząc ją czule, skrył twarz w jej włosach i jęknął głucho.

– Idźcie już – szepnął Zahakis. – Nikt was nie będzie zatrzymywał.

Skylan kiwnął głową, spojrzął na Acronisa i spytał:

– Ale co z nim teraz będzie?

– Nie wiem – odrzekł Zahakis. – Nie wiem.

Oliwna lampka zamigotała i zgasła. Tak jak my wszyscy pewnego dnia, pomyślał Skylan.

Aylaen chwyciła go za dłoń i wyprowadziła z pokoju. Znaleźli Wulfe'a za dużą wagą. Wyskoczył jak oparzony i popędził za nimi, gdy ruszyli korytarzami.

Drzwi wejściowe były zamknięte. Pokoje w tej części domu wychodziły na atrium. Skylanowi udało się znaleźć drzwi do ogrodu. Stał wśród drzew o nieruchomych liściach i usiłował zgadnąć, w którą stronę powinni iść. Nocne kwiaty rozsiewały w powietrzu mocny zapach. Dienne zamknęły kielichy, znużone gorącem. Jakiś słowik śpiewał w oddali. Gdzieś pod krzakiem zaszeleściło jakieś małe zwierzątko – lis czy królik, polując czy uciekając. Skylan właśnie podjął decyzję, w którym kierunku powinni się udać, gdy ujrzał Strażnika.

Ogr wydał mu się zrazu wielkim, groźnym cieniem na tle drzew. Szedł, co chwilę się zatrzymując i rozglądając. Skylan gwizdnął cicho. Strażnik odpowiedział tym samym i ruszył w ich stronę.

– Zaczekaj – szepnęła Aylaen, chwytając go za rękę. – Muszę ci coś powiedzieć.

Skylan tak bardzo chciał z nią porozmawiać, lecz teraz naprawdę nie mieli na to czasu.

– Czy możemy porozmawiać o tym potem...?

– Nie. – Aylaen z uporem pokręciła głową. – Jeśli teraz ci nie powiem, nigdy już nie zbiorę się na odwagę. Chodzi o Garna. Byłam naprawdę zdesperowana. Nie umiałam pozwolić mu odejść – powtórzyła za Acronisem. – Tak strasznie za nim tęskniłam, że... że zaczęłam myśleć o tym, by do niego dołączyć.

– Rozumiem to, Aylaen – powiedział Skylan, starając się nie stracić z oczu Strażnika. – Znam to uczucie...

– Daj mi skończyć! – krzyknęła. Splotła dłonie, wykręcając sobie z przejęcia palce. – Raegar obiecał mi, że jeśli przekażę mu tajemnicę smoków vektyjskich, jego bóg odda mi Garna. Że Aelon przywróci Garna do życia.

Skylan poczuł, że robi mu się słabo.

– I zrobił to?

– Tak – powiedziała Aylaen, trzęsąc się cała. – Te kapłanki, Kapłanki Ducha, one umieją wzywać umarłych. Przywołały Garna. Ale to była pułapka. Wcale nie był żywy. Jego duch skuty był łańcuchami. Był więźniem. Powiedziały, że będzie więźniem już całą wieczność, jeśli nie zdradzę im tajemnicy smoka. Zapewniałam je, że jej nie znam, ale wtedy Garn do mnie przemówił. Powiedział, że ty znasz ten sekret.

– Torvalu jedyny! – wyszeptał Skylan.

Aylaen przełknęła z trudem.

– Treia powiedziała, że już go uwolniła, ale... ale... nie jestem już pewna, czy mogę jej wierzyć. Chciałam znów go zobaczyć, porozmawiać z nim, ale ona się nie zgodziła. Przepraszam, Skylanie, ale ja naprawdę nie mogę uciec z Sinarii, skoro duch Garna wciąż może być w niewoli.

Skylanowi włosy stanęły dęba. Poczuł, że jego ciałem wstrząsają takie same drgawki jak wtedy, gdy stał zbyt blisko drzewa, w które uderzył piorun. Znów grał w smocze kości. Widział pionki przeciwnika, widział tę grę i nagle zrozumiał jej regułę. Nagle zrozumiał strategię. Zrozumiał, że Torgunowie właśnie przegrywają.

Rzucił się pędem, depcząc rabatki, potracając jakąś wazę. Mało nie wpadł wprost na Strażnika.

– Dokąd biegiesz? – ryknął na niego zdezorientowany ogr.

– Szybko! To pułapka! – wrzasnął Skylan.

Rozdział 10

Kaplica była mała, stara i zapuszczona. Zbudowano ją tu znacznie wcześniej niż samą willę i swego czasu mieszkańcy tych ziem mieli ją w wielkim poważaniu. Świadczyło o tym choćby to, że była cementowa i wykładana marmurem, choć pochodziła z czasów, gdy budowało się głównie z drewna. Stała niejako na straży katakumb, w których rodzina Acronisa od wieków grzebała swych zmarłych. Lecz gdy starzy bogowie przestali dbać o swój świat, a ludzie zaczęli tracić wiarę, kaplica popadła w ruinę.

Demetriusz Acronis, dziad Legata, miał tak jak i jego wnuk zacięcie naukowe. Rzadko zaglądał do rodzinnej kaplicy i właściwie bywał tu tylko, gdy umierał ktoś z rodziny. Z natury dość skąpy, nie trwonił pieniędzy na renowacje niepotrzebnej budowli. Jego syna, Teodora Acronisa, ojca Legata, znacznie bardziej interesowało powiększanie rodzinnego majątku niż czczenie jakichkolwiek bogów. Słyszał coś tam o nowym bóstwie, Aelonie i jego wyznawcach, jako że ta nowa sekta stawała się wówczas coraz bardziej popularna wśród orańskiej elity, lecz nie miał czasu na takie religijne nowinki. Rozbudowywał willę, powiększał posiadłość, kupował i sprzedawał niewolników. Jedyłą jego rozrywką, poza robieniem pieniędzy, było granie w Para Dix.

Acronis znacznie bardziej przypominał swego dziada niż ojca. Był badaczem, naukowcem i podróżnikiem. Pewnego dnia, wkrótce po jego ślubie, do willi przybyli kapłani Aelona, by poinformować go, że został wydany nowy edykt, zgodnie z którym musi on zburzyć starą rodzinną kaplicę. Kapłani żądali, by każdy modlił się odtąd tylko i wyłącznie w świątyni Aelona.

Acronis mógł wykonać ich nakazy. Po prawdzie nie był w tej starej budowli od dnia, gdy pochował w niej ojca. Lecz gdy kazano mu ją zniszczyć, poszedł ją zobaczyć raz jeszcze i nagle wróciły do niego wspomnienia z dzieciństwa. Kiedy był jeszcze mały, jego nauczyciel opowiadał mu bez końca o starych bogach, a on uwielbiał te baśniowe opowieści. Tak się nimi wtedy przejmował, że nawet zaczął składać bogom swoje małe, dziecięce ofiary: żytnie ciasteczka, a raz także małą żabę, która uparcie zeskakiwała z ołtarza.

Być może więc to właśnie te wspomnienia z dzieciństwa sprawiły, że postanowił walczyć o rodzinną kaplicę. Choć równie dobrze mogło to być (jak utrzymywała jego żona) perwersyjne pragnienie dokuczania kapłanom. Dość, że odmówił zburzenia świątyni,

twierdząc – dość logicznie – że stoi ona ku pamięci jego przodków. Gdy przybyli kapłani, by naocznie stwierdzić, jakie to straszne pogańskie rytuały odbywają się w tym przybytku, ujrzeli wilec pnący się po potrzaskanych kolumnach, odłamki marmuru pokruszone na ziemi i nietoperze zwisające z kopuły na suficie. Na tyłach kaplicy, w zboczu wzgórza, znajdowały się drzwi z brązu (dawno już zupełnie zzieleniałego), które prowadziły do pieczary, gdzie spoczywali zmarli.

Kapłani oświadczyli łaskawie, że ponieważ kaplica znajduje się tak niedaleko miejsca pochówku zmarłych, nie będą jej burzyć, by nie niepokoić umarłych. Niewątpliwie ówczesny Kapłan Generał uznał, że niemądrze byłoby rozniewać człowieka, który posiadał dwie triremy i prywatną armię. To jednak właśnie po tym incydencie Legat został nagle wysłany na bardzo odległą prowincję.

Sigurd i pozostali szli za Strażnikiem ścieżką z kruszonego kamienia, która wila się wśród przyszyżonych roślin i ozdobnych drzew, aż doprowadziła ich do żeliwnej bramki. Księżyc świecił tak jasno, że nie mieli problemów ze znalezieniem drogi.

– Za tą bramą znajduje się stary ogród – wyjaśnił Strażnik. – Zaraz za drzewami zobaczycie kaplicę.

Widać było, że bramki nie używano często. Musieli kilka razy kopnąć zardzewiałe zawiasy, żeby w ogóle się otworzyła. Pokruszone kamienie porośnięte mchem i chwastami prowadziły w poplątany gąszcz kwiatów i drzew.

Strażnik wskazał im kierunek i odwrócił się na pięcie.

– A ty dokąd? – krzyknął za nim pełen podejrzeń Sigurd.

– Obiecałem Skylanowi, że po niego wrócę – przypomniał mu Strażnik. Jego groźny głos świadczył dobitnie o jego antypatii do Sigurda.

– Głowę daję, że chcesz wrócić tylko po to, by ostrzec swego pana, że uciekamy – odparował mu Sigurd.

– Niby czemu miałby to zrobić? – spytał Bjorn.

– Żeby Acronis dał mu nagrodę. Bo jest lizusem. A bo ja wiem czemu? – mruknął Sigurd.

Wojownicy spojrzeli na zagajnik wysokich drzew. Splątane gałęzie i pnącza skrywały niebo i odcinały ich od światła gwiazd i księżyca.

– Idź, Strażniku – powiedział Bjorn, posyłając Sigurdowi złe spojrzenie. – Idź po Skyłana i Aylaen. Będziemy na was czekali tak długo, jak zdołamy.

– Jak dojdziecie do kaplicy, przejdźcie prosto przez nią – poinstruował ich jeszcze Strażnik. – Za nią zobaczycie drzwi z brązu. Tylko je pchnijcie, a na pewno się otworzą. Za nimi są katakumby.

Odszedł, mozolnie pnąc się po ścieżce w górę. Torgunowie weszli do ogrodu i między drzewa. Było tu tak ciemno, że musieli zapalić pochodnie.

– Jest i kaplica – ucieszył się Bjorn.

Pochodnie oświetliły mały okrągły budynek z kopułą na dachu. Konstrukcję podtrzymywały eleganckie kolumny, popękane i poplamione ze starości, tworzące coś w rodzaju podcienia dookoła budowli. Przez chwilę wojownicy przyglądali się kaplicy z niepokojem.

– Musimy przez nią przejść – przypomniał im Sigurd. – No, już, dajcie mi tu światło.

Chwycił pochodnię i wszedł do środka. Pozostali weszli za nim. Ich niepokój zniknął, gdy ujrzeli na podłodze bobki gryzoni i nietoperzy. Między kolumnami zwisały olbrzymie pajęczyny. Nawet jeśli jacyś bogowie mieszkali tu kiedyś, dawno się stąd wynieśli.

Tak, jak zapowiedział Strażnik, po chwili ich oczom ukazały się drzwi z brązu, które wbudowane były w zbocze wzgórza. Były zamknięte, ale nie na klucz, jak przekonał się Sigurd, który pchnął je mocno.

Nie wszedł jednak do środka. Stał i wpatrywał się w szparę. Vindrasi wierzyli, że pod żadnym pozorem nie należy zakłócać spokoju umarłym. Bywało, że to zmarły nie chciał dać spokoju żywym, ale nawet wtedy Vindrasi byli bardzo cierpliwi dla wszelkich draugr czy innych widm i naprawdę bardzo rzadko uciekali się do ostateczności, to jest do odkopania ciała i odcięcia głowy zmarłemu.

Sam pomysł, że zmarli mają być chowani w katakumbach i odwiedzani za każdym razem, gdy znów kogoś trzeba będzie pochować, wydawał się jakiś niewłaściwy. Sigurd obejrzał się przez ramię i zobaczył, że jego ludzie stoją kilka kroków za nim. Patrzyli na niego. Czekali, aż wejdzie pierwszy. W końcu to on był tu wodzem.

Wziął głęboki oddech, chwycił miecz w jedną dłoń, a pochodnię w drugą i zaczął otwierać drzwi.

– Moim zdaniem powinniśmy poczekać na Skylana, Aylaen i dzieciaka – odezwał się Erdmun.

Sigurd wbił w niego wściekłe spojrzenie.

– Przecież ty nawet nie lubisz Skylana.

– Lubię go już znacznie bardziej niż kiedyś – stwierdził Erdmun, a potem cichutko dodał: – I znacznie bardziej niż ciebie.

– Jesteśmy Torgunami – powiedział Farinn. – Trzymamy się razem. W ogóle nawet nie powinno być mowy o zostawianiu kogoś w tym kraju.

Pozostali kiwnęli głowami z aprobatą.

– Poczekamy na Aylaen – oświadczył poirytowany Sigurd. – A skoro i tak czekamy, możemy się równie dobrze rozejrzeć.

Otworzył drzwi na oścież, uniósł wysoko pochodnię i ściskając mocno miecz, wszedł do jaskini. Pozostali weszli za nim.

Pierwsza część katakumb była najstarsza. W skalnych ścianach wyłobiono tu małe wgłębienia. W nich stały porcelanowe urny. Torgunowie nigdy nie słyszeli o kremacji, nie

mieli więc pojęcia, do czego służą te naczynia. Aki chciał nawet otworzyć jedną z nich, ale Grimuir powstrzymał go, bo się bał, że to może jakoś obrazić zmarłych.

Katakumby ciągnęły się w głąb wzgórza. Wnęki stawały się coraz większe, ponieważ z czasem kremacja zmarłych przestała być popularna i zamiast tego ciała składano do sarkofagów z kamienia. Z początku były one dość proste, lecz gdy rodzina się wzbogaciła, sarkofagi stały się bardziej ozdobne, a na nich umieszczano naturalnej wielkości posągi zmarłych.

Marmurowe matrony z rękoma złożonymi na piersi spoczywały obok żołnierzy o dłoniach zaciśniętych na marmurowych mieczach. Torgunowie nie umieli czytać, ale domyślali się, że słowa wyryte nad wnękami w ścianach, a czasem i na samych sarkofagach, to imiona zmarłych.

W milczeniu kroczyli po cichych katakumbach. Każdy czuł, jak nic jego wyrdu napina się i drży, jakby w każdej chwili mogła pęknąć. Nagle ich oczom ukazała się wnęka, w której spoczywało ciało bez sarkofagu. Zatrzymali się wstrząśnięci widokiem tej upiornej postaci.

Pozostałości zwłok, odziane w pogniłe szczątki ubrań, siedziały na kamieniu jak na kanapie. Migoczące światło pochodni odbiło się w oczodołach kościotrupa i przez moment zdawało im się, że poruszył oczami. Sigurd zamarł i wpatrywał się w nie z przerażeniem tak jak pozostali, po chwili jednak, bojąc się, że inni pomyślą, iż obleciał go strach, zebrał się na odwagę i ruszył do przodu, oświadczając, że sprawdzi, co jest dalej. Nie zaszedł jednak daleko – katakumby kończyły się tu kamienną ścianą.

Sigurd wpatrywał się w nią przez chwilę i zgrzytał zębami z wściekłości. Uderzył w mur mieczem, potem pięścią. Mur ani drgnął. Za nim Torgunowie stali w milczeniu.

Odwrócił się i spojrzał na nich.

– Zmyliliśmy drogę. Widocznie trzeba było gdzieś skręcić i nie zauważyliśmy bocznego tunelu.

– Nie było żadnego bocznego tunelu – stwierdził Bjorn.

– Wracamy! – ryknął Sigurd.

Ruszyli więc z powrotem po swoich śladach. Mijanie nagrobków było nieprzyjemne, teraz jednak było znacznie gorzej. Na każdym kroku zdawało im się, że ktoś na nich patrzy. Słyszeli jakieś dziwne głosy. Przyspieszyli kroku. Niektórzy zaczęli biec.

– Uważajcie, żeby nie przegapić skrętu! – rozkazał Sigurd.

Podmuch ciepłego powietrza zgasił jego pochodnię, pogrążając go w ciemnościach, ale nie przestraszył się. Widział w oddali migoczące pochodnie pozostałych, więc krzyknął tylko:

– Erdmun, pochodnia mi zgasła. Podaj no swoją!

Erdmun jednak nie odpowiedział.

– No niech mi ktoś poda pochodnię, do cholery! Co z wami, matoly? Nie mówcie mi, że trzęsiecie portkami z powodu kilku starych kości! – pieklił się Sigurd.

Nadal nikt mu nie odpowiadał, a jego irytacja zmieniła się we wściekłość. W końcu to on był tu wodzem, a tymczasem nikt zupełnie nie słuchał jego rozkazów. Co chwilę podawali w wątpliwość jego decyzje, ciągle się z nim kłócili. Czekajmy na Skylana, mówili. Do diabła ze Skylanem. Gdzieś tu są przecież tunele, które prowadzą do morza. Muszą tu być.

Szedł więc dalej, powoli, po omacku.

– Grimuirze! – krzyknął, licząc na zaufanego przyjaciela. – Podaj mi pochodnię!

W końcu ktoś postanowił jednak łaskawie wykonać jego rozkaz. Zobaczył światło rzucające blask na jasne włosy i twarz bez zarostu. Poznał Farinna i odetchnął. Nikomu by się do tego nie przyznał, ale zaczął się już trochę niepokoić.

– Najwyższy czas, do cholery! – mruknął.

Farinn zatrzymał się nagle. Stał oświetlony pochodnią, w dłoni miał topór. Sigurd wyrwał mu z ręki pochodnię.

– Co z tobą? Co się tak na mnie gapisz? – warknął na chłopaka.

Farinn nie odpowiedział. Zacisnął obie dłonie na trzonku topora i zamachnął się z całych sił.

Ostrze topora mignęło Sigurdowi przed oczami, lecz odskoczył zwinnie. Stał minęła go o włos. Gdyby nie zrobił uniku, Farinn rozłupałby jego ciało na dwoje.

– Farinn, co ty do chole...

Chłopak znów się zamachnął. Sigurd padł na ziemię, upuszczając pochodnię. Ostrze uderzyło w kamień. Posypały się iskry, a Sigurd szybko wycofał się na czworaka. Nie zaszedł jednak daleko, bo napotkał ścianę. Farinn nadal atakował. Na szczęście jednak zadawał ciosy jak ktoś, kto nigdy nie miał w dłoni topora. Wymachiwał bronią zupełnie bez ładu i składu.

Sigurd wiedział oczywiście, że Farinn jest z natury małomówny, ale przecież powinien mu chociaż powiedzieć, dlaczego nagle postanowił go zabić.

Pochodnia leżała na ziemi, wciąż płonęła. Światło rzucało na ściany długie cienie. Sigurd skoczył na równe nogi i wyciągnął miecz tak, żeby Farinn mógł go zobaczyć i zrozumieć zagrożenie.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy...

Słowa uwięzły mu w gardle. Oczy Farinna lśniły jasnym, niebieskim światłem. Po chwili zbladły jednak i teraz były białe jak białko jaja, bez źrenicy, bez tęczówki. Chłopak znów się zamachnął.

Sigurd zrobił unik i rzucił się na Farinna. Powalił go na ziemię i uderzał w tę straszną twarz tak długo, aż upiorne oczy zamknęły się wreszcie. Otarł pot z czoła, wstał i rozejrzał się.

Ku niemu płynęło ciało – blade i nieruchome jak kamienne twarze na sarkofagach, zwiewne i lekkie jak dym. Wyciągnęło dłoń zimną jak mgła wstająca znad wody o poranku.

Sigurd wrzasnął i próbował uciec, ale mgła otoczyła go i jego krzyk umilkł raptownie.

Kapłanka Ducha Semelon obserwowała wszystko skryta w cieniu starożytnej kaplicy. Otulona ciemnopurpurową stolą wydawała się częścią nocy. Raegar był tuż przy niej. Czaił się za jedną z kolumn, jego zbroję krył ciężki czarny płaszcz. Obok niego stała Treia i trzymała się go kurczowo. Jej słaby wzrok w takich ciemnościach zupełnie zawodził i czuła się bardzo niepewnie.

Byli tu, gdy Torgunowie doszli do kaplicy. Słuchali w milczeniu ich kłótni o to, czy czekać na Aylaen i Skylana czy nie. Patrzyli, jak Sigurd uchyla drzwi z brązu, jak wchodzi do środka.

– Gdzie się podziali Skylan i Aylaen? – zachodziła w głowę Treia. – Czemu ich nie ma ze wszystkimi?

– Nic się nie martw. Skylan nigdy nie przeoczyłby takiej okazji do ucieczki. Na pewno zaraz tu będzie. A co do Aylaen – Raegar spojrział na Treię zbity z tropu – sama przecież mówiłaś, że nie będzie z nimi uciekać. Powiedziałaś, że udało ci się ją przekonać, żeby została z nami.

– Mówiłam tylko, że spróbuję ją przekonać – sprostowała wymijająco Treia.

Raegar zmarszczył brwi, więc dodała pospiesznie:

– Sam wiesz, jaka ona jest uparta. Opowiedziałam jej, jak wspomniała przyszłość chcesz jej zapewnić, ale ona mnie wyśmiała. Ona nigdy nie zgodzi się czcić Aelona. Pozwól jej odejść, kochany.

– Ale przecież jeśli tylko wejdzie do katakumb, zginie tak jak oni wszyscy! – zdenerwował się Raegar. – Przecież nie chcesz, żeby lemury zamordowały twoją rodzoną siostrę!

Treia chciała coś powiedzieć, ale uciszył ją.

– Nic się nie martw. Jakoś ją uratuję. Wiem przecież, jak wiele dla ciebie znaczy, jak bardzo byłabyś nieszczęśliwa, gdybyś ją straciła.

Treia zacisnęła pięści, by jakoś opanować panikę. Hevis zażądał ofiary, kogoś drogiego jej sercu. Przecież nie może poświęcić Raegara; to w ogóle nie wchodziło w grę. Kochała go tak bardzo, że czasem aż sama była tym przerażona. I to właśnie z miłości do niego, z pragnienia, by był szczęśliwy, by spełniły się jego ambitne marzenia, postanowiła poświęcić tę jedną, jedyną osobę, którą poza nim kochała – Aylaen.

Nie uświadamiała sobie, jak bardzo jej zależy na siostrze, dopóki nie nastąpiła ta straszna chwila na okręcie, gdy Hevis zażądał od niej ofiary. Treię opadły z początku wyrzuty sumienia, lecz po chwili przypomniała sobie, że przecież Aylaen chciała umrzeć; chciała dołączyć do Garna. Zatem Treia tylko spełniała jej marzenie. A to, że przy okazji sama pozbywała się uroczej rywalki, uczyniło tę decyzję jeszcze prostszą.

Potem spędziła bezsenną noc na wymyślaniu sposobów zabicia siostry i w końcu musiała przyznać sama przed sobą, że nie jest w stanie dokonać tego morderstwa własną ręką. Nie

czuła się na siłach zadźgać jej nożem czy podać truciznę. Nie mogłaby patrzeć na przedśmiertne męki siostry, wytrzymać pełnego wyrzutów spojrzenia.

Hevis jednak nie żądał przecież, by Aylaen zginęła z ręki Trei. Gdy Raegar i Kapłan Generał wymyślili całą tę intrygę, by zamordować Skylana i pozostałych Torgunów, Treia tylko dodała siostrę do gotowego planu. Co prawda obiecała Raegarowi, że powstrzyma Aylaen przed wejściem do tych przeklętych katakumb, ale naprawdę wołała już złamać obietnicę daną ukochanemu niż obietnicę daną bogu.

Aylaen powinna więc być tu razem z innymi. Ale jej nie było z jakiejś niepojętej dla Trei przyczyny. A teraz w dodatku Raegar postanowił ją uratować. To z kolei oznaczało, że powinien natychmiast znaleźć się gdzie indziej.

Treia zaczęła się więc głowić nad jakąś rozsądną wymówką, która pozwoliłaby jej wysłać go gdziekolwiek, ale nic jakoś nie przychodziło jej do głowy.

Z katakumb dochodziły już upiorne okrzyki i nieludzkie wrzaski. Kapłanka Ducha pokręciła głową i zaczęła nucić.

– Co ona wyprawia? – spytała spanikowana Treia. – Po co wzywa umarłych? Jeszcze nie czas! Jeszcze nie ma Skylana!

Raegar szepnął coś do Kapłanki Ducha, która urwała nucenie, odpowiedziała mu krótko i natychmiast znów podjęła cichą pieśń.

– Ona ich nie wzywa – wyjaśnił Raegar. – Ona próbuje ich uspokoić. Lemury są tak rozwścieczone tym, że zakłócono im spokój, że nie chcą jej słuchać. Te duchy umarłych przejęły ciała Torgunów i każą im walczyć ze sobą nawzajem.

– Ale przecież tam wciąż nie ma Aylaen i Skylana – jęknęła zrozpaczona Treia. – Gdzież oni się podziewają?

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie w oddali błysnęły plamy światła. Usłyszeli głos Skylana, który wrzeszczał, że to pułapka. Pędził wśród drzew, a za nim ten ogr, Strażnik.

– No, jest wreszcie Skylan – odetchnął z ulgą Raegar. – Akurat w porę, żeby umrzeć.

– Ale gdzie jest Aylaen? – pytała Treia, wpatrując się w światło pochodni, aż bolały ją oczy. – Czy jest z nim? Nie widzę jej.

– Jest i Aylaen! A z nią ten pomiot demonów – relacjonował Raegar. – Biegnij do niej, Treiu, szybko!

Treia zazgrzytała zębami. Nie miała wyboru. Jeśli odmówi, Raegar wpadnie w gniew. Już był zły, widząc jej wahanie.

– No? Na co czekasz? Nie pozwól jej w ogóle zbliżyć się do katakumb!

– Hevisie! – zaczęła się cicho modlić zdesperowana Treia. – Przecież chcesz tego tak samo jak ja. Pomóż mi!

Nagle poczuła, że dłoń Raegara zaciska się na jej ramieniu. Wbił palce w jej ciało. Przerażona jego złością podniosła wzrok ku twarzy ukochanego, lecz on w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Wpatrywał się w ciemność nieobecny spojrzeniem.

– Raegarze? – szepnęła Treia, ale on jej nie słyszał.

Wsluchiwał się w jakiś inny głos. Oto przemówili obserwatorzy, wzywając swych wiernych w imię Aelona. Także Kapłanka Ducha przerwała nucenie i odwróciła głowę w stronę świątyni.

Treia patrzyła na nich przerażona. Raegar zacisnął szczękę, zmarszczył czoło. Tak zawsze spokojna Semelon zadrżała. Przez chwilę drgały jej usta, potem zacisnęła je w cienką kreskę.

Po chwili Raegar spojrział na Kapłankę Ducha.

– Słyszałaś? – spytał.

Kiwnęła głową i szepnęła:

– Cała nasza nadzieja w Aelonie. Powinniśmy natychmiast wrócić do świątyni...

– Co się dzieje? – żądała wyjaśnień Treia.

– Nie możemy iść w tej chwili – zaprotestował Raegar. – Musimy mieć pewność, że barbarzyńcy zostali zlikwidowani.

– Co się stało? – krzyknęła Treia zła, że zupełnie ją ignorują.

– Flota ogrów minęła już przylądek – powiedział Raegar.

Skylan, Strażnik i Aylaen pchali właśnie drzwi z brązu i krzyczeli do Torgunów walczących w środku pułapki. Wulfe najwyraźniej po prostu dał drapak.

– Ale... ale to niemożliwe! – wyszeptała Treia. – Przecież Kapłan Generał mówił, że ogry przyplyną dopiero za kilka tygodni. Jego szpiedzy twierdzili...

– Mylili się – przerwał jej Raegar. – Ogry wcale nie zeszły na ląd w Ardon, ale płynęły bez przerwy. Ten ich podły bóg zesłał im korzystne wiatry i piękną pogodę. Za chwilę dobiją do naszych brzegów całe tysiące żołnierzy, a nasze fortyfikacje, nasi ludzie kompletnie nie są na to przygotowani!

– Ale my jesteście – powiedziała Treia cicho, lecz pewnym siebie tonem.

Raegar spojrział na nią, nie rozumiejąc. Popatrzyła niechętnie na Semelon, potem odciągnęła go na stronę.

– O czym ty w ogóle mówisz? – spytał Raegar.

– O smoku vektyjskim oczywiście – przypomniała mu Treia szeptem tak cichym, że ledwie ją słyszał. – Przecież mogę go już wezwać.

Raegar wpatrywał się w nią i powoli docierało do niego znaczenie jej słów.

– Jesteś pewna?

Skylan, ogr i Aylaen byli już w katakumbach. Zaraz wszyscy zginą. Zginie Aylaen. Treia odetchnęła z ulgą.

– Tak, oczywiście – zapewniła go. – Powiedz Semelon, że wracamy powozem do świątyni, ale ona powinna tu zostać i upewnić się, że Skylan i pozostali nie wyjdą żywi z tej przygody. Jeśli Skylan dowie się o smoku, będzie próbował nas powstrzymać.

– Ale co z Aylaen?! – Raegar obrócił się w stronę katakumb. – Gdzie ona się podziała? Nie weszła chyba do środka?

– Obawiam się, że już za późno – stwierdziła ze smutkiem Treia. – Nic już nie możemy zrobić, kochany.

– Ale to twoja siostra! – rozpaczał Raegar. – Nie możemy pozwolić, by zginęła. Może jeśli pobiegnę szybko, uda mi się ją jeszcze uratować.

– Nie mamy czasu do stracenia! – syknęła Treia, chwytając go mocno. – Kiedy ogry przybiją do brzegu?

– Ogry nigdy nie walczą w nocy. Zaatakują dopiero nad ranem.

– Tylko pomyśl, ile musimy rzeczy przygotować przez te kilka godzin! Musimy natychmiast udać się do Sanktuarium, porozmawiać z Kapłanem Generałem, dotrzeć do skarbcza, wziąć kość Vektii. Potem trzeba jeszcze znaleźć odpowiednie miejsce, przygotować się do rytuału. Musimy wyruszyć natychmiast, nie ma czasu do stracenia.

Lecz Raegar wciąż się wahał.

– Ale Aylaen...?

Treia wbiła sobie paznokcie w dłoń, żeby opanować przemożną chęć spoliczkowania go z całej siły. Oto dawała mu szansę wpłynięcia na losy ludzkości, uratowania całego narodu, zdobycia sławy wśród ludzi i bogów, a on dbał tylko o swoje cielesne zachcianki.

– Bóg dał nam szansę uratowania twego ludu, kochany – rzekła. – Wiem, że to straszne, ale musimy być dzielni i ponieść tę ofiarę.

Raegar spojrział na nią z szacunkiem.

– Przepraszam cię, Treiu. Masz oczywiście rację. Powiem Semelon, że jedziemy.

Poszedł porozmawiać z Kapłanką Ducha. Gdy rozmawiali, Treia usłyszała nagle jakiś szelest w zaroślach. Odwróciwszy się, ujrzała Wulfe'a. Stał i wpatrywał się w nią swymi żółtymi oczami. Wszystko słyszał! Syknęła rozjątrzona i już miała się rzucić w jego kierunku, gdy wrócił Raegar.

– Semelon poczeka tutaj. Wyślemy po nią powóz. Coś się stało, kochanie?

Treia spojrzała w stronę zarośli. Chłopca już tam jednak nie było.

Mniejsza z tym, pomyślała. I tak zaraz zginie. Wszyscy oni zginą wreszcie.

Wzięła Raegara pod rękę i wyszli spiesznie z kaplicy. Podtrzymawał ją za łokieć i ostrożnie prowadził poprzez gąszcz roślin, a księżyc oświetlał im drogę. Gdy unosił ją, by posadzić w powozie, usłyszała krzyk Aylaen – dziki wrzask bólu i przerażenia.

Wzdrygnęła się i cicho, ledwie dosłyszalnym szeptem wymamrotała:

– Hevisie, przyjmij moją ofiarę!

Rozdział 11

Skylan pędził w kierunku katakumb z pochodnią w jednej, a toporem w drugiej dłoni. Przy nim biegł Strażnik. Już z oddali słyszeli odgłosy bitwy – szcęk metalu. Lecz nic poza tym. Krzyki i nawoływania Torgunów ucichły.

– Dziwne – mruknął Skylan i zwolnił. Przystanął tuż przy drzwiach z brązu. – Nic nie widzę. Widzisz coś?

– Nic – stwierdził Strażnik. – Masz rację. To dziwne.

Skylan nie był specjalnie zaskoczony, gdy po jego drugiej stronie stanęła po chwili Aylaen z mieczem w dłoni. Kazał jej zostać z tyłu z dzieciakiem, ale oczywiście jak zwykle go nie posłuchała.

– I co tak stoicie?! – wrzasnęła na nich, wymachując ręką w ciemności. – Przecież oni tam walczą na śmierć i życie!

– Ta walka jest jakaś dziwna – zauważył Skylan.

– O czym ty mówisz? – nie rozumiała Aylaen.

– Słyszysz rozkazy Sigurda? Słyszysz, żeby Grimuir wrzeszczał na Aki, że ma uważać z tyłu? – Skylan wpatrywał się w ciemność, marszcząc czoło w zamyśleniu, potem rozejrzał się z niepokojem. – A gdzie się podział Wulfe?

– Został na zewnątrz. Bez ustanku gadał o tych lemurach i że są na nas wściekle. – Aylaen zadrżała. – Może coś w tym jest.

– Nigdy jeszcze nie słyszałem o duchach, które by wymachiwały mieczami – zauważył Strażnik.

– Przecież nie możemy tak stać! – stwierdziła bezradnie Aylaen. – Wchodzę do środka...

Skylan chwycił ją za ramię.

– Wejdziemy razem. Ale powoli. Cokolwiek czai się w środku, chcę to zobaczyć, zanim to zobaczy mnie.

– Gadasz jak twój własny ojciec – mruknęła zirytowana Aylaen. – Jak ty go przeżywałeś? Stara baba?

Ona ma rację, uświadomił sobie Skylan. Jeszcze kilka miesięcy temu wpadłbym tam bez zastanowienia. Teraz chcę wchodzić powoli, z szeroko otwartymi oczami i czujnie nastawionymi uszami.

Znów pomyślał o ojcu i o tym, jak bardzo go zranił. Popełnił w życiu wiele błędów, zrobił wiele rzeczy, których potem żałował, ale niewiele ciążyło mu bardziej niż to, że zasmucił ojca.

– To dla mnie komplement – powiedział.

Aylaen spojrzała na niego zaskoczona, lecz natychmiast uśmiechnęła się smutno.

– Tak – zgodziła się. – Masz pewnie rację, że to komplement.

Wyciągnęła dłoń w jego stronę. Jej palce były zimne, ale i tak rozpały go jak gorące wino. Spojrzał w przeszłość i ujrzał siebie takiego, jaki był – Skylan, Wodza Wodzów, aroganckiego, bezczelnego, zuchwałego, żądającego od niej miłości, wściekłego, gdy śmiała pokochać innego. Nigdy nawet nie pomyślał o tym, że na miłość, tak jak na szacunek, trzeba sobie zasłużyć. Nie był już Skylanem, Wodzem Wodzów. Był już tylko Skylanem, który każdego dnia próbuje wynagrodzić grzechy przeszłości.

Ramię w ramię wchodzili głębiej w katakumby. Nagle Skylan zamarł, wpatrując się z przerażeniem w to, co ujrzał. Strażnik trącił go mocno łokciem. Aylaen aż jęknęła cicho.

Tuż obok nich zalegała nad podłogą gęsta, zimna mgła. Spływała ze ścian, wisiała nad podłogą. W niej właśnie ich przyjaciele walczyli na śmierć i życie.

Nie z wrogiem. Walczyli ze sobą nawzajem.

Skylan patrzył ze zgrozą, jak Sigurd zamachuje się mieczem na Bjorna. Grimuir atakował Akiego. Farinn rzucił się z toporem na Erdmuna, a ten odpowiedział mu tym samym, posługując się mieczem. Walczyli w jakiejś koszarnej ciszy. Nie padało między nimi ani jedno słowo. Nikt nie wył z bólu, choć Skylan widział, że z ich ran ciekła już krew.

– Czy oni kompletnie oszaleli? – wyszeptał Skylan, patrząc na nich ze zdumieniem. I głośniejszym krzyknął: – Co wy wyprawiacie najlepszego? Sigurd? Bjorn?

Jego krzyk rozdarł ciszę. Sigurd odwrócił się powoli w ich stronę. Aylaen wrzasnęła przerażona:

– Jego oczy! Torvalu jedyny, miej nas w swojej opiece! Skylan, zobacz, co się stało z jego oczami!

Skylan jednak nie miał na to czasu. Sigurd pędził na niego z uniesionym mieczem.

Odskoczył na bok, wystawił nogę i Sigurd runął na podłogę jak długi.

– Wynieś go na zewnątrz! – rozkazał Strażnikowi Skylan. – Aylaen, biegnij opatrzeć mu rany!

Gdy się zawałała, wrzasnął:

– Zabierzcie go, a ja spróbuję uratować pozostałych!

Strażnik chwycił Sigurda za kołnierz i wytaszczył jego ciało z katakumb. Rzucił go na ziemię i stanął nad nim czujny, gotów uderzyć go młotem wojennym, gdyby Sigurd znów chciał zaatakować.

Aylaen pochyliła się nad ojczymem. Był nieprzytomny, ale ona – na samą myśl o tych upiornych oczach – bała się go dotknąć.

– No, dopadł go jakiś lemur – mruknął Wulfe, który wylazł bezszelestnie z ciemności. – Mówiłem wam.

Obwąchał Sigurda i zmarszczywszy nos, trącił go palcem w ramię.

Sigurd jęknął i usiadł. Wulfe odskoczył przerażony. Aylaen zerwała się, wyciągając miecz, gotowa się bronić. Sigurd zamrugał i spojrzał na nią przytomnie.

– Treia kłamała – powiedział natychmiast. – To była pułapka.

Tymczasem w katakumbach Skylan podkładał się do Bjorna, który właśnie usiłował zabić własnego brata. Skylan czaił się za jego plecami i miał nadzieję, że uderzy go, nim tamten go w ogóle zauważy. Nie zwrócił uwagi na mgłę, która wiła się wokół butów Bjorna i powoli zaczęła płynąć w jego stronę.

– To lemur! – krzyknął ostrzegawczo Strażnik. – Nie daj mu się dotknąć!

Przed Skylanem wyrosła z mgły postać i wyciągnęła do niego mglisty palec.

Ścisnął mu się żołądek ze strachu. Włosy stanęły dęba. Cofnął się. Duch płynął w jego stronę.

– Jak się walczy z tym czymś? – wrzasnął do Strażnika.

– Się nie walczy! Się ucieka! – ryknął ogr.

Skylan pokręcił głową z uporem.

– Nie zostawię tu moich ludzi.

– Nie zdołasz im pomóc, jeśli sam skończysz tak jak oni – zauważył trzeźwo Strażnik.

Skylan zaklął cicho i zaczął biec w stronę drzwi z brązu. Wypadł na dwór, a Strażnik zaraz za nim.

Gdy już byli poza katakumbami, Skylan obejrzał się za siebie. Lemur nie popłynął za nimi. Majaczył w drzwiach jak zasłona z mgły. Byli więc bezpieczni, choć ich przyjaciele nadal tkwili w środku i rozgniewane duchy nadal zmuszały ich do bratobójczej walki.

– Głową muru nie przebijesz, Skylanie – mruknął Sigurd. – To sytuacja bez wyjścia. A w środku nie ma żadnego tunelu.

Skylan odwrócił się i ujrzał przyjaciela ojca ocierającego twarz z krwi. Jego oczy były znów takie jak zwykle, tyle że widać w nich było trwogę.

– Co się tam dzieje? – spytał Skylan. – Jak mogę pokonać te duchy?

Sigurd wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Pamiętam tylko bladą dłoń i potem to już marzyłem tylko o tym, żeby zabić ludzi, którzy zakłócili mój wieczny spoczynek.

– Nawet jeśli to była pułapka, Treia na pewno o niej nie wiedziała – oświadczyła z przekonaniem Aylaen. – To na pewno nie jej wina.

– Wiedziała – sprowadził ją na ziemię Wulfe. – Była tu nawet. Patrzyła na was. Razem z Raegarem.

– Z Raegarem? Tu? – spytał Skylan.

– Już sobie poszli. Bardzo szybko. Przez te całe ogry.

– Ogry... – powtórzył zdumiony Skylan. – Co znowu z ogrami?

– No, przyplyną na okrętach – wyjaśnił Wulfe. – Dziś w nocy.

– Strażniku, słyszałeś?! – krzyknął przejęty Skylan.

Ogr jednak tylko prychnął i pokręcił głową.

– Możesz spytać tamtą panią, jak mi nie wierzysz – burknął urażony Wulfe. – Jeszcze tam stoi.

– Jaką panią?

– No tę, co gada z umarłymi.

– Może to Kapłanka Ducha – szepnęła Aylaen. – Taka jak tamta, która wezwała Garna. Raegar mówił, że mogą rozkazywać umarłym. Gdzie ona jest, Wulfe? Widzisz ją jeszcze?

– Schowała się za krzakami – powiedział Wulfe, węsząc jak pies. – Nie widzę jej, ale wciąż jeszcze ją czuję.

– Musimy ją znaleźć – zdecydował Skylan. – Jeśli jest w stanie rozkazywać umarłym, może powstrzymać te duchy w katakumbach. Strażniku, ty chodź ze mną. Aylaen...

Nagle ostry ból przeszył mu ramię. Zdawało mu się, że ktoś żywcem wydziera mu mięso z ręki, wbija się w mięśnie, gruchocze kości. Ręka drżała z bólu. Upuścił miecz i zwinął się z jękiem, przyciskając rozpalone ramię do brzucha. Sigurd wił się po ziemi. Strażnik chwycił się za ramię i wył z bólu i wściekłości. Tylko Aylaen, która nie miała tatuażu, stała bezpieczna i przyglądała im się bezradnie.

– Co mam robić?

– Idź... Wulfe... – mamrotał Skylan. Wymówienie każdego słowa było mordęgą. Pot zalewał mu twarz, ale zdołał jeszcze wyszeptać: – Wulfe, znajdź kapłankę. Wiesz jak!

Wulfe wpatrywał się w niego przerażony. A gdy zrozumiał, co ma zrobić, zaczął się trząść i kręcić głową.

– Znajdź ją! – wysapał Skylan przez zaciśnięte zęby – Znajdź kapłankę!

Wulfe wciąż jednak się wahał. Znów spojrzął na Skylana, który skręcał się z bólu, i usta chłopca ułożyły się w dziwnie szeroki uśmiech. Skoczył na ziemię i popędził przed siebie na czworaka tak, jak wiele razy przedtem podczas zabaw. Aylaen jednak patrzyła na niego zdumiona, bo gdy tak biegł, włosy na jego rękach i nogach rosły, a jego nieporadne ruchy zmieniały się w eleganckie, pełne siły i wdzięku susy. Zęby urosły niczym kły; usta poszerzyły się; język wysunął; mięśnie stwardniały.

Oto po ścieżce pędził potężny wilk. Po chwili zatrzymał się i przywarł nosem do ziemi. Biegał przez chwilę wokół, węsząc, unosząc łeb i strzygąc uszami. Szybko trafił na trop i skoczył w ciemność.

Aylaen zamarła z przerażenia. Stała i gapiała się na niego bez ruchu.

– Biegnij za nim! – błagał Skylan. Opadł bez sił na kolana, wyjąc dziko. – Nie pozwól mu... zabić...

Wilk wrócił nagle i rzucił się w stronę Aylaen. Było to młode zwierzę, trochę wymizerowane. Stanęło tuż przed nią, warknęło, machnęło łbem, odwróciło się, pobiegło kawałek. Znow przystanęło, popatrzyło na nią, machnęło łbem.

Aylaen pojęła wreszcie. Miała iść za nim.

Otrząsnęła się z szoku i ruszyła za wilkiem. Przez gęste zarośla nie była w stanie biec tak szybko jak młode zwierzę; ani tym bardziej równie cicho. W końcu jednak wilk doprowadził ją do starej kaplicy.

Na podłodze zamajaczyły jej czarne i srebrne pasy cieni i księżycowego światła. Aylaen usiłowała kryć się w cieniu, ale kobieta widać coś usłyszała lub zobaczyła, bo nagle zaszeleściła jej suknią, gdy zaczęła biec po zwiędłych liściach.

Wilk uniósł łeb, warknął cicho i rzucił się w pogoń. Pamiętając ostrzeżenia Skylana, Aylaen popędziła za nim co sił w nogach. Wilk z łatwością dogonił kapłankę, która wrzasnęła w panice i wtedy Aylaen poznała jej głos. To Semelon, kobieta, która wzięła w niewolę duszę Garna.

Wilk kłapnął paszczką, wysunął jęzor. Semelon zobaczyła, że zwierzę jest tuż za nią, i zaczęła piszczeć, zakrywając twarz rękoma. Wilk skoczył i powalił ją na ziemię. Aylaen straciła ich z oczu.

– Nie skrzywdź jej, Wulfe! Nie skrzywdź jej! – darła się histerycznie.

Po chwili znalazła Semelon skuloną w panice na ziemi. Kapłanka kurczowo zaciskała powieki, a Wulfe, już w swej ludzkiej postaci, kucnął kilka kroków obok, sapiąc głośno, aż mu chodziły boki.

– Zrobiłem, jak kazałaś – powiedział z dumą. – Nie skrzywdziłem jej ani odrobinę.

Aylaen rzuciła mu nerwowe spojrzenie i pochyliła się nad kapłanką.

– Nie ma już wilka – szepnęła. – Jesteś bezpieczna.

Semelon wrzasnęła tylko i zamachnęła się na nią pięściami.

Aylaen chwyciła jej ręce.

– Nic ci nie grozi! Otwórz oczy!

Semelon otworzyła raptownie oczy. Popatrzyła na Aylaen, potem na chłopca czającego się w kącie.

– Ten chłopak należy do leśnego ludu! To człowiekobestia! Zabij go! Szybko, szybko, zanim znow się zmieni w wilka i zabije nas obie...

– Nie zabije nas obu – powiedziała Aylaen z naciskiem. Chwyciła kobietę mocno i postawiła ją na nogi. – Ale ciebie, owszem, zabije, jeśli nie będziesz robić, co ci każę.

Semelon wbiła w nią przerażone spojrzenie.

– Zawarłaś pakt ze złym!

Aylaen rzuciła szybkie spojrzenie na dzieciaka, który im się czujnie przyglądał. Przelknęła z trudem i opanowując strach, pociągnęła kapłankę przez cały ogród aż do katakumb. Światło księżycy padało teraz wprost na drzwi z brązu.

Bała się, że zostanie mężczyźni wciąż powalonych bólem, ale ze zdumieniem i radością zobaczyła, że stoją na własnych nogach, rozcierają ramiona i rozglądają się zdezorientowani.

– Ni stąd, ni zowąd Aelon rzuca się na moje ramię, a za chwilę znika i po bólu – gderał Sigurd. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Bóg ma teraz ważniejsze rzeczy na głowie – stwierdził Skylan. – I my też.

Odwrócił się w stronę kapłanki i wskazał na katakumby.

– Uwolnij moich ludzi!

– Twoi przyjaciele rozgniewali lemury, ponieważ zakłócili ich święty spoczynek – odparła Semelon. – Nic nie mogę na to poradzić...

– Kłamie – syknęła Aylaen. – Widziałam, jak posługuje się magią. To ona wezwała Garna. To ona trzyma jego ducha w niewoli...

– To nie ja nałożyłam na niego więzy, przez które jego dusza nie może odejść z tego świata – odrzekła kapłanka.

Aylaen wpadła w furję.

Skylan jednak nie miał czasu na babskie sprzeczki. Znow wskazał na katakumby.

– Użyj swojej mocy! Uwolnij moich przyjaciół albo zajmie się tobą chłopak!

Semelon rzuciła niepewne spojrzenie na Wulfe'a, który uśmiechnął się do niej niewinnie.

– Ten dzieciak należy do leśnego ludu – powiedziała. – Nikt nie powinien mu ufać. Popamiętasz moje słowa. Nastanie dzień, gdy obróci się przeciwko tobie.

– Będę się tym martwić, jak już ten dzień nastanie – obiecał jej na odczepnego Skylan. – A teraz rób, co ci każe.

Semelon wzruszyła ramionami i zaczęła nucić. Zaslona z mgły nadal przesłaniała wejście, ale słychać było, że w środku Torgunowie natychmiast przestali walczyć.

– Zmarli pozwalają im odejść – oświadczyła Semelon. – Lecz swoją broń wojownicy muszą zostawić w katakumbach.

– Odłóżcie broń! – krzyknął do przyjaciół Skylan.

Wojowie zawahali się niezadowoleni.

– Inaczej zmarli was nie wypuszczą! – ponaglał ich Skylan.

Erdmun pierwszy cisnął toporem o podłogę i pobiegł w stronę drzwi. Grimuir i Bjorn wzięli Farinna i wynieśli go na zewnątrz. Aki dał radę wyjść sam. Wszyscy jednak krwawili, choć nie odnieśli cięższych ran.

Kiedy byli już na dworze, Skylan podszedł do drzwi z brązu i położył na nich dłoń. Mgła owionęła jego palce ostrzegawczym chłodem.

– Przepraszamy, że zakłóciliśmy wasz spoczynek! – krzyknął.

Strażnik podszedł, żeby mu pomóc, i wspólnymi siłami zamknęli drzwi do katakumb, po czym wrócili do swoich przyjaciół.

– I po naszym planie ucieczki – podsumował z rezygnacją Bjorn.

– Opuszczamy Sinarię jeszcze dziś w nocy – oznajmił Skylan.

Popatrzyli na niego zdezorientowani. Skylan spojrział na Strażnika i powiedział:

– Za chwilę do miasta wkroczą ogry. Ich flota już ponoć opłynęła przylądek. – Wskazał na tatuaż na ręku. – To dlatego bóg pozwala nam robić, co chcemy. Ma ważniejsze rzeczy na głowie.

– A ty niby skąd to wiesz? – spytał pełen podejrzeń Sigurd.

– Wulfe podsłuchał rozmowę Trei i Raegara. To Aelon im o tym powiedział. Spytajcie kapłankę. Aelon do niej też przemawia.

Semelon patrzyła na nich w ponurym milczeniu.

– To prawda – stwierdził Bjorn. – Tylko spójrzcie na jej minę.

– Zaniesiemy okręt nad rzekę i schowamy go wśród drzew – przedstawił im nowy plan Skylan. – Ogry zaatakują dopiero o świcie.

Strażnik drgnął, jakby chciał coś powiedzieć, ale gdy Skylan spojrział na niego, wyraźnie się rozmyślił i tylko pokręcił głową.

– Gdy ogry będą zajęte paleniem, mordowaniem i grabieniem, my odpłyniemy do domu.

Do domu! Oczyma wyobraźni już widział znów plażę, już szedł brzegiem morza do Ludy. Padał ojcu w ramiona i błagał go o przebaczenie. Siedział z przyjaciółmi w długie zimowe wieczory i opowiadał im bez końca o swoich przygodach.

Nagle spojrział na Aylaen, która stała o kilka kroków od pozostałych blada, milcząca i nieruchoma.

– Nigdzie się nie ruszę bez Garna – oznajmiła.

Rozdział 12

– Garna? – powtórzył zdumiony Sigurd. – Garn nie żyje!

Zerwał się wiatr. Gałęzie drzew poruszyły się i zaskrzypiały. Liście zaszumiały. Gdyby w tych drzewach mieszkały driady, plotkowałyby teraz z przejęciem o nadciągających ograch, ponieważ był to wiatr, który zesłali bogowie Raj, by wydał ich żagle i pchnął okręty ku wytyczonemu celowi. Skylan poczuł go na twarzy. Powietrze zapachniało solą i morzem.

– Zostanę z Aylaen – oświadczył.

Opowiedziała im wszystko, krótko i zwięźle, świadoma, jak mało mają czasu.

– Raegar obiecał mi, że Aelon przywróci Garna do życia, jeśli przekażę mu rytuał wezwania smoka vektyjskiego...

Wojownicy wpatrywali się w nią przerażeni. Duch Garna w niewoli. Kość ducha Vektii. To było dla nich za dużo. Popatrywali po sobie nawzajem zbici z tropu. Skylan nie musiał pytać, co myślą, bo wiedział, że to samo co on.

Nie mamy czasu, przebiegło mu przez głowę. Musimy natychmiast biec po okręt, musimy zrobić wszystko, żeby uciec. Torgunowie trzymają się razem. Nie możemy tu nikogo zostawić. Ale Garn by zrozumiał. Nie chciałby, żebyśmy stracili przez niego szansę na wolność. Co do kości Vektii, co możemy zrobić? Jest i tak poza naszym zasięgiem.

Skylan już widział oczyma wyobraźni te trójkątne żagle, połyskujące upiorną bielą w świetle księżyca. Wkrótce zobaczą je strażę na wieżach w porcie, zaczną bić na alarm.

Smoki vektyjskie...

Pięć smoczych kości. Co noc bogini rzucała pięć kości. Pięć. Zawsze razem. Torgunowie trzymają się razem.

Ta nagła myśl uderzyła w niego jak piorun, wybuchła tysiącem iskier i syczących płomieni. Wreszcie zrozumiał.

– Garn ma rację – wyszeptał zadziwiony. – Ja rzeczywiście znam tę tajemnicę.

I nagle pojął ze zgrozą, jak wielkie zagraża im wszystkim niebezpieczeństwo. Nagle wiedział dokładnie, co zamierzają zrobić Treia i Raegar, i wiedział to z taką jasnością i pewnością, jakby ci dwoje wszystko mu osobiście opowiedzieli. Już wiedział, dlaczego próbowali zmusić Aylaen do zdobycia tajemnicy wzywania smoka Vektii. Tajemnicy!

Treia powiedziała przecież Aylaen, że zna rytuał. Może to i prawda. Ale nie zna tajemnicy.

– Zanieście *Venjekar* nad rzekę i przygotujcie się do odpłynięcia. Ja i Aylaen zajmujemy się uwolnieniem Garna.

– A co z kością ducha? – spytał Bjorn.

– Im mniej padnie między nami słów na ten temat, tym lepiej – odpowiedział wymijająco Skylan i wskazał mu wzrokiem kapłankę.

Semelon patrzyła na nich w milczeniu. Przysłuchiwała się ich rozmowie z uwagą, a przecież miała moc przemawiania do swego boga. Mogła go ostrzec. Skylan pewnie mógłby ją zabić, żeby zapewnić sobie jej milczenie, ale w pewnym sensie dużo jej zawdzięczał. Gdyby nie to, że wezwała Garna, nigdy nie rozwiązałby tej zagadki.

– Co się dzieje? – spytał Erdmun. – O co mu chodzi?

– Bogowie mają uszy – mruknął Sigurd i wskazał palcem kapłankę. – A teraz ruszać się.

Skylan machnął jeszcze do Sigurda, gdy już odchodzili.

– Będziemy się starali was znaleźć, ale jeśli nie dotrzemy na okręt do czasu, gdy wy będziecie już gotowi, musicie odpłynąć bez nas.

Ku jego zaskoczeniu Sigurd pokręcił głową.

– Poczekam na was.

– Ogry zaatakują o świcie – powiedział Skylan. – Jeśli do tego czasu nie uda nam się wrócić, to znaczy, że w ogóle nam się nie uda. Wyprowadź *Venjekar* na morze i staraj się odpłynąć jak najdalej od miasta.

Sigurd zawahał się, lecz po chwili wyciągnął do niego rękę.

– Niech Torval ma cię w swojej opiece.

Skylan mocno uściskał mu dłoń.

– Jesteś najlepszym przyjacielem mego ojca. Powiedz mu, proszę, że przepraszam go bardzo za wszystkie kłopoty, które mu sprawiłem.

Sigurd uśmiechnął się na te słowa.

– Powiem mu, że jego gówniarz wreszcie stał się mężczyzną.

I zaczął drzeć się na pozostałych, żeby nie guzdrali się jak ostatnie ofermy.

– Dziękuję ci za to, że idziesz ze mną uwolnić Garna – powiedziała Aylaen. – Może uda nam się też znaleźć Treię...

Musimy znaleźć Treię, pomyślał Skylan. Miał nadzieję, że być może uda im się ją uratować. Wolał nie myśleć o tym, co się stanie, jeśli nie będzie chciała, by ktokolwiek ją ratował.

– Kapłanka ma rację – dodała Aylaen i westchnęła ze smutkiem. – To ja ukułam łańcuchy, które nie pozwalają Garnowi odejść z tego świata. – Spojrzała znów na Semelon i zmarszczyła czoło. – Co z nią zrobimy? Może w każdej chwili ostrzec swego boga...

– Ostrzec go? Niby przed czym? To tylko kilku marnych niewolników ucieka od swego pana. – Skylan uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Aelon i tak ma już pełne ręce roboty. Zaraz spadnie na niego kilka tysięcy ogrów i ich bóg na dodatek. Zresztą kapłankę zabieramy ze sobą. Może nam się jeszcze przydać.

Już chciał ruszyć, gdy kątem oka zauważył, że Wulfe wciąż czai się w krzakach. Zupełnie o nim zapomniał.

– Powinieneś pójść za Sigurdem na okręt – powiedział Skylan. Jego głos był ostry i dobrze o tym wiedział, ale nie był w stanie się opanować. Trudno mu było patrzeć teraz na dzieciaka i nie widzieć w nim tamtej bestii.

– Jesteś na mnie zły, nie? – wybąkał Wulfe. Trzęsła mu się broda. – Zrobiłem tylko to, co mi kazaleś. Znalazłem kapłankę. I wcale jej nie zabiłem!

– Wiem, wiem – westchnął Skylan. – Ale daj mi chwilę, żebym się przyzwyczaił do tej myśli, że jesteś... człowiekobestią. Przecież tobie zajęło trochę, nim się przyzwyczaiłeś do życia wśród Brzydali...

Nagle urwał. Te słowa o czymś mu przypomniały. Chwycił dzieciaka za ramiona i szepnął szybko:

– Mówiłeś, że Treia modliła się w ładowni do jakiegoś boga. Boga Brzydali, pamiętasz? Jak on miał na imię?

Wulfe próbował sobie wszystko dokładnie przypomnieć.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Ale czuć było dymem i gorąco się zrobiło jak nie wiem.

– Hevis – zrozumiał Skylan. – Hevis przekazał Trei rytuał.

Wulfe wyrwał mu się z rąk i popędził do Aylaen, licząc pewnie na to, że jeśli zejdzie Skylanowi z oczu, nie będzie musiał iść za Sigurdem.

– Dokąd idziecie? – spytał Strażnik. – Co zamierzasz zrobić?

Skylan myślał, że Strażnik już dawno sobie poszedł. Teraz popatrzył na niego zaskoczony.

– Co ty tu jeszcze robisz? Gdyby moi ludzie wpływali właśnie do portu, już bym tam był, żeby powitać ich na lądzie.

– A ja, gdybym miał tu własny okręt, już bym na nim odpływał – odpowiedział Strażnik.

– Jak ci się zdaje, ile sekund uda wam się przeżyć w mieście plądrowanym przez ogry?

– Przecież nie będzie mnie już tam, gdy ogry zaatakują – zauważył Skylan.

Strażnik pokręcił potężnym łbem i wydał wargi z pogardą.

– Ludziom to się zawsze wydaje, że jesteśmy bandą idiotów.

Skylan wiedział, że to prawda, i milczał, nie umiejąc znaleźć odpowiednich słów. Zupełnie nie rozumiał też, do czego Strażnik dąży.

– Skoro wybraliśmy dzisiejszą noc, by zaatakować – rzekł ogr i wskazał mu głową niebo – jak ci się wydaje, dlaczego?

Jego oczy błysnęły w jasnym świetle pełnego księżyca i Skylan nagle pojął, co ogr sugeruje.

– Ogrzy nie będą czekały do rana!

– Oczywiście, że nie – mruknął Strażnik – Nie jesteśmy durni. A ciebie moi ludzie zarzną tak samo jak każdego innego człowieka. Chyba że będziesz ze mną.

Skylan pokręcił głową.

– Dziękuję ci, przyjacielu, ale to dla ciebie zbyt niebezpieczne...

Strażnik machnął tylko ręką, jakby nie było o czym mówić.

– Jestem ci dłużny. Uratowałeś mi życie.

– Ja? Nic podobnego – wybąkał zdumiony Skylan.

– Byłem jak martwy, Skylanie – rzekł ogr. – A ty sprawiłeś, że to zrozumiałem. A teraz opowiedz mi dokładnie, co zamierzasz zrobić.

Rozdział 13

Nocne powietrze skrzyło się w księżycowej poświacie, pełne dziwnej mocy. Skylanowi wydawało się, że czuje zapach siarki, choć na rozgwieżdżonym niebie nie majaczyła ani jedna chmurka dymu. Był pewien, że bogowie – ci starzy i ci nowi – są dosłownie na wyciągnięcie ręki, że ściągną do tego miasta na bitwę, która zadecyduje o losach tej wojny.

Wybiegli ze starego ogrodu i gdy znów byli poza gąszczem drzew, ujrzał willę. Dom był pogrążony w ciemności. Tylko w pokoju Chloe wciąż tliły się lampki.

Wyobraził sobie, jak ta mała dziewczynka wkracza do Komnaty Torvala. Będzie pewnie trochę onieśmielona całym tym hałasem, rechotami, śpiewami, hukiem rozbijanych kufli, przewracanych stołów i krzeseł. Stanie na progu niepewna i zawstydzona, mała, śniada, jak wróbelek wśród orłów. Torval podejdzie do niej mocarnym krokiem i olśni ją swą potęgą, lecz gdy wyciągnie do niej dłoń, będzie delikatny i opiekuńczy. Wyprowadzi ją na sam środek i powie:

– Oto bohaterka godna was wszystkich...

Przebiegli przez atrium, żeby dotrzeć do zbrojowni i stajni najkrótszą drogą, która prowadziła przez wąski korytarz między kuchnią a piekarnią. Żeby uniknąć ryzyka pożaru, wielkie chlebowe piece wybudowano w pewnym oddaleniu od domu, lecz jednak na tyle blisko kuchni, by kucharka miała do nich łatwy dostęp. Kamienne łuki korytarza kryły ich w swym cieniu. Nagle Strażnik i Skylan zamarli.

Skylan wyciągnął dłoń i zatrzymał Aylaen i Wulfe'a. Strażnik chwycił kapłankę i zatkał jej usta dłonią.

Mieli stąd doskonały widok na brukowaną drogę, która prowadziła grzbietem wzgórza do willi. Znajdowała się nieco na lewo od nich. Baraki, stajnie i zbrojownia były przed nimi po prawej. Główną część willi i atrium mieli już za plecami.

Po drodze pędziło na koniach sześciu mężczyzn w mundurach świątynnych strażników. Jechali szybko, głośno, w ogóle się nie kryjąc. Każdy z nich miał w dłoni obnażony miecz. Ostrza błyszczą złowieszczą w świetle księżyca.

– Jadą po nas? – wyszeptła Aylaen.

Skylan pokręcił głową.

– Raegar jest pewien, że leżymy martwi w katakumbach. Oni jadą po Legata.

Przehalopowali tuż przy nich, w ogóle nie oglądając się w kierunku zabudowań gospodarczych. Jechali wprost do głównego wejścia. Nie mieli się czego obawiać. W willi nie ma przecież ani jednego żołnierza. Na ich widok Skylanowi wpadł do głowy nowy pomysł.

– Aylaen – szepnął. – Zostań tu z Wulfe'em i kapłanką. Strażniku, ty pobiegnij po konie, broń i jakąś taką zbroję, żebyśmy wyglądali na żołnierzy Legata. Spotkamy się przed samą willą.

Aylaen chwyciła go za ramię. Jej zielone oczy groźnie lśniły w księżycowej poświacie.

– Chcesz go uratować, tak? Chcesz ryzykować własne życie, żeby uratować człowieka, który... który uczynił nas niewolnikami?! Zostaw go swemu losowi, Skylanie.

– Chciałbym – odpowiedział. – Ale on jest mi potrzebny.

Popędził po własnych śladach, z powrotem do atrium.

Gdy biegł, szacował w głowie, ile czasu zajmie żołnierzom dotarcie do drzwi willi. Potem będą musieli zejść z koni, włamać się jakoś. Drzwi są przecież zamknięte na klucz. W środku stracą trochę czasu na błędzeniu po wielkim budynku, a tymczasem on wiedział dokładnie, gdzie znaleźć Acronisa.

Podbiegł do oświetlonego pokoju i otworzył na oścież drzwi wychodzące na atrium. Płomienie lampek olejnych zamigotały poruszone powiewem nocnego powietrza. Na łóżku leżała nieruchoma, blada postać. Ciało Chloe obmyto już i nabalsamowano. Uczesano jej włosy i ułożono starannie. Dłonie złożone miała na piersi. Oczy zamknięte. Twarz spokojną, na ustach lekki uśmiech.

Skylan rozejrzał się za Acronisem, ale nigdzie go nie widział. Wiedział, że nie może się mylić. Przecież to ręka kochającego ojca ugłaskała te włosy, ułożyła ciało. Nagle usłyszał jakiś dźwięk w najdalszym kącie pokoju.

Acronis ustawiał właśnie miecz rękojeścią do ściany, głownią do piersi. Była już właściwie gotowa. Pozostawało rzucić się na nią i wbić sobie ostrze w serce.

– Czy chcesz zbrukać jej pamięć? – spytał Skylan.

Acronis drgnął. Miecz wyslizgnął mu się z ręki. Chwycił go odruchowo.

– Wynoś się – ryknął. – Albo nie. Trzymaj miecz. Nie musisz nic robić. Tylko stój tak przez chwilę...

– Nawet tego nie muszę – sprowadził go na ziemię Skylan. – Zaraz będzie tu sześciu morderców. A nawet jeśli ich pokonasz, armia ogrów właśnie schodzi na ląd, by zaatakować twoje miasto. Prawdę powiedziawszy, jeśli uda im się ciebie zamordować, przynajmniej twoja córka nie będzie się musiała wstydzić ojca tchórze.

– Ogry? – powtórzył zaskoczony Acronis.

– I mordercy – przypomniał mu dla porządku Skylan.

Acronis machnął jednak na to ręką.

– Są już na horyzoncie?

– Tak, Legacie. Gdzie jest Zahakis?

Acronis pokręcił głową.

– Odesłałem go...

Ciszę rozdarł potężny ryk. Jednocześnie usłyszeli szczęk broni i wrzaski żołnierzy. Trybun krzyczał do Legata ostrzegawczo.

– No, to już znaleźliśmy Zahakisa – stwierdził Skylan. – A raczej twoi mordercy go znaleźli.

Acronis stał, wpatrując się w swój miecz, jakby zapomniał, do czego służy.

– Zahakis to dobry wojownik – zauważył Skylan. – Ale nie jest w stanie pokonać sześciu żołnierzy.

Wzrok Acronisa powędrował ku postaci na łożku.

– Nie zostawię jej tak samej – wyszeptał z uporem.

– Ja z nią zostanę – obiecała Semelon.

Skylan odwrócił się i ze zdumieniem zobaczył, że w drzwiach stoi Kapłanka Ducha. Za nią wpadła zasapana Aylaen.

– Próbowałam ją powstrzymać...

– Biegnij pomóc Strażnikowi przy koniach – krzyknął tylko Skylan. – I znajdź Wulfe'a. Nie może tak latać luzem!

Aylaen zawahała się, ale pobiegła.

Semelon weszła do sypialni Chloe i spojrzała na łoże. Odgarnęła włosy z zimnego, bladego czoła dziewczynki.

– Jej duch jest w jakiejś wielkiej komnacie pełnej muzyki, światła i śmiechu. Ona tańczy.

Acronis i Skylan popatrzyli po sobie zaskoczeni, lecz nie było czasu, by się nad tym zastanowić, ani nawet by Skylan zdołał podziękować Torvalowi. Odgłosy walki były coraz bliższe. Zahakis wciąż wrzeszczał. Acronis pochylił się i pocałował córkę.

– Nie martw się – szepnął. – Nie przyniosę ci wstydu.

Otworzył drzwi na oścież i pobiegł korytarzem tam, skąd dochodził szczęk mieczy. Zdziwił się, gdy zobaczył, że tuż przy nim biegnie Skylan.

– To nie twoja wojna! – krzyknął, gdy biegli przez kolejne sale.

Przez okna wpadało srebrne światło księżyca.

– Może ci się to wydać dziwne, ale jednak to jest moja wojna – odkrzyknął Skylan i przeskoczył staw z rybkami.

Szczęk metalu, krzyki i niski, bulgoczący ryk uciął dalszą rozmowę. Acronis zwolnił. Uniósł dłoń i pokazał Skylanowi, żeby trzymał się w cieniu i poruszał jak najciszej.

Drzwi willi stały otworem. Stalowe ostrza migotały w świetle księżyca. Zahakis zapierał się plecami o ścianę, powoli wymachiwał mieczem, przesuwając jego czubek to na jednego wroga, to na drugiego.

Marmurowa posadzka mokra była od krwi. Ryk, który usłyszeli przed chwilą, dochodził z ust mężczyzny wijącego się na podłodze w agonii, rozpaczliwie trzymającego się za brzuch, z

którego wypływały wnętrzności. Tylko on leżał na ziemi, lecz nie on jedyny był ranny. Jednemu z napastników krew zalewała oczy; drugi kulał wyraźnie, a na udzie miał głęboką ranę.

Pięciu żołnierzy wymieniło spojrzenia. Widać było, że zaraz przypuszczą wspólnie atak na Zahakisa i go rozgromią. Skylan krzyknął, by odwrócić ich uwagę. Wpadł z korytarza, a Acronis za nim. Rzucili się na morderców, którzy zawahali się zaskoczeni tym niespodziewanym atakiem.

Jeden poślizgnął się w kałuży krwi i upadł. Skylan kopnął go w głowę, wbijając miecz w niechronioną przez zbroję pachę drugiego. Wyrwał miecz z jego ciała, odwrócił się z uniesioną bronią, by zadać kolejny cios, lecz okazało się, że już po walce. Trzech żołnierzy leżało martwych lub umierających, a pozostali umykali w popłochu.

Na samą myśl o tym, jak zachowają się ci tchórze w obliczu armii ogrzyc wojowników, Skylanowi zrobiło się słabo. Nic dziwnego, że Kapłan Generał chce, żeby Treia wezwała mu na pomoc smoka.

– Nic ci nie jest, panie? – spytał Zahakis.

– Nic. Dzięki tobie. I naszemu pradusowi. – Acronis uśmiechnął się do Skylana. – Za ocalenie życia powinienem ci darować wolność, młody człowieku, lecz mam niejasne wrażenie, że sam ją sobie już zdobyłeś, nieprawdaż? – Urwał. Potarł oczy i dodał ciszej: – Ta noc ciągnie się jak jakiś koszmar. Czy ty coś wspomniałeś może o inwazji ogrów?

– Co znowu z ogrami? – spytał zaniepokojony Zahakis.

– Flota jest blisko – wyjaśnił Skylan. – Prawdopodobnie wpłynęli już do zatoki.

– Legacie, ty i ja musimy natychmiast...

– Co? Co takiego, Trybunie? – przerwał mu Acronis i wzruszył ramionami. – Cóż możemy zrobić? Obie triremy są w hangarach, w trakcie gruntownej naprawy. Wodowanie ich w takim stanie jest wykluczone. A zresztą zebranie wioślarzy zajęłoby kilka dni. A jeśli chodzi o twoich ludzi, wątpię, czy choć jeden jest trzeźwy. Powiedzmy sobie wprost, przyjacielu, nie możemy zrobić nic...

– Owszem, możemy – wszedł mu w słowo Skylan. – Widziałeś tę kość, której Treia użyła, by wezwać smoka Kahg. Kapłan Generał ma taką właśnie kość. Jeśli tylko ją zdobędziemy, możemy uratować miasto.

Nie kłamał przecież, i choć nie mówił też całej prawdy, miał nadzieję, że Torval przymknie na to oko.

– Kapłanka Kości może wezwać smoka, by nas obronił? – zdumiał się Acronis.

– Ale dlaczego miałyby to uczynić? – spytał Zahakis.

– Dlatego, że to jedyny sposób, by uratować nie tylko wasz lud, ale i mój – powiedział Skylan. Modlił się tylko, by za długo tego nie analizowali i nie zauważyli dziur w tej historyjce. – Czas nagli – pospieszał ich, jak umiał. – Kapłanowi Generałowi zdaje się, że ogry poczekają z atakiem do świtu, ale Strażnik mówi, że wystarczy im światło pełni

księżycy, więc wkroczą do miasta, gdy tylko uformują szeregi. Musimy do tego czasu dotrzeć do świątyni i znaleźć kość ducha...

– Ty mógłbyś to zrobić bez trudu, Legacie – zauważył Zahakis. – Wpuszczą cię tam bez zbędnych pytań. Ja się zajmę ochroną miasta. Wiem, panie, gdzie szukać swoich ludzi. A poza tym są jeszcze przecież uliczne gangi. Większość z tych ludzi jest uzbrojona i wyszkolona lepiej niż nasi żołnierze.

– To dobry plan – przyznał Acronis. – Zabierz się do jego wykonania.

Zahakis zasalutował i odszedł.

– Zapomniałbym...! – zawołał za nim Acronis.

– Tak, panie? – spytał Zahakis, odwracając się.

– Zapisałem ci cały majątek – rzekł Legat. – To wszystko należy teraz do ciebie.

Zahakis wpatrywał się w niego oszołomiony.

– Panie, tak nie można... – Pokręcił głową.

Acronis odwrócił się bez słowa i odszedł, nie oglądając się za siebie.

W końcu Trybun oprzytomniał.

– Uważaj na niego. On chce zginąć jeszcze dziś w nocy – powiedział cicho do Skylana.

– Będziemy mieć dużo szczęścia, jeśli ktokolwiek z nas przeżyje – stwierdził cierpko Skylan.

Razem ruszyli do drzwi. Zahakis poklepał go po ramieniu.

– Powodzenia, Skylenie. I trzymam kciuki za tych twoich barbarzyńskich bogów.

– Pamiętaj, że nadal zamierzam cię zabić pewnego pięknego dnia, Zahakisie – odparł Skylan z uśmiechem. – Bądź więc łaskaw dopilnować, by ogry nie odebrały mi tej przyjemności.

Zahakis odpowiedział mu uśmiechem i pokręcił głową. Potem wskoczył na jednego z koni, które zostały po żołnierzach ze świątyni, zakręcił nim wkoło i ruszył galopem.

Skylan ustalił ze Strażnikiem, że przyprowadzi konie przed willę, i oszacował, że już tu powinny być. Ledwie zdążył o tym pomyśleć, usłyszał tętent kopyt.

Strażnik siedział na wielkim rumaku zimnokrwistym i prowadził wierzchowca dla Skylana. Aylaen jechała za ogrem i miała na sobie zbroję żołnierza Acronisa. Twarz prawie całkowicie zasłaniały jej daszki policzkowe, ramiona i klatkę piersiową kryła zbroja segmentowa, a skórzana tunika z metalowymi pasami była na nią za duża i zwisała luźno z jej ciała. Na ramionach miała naręczaki, a na nogach nagolenice. Przejęty Wulfe jechał tuż za nią, trzymając się jej mocno obiema rękami.

Strażnik rzucił Skylanowi jakiś toból, który uderzył w ziemię ze szczękiem. Skylan rozerwał pospiesznie tkaninę i zaczął się szybko ubierać we wszystko, co znalazł w środku: zbroję segmentową, skórzaną tunikę, hełm ozdobiony skrzydłami. Ręce mu się trzęsły z emocji i nerwów. W końcu zniecierpliwiony Strażnik zeskoczył z konia, żeby mu pomóc.

– Legat zgodził się jechać z nami po kość – powiedział Skylan, gdy Strażnik pomagał mu się ubrać.

– Nie za bardzo ufasz człowiekowi, który uczynił nas niewolnikami? – Aylaen zmarszczyła brwi.

– To człowiek honoru – zapewnił ją Skylan. – I nie znosi Aelona.

Wsiadł na konia. Obrzucił spojrzeniem wille, ziemię wokół, wzgórze, które schodziły w dolinę, aż do rzeki prowadzącej do morza. Wpatrywał się długo w zatokę na horyzoncie, próbując dojrzeć ogrzą flotę. Lecz widział jedynie płaską, srebrną powierzchnię zalaną księżycowym blaskiem. Ogrze okręty wyglądałyby na niej jak małe czarne robaki, ale nie widział nic takiego. Od jasnej tafli wody wyraźnie odbijały się czarne sylwetki wież strażniczych.

Czy ludzie w tych wieżach zapalą ogień ostrzegawcze, gdy zobaczą okręty? Czy poślą do pałacu śmigłych posłańców? Cokolwiek zrobią, nie ma to właściwie znaczenia. Sinarianie bowiem spali jak zabici.

Nigdy więcej nie zobaczę już tego miejsca. Przybyłem tu w łańcuchach jako niewolnik. A teraz być może umrę wkrótce, próbując ratować tych, którzy wzięli mnie w niewolę.

Z willi wyszedł Acronis. W paradnej zbroi wyglądał wprost olśniewająco. Na ramiona zarzucony miał purpurowy płaszcz Legata, przy boku miecz. Już chciał wsiąść na konia jednego z żołnierzy, którzy przyjechali tu, by go zamordować, gdy zauważył Strażnika. Zamrugnął zdumiony.

– A ty co tu robisz?

– Przykro mi z powodu twojej córki, Legacie – rzekł ogr. – Obawiam się, że tej nocy może zginąć jeszcze wiele dzieci, jeśli nie uda nam się jakoś powstrzymać tej katastrofy.

– Tak – szepnął cicho Acronis. – Masz rację.

Skinął na swą nową „eskortę”, nakazując im jechać za sobą. Spięli konie i pogalopowali.

Nie zajechali jednak daleko, gdy Aylaen zatrzymała nagle swego konia.

– Skylanie! – krzyknęła. – Spójrz tylko na nasz okręt!

W pierwszej chwili Skylan nie zobaczył nic dziwnego. *Venjekar* unosił się na powierzchni srebrnego oceanu trawy falującej na wietrze, niby na falach prawdziwego morza. Skylan z czułością objął spojrzeniem jego pełną wdzięku sylwetkę, od rufy po szyję galionu, dumny łeb smoka i czerwone oczy miotające triumfalne spojrzenia. Oczy miotające spojrzenia.

– Wrócił Kahg! – wyszeptał Skylan.

– Naprawdę? – żywo zainteresował się Wulfe, wyciągając głowę, żeby lepiej widzieć. Zaraz potem rozplakał się nagle i schował twarz w dłoniach. Trzęsącymi się rękoma zaczął szukać czegoś pod koszulą.

– Masz! Masz! Weź ją! – chlpał, wpychając Aylaen w ręce smoczą kość.

Popatrzyła na nią i pokręciła głową.

– Smok dał ją tobie, Wulfe – powiedziała.

– Nie, nie. Kahg chce, żebyś to tyją miała – łkał Wulfe. – Ja miałem ją tylko na przechowanie.

– Musisz ją przechować jeszcze trochę dłużej – zdecydowała Aylaen. – Zanieś ją na okręt i powiedz Sigurdowi, że ją znalazłeś.

– Sigurd mnie nie cierpi – protestował Wulfe.

– Jak mu pokażesz tę kość, to cię pokocha jak rodzzonego syna – zapewnił go Skylan, a poważniejszym tonem dodał: – Ufam ci i dlatego powierzam ci to zadanie, Wulfe. Musimy zrobić wszystko, żeby smokowi udało się uciec.

– Ufasz mi! – powtórzył Wulfe, a po jego policzkach popłynęły łzy. Zamrugał szybko i ześlizgnął się sprawnie z końskiego grzbietu. W brudnej ręce kurczowo zaciskał kość. – Żaden ogr nawet jej nie dotknie. Obiecuję ci.

Rzucił się pędem w dół zbocza, wrzeszcząc jeszcze:

– A jakby który próbował, to mu rozszarpic gardło!

Skylan i Aylaen patrzyli, jak na czworaka sady wielkie susy przez trawę.

– Myślisz, że to Kahg przywiódł nas do tego miejsca? – spytała cicho Aylaen.

Skylan chciałby wierzyć, że tak właśnie było; chciałby móc zrzucić winę za swój los na kogoś innego – na smoka, bogów, kogokolwiek. Obiecał jednak Torvalowi, że nie będzie już więcej kłamał.

– Nie, jesteśmy tu tylko i wyłącznie przez moją głupotę – odpowiedział. Uśmiechnął się do niej krzepiąco i dodał: – Ale za to smok może nas stąd zabrać!

Ruszyli. Gdyby poczekali choć chwilę dłużej, ujrzeliby pierwszy okręt ogrów wpływający do portu. Mieszkańcy Sinarii spali spokojnie, nieświadomi, że wkrótce obudzi ich koszmar.

Rozdział 14

Acronis prowadził ich bez wahania przez labirynt uliczek, w których Skylan z pewnością pogubiłby się w jednej chwili. Minęli kilka wozów z nocnymi dostawami. Nie potrzebowali pochodni; jasny blask księżyca odbijał się od białych chodników i przyćmiewał nawet lśniąca kopułę sanktuarium Aelona. Skylanowi wydawało się, że mignęła mu sylwetka Zahakisa wchodzącego do jednej z oberży, lecz jechali tak szybko, że nie był pewien. Wkrótce zapomniał o Trybunie, zupełnie zaprzątnięty własnymi problemami, których miał pod dostatkiem. Przede wszystkim musiał koniecznie porozmawiać ze swym zmarłym przyjacielem.

Zahakis tymczasem pędził od oberży do oberży, rozsyłał wici o inwazji, zbierał swoich ludzi. Część z nich wysyłał do domu, po broń i zbroję, oraz by ostrzegli rodziny. Inni mieli broń przy sobie, więc od razu wychodzili na ulicę, zatrzymywali wozy, przewracali je na bok i budowali z nich barykady. Nie łudzili się, że to powstrzyma ogry, lecz mieli nadzieję, że przynajmniej zmniejszy trochę impet, z jakim zaatakują.

Zahakis dotarł do przywódców ulicznych gangów, którzy nad podziw sprawnie wyłonili się natychmiast ze swych tajemnych legowisk i posłali swych ludzi do rozbudowywania barykad. Tymczasem Sinarianie zaczęli wrzeszczeć i wskazywać palcem na niebo. Ci, którzy weszli na dachy, widzieli już ostrzegawcze płomienie zapalone przez strażników na wieżach w porcie. Ogry były coraz bliżej.

Sąsiad biegł do sąsiada, walił w drzwi, krzyczał pod oknem. Słysząc już było płacz wyrwanych ze snu dzieci, tupot biegających stóp i rzucane chaotycznie rozkazy.

– Jeśli ogrom się zdaje, że zaatakują miasto pogrążone we śnie – mruknął Zahakis, uśmiechając się ponuro pod nosem – czeka ich przykra niespodzianka.

Z dala od miasta, zgiełku, płaczu dzieci i huku butów na bruku w świątyni Aelona płonęły już wszystkie lampy. Kapłani wojownicy i strażnicy świątyni usłyszeli nawoływania obserwatorów i biegli stawić się w gotowości. Niektórzy w swej gorliwości wkładali zbroję jeszcze w biegu.

Kapłanki, tak jak wstały, zaspane, przerażone, w nocnych koszulach, zostały wysłane do świątyni, gdzie – jak je zapewniono – ich bezpieczeństwem zajmie się sam Aelon. Nikt nie wiedział, co właściwie się dzieje. Z ust do ust podawano sobie jakieś straszne plotki. Lecz nawet najgorsza z nich nie była tak potworna jak prawda.

Raegar i Treia spieszyli do sanktuarium, gdzie zbierali się już kapłani wojownicy i strażnicy świątyni. Panował tu kompletny chaos. Jedni wykrzykiwali jakieś rozkazy, inni biegali zdezorientowani. Dzięki swemu wzrostowi Raegar mógł bez trudu spojrzeć ponad morzem głów i liczył na to, że wyłowi w ten sposób Kapłana Generała. Przeliczył się jednak i sfrustrowany zaczął energicznie przepychać się przez tłum, jedną ręką mocno trzymając Treię, by jej nie zgubić.

Przed drzwiami prowadzącymi do wewnętrznych komnat stały straże, lecz Raegar rzucił im tylko, że musi się natychmiast widzieć z Kapłanem Generałem, i bez słowa otworzyli mu drzwi. Wciąż kurczowo trzymając Treię, wkroczył do środka. Strażnicy zatrzasnęli za nimi drzwi i nagle ogarnęła ich zupełna cisza. Obserwatorzy w milczeniu pochylali się nad misami z wodą i ogniem, odbierali i przesyłali informacje. Co jakiś czas wstawali i wychodzili spieszenie, by zanieść jakieś wieści lub otrzymać odpowiednie instrukcje.

Drzwi do gabinetu Kapłana Generała stały otworem. Kończył właśnie zwołane naprędce zebranie dowódców.

– Wysłać ludzi na pozycje – dawał im ostatnie instrukcje. – Priorytetem jest ochrona ziem Kościoła.

Na widok Trei i Raegara skinął, by weszli, i odesłał oficerów. Od razu jednak wszedł jakiś obserwator i przekazał mu coś szeptem. Kapłan Generał wysłuchał go w milczeniu, marszcząc brew. Spojrzał na Raegara z marsową miną. Obserwator pokłonił się i wyszedł. Xydis zatrzasnęła drzwi i zaczęła chodzić po pokoju.

– Kompletna katastrofa! – ryknął wreszcie. – Zupełnie nas zaskoczyli! Właśnie wezwano mnie do pałacu. Cesarzowa jest wściekła. – Wbił w Raegara przeszywające spojrzenie. – Powiedz mi natychmiast, że mam dla niej dobre wieści.

– Masz, panie – przytaknął Raegar z szerokim uśmiechem. – Jej cesarska wysokość nie powinna się w ogóle niepokoić losem Sinarii. Uratuje nas Aelon. Oraz smok vektyjski.

Xydis przestał się kręcić po komnacie.

– Możesz go wezwać?

– Ja mogę go wezwać, Czcigodny Panie – wtrąciła się Treia. – Znam rytuał.

Był to moment jej triumfu. Jej nagroda za ciężkie życie, za szyderstwa, obelgi, kpiny, za trudy i znoje, za godziny klęczenia na drewnianej podłodze, za drzenie z zimna, wysłuchiwanie niekończących się modlitw Draï do bogini, która i tak odwróciła się do niej plecami.

– Rytuał musi się odbyć na dużej, otwartej przestrzeni – ciągnęła.

– Myśleliśmy o arenie do Para Diksu – wtrącił Raegar.

– Świetny pomysł – zgodził się Xydis. – Zaraz przekażę tę wiadomość Cesarzowej. Oczywiście będzie chciała to zobaczyć.

Treia przygryzła wargę poirytowana. Przywoływanie smoka to rytuał religijny. Powinno się go wykonywać z pełną powagą. To nie gra, nie przedstawienie. Nie uszło jej uwagi jednak, że Raegar aż jęknął z przejęcia, gdy usłyszał o tym, iż Cesarzowa będzie obecna, więc ugryzła się w język i nic nie powiedziała. I tak miała już dość problemów z własnym żołądkiem, który wariował zupełnie ze strachu. Nie szło jej przecież najlepiej nawet wzywaniu zupełnie zwykłego smoka Kahg.

Teraz jednak uda jej się; musi jej się udać.

Hevis jest przy niej. Dała bogu, czego żądał. Aylaen nie żyje. Wszyscy Torgunowie zginęli.

– Do portu wpłynęły już pierwsze okręty ogrów – mówił właśnie Xydis. – Poczekamy z wezwaniem smoka, aż zbierze się cała flota. Smok po prostu zniszczy wszystkie ich okręty i zmiecie ich armię z powierzchni ziemi. Co za zwycięstwo dla Aelona! Co za zwycięstwo! – Zatarł ręce i spojrzał groźnie na Raegara. – Dobrze się złożyło, że przyniosłeś mi tak pomyslnie wieści, przyjacielu, gdyż w innym razie byłbym z ciebie bardzo niezadowolony.

– Cóż takiego zrobiłem, by zasłużyć sobie na twój gniew, Kapłanie Generale? – zdumiał się Raegar.

– Legat Acronis wciąż żyje. Nie udało się go zgładzić. W dodatku w bitwie zginęło kilku strażników świątyni. Ostrzegł go twój pobratymca Skylan.

Raegar wytrzeszczył oczy.

– Ale... ale to niemożliwe, Czcigodny Panie. Skylan i pozostali Vindrasi zostali osaczeni przez lemury z katakumb. Widziałem to na własne oczy. Nie mogli przecież uciec...

– A jednak udało im się – stwierdził cierpko Xydis. – To właśnie o tym poinformował mnie obserwator, który wszedł tu zaraz po was. Semelon doniosła, że ci twoi barbarzyńcy kazali jej, pod groźbą śmierci, uwolnić przyjaciół z rąk lemurów. Tyle z tego dobrego – dodał, odwracając się w stronę Trei – że z pewnością ucieszysz się, bo także twoja siostra uszła z życiem.

– Aylaen... przeżyła... – Treia wpatrywała się w niego w panice. Musiała się chwycić oparcia krzesła, by nie upaść.

Aylaen... przeżyła! Treia widziała, jak Xydis i Raegar rozmawiają o czymś jeszcze. Mówili coś do niej. Ich usta poruszały się, a jednak nie miała bladego pojęcia, czego w ogóle dotyczy rozmowa. Raegar wyglądał na zaniepokojonego. Wziął ją za łokieć i zaprowadził do drzwi. Przed nim szedł Xydis. Dotarło do niej, że idą do skarbcza.

Byli coraz bliżej smoczej kości Vektii oraz rozsierzonego boga, boga znanego ze swej mściwości.

Acronis i jego eskorta pędzili galopem do kaplicy Kapłanek Ducha. Już słyszeli dochodzące z niej śpiewy kobiet, które wzywały Aelona i błagały go, by chronił je przed wrogiem. Acronis zeskoczył z konia niemal w biegu i szybkim krokiem podszedł do drzwi. Przy nim stało dwóch jego żołnierzy. Strażnik pozostał przy koniach, w cieniu.

Legat zaczął walić do drzwi.

– To ja, Legat Acronis – zawołał zniecierpliwiony. – Otwierać!

Śpiewy ustały raptownie. Zapadła chwila ciszy, potem kilka głosów mówiło coś naraz, wreszcie zazgrzytały zamki. Drzwi się uchyliły i przez szparę wyjrzała młoda kobieta. Na widok Acronisa w lśniącej zbroi i purpurowym płaszczu oraz dwóch żołnierzy w hełmach ze skrzydłami odetchnęła z ulgą i otworzyła drzwi na oścież.

– Witaj, Legacie. Zapraszamy do środka.

– Nie przyszedłem z wizytą – powiedział Acronis. – Miasto zostanie zaraz zaatakowane...

– Tak, wiemy – odrzekła mu kapłanka ze spokojem. – Ostrzeżono nas o ataku. Modlimy się właśnie do Aelona.

– Nie jesteście tu bezpieczne. – Acronis minął ją i wszedł do środka, a za nim jego eskorta. – Pozostałe kapłanki zbierają się w głównej świątyni. Macie natychmiast do nich dołączyć.

– Nic nam tu nie grozi – zapewniła go dziewczyna z pogodnym uśmiechem. – Jak już mówiłam, modlimy się do Aelona. On nas ochroni.

Pozostałe kapłanki także się uśmiechnęły i kiwnęły głowami na potwierdzenie jej słów. Acronis popatrzył na nie ze złością i smutkiem jednocześnie. Kapłanka, która otworzyła mu drzwi, nie mogła być dużo starsza od Chloe.

– Ogry nie wierzą w Aelona – powiedział ostro. – Jak wam się wydaje, co zrobią, gdy odkryją świątynię pełną kobiet? Podziękują swoim bogom za taki dar. Czy wy macie pojęcie, co robią ogry z ludzkimi kobietami? Gwałcą młode i zabierają je do swojej ojczyzny. Stare gwałcą i zabijają na miejscu.

Młoda kapłanka zbladła i posłała niepewne spojrzenie jednej ze starszych kobiet.

– Dziękujemy ci za troskę, Legacie – przemówiła starsza kapłanka, podchodząc do niego. – Aelon jednak ochroni nas...

– Aelon ochroni tych, którzy są w świątyni, poprzez otoczenie jej murów żołnierzami uzbrojonymi w miecze.

Kobiety zaczęły się spierać między sobą. Acronis spojrzawszy ukradkiem na swoją eskortę i wrzucił nieznacznie ramionami. Jego żołnierze z niecierpliwością dreptali w miejscu, pogrążeni w zbroję.

– Dobrze więc – zdecydowała w końcu starsza kapłanka. – Pójdziemy z wami. Z pewnością zesłał nam was sam Aelon.

– Z pewnością – zgodził się Acronis z przekąsem. – A teraz pospieszcie się, proszę. Płonie już ostrzegawczy ogień w porcie. Statki wroga są blisko.

Jednej z młodszych kapłanek wyrwał się okrzyk przerażenia. Starsza kobieta spiorunowała ją wzrokiem. Gdy zabrały się do gaszenia świateł i zbierania różnych przedmiotów z ołtarza, jeden z żołnierzy posłał Acronisowi spojrzenie pełne paniki.

– Musicie natychmiast biec do świątyni, szanowne panie – ponaglał Acronis. – Moi ludzie zajmą się wszystkimi kosztownościami, nie martwcie się o nie.

Zaczął je dosłownie wypychać za drzwi. Uspokajającym głosem zapewniał, że nie mają się czego obawiać, ale muszą się spieszyć.

– Szybko! – syknął do Skylana i Aylaen, wskazując im głową ołtarz. – My już jedziemy. Dogonicie nas na drodze.

Skylan i Aylaen zasalutowali mu sprawnie i rzucili się do oświetlonego jasno ołtarza.

Acronisowi udało się wreszcie wypchnąć kobiety na dwór i teraz usiłował prowadzić je przez ogród. Jednak na widok Strażnika znów wybuchła panika. Na szczęście po chwili jedna z kapłanek rozpoznała w tym strasznym ogrze jednego ze słynnych graczy Para Diksu.

– Zabierz je do świątyni – nakazał mu Acronis. – I przekaz pierwszemu napotkanemu kapłanowi wojownikowi, a potem wracaj do nas.

Strażnik kiwnął głową.

– A co robi Skylan?

– Powiedział, że musi koniecznie porozmawiać z jakimś duchem – wyjaśnił Acronis.

Odczekał, aż Strażnik z gromadką kapłanek ruszy w kierunku świątyni, i bezszelestnie wrócił do drzwi kaplicy. Nie wszedł. Pozostał na progu, dyskretnie skryty w cieniu drzwi.

Przede wszystkim był bowiem naukowcem. Inwazja ogrów, mordercy, a nawet rozzdzierająca duszę rozpacz po utracie córki nie zabiły w nim naukowej dociekliwości. Chloe by to zrozumiała, pomyślał.

Patrzył, jak Aylaen wychodzi na środek kaplicy. Zdjęła hełm i potrząsnęła swoją rudą grzywą. Była bardzo blada. Jej zielone oczy lśniły. Rozstawiła na podłodze cztery świece, tworząc kwadrat, a w nim kolejne cztery, aż powstało koło. Potem, stając wewnątrz kwadratu, przemówiła cicho.

– Garnie, przybyłam, by prosić cię o wybaczenie. Nie powinnam była tak bardzo pragnąć, byś wrócił do żywych, skoro dołączyłeś już do wybranych w Komnacie Torvala. To ja ukułam łańcuchy, które cię pętają. To ja zmusiłam cię do pozostania tutaj, gdy tymczasem duch twój pragnął przebywać wśród bogów. Kocham cię, Garnie – mówiła ciszej, lecz głos jej się nie załamał. – Zawsze będę cię kochała. Lecz i ja muszę być posłuszna bogom. Kiedyś spotkamy się znów w Komnacie Torvala i tam padniemy sobie w objęcia.

Acronis przyglądał się temu z zainteresowaniem, licząc na to, że wreszcie ujrzy obiecane goście, ale nic takiego nie nastąpiło.

Skylan zdjął hełm i stanął przy Aylaen. Nie był tak opanowany jak ona. Musiał odchrząknąć i dopiero wtedy zdołał przemówić.

– Garnie... przyjacielu... – powiedział zachrypłym głosem. – Chciałbym móc powiedzieć, że łańcuchy, którymi ja cię przykułem, także stworzone były z miłości, lecz to nie byłaby prawda. To wszystko przez moje poczucie winy. Obwinałem się o twoją śmierć. Gdybym tylko cię posłuchał... – Musiał przerwać. Otarł dłonią oczy i nos, wziął głęboki, rozedrgany oddech i ciszej ciągnął: – Teraz zawsze cię słucham, przyjacielu. Gdy tylko mam zrobić coś bezmyślnego albo egoistycznego, słyszę twój głos. Nauczyłeś mnie cierpliwości i wyrozumiałości. Dałeś mi mądrość i pomogłeś zrozumieć, co chciała mi powiedzieć bogini. Wybaczyłeś mi i dzięki temu ja wybaczyłem samemu sobie. Kiedyś spotkamy się znów w Komnacie Torvala i tam padniemy sobie w objęcia.

W drzwiach, skryty w cieniu, Acronis szepnął drżącym głosem:

– Chloe, córeczko kochana, czy i ty będziesz na mnie czekać w Komnacie Torvala? Nie wiem, czy będę umiał tam trafić...

– Chloe jest już u Torvala i czeka tam na ciebie, Acronisie – zapewnił go nagle kobiecy głos. – Już się nie może doczekać tych wszystkich opowieści o twoich wspaniałych przygodach.

Acronis odwrócił się i ujrzał niewiastę we wspaniałej zbroi, lśniącej w świetle księżyca niczym łuski smoka. Na głowie miała hełm ozdobiony smoczymi skrzydłami. Uśmiechnęła się do niego i pozostawiła tak oniemiałego, roztrzęsionego, a sama weszła do kaplicy.

Wkroczyła w sam środek świec. Na widok tej pięknej, promieniejącej i strasznej postaci Skylan i Aylaen padli na kolana.

– Vindrash – wyszeptała Aylaen. – Wybacz, że przebywam w domu twego wroga. Przyszłam tu uwolnić Garna...

– Już to uczyniłaś. Jego duch dołączył do bohaterów w Komnacie Torvala – zapewniła ją Vindrash. Spojrzała przez ramię na Acronisa i posłała mu łagodny uśmiech. – Gdy widziałam go ostatnio, tańczył właśnie z pewną uroczą młodą damą.

Acronis osunął się na kolana. On, który nie wierzył w bogów, klęczał oto przed boginią. Vindrash znów się odwróciła.

– A ty, Skylanie? Czy i ty prosisz mnie o wybaczenie?

– Prosiłem cię o nie już tyle razy, przenajświętsza Vindrash – rzekł Skylan – że boję się, iż masz mnie już serdecznie dość. Ale tak – dodał i podniósł wzrok, by spojrzeć jej w oczy – proszę cię z całego serca.

Vindrash położyła dłoń na jego czole.

– Pięć smoczycy kości, Skylanie Ivorsonie. Czy znasz już tajemnicę?

– Tak mi się wydaje, Vindrash – powiedział niepewnym głosem Skylan.

– Albo ją znasz, albo nie – stwierdziła kategorycznie.

Skylan milczał chwilę, lecz potem dodał już pewniej:

– Znam tajemnicę.

– Zatem wiesz dobrze, co musisz teraz uczynić. Walcz dzielnie w tym Para Diksie, Skylanie Ivorsonie. Założyliśmy się z Torvalem. Sporo postawiłam na tę grę. Mój nóż do patroszenia ryb przeciw jego lśnącemu mieczowi.

Bogini zniknęła, pozostawiając za sobą połyskującą lunę smoczych łusek, która wciąż migotała w umyśle Acronisa.

– W Para Diksie? – powtórzyła skonsternowana Aylaen. – Co ona miała na myśli? Musimy przecież znaleźć Treię...

– Tak, będzie na arenie do Para Diksu – powiedział Skylan, wstając.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – spytała Aylaen. Jej głos stał się ostry. – Skylanie, powiedz mi, co się tu dzieje. Chodzi o smoczą kość Vektii, tak? Powiedziałeś bogini, że znasz już tajemnicę. Co to za tajemnica?

– Aylaen, proszę cię, musisz natychmiast odnaleźć nasz okręt. Strażnik cię tam zabierze...

– Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz – oświadczyła mu głosem pełnym determinacji. – Mówimy przecież o mojej siostrze. Idę z tobą.

Skylan zrobił wdech i wydech, który dobywał się niemal z jego duszy. Podszedł do drzwi i zatrzymał się zaskoczony na widok Acronisa.

– Powiedziałeś, że jeśli znajdziemy smoczą kość, uda nam się uratować miasto. Co miałeś na myśli?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – rzucił tylko Skylan i dodał: – Wytłumacz mi, jak dotrzeć do areny. A potem razem ze Strażnikiem zabierzcie Aylaen w jakieś bezpieczne miejsce.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zdenerwował się Acronis.

Skylan zawahał się, lecz zaraz potem powiedział:

– Treia ma kość ducha jednego ze smoków Vektii. Jestem pewien, że będzie próbowała wezwać smoka.

– Jadę z tobą, oczywiście. Chyba sobie nie wyobrażasz, że mógłbym przeoczyć coś takiego – oświadczył Acronis.

– Nie rozumiesz mnie, panie – jęknął cicho Skylan, rzucając w stronę Aylaen spojrzenie pełne rozpacz. – Nie mogę dopuścić do tego, by jej się udało. Muszę ją powstrzymać... za wszelką cenę.

– A zatem boisz się, że będziesz zmuszony ją zabić – stwierdził cicho Acronis. – Zabić siostrę ukochanej kobiety. – Skylan stał przed nim i wydawał się naprawdę urnęczony. Acronis oparł mu dłoń na ramieniu. – Nie trać wiary w swego boga, młody człowieku. Jak dotąd nieźle ci pomógł. Zabiorę cię na arenę. Przecież beze mnie od razu pogubisz się w tych uliczkach.

Wyszli z kaplicy. Na zewnątrz czekała już Aylaen na koniu i Strażnik, który oświadczył im, że odprowadził kapłanki i przekazał je strażnikom świątyni.

Acronis uniósł głowę i wziął głęboki oddech. Poczul na twarzy nocne powietrze. Nie miał pojęcia, ile jeszcze pozostało mu oddechów, ale nie dbał o to. Przez całe życie pętały go

zawsze jakieś kajdany: ambicja, polityka, bogactwo. Teraz wszystko przepadło. Wszystko rozdał. Znow czuł się jak w tych rzadkich chwilach, gdy przechadzał się w świetle księżyca po pokładzie swej triremy i nie widział wokół siebie nic poza bezkresną ciemnością morza, niezmiernym mrokiem nieba oraz jasnymi gwiazdami, które lśniły jak smocze łuski.

Oto ujrzął twarz bogini.

Już się nie mógł doczekać, gdy opowie o tym Chloe.

Rozdział 15

Treia stała na środku areny, tuż przy zniczu, i trzymała w dłoni kość ducha Vektii. Srebrzyste, coraz jaśniejsze światło księżyca spływało kaskadami po pustych ławkach i zalewało boisko. Treia marzyła o tym, żeby ten paskudny księżyc po prostu spadł z nieba. Chciała, żeby zapadła ciemność. Ciemność była jej niezbędnie potrzebna. Musiała porozmawiać z Hevisem. Musiała przekonać go, by zdradził jej rytuał, mimo że nie udało jej się złożyć mu obiecanej ofiary.

Tymczasem w pałacu Cesarzowa rozpromieniła się na wieść o smoku, który miał według Kapłana Generała obronić Sinarian. Odetchnęła z ulgą. Nie musi się już zamartwiać tymi niezdarnymi ogrami. Na samą myśl o tym, że będą jej się tu kręcić po pałacu, gdzie tyle jest cennej porcelany, robiło jej się słabo. Teraz chciała koniecznie zobaczyć, jak zostaje zawezwany smok, toteż wysłała wiadomość, że zjawi się w swojej łoży, gdy tylko się przebierze, zaprosi znajomych, znajdzie pieska (który znów gdzieś uciekł) i wyda rozkazy niewolnikom, by popakowali wino i jedzenie do koszy. Kapłan Generał był już na arenie i zastanawiał się nad swoją przyszłością. Cesarzowa winiła go za inwazję ogrów, ale był pewien, że odzyska jej względy, jeśli uda mu się odeprzeć atak wroga, a przy okazji dostarczyć monarchini niecodziennej rozrywki. Po cichu liczył też, że dzięki temu otrzyma majątek Legata.

To, że Acronis wciąż żył jeszcze, było doprawdy bardzo niefortunne, lecz Xydis nie wątpił ani przez chwilę, że taki szkopuł nie stanie mu na drodze do celu. Semelon doniosła mu, że Legat odjechał z grupą barbarzyńców. Kapłan Generał już posłał za nim żołnierzy.

Ludzie w mieście sami, pod dowództwem Zahakisa, zajęli się swoją obroną. Xydis otrzymał już informacje o tym, że pierwsze oddziały ogrów zeszyły na ląd. Ogrzy żołnierze wypełzali na plażę i wspinali się na doki. Gdy tylko zbiorą dość ludzi, ich bożypanowie przypuszczą atak na wieże strażnicze, pozbędą się wartowników i otworzą sobie bramy do miasta.

– Niedobrze mi – jęknęła Treia.

Zwinięta wpół zdołała jeszcze podać kość ducha Raegarowi, po czym popędziła w stronę latryn znajdujących się za trybuną.

Tam obejrzała się szybko, by się upewnić, że nikt za nią nie idzie. Raegar da jej pewnie kilka minut spokoju na wypadek, gdyby rzeczywiście miała wymiotować, lecz potem przyjdzie, żeby sprawdzić, czy nic jej nie jest. Nie miała więc za dużo czasu.

Latryny skryte były za zasłonami, które osłaniały je przed światłem księżyca, a składały się z długiego rzędu ławek z wyciętymi w nich dziurami. Pod nimi wykopany był rów, w którym płynęła woda. Budowlę tę regularnie czyścili niewolnicy, a jednak mimo to unosił się tu okropny fetor. Treia skrzywiła się i zakryła usta dłonią, ale w końcu zwyciężyły mdłości, które trzymały ją od chwili, gdy Kapłan Generał podał jej kość ducha.

Gdy przestała wymiotować, wyszeptała boskie imię.

Hevis jakby tylko czekał na nią, bo pojawił się, nim zdołała dokończyć swoje wezwanie. Nie był już bezcielesną twarzą z ognia, ale przyjął formę wojownika w pełnej zbroi i z mieczem w dłoni. Minę miał ponurą, nieprzejechaną. Milczał, czekając, aż ona przemówi.

Drżąc z przerażenia, Treia schyliła twarz, bo bała się spojrzeć w oczy rozgniewanemu bogu.

– Aylaen miała umrzeć – wybąkała Treia, a usta jej się trzęsły. – Wszyscy oni mieli umrzeć! Miałaś otrzymać swoją ofiarę...

– Ale jej nie dostałem – przerwał jej Hevis głosem lodowatym jak zimowa noc. – Powinnaś była sama ją zabić. Nóż w plecy, trucizna...

– Wiem, wiem – załkała Treia. – Wybacz. Tak zrobię... następnym razem...

– Nie będzie pewnie następnego razu – rzekł bóg.

Treia zanosła się płaczem.

Hevis zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Zwrócił wzrok ku zatoce, gdzie zbierała się flota ogrów.

– Czuję jednak, że nie mogę przepuścić szansy zadania bobu naszym wrogom. – Uniósł miecz i zamachnął się nim w stronę niebios. – Słyszysz mnie, Aelonie? Słyszycie mnie, bogowie Raj? Słyszysz mnie, Torwalu, który siedzisz w swej komnacie i gderasz? Spójrzcie na mnie, a ujrzycie prawdziwą potęgę!

Treia zaczerpnęła tchu i zebrawszy się na odwagę, uniosła wzrok.

– Czy chcesz przez to powiedzieć... czy ty... czy pomożesz mi wezwać smoka?

– Ofiarę odbiorę od ciebie w swoim czasie. – Hevis wbił w Treię rozgniewane spojrzenie. – Umowa stoi?

– Tak! Tak! – krzyknęła Treia i padła na kolana. Było jej aż słabo z ulgi. Ledwie go słyszała i prawie w ogóle nie rozumiała, co do niej mówi, ale to nie miało żadnego znaczenia. Była zdesperowana i gotowa na wszystko. – Jak wygląda rytuał?

– „Powietrze wieje na ogień, który pochłania ziemię, która gotuje wodę, która zalewa ogień. Gdy uniesie się dym, rzuć kość”.

Zniknął. Treia wstała z kolan. Była tak słaba, że musiała się oprzeć o ścianę. Stała przez chwilę w ciemności, by zebrać myśli i powtórzyć w głowie usłyszane słowa. Gdy wreszcie poczuła się lepiej, wyszła z powrotem na boisko. Raegar już szedł w jej stronę.

– Wszystko w porządku? – spytał, przyglądając się jej z troską. – Jesteś blada jak ściana.

Uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

– Modliłam się właśnie do boga. Wszystko dobrze.

– Aelonowi niech będą dzięki – odpowiedział Raegar.

Gdy Skylan uświadomił Acronisowi, jak ważny jest pośpiech, zrazu przemieszczali się bardzo szybko. Droga prowadząca przez ziemie należące do świątyni była niemal zupełnie opustoszała. Ze świątyni dochodził ich szum modłów i pieśni wzywających Aelona.

Kiedy jednak dotarli do miasta, zaczęli się poruszać w żółtym tempie. Ulice blokowali ludzie na barykadach. Panował hałas i zamieszanie. Na widok Legata, tak olśniewającego w swej zbroi, ludzie radośnie wiwatowali. Tłumaczył im, że musi jak najszybciej przejechać, i kazał schodzić z drogi, a oni chętnie wypełniali jego prośbę, lecz rozmontowywanie barykad zajmowało dużo czasu.

Skylan pocieszał się w duchu, że Treia nie zacznie przecież wzywać smoka przed świtem, ale mimo to szalał z niepokoju i dałby już wszystko, by dotrzeć wreszcie do areny. Siedział na koniu, zamartwiając się przy każdym kolejnym opóźnieniu. Gdziekolwiek się zatrzymali, ludzie błagali Legata o jakieś wieści. Acronis powtarzał im, że wszystko będzie dobrze; że wróg zostanie odparty i pokonany. Znow więc wiwatowali na jego cześć, potem na cześć jego żołnierzy i wreszcie puszczali ich wolno.

Nikt jednak nie wiwatował na widok Strażnika. Na jednej z barykad ktoś rzucił w niego kamieniem i trafił w tył głowy. Ogr zachwiał się w siodle, mało nie spadając na ziemię. Skylan podjechał do niego, ale Strażnik tylko machnął ręką.

– Mam twarde łeb – zapewnił go.

Skylan jednak widział, że po jego karku płynie strużka krwi. Acronis spochmurniał i od tej chwili jechali już tylko bocznymi uliczkami, choć to znacznie zwolniło ich tempo.

Skylan już tracił nadzieję, gdy nagle między budynkami ujrzał olbrzymie boisko zalane księżycową poświatą. Ze zdumieniem zarejestrował jakichś ludzi na trybunach i jeszcze większą grupę przy zniczu. Od razu poznał jednego z nich – mężczyznę znacznie wyższego niż pozostali. Skoro był tu Raegar, musiała być i Treia.

Ledwie zdążył odetchnąć z ulgą, pewien już, że zdążyli w samą porę, Acronis raptownie zatrzymał konia.

– Co się stało? – spytał Skylan.

– Posłuchaj tylko – rzekł Legat.

Skylan zerwał z głowy hełm i też usłyszał ten dźwięk – monotony szum, jakby potężne fale rozbijały się o brzeg, choć byli przecież zbyt daleko od oceanu. Nim miał czas

zrozumieć, co to takiego, niebo zapłonęło pomarańczową łuną. Nie był to brzask, bo patrzył przecież na zachód, nie na wschód. Gdy pomarańczowe światło stało się jaśniejsze, doszła do niego okrutna prawda.

Ten dźwięk pochodził od fal, ale nie morskich. To płynęły na nich fale ogrzych wojów, wznosząc wojenne okrzyki, dmąc w rogi i waląc w bębny.

– Pałą wieże strażnicze – stwierdził Acronis. – I fortyfikacje w porcie. Potem zaczną podpalać domy...

Skylan nie czekał na dalsze wyjaśnienia. Spiął konia i popędził naprzód. Nie potrzebował już żadnych wskazówek. Arena rozpościerała się tuż przed nim. Skoro on widział ogień, widziała je z pewnością także Treia, zaraz więc i ona zrozumie, że ogry nie będą czekały do świtu.

A zatem i ona nie będzie już dłużej zwlekać.

Aylaen dogoniła go i pędziła teraz przy jego boku.

– Dziękuję, że przyjechałeś ze mną po Treię! – krzyknęła. – Wiem przecież, że wcale jej nie lubisz i robisz to tylko ze względu na mnie.

Skylan już widział płomień znicza. Widział sylwetkę Trei oświetloną drżącymi językami ognia oraz Raegara stojącego przy niej wraz z pozostałymi kapłanami wojownikami. Wskazywali jej pomarańczową łunę na niebie.

– Nie próbuję uratować Trei! – wrzasnęła, ściągnął lejce i odwrócił się w stronę Aylaen. – Chcesz znać tajemnicę smoka Vektii? Zaraz ci powiem! – Uniósł rozczapierzoną dłoń. – Pięć smoków. Zapanować nad jednym można tylko wtedy, gdy panuje się nad wszystkimi pięcioma. Nad wszystkimi pięcioma naraz. Nad wszystkimi pięcioma razem. Na początku każdej gry musi być pięć smoczycich kości.

Aylaen patrzyła na niego zupełnie ogłupiała.

– Ale o czym ty w ogóle mówisz?

– Treia próbuje wezwać jednego smoka. Jeśli jej się uda, nie będzie w stanie go opanować, choćby pomagał jej sam Hevis, Aelon, Vindrash czy wszyscy bogowie wszechświata razem wzięci. Bo to tylko jeden smok.

– Ty nie jedziesz jej uratować! – Aylaen wpadła w furję. – Ty chcesz ją zabić!

– Jeśli Trei uda się wezwać smoka Vektii, zniszczy nas i wszystko wokół. Muszę ją powstrzymać, Aylaen. Za wszelką cenę.

Ruszył. Już był na wzgórzu i pędził galopem w dół. Natrafił jednak na kolejną barykadę. Ludzie układali właśnie stoły, beczki i krzesła w wielki stos. Skylan dojrzał niższe miejsce i pokierował konia w tę stronę. Ktoś darł się za nim, żeby tam nie jechał, ludzie wymachiwali rękami, żeby go zatrzymać. On pędził jednak, a Sinarianie uciekali mu spod kopyt w popłochu. Przywarł do końskiej szyi i kazał wierzchowcowi skoczyć.

Znów był myślami w ojczyźnie, gdzie tyle razy jeździł na Brzeszczocie, który był ślubnym prezentem od Draï. Jakże kochał tego konia! Razem przeskoczyli tyle strumyków,

powalonych drzew i żywoplotów i galopowali nieraz dla samej przyjemności, ot, by czuć bystry powiew wiatru na twarzy.

Koń wylądował po drugiej stronie barykady, aż zastukały kopyta na bruku. Zebrał się i popędził dalej. Skylan obejrzał się za siebie i zobaczył, że zgubił Aylaen. Dobrze jeździła na koniu; nawet pozwalała jej czasem jeździć na Brzeszczocie, lecz nigdy nie próbowała skakać.

Słyszał jeszcze, jak krzyczy za nim, jak błaga, żeby na nią zaczekał. Ale pędził dalej. Tak będzie lepiej. Znienawidzi go raz na zawsze, lecz przynajmniej nie będzie musiała na to patrzeć. Acronis darł się na ludzi, wydawał rozkazy zdemontowania barykady i przepuszczenia jeźdźców.

Skończyły się zabudowania. Droga prowadziła wprost na arenę. W dniu Para Diksu byłaby zapchana ludźmi spieszącymi na mecz, niosącymi dzieci w ramionach. Teraz była zupełnie pusta. Skylan spiął konia. Przed nim rozpościerała się misa boiska. Pośrodku płonął znicz. Widział już Treię oświetloną jego płomieniem.

Nie wiedział nic o rytuale wezwania smoka Vektii. Liczył jednak na to, że jest on długi i skomplikowany. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Acronis, Strażnik i Aylaen pokonali wreszcie barykady i pędzą za nim.

Wpadł między rzędy ławek. Nie zatrzymał się nawet, tylko pognał zwierzę po schodach w dół.

Koń, przyzwyczajony do stromych, kamiennych terenów, nawet się nie zawahał. Gdy tylko dotarli do miękkiej trawy boiska, Skylan zaczął wykrzykiwać imię Trei.

Stała przy zniczu, tuż nad płomieniami. W jednej ręce trzymała dzban z wodą, w drugiej coś, co połyskiwało złociście w świetle księżyca. Kamienie lśniły i migotały.

Usłyszała go i odwróciła głowę. Pewnie nie widziała go jeszcze swymi słabymi oczami, ale poznała jego głos.

– Treiu, nie rób tego! – darł się na całe gardło.

Patrzyła na niego. Raegar obnażył miecz i podszedł bliżej, by ją chronić. Z trybun wybiegli żołnierze w mundurach cesarskiej straży. Kapłan Generał wskazał na Skylana i wydał tylko krótki rozkaz:

– Zabić go!

Skylan widział żołnierzy, ale zupełnie ich zignorował. Byli pieszo. Nie mieli szans go złapać. Wbił tylko wzrok w Treic i prosił, błagał, zaklinał ją w duchu, by się opamiętała.

Odwróciła się do niego plecami i uniósłszy dzban, wlała wodę do znicza, częściowo dusząc płomienie. Spowił ją dym.

Ulga Skylana była tak wielka, że aż mu się zrobiło słabo. Zeskoczył z konia i pobiegł w stronę znicza. Był po jednej jego stronie, Treia – po drugiej. Popatrzyła wprost na niego i uśmiechnęła się. Jej usta skrzywiły się lekko. Cisnęła kość w ogień.

Skylan zatrzymał się przerażony, a potem rzucił się w stronę znicza. Raegar chciał go złapać, ale Treia położyła uspokajająco dłoń na jego ramieniu.

Kość ducha leżała na tłącym się polanie. Obok buchał gorący płomień. Woda zgasła część ognia, ale języki płomieni lizały już kość.

– Za późno – powiedziała.

Rozdział 16

Zadarłszy głowę, Skylan nie mógł dojrzeć gwiazd. Spoglądając w dół, bogowie nie widzieli świata.

Jasny blask księżycy zniknął. Ogrzych wojów ogarnęły ciemności. Nie widzieli nic poza ogniami zniszczenia, a gdy z niepokojem obejrzeliby się na swych szamanów, zobaczyli, że ci spoglądają niepewnie w czarne niebo bez gwiazd.

Światło bijące od kopuły Aelona zgasło. Ludzie na ulicach i barykadach zupełnie jakby oślepli i bezradnie wpatrywali się w niebo.

Na pokładzie *Venjekaru* jedynym źródłem światła stały się nagle czerwone ślepie smoka Kahg. Sigurd powiesił smoczą kość na gwoździu na maszcie, gdzie było jej miejsce. Skryty wśród przybrzeżnych drzew okręt bujał się łagodnie na falach rzeki. Był w cieniu, lecz teraz to nie miało już żadnego znaczenia: ciemności spowiły ziemię. Powietrze jakby zamarło. Robiło się nieznośnie gorąco. Dym z budynków płonących na nabrzeżu wpełzał na wodę.

– Znosi się na sztorm – stwierdził Sigurd.

Na arenie Treia wpadła w ekstazę. Oto wezwała ciemności. To było jej dzieło. Znicz wciąż płonął i w jego świetle widziała, że Xydis był pod wrażeniem, a Raegar nie posiadał się z zachwyty.

Gorący wiatr szarpał ją za włosy. Uniosła ramiona ku niebu i krzyknęła:

– Smoku Vektii! Oto ja jestem twą panią!

Wymówiła te słowa, lecz ugrzęzły jej w gardle.

Zadrzała. Co się stało z jej głosem? Czuła słowa w krtani, czuła, że je wykrzykuje, ale one nie chciały opuścić jej ciała. Połknęła je ciemność tak jak gwiazdy i księżyc.

Poczuła cień paniki. Znów spróbowała, cała koncentrując się na smoku.

– Oto ja jestem twą panią...

Nic. Pustka. Raegar wpatrywał się w nią z przerażeniem. Xydis zaczął się wyraźnie niepokoić. W cesarskiej łoży monarchini zaklaskała zrazu zachwycona tym, że zniknęły gwiazdy i księżyc, lecz ponieważ dłuższą chwilę zupełnie nic się nie działo, znudziła się szybko.

– Idziemy stąd – oświadczyła i wzięła swego pieska.

Szare jak dym skrzydła pozostawiały roziskrzony ślad. Na błękitnych łuskach syczały niebieskie płomienie. Zimne, bezlitosne i bezduszne oczy spoglądały w dół na ziemię i widziały tylko pustkę, która błaga o wypełnienie jej nowym stworzeniem.

Vektyjski smok rozpostarł swe błękitne, ogniste skrzydła. Spłynęły potoki deszczu. Smok wziął oddech i wypuścił z paszczy cyklony rozszalałego powietrza. Z jego pazurów spadały błyskawice, a z pyska dobywały się grzmoty.

Wiatr wzmagął się i wzmagął, coraz mocniejszy.

Treię zdjęła panika. Z trudem utrzymywała otwarte powieki, deszcz zalewał jej oczy. Wiatr smagał ją okrutnie, niemal powalił na ziemię. Musi znaleźć kość ducha. Musi trzymać ją w dłoniach. Może wtedy smok będzie jej posłuszny.

– Hevisie, ratuj! – krzyknęła.

Lecz bóg uciekł, zatrwożony gniewem Torvala. Usłyszał ją za to Raegar. Odwrócił w jej stronę twarz wykrzywioną ze złości i przerażenia. Przy nim Xydis usiłował wezwać Aelona, żądając, by bóg schwytał smoka i posłał go do walki z ogrami.

Aelon nie odpowiedział jednak. I on zniknął w ciemnościach.

Deszcz zgasił ogień. Znicz pełen był już wody. W świetle błyskawicy Treia ujrzała kość ducha, a nad nią Skylana. Wyciągał po nią rękę.

Rzuciła się w tę stronę, lecz kolejny piorun uderzył w głaz stojący tuż obok niej. Kamień rozprysł się, a odłamki skały, ostre jak włócznie poleciały w niebo. Fala uderzenia pchnęła Treię z taką siłą, że wylądowała na czworaka w wodzie na dnie znicza.

Krople deszczu smagały ciało jak lance, grad zostawiał krwawe rany. Rozległ się huk i trzask łamanego drewna. To zawaliły się trybuny. Słyszała jakieś krzyki i płacz, ale nie była w stanie obejrzeć się, żeby zobaczyć, co się stało. Skylan chwycił kość ducha. Treia rzuciła się na niego, uderzając na oślep i wbijając mu paznokcie w ramię.

Czyjeś silne dłonie zacisnęły się na jej przegubach i odciągnęły ją od Skylana.

– Treiu, opanuj się! – błagała Aylaen. – Już nic nie możesz zrobić. Musimy dotrzeć jakoś do okrętu...

Treia ryknęła i napadła na nią.

– To twoja wina. Powinnaś dawno nie żyć! Dlaczego jeszcze żyjesz?

Zaskoczona Aylaen wypuściła ją. Treia jednak nie widziała już Skylana, było zbyt ciemno i padał zbyt rzęsimy deszcz. Widocznie uciekł. Próbowwała wyczołgać się ze znicza, ale ceglane ściany były mokre i śliskie. Dojrzała Raegara i zaczęła krzyczeć, żeby jej pomógł.

Raegar stał oniemiały i wpatrywał się w ciało Xydisa. W klatkę piersiową Kapłana Generała wbił się odłamek głazu. Po jego ceremonialnych szatach spływała krew wymieszana z deszczem. Jego rozwarte szeroko oczy patrzyły oskarżycielsko na boga, który tak go zawiódł.

Usłyszawszy krzyki Trei, Raegar obrócił się. Wyciągała do niego dłonie.

– Proszę, Raegarze!

Popatrzył na nią, popatrzył na Xydisa, a potem przez ramię na to, co pozostało po trybunach.

Odwrócił się do niej plecami i zaczął biec z pochyloną do przodu głową jak szarżujący byk. Pędził przez deszcz i wiatr. Uciekał z areny. Opuszczał ją.

– Raegar! – wrzeszczała Treia, ale wiatr rozdarł jej krzyk na drobne kawałeczki.

Uniesiony przez wicher odłamek kamienia uderzył ją w głowę. Poczwała, że upada, ale było jej już wszystko jedno. Osunęła się w wodę i wkroczyła w ciemność, modląc się tylko, by już nie musieć z niej nigdy powracać.

Rozdział 17

– Pomóż mi z Treią, Skylanie! – krzyknęła Aylaen ze znicza, gdzie stała, trzymając omdlałe ciało siostry, i robiła wszystko, by utrzymać jej głowę ponad wodą. – Coś ją uderzyło! Jest ranna!

Podczas szalonej jazdy z miasta Aylaen zgubiła swój hełm i teraz mokre rude włosy oblepiały jej głowę i przylepiały się do twarzy jak krew.

– Skylanie, błagam cię, to przecież moja siostra! – wołała. – Przecież to nie jej...

– Wina? – dokończył Skylan ponuro.

Aylaen otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale tylko posłała mu błagalne spojrzenie.

Skylan wciąż trzymał w dłoni złoty łańcuch ze smoczą kością. Nie wiedząc, gdzie ją schować, zarzucił go sobie na szyję, a kość schował pod zbroję. Chwytał Treię w tali. Zwisła mu w rękach bezwładne.

– Dawaj ją! – ryknął Strażnik ponad hałasem burzy.

Jego dziecienna twarz lśniła w świetle błyskawic. Z rozcięcia na policzku ciekła posoka. Rana na karku wciąż krwawiła. Złożył Treię ostrożnie na ziemi, po czym wrócił po Skylana i Aylaen.

Dziewczyna wyciągnęła ręce w górę i ogr wydobył ją. Skylan sprawdził, czy kość wisi mu wciąż na szyi, postawił jedną nogę na ścianie znicza i odbił się drugą od jego dna. Strażnik pociągnął tak mocno, że Skylan wypadł na zewnątrz z rozmachem.

Wiatr smagał go bez litości. Deszcz spływał mu po twarzy, oślepiając go zupełnie. Udało mu się chwycić Aylaen i wspólnie próbowali przedzierać się przez deszcz, wiatr i grad w stronę Acronisa, który trzymał konie. Co chwilę jednak silniejszy podmuch wiatru zatrzymywał ich w miejscu i jedyne, co mogli wtedy zrobić, to za wszelką cenę nie dać się unieść w powietrze. Gdy tylko wiatr zelżał choć na moment, parli znów naprzód. Za nimi szedł, potykając się, Strażnik z Treią na rękach.

Skylan nie widział smoka, ale słyszał jego straszny głos – ryk, pisk i dudnienie. Nie można się było przed nim ukryć. Śmierć była o krok. Myślał tylko o jednym – by dotrzeć jakoś do okrętu.

– *Venjekar!* – wrzasnął Acronisowi do ucha. – Musimy znaleźć *Venjekar!*

– A ja muszę jechać do domu, do Chloe! – odkrzyknął mu Acronis.

Wciąż zmagając się z wichurą, wdrapali się jakoś na konie. Treia zaczęła pojękiwać cicho. Odzyskiwała przytomność. Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół oszołomiona.

– Daj mi ją! – Aylaen musiała wrzeszczeć na całe gardło, żeby Strażnik ją usłyszał.

Ogr spojrział niepewnie na Skylana, który tylko wzruszył ramionami. Wiedział aż za dobrze, że kłótnia z Aylaen nic by im nie dała. Strażnik posadził więc Treię na siodle za Aylaen, która chwyciła siostrę za ręce i zarzuciła je sobie w talii, trzymając mocno.

Treia zamrugnęła i gapiła się na nią zdezorientowana. Wyraźnie nie miała pojęcia, gdzie jest i co się z nią dzieje. Gdy Aylaen spięła konia, Treia mało nie spadła na ziemię. Odruchowo chwyciła się Aylaen ze strachu, choć zupełnie nie rozumiała sytuacji.

Wyjechali z misy areny. Gdy dotarli na wzgórze, widzieli już tylko deszcz, dym, ogień i śmierć. Popędzili galopem.

Raegar biegł przez ulice miasta ku sanktuarium Aelona, gdzie zebrali się kapłani wojownicy. W biegu modlił się:

– Aelonie, jestem w stanie pomóc ci w tej walce, ale i ty musisz mi pomóc! Musisz sprawić, że nie zginę!

Powtarzał tę modlitwę w kółko, aż w końcu bóg wysłuchał go i pobłogosławił mu. Chyba że po prostu Raegar miał szczęście, bo był wyższy i silniejszy niż większość ludzi. Brnął przez zalane wodą ulice, które unosiły innych niczym rwące rzeki. Odrzucał na bok gruz, który zablokował mu drogę. Gdy uderzały go odłamki kamieni i cegieł, otrząsał się tylko i biegł dalej.

Ulice zmieniły się w rzeki, po których przepływały martwe ciała. Uderzały go w nogi. Co jakiś czas pojawiał się jakiś nieszczęśnik, który jeszcze żył, i nawoływał swych najbliższych albo wołał o pomoc. Wiele budynków zawaliło się już lub właśnie zamieniało się w ruinę.

Raegar biegł naprzód. Xydis nie żyje. Najprawdopodobniej nie żyje także Cesarzowa oraz wielu arystokratów, którzy wraz z nią byli na trybunach. Raegar był ranny, ale żywy. Sinaria była ranna, ale i ona przeżyje. Będzie jej potrzebny przywódca, ktoś, kto przejmie władzę podczas kryzysu, ktoś, kto odeprze atak, pokona wroga.

Gdy dotarł do sanktuarium, z bijącym sercem stwierdził, że budowla nadal stoi. Wokół zebrali się mężczyźni i kobiety, walili w drzwi, zaryglowane mocno, by nie wpuszczać do środka niegodne tego społeczeństwo.

Raegar wpadł w tłum, rozpychając się łokciami, i zaczął walić pięścią w drzwi, krzycząc:

– Wiadomość od Kapłana Generała Xydisa!

Drzwi otworzyły się i przecisnęła się do środka. Nieszczęśnicy na zewnątrz natychmiast zaczęli się pchać za nim, ale kapłani wojownicy wyparli ich na zewnątrz i zatrzasnęli drzwi.

Sanktuarium wypełnione było strażnikami świątyni i kapłanami wojownikami. Jeszcze jakiś czas temu budowali oni barykady wraz z mieszkańcami miasta, lecz gdy smok zaatakował, poddali się i uciekli szukać schronienia u boga.

Raegara oszołomiła względna cisza panująca w środku. W uszach wciąż mu jeszcze dzwoniło od hałasu z zewnątrz i przez chwilę nie słyszał w ogóle głosów ludzi, którzy otoczyli go i żądali przekazania informacji.

Wiedział, że muszą go usłyszeć wszyscy naraz, więc zaczął przepychać się przez tłum. Wdrapawszy się na podium, ocenił sytuację. Nie mógł wyobrazić sobie lepszej. Nikt nie przewodził tłumowi. Panował zupełny chaos. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Z ust do ust krążyły najróżniejsze plotki; ostatnia głosiła, że ogry są już blisko i zaraz niechybnie wszystkich wymordują.

Uniósł dłoń i natychmiast zapadła cisza. Wreszcie przydał mu się jego wysoki wzrost i potężna sylwetka. Znał też dobrze akustykę tego budynku, wiedział, jak modulować głos, by osiągnąć najlepszy efekt.

– Moim obowiązkiem jest poinformować was, że Kapłan Generał Xydis nie żyje – oświadczył. – Zmarł mi na rękach, śmiertelnie zraniony w walce ze smokiem.

Tłum zafalował od krzyków przerażenia i jęków rozpacz.

– Dusza jego jest już u Aelona – ciągnął Raegar, a jego głos nabierał mocy – lecz nie czas teraz na żałobę. Musimy działać. Ogry podpaliły nasze miasto. Podli bogowie zatopili nasze ulice. Smok wezwany przez Aelona stoczył już z nimi bitwę i nasz bóg odniósł wspaniałe zwycięstwo. Wróg pokonany. Gdy to mówię, ogry uciekają w popłochu.

Kłamał oczywiście. Spojrzał w dół na wpatrzone w niego twarze, twarze, które jeszcze przed chwilą były blade ze strachu, a które teraz zaróżowił rumieniec nadziei. Ci ludzie chcieli wierzyć, że Aelon wciąż panuje nad sytuacją, wciąż spogląda na nich swym opiekuńczym spojrzeniem.

Głos Raegara odbijał się echem w potężnej sali.

– To prawda, że mnóstwo osób poległo. To prawda, że duża część Sinarii leży w gruzach. Słyszałem też, że nasza ukochana Cesarzowa jest także wśród zaginionych. Straciłem wiarę. Zwątpiłem w Aelona. Tak było, przyznaję!

Obrzucił świątynię mrocznym spojrzeniem. Nikt nie ważył się nic powiedzieć. Wszyscy wstrzymali oddech.

– Poznałem jednak prawdę. Oto moja wiara została wystawiona na próbę. To sam Aelon pyta mnie, czy jestem dość silny, by wytrwać w wierze, by z jego chorągwią uniesioną wysoko i dumnie dokończyć walkę z wrogiem!

Tłum wiwatował. Nikt nie zakpił, nie padła ani jedna obelga. Ci szlachetni ludzie gotowi byli podążać za nim, niewolnikiem, barbarzyńcą.

– Nasi wrogowie uciekają właśnie z Sinarii, unosząc ze sobą nasz najcenniejszy skarb! Skarb, który ukradli nam, gdy ich bogowie zamordowali Kapłana Generała. Zamierzam dogonić ich i odebrać to, co nasze! Pomożecie?

Od entuzjastycznej odpowiedzi sanktuarium zatrzęsło się w posadach. Raegar z trudem zdołał uciszyć tłum na chwilę dość dłużej, by wyjaśnić im swój plan.

– Ścieżka nasza nie będzie łatwa – ostrzegł ich. – Będziemy musieli opuścić to bezpieczne schronienie i wyjść tam, gdzie szaleje pożar i powódź. Lecz zapewniam was: Aelon jest z nami, to jego dłoń poprowadzi nas bezpiecznie do celu.

Wydał odpowiednie rozkazy, a ludzie pospieszyli je wykonać. Odzyskał wiarę i nie miał już żadnych wątpliwości. Gdzieś tam, w niebiosach, Aelon poprzysiągł zemstę na wrogach.

Rozdział 18

Ciągnąc za sobą ognisty ślad i miotając błyskawice, smok leciał nad miastem, a ogień płonął tak potężnymi płomieniami, że potop deszczu nie był w stanie ich ugasić. Potęgowane wiatrem morze ognia pochłaniało kolejne budynki. Ludzie uciekali na zewnątrz wprost w rwące potoki pędzące tam, gdzie powinny się znajdować ulice. Barykady zajęły się ogniem, a zaraz potem porwała je powódź. Część z rupieci nadal płonęła, płynąc, i w ten sposób przenosiła ogień na coraz to nowe obszary miasta.

Skylan pojął od razu, że wjechanie w miasto byłoby równoznaczne ze śmiercią. Acronis także to zrozumiał i zawrócił konia. Bez słowa popędzili za Legatem. Galopowali przez łąki, mknęli przez oliwne gaje, tratowali winnice. Domy wieśniaków stały już w płomieniach, bydło, owce i świny biegały w panice lub leżały martwe na polach. Nurt zerwał wszystkie mosty, więc zmuszeni byli przekraczać wezbrane rzeki w pław.

Skylan stracił kompletnie orientację i nie mógł się nadziwić, jakim cudem Acronis wie, dokąd jechcie. Oświetlany szalejącymi piorunami i koszmarnym blaskiem płonących sosen Legat jechał bezbłędnie, zatrzymując się jedynie na wierzchołkach wzgórz, by się rozejrzeć, i natychmiast znów prowadził ich dalej. Gdy ociekające ogniem skrzydła i straszliwy ryk zbliżały się na niebezpieczną odległość, kryli się w wąwozach i przycupnąwszy w panice, czekali, aż smok odleci, by siać popłoch gdzie indziej.

Wreszcie dotarli do kanałów, które odprowadzały ścieki z miasta. Na wodzie unosiły się jakieś przedmioty. Zrazu zdawało się Skylanowi, że to bale drewna, lecz nagle niebo rozświetliła błyskawica. Ujrzał twarze i pojął, że to ciała, setki trupów. Siedział na koniu i wpatrywał się w mętną wodę, w otwarte szeroko oczy i usta, w potargane włosy, zimne ciała i wiedział aż za dobrze, że ten makabryczny widok już go nie opuści, póki jego własnych oczu nie zamknie litościwa śmierć.

Most spinający brzegi kanału porwała woda. Zmuszeni byli przejechać w pław tę potworną rzekę ludzkich ciał. Acronis jechał pierwszy, popędzając konia i starając się zapanować nad przerażonym zwierzęciem, które panikowało, gdy ocierały się o niego mokre zwłoki.

– Nie patrz, Treiu – szepnęła Aylaen, wprowadzając konia między trupy.

„Patrz, Treiu!” – miał ochotę krzyżeć Skylan. Chciał chwycić ją i zmusić do tego, by stanęła twarzą w twarz ze skutkami swych czynów. Treia opierała się o Aylaen, wtulała twarz w jej plecy. Powieki miała mocno zaciśnięte.

Aylaen ledwie udało się zejść z brzegu, gdy jej koń stanął, trzęsąc głową i drżąc cały. Strażnik wziął wodze z jej ręki i przeprowadził przerażone zwierzę przez wodę.

Skylan upewnił się, że wszyscy dotarli już bezpiecznie na drugi brzeg, nim sam wszedł w makabryczne wody. Kątem oka zauważył błysk metalu. Spojrzał w dół i ujrzał ciało w zbroi. Oczy zmarłego wpatrywały się prosto w niebiosa i Skylan rozpoznał Zahakisa.

Chwycił mocniej wodze. Nie miał pojęcia, co robić. Czy ma zawołać Acronisa? Wyciągnąć zwłoki z wody? Lecz już gdy światała mu ta myśl, wiedział, że jest absurdalna. Zmarli byli już u bogów. Tej nocy ci, co żyli jeszcze, musieli przede wszystkim zadbać o samych siebie.

– Do zobaczenia w Komnacie Torwala – szepnął Zahakisowi.

Ciało zderzyło się z jakimś innym, a potem powoli popłynęło w dół strumienia.

Skylan ponaglił konia.

Jechali już tak długo, że zaczął się obawiać, czy jednak się nie zgubili, gdy nagle, kiedy znów błysnęło, rozpoznał boisko, na którym trenowali przed meczem Para Diksu. To go podniosło na duchu; wkrótce dotrą do rzeki, a tam, przy odrobinie szczęścia, powinien czekać na nich Sigurd.

Acronis, który za wszelką cenę chciał być już w domu, spiął konia, ruszył galopem i znacznie ich wyprzedził. Wtem pociągnął za lejce tak mocno, że koń stanął dęba. Legat siedział w siodle, wpatrywał się przed siebie, a jego twarz zszarzała tak bardzo, że kolorem przypominała granitowy klif w deszczu.

Willa stała w ogniu. Płomienie pożerały dach, szalały w oknach. Drewniane budynki gospodarcze niemal doszczętnie już spłonęły. Po drzewach, różach, całym atrium, które tak kochała Chloe, pozostała sterta popiołu. Na ich oczach zawałiła się część dachu, wzbijając obłok iskier i dymu.

– Kiedyś powiedziałeś mi, że swych wojowników wysyłacie do bogów w płonących łodziach – rzekł Acronis. Jego głos był bezbarwny, pozbawiony wszelkich emocji. Skylan widział, jak w jego ciemnych oczach odbijają się jasne płomienie.

Wokół nich zelżał wiatr, a deszcz lał się strugami. Błyskawice rozświetlały niebo, zmieniając je w płachty bieli i błękitu.

– Stos pogrzebowy mojej córki – mruknął Acronis, a jego usta musnął niewyraźny uśmiech. Westchnął. Głos mu zadrżał. – Lepsze to niż katakumby. Tam byłoby zbyt ciemno.

Piorun uderzył w pobliskie drzewo. Byli jednak już tak przyzwyczajeni do grzmotów, że ani drgnęli. Acronis ocknął się z zamyślenia.

– Gdzie jest wasz okręt?

– Moi ludzie zanieśli go nad rzekę.

– Zamierzasz popłynąć aż do morza?

Skylan kiwnął głową. Kątem oka wciąż wypatrywał smoka.

– Nawigacja jest w tej okolicy dość trudna, szczególnie teraz, przy tak wezbranej wodzie. Pływam po tej rzece od dziecka – powiedział Acronis. – Przyda się wam moja pomoc. – Spojrzał na Skyłana. – Jeśli zechcesz mnie zabrać ze sobą.

Skylan popatrzył na niego zdumiony. Nie wiedział, co powiedzieć. Mógł sobie łatwo wyobrazić reakcję Sigurda i pozostałych. Równie dobrze mogą zabić Acronisa, gdy tylko postawi on stopę na pokładzie *Venjekar*, i trudno by im się było dziwić.

– Biedny Zahakis – westchnął Acronis. – Co to za marny spadek. Choć z drugiej strony zawsze ostatecznie mu się ziemia. Może wybudować własną willę.

– Co wy wyprawiacie? – ryknął na nich Strażnik, który właśnie dotarł do nich. Znów zaczął padać grad, dudniąc o hełm i zbroję Skyłana. – Czekacie na koniec świata czy co?

Pogonili zmęczone już konie klusem w dół, po ostrym zboczach, w stronę zagrody dla niewolników. Skylan wciąż się zamartwiał, że coś powstrzymało jego wojów przed przeniesieniem *Venjekar*, więc gdy zobaczył, że okręt zniknął, odetchnął z ulgą.

Objechał całą zagrodę, szukając śladów po ciągnięciu okrętu, i szybko znalazł rów wyżłobiony przez kil w mokrej ziemi, a wzdłuż niego spłaszczoną trawę. Ruszyli tym śladem bez żadnych trudów, odzyskawszy nadzieję.

Smok nadal hulał po niebie, siejąc zniszczenie i śmierć. Wystarczył jeden piorun, by zmienić *Venjekar* w zabójczy brander. Jeśli uda mu się uniknąć tego losu, okręt popłynie w dół rzeki aż na morze, gdzie na drodze do domu stoi mu cała flota ogrzanych wojowników.

Mimo to jednak Skylan wierzył, że jeśli tylko uda mu się dotrzeć do *Venjekar*, wszystko będzie dobrze. Torgunowie odzyskali wolność, okręt i smoka. Są razem. Nic ich nie powstrzyma. Oczywiście wyobraźni widział już siebie na ojczystej ziemi.

A to marzenie sprawiło, że jeszcze bardziej zabolęło go to, iż kiedy wreszcie dojechali do rzeki, *Venjekar* już nie było.

Rozdział 19

Skylan przemierzał nabrzeże, przeklinając Sigurda za głupotę i tchórzostwo, za to, że odpłynął za wcześnie, pozostawiając przyjaciół na pastwę losu. Lecz nie były to słuszne zarzuty. O Sigurdzie można było powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że jest głupcem czy tchórzem. To Kahg podjął decyzję, że czas uciekać.

Z początku Torgunów ogarnęła euforia. Wreszcie byli wolni. Dźwignęli *Venjekar* i choć było ich znacznie mniej niż zwykle, bez trudu przenieśli okręt ponad murkiem i z pieśnią na ustach zaciągnęli nad rzekę.

Byli może w połowie drogi, gdy nagle pojawił się Wulfe. Sigurd gniewnie zmarszczył brwi i kazał mu się odczepić. Zamiast go jednak posłuchać, chłopak podał mu kość ducha.

– Skylan powiedział, że teraz to już będziesz mnie lubił – powiedział.

Sigurd zamarł z nogą w powietrzu.

– Skąd to masz? – Wyrwał dzieciakowi kość ducha z ręki.

– Smok mi ją dał – wyjaśnił Wulfe. – Dałem ją Aylaen, a ona dała ją Skylanowi, a on powiedział, że mam ją zanieść tobie.

– Gdzie Skylan? – chciał wiedzieć Sigurd.

Wulfe wzruszył ramionami. Nie miał zielonego pojęcia.

Sigurd popatrzył na smoka, zupełnie nic z tego nie rozumiejąc. Oczy Kahg błysnęły w ciemnościach. Sigurd wzruszył ramionami i kazał ludziom iść dalej.

Udało im się zwodować okręt mniej więcej w tym samym czasie, gdy Treia łała wodę na płonący znicz. Torgunowie weszli na pokład i chwytali właśnie za wiosła, Wulfe pędził zaszyć się pod pokładem, a Sigurd wieszał kość ducha na gwoździu, gdy smok vektyjski rozpostarł skrzydła i zakrył gwiazdy.

Smok Kahg spojrział w niebiosa i choć nigdy przedtem nie widział żadnego z Pięciu, rozpoznał go od razu.

Pięć Smoków Vektii. Wszystkie smoki czciły i poważały te cudowne stworzenia – mądre, potężne, wszystko widzące i wszystko wiedzące, boskie.

Ilyrion, potężna smoczyca, która stworzyła świat i przez tysiące lat walczyła z Torvalem, nie została przez niego pokonana, jak błędnie wierzyli Vindrasi. Smoki wiedziały, że Ilyrion,

widząc, iż ta boska walka niszczy jej ukochany świat, sama się poświęciła. Gdy z niebios spłynęła krew, Pięć Smoków Vektii wyrosło z jej kościstego grzebienia.

Świat należał zatem do Pięciu Vektii. Torval i pozostali bogowie byli – według smoków – jedynie jego opiekunami. Vindrash, zrodzona z krwi Ilyrion, służyła Pięciu i to ona dała każdemu z pięciu bogów jedną z pięciu kości ducha na przechowanie.

Minęły jednak eony i świat odkryli inni, obcy bogowie, którzy postanowili się pozbyć starych bogów. Ci intruzi nie mają mocy tworzenia; nie mają nawet pojęcia, że ucieleśniona jest ona w Pięciu Vektii. To dlatego Kahg wpadł w furję, gdy odkrył, że Horg oddał jedną z kości ogrom i ich bogom Raj. Potem smoki z przerażeniem dowiedziały się o zdradzie boga Sunda, z powodu której utraciły jeszcze jedną kość, tym razem na rzecz Aelona.

Smoki nie obwiniały Vindrash za te straty. Wiedziały, że ich Smokini sama walczy o przetrwanie, a nawet musiała przyjąć ludzką postać, by się skryć przed wrogami, którzy rośli w siłę. Smoki zaczynały się obawiać, że starzy bogowie naprawdę są już zbyt słabi, by przeżyć.

Oto nastał czas Vektii, czas triumfu smoków. Prawdziwe smoki uratują świat.

– Polecę z nim! Polecę z najpotężniejszym ze wszystkich! – poprzysiągł sobie Kahg i jego istnienie zaczęło się ucieleśniać wokół smoczej kości.

Lecieć wraz z jednym z Vektii! Jakiż smok nie marzył o czymś takim?! Kahg był przy nim niczym, oczywiście. Był jak ziarno piasku wśród lśniących diamentów. Smok vektyjski na pewno nawet go nie zauważył. Lecz samo to, że Kahg ujrzy na własne oczy tę potęgę, to niesamowite piękno... Móc już do końca życia mieć świadomość, że kiedyś leciało się w cieniu skrzydeł bogów...

Cień ten okazał się jednak mroczny i jakiś przerośnięty. Zakrył gwiazdy, pochłonął księżyc. Zdawał się samą śmiercią, śmiercią skrzydlatą, z ogonem, łbem i grzebieniem; śmiercią przebraną za smoka; śmiercią drwiącą sobie ze smoków.

Kahg był zupełnie zbity z tropu. Co to za makabryczny potwór? I gdzie się podział smok vektyjski?

Między pazurami smoka iskrzyły się błyskawice. Bestia rozwarła upiorną paszczę i z niebios runął na ziemię ryczący wicher. Rzucił się na wierzby na drugim brzegu rzeki, z trzaskiem wyrwał je z korzeniami i cisnął w wodę. Potem uderzył w *Venjekar* tak, jakby był osobistym wrogiem smoka Kahg, jakby chciał zadać mu cios niczym jakiś złowrogi znak czy pogrózkę. Okręt zachwiał się i mało nie poszedł pod wodę.

Dopiero wtedy do smoka Kahg dotarła prawda, którą zawsze znali bogowie. Tworzenie jest niszczeniem. Niszcz, by tworzyć. Twórz, by niszczyć.

Z trudem udało mu się utrzymać okręt na powierzchni mimo smagającej ich ulewy. *Venjekar* odbił od brzegu i odpłynął.

– Sigurdzie, stój! – wrzeszczał Bjorn. – Co ty wyprawiasz? Przecież musimy poczekać na Skylana i Aylaen!

– To nie ja prowadzę tę cholerną łajbę! – ryknął Sigurd i wskazał na smoka.

Roztrzęsiony i przerażony Kahg pragnął tylko jednego: uciec przed tym potworem szalejącym na niebie. Wezwał na pomoc Vindrash, lecz bogini nie mogła lub nie chciała odpowiedzieć na jego wołanie.

Na pokład posypał się grad tak wielki, że Torgunowie musieli się skryć w ładowni. Błyskawice rozdzierały nieboskłon. Dym z płonącego miasta zalegał nad rzeką niczym makabryczna mgła. *Venjekar* sunął blisko brzegu, przyczajony wśród pędów i gałęzi zmasakrowanych wierzb.

Kahg słyszał, jak Vektia szaleje w niebiosach, jak ryczy, jak miota się z bezmyślną furią. Vektia – smok mądry i wszechwiedzący... Kahg byłby płakał jak dziecko, gdyby nie był tak wściekły. Ukrył okręt wśród drzew, nie dlatego że się bał, iż Vektia go znajdzie, lecz dlatego że nie chciał go widzieć. Nienawidził go za samo to, jak wyglądał – jak smok.

Nagle coś ostrego i twardego uderzyło go w drewniany pysk. W pierwszej chwili pomyślał, że to odłamek jakiegoś drzewa, lecz po chwili znów poczuł cios, jeszcze mocniejszy. Poleciały drzazgi. Obejrzał się w porę, by ujrzeć, jak młot spada na pokład, niemal zabijając chłopca, który nim cisnął.

Kahg wbił w niego wściekły wzrok. To leśne dziecko. Było przemoczone do nitki. Zdawało się w ogóle nie zauważać szalejącej ulewy. Znów chwyciło za drewniany trzon młota, ostrożnie, tak by nie dotknąć metalowego ostrza, i zamachnęło się nim groźnie.

– Masz natychmiast wrócić po Skylana! – wrzasnął Wulfe.

Po Skylana, powtórzył w myślach Kahg. A który to? Zawsze mu się oni wszyscy mylili. Ci ludzie. Okręt płynął dalej.

Chłopak odgarnął mokrą grzywkę i spojrzał w niebo.

– To wcale nie jest smok, wiesz? To jest stare. To jest naprawdę stare. Kiedyś latało sobie luzem, ale potem przyszli bogowie Brzydali, złapali to i skuli łańcuchami.

Oczy Kahg rozbłysły gniewnie. Jego wzrok oświetlił chłopca ostrą poświatą.

– Rzuć to we mnie choć jeszcze raz, młokosie, a pozostanie z ciebie mokra plama! – warknął.

Wulfe opuścił młot i wycofał się trochę.

– Ale musisz wrócić po Skylana – upierał się.

Nagle Kahg raptownie zmienił kurs, obracając okręt tyłem naprzód, co było niezwykle trudnym manewrem, biorąc pod uwagę rozszalałe od wichury wody rzeki.

– Dziękuję! – krzyknął Wulfe i zamachał do smoka uprzejmie.

Oczy Kahg rozbłysły. Nie zmienił kursu ze względu na to leśne dziecko ani na Skylana, którego w końcu nawet sobie jakby przez mgłę przypomniał.

Smok Kahg zmienił kurs po prostu dlatego, że zobaczył, iż mało nie wpłynął w sam środek ogrzej floty.

Rozdział 20

Skylan przeczesywał tymczasem brzeg w poszukiwaniu swego okrętu i modlił się do Torvala, by *Venjekar* nie spoczywał gdzieś na dnie wezbranej rzeki. Po okręcie Vindrasów nie było jednak ani śladu i Skylan zupełnie nie wiedział, co począć.

Na pewno nie mogli tu pozostać. Poziom wody podnosił się w oczach, a brzeg, na którym stali, wkrótce zniknie pod powierzchnią. Byli wycieńczeni, a konie na granicy wytrzymałości. Już chciał powiedzieć Aylaen i pozostałym, że trzeba się przenieść na jakieś wzgórze, gdy w ścianie deszczu zaśniły dwa czerwone światła.

Skylan ryknął z radości i rzucił się w wodę, przez co mało nie zginął uniesiony prądem. Na szczęście Strażnik złapał go na czas i wyciągnął na brzeg. Skylan zaczął nawoływać i Kahg podpłynął blisko, kryjąc się w małej zatoczce, osłoniętej częściowo przez wielką wierzbę.

Aylaen stała na brzegu, trzymając siostrę w ramionach. Treia trzęsa się gwałtownie. Z rany na głowie płynęła jej krew. Nie zwracała w ogóle uwagi, gdy próbowano coś do niej powiedzieć. Gdyby Aylaen jej nie trzymała, osunęłaby się bezwładnie na ziemię.

Strażnik, Skylan i Acronis zrzucili ciężkie zbroje i weszli w wodę, by chwycić kadłub i przepchnąć okręt bliżej brzegu. Sigurd i Grimuir wyskoczyli za burtę, by im pomóc przytrzymać okręt na tyle długo, by wszyscy zdołali wsiąść.

– Gdzieście się podziewali? – krzyczał Skylan do Sigurda, gdy stali ramię w ramię, starając się jakimś cudem utrzymać w miejscu okręt, który próbowała im wyrwać rzeka.

– Jego zapytaj! – Sigurd wskazał mu głową dziób. Ślepie smoka błysnęły wściekle i Skylan postanowił nie drażnić więcej tematu.

– Swoją drogą, niezły łup – zauważył Sigurd, spoglądając na szyję Skylana. – To świecidełko musi być warte majątek.

Skylan chwycił kość ducha i wepchnął ją pod przemoczoną tunikę.

Strażnik uniósł Aylaen i wsadził ją na pokład. Treia nie opierała się, ale nie zrobiła też nic, by sobie pomóc. Równie dobrze mogli pozwolić jej utonąć, a ona poszłaby pod wodę bez słowa. Strażnik dźwignął ją i wrzucił na okręt. Bjorn chwycił ją po drugiej stronie i położył na pokładzie.

Sigurd popatrzył zaskoczony na Acronisa, lecz po chwili się uśmiechnął.

– Właściciel niewolników niewolnikiem. Dobrze pomyślane.

Skylan nic na to nie powiedział. Nie chciało mu się marnować czasu i energii na wyjaśnienia, których Sigurd i tak by nie pojął. Acronis znał się nie tylko na nawigacji po tej rzece, ale wiedział też wiele innych przydatnych rzeczy. Takich jak na przykład, w jaki sposób przepłynąć okrętem przez środek morza po ciemku i się nie zgubić, jak odczytywać esy-floresy na mapach i jak używać wszystkich tych dziwnych instrumentów, które Zahakis trzymał na pokładzie.

– Strażniku, pomóż Legatowi! – krzyknął Skylan.

Ogr wykonał jego prośbę w okamgnieniu: chwycił Acronisa i po prostu przerzucił go przez burtę. Legat wylądował na deskach pokładu, a Erdmun i Farinn pomogli mu wstać.

Rzeka wciąż się podnosiła, połykając sumiennie brzeg, na którym przed chwilą jeszcze stali.

– Twoja kolej, przyjacielu! – zawołał Skylan do Strażnika. – Już za chwilę będziesz ze swoimi.

Strażnik wspinał się na pokład, gdy nagle mocniejszy podmuch wiatru pchnął gałąź wierzby prosto na jego głowę. Ogr poślizgnął się na kadłubie i zaczął się zsuwać bezwładnie w wodę.

Skylan ryknął przerażony i rzucił się go chwycić za skórzaną uprząż. Sigurd, Grimuir i pozostali łapali za co się dało. Po krótkiej szamotaninie udało im się wciągnąć go do środka, choć mało przy tym nie przewrócili całego okrętu.

Skylan wszedł na pokład ostatni. Był tak wymęczony, że zdawało mu się, iż nie znajdzie w sobie siły, by się wspiąć po burcie. Sigurd i Grimuir wyciągnęli w jego stronę dłonie. Skylan chwycił je i po chwili stał wreszcie na swoim okręcie.

– Co teraz? – spytał Sigurd.

– To, co zaplanowaliśmy – odkrzyknął Skylan. – Płyniemy w dół rzeki, na morze i do domu!

Sigurd spojrzał na niego jak na wariata.

– Chcesz płynąć prosto w objęcia ogrów?!

– Ucieszą się na nasz widok jak rzadko – zapewnił go Skylan. – Przecież przywozimy im ich własnego bożypana. – Wskazał na Strażnika.

Sigurd uśmiechnął się.

– Może kiedyś nawet cię polubię – stwierdził i klepnął Skylana po plecach.

Skylan oparł się o nadburcie. Był ledwo żywy ze zmęczenia. Konie pędziły po zboczu na coraz to wyższy teren. Miał nadzieję, że uda im się uciec przed powodzią. Pomodlił się za nie do Torvala. Będą potrzebować cudu, żeby przetrwać, nawet jeśli umkną przed wodą.

Przeszedł przez rozbujany pokład, by zobaczyć, jak się czuje Strażnik. Z ulgą stwierdził, że ogr odzyskał przytomność.

– Jeden guz więcej nie gra roli – mruknął Strażnik i zwymiotował.

– Masz pękniętą czaszkę – powiedział Skylan. – Chodź, zabiorę cię pod pokład. Musisz być zdrow jak rybka, przyjacielu, bo w tobie jedyna nasza nadzieja.

Strażnik mruknął tylko ze zrozumieniem. Upierał się jednak, że nic mu nie jest, choć gdy wstał, osunął się do tyłu. Erdmun i Skylan zdołali go chwycić i ostrożnie sprowadzili do ładowni.

Aylaen tymczasem zabrała tam swoją siostrę. Treia siedziała skulona na skrzyni. Owinięta kocami patrzyła tępo przed siebie. Woda uderzała o pokład nad ich głowami. Aylaen przykucnęła tuż przy niej, rozcierała jej zziębnięte dłonie i pocieszała jak mogła.

– Nie możesz się winić za to, co się wydarzyło, Treiu – mówiła. – Przecież nie mogłaś wiedzieć, co się stanie, gdy wezwiesz smoka. Musisz mieć wszystkie pięć, by być w stanie je opanować, wiesz? Na tym polega tajemnica Vektii. Skąd miałas to wiedzieć...

Skylan aż się wzdygnął. Naprawdę wołałby, żeby Aylaen nie przekazywała tej tajemnicy Trei. Ona jednak wydawała się głucha na słowa siostry. Jej oczy patrzyły gdzieś przed siebie, niczego nie widząc. Aylaen okryła ją jeszcze jednym kocem i zaczęła kołysać jak małe dziecko.

Strażnik usiadł z jękiem na skrzyni i schował obolałą głowę w dłoniach. Skylan już miał wyjść, gdy nie wiadomo skąd wyskoczył Wulfe i rzucił się na niego z okrzykiem radości.

– Smok się zdenerwował – zaczął mu wyjaśniać. – To dlatego odpłynął bez was. I wiem, dlaczego jest taki...

Na pokładzie Sigurd zaczął się drzeć wniebogłosy. Wzywał Skylana, który pospiesznie wyrwał się z uścisku dzieciaka.

– Zostań tutaj i nie wchodź nikomu pod nogi. Aylaen, zajmij się Strażnikiem. To on najbardziej potrzebuje twojej pomocy.

Po powrocie na pokład oczom Skylana ukazał się potworny widok. Smok vektyjski był tuż za nimi. Leciał wzdłuż rzeki, jakby ich gonił. Woda pod jego ognistym brzuszyskiem pieniała się, wrzała i buchała parą.

– Czego on od nas chce? – wrzasnął Bjorn.

Skylan chwycił za swój złoty naszyjnik.

– Swojej kości ducha.

Zaczął wołać Aylaen. Wybiegła zaraz na pokład, a gdy ujrzała smoka i grzmiącą ścianę wrzącej wody, struchlała. Skylan przedarł się do niej mimo szalejącej wichury. Wcisnął jej w dłonie kość ducha Vektii.

– Porozmawiaj z Kahg! On jeden może nas uratować! – darł się, by przekrzyczeć jakoś wycie wiatru i niemal już zupełnie nieustające grzmoty piorunów.

Aylaen spojrzała tylko na smoka i pokręciła głową.

– On nie jest w stanie powstrzymać Vektii. – Musiała się trzymać kurczowo Skylana, by jej nie zwiało z pokładu. – Vektia to nie jest prawdziwy smok.

Aylaen popatrzyła bestii prosto w oczy. Ogniste spojrzenie zdawało się palić jej rude włosy, jakby nagle otoczyły ją roztańczone płomienie.

– Aylaen! – wrzeszczał Skylan i trząsł nią w panice.

Ale ona go nie słyszała. Była zbyt daleko.

Rozdział 21

Aylaen szła po parapecie muru obronnego Komnaty Torvala. Pod jej butami skrzypiały grudy śniegu – brudnego, poplamionego krwią. Szalała lodowata wichura, od której piekły ją policzki i zamarzał jej oddech. Ubrana była w ciepłe futro z kapturem i grube wełniane rękawice. Otuliła się mocniej.

Spojrzała z góry na rozległą, zamrożoną krainę lodu i śniegu. Niebo było piękne – tak niebieskie, że aż bolały oczy. Słońce świeciło oślepiająco jasno, ale nie dawało żadnego ciepła.

O mur opierał się Torval i patrzył na ciche ziemie przed sobą. Jego włócznia oparta była tuż obok. Przy niej stała tarcza. Miecz schowany był w futrzanej pochwie. Kawalek dalej przykucnęli w śniegu Hevis i Joabis. Rzucali kością wyrzeźbioną z kła morsa.

Vindrash stała przy Torvalu. Na zbroję zarzucone miała futro. Spojrzała na Aylaen i odwróciła wzrok, by znów się zapatrzyć na zamrożone pola i równiny. W oddali majaczyły góry.

– Czy walka już się skończyła? – spytała Aylaen.

– Na chwilę – odpowiedział Torval. – Nasi wrogowie zostali zmuszeni do odwrotu.

– Dzięki mnie – wytknął mu Hevis i rzucił kość. – Wygrywam.

Joabis zaklął i wysypał na ziemię garść klejnotów. Hevis zgarnął je chciwie i wpakował sobie do sakiewki.

– Wygrałeś, bo zdradziłeś wrogom naszą tajemnicę! – warknął gniewnie Torval.

– Chciałem pomóc – bronił się Hevis i wzruszył ramionami. – Zresztą, to nie moja wina. Powinieneś być powiedzieć nam prawdę o Vektii. Ty i te twoje cholerne tajemnice!

Podał Joabisowi kość i przeniósł wzrok na Aylaen, a potem puścił do niej oko.

– Możesz powstrzymać Vektię i uratować swoich przyjaciół. Zaraz powiem ci jak, ale musisz złożyć mi ofiarę...

– Tracisz czas, Hevisie – mruknęła Vindrash. – Aylaen dobrze wie, jak powstrzymać Vektię. Nie potrzebuje twojej pomocy.

– Nauczyłaś mnie piosenki – przyznała Aylaen. – Ale to tylko piosenka. Słyszę w głowie jej słowa. Ale nie czuję ich w sercu.

– Żeby ją zrozumieć, musisz zostać Kapłanką Kości. Żadnego udawania. Żadnego grania. Musisz w pełni poświęcić się mnie, Torwalowi, Joabisowi, Aylis, a nawet Hevisowi. – Łagodniej dodała: – Całe swe życie byłaś nam wierna. Nawet gdy nas przeklinałaś, nigdy się nas nie wyparłaś.

– Nie byłabym dobrą kapłanką – powiedziała Aylaen i pokręciła głową. – Jestem samolubna i uparta, nieustępliwa i zawzięta. Ty, Vindrash, wiesz przecież najlepiej. Łatwo tracę panowanie nad sobą. Nie znoszę żadnych reguł.

Smokini się uśmiechnęła.

– To tylko przywary dziecka. Dzieciństwo masz już za sobą, Aylaen.

Lodowaty wiatr zmroził łzy na jej policzkach. Klęknęła w śniegu.

– Jeśli mi wybaczysz, Vindrash, będę ci służyć.

– Daj miecz – rzekła Smokini.

Aylaen podała jej rękojeść, ale bogini chwyciła za ostrze. Krew pociekła po głowni, spływając na biały śnieg. Oddała miecz Aylaen.

– Wygrywam – obwieścił Joabis i triumfalnym gestem wyrwał Hevisowi sakwę z klejnotami.

– To się jeszcze zobaczy – mruknął bóg ognia.

– Aylaen! – Skylan trząśł nią jak szalony.

Mury obronne rozprysły się jak tafla lodu i Aylaen znów stała na pokładzie *Venjekaru*.

Kahg tchnął swego ducha w okręt, stając się w istocie samym okrętem. Smoczy galion nie był już zrobiony z drewna, ale z krwi i kości, z ciała pokrytego łuskami. Smok ryczał wściekle, gdy parł w dół rzeki w tym morderczym wyścigu z samym smokiem Vektii. Wojownicy desperacko trzymali się, czego popadło, by nie zmyło ich za burtę.

Aylaen spojrzała na kość w swej dłoni. Złoto błysnęło w świetle oczu Kahg. Szmaragdy były teraz krwistoczerwone.

– Dlaczego kość ducha nie zniknęła? – krzyczał Skylan.

Wiatr smagał go po twarzy włosami. Był niemal zupełnie nagi, bo jeszcze gdy wchodził na okręt, musiał zdjąć zbroję. Miał na sobie tylko skórzaną tunikę, buty i miecz. Całe jego ciało, ramiona, twarz porane były ranami.

– Vektia związana jest z kością – rzekła Aylaen – jak noworodek ze swą matką, jak człowiek ze swym wyrdem.

Powoli założyła sobie złoty naszyjnik na szyję.

– Co robisz? – krzyczał ponad wyciem wiatru.

– To, co muszę – odpowiedziała mu. – Jestem Kapłanką Kości. Vindrash dała mi swoje błogosławieństwo.

Spojrzała na Kahg. Smok Torgunów miał rozdziawioną paszczę, ledwie oddychał z wysiłku. Z jego szczęki kapąła ślina. Ucieleśnił się, wkroczył w świat, a zatem był teraz

równie śmiertelny jak ludzie, których z takim oddaniem usiłował uratować. Płynął po wezbranej wodzie, utrzymując okręt na powierzchni, uciekając przed rozszalałym Vektią. Słabł w oczach. Zwalniał. Widać było, że już traci siły.

Aylaen obnażyła miecz i ruszyła w stronę dziobu. Torguńscy wojowie trzymali się kurczowo, czego tylko zdołali się chwycić: nadburcia, masztu, lin, na których zwykle zawiesziliby swoje tarcze. Krzyczeli, żeby zeszła do ładowni, że woda może ją zmyć z pokładu.

Nie słyszała ich. Docierały do niej jedynie słowa bogini.

Wiatr się zmienił, jakby chciał ją odepchnąć, powstrzymać. Nie była w stanie zrobić ani kroku i przez jedną koszmarną chwilę zdawało jej się, że wichura zaraz wypchnie ją z okrętu. A potem nagle stał już przy niej Skylan. Chwycił ją mocno i pomógł iść. Razem parli naprzód.

Aylaen położyła wreszcie dłoń na smoczej szyi.

– Kahg! – zawołała. – Zawracaj! Stań twarzą w twarz z Vektią! – Uniosła kość ducha. – Zabierz mnie do Vektii, Kahg! Nie ma innego sposobu, by go powstrzymać!

Kahg splunął ogniem i zaczął zawracać.

Torgunowie nie mieli pojęcia, co się dzieje. Wszystko wskazywało na to, że smok prowadzi ich prosto w paszczę potwora, lecz oni nie byli w stanie nic zrobić. Trzymali się kurczowo, czego mogli, i modlili żarliwie.

Aylaen zacisnęła dłoń na kości ducha Vektii, a drugą ręką przytuliła się mocno do smoczej szyi. Skylan stał przy niej, zapierając się nogami i trzymając ją ze wszystkich sił.

Gdy zawracali, *Venjekar* uderzył w bok fali i się przewrócił. Przez mrozącą krew w żyłach chwilę znaleźli się pod wodą. Kahg spiął się cały, by wyprowadzić okręt na powierzchnię, i gdy znów wypłynął, stanął twarzą w twarz z Vektią.

Smok vektyjski nie miał oczu. Nic nie widział. Zabijał, nie widząc, co zabija, nie wiedząc nawet, że zabija. A jednak ten ślepy łeb szukał ich i nagle zanurkował po Aylaen.

Puściła szyję Kahg, który pędził po falach, to opadając, to się wznosząc. Jego oczy żarzyły się czerwono mimo oślepiającej piany. Był o krok od ściany wody. Za chwilę Vektia runie na nich i zupełnie ich pochłonie.

– Trzymaj mnie, Skylan! – krzyknęła Aylaen.

Skylan zaparł się nogami o deski. Nie miał pojęcia, co się dzieje i co ona zamierza zrobić. Wiedział tylko, że wiatr próbuje wyrwać mu ją z rąk.

Aylaen zaczęła nucić piosenkę, której nauczyła ją Vindrash. Trzymając kość ducha wysoko w powietrzu, drugą ręką wyciągnęła miecz.

– Nić skręca się... i wije na kole... Przecinam ją...

Ślepy łeb smoka był coraz bliżej kości ducha. Smok rozdziawił paszczę i runął w dół. *Venjekar* się uniósł.

– Umiera! – dokończyła Aylaen, unosząc miecz wyżej. Zamachnęła się, ostrze załśniło w świetle błyskawic i odrąbała Vektii głowę.

Ślepy łeb zamarł, jakby wpatrywał się w nią oszołomiony, i nagle wybuchnął płomieniem, po czym zniknął. Jego ciało zaczęło się kręcić w kółko, skrzydła złożyły się, ogon wił, łapy machały. Kręcąc się coraz szybciej, unosił się ku górze niczym olbrzymia trąba wodna, aż w końcu zniknął w niebiosach przy odgłosach grzmotów, świetle błyskawic i niemal gotujących się czarnych chmurach.

Wojowie rozglądali się wokół oniemiałi, nie pojmując zupełnie, co się wydarzyło. Jedno było pewne – przeżyli. Wiatr przycichł. Woda się uspokoiła, lecz prąd wciąż był silny i ciągnął *Venjekar* w dół rzeki, choć okrętowi nie groziło już rozbicie. Aylaen uświadomiła sobie, że Skylan wciąż trzyma ją w ramionach. Widziała jego błękitne oczy. Po burzy niebo zajaśniało nadchodzącym już świtem.

Schowała do pochwy miecz *Vindrash*.

– Nic nam już nie grozi – powiedziała. – Możesz mnie puścić.

Gdy to zrobił, ujęła jego rękę i zamknęła ją w swoich dłoniach.

– Przykro mi, Skylanie. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz.

Przyciągnął ją do siebie, a ona jego i przez chwilę byli jedynymi osobami na całym okręcie. I wtedy Aylaen ujrzała Treię. Jej siostra wyszła na pokład. Wpatrywała się w jaśniejące niebo i coraz cieńsze chmury, które przypominały nieco poszarpane skrzydła. Gdzieś błysnęło jeszcze i Treia usłyszała odległy grzmot.

– A więc ty stałaś się teraz ulubienicą bogów, siostrzyczko – powiedziała. – Odwróć się od ciebie plecami, tak jak odwrócili się ode mnie. Oszukali mnie. Kazali zniszczyć wszystko, co tak kochałam. I ciebie spotka ten sam los.

Aylaen puściła dłoń Skylana.

Rozdział 22

Zza burzowych chmur wypełzło wschodzące słońce. Jaskrawe światło zalało wodę. Skylan widział już zatokę, morze i okręty ogrów z tymi ich dziwacznymi, trójkątnymi żaglami – unosiły się na wodzie niczym niezwykle liczne stado mew żerujące na ławicy ryb.

Ogry panicznie boją się smoków, a na widok Vektii bożypanowie nawet się nie zawahali, tylko od razu zarządzili odwrót. Ci wojownicy, którzy przetrwali powódź i pożar, uciekli z powrotem na swoje okręty, lecz szalejąca wichura uniosła morze, łamała maszty, zrywała żagle. Część okrętów zatonała, ale większości udało się przetrwać burzę i krążyły teraz po zatoce, sumiennie wyławiając swoich ludzi.

Silny prąd buzował pod kilem *Venjekar* i pchał go naprzód. Torgunowie nawet się nie wazyli wysunąć wiosła za burtę, bo gotująca się woda natychmiast wyrwałaby im je z rąk. Zebrali się na dziobie i wpatrywali w okręty w zatoce, zastanawiając się, co zrobią ogry na ich widok. Acronis stał na uboczu i patrzył na śmierć swego miasta.

– Patrzcie! – zawołał Wulfe. – Jeszcze jeden smok!

Skylan obrócił się natychmiast z duszą na ramieniu. Czy to jeszcze jeden Vektia? Po zaśmieconych wodach zatoki sunął jakiś okręt. Było w nim coś dziwnego, ale z pewnością nie widać było żadnego smoka.

Skylanowi serce waliło jak oszalałe i z nerwów potrzęsnał dzieciakiem gwałtownie.

– Przestań wreszcie kłamać! Marsz pod pokład, bo jak nie, to cię w tej chwili wyrzucam za burtę!

– Ale tam jest smok – upierał się Wulfe.

Acronis spojrzał na okręt.

– To mała galera wojenna z jednym rzędem wiosła. A raczej, tam gdzieś powinny być jakieś wiosła – stwierdził z namysłem. – Nie ma przecież żadnego wiatru. A jednak ten okręt płynie bardzo szybko.

Skylan wpatrywał się w okręt tak intensywnie, że aż rozboleły go oczy. Rzeczywiście nie było widać żadnych wiosła. Kadłub mknął po wodach zatoki chyżo i z gracją. Ale z jego boków nie wyłaniały się żadne wiosła.

– Skąd wiesz, że ten okręt ma smoka? – spytał chłopca.

– No, widzę go – odburknął Wulfe. Spojrzał na Kahg. – On też go widzi.

Skylan obejrzał się na smoka. Kahg wlepił wzrok w zbliżającą się galerę.

– Możemy to sprawdzić – rzekł Acronis. – Była tu gdzieś przecież luneta Zahakisa. Gdzie ona się podziała?

– Magiczne szkiełko? – spytał z zainteresowaniem Wulfe. – Wiem, gdzie je znaleźć!

Pobiegł gdzieś i po chwili wrócił z lunetą zawiniętą w jakąś szmatę. Acronis przyłożył ją do oka i zaraz oddał Skylanowi.

– Sam zobacz – mruknął.

Skylan z pewnym wahaniem przyłożył szkło do oka. Najpierw nie widział nic poza wodą, potem pojawił się okręt tak blisko, jakby zaraz miał ich staranować. Odskoczył przerażony i mało nie upuścił lunety. Gdy odjął ją od oka, przekonał się, że galerę dzieli od nich jeszcze kawał drogi.

Znów spojrział przez szkło, wyostrzył na dziób okrętu – na długą, piękną szyję i groźny łeb smoka. Na dziobie stał ktoś znajomy. Dłoń opierał na karku smoka.

– Raegar – powiedział Skylan, opuszczając lunetę. – Galera ma smoczy galion.

– To smoczyca – odezwała się Aylaen. – Kahg mi powiedział. Ma na imię Fala. Kahg mówi, że nie będzie walczył ze smokiem.

Okręt Raegara był coraz bliżej. Płynął od wschodu. Na pokładzie tłoczyli się wojownicy.

– Może chce walczyć z ogrami – zasugerował Sigurd.

Skylan kątem oka spojrział na Treię. Opierała się o nadburcie, wpatrując się w galerę z przejęciem. Twarz jej pojaśniała, policzki zarumieniły się, wargi rozchyliły.

– Nie – stwierdził. – Chodzi mu o nas.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak zatrzymać się i walczyć z tym łajdakiem – oświadczył ponuro Sigurd.

– Ma około pięćdziesięciu ludzi na pokładzie – zauważył Skylan. – Nas jest siedmiu. Bo nie liczę smoka, który nie chce nam pomóc.

Spojrział na morze. Wierzchołki fal lśniły w promieniach zsyłanych przez boginię Aylis. Na zachód od nich rozpościerało się otwarte morze, a za nim dom. Lecz by się na nie przedostać, musieliby przepłynąć obok około stu okrętów pełnych ogrów, bez wątpienia wściekłych, że właśnie pozbawiono je możliwości ograbienia Sinarii i zdobycia chwały. Niektóre okręty już najwyraźniej zauważyły galerę, bo kilka z nich odwróciło się na spotkanie z nią.

Ogry nie widziały natomiast *Venjekaru*, który nie wypłynął jeszcze z za mierzei wcinającej się w zatokę. Prąd za chwilę wyniesie ich na otwartą przestrzeń i ukaże oczom ogrów. Skylan spróbował postawić się na ich miejscu. Co zobaczą? Dwa okręty ludzi. Dwa okręty płynące na nich. Dwa okręty ze smokami.

Co sobie pomyślą? Że ludzie i ich smoki płyną w ich stronę, żeby ich dobić po masakrze na łądzie. I na tym być może polega plan Raegara: przejąć *Venjekar*, żeby mieć dwa smoki, i wysłać je w pogoni za ogrami. W ten sposób znów będzie w posiadaniu kości ducha.

I tajemnicy smoka.

Spojrzał znów w kierunku Trei, ale już jej tam nie było. Widocznie zeszła pod pokład przebrać się i zrobić na bóstwo. Jej ukochany zaraz wkroczy po nią na pokład.

Jakby w odpowiedzi na jakiegokolwiek wątpliwości co do planów Raegara, Skylan poczuł nagle pieczenie w tatuażu. Chwycił się z jękiem za ramię. Pozostali zrobili to samo.

– Możemy przynajmniej powstrzymać Aelona – stwierdził ponuro Acronis i odwrócił się w stronę Aylaen. – Twój święty miecz! Szybko!

Aylaen wyciągnęła miecz z pochwy. Chwyciła Skylana za ramię i wbiła mu ostrze w ciało w miejscu, gdzie miał tatuaż. Miecz zaśnił jaskrawo. Skylan poczuł jednak tylko ból wywołany raną. A taki ból był w stanie znieść. Z radością!

– Krew wypłucze kryształ, ale lepiej zamocz ranę w morskiej wodzie – poradziła Aylaen, patrząc z zadowoleniem na krwawe smugi na ramieniu Skylana.

– Gratuluję. Oto znów jesteś wolnym człowiekiem. – Acronis obejrzał się na galerę, która zbliżała się z zawrotną prędkością, i dodał: – Przynajmniej na chwilę.

Venjekar wypłynął zza mierzei. Zabłocone wody rzeki wpłynęły do morza, niosąc okręt. Natychmiast zauważył ich jeden z okrętów ogrów. *Venjekar* znajdował się znacznie bliżej ogrów niż galery; tak blisko, że Skylan nie potrzebował lunety, by zobaczyć, jak ogry wybiegają na pokład, tłoczą się przy burcie i gapią na okręt Torgunów. Trójkątny żagiel załopotał przy zmianie kursu.

Pozostali Vindrasi rozcinali swoje tatuaże; krew ciekła na pokład. Aylaen rzuciła Skylanowi kawał płótna, którym szybko zabandażował sobie ramię. Jednocześnie wyjaśniał pozostałym swój plan.

– Strażnik zatrzyma pierwszy najbliższy okręt i powie bożypanowi, że pomogliśmy mu uciec. Ostrzeże ich przed Raegarem i jego smokiem. Poradzi, żeby jak najszybciej zaatakowali Południowców, nim smok zdoła zniszczyć ich flotę. Gdy nasi wrogowie będą zajęci walką, uciekniemy.

– Ale czy ogry mu uwierzą? – spytał Sigurd.

Odpowiedział mu Acronis.

– Macie dużą szansę. Ogry darzą swych bożypanów wielkim szacunkiem. Jeśli powie swym ludziom, że uratowaliście mu życie, puszcza was wolno.

Gdy Skylan biegł do ładowni, żeby powiedzieć Strażnikowi, że zaraz znów będzie wśród rodaków, przemknęło mu przez myśl, że cieszy się, iż zabrał ze sobą Acronisa. Jego wiedza przyda się im z pewnością nieraz, gdy już, wreszcie wolni, będą płynąć do ojczyzny, by odzyskać torques i wraz z nim kość ducha.

Po raz pierwszy w życiu Skylan w pełni uświadomił sobie, jak ważne są smoki vektyjskie i ile naprawdę warta jest kość ducha, którą Horg tak bezmyślnie oddał ogrom. Zawsze wiedział, że jest święta, ale nie pojmował, że jest tak ważna. Gdyby bogowie Vindraków byli

w posiadaniu wszystkich Pięciu Vektii, mogliby władać mocą tworzenia, a Aelon i bogowie Raj musieliby poszukać sobie jakichś innych światów.

– Strażniku! – wołał, ześlizgując się pospiesznie po drabinie. – Strażniku, zaraz zrównamy się z ogrzym okrętem. Musisz koniecznie wyjść na pokład!

Strażnik siedział na skrzyni tak, jak Skylan go zostawił. Oczy miał zamknięte, głowa opadła mu na klatkę.

– Tylko taki leniwy ogr jak ty może przespać całe to zamieszanie – roześmiał się Skylan.
– No, już! Wstawaj!

Pchnął go w ramię.

Ogr spadł ze skrzyni i z hukiem wylądował na podłodze. Leżał nieruchomo, a woda, jaka zebrała się pod pokładem, obmywała jego wielkie cielsko.

Skylan przyłożył mu dłoń do szyi, szukając pulsu, choć wiedział już, że go nie znajdzie. Ciało ogra robiło się już trupio chłodne.

– Nie żyje? – spytała Treia.

Przez szparę między deskami wpatrywała się w zbliżający się okręt Raegara. Jej ukochany był coraz bliżej. Nie mogła przecież pozwolić, by cały ten Strażnik dogadał się ze swymi rodakami, a *Venjekar* zdołał umknąć Raegarowi.

– Tak, nie żyje – szepnęła bardzo cicho Skylan, bo głos odmówił mu posłuszeństwa. Nie zdoła udowodnić jej morderstwa. Nie jest głupia.

Treia wzruszyła ramionami.

– Z tymi ranami na głowie to nigdy nic nie wiadomo – stwierdziła i odwróciła się, by znów śledzić galerę.

Skylan spojrzał na Strażnika.

– Jesteś już w domu, przyjacielu – powiedział cicho.

Westchnął i wspiął się po drabinie na pokład. Sigurd już z niecierpliwości chciał zaglądać do ładowni.

– Gdzie Strażnik?

– Nie żyje – powiedział Skylan.

Zapadła cisza. Nikt nawet nie spytał, jak to się stało. Jakie to miało znaczenie? Z zachodu nadciągał okręt ogrów. Na wschodzie Raegar ponaglał smoczycę Falę.

– To co teraz robimy? – spytał Sigurd.

– Jesteśmy Torgunami. Trzymamy się razem – odpowiedział mu Skylan.